

1438.

37+8

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY.

WSPOMNIENIA
Z PODRÓŻY

PRZEZ

D^{ca} T. TRIPLINA.

WYDANIE DRUGIE, POPRAWNE.

Tom II.

(zawierający 1^{so} wydania tom III^{ci} i IV^{ty}).

ANGLIA.—SZKOCYA.

SM

J. Janakowski

PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

—
1853.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5165128

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

Warszawa, d. 20 Maja (1 Czerwea) 1852 r.

Cenzor,

F. Sobieszkański.



20 212 [2]

w Drukarni Gazety Codziennej.

ANGLIA I SZKOCYA.

ANGELIA IZKOCYA

ROZDZIAŁ I.

WYJAZD Z NORWEGII.—ŻAL.—POSTANOWIENIE.—SCENA NA
POKLADZIE.—ZAJŚCIE POMIĘDZY ANGLIKIEM I FRANCUZEM.—
NIESTAŁOŚĆ POGODY.—WOKALIZACYA.—MARCIN I DZIARDE-
LA.—CIEKAWOŚĆ I PRACA.—GNUSNOŚĆ.—BRZEGI ANGLII.—
PILOCI.—OJCIEC TAMIZY.—PAROSTATKI I CÓRKI ALBONU.—
CELNICY.—WOOLWICH.—ARTYLERYA.—BOBRY.—POSZANOWA-
NIE PRAWA.—LONDYN.—KOMORA CELNA.—TOWER OF LON-
DON.—¹⁰SKARBIEC.—ARSENAL.—DZIWNĄ SPEKULACYA.—

W mgle, w oddaleniu i w pomroku nocnym znikają z mych oczu brzegi ukochanej Norwegii. Żal mi było rozstawać się z krajem, w którym tyle pozostawiłem przyjaciół, a żadnych nie doświadczałem prześladowań. Tęsknota do rodzinnego kraju, przyduszana ciągłą walką z trudnościami, jakich klimat i sposób życia tak zupełnie odmienny od dotychczas doświadczonego wymagały, odezwała się od razu, skorom się znów ujrzał samotnym. Cierpiałem wiele, ale nie tyle, ilebym był cierpiał, gdybym już wtenczas miał być wyobrażenie o życiu tułacza rzuconego pomiędzy ludzi nieserdecznych. Dotychczas przyczyną cierpień mych była tęsknota do wszystkiego tego, co młodzieńcowi, żyjącemu tyle uczuciem, było nieskończenie drogiem,—niezbędnym prawie do życia szczęśliwego; nie wiedziałem, że do tych przyczyn przyłączają się jeszcze inne daleko dotkliwszego rodzaju, bo mniej szlachetne, jako to: nędza materyalna, choroby i mizantropia, wyradzająca się w najlepszych sereach na widok ludzi ścierających się bez litości, a utrzymujących, że choć różnemi drogami, do jednego szlachetnego celu zdążają.

Anglio! kraju, na który własni synowie częstokroć narzekają;—Anglio! do ciebie dążę, — a dążę z własnej woli, już nie pędzony koniecznością, bo w kraju Norwegów znalazł bym przytułek dla siebie.—Ale młody jestem i nauki cheiwy-
mężnie bije me serce i pragnę potykać się z owym zimnym,

tak znanym światu egoizmem angielskim, — chcę zmierzyć me siły z siłami owych panów świata, których rozum, czynność i słowność tak głośne. — Muszę się przekonać i naród mój przeświadczyć, że i nam łatwo osiąść te przymioty, tak nam pożądane, a niestety tak rzadkie. — Nie lękam się ciebie Anglio! Norwegii zimne lecz życiodawcze niebo zahartowało me serce, a jej synowie uzbroili mnie w tak mocną wiarę w skuteczność woli i pracy, cnoty i miłości bliźnich, że i Albionu dzieci wydrzeć mi jej nie zdołają.

Wszyscy jakoś w uroczystém byliśmy usposobieniu na pokładzie. Kapitan, nieznający jeszcze swoich ludzi, a ostrożniejszy niż kiedykolwiek od utraty okrętu, nie spuszczał oka z żagli, steru, bussoli i pompy; oko jego krążyło wszędzie. On sam stał na miejscu najwznioślejszém, w tyle okrętu, oparty o galeryę, i czasem tylko donośnym głosem wydawał rozkazy. Majtkowie, zebrani na przodzie, śledzili w wyrazie twarzy swego kapitana każde jej poruszenie z dziwną i badawczą ciekawością; po największej bowiem części jeszcze go nie znali i radzi byli przy tej pierwszej sposobności wyczytać mu z oblicza, czy się zna lub nie zna na swój rzeczy. Kucharz też w milczeniu warzył coś w swój kuchni, nie wiele większej jak budka strażnicza, i tylko kiedy niekiedy, korzystając z swego położenia wyjątkowego, łapał chłopaka z kajuty, swego pomocnika, gdy bawił się uszami Holdfasta. To imię poważnego brytana, którego powołaniem było strzedz nas, kiedyśmy byli w porcie, i służyć nam za rozrywkę, kiedyśmy się nudzili. Pilot zaś angielski, którego na nieboszczyka »Twende Brödere« burza uniosła od brzegów jego ojczyzny, od rodzinnej zagrody, od żony i dzieci, opłakujących go już zapewne za straconego, stał blisko kuchni, pogrążony w zwyczajnej mu gniewliwej flegmie. Spoglądał często na chorągiewkę, która na szczycie masztu raźnie furczała; niekiedy wesoło łysnął okiem, wpatrywał się długo w widokrąg zachodni i nozdrzami rozwartemi zdawał się wciągać w siebie powietrze rodzinne. Czasem także rzucił rozgniewanym wzrokiem na kucharza i spluwał w morze z obrzydzeniem: widać, że mu spieszno było do ojczyzny, że go załatywał z daleka zapach rostbefu, a strawa okrętowa mierzła.

Wszyscy tedy w uroczystém byliśmy usposobieniu. Wtém wypadu z głównej kajuty na pokład, jakby z procy wyrzucony, w jaskrawe kolory przybrany, z wyszwarcowaną brodą i wąsami, nasz Francuz.

Wyskoczył na pokład wtenczas, kiedyśmy wszyscy mniej więcej w myślach pogrążeni byli, i nie dbając o to, co się w naszych działo myślach, pytał prawie jednocześnie: kapitana, jaki wiatr, mnie, która godzina, sternika, czy prędko bieżymy, majtków in corpore, jak się ci panowie mają, Holdfasta pogłaskał, chłopaka za nos szczypanął, aż nareszcie wywijając laską jak tamburmażor, trafił na Pilota i uderzył w niego pytaniem, *czy ma dobry apetyt*. Anglik i tak już zagniewany na kucharza gotującego się oszukać sztokfiszem żołądek jego marzący o całym firmamencie pachnących rostbifów, źle wcale przyjął zapytanie i w odpowiedzi nie omieszkiał nadmienić o pajakach i żabach, któremi, podług wyobrażenia prostego ludu w Anglii, Francuzi żyją jedynie. »Excusez,« odrzekł Francuz, wykręcając się na pięcie i mrucząc sobie pod nosem, »sam masz głowę jak żaba, a nogi jak pajak; nie bój się, ja ci ich nie zjem. Patrz, jakie dziwne zwierzę, zdawało mi się, że mu pochlebię pytając się go o to, co każdemu synowi Albionu najdroższe.« Tak się zakończyła scena i podobnych było mnóstwo podczas dwóch tygodni, tak bowiem długo trwała ta podróż.

Wiatr zmienił kierunek.

Wkrótce po wypłynięciu pędził nas ku północy, tam znów ustał zupełnie, potem dął z zachodu, zwrócił nas ku Norwegii; nareszcie tułając się po całym oceanie Północnym, przekraczając często dyrekcyę, którąśmy wprzódy biegli, nieraz znosiliśmy burze, nie trwożące mnie już wcale i nie wiele mnie gniewające; tyłem się wdrożył w życie zależące od wybryków przyczyn, od woli ludzkiej niezawisłych. Dobra to szkoła była dla mnie, niecierpliwego z natury, lubiącego prędko osiągać cel mych dążeń. Czasu nie traciłem: z przezorności zabrałem z sobą wszystkie książki, jakie nie wielkim kosztem nabyć można było w Norwegii, ćwiczyłem się szczególnie w języku angielskim, poznałem, że łatwiej nim mówić jak go zrozumieć z ust Anglików, którzy wyrobili sobie na dzi-

wne jakieś kopyto organ mowy tak, że głos w nich nie z piersi, ale z jakiejś w głowie wydrążonej jamy zdaje się pochodzić. Nie jestto porównanie przesadzone weale: nie dosyć jest mówić po angielsku, trzeba jeszcze angielskim sposobem umieć głos wydobywać i łamać.

Mówiąc o wokalizacji, muszę kilkoma słowami wspomnieć o młodym niedźwiedziu, którego wzięto z sobą z Laponii. Koza dalekarlijska nabyta w Drontheim karmiła go swém mlekiem, sternik zaś okrętowy, który nie pojmował istności bez spirytualizmu, poił go rumem przepalonym z miodem. Młody Marcin przepadał się za tym rodzajem krupniku, który go widocznie rozweselał i do najśmieszniejszych tonów i działań pobudzał. Mruczał z roskoszy tarzając się po ziemi, lub téż świstał z wesołości, gestykulując z zręcznością kota swemi przednimi łapami. Potém zaś zasypiał i chrapał jak człowiek. Pocziwa matka polubiła swego wychowanka, nie odstępowała go ani na chwilę. Niepokoił ją zawsze długi sen Marcina. Koza bęczała litośnie, aby przebudzić niedźwiedzia, a ten czuły syn północy, ocknąwszy się ze snu, bił swą mamkę po pysku, mruczał groźnie i ułożywszy się wygodnie, spał dalej aż do zupełnego wytrzeźwienia się.

Z kapitanem ciągle w najlepszej żyliśmy harmonii: często po kilka godzin przesiadywał przy mym stoliku i udział brał serdeczny w mych pracach. Prosta ta, ale szlachetna i pocziwa dusza, pojmowała z bystrością godną zastanowienia wszystko co było piękném i pożyteczném. Pomiędzy książkami memi był jeden egzemplarz wyborczego wydania włoskiego: „Orlando furioso”. Tekst jego przeplatany winietami i wizerunkami na miedzi odbitemi, rysunek ich poprawny, cieniowanie naturalne, wpadły zaraz w oczy naszemu żeglarzowi. Napatrzeć się nie mógł i wziął się, nie znając nic rysunku, do kopiowania wizerunków. Zrazu nie udawały się kopie, ale to nie zrażało cierpliwości, powtarzał swą pracę 10, 20, 30 razy, trawił na niej godziny przeznaczone do spoczynku; nie usilności jego pokonać nie było w stanie, próbował tak długo, aż istotnie osiągnął owoce godne największego zadziwienia: kopie wyrównywały oryginałom.

Ileż to razy w mém życiu, widząc tylko istności trawiących się bez powołania, niszczących się w beczynno-

ści, psujących się w tym niegodziwym labiryncie myśli wzbudzanych nienawiścią, w którym nieochybnie istota ludzka, nie umiejąca sobie stworzyć zatrudnienia, zabłąkać się musi: ileż to razy, mówię, w mém życiu miałem sposobność przypomnieć sobie rysunki poczciwego kapitana i ileż to razy musiałem wyznać z rozrzewnieniem w sercu, że jest w siłach ludzkich skupionych w jedno ogniisko moc niezmierna, a w dopięciu do celu niemi takie zadowolenie, jakie żadnym pieniądzem kupić sobie nie można.

Tyle żywiołów do szczęścia, tyle zasobów do spokojnej przyszłości posiadamy w młodym wieku, a użyć ich nie umiemy; owszem, wyrzekamy się ich swawolnie, a przyszłość naszą, szczęście i honor lat podeszłych wolimy powierzać jakimś nadziejom sztucznym, wymyślonym przez marzycieli. Powierzamy się jak ślepi dumie i uporowi półbożków prowadzących nas w przepaść, i sami nie jednego, co pracował całe życie w zawodzie światu pożytecznym, w nią wciągamy.

Nareszcie brzegi Anglii zaczęły się wydobywać z poza mgły gęstej, już i zapach węgla zalatywał powiewem. Pilot czuwający przy ujściu do Tamizy już dobiega, już jest na pokładzie, wita się z kolegą. Nasz Anglik kiwnął do nas głową, powiedział »Good bye« i wskoczył w odbijającą łódź.

Na tém zimném pożegnaniu skończyła się nasza znajomość z towarzyszem tylu rozmaitych przygód.

Z przyplływem morskim biegliśmy szybko ku ujściu Tamizy, wymijali mielizny, skały, statki krążące, na kotwicy stojące, na piaskach osiadłe i w morzu pogrążone, wskazywane wierzchołkami masztów po nad fale wystającymi.

Coraz to nowe sceny, coraz nowe zjawiska. Przesuwały się przed zdumiałemi oczyma jak w latarni czarnoksięskiej pyszne miasta i wsie, piękne pałace, nadobne domy wiejskie, łąki jaskrem umajone, nieprzejrzone lasy masztów, okręty wojenne na straży stojące, groźne w swój spokojności marsowój, w swój powadze, wiedzą nieprzewyciężoności nabytėj; nareszcie statki parowe płasające z fali na fale przy odgłosie orkiestry umieszczonej na pokładzie, z damami eleganckimi na wzniesionėj jego części.

Ah nadobne córki Albionu! jakże piękna, czarująca płeć lecia waszego i kolor kędziorów unoszonych powiewem wiatru! Wdzięczny uśmiech, zdobiący wasze niewinne, a jednakże pełne duszy usta, serdeczne znajdował we mnie echo, wyznam, że już mniej tęskniłem do scen dzikiej natury; już mnie ludzie zaczął przedsiónek rokoszy życia cywilizowanego. Ale sobie wybaczam niestałość gustu,—byłem wtenczas młodym, od widoku dam europejskich przez tyle miesięcy odwykłym, a Angielki istotnie tak urocze! Zresztą w każdym położeniu życia szukać i wynajdywać jego rokosze, to przecież mądrość prawdziwa!

Wtém wołają na nas: »stop!« co znaczy: stój! po polsku, Dobiega długa łódź, a na niej do dziesięciu osób, jednostajnie przybranych w granatowe surduty i okrągłe kapelusze, czarném woskowanym płótnem pokryte; wskakują na pokład i nie mówiąc, rozbiegają się po nim, zapadają się jak nórki we wszystkie otwory prowadzące do kajut i spodu okrętu, otwierają wszystkie drzwiczki i kryjówki. Byli to urzędnicy celni Wielkiej Brytanii, która handlem swym silnie się opiekuje i kontrabandy nienawidzi. Nie znalazłszy żadnego towaru nie objętego świadectwem konsula, odbiegli zostawiwszy dwóch urzędników do pilnowania w kajucie; ci wydobyli z tłumoczków swych sprzęty jakieś blaszane i lampkę spirytusową, i wzięli się, nie tracąc ani jednej chwili, do sporządzenia narodowego bifsztyku, bez którego nie ma dla Anglika ani szczęścia, ani przyjemności na lądzie i na morzu, w dzień i w nocy, teraz i w godzinę śmierci.

Jednakże przyплыw morza, niosący nas na owych wodach Tamizy, słabnął ciągle i ustał nareszcie zupełnie, kiedyśmy się znaleźli na wysokości miasta Woolwich. Zrzuciliśmy kotwicę, inaczej bowiem pęd odpływających wód byłby nas zaniósł napowrót. Tak blisko będąc lądu, życzyłem sobie wysiąść na brzeg jego.

»Właściwie to nie wolno, mówił mi kapitan, urzędnicy celni zabronić nam mogą, ale ja wyślę do nich sternika z rozkazem, żeby ich upoił, i spodziewam się, że wkrótce będziemy mogli ująć baczości argusów.« Tak się też stało: wódka duńska pokonała czynność Anglii, a my dalej do Woolwich już zmierzchem. Pan Delcourt nam towarzyszył w najpiękniejszym swym stroju.

Miasto Woolwich, założone przez Henryka VIII., liczy 30,000 mieszkańców, ważną swą artylerją i artylerzystami, których jeszcze po dziś dzień, wiem o tém bardzo dobrze, nielitościwą karzą chłostą za najmniejsze przekroczenie przeciw subordynacyi, pomimo »Magna charta«, »Habeas corpus« i innych w muzeach przechowywanych ciekawych pergaminów (*). Dla mnie Woolwich bardzo ważny, w nim pierwszy raz piłem porter angielski na angielskiej ziemi, gorszy od tego, którym kosztował w knajpach polskich. W nim także po pierwszy raz podziwiałem oświetlenie gazem, aż do chwili, kiedy zasmolony jakiś jegomość przyszedł o samą jedenaśmiej godzinie do tawerny z kruczkim w rękę, zakręcił nim zamek umieszczony w rurce i pogrążył nas nagle w ciemności, życząc dobrej nocy wszystkim gentlemanom.

Wyszliśmy na ulicę i tu dopiero rozpoczęła się scena, dająca miastu Woolwich prawo obywatelstwa w mych wspomnieniach. Dwóch Anglików, pijących z sobą razem cały wieczór, poczęło się boksować najserdeczniej, wyszedłszy z tawerny. Całe towarzystwo obstało w milczeniu bawiących się sposobem narodowym przyjaciół. Ale czuwała Opatrzność: przybiegła w postaci stróża nocnego z pałeczką w rękę i poprosiła niespokojnych do kozy. Zrazu opierali się zaproszeni, ale widzowie, przypatrzwszy się pałeczce z bliska, i ujrawszy herb Wielkiej Brytanii na niej wymalowany, pomogli stróżowi, wzięli pod pachy zapaśników i zaprowadzili do szeryfa. Takie jest poszanowanie prawa u Anglików! Zbudowani widokiem tego zdarzenia, świadczącego o wyborném duchu i porządku obywateli miasta Woolwich, powróciliśmy na okręt.

Nazajutrz rano budzi mnie łoskot na pokładzie: wybiegam czémprędzej; właśnie spuszczają kotwicę, jesteśmy na przedmieściu Londynu w ścieśnioném korycie Tamizy, bijącym swemi mętnymi wodami o brudne brzegi obudowane

(*) W roku 1844 zniesiono na sprężyste reklamacye, kilku szlacheckich członków parlamentu, w wojsku angielskiem, karę cielesną. Ale ją przywrócić musiano w dwa lata potem na usilne prośby samegoż wojska. Anglik choć tak dumny z przyrody, woli być chłostanym jak rozstrzelanym, a znosząc batogi, musiano naznaczyć karę śmierci na mnóstwo przypadków, na które przedtém chłosta wystarczała.

(Przypisek autora w roku 1852.)

wysokimi domami, noszącymi sążniste czarne napisy nazwisk domów handlowych, magazynów i fabryk.

Niezdolne wyziewy węgla kamiennego wstrzymane mgłą w atmosferze, blade jak szmata słońce, nierzucające żadnych promieni, turkot maszyn parowych wyrabiających Bóg wie jakie towary, zgiełk i wrzawa, uderzają mnie nieprzyjemnie. Nieprzygotowanemu na to wrażenie spleen wtargnął całą swą siłą w serce i ogarnął duszę grubym kirem smutku. Pojąłem, że się skończył ustęp najpiękniejszy życia mego, że po walce z przyrodą nastąpi walka z cywilizacją, uczułem trwogę, zadrżałem. Kapitan, choć zatrudniony, choć go pełno było wszędzie, spostrzegł mnie skulonego w miejscu, gdzie najmniej mogłem zawadzać, przyszedł do mnie i spojrzawszy w twarz powiedział: »Nie obawiaj się pan, znajdziesz wszędzie przyjaciół.«—»Nie wiem czy ich tak łatwo znajdę tutaj,« odpowiedziałem; »tu w tym kraju wszystko zdaje się tak oziębłe, wszystko korzystaniem z każdej chwili życia tak skwapliwie zatrudnione, że trudno, żeby człowiek nieodznaczający się bardzo, sięgnąć mógł na się oczy bliźniego. Przewiduję ja dobrze przyjacielu, że mi nie raz będzie tęskno do Norwegii i do ciebie, synu niepopsutej natury.«

Zem się nie wiele mylił, wykaże się później. Aby wysiąść na ląd z rzeczami, trzeba było przewieźć się w towarzystwie urzędnika celnego przez komorę, o milę prawie od miejsca, w którym okręt stał na kotwicy, oddaloną; puściliśmy się z p. Delcourt w tę podróż. Naczelnik komory odmówił przejścia książkom moim, nawet i lekarskim, jako niedrukowanym w Anglii; ale natomiast, aby mnie pocieszyć zapewne, umiał mi wpakować egzemplarz oprowadziciela po Londynie kosztujący złp. 12. Pan Delcourt, mający czynność w inném biurze, powrócił z niego także tym nabytkiem opatrzony. Pokazuje się, że i komory celne umieją wspierać autorów ojczystych w potrzebie.

Teraz jesteśmy nareszcie na bruku londyńskim, składamy tymczasowo rzeczy w hotelu »pod kotwicą i podkową« leżącym pod cytadelą, zwaną »Tower of London«. Nie tracąc ani chwili czasu. Spieszymy przypatrzeć się z bliska temu interesującemu pomnikowi czasów odległych, dawniej siedzibie królów, w której nie jeden krwawy był ode-

grany dramat. Zewnątrz nie okazałego, kilka nieregularnych kazamat z różnych czasów, kilkanaście domów, tu i owdzie baszty, dwie wyższe wieże, wszystkie otoczone murem niewysokim (na nim działa do sałwy) i rowem nie głębokim. Spodziewając się znaleźć wewnątrz coś ciekawego, weszliśmy po zwiedzionym moście do bramy, której pilnowała warta. Nikt nam tego nie bronił, w bramie dopiero wyszedł na nasze spotkanie odźwierny i spytał, czy pragniemy zwiedzić ciekawości Toweru.—»Właśnieśmy po to przyszli.« — »Bardzo dobrze, służę panom, tylko pójdę po klucze.« Przeszedł w istocie i oprowadził po pokojach, salach dawniej zamieszkałych przez panujących, po archiwach, bibliotekach. Dziwiło mnie, że więcej w tych miejscach nie znalazłem zabytków historycznych. Cicerone nasz nie umiał nam powiedzieć, gdzie dzieci Edwarda śmierć przedwczesną znalazły, ale nie zapomniał żądać od każdego z nas po szylingu za tę pierwszą stację. »Wypadałoby panom zwiedzić skarbiec królewski: jest w nim jeszcze korona Wilhelma Zwycięzcy, berło Roberta Bruce, miecz Hengista.« — »Dobrze idźmy do skarbcu.« — »Zaraz panom służę, tylko poproszę dwóch gentlemanów, którzy będą mieli szczęście towarzyszyć panom.« Wrócił niebawem nasz Cicerone, wiodąc za sobą dwóch pajaców grubych i tłustych, uzbrojonych w halabardy i przybranych, na sposób waleta czerwienego, w baretę z galonami, w krochmalone fryzy, w heroldowskie jakieś opończe z herbami niezmiernymi, haftowanymi na piersiach i plecach, w trykoty obcisłe i niskie ciżmy. Tym rycerzom z czasów przedpotopowych powierzona jest straż Toweru, zapewne dla wzbudzenia większej ciekawości zwiedzania go. Trabanci nie spuszczały nas ani na chwilę z oka podczas naszej wizyty w skarbcu, w którym większa część kosztowności leżała za kratami, dlatego, mówią, żeby publiczność nie poznała się na prawdziwej wartości pewnych brylantów i szmaragdów bajecznej ceny. Nie przeczę, żeby było tam mnóstwo antyków, ale najstarsze nie sięgały więcej jak IV. wieku. Korona Wilhelma Zwycięzcy, berło Roberta Bruce i miecz Hengista jakoś przypadkiem nie znajdowały się w skarbcu. Cicerone zapewniał, że były u złotnika w reperacyi i żądał od nas za tę drugą stację po dwa szylingi, dodał nawet, że ci gentlemani mają prawo do pewnego

duseru z naszej strony. »Jakto, do tysiąca kaduków! krzyknął p. Delcourt, płacić im za to, żeśmy ich widzieli? Do tego stopnia znowu nie są ani zabawni, ani ciekawi ci panowie.« — »Nie za to panie, tylko za to, że panów pilnowali podczas wizyty w skarbcu, gdzie tyle jest bogactw, tam łatwo wpaść w pokuszenie, a pan wie, że w Anglii za kradzież wieszają« odpowiedział Cicerone z najzimniejszą krwią w świecie. Pan Delcourt nie dowierzał swym uszom, kazał sobie powtórzyć odpowiedź. Widziałem jak zbladł ze złości, a ja nie chcąc, aby do scen jakich nieprzyjemnych przyszło, spytałem się:—»Zapewne za tak ważną usługę nam oddaną nagroda powinna być w stosunku wartości życia naszego?« —»Oczywiście takby powinno być, ale szyling każdemu z panów wystarczy.« — Zapłaciwszy za to, żeśmy nie zastrzyli na powieszenie, uciekaliśmy czémprędzej z zdradzieckiej cytadeli, gdy nam zastępuje drogę jakiś inny jegomość i zaprasza do otwartego już arsenału. Zwabieni widokiem niezmiernego składu broni zaczepnej i odpornej, jakimi od niepamiętnych czasów ludzie starali się unikać śmierci lub zadawać ją, weszliśmy do arsenału. Zbroje i ryszunki wojenne rycerzy wstawionych w dziejach Anglii i Szkocyi, królów bohaterów, były tu przechowane w największym porządku. Było nawet kilkanaście koni drewnianych wielkości naturalnej, pokrytych zbroją i ryszunkiem, na nich rycerze cali żelazem okryci; mnóstwo dział niezmiernego kalibru najpiękniej dętowanych, chorągwi, proporców i tysiące innych trofeów zdobytych na różnych punktach ziemi, na Indyanach i Francuzach, na Tippoo Saibie i Napoleonie; widok ten kosztował szylinga.

»Panowie jeszcze nie byli w krwawém muzeum? tego nie można pominąć; nigdzie panowie nie zobaczycie nic podobnego.«—Prowadzą nas do sali, której wszystkie ściany okryte były sprzętami, jakie w różnych częściach świata cywilizacya wymyśliła na zadawanie tortur i kary śmierci. Od najmniejszych szczypek wyrrywających najdokładniej paznogie, aż do koła łamiącego brutalsko kości pacjenta, wszystko było w najprzykładniejszym, najlogicznijszym porządku. Tu można łatwo było śledzić postęp, w jakim się rozwijał rozum ludzki.

Na jednym końcu sali stało arcydzieło sztuki torturycznej: maszyna niezmierna, którą Filip II. wysłał z Armiadą na zwalczenie Anglii i nawrócenie jej do katolicyzmu, a która wraz z Armiadą dostała się w ręce Anglików. Maszyna ta niezmiernie skomplikowana, naszpikowana szczypeczykami, kruczkami, śrubami, kleszczami, halsztukami żelaznymi, kolcami i nożyczkami, tak była urządzona, że jedną obracając korbą, można było najwygodniej bez męczenia się szczypać, kasać, krajać, śrubować, rwać, łamać, wyciągać, dusić, parzyć, palić, kłuć i mordować dwunastu heretyków od razu.

Bóg nie dozwolił, aby ten wymysł fanatyzmu skalał dzieje świata swym użytkiem.

Cześć ostatnia muzeum składała się z gabinetu, gdzie przechowują instrumenta, które już praktyczność swą okazały, to jest z kilkunastu mieczy i toporów, któremi ludzie historyczni traceni byli. W miejscu oświeconém skąpo światłem, przez niebieskie gotyckie okna przedzierającym się, stał kirem okryty stół, na nim trzy pnie czarnym sukniem powleczone, na każdym pniu topór z ostrzem rdzą okrytym, nad niemi na murze trzy napisy: »Mary Stuart, Anna Boleyn, Jane Grey.« Okropny, smutny, serce rozrywający widok! Tyle rozumu, piękności i młodości toporem kata zniszczonych. Losie! nicże cię przebłagać nie potrafi? Żal mi serce ścisnął, wybiegłem zapłaciwszy niezbytego szylinga. Myślałem, że na tém koniec, ale jeszcze nie; jeszcze nam pozostawała do zwiedzenia menażerya Toweru, godła, jak się wyraził oprowadzający nas Anglik, potęgi Wielkiej Brytanii: kilka lwów hektycznych, kilka wychudłych tygrysów i lampartów i długi wąż z rodzaju *Boa constrictor*; leżał on reprezentując mądrość, zwinięty bez ruchu i zdętwiały. Oto cała pompatycznym nazwiskiem przechwalona menażerya.

— »Jakos chude i mizerne wasze godła, nieodpowiadające potędze i wielkości waszego kraju,« mówię do eicersona.—»Prawda, że niekoniecznie dobrze wyglądają, ale same sobie winny, czemu nie przyciągają liczniejszej publiczności; one z tego tylko żyją co sobie same zarobią.« —»Wypadałoby obrócić na ich wyżywienie dochody pochodzące z owego muzeum, któreśmy właśnie zwiedzili; natu-

ralna rzecz, żeby drapieżne zwierzęta żywiły się wspomnieniami krwawemi ubiegłych czasów,« rzekłem dalej.

—»Wiele pan ma dowcipu, istotnie, tyle ile tygodniowy satyryk I dare say; ale bądźcie panowie łaskawi zapłacić po szylingu.«

Nasyciwszy się widokiem ciekawych rzeczy, chcieliśmy resztę szylingów pozostałych w kieszeni unieść i biegliśmy szybko ku bramie. Tu jeszcze wypada na nasze spotkanie odźwierny i prosi grzecznie, abyśmy raczyli wpisać nasze nazwiska do księgi sporządzonej dla znakomych gości odwiedzających Tower. Pan Delcourt, przeczuwając, że rzecz może się zakończyć tragicznie stratą jeszcze jednego szylinga, udał że nie słyszy i poszedł dalej, ja zaś jeszcze zanadto nieśmiały, nie oparłem się grzecznym zaprosinom, wpisałem me nazwisko w poczet dostojnych podróżujących i za ten zaszczyt w przygotowaną na to wyraźnie rękę odźwiernego wcisnąłem szylinga, ale za to pozwoliłem sobie zrobić następujące pytanie. Wielki naród angielski, który posiada tyle bogactw i dumy, czemu nie pojmuję, że frymarczenie widokiem zabytków narodowych, spekulacya wrażenia krwawych przygód, jest prawdziwem poniżeniem historii, jest niegodnym jego wspaniałości i szlachetności? Na to pytanie odpowiedziałem sobie sam w dziesięć miesięcy później, kiedym nabrał jasnego wyobrażenia o przyczynie potęgi Anglii; odpowiedziałem sobie: że pewna arystokracya wszystko wie i wszystko czuje, tylko jednej rzeczy nie pojmuję, a to téj, że duch kupiecki jest jak ów wiatr szorstki, który powiewa na drzewa dojrzałemi owocami pokryte, koloru ich nie zmieni, smaku nie popsuje, tylko pozbawi tego delikatnego pyłku, téj barwy niewinności, której sprzedać nie można na funty.

Szczególne zrzędzenie losu! Tower of London, kolebka pierwszych mych zgryźliwych pojęć o wartości Anglików, Tower of London spłonął niespełna w miesiąc po mym przyjeździe do Londynu. Runął bastyon historyczny, znikło w płomieniach krwawe muzeum z narzędziami katowskimi, a godła Anglii dym udusił; pozostał jednakże skarbiec, arsenał i księgozbiór.

A tak od jednego razu Anglia straciła w pamiątkach narodowych kapitał, przynoszący przynajmniej 200,000 złp. rocznej intryty.

Tower of London odbudowano jednakże z wielką wspa-
niałością, i dziś wznoszą w nim mocne wały i baszty
i zbroją je w daleko sięgające armaty. Anglia bowiem oba-
wia się na prawdę gaskonad Ludwika Napoleona, i za-
wczasu się zabezpiecza przeciw możliwemu napadowi.

ROZDZIAŁ II.

CHARAKTERYSTYKA ANGLIKÓW.—DUMA ICH NARODOWA.—PROTEKCYA AMBASSADORÓW.—WYOBRAŻENIA O POTĘDZE POWIĘTE Z DUMY.—ODCZAROWANIE.—NĘDZA PAUPERYZMU ANGIELSKIEGO.—SOFISTYKA.—NIESUMIENNOŚĆ.—ZEPSUCIE.—POMOC ZE STRONY PRYWATNYCH DAWANA PROLETARYATOWI.—KAPITAN JENSEN.—PODARUNKI.—UCZTA.—PANNY NICOLSON KONTRABANDYERKI.—MARCIN I JEGO MAMKA ZDOBYWAJĄ PRAWO OBYWATELSTWA.—POŻEGNANIE.—INSTALLACYA.—SMUTNE MYŚLI.—SPACER.—LATARNIK.—RESTAURACYA AKADEMICKA.—STAN CHIRURGII W ANGLII.

Nie jednego poznałem Anglika, podczas pobytu mego w Prusach Wschodnich. Żaden z nich nie zachwyił mnie serdecznością lub przynajmniej nadobnością w obejściu się, tych bowiem przymiotów ani znają Anglicy, ani też chcą posiadać; ani też żaden mnie nie oczarował dowcipem lub głębokością rozumu (bo to byli po największej części negocjanci i spekulanci, przywykli do ciągnięcia materyalnych korzyści z całego zasobu umysłowego, którym rozporządzali); ale jedna cnota wspólną była wszystkim tym wyspiarzom, rażąca dla wielu, dla wielu niewygodna, ale we mnie wielkie wzbudzająca poszanowanie.

Tą cnotą była duma narodowa, do tego stopnia wygórowana w wszystkich Anglikach, że się stała prawie obrażającą dla innych narodowości.

Syn Albionu musiał nabrać wysokiego wyobrażenia o swęj narodowęj wartości, już dlatego samego, że podróżując za granicę, w jakimkolwiek bądź kraju, jest szanowanym i oszczędzonym przez władze cywilne i wojskowe, przed wszystkimi innemi narodowcami, a mianowicie przed wiecznymi rywalami Anglików, przed Francuzami, których jakoś bardzo mało cenią władze zagraniczne, pomimo wszystkich rodomontad, gróźb, odwoływań się do

ambassadorów i konsulów. Dygnitarze ci nie wywierają bardzo dobroczynnego wpływu na losy podróżującego Francuza, dlatego, że ich położenie bardzo niestałe, że sami najczęściej są w podróży z jednej stolicy do drugiej i że ambassadorami owymi, koczującymi najczęściej, zostają wielcy ludzie do innych tylko rzeczy zdadni lub niezdatni. Znane są koleje i losy owego wielkiego profesora retoryki, który zostawszy ambassadorem w Wielkiej Brytanii i nie postępując za przyjętym godłem: »recta linea brevissima«, dał, nie wiedząc o tém, czterem narodom sprzymierzyć się przeciw swemu krajowi. Odwołują go i za karę robią pierwszym ministrem, a on się mści, wynajdując system: »enriches-vous«, o którym inną razą powiemy.

Innego zrobili ambassadorem, dlatego, że zanadto miał talentów na dyrektora poczty.

Niedawno jeszcze innego wielkiego człowieka zrobili ambassadorem dlatego, że nie był zdatnym na podoficera huzarów; tak przynajmniej utrzymywał mój przyjaciel T. K., który był jego kapitanem.

Wnioskując z dumy narodowej Anglików, nieraz mówiłem do siebie, że Anglia musi być krajem bardzo potężnym, mądrym i szczęśliwym. I dlatego też doń dążyłem z taką ciekawością, że jój przytłumić nie mogło nic, co o samolubstwie i przesadach angielskich opowiadali: Byron, Shelley i Lytton Bulwer.

Jestem tedy w tej upragnionej Anglii, w samym jój stołecznym mieście, w samym sercu stołecznego miasta, w City, i teraz sprawdzić mogę zdanie Anglików i cudzoziemców chwalejących i ganiących Anglię.

Zapuszczam się w głąb serca Anglii, w ciasne poboczne ulice, gdzie bogaci nie mieszkają, gdzie tylko ubodzy przytułek znajdują.— Ah! jakież to straszne siedliska nędzy, nieczystości i zepsucia! wyobrażenia nie miałem, żeby coś podobnego istniało; uważałem bowiem za przesadzone wszystkie owe opisy nędzy londyńskiej; serce me jeszcze nie przypuszczało, żeby człowiek był w stanie znieść tak ohydny, poniżającą nędzę, bez zbrzydzenia i wydarcia sobie życia; żeby człowiek był w stanie znieść widok takiej nędzy w swym bliźnim, bez wyzucia się z ostatniego grosza dla ulżenia jój choć chwilowego i choć jednemu tylko jestestwu.

Nędza nie była dla mnie, przyzwyczajonego, jako lekarza, wstępować do najbiedniejszych chat chorego, niezwykłym widokiem. We własnym nawet kraju, nieurodzaje, długie i ciężkie mrozy, raz nawet przechód szarańczy, sprowadzały przechodnią biedę, dotkliwą bardzo dla ludzi, ale też ustępującą szybko rozporządzeniom władz i dobroczynności prywatnej, zawsze tak żywej i szczodrej w naszym kraju.

W Prusach Wschodnich w r. 1835., głód sprowadzonym został nieurodzajami i doszedł tego stopnia, że ludzie żyli chlebem z otrąb i miało tartęj kory olszowej. Dobroczynność prywatna pozostawiła rządowi prawie całą zastługę w ulżeniu potrzebom.

Wiemy o tém, że Niemcy w ogólności, a Prusacy w szczególności, tak szczerze i tkliwie mają przywiązanie do swęj posiadłości, że nie łatwo im się rozstać, bez wielkiej boleści serca, choć z najmniejszą jęj częstką.

W Królewcu odwiedzałem jako praktykant kliniczny wielu biednych, których choroba ojca rodziny lub najczymniejszego jęj członka, pozbawiła chwilowo sposobu do życia; w takim razie udawano się do zakładów publicznej dobroczynności, do polikliniki, po lekarzy i lekarstwa,— do innych zakładów po pokarm; cierpiano, lecz znajdowano ulgę; słowem, rażącej nędzy nie widziałem w Prusach, ani w Danii, ni nawet w biednej Norwegii, tak ubogiej w grunta do uprawy zdolne.

Lecz w dumnym Albionie, którego okręta krążą po wszystkich morzach z towarami własnego kraju a złotem obcych; którego magnaci, po części bogatsi jak sama królowa, siłą się na wynajdywanie sobie potrzeb coraz nowych dla strwonienia dochodów; którego grunt tak dobrze uprawny i żyzny; lecz w dumnym Albionie, mówię, nędza doszła do tego stopnia wysokości w licznęj klassie towarzystwa, do jakiego tylko dojść może w człowieku, zatruwszy w nim wszystko, prócz resztek życia potrzebnych mu do przedstawienia na sobie tego żywego obrazu nędzy, zaczynającęj się już z życiem, i kończącęj się dopiero z życiem, nędzy bez początku i końca, bez litości i bez lekarstwa.

Tu, w tych ciasnych ulicach, nieopodal od kościoła ś. Pawła, od Temple-Bar, od Westminsteru, od rezydencyj królewskich, a nawet od pyszniejszych daleko pałaców

szlachty angielskiej, mieszkają ludzie, którzy szczęścia i radości nigdy nie znali nawet z podania od własnych rodzin, ludzie bledzi, z dzikiem spojrzeniem przesuający się w milczeniu jak cienie; młode dziewczyny, często ładne, ale nie wiedzące nawet o tém i wlekące się z zępieniem czołem i ciałem za ledwie pokrytém łachmanami; dzieci nigdy nie igrające, nie gaworzące nigdy pomiędzy sobą, gdyż wielka bieda zabija w samym zarodzie nawet radość dzieciennego wieku. Nie, to nie są dzieci, to są drobni ludzie, którzy już doświadczyli wszystkich skutków braku, głodu, zimna i znużenia.

Przeistąmy na tych kilku zarysach. Nie chcemy dobijać się o chwałę Vellasqueza i przedstawiać w całej prawdziwości i nagości ohydneho obrazu nędzy ludzkiej, jaka toczy najludniejszą, najdumniejszą stolicę Europy.

O Angliku! możesz być dumnym z twój narodowości zewnątrz kraju, gdzie cię nie dochodzi jęk rozpaczliwych zgłodniałych twych rodaków; lecz nie bądź nim w własnym kraju, w własnej twój stolicy, gdzie nędza tak jest okropną i tém więcej rażącą swym widokiem, im bliżej znajduje się obok pałaców i steku zbytków najwyuzdańszych.

Nie winię ja ani arystokracji angielskiej, ani żadnego Anglika w szczególności, o stan ten smutny ich kraju. Lecz także z drugiej strony pojąć nie mogę, jak ludzie, prawiący tyle o religii i moralności, zadzierać mogą tak wysoko nosa, znając co się u nich dzieje i wiedząc, że nic podobnego w żadnym innym nie znajdują kraju. Oni płacą nałożone na nich *poortaxes*, ale nie dbają o to, czy one wystarczają lub nie na zagładę gangreny, nurtującej stopy tego pysznego, złotego, laurem uwieńczonego posagu, który zowią Brytania.

Ja w położeniu Anglika mniej byłbym dumnym z posiadania Indyów, z zwycięstw Malboruga, Nelsona i Wellingtona, z dzieł Szekspira i Milтона, z poprawności rasy końskiej, z rezultatów towarzystwa biblijnego,—a większegobym, zdaje mi się, doznawał upokorzenia z stanu tak opłakanego rodaków-bliźnich.

Ale Anglik inaczej czuje i rozumuje. »Stan ten,« mówi on, »jest koniecznie potrzebnym do uzupełnienia sto-

pni téj ogromnej drabiny towarzyskiej, która prowadzi z nieości powoli i stopniowo aż do najwyższego szczebla arystokracji. Nie nasza w tém wina, że istnieją jestestwa organiczne nie posiadające ani głowy, ani nóg, ani innych nam ludziom potrzebnych organów. Nie nasza w tém wina, że są ludzie nie posiadający ani wielkich sił, ani zdolności, ani pieniędzy, ani szczęścia. Uśmierzać ich niedolę jest w naszej mocy i to czynimy. Wykorzenie ją lub zapobiedz jej tworzeniu, to przechodzi nasze siły. Porywać się do tego, byłoby szaleństwem, myśleć o tém, niedorzecznością.«

I tak Anglicy znajdują dla sumienia swego przytułek w hegelańskim »was ist, ist vernünftig,« i nikt im nie zabroni być dumnymi z tego, co w ich kraju jest świetnym, pięknym i dobrém, a niesumienną sofistyką wygadać sobie z serca to, co w ich ojczyźnie jest nędznym, brzydkim i podłym.

Więc tedy koniecznym wynikiem i warunkiem wielkości i świetności Anglii, jest owe rozpasanie u mężczyzn, zepsucie u dziewczyn i ów cynizm u matek. Dziękuję za wielkość okupioną tak bolesnymi ofiarami!

A to wszystko dzieje się w obliczu téj dumnej szlachty, gorszącej swą opryskliwością, nieczułością i niesłychanym nigdzie zbytkiem.

Wyznać tu jednakże winienem, że me spostrzeżenia zebrane były lat temu dziesięć. Od tego czasu pojęcie poszanowania godności ludzkiej wiele miało zyskać w Anglii, a z niem i moralność ludzi. Oględna społeczność angielska, czując nareszcie całe niebezpieczeństwo swego położenia, zaczęła myśleć o lekarstwie na tak okropną chorobę, jaką jest pauperyzm tak liczny w jednym kraju. Bogaci poruszeni uczuciem własnego dobra, a może też jakim odcieniem litości, poczęli działać sprężysto, nie oglądając się na pomoc ze strony rządu, a pewni, że go wciągną swym przykładem na drogę zbawienia. I tego też dokazali w istocie. Ludzie stanu i rządu przyszli nareszcie w pomoc prywatnym, i wielkimi wysileniami wydzwignęli siebie samych i ludzkość upośledzoną na ciele i duszy z okropnej otchłani, grożącej upadkiem całemu społeczeństwu angielskiemu.

Dziś, mówią, ulice Londynu prawie oczyszczone z występku i nędzy; lud londyński już miał stracić ów złowrogi wyraz twarzy, który mnie tak raził, prawie przestraszał dziesięć lat temu. Na miejscu obdartych tłumów żebraczych i zgłodniałych dzieci, które niegdyś zalegały zaułki Londynu, spotkasz robotników porządnie ubranych, ze zdrową cerą i silnym ramieniem. Dzieciom aż do ósmego roku nie wolno pracować w fabrykach ani wchodzić do szynkowni. Nauczyły się pisać, czytać i rachować. Tak zapewnijają nowożytni turyści.

Rozpatrzywszy się w mieście dla ukształcenia sobie ogólnego z niego obrazu, dla obeznania się z osobliwościami obyczajów i przesądów miejscowych, co jest potrzebnym koniecznie dla cudzoziemca, nie lubiącego razić oczu krajowców przywyknieniami pochodzącymi albo z własnej narodowości, albo też z własnej osobistości; postanowiłem narzeczcie wstąpić odważnie i czynnie w to społeczeństwo angielskie i odnowić znajomości z dawnymi przyjaciółmi, których zdawało mi się, że tu mieć muszę, lubo nie znałem ich ani z nazwiska, ani z mieszkania.

Przez wszystkie te dni nie widziałem ani kapitana Jensen, ani żadnego z mych towarzyszków przygód norweskich. Już mi było tęskno do nich. Jednego rana, przy pogodniejszym niebie, pojechałem omnibusem aż do Mile-end, gdzie w bliskości kołysała się na falach Tamizy nasza fregata. Już była wyładowaną z towaru, korpus jej wystawał wysoko nad powierzchnią wody, a około niego na linach pozawieszani majtkowie, zatykali rozpadliny zgrzebianymi i młotkowali je przy odgłosie swych tak mi miłych marynarskich tonów:—»Ohé schmucke Pige, Ohé!« Krzyknąłem: »Kapitain an boord?« Wszystkie głowy zwróciły się ku mnie. »An boord, an boord!« krzyknęli wszyscy radośnie i jak pajaki windując się po linie, wskoczyli na pokład, z pokładu na łódź, której ledwie nie zatopili, i dalejże po doktora. »Jeszcze jeden dzień, rzecze mi markotno Jensen, byłbym mniemał, żeś pan zapomniał swych przyjaciół.« »Ani dziś, ani nigdy ciebie nie zapomnę, poczciwy przyjacielu. Korzystałem z pierwszej chwili zapału ciekawości dla rozpoznania się w nowym Babilonie. Jutro wyprowadzam się z City na West-end (zachodnią część miasta), o mi ę jeszcze dalej. Dziś przybyłem pożegnać się z to-

bę i twemi ludźmi i przepędzić dzień cały z wami. Tymczasem pozwól mi rozdać pomiędzy majtków małe upominki zawarte w tej pacce.« Dla każdego było coś do gustu i potrzeby: szarfy z wełny czerwonej, chustki na szyję podobne, kapelusze niskie lakierowane z szerokimi skrzydłami, para tuzinów wyłaczanych guzików; dla sternika dwie srebrne kotwice do przypięcia na kołnierzu spancerka mundurowego; dla kapitana bardzo ładna srebrna piszczałka z napisem wspominającym burzę, w której zatonął »Twende Brödere« i wynoszącym przytomność umysłu i mężstwo kapitana. Do tego dołączyłem dobrze zrobioną sylwetkę własnej osoby.

Serdeczne radosne przyjęcie małych mych upominków hojnie mi zapłaciło wydatek poniesiony. Kapitan szczególnie był dumny z swęj piszczałki. Chcąc mnie uczyć po marynarsku, nakazał ogólną fetę, wydał potrójną rację wódki. W mgnieniu oka okręt ubrał się we wszystkie flagi, majtkowie się umyli i w świąteczne ubiory przybrali, kapitanowie znajomi zostali zaproszeni, nawet i damy jakies znajome kapitana zjawiły się. Były to trzy córki dawnego kapitana marynarki, osiadłego w Londynie dla służenia swym rodakom za agenta kupieckiego i, jak się później przekonałem, także za umieszczającego kontrabandę. Kontrabanda bowiem, choć tak srogo zakazana w Anglii przez ten sam rząd, który ją zbrojną ręką w sposób oczywisty i prawa narodów kaleczący w Hiszpanii popiera, była i będzie na zawsze w modzie, pomimo wszelkich praw, ustaw i celników. Rzadko który kapitan wybiera się w drogę, żeby gdzie w kryjówce jakiejś, jemu tylko i budowniczemu okrętu znanęj, nie przechował jakiegoś artykułu srogo zakazanego, którego sprzedaż może sobie zapłacić koszta parę dni wesoło spędzonych. Przemycanie tytoniu jest bardzo korzystne; tytuń w Anglii niezmiernie drogi z przyczyny cła na nim ciężącego. Ten sam hamburski kanaster, który kosztuje w Anglii w handlu funt złp. 16, można dostać u przemycarzy za złp. 6, a przy tak wielkiej różnicy w cenie, pomimo niesłychanej trudności przemycania, jeszcze kontrabandziści dobrze wychodzą.

Prawo nie pozwala rewidować żadnej osoby płci żeńskiej, jeżeli jest *gentlewoman-like* (to jest w sposób damy) ubraną. Tak tedy ubiór jest w Anglii wielkim tytułem do sza-

cunku publicznego, tytułem przez prawo zagwarantowanym. Francuz mówi: *le style fait l'homme*, a Anglik: *the dress makes the man*, ubiór robi człowieka.

Zaden odźwierny angielski, otwierając drzwi pukającemu gościowi, nie spojrzy się w twarz jego, lecz raczej na suknie, a szczególnież buty, i wtenczas dopiero *annonsuje* do *parlouru*, to jest do pokoju konwersacyjnego, umieszczonego w domach angielskich na parterze: *there is a man* (tu jest człowiek), jeśli mu się ubiór nie podoba; lub: *there is a person* (tu jest osoba), jeśli mu się ubiór nie zupełnie podoba; lub: *there is a gentleman* (tu jest kawaler), jeśli ubiorowi nie ma do zarzucenia. Francuzki *gentil-homme* nie odpowiada angielskiemu *gentleman*. Słyszałem raz Anglika sprzeczzającego się z pewnym lordem i zarzucającego mu: *you are a nobleman, but not a gentleman*; co w tym sensie znaczyło: jesteś szlachcicem, lecz nie człowiekiem honoru.

Na drzwiach u jednego sławnego doktora znalazłem napis następujący: *No entrance unless for gentlemen*, co znaczy tyle: nie wchodzi, jeżeliś nie gentleman, czyli jeżeli nie jesteś dobrze ubrany.

To ubóstwianie ubioru u narodu tak poważnego, jest czémścis bardzo rażącym i niedorzeczném, ale z drugiej strony tak wkorzenioném w zwyczaj angielskie, że radzę każdemu podróżującemu poddać się mu ślepo, ubierać się nadzwyczajnie czysto lecz skromnie, nigdy w krzyczące kolory na sposób francuzki, tego bowiem także nie lubią odźwierni, i nigdy nie omieszkają *annonsować* gościa, przedstawiającego się z wąsami lub w chustee i kamizelce kolorowej: *there is a foreigner* lub *a frenchman*: jest tu cudzoziemiec lub Francuz. A któżby chętnie przy każdej sposobności, przy każdym kroku, słyszał się nazywanym *Francuzem*? widząc, że jeśli już nie wzbudzają nienawiści Anglików, wzbudzają zawsze ci sąsiedzi w najwyższym nawet stopniu ich nieuczynność, a nawet wzgardę.

Powracając do źródła, z kąd wypłynęła mała nasza rozprawa o ubiorze i jego wpływie na *respectability*, na szacowność człowieka, dodamy, że ładne duńskie kontrabandyerki, będąc ubrane jako damy w kapelusze aksamitne, burnusy jedwabne, rękawki chinchillowe i t. d., nie potrzebowaty lękać się indyskrecyi celników pilnujących okrętu

i brzegów Tamizy. Obładowały się tedy kilkunastu tuzinami rękawiczek duńskich, co znaczną im korzyść przyniosło, jeśli zważymy, że cło od jednego tuzina wynosi złp. 20.

Kwestya kontrabandy zatrudniała mnie nadzwyczajnie, przymuszony bowiem byłem nią wprowadzić na ziemię Wielkiej Brytanii Marcina niedźwiedzia i mamkę jego kozę. Dwa te indywidua, z którymi żadnym sposobem rozstać się nie chciałem, byłyby mnie od razu zrujnowały, gdybym je był chciał przeprowadzić przez *custom-house*, to jest przez komorę, z wszelkimi ceremoniami i za opłaceniem cła. Zwierzęta moje wcale nie dbały o te zaszczyty. Znalazły one w paniach Nicolson czułe protektorki: ofiarowały mi się przyjąc w swój dom Marcina, do ogrodu zaś Dziardelę, i opiekować się niemi aż do chwili, kiedy sam będę w stanie przyjąc je u siebie i umieścić wygodnie. Z wdzięcznością i radością przyjąłem tę ofiarę. Jakżeż bowiem miałem się wprowadzić do domu porządnego, w którym nająłem dwa pokoje meblowane, z niedźwiedziem i kozą? Nie chciałem obrażać drażliwego pojęcia Anglików o przyzwoitości i wolałem rozstać się aż do lepszych czasów z czworonożnemi towarzyszami podróży.

Zachodziła tylko trudność w przemyceniu ich. Kozą nie mogła udać że jest pieskiem, a niedźwiedź że jest kotkiem, i biedz za panami, jak gdyby nic. Majtkowie ofiarowali mi się iść na przebój i wprowadzić niewinnych towarzyszy przemocą. Na to, jak łatwo się domyślić, żadnym nie chciałem przystać sposobem. »Ja pana wydzwignę z kłopotu«, zawołał nareszcie radośnie sternik; »jeden z celników, który tu nas pilnują, sam będzie musiał przemycić towar. Już ja to zrobię, niech pan będzie spokojny. Dziś w wieczór niedźwiedź i koza będą mieszkańcami Anglii.« Wiedziałem z doświadczenia, że na tak bezwarunkowe zapewnienie sternika można było liczyć, i spokojnie czekałem wieczora, który przy partyi bostona nadszedł dość prędko. Nieustające wazy wina gorącego z korzeniami i cukrem, ułatwiły przepędzenie czasu.

Wtém nagle robi się rozruch, jakiś zgiełk niezmierny na statku; chłopak okrętowy wpada do kajuty struchlały. »Panie doktorze, pomagaj! jeden z celników zachorował, już i ducha oddaje.« W kajucie na przodzie okrętu leżał jeden celnik na ziemi, bład jak trup; drugi zaś, czerwony jak

ćwikła, krząta się około niego, lecz zaledwie ustać może na nogach. Sternik narzeka w niebogłosey: »To jest cholera i nie innego! wymioty, kurcze, zimno tak nagłe; ręczę, że za chwilę zsinieje cały, a wówczas bądź zdrow z nim i z nami wszystkimi. Panie doktorze, nieprawdaż? trzeba go wynieść na ląd; tutaj wyziewy z wody gnijącej, kołysanie okrętu jeszcze pomnaża nudności, a zresztą idzie nam też i o własną skórę. Ja nie chcę mieć żadnych styczności z cholerykami.« Tak powiedział sternik, a po cichu dodał mi: »upoilem go ową wódką emetykową, którąś pan mnie wyleczył, pan wiesz.« Drugi celnik zgodził się na przesłanie towarzysza na ląd do tuż bliskiego domu p. Nikolson, gdzie mu ofiarowano gościnność, tylko poleciłem dobrze otulić chorego, żeby go wiatr nie zawiał. Otulono go tedy płaszczami, dołożono kożę związaną i niedźwiadka, otoczono żaglem, związane i do łodzi wniesiono. Celnicy na brzegu poznali towarzysza i pozwolili przenieść go do domu, dziękując za troskliwość i żałując biedaka. Sternik towarzyszył. Stanąwszy w domu rzekł do celnika: »Niech się pan uspokoi, cholery pan nie ma, służyła tylko na przeniesienie ot tej kozy i owego niedźwidzia. Napij się z pół garnca wody letniej, a wkrótce za pomocą palca odzyskasz zdrowie i apetyt na dobrą kolację, która nas czeka na okręcie.« Podstęp udał się zupełnie, koza i niedźwiedź raz wprowadzone do domu angielskiego, zyskały prawo obywatelstwa; a celnik, choć się zżymał ze złości, nie śmiał wydawać sprawy, owszem błagał, aby ją w tajemnicy zatrzymano, nawet przed własnym kolegą.

Wróciliśmy wkrótce na pokład, uszczęśliwieni udaniem się wyprawy. Zagnalony, grałem bostona i piłem poncz przez wielką część nocy; resztę strawiłem w dawnym swym hamaku. Nazajutrz rano, przy wspólném śniadaniu, znalazłem kapitana niezwykle smutnym. Pytałem o przyczynę: »Pan nie przeczuwasz przyczyny mego smutku, rzecze mi ze wzruszeniem, gdyż nie przypuszczasz może, żeby człowiek prosty, prawie bez żadnego wychowania, umiał cenić dobrodziejstwo towarzystwa z człowiekiem wyższego oświecenia i martwić się jego stratą. A tak jest jednakże. Całe me życie widząc niedostateczność mego wychowania, a nie mogąc w zatrudnieniach mego stanu ani w dzikich barbarzyńskich jego zabawach zapomnieć, żem do czegoś lepszego

stworzony, pragnąłem mieć sposobność ćwiczenia zdolności, które w sobie odgadywałem i przeczuwałem. Tęskno mi było w chwilach wolnych, z zazdrośnym okiem patrzałem na książki zawierające skarby naukowe, a nieprzystępne dla mnie dlatego, że brak nauk przygotowawczych, brak bliższych znajomości ducha języków obcych, przedstawiał mi trudności niezwalzone w ich odgadnięciu. Tyle jednak pojmo wałem, że obcowanie dłuższe z osobą wyższego usposobienia, rady dobre, mogą mi wskazać sposoby wybrnięcia z labiryntu myśli, które mię tłoczyły, i wskazać źródła prowadzące najprostszą drogą do prawdy. Liczyłem wiele na traf szczęśliwy, na passażera jakiego uczonego a ludzkiego, któryby mógł i zechciał zająć się szczerze uporządkowaniem głowy tak chciwej wiedzy, a tak niesystematycznej jak moja. Błądząc po całym Bałtyku, Sundzie, Kategacie i morzu Północnym, najczęściej zdarzało mi się przewozić tylko kupców i kupezyków. Ci mało w rozmowy ze mną wchodzili, a jeżeli wchodzili, to tylko dla dowiedzenia się, jaki artykuł handlowy w jakim porcie najlepiej popłaca, ile cła za niego biorą, czy tanio żyć w tém mieście lub drogo w owém. Kilka razy także zdarzyło mi się przewozić akademików z Królewca lub z Greifswald. Ci po największej części lękali się burzy, chorowali okropnie, a wszedłszy w rozmowę naukową, tak uczono rozmawiali, że ich zrozumieć nie było można żadnym ludzkim sposobem. Jeden nawet, któremu się bliżej zwierzyłem z memi myślami i chęciami, powiedział mi bez ogródki, namyśliwszy się głęboko: »Słuchaj kapitanie: wierzaj mi, porzuć raz na zawsze to ubieganie się za wiadomościami, niepotrzebnymi ci do twego stanu i powołania. Uczonym już być nie możesz. To nie sposób. Tylko filozofia, psychologia, logika i retoryka prowadzą do uczoności; ty ich nie znasz, nie posiadasz nawet dróg, któremi do nich dojść można, to jest historii powszechnej a szczególnie starożytnej; bez niej i bez łaciny i greckiego języka nie wybieraj się w żadną uczoną ekspedycję, zostaniesz zawsze tylko u podnóża prawdy, łaknący i nieszczęśliwy; nie poznasz nigdy ani Kanta, ani Hegla, Szlegla i Feuerbacha, którzy posiadają klucze do prawdy. Pozostań przy twój bussoli i jeźdź z Królewca do Kopenhagi, ztąd do Hamburga, a w chwilach wolnych baw się, pij, graj i pal fajkę.« Słowa te ode-

brały mi na czas długi odwagę. Umyśliłem żyć tak jak i drudzy koledzy w dzikiej rozwiązłości i szumnych zabawach; ale nie zdołałem. Często mię coś ciągnęło siłą jakąś nieprzewycięzoną do samotności i rozmyślań, do książek i nauki. Skorom pana ujrzał w Kopenhadze, przeczulem, że będziesz dla mnie tém, czém jesteś, to jest mym dobrodziejem. W chwili poznania powziąłem przyjaźń i zaufanie, uczucia wzrastające w siły w miarę poznania się bliższego, a doszłe do najwyższego stopnia owęj pamiętnej chwili, kiedy cisza w powietrzu nie pozwalała kierować okrętem, kiedy huczące bałwany rozbijały się z jękiem o bliskie skały. Któż mógł był przewidzieć, że my unikniemy losu, któremu więcej jak sto statków uległo? Po uroczystym wyrazie twarzy pańskiej sposirzegłem, że najmniejszą nie łudzisz się nadzieją ocalenia; znałeś nasze położenie, tobie jednemu odkryć je śmiałem; nie drżącą lecz pewną ręką napisałeś nasz testament. Wyszedłeś potem na pokład i pogodnym czołem patrzałeś się ku wschodowi, rękę do niego wyciągnąłeś i jedną łzę uroniłeś, jedną tylko. Pojąłem, żeś się żegnał z ukochanym ci krajem. Cud nas ocalił; pół minuty później, a byłoby zapóźno; dotychczas żaden atom ciała naszego nie byłby pozostał w swym kształcie, ryby byłyby przetrawiły aż do naszych kości. Później dzieliliśmy razem wszystkie przygody, smutne i radosne, przez pół roku. Czas ci był drogim, umiałeś go użyć z wielkim pożytkiem dla cierpiących; a jednakże poświęcałeś go prawie codziennie godzin kilka dla mnie, dla mego oświecenia, dla wskazywania mi dróg okrzesańcia się z tych surowości, które rozum mój zalegały. Nie zrażała cię ani ma natretność, ani ma prostota, ani przywyknienia marynarskie; owszem, z twój twarzy, na której maluje się tak wyraźnie każde z twych przechodnich nawet uczuć, wyczytywałem radość wykwitającą z mych choć wolnych postępów w naukach elementarnych, w grammatyce i historyi. Zdołałeś wyrwać pasujący się umysł mój z ciasnych obrębów surowości, duszę mą czującą się na siłach ze szponów rozpaczyny wynikłej z niedowierzania własnemu rozumowi, z nieśmiałości i braku zachęty; a serce me wzniósłeś krzepiąc mnie przykładem własnego twego życia, to jest wiarą w Boga, wiarą w szlachetne uczucia. Nie jesteś mi krewnym, a byłeś więcej jak bratem, jesteś ojcem nowęj mój istności, którą dzięki tobie poj-

muję teraz; twórcą nowego losu, który, na zaszczyt tobie, przedsięwzię i dopnę tu; w mych piersiach mam pewność tego. I nie mamże być smutnym w chwili rozstania się z panem?» dodał blednąc z wzruszenia poczciwy Jens Jensen, (dawniejszy kapitan małych kursów marynarki kupieckiej, a dzisiejszy kapitan marynarki królewskiej duńskiej, ten sam, który się w bitwie pod Soeloe przeciw armii prusko-holsztyńskiej tak świetnie wstawił).

Odpowiedziałem w ten sposób: »Mnie się zdaje, kochany kapitanie, żeś w twój mowie nie nie przesadził, żeś szczerą powiedział prawdę; choć na honor dotychczas o tém ani razu nie pomyślałem, i choć sobie żadnej z tego nie robię zasługi. To, com dla ciebie uczynił, byłbym uczynił dla każdego człowieka dobrej woli, dobrego serca, i Boga proszę, aby mi podobnych tobie często nasyłał. Do wdzięczności żadnego sobie nie roszczę prawa, tyś mi twemi staraniami o me dobro, o wygody, wszystko w trójnasób zapłacił. Zapomnij nawet me nazwisko, tylko pamiętaj imię kraju, w którym się rodziłem, jeżeli kiedy spotkasz potrzebującego pomocy.... Spostrzegam, żeś wzbudził ambicję w twém sercu i przeczucie dopięcia jej celu. Nie będę ci prawił moralów, ani ostrzeżał, wierzę bowiem w uczciwość człowieka, który z dobrocią łączy odwagę i mężstwo, a żeś nie tchórz, to masz wyryte srebrnymi literami na twój piszczałkę. Dalej! jeszcze jedną butelkę Xeresu i żadnego babskiego rozczulenia, i mnie bowiem i tobie odwagi potrzeba przy rozstawaniu się z sobą. W tobie tracę przyjaciela czułego i silnego protektora. Tu mnie w Anglii nikt nie zna jeszcze. Anglicy mrożą swemi zimnemi pojęciami o wartości człowieka, a Angielki niezmiernie przyciągają swemi sentymentalnymi wyobrażeniami o wartości uczuć. Przewiduję Tantalskie cierpienia, a już nabytym zapalem zagradzam sobie drogę do rozumowania w sposób owego lisa z bajki Lafontaine: cierpkie winogrona, nie warto. — Dalej tedy, jeszcze jedna butelka xeresu, a potem bądź zdrow. Ty powracasz na to poczciwe morze, na którym tém łatwiej się utrzymać, im kto lżejszy; a ja biedny puścić się muszę bez bussoli, żagli i ballastu na to przewrotne morze, na którym tém łatwiej się utrzymać, im kto cięższy. Widzę, że tracę od jednego razu całą korzyść dawnego położenia. Ale niech żyją wszyscy poczciwi ludzie, którzy nie są tchórzami! i *vogue la galère.*«

Zostałem w najlepszym humorze podczas panowania butelki xeresu. Zadumałem się, jak Maryusz na ruinach Kartaginy, podczas pustoszenia butelki Kartaginy, a połykając *lacrimae Christi*, i mnie się na łyzy zebrało. Zdobyłem się na ostatnie wysilenie: przepelniony żalem uściskałem kapitana, sternika i majtków, przyplływem morza dojechałem łódką pod *Tower of London*, zabrałem swe rzeczy z hotelu pod kotwicą, i dorożką puściłem się z *City* przez *City road* na *Tottenham Court-road*, gdzie w bliskości kliniki londyńskiego uniwersytetu miałem najęte mieszkanie. Natłoku myśli, natłoku uczuć dręczących mnie, starałem się pozbyć instalowaniem się w nowej eleganckiej siedzibie. Ale ileż to czasu wymagało ustawienie kilkudziesięciu książek nabytych tu i owdzie w Norwegii, instrumentów i apteczki uratowanej z tonącego okrętu, kilku rzeczy sprawionych od powrotu mego do tak nazwanego świata ucywilizowanego?

Chciałem czytać; nie sposób. Myśli wyczytywane wplatały się słowami tylko w wątek myśli smutnych, które mi nasuwały wrażenia ostatnich chwil spędzonych z przyjacielem, i spadały z niego jak mdłe pyły. Pozwoliłem sobie, dla ochłonięcia z wzruszeń, zrobić jeszcze jedną z ulubionych mi wycieczek bez oznaczonego celu. Szczęście zaprowadziło mnie do tuż bliskiego miłego ogrodu zwanego *Regents park*; w nim znajduje się owa sławna menażerya, której tą razą nie zwiedziłem; koło niego na prawo *Collosseum*; za nim kolej żelazna prowadząca do *Birmingham*, ciągnie się u stóp pagórka, na którym leży wieś *Hampstead*, właściwie tylko przedmieście Londynu. Na lewo zaś piękny okrągły pagórek z którego szczytu zachwycający widok na cały ogromny Londyn z strony południa, z północy zaś widok na czyste zielone pole. Zadrzałem z radości, widząc, że przecież można znaleźć gdzie koniec tego miasta, które mnie już swą nieskończonością raziło. Bogu dzięki! *Primrose-hill* (tak się zwał pagórek) ciebie biore w posiadłość, ty będziesz celem mych wycieczek, powiernikiem mych kłopotów i żalów, które przewiduję, mych tajemnic i myśli. I tak było w istocie: zdawało się, że część przyjaźni dla Jensena przeniósł na ten martwy pagórek. Często do niego tęskniłem jak do czegoś żywego, kiedy zatrudnienia nie pozwalały mi oddalać się z domu. Usiadłem sobie na ziemi i znów wróciłem myślą do scen mych morskich, tak ważną epokę w mém życiu stano-

wiących, niezatartych w mej pamięci. Zdaje mi się, że wody oceanu splukały z mych myśli i uczuć wszystko, co nie było czystem, i że mnie pozostawiły odrodzonego. Czém mogłem, pytałem sam siebie, czém mogłem ja, który przecież jestem jeszcze bardzo młodym, sprawić wrażenie tak silne na kapitanie Jensen, starszym ode mnie o dwa lata, pracującym na siebie od tak dawna, i stosunkowo daleko dojrzalszym ode mnie, gdyż już od lat kilku powierzają mu dowództwo okrętu, to jest życie bliźnich? Pojąłbym tę zagadkę, gdybym miał w mej osobie coś imponującego, w mych manierach coś rozkazującego, a w mym sposobie życia coś nadzwyczajnie oryginalnego. Ale nie, owszem, jestem wesołym z charakteru, żywym aż do zbytku z temperamentu, lubię zabawiać do wściekłości! przymusu zaś nie cierpię żadnego, gardzę afektacją, i nigdy mi jeszcze nie przyszło na myśl czuć nad mym układem lub słowami. Nie mogłem tedy pojąć wpływu wywartego nad kapitanem, zaufania jego we mnie i przyjaźni jego. Później dopiero, wiele lat później, poznałem przyczyny tego wpływu. Ujęła go zapewne żelazna moja, żadnemi przeszkodami, niewygodami, żadnym brakiem miejsca i sposobności, celu lub środka niezłamana czynność. Wiele to nocy nie przesiedziałem nad książkami i pisaniem w kołyszającym się okręcie, gdzie nie raz przewracałem się razem ze stołem na ziemię, podczas najokropniejszej burzy, kiedy każdy żegnał się ze swém życiem! Nieraz mi mówił: »Ja nie pojmuję, jak można tak pracować nie będąc do tego przymuszonym»; a tém już uznawał i uszanował władzę moralną we mnie. Przytém odkrył we mnie w stosunkach ciągłych z ludźmi wszelkich warstw towarzystwa, a mianowicie z ludźmi potrzebującemi mych usług, wielką dobrochętność dla całego rodzaju ludzkiego, dla wszystkich nawet jednostek, które Bóg stworzył. Nadziwić się nie mógł mej gotowości służenia każdemu w najtrudniejszych nawet okolicznościach, kiedy burze przewracały odmetę aż do dna, kiedy grady były, najokropniejsze zimna i bezustanna ciemność panowały.

Wróćmy się na szczyt pagórka *Primrose-hill*, gdzie jeszcze siedzę zatopiony w myślach. Słońce już zaszło w źródłach Tamizy mdło i bez blasku, jak słońce angielskie. Tyśiące, ba półmilionowa światła zaiskrzyło na nieskończonej przestrzeni objętej miastem. Wiele z tych światła przelaty-

wało szybko z miejsca na miejsce, zatrzymywało się na chwilę i zostawiało po sobie jak swe działki nowe iskry nieruchome; inne znów krążyły powoli tu i owdzie, tak jak błędnice. Jedna z tych zbliżyła się ku stopom pagórka, zatrzymała się na chwilę, a słysząc mnie rozmawiającego z sobą samym, zwyczaj, w który łatwo wpadają ludzie lubiący samotność, weszła na szczyt. Nie była to błędnica, lecz latarnia przymocowana pasem do żołądka jakiegoś jegomości wysokiego, silnego, z uczciwą lecz surową fizyognomią, ubranego w długi granatowy surdut z pilotowego sukna, na którego kołnierzu wyszyta była z obu stron jakaś litera z numerem. Kapelusz miał okrągły filcowy z dnem ze skóry lakierowanej, i skrzydłami podobnąż skórą podszytymi; na barkach małą pelerynę z woskowanego płótna. Poznałem w tym nocoswiecu urzędnika policyjnego londyńskiego i wcalem się nie zdziwił, że mnie zagadł w ten sposób: *«Good evening, Sir. Pray Sir what are you doing here, so late, if you please Sir?»* (Dobry wieczór panu, co pan tu robi tak późno? powiedz pan jeżeli łaska). Wiedząc, że policya angielska nie jest wymyślona na trapienie ludzi, lecz na ich wygodę, odpowiedziałem grzecznie: *«Patrzę się na Londyn, myślę i dumam,»* — Latarnik: *«Czy pan przypadkiem nie chory, czy pana głowa nie boli?»* — *«Ja chory? bynajmniej, widzę, że pan chciałbyś wiedzieć, czym przypadkiem nie waryat, — lecz nie, uspokój się, ja jestem podróżnym, sentymentalnym podróżnym, na sposób waszego Sterna.»* — Latarnik, *«A sentimental traveller like our Sterne! ha! ha! But after all he got mad, I believe. Won't you finish like him? That's the question?»* (Sentymentalny podróżny na sposób Sterna! ha! ha! Lecz ztémwszystkiem on jednak zwaryował, zdaje mi się. Czy pan nie skończysz jak on, to jest pytanie?)—Ja. *«Jeszcze nie tego wieczora, to be sure.»* — Latarnik: *«Pan nie wiesz, że część ta odległa i samotna przedmieścia nie jest pewną; mnóstwo tu łotrów krąży i czycha na sposobność obdzierania. Ofiaruję panu przeprowadzić go aż do miasta, wiedząc bowiem, że mam do czynienia z bardzo zacnym młodym człowiekiem (with a very fine young gentleman)»* dodał, świecąc mi swym żołądkiem w oczy i suknie.—Ja: *«Krawiec mój bardzo będzie uszczęśliwionym z pańskiego komplementu. Chętnie przyjmuję pańskie towarzysztwo.»*

Po drodze dowiedziałem się, że miasto Londyn, prócz City, która ma swą własną policję, strzeżone jest tyloma kompaniami policyantów, ile jest liter w alfabecie, i że prawie wszystkie kompanie liczą tylu ludzi, ile jest dni w roku. Wybierają ich z pomiędzy silnych, zdrowych, nie rażących ani małością wzrostu, ani brzydkością twarzy, odznaczających się dobrą prowadzeniem, uczciwością i rozgarnieniem. Litery i numera dlatego noszą, żeby ich można skarżyć w razie nadużycia władzy. Broni żadnej nie noszą w czasie pokoju; w kieszeni mają pałeczkę na 15 cali długą, wylaną w środku ołowiem, rodzaj berła z wyrytym nań herbem Wielkiej Brytanii. Wydobywają ją w razie oporu, dla zjednania prawu poszanowania widokiem pieczętki. Gdyby widok nie wystarczał, natenczas po zacytowaniu pewnego artykułu prawa, *Police-man* ma prawo wybić tę pieczętkę bardzo systematycznie, ale tak silnie, jak mu się samemu podobą, na plecach wykraczającego. Nauka heraldyki w ten sposób udzielana jest dość bolesną, ale nie krzywdzi honoru. Widziałem deputowanych pieczętowanych przez woźnych izby wyższej w chwili, kiedy z okazji pierwszej mowy tronowej królowej Wiktorji przywołano izbę niższą do wyższej, i kiedy pomiędzy deputowanymi, pragnąciami oglądać jak najbliższej dziewięć ukoronowaną, nastąpił tłok i ścisk tak wielki, że kilku z nich zemdłało. Woźni wzięli się wtenczas do heraldyki, i nie jeden prawodawca skrobał się potem w herb angielski wybity na łopacie.

W przypadku buntu i po ogłoszeniu »*Riot act*« (aktu buntu), urzędnicy policyjni uzbrajają się w karabiny z bagnietami i, jak wiemy, rozpędzają one tłumy pięćdziesiąt-tysięczne, setki-tysięczne, jak chmary szarańczy.

Korzystając z grzeczności mego latarnika, spytałem go, gdzie się zwykle stołują uczniowie medycyny uniwersytetu londyńskiego. Przeprowadził mnie przed samą restaurację i pożegnał grzecznie, nie chcąc przyjąć korony, którą mu kładłem w rękę.

Restauracya akademików tém się różniła od innych tego rodzaju zakładów angielskich, że nie była przedzieloną w klatki w sposób targowiska bydłowego. Zresztą wszystko się tu obchodzi cicho i przystojnie, bez krzyków i hałasów któremi burszowie niemieccy, a mianowicie teolodzy i estetycy, kraszają sobie czas spędzony w służbie Muz i Apollina.

W ubiorze także się nieróżni od innych zwyczajnych synów ziemi. Cygenheimery, gołe szyje, czapeczki jak spodki od filiżanek i kutasy do fajek podobne do głów kapusty, upijanie się codziennie piwem i śpiewanie *Landesvatru*, nie są tu uważane jako *conditio sine qua non* wyższej uczoności.

Lecz nie masz też żadnego życia i ducha towarzyskiego pomiędzy uczniami angielskimi. Podzieleni na małe koła, w nich tylko żyją i nie wyrabiają sobie żadnych cnót i zalet, pochodzących z życia wspólnego ogółu, żadnego braterstwa i koleżeństwa.

Nie będąc *„introduced“* to jest wprowadzonym do żadnego z przyszłych mych kolegów, nie śmiałem się narzucać.

W jednym z czasopism lekarskich *The british lancet*, redagowanym przez p. Walkley, członka parlamentu i magistra chirurgii, wyczytałem początek traktatu, bardzo niedokładny i mylny, o operacjach chirurgicznych nowo wynalezionych przez profesora Dieffenbach, owego genialnego operatora, który pierwszy wprowadził do Niemiec chirurgię francuską, i najpiękniejszymi wynalazkami zdołał ją nie tylko rozpowszechnić, lecz jeszcze dalej wykształcić. Cały świat lekarski zadrżał z radości widząc, że przez autoplastykę i tenotomię, nowe zupełnie pole otwiera się dla chirurgii operacyjnej, która przedtém ograniczała się prawie zupełnie na odłączaniu od organizmu części ciała niebezpiecznej, niewygodnej lub bezużytecznej; dziś zaś codziennie więcej wynajduje sposobów oddawania życia i działalności członkom chorobliwie bezczynnym, a nawet kształcenia organów zdeformowanych lub zupełnie brakujących. Lecz wnosząc z artykułu w *British lancet* umieszczonego, słabe jeszcze miano wyobrażenie o nowych operacjach w ojczyźnie *Johna Hunter, Astleja Cooper, Brodago, Listona etc.*

Postanowiłem pójść do pana Walkley i ofiarować mu lepsze daleko artykuły o nowych sposobach zamykania i gojenia ran, o nowych sposobach operacyjnych nareszcie. Pokaże się, że krok przedsięwzięty obfitym był w rezultata wszelkiego rodzaju, poważne i śmieszne.

Dodam tutaj do charakterystyki medycyny angielskiej, że w traktyerni studenckiej doskonały obiad, złożony z *roast-beefu* z kartoflami, *plum puddingu* z rumem, z pół butelki wyborowego portera i bułki, kosztował 18 pensów czyli złp.

3. I w Londynie tanio i porządnie żyć można, tylko trzeba być obznajomionym z miejscowością i być bardzo ostrożnym z całą czeredą markierów i garsonów, obdzierających nieśmiałego podróżnika gdzie i jak tylko mogą. W Anglii trzeba być rzetelnym, śmiałym i dumnym, z kieszenią swą ciągle się porozumiewającym, a niezawodnie zyska się poszanowanie krajowców łatwiej, jak szarlataneryą najrzęczniejszą, którą mi jeden cudzoziemiec używa na zwabienie sobie ła-twowierności angielskiej.

ROZDZIAŁ III.

PIERWSZY WSTĘP DO TOWARZYSTWA ANGIELSKIEGO.—LIST REKOMENDACYJNY.—PAN LEE.... THE POLISH PAGANINI.—SKRZYPEK Z POTRZEBY STAJE SIĘ ARTYSTĄ.—MUZYKA W ANGLII.—POJĘCIA O RELIGII.—RACYONALIZM.—NIERÓWNOŚĆ W OBLICZU BOGA.—PRZESĄDY.—PRZEDŚWIT PRAWDY.—BAL.—PRZYGOTOWANIA.—TAŃCE.—LORD BLUNDERDALE.—PANNA A.—MONOMANIA CHOREOGRAFICZNA.—KONCERT.—BUFET.—GABINET HISTORJI NATURALNEJ.—ARCHITEKTURA.—CZELLISTA.—SZANOWANY CHOĆ UBOGI.—DZIENNIKARSTWO.—KOMINEK ANGIELSKI.—MILORD SKOŃCZONY.—MIŁOŚĆ PLATONICZNA I ESTETYCZNA.

Wyznać tu muszę bez najmniejszej ogródki, śmiało się wystawiając na wszystkie komentarze sieczących słowa, a ducha nie pojmujących krytyków, że trzy okoliczności wywarły wpływ bardzo zbawienny na cały mój pobyt w Anglii, i utworowały mi drogę do zgłębienia charakteru oryginalnego jój ludu. Pierwsza, że znałem język angielski przed przybyciem do Anglii; druga, że nie wstępowałem do towarzystw angielskich przed obeznaniem się, choć powierzchownym, z przyjętymi zwyczajami i wkorzonymi przesądami; a trzecia, może najważniejsza, że zabrałem znajomości z kilkoma domami angielskimi przed odnowieniem znajomości z dawnymi towarzyszami. Ci ostatni, znękani cierpieniami tęsknoty, i sami nie starali się poznać ludzi, pomiędzy których los ich wrzucił, i innych zniechęcałi od korzystania z zdarzonej poniewolnej sposobności. Z małemi nader wyjątkami żyli pomiędzy sobą w tém skupieniu, do jakiego wspólna niedza zmusza.

Nie miałem przyczyny być niezadowolonym z pierwszego mego wstępu do domów angielskich.

Z wielkiej liczby listów rekomendacyjnych, zabranych z sobą z Królewca do znaczniejszych miast Anglii i Szkocji, został mi po zatonięciu okrętu jeden tylko, który otrzymałem w samej chwili odjazdu i zawarłem w pugilaresie nigdy

mię nieopuszczającym. Byłto list młodej Angielki, bardzo sławnej z swego talentu muzycznego, panny Robeny Ann Laidlaw, pianistki księżnej Cumberland, późniejszej królowej hanowerskiej. Sławna pianistka, w domu ojca której często bywałem, poleca mię w wyrazach pełnych uczucia wujowi swemu, p. Charles Lee, znakomitemu kupcowi drzewa w City. Pod cieniem skrzydeł muzy puściłem się tedy, niegodny podziwiaz z dumiewającego jej talentu, w świat mi nieznaną, i zostałem przyjętym przez pana Lee w jego kantorze z serdeczną uprzejmością. »Ah! jak się to doskonale wydarza! siostrzenica moja pisze mi, że pan lubisz zabawy i jesteś niezmordowanym tancerzem. Ja właśnie dziś w wieczór bal wydaję; u nas tak trudno o tancerzy; młodzi ludzie lenią się i ochraniają swe nogi, jak gdyby im na wysięgi służyć miały. Racz pan tedy zaszczycić bal mój swą obecnością. Będiesz pan miał przyjemność poznać na nim znakomitego rodaka, wielkiego skrzypka, pana... pana... nie mogę sobie przypomnieć nazwiska; znamy go tu powszechnie pod nazwiskiem polskiego Paganiniego,«— »Polskiego Paganiniego?« spytałem. »to zapewne pan Lipiński?«— »Tak, tak zapewne; istotnie jakieś nazwisko na *ski*; my go nazywamy polskim Paganinim, mieszka w bliskości, ot przy ulicy Wormwood Nr. 120; może go pan odwiedzić? bardzo miły, przyjemny gentleman. Istotnie, tak będzie najlepiej; mój *commis* zaprowadzi pana do niego, on panu wszystko ułatwi w tém mieście, zna bowiem świat cały. Liczę na obecność pańską, proszę mnie uważać za przyjaciela w każdym względzie.«

Idziemy do Paganiniego; zastajemy go w domu, *commis* odszedł poleciwszy mnie ze strony p. Lee i poprosiwszy, abyśmy razem na bal przyszli. Jeden rzut oka wystarczył mi na przekonanie się, że polski Paganini nie był panem Lipińskim. Zachodziła różnica w wieku, większa jeszcze w plemienu. Włos czarny i choć nie zbytnie kędzierzawy, wargi cokolwiek wywrócone, twarz śniada, silnie akcentowana, nos długi nieco garbaty, byłby mi wyjawiał pochodzenie naszego skrzypka, choćby jeszcze żadnego *ch* lub *rz* nie był wymówił. Ztémwszystkiem był to człowiek bardzo przystojny, oczy wyrażały łagodność, rysy twarzy dobroć, a nawet szlachetność, w postawie wysokiej, wysmukłej, było wiele ułożenia, dobrego tonu nawet; słowem nasz Paga-

nini, mający lat koło trzydziestu, zrobił na mnie przyjemne wrażenie i umiał utrzymać się w nim przez cały mój pobyt w Londynie. Nic nie było w nim narzucania się, tej chętności tak niewygodnej w towarzystwie; owszem, z skromnością mówił o swym talencie, i wszyscy koledzy chwaili usłużność jego. Nie jednego wykształcił w muzyce, znał bowiem kilka instrumentów, a potem nastąpił na profesora. Sam przybył do Anglii już na początku 1832. r. razem z wieloma innymi; biedny, z miernym, jak sam mówił, talentem, nie znając wcale języka, nie wychodził prawie nigdy podczas dwóch lat z swego poddasza, wegetował resztkami przywiezionego kapitału i owymi szczupłymi subsydjami, któremi dobroczynność angielska wspierała; ćwiczył się w języku i na skrzypcach dniem i nocą, walczył z trudnościami z postanowieniem przewyciężenia ich lub też legnięcia w walce. Poznał wczesnie gust Anglików i według niego wykształcił swój talent; wiedział, że aby zyskać ich poklaski, trzeba mężczyzn odurzyć naśladowaniem, choć niedoskonałymi owych szarlatańskich wymysłów, któremi Paganini wzbogacił skrzypce, kobiety zaś rozczulić ową tęskną, pełną niebieskiego czucia, pełną dziewiczej czystości melodyą, któremi nasz Lipiński uszlachetnił smyczek.

Ćwiczył się tedy w szumnych arpeggiach, przebiegających jak uragan wszystkie cztery struny, w słodkich flageoletach wabiących z struny głos fletu; w staccatach wydobywających jednym pociągnięciem smyczka mnóstwo drobnych krótkich tonów, jak snujące się perły; w pizzicatach naśladowujących gitarę; w grze na jednej tylko strunie; lecz nie zaniedbywał ubiegać się za ową czystością i pewnością intonacji, za czułością tonów, za wydobyciem z martwej deski głosu podobnego do płaczącego człowieka. Dostąpiwszy niesłychaną pracą tego stopnia doskonałości, nad który, jak sam mówił, zdolności jego wynieść się już mu nie pozwalały, wystąpił nareszcie na świat; uzyskał, za pomocą kilku znakomych osób, sposobność przedstawienia swęj gry w prywatnych towarzystwach, zyskał poklaski, ułatwiono mu koncert, na nim Anglicy, którzy prawie bezwyjątkowo mało się na muzyce znają (choć ją lubią, lub choć im się zdaje, że ją lubią), przyjęli go z oklaskami, mianowali polskim Paganinim, które to nazwisko nosi po dziś dzień i używa na afiszach dla zwabienia publiczności. Osiadł w City, gdzie naj-

większa liczba zwolenników jego talentu mieszka, i daje lekcye muzyki mężczyznom na skrzypcach, damom na fortepianie; a najbogatsi kupcy i bankierowie zapraszają go na wieczory, dla nadania im blasku próbami jego talentu, i rocznie uszczęśliwia publiczność dwoma publicznemi koncertami. »Proszę Boga,« dodał ze skromnością poczciwy skrzypek, »żeby się na mój grze nie poznali Anglicy jak za lat sześć, wówczas mym zarobkiem będę mógł założyć jaki handelek i potłuc skrzypce, na których gram jako automat. Zresztą żaden Anglik nie wie jakiego jestem pochodzenia; akcent mi nie zdradza w angielskiej mowie i tak już do żydowskiej podobnej; czule Angielki lubią mnie bardzo, ignorancję mają nazywają brakiem wychowania klassycznego, wspólnym wszystkim geniuszom artystycznym, i mógłbym się tu dobrze ożenić, gdyby nie żona moja Esterka, którą zostawiłem w małym miasteczku na Litwie, sprzedającą kawę i cukier z trzema ładnymi bachorami. Gdyby ona tu nagle zjechała w swój bindzie i cycele, i zobaczyła mnie żyjącego w poufałości z tak wielkimi damami, onaby mi oczy wydrapała. Panu powiem wszystko bez ogródki, jestem bowiem pewnym, że mnie nie zdradzisz, skoro mu zupełne pokażę zaufanie.«

Istotnie, czemuż miałem wydawać naszego Paganiniego z sekretu, z którego żadnego złego nie robił użytku? Nie jego w tym wina, że panowie Dorobkowicze nie znają się na muzyce. Gust muzyki wkraść się pomiędzy nich dlatego, że się stał od niedawnego czasu modnym w najwyższych warstwach społeczeństwa. Kupiec z City byłby o niej nie pomyślał wcale, gdyby był nie wyczytywał z gazet; że u księżnej lub margrabiny tej a tej dawano koncert, że się rozplywano nad cudownymi kompozycjami Beethovena lub Mozarta, że Bacon utrzymywał, iż wpływ muzyki uszlachetnia duszę, a Gibbon, że robi serce tkliwszém. »I ja także chcę być w Arkadyi,« zawołał z dumą Dorobkowicz, »wszakżeż mnie stać na to!« I muzyka weszła u niego w modę; córeczkom kazał dawać lekcye, a wirtuozów zapraszał na wieczory. »Proszę pana na bal do mnie, będziemy mieli *some Beethoven* (coś z Beethowena),« mówił do swych znajomych z tą samą dumną miną, z jaką rok temu mówił: będziemy mieli indyka francuzkiego z trusflami.

Niech się nie gniewają Anglicy, kiedy rzekną: że muzyka, za którą się tyle ubiegają, jest dla nich jeszcze tém sa-

mém *arcanum*, jakim jest dla nich prawdziwe pojęcie chrystyanizmu. Ważną tę kwestyę, którą tutaj przypadkowo i z błahéj okoliczności naruszyłem, możeby wypadło w osobnym wywieść rozdziale przed sąd czytelnika; lecz dowody me, więćej oparte na przykładach z życia praktycznego wyjętych, jak na rozumowaniu filozoficzném, pozwalają mi i najważniejszą kwestyę dotknąć i rozbierać w chwili dla mnie najdogodniejszój.

Nie masz kraju, w którymby religia częstszym była przedmiotem rozmów, rozpraw, prac, poświęceń, rozmyślań, wysień i intryg nawet, jak w Anglii. Ubieganie się za dobrem, całością i rozkrzewieniem się religii protestanckiej, stało się zadaniem ulubioném licznych towarzystw i osób, w niektórych doszło ono do prawdziwej monomanii; są tu ludzie, którzy dla tryumfu protestantyzmu nie szczędzą tysięcy, a biednemu z głodu umierającemu grosza nie dadzą; są Anglicy, którzyby rozbijali dla zdobycia pieniędzy potrzebnych na missye.

Ztémwszystkiém twierdżę, że racjonalizm, któremu tu hołdują, że ów wynik filozofij materyalnych, zanadto wysoko w Anglii cenionych, nie pozwoli duszy Anglika wznieść się do tych sfer szczytności, w których jedynie pojąć może prawdziwą wartość religii, uczuć jéj boskie wpływy, uszlachetnić swój umysł nazawsze i pozbyć się tych drobnostkowych pojęć i namiętności, między któremi błąka się w życiu prywatném.

Ogół Anglików, szczególniej zaś średnia klasa, najważniejsza w tym kraju, ogranicza się w pełnieniu obowiązków religijnych na objawianiu osobliwszego jakiegoś przywiązania do przyzwoitości form i pozorów zewnętrznych. Zaprzeczyć sobie nie pozwolę, że pomiędzy Anglikami znaki zewnętrzne i widzialne są uważane za najlepsze, może nawet jedyne znaki wewnętrznej i spirytualnej łaski. Rządzą się i zajmują całe życie spekulacyami, które rozciągają aż do chwili zgonu i na tamten świat jeszcze, a grubo materyalnie przedstawiają sobie najtkliwsze tajemnice religii.

Na dowód tego, niech służą następujące słowa, któremi w méj przytomności podeszły już, ale bardzo *respectable* ojciec pożegnał syna pełnoletniego jadącego do Indyów Wschodnich: *Good boy, be attentif to your bussines and keep yourself religious, and the Almighty will grant you a happy life, a decent death and a comfortable resurrection.*

(Dobry synu! pilnuj swego handlu i zachowaj się religijnym, a Wszechmocny raczy cię o'darzyć szczęśliwem życiem, przyzwoitą śmiercią i wygodnem zmartwychwstaniem.)

Któż tu w tym czułym obrazie nie przedstawi sobie poczciwego Anglika, wstają ego z grobu i zasiadającego do nakrytego stołu, na który aniołkowie wnoszą n. u pachnący bifsztyk z kartoflami i butelkę porteru?

Niedość na tém. Anglik dla własnego swego prywatnego użytku wyciągnął sobie z szczytnych nauk Chrystusa taką teorię miłości bliźniego, jaka nie narusza wcale i nigdy nie zachwieje wyobrażeń jego o *konieczności* nierówności ludzkiej nawet w obliczu Boga. Wchodzę raz do kościoła anglikańskiego i napotykam u drzwi jego człowieka z ludu, chcącego także wejść do niego. Ale oparł się temu ostatniemu z miną zimną i uroczystą szwajcar kościelny w tych słowach: »Dobry człowieku, dla was i dla kobiet wikaryusz będzie miał kazanie po południu, teraz wielbny proboszcz każe tylko dla gentlemanów i dla dam.«

—»I ja też tylko j stem człowiekiem i przyjdę po południu,« zawołałem do żywego obrażony krzywdą w bliżnim mym godności ludzkiej wyrządzoną; ale mnie nawet nie pojął odzwierny i rzekł: »Sądząc z ubioru, wziąłem was za gentlemana; dobrze, żeście się *wy przynajmniej* na waszej wartości poznali.«

Jeszcze nie koniec. Ciasne wyobrażenia, jakie tu z religijnem uszanowaniem przechowują o przyzwoitości, krepują umysł i uczucia *wolnych synów Brytanii* w sposób tak okrutny, że z nich robią po prostu niewolników, nawet we względzie religijnym. Znieść nie mogą kaznodziei ogłaszającego prawdy Chrystusa z zapalem i czuciem, dlatego, że to jest uważane za nieprzyzwoite. Wstydzą się własnego wzruszenia, wszelkiego rozczulenia religijnego wzbudzonego w nich widokiem natury, dlatego, że to uwłacza ich zewnętrznej godności. »Chrześcianin powinien zawsze, w każdej chwili, być głęboko przekonany o prawdach religii i nie szukać wyższego natchnienia na skrzydłach niewieściego rozczulenia,« tak rozumują nasi stoicy, którzyby za nic w świecie nie przywitali się na ulicy z samym Chrystusem, gdyby był źle ubranym, a to z tój jedynéj przyczyny, żeby nie popaść w podejrzenie bratania się z *common poeple*, to jest z ordynaryjnemi ludźmi.

Nie w tym obrazie nie jest przesadzonego. Anglik, pomimo całej swęj godnej szacunku rzetelności i słowności, pomimo wielkich ofiar ponoszonych dla dobra ojezyny i cierpiących, pomimo rzeźwości i bystrości swego rozumu, objawianej wszędzie, gdzie idzie o własny lub kraju interes materyalny, nie będzie ani *wolnym człowiekiem*, ani *chrześcianinem*, dopóki nie przestanie hołdować swym drobno-
stwowym przesądom, swęj manii być logicznym w wszystkich rzeczach, *definiowania* tego, co jest niepodobnym do wytłomaczenia, i dowiedzenia tego, czego dowieść nie można. Przesady jego, dotychczas niezłamane, sprzeciwiają się pałającej pobożności, której wymaga owa święta religia, nakazująca nam dla chwały Boga i ludzkości zrobić poświęcenie z naszych interesów i namiętności osobistych.

Ale już się objawia przedświt prawdy, już oddziaływają skutki przesądów. Kościół anglikański, ów zimny, nieczuły tyran wszystkich innych chrześciańskich wyznań, ów nieprzyjaciel sprawiedliwości i rozumu, trać codziennych swych zwolenników, nawet podpory jego najważniejsze usuwają się.

Jedziemy tedy na bal w fryzowanych włosach, białych chustkach i kamizelkach, w trzewikach lakierowanych i pończochach jedwabnych, w frakach granatowych z białą podszewką jedwabną i w klaku: taka bowiem wówczas kosztowna panowała moda, i wrachowawszy w to dwie pary rękawiczek glansowanych (jedna bowiem nie wystarczała na cały wieczór), pół suwreńta to jest 20 złp. dla służącego podającego płaszcz, koronę to jest 10 złp. za dorożkę.

Za me pieniądze postanowiłem bawić się jak najserdeczniej, a uważać na wszystko jak najdokładniej; przeczuałem może już wtedy, że sceny te mego tułackiego życia opisywać będę.

Lokaj otwiera oba skrzydła sali i wykrzykuje nasze nazwiska należycie przekrecone, to się wie samo z siebie. Następuje przywitanie z panem Lee, przedstawienie moje ceremonialne pani Lee, matronie poważnej, obwieszonej jak obraz Matki Boskiej łańcuchami, zegarkami, perłami i dyamentami, i wprowadzeniem mnie do znajomości panien Lee, których było liczne grono różnego wieku. Anglicy bowiem, nawet bogaci, nie wpadają w wymysły Francuzów i nie lekają się mieć liczne go potomstwa. W tym względie nie

obrażają praw natury. Zachwycony byłem serdecznym przyjęciem owych aniołów, których nazywają Angielkami, i wkrótce dowiedziałem się, czemu mam je przypisać. Nieznanego żalowano tu już jako straconego. Od czasu mego wyjazdu z Królewca, Miss Robena Ann Laidlaw była w Londynie i mówiła kuzynkom, że im poleciła dobrego przyjaciela udającego się do Anglii, lecz że ten zginął wraz z okrętem, który wymieniono w wszystkich listach kupieckich pomiędzy statkami zatopionemi. Nieboszczykowi nie szczędziła zapewne pochwał, i niemi zainteresowała czułe kuzynki. Takim sposobem stało się, żem odziedziczył mą własną pośmiertną sławę, dotychczas jedyne dziedzictwo, jakie dla mnie spadło i spaść może. Korzystałem jednakże z niego jak można było najlepiej, i zamówiłem panienki do mnóstwa tańców, co zostało chętnie przyjętém i sumiennie wpisaném do owych słowników z słoniowej kości, które wówczas każda tańcząca dama przy pasie nosiła. Nieopatrzone tym słownikiem damy byłoby niestosowną rzeczą do tańca zamawiać; damy zaś, którym się nie miało zaszczytu być przedstawionym, do tańca zapraszać, byłoby nieprzyzwoitością nie do darowania.

Tańczono przy odgłosie trzech harf, dwóch skrzypc i floretwersu: anglezy, kontredanse francuzkie, kadryle, i to na kobiercu. Inna sala z froterowaną posadzką była przeznaczoną na walce i galopady. Panowanie Polki jeszcze się nie było rozpoczęło w Anglii, a Mazurka nie znano jeszcze, nawet jako baletowego tańca z przedstawień teatralnych.

Sale się napełniły aż do ścisku. Czekano jeszcze na kogoś, na najważniejszą osobę, na słońce, które całemu balowi miało dać świetność, imię, znaczenie, urok. Nareszcie lokaj krzyknął przenikliwym głosem: *„The Right Honourable Lord Blunderdate.“* Ucieszony gospodarz, jednym susem przypadł do drzwi i wita z uniżonością, jaką niechętnie u Anglika widzę, dumnego patrycyusza, płacącego sobie wyświadczoną kupcowi z City grzeczność, dumnymi, szyderczemi, i do prawdy dość ordynarnemi minami.

Trzeba wiedzieć— *proh dolor!*— że ów kupiec angielski, który na zborach, obiadach politycznych, meetingach, tak silnie pioronuje przeciw wkraczaniu arystokracji w przywileje wolnego narodu angielskiego i prawa klasy średniej,

który w gruncie serca nie uwielbia nawet kasty arystokratycznej dla jej zbytków, częściowego zepsucia i niemoralności;—że ów kupiec angielski nie doznałby ani chwili szczęścia w własnym domu, żeby sobie czasem przy uroczystych okolicznościach nie wyżebrał przytomności jakiegoś lorda, choćby lorda bez krzesła w izbie parów, choć lorda jakiego podszarzanego, zadłużonego, siedzącego w kieszeni kupeów, aby tylko był lordem i członkiem tej potężnej arystokracji, która tak cudowny urok na wszystkich dorobkowiczów wywiera.

Lordowie na ten cel zapraszani wiedzą bardzo dobrze, że gospodarzom idzie więcej o tytuł i o przyjemność powtarzania *Myford, your Lordship, right honourable*, jak o ich osobę, i mścili się na gospodarzach uśmiechami szyderczemi i rewoltującym *sans façonem*.

Weszło tedy nasze słońce (należało do tych, które się kieliszkami zachmurzają i pod stół zachodzą).

Wolno nam było teraz, bez obrażenia przywoitości, złożyć nasze klaki i zabrać się do tańca na kobiercu.

— »Jak smutnym musi się panu wydawać Londyn, po tak uroczych scenach natury, które pan przez tak długi czas podziwiał«, rzecze do mnie *Miss Augusta*, podając mi rękę do kontredansa. »Znając pana z opisu méj kuzynki, jako wielkiego entuzyaste, jestem pewną, że nie pana nie będzie w stanie pogodzić ze zmianą sceny, z naszym brzydkim prozaicznym Londynem.«

Chciałem odpowiedzieć: »chyba pani sama, gdybyś zechciała;« ale odpowiedziałem, uśmiechając się z méj nieśmiałości: »chyba jedna osoba, moja pani!« Zrozumiała mnie i pogroziła paluszkami tak ładnie, tak figlarnie, że poznałem, iż mię tu opisano z dokładnością.

— »A Królewicz już tedy zapomniany zupełnie?« rzecze mi dalej piękna *Miss Augusta*; »a biedna *Sapho*, a nieutulona *Muza*, a nieszczęśliwa *Gracya*? widzę, że morze Północne było *Lethą* dla pamięci pańskiej.«

— »Owszem, owszem i właśnie że pamiętam, i kiedy widzę uczoność *Saphy*, talent *Muzy*, i piękność *Gracyi*, połączone w jednej osobie, wówczas najboleśniej czuję ilem stracił, ale też najlepiej pojmuję, że jest lekarstwo na me cierpienia.«

— »*Don't continue Sir*« (nie kończ pan), zawoła żywo Miss Augusta rumieniąc się, nie wiem, czy z gniewu. »Jakto? od jednego razu, przy pierwszym wstępie? Królewczanki pana bardzo popsuły, jak widzę, a Norwegianki nie naprawiły.«

— »O! to rzecz pewna, nie mogę tego zarzucić Norwegiankom.«

— »Patrz pan raczej na swego *vis-a-vis*« przerywa żywo Miss, »on sobie zadaje tyle pracy, żeby na siebie ściągnąć nasze oczy.«

Prawda, nie pociesniejszego w świecie; jegomość jakiś, Francuz, osiadły od lat trzydziestu w Anglii jako tancmistrz, ożeniony z bogatą Angielką, przyjaciółką synów Terpsycho-ry, już wcale nie młody, tańczył przed nami na złamanie karku. Z twarzy ustąpiła wszelka żywość, dzięki wpływowi powietrza angielskiego i nudom domowym, ale za to wpadła mu w nogi; tańczył kontradansa, tak jak go tańczyła rodzina Noego w arce, z wszystkimi szykanami, odskakiwał w powietrze jak gumelastyczna piłka, wybijając niezliczoną liczbę *piruetów, entrechats, chassés, plissés, pas de pigeon*, następowały jeden po drugim z niedościgłą szybkością, i to wszystko z miną nieruchomą jak maseczka, nie przemawiając ani słowa. — »To musi być jeden z tych automatów Spalanzaniego, o których opowiada Hoffman tak przerażające historye,« rzeknę zdziwiony do panny Augusty.

— »Istotnie to jest automat, lecz nie Spalanzani, tylko własna żona jest jego fabrykantem.« Pani Duval-Warren, którą pan tam widzisz z wlepionemi oczyma podziwiając swego męża; jest niezmiernie bogatą, kapitały jej są w handlu mego ojca; kocha się w tańcach aż do prawdziwej monomanii, kocha tylko tańce, i nic więcej: ani psa, ani kota, ani ptaka, ani książki. Poszła za męża jedynie dlatego, żeby miała dobrego tancmistrza w domu; od lat trzydziestu co dzień go wywozi na bal i każe mu tańczyć do upadłego; w domu ma orkiestrę, często w nocy budzi męża i każe mu skakać.«

— »A dzieci mają?«

— »Nie mają ani jednego,« odpowiedziała M. Augusta, znów się rumieniąc.

Później dowiedziałem się z pewnością, że pan Duval nie był dla swój żony niczem więcej, jak skoczkiem *przybocznym*.

Czyż można sobie wystawić uciążliwszą niewolę, okropniejsze położenie, być mężem kobiety, której wszystkie myśli, uczucia, wrodzone nawet i dla zachowania rodu niezbędnie potrzebne skłonności, zwały się chorobliwie w jedną tylko namiętność, w namiętność widoku tańca.

Skacz nędzarzu milionowy! nie jak Voltaire *«un pie d dans la tombe, et avec l'autre faisant des gambades»* lecz obiema nogami na grobie swęj wolności.

Skończył się ten pierwszy kontredans, którym wstąpiłem z lodów dzikiej Norwegii na perskie kobierce eleganckiego świata.

Młodsze panny Lee, także bardzo ładne i miłe, byłyby mnie również zajęty, gdyby mnie obraz starszej siostry chciał być odstąpić choć na chwilę. Stęsknione me serce, dusza ma spragniona, znalazły nareszcie przedmiot godny wszystkich jej hołdów.— Aniele! ty będziesz mym ideałem, już to przeczuwam, i czy przyjmujesz me ubóstwienie lub je odrzucasz, czy będziesz czułą na me męki lub nieczułą, ty nie możesz zabronić twemu obrazowi sny me złościć, twemu głosowi brzmieć jak melodia niebieska w mych uszach, i otaczającemu cię urokowi rozlać się po całej atmosferze dościgłej dla lotnych skrzydeł méj duszy. Pomimo twęj imęj woli, będziesz mém bóstwem.—Z tak mocném postanowieniem rozkochania się, i z taką rezygnacją na wszystko, trudnoż było dopiąć celu?

Po pół tuzinie kontredansów nastąpiła pauza; korzystałem z nięj, dla wyszukania w niezliczonym tłumie mego rodaka, który także żadnego nie przepuścił tańca, a tańczył z taką gracyą niewymuszoną, jakiej pewnie nie nabrał na ostatnich żydowskich, przebrany za Turka z tarabanem w ręku, wywijając przy odgłosie cymbałów. Szczerze podziwiałem w nim skutki dobroczynnej cywilizacyi.

Zapoznano mnie, jak gdyby przypadkiem, z pannami Jeny i Lucy G., siostrami profesora chemii uniwersytetu londyńskiego, a mieszkającemi tuż blisko mnie, i polecono mi także bardzo zręcznie, abym się starał o pozyskanie względów tych wcale przystojnych i uprzejmych córek górzystej Kaledonii. Już zaczynałem czuć błogie wpływy anielskiej jakiejś i tajnej opieki, i poddałem się ślepo jęj rozkazom. Zaprosiłem do tańca nowe me znajome, ładne Szkotki, których wesołości wrodzonej, umysłu bujnego, stępieć nie zdoła-

ły ciasne wyobrażenia ceremonialności angielskiej. Znalazłem się z nimi zupełnie jak w znanym mi ży wiole. Walter Scot był naszym pojedynczym węzłem łączącym nasze umysły.

Nastąpił koncert. Paganini nasz wykonał *karnawał wenecki* z waryacyami, z daleko większą dokładnością, niż się z ocenienia skromnego własnego talentu spodziewać było można. Wiele lat później słyszałem też samą muzykę wykonaną przez wyższego narodowego artystę, pana A. Kątskiego. Ćwiczony na wzorach klasyków od małego dziecka, umiał młody ten wirtuoz dopiąć wyższego stopnia wydoskonalenia od naszego Paganiniego, twórcy własnego swego talentu. Ale czy sprawił większe wrażenie na swych słuchaczach? tego nie wiem. Paganini grał dla Anglików nieznających muzyki; pan Kątski dla Francuzów, umiejących ją ocenić doskonale. Wszystko jest względnem na tym świecie: talent, szczęście, śmierć nawet jest względną.

Zaproszono do bufetu dla orzeźwienia się: cały pokój obszerny przeznaczony był na bufet. Jeden bok jego zajmował stół obsadzony bulionami żółtymi, rostbifami, nieskończoną liczbą pasztetów z wszystkimi mięsami i owocami, ptakami pieczonemi, od szwedzkiego głuszca aż do afrykańskich kwicołów, szynkami z niedźwiedzia i dzika, rybami od czechuzgi, mieszańca Wołgi, aż do węgorza z Surynamu, skorupiakami od norweskiego raka morskiego, aż do drobnych aromatycznych jestestw zwianych z szczytów gór Himalaja na gorące pola Bengalu, owocami od złotej pomarańczy ogrodów hesperyjskich, aż do soczystych winogron z Fontainbleau i słodkich daktyłów Tafiletu! A całe to smaczne muzeum historyi naturalnej stało pod cieniem drzew pomarańczowych, kwiat i owoc razem noszących, drzew wiśniowych, których gałązki uginały się pod ciężarem dojrzałych wiśni (w miesiącu kwietniu, pod zimnem niebem Anglii), pod cieniem kwitnących róż, kamelij, kaktusów, hortensyj i georginij.

A cukry! będę opisywać pagody chińskie z karmelu, ruiny Persepolu z biszkoktów, świątynie Efezu z czekolady, Alhambrę wzniesioną z makagigi, Kapitol z marcepanów, kościół św. Pawła wybudowany z kasztanów osmażanych, a pałac Elizejski z szarlotki ruskiej.

Za stołem paliły się jak wulkany wazy ponczu francuzkiego, kurzyły wazy wina z korzeniami.

Pod jedną ścianą długi szereg baryłek dębowych z złożonemi obręczami i kruczkami, na dnie ich następujące napisy: *Oporto, Madeira, Xeres, Mallaga, Alicante, Cartagena, Frontignan, Lunel, Chabli, Bordeaux. Syrakuz, Przyładek Dobrej Nadziei, Astrachan.*

Pod drugą ścianą stały uszykowane w plutony i bataliony butelki różnego kształtu z napisami: *Chateau Lafitte, Pontac, Chateau la Rose, Julien, Limoux, St. Perray, Chambertin, St. Georges, Ay, Epernay, Wolksheim, Markbrunner, Nierensteiner, Hochheimer, Johannisberger; Tokaj* nawet wysłał tu pół plutona.

Oryginalny naród angielski! uczy się heraldyki plecami, a historii naturalnej, architektury i geografii, żołądkiem. Któżby nie uczęszczał chętnie do takiej szkoły? Czemuż to unas nie zaprowadzą tego systematu pedagogicznego, dla wzbudzenia pilności w uczniach? i dla zwabienia uczonych do biblioteki publicznej, dotychczas jak grób samotnej?

Przybytek właśnie opisany służył tylko dla mężczyzn. Damy miały osobny, gdzie nie brakło także wina, jak można było wnioskować z śmiejących się oczków i rumianych nosków niektórych córek Albionu.

Anglicy, zawsze praktyczni, wcześniej uznali, że obowiązki grzeczności, względy dla dam, uwłaczają prawom żołądka i nie pozwalają rozwinąć się apetytowi w sposób *confortable*, to jest wygodny. Dlatego następuje przedział w chwilach Bachusowi poświęconych.

W ogólności Anglicy, nawet i młodzi, na balu, w liczonym towarzystwie, bawią się w sposób bardzo poważny. Przyjęte wyobrażenia o przyzwoitości służą im wygodnie na pokrycie braku wszechstronnego rozwinięcia umysłowego, braku żywości wrodzonej, i w swém oddziaływaniu pozabawiają innych, szczęśliwszemi usposobieniami uposażonych, naturalności i téj nadobnej lekkości w manierach, którą w tak wysokim stopniu posiadali Francuzi, niegdyś mistrze nasi, w dobrym tonie.

Angielki żywsze, staranniej wychowane i z literaturą całego świata tak dobrze obeznane, głośno ganiły swych braci za ich sztywność.

Bawili się tedy bardzo poważnie, ale zajadali i pili bardzo walecznie. Jakżeż im zazdrościłem owego szczerego apetytu! najpiękniejsze świata utwory znikają w ich żołądkach jak

w bezdenną jakąś otchłani: patrzałem się pomimowolnie w ziemię, ciekawy, czy nie znajdę jakiej komunikacji z tą otchłanią.

Lord Blunderdale, dbały o przywileje swego wysokiego stanu, nie dał sobie wydrzeć pierwszeństwa w świątyni Bachusa. Odgłos jego arystokratycznego śmiechu rozlegał się po sali radośnie i elektryzował uszczęśliwionego amphitryona. »Oh! jak nasz lord bawi się wesoło mówił zacierając ręce.«

»Tak jak gdyby był w swą tawernie« pomyślałem sobie.

Widelce przestały brzęczeć, lecz kieliszki nie przestawały. Odezwały się harfy, co znaczyło: wkładaj rękawiczki rezerwowe. Drugi akt balu rozpoczyna się, już nie na kobiercu, lecz w większej sali na woskowanej podłodze, dla walca i galopady.

Poprzedzono go *»czémś z Bethowenau*, odegraném przez pana Lindley, Anglika, na basetli. Sędziwy starzec, z nadzwyczajnie przyjemną, wymowną, muzykalną fizyognomią, z włosami białymi jak gołębki, grał z trudnym do uwierzenia czuciem, nawet z siłą i biegłością. Był to najlepszy czellista swego czasu, jeden z małej liczby Anglików, znających prawdziwą muzykę. Zachwycił nas wszystkich, i radość z sprawionego wrażenia jaśniała, jak uśmiech dziecięcia, na miłej jego twarzy.

— »To musi być wyborny człowiek, ten pan Lindley,« rzeknę do panny Augusty. »kiedy w tym podeszłym wieku tak pogodnie zachował czoło.

— »Tak jest w istocie,« odpowiedziała, »i tém więcej do zadziwienia, że nie dawno temu popadł nieszczęściu całkowitej straty majątku. Lecz, pomimo ubóstwa swego, bardzo jest godnym szacunku i poważanym.«

— »Pomimo ubóstwa swego jest godnym szacunku? Miss Augusto! i pani także...« rzekłem z ściśnionym sercem.

— »Dokończ pan: nie jesteś lepszą jak wszyscy Anglicy« odpowiedziała, śledząc w mej twarzy skutków swych słów. »Nie, nie! wykorzeń pan z myśli zaraz w tej chwili to podejrzenie. Ja niedziękę wszystkim przesądów mego kraju, i dlatego stać się mogę ich ofiarą. Ale inną razą o tém, wszakżeż nie ostatni raz pana widzimy?«

— »Istotnie, pani, uszczęśliwiony byłbym, gdyby mi rodzice pani pozwolili uczęszczać do domu ze wszech miar tak godnego i przyjemnego.«

— »O! to pan wcale jeszcze nie zna przywilejów naszych. My mamy prawo zapraszać naszych gości, a papa i mama nie potrzebują ratyfikować naszych zaprosin.«

Tak jest istotnie. Przywileje panien Anglii przechodzą przywileje jej mężatek, które bez pozwolenia męża nie śmieją zaprosić nikogo do domu. Dziwna to rzecz te wolności panien angielskich! świadczą one o ich moralności, o rzadkich w tym kraju nadużyciach gościnności. Co kraj to obyczaj, niesie nasze przysłowie. Gdyby we Francyi, gdzie mama i guwernantki pilnują młodych panien jak żrenicy w oku, angielska wolność została zaprowadzoną, wówczas pewien jestem, że Mairé stałby się dla zawarcia małżeństwa niepotrzebnym gratem, a zamiast jednego kowala z *Gretna Green*, który w Anglii trzem królestwom wystarczy, każda francuzka gmina musiałaby ich trzech posiadać! Ale podobno by się i bez tych obeszło!

Nigdzie mniej nie ma skandalów jak w Anglii, choć ich także nigdzie dzienniki tak niegodnie nie rozgłaszają, jak w tym kraju. Dziennikarze angielscy poświęcają wszystkie względy honoru i uczciwości nizeczemnej chęci rozpowszechnienia swego pisma podsycaniem i żywieniem złych instynktów gminu. Lecz nie wpadajmy teraz jeszcze na trop dziennikarstwa, zawiódłby nas za daleko, a tu bal się kończy, goście się usuwają, panny G...., jako przyjaciółki domu, zostają dłużej, i ja z niemi, gdyż mi ofiarowały grzecznie miejsce w powozie.

Przy ulubionym kominku angielskim, owym domowym *fire side*, o którym każdy Anglik mówi z taką czułością, jak my o naszej rodzinnej zagrodzie, dla niego bowiem ciasny dom jest tém ogniskiem tkliwych uczuć, którem dla nas jest kraj cały; przy kominku, mówię, zaczęła się w małym kole przyjaciół domowych jedna z tych rozmów, nazwanych tu: »*chit-chat*«, z tych pogadanek, malujących najlepiej dobrą stronę charakteru angielskiego. Opowiadano sobie wrażenia wieczoru spędzonego z tą naiwną szczerością, jaka tworzy dobry i uczciwy grunt serca angielskiego. Nikogo tu nie obmówiono, nikomu sławy nie wydarto, tu i owdzie pusty śmiech na wspomnienie, jak ten lub ów z przytomnych umizgał się do téj lub owéj, jak upadł w tańcu lub głupstwo powiedział. Wyśmiany bronił się, lecz śmiał się sam z siebie, i żadna mu gorycz w pamięci nie pozostała.



W bufecie jeszcze rozlegały się głosy, ale rozmarzone, niewyraźne. Nie była to rozmowa, ale monologi jednoczesne; jeden prawił samemu sobie kazanie, drugi przemawiał do publiczności za zniesieniem praw zbożowych, trzeci przemawiał za powiększeniem podatku dla ubogich, inny robił spekulacye handlowe, inny jeszcze śpiewał.

— „*John how is Mylord?*“ (Janie, jak się ma Mylord) spytała gospodyni.

„Mylord jest już skończony (to znaczy pijany), śpiewa: „nie pójde do domu przed porankiem“ i pada pod stół,“ odpowiedział służący z taką samą obojętnie poważną miną, jak gdyby był powiedział: „Mylord jest zdrow, kazał się kłaniać i przyjedzie jutro.“

— „Dać mu poduszkę pod głowę,“ kazała pani domu. Nikomu nie przyszło na myśl śmiać się z odpowiedzi służącego lub przygody lorda, byłoby to nieprzyzwoitością.

Przez czas niejaki miałem szczęście być przedmiotem zajęcia się małego naszego koła. Okazywano mi szlachetne współczucie, lecz nie obrażano tém politowaniem, nie durzono temi szarłatańskimi protekcjami, których na nieszczęście teraz dopiero oceniliśmy *ogólnie* wartość.

Pożegnałem się, proszony, abym uczęszczał do domu. Reki się nie całuje damom w Anglii, chyba *en très petit comité*, podaje się rękę damom i ściska się ją, lecz nie aż do złamania kości.

Odprowadzając me sąsiadki szkockie, naśmiałem się serdecznie z ich trafnych spostrzeżeń o dziwności etykiety angielskiej. Proszono mnie, abym bywał w domu każdej wolnej chwili, jako dobry sąsiad.

Nie miałem być zadowolonym z téj pierwszej wycieczki w świat angielski? Zdobyłem w niej liczne punkta oparcia dla sądu mego o charakterze tego wielkiego, a jeszcze, dla mnóstwa sprzeczności zachodzących na powierzchni jego, nie dość poznanego, cenionego narodu. Zdobyłem także punkt oparcia dla tych uczuć, które się od wyjazdu mego z Królewca błąkały rozstrzelone bez celu i życia, żywiąc się jedynie wspomnieniami dni ubiegłych.

Serce młodego człowieka pragnie żyć wszystkimi swemi niewyczerpalnymi siłami; straszne i uroczyste widowiska natury nie napełnią go nigdy tyle, żeby w niem nie pozostało miejsce, szczelina jakaś próżna, dla swego ideału, dla ko-

biety, która posiada wszystkie kochania godne cnoty, lub którą niemi obdarza w swój płodnej wyobraźni. Silne jest serce młodzieńca, i najokropniejsze nawet niebezpieczeństwo nie zdoła go strwożyć tyle, żeby w chwili oczekiwania śmierci nie pragnął umrzeć w oczach swego ideału. Na sobie doświadczyłem tej prawdy. Życie me byłoby tylko mdłym letargiem, automatyczną istnością, gdyby go przenikający ałtogi wpływ anioła w postaci ludzkiej, nie był wydart z nieości i nie ogarnął tą świętą poezją, która jest kolebką szlachetności i cnoty. Jest wiek, a wiek ten trwa długo w niektórych uprzywilejowanych sercach, jest wiek poezji w którym uczucie miłości pała najgorętszym płomieniem, a wolnym jest zupełnie, czystym od wszelkiej żądzy posiadania. Biada ci młodzieńcze, jeżeli z tego nie skorzystasz wieku, dla dania całemu twemu życiu wartości i rzetelności; tak, rzetelności, tej mierniej na pozór cnoty, bez której największa odwaga nie jest bohaterstwem, honor nie jest zaszczytem, najpiękniejszy talent nie jest darem boskim, dla dobra ludzi służącym, wytrwałość nie jest stałością charakteru, a pozór nie jest prawdą.

Miłość uzacnia i uszlachetnia, ale nie miłość kształtów samych i ciała, lecz tego, co przez kształt i ciało myślą świeci i duchem przegląda; miłość będąca zidealizowaniem lubości, przeniesieniem rokoszy z ciała do ducha, będąca sympatyą dusz przez ciało.

Miłość też pierwszą jest nauczycielką piękna. Ona pierwszy raz doprowadza do wiedzy prawdziwą piękną istotę, która jest harmonią treści i formy, ciała i ducha.

A cóż jest piękniejszego nad dziewicę w pełni wdzięków? kiedy z nich patrzą zdobne przymioty duszy: łagodność zawieszona na ustach, a niewinność i rozsądek poświatła w jasnym blasku oka; kiedy uroku, co się po tych pięknościach oblicza i kształtu rozlewa, kiedy tej spokojnej harmonii duszy i ciała, żaden gest swawolny, żadne spojrzenie namiętne, żadna płochość nie psuje.

I te wszystkie przymioty znalazłem połączone w jednej osobie! w tobie córko Albionu, w której zobstwiłem piękną duszę w pięknym ciele. Wiele lat od chwili poznania ciebie upłynęło, wiele listków spadło z pełnego kwiatu serca mego pod zimnym powiewem rzeczywistości, wiele uszło pod żarem trawiącej tęsknoty; lecz to co pozostało

i co już wytrwa w swój postaci aż do ostatniej chwili burzą miotanego życia, to dziś jeszcze uwielbia w tobie ideał kobiety, ideał, nie stworzony łaknieniem serca, wyobraźnią podsyconą przez pożądliwość, nie! lecz ideał ducha zamitywanym duchem, ideał, nie mający nic wspólnego z żadną ziemską namiętnością, niewłączający żadnym ziemskim stosunkom, nie szkodzący żadnemu przywiązaniu. Czemuż jeden ideał wystarczyć nie może dla burzą skolatanego, z miejsca do miejsca przierzucanego, a stałego w swych platonicznych potrzebach człowieka?!

ROZDZIAŁ IV.

UCZENI ANGLII.—ICH UBIEGANIE SIĘ ZA FACHOWOŚCIĄ.—PORÓWNANIE ICH Z UCZONEMI NIEMIECKIEMI.—UPAMIĘTAJ SIĘ BEZCZYNNOSCI.—WEJŚCIE W STOSUNKI LITERACKIE Z CZASOPISMEM LEKARSKIM.—PRZYPADKOWE ZAPOZNANIE SIĘ Z MISYONARZEM ANGIELSKIM I USŁUGI ODDANE MI PRZEZ NIEGO.—ŚMIERĆ JEGO.—PAN WAKLEY.—STOSUNKI Z NIM LITERACKIE, ZERWANIE ICH.—OGÓLNY RYS STANU UMYSŁOWEGO, SZCZEGÓLNIJ POD WZGLĘDEM UKSZTAŁCENIA FILOZOFICZNEGO ANGLIKÓW.—PRAWODAWCA ICH FILOZOFII, LOCKE.

Kilka dni minęło:—lata to dla młodego, ciekawego, czujnego wędrowca. Zapraszają mnie na wieczór literacko-tańcujący do państwa G...

Czyż potrzebuje nadmienić, że na wieczorze u nich znajdowała się rodzina Lee....? Na nim miałem sposobność zaznajomić się z kilkoma uczonymi Anglii, znanymi od całego świata. Podziwiałem w nich gruntowność fachową (profesjonalną, jak tu mówią); lecz zarazem spostrzegłem w ich myślach ubieganie się za tą fachowością z widocznym wyłączeniem, odpychaniem nawet tego wszystkiego, co nie wchodziło w poczet nauk lub myśli, bezpośredni związek mających z przedmiotem badań lub zawodu, któremu się poświęcili. U niektórych specjalność ta dochodzi aż do jednostronności; i tak stać się musiało koniecznie u ludzi zapominających, że wszystkie nauki i sztuki tajemnym pomiędzy sobą połączone są węzłem, i że nawzajem się doskonala i uszlachetniają. Mówił o tym Cycero na sto lat blisko przed Chrystusem, lecz Cycero nie jest bohaterem Anglików, zarzucają mu brak stoicyzmu, godności i odwagi, temuż samemu Cyceronowi, którego Rzym nazwał ojcem ojczyzny: *Roma patrem patriae Ciceronem libera dixerit.*

Ciasno pojmują Anglicy głębokość nauk, i wyjawiają to najoczywiściej względem wielostronnie usposobionych

lub usposabiających się ludzi. Łatwo się na tém spostrzeże cudzoziemiec i najczęściej pyta przyczyn tego ciekawego, czasem niewygodnego mu zjawiska.

Wstręt Anglików do wszelkiego rodzaju wszechstronności pochodzi z idei materyalnej, jaką sobie stworzyli o działalności i wartości władz umysłowych. Przyjmują punkt saturacyi rozumu myślami, tak jak gdyby ten rozum był butelką lejdejską, która przesycona elektrycznością sama eksploduje, lub też gąbką zdolną napawać się pewną tylko ilością wody, lub też tablicą z dziurkami, w którą pewną tylko ilość kołeczków wsadzić można. Tę elektryczność, wodę lub kołeczki przedstawiają im myśli ludzkie, i ztąd pochodzi, że wolą sobie napełniać rozum raczej do zawodu służącymi myślami, jak w dalekim stosunku z nim będącymi.

Porównania tego pospolitego byłbym nie użył, gdyby inne wyszukiawsze lepiej rzecz malowało. Przekonamy się później, do jakiego stopnia Anglicy materyalizują pojęcia o rzeczach najidealniejszych, podpadających jedynie pod zmysły ducha.

Nie myślę wcale ganić w professorach angielskich dążności praktycznej, i ubolewać nad tém, żem w nich nie znalazł téj barwy wszechstronności filozoficznej, którą prześląkli Niemcy, i za którą wcale nie miałem powodu tęsknić. Nie widziałem raz profesora naszego chirurgii, rozprawiającego nad chorym, którego miał operować, z nożem w rękę pół godziny o filozofii Szelinga, z powodu ciężcia trójkątnego mającego pozbawić narosła chorobliwego? Wątpię, czy ta rozprawa bardzo uczona o filozofii naturalnej przyłożyć się mogła w najmniejszej części do dobrego rezultatu operacyi; może też miała służyć choremu za pewien rodzaj chloroformu, odurzyć go i uspić.

Nie widziałem raz (mówię jeszcze o Niemcach i filozofach, lecz już nie o professorach), nie widziałem raz pewnego żandarma pruskiego, który dowodził swemu więźniowi, doktorowi filozofii D., na zasadzie filozofii Hegla, że ufać na słowo honoru więźniowi, byłoby nie być żandarmem pruskim, lecz istną kontrydykcyą siebie samego?

Tak, nie ganię praktyczności Anglików, wybaczam im nawet suchość praktyczną; lecz żałuję, że się niepotrzebnie trwożą swemi za bardzo skromnemi wyobrażeniami o nie-

dostateczności rozumu ludzkiego, i przez to wyzuwają z wszelkich sposobów okraszenia i najsuchszej nauki, bez ujmowania jój głębokości. Wszakżeż i owocowy ogród, tak pożyteczny, można zrobić miłym oku i ozdobnym bez szkody drzewom i psucia miejsca. Tego nie pojmują Anglicy, i dumni są z tego, że ich nazywają *matter of fact men*, to jest ludźmi nie spuszczaćcami ani na chwilę celu materyalnego z oka swego.

Czas schodził mi przyjemnie w owym Londynie, który mnie przy wstępie tak przestraszył. Dzięki wpływowi tajemnemu, ukrytemu, jedne zaprosiny goniły drugie: bale, koncerty, wieczory i obiady następowały szybko po sobie. Zrobiłem wiele znajomości. Część ich uprzejmie wyjawiała mi chęć pozostawania w stosunkach przyjacielskich ze mną; o szczerości wątpić nie mogłem, znałem już Anglików jako ludzi nie poniewierających owych oświadczeń.

Lecz nadszedł czas, w którym koniecznie trzeba było upamiętać się i przypomnieć sobie, że nie przybył do Anglii ani z méj woli, ani dla méj przyjemności, że mnie los nie zarzucił tak daleko od mego kraju na zrywanie kwiatów. »Teraz nie jesteś już samotnym, rzeknę raz pewnego sam do siebie, egzaminując mą kieszeń; obeznałeś się z miejscowością i zwyczajami, masz zacnych znajomych, dobrych przyjaciół, masz nawet to, czegoś od dawna szukał: masz ideał, ideał w jednej osobie, a nie składkowy w trzech osobach, na jakim dotychczas w niedostateczności szczęścia twego musiałeś przestawać; już nie ci nie brakuje do szczęścia życia, *prócz sposobów do życia*. Dość ważna i na uwagę zasługująca kwestya, której jeżeli nie zdołasz dobrze rozwiązać, znajomi twoi cię nie poznają, przyjaciele stronić będą, a ideał? któraż kobieta chciałaby być ideałem człowieka, nie umiejącego majątkiem, urzędem lub pracą utrzymać się na wysokości jój stanu? Mnie tylko pozostała praca, jako jedyny środek zabezpieczenia sobie bytu; lecz to mnie nie trwożyło: tyloletniem doświadczeniem nauczony, wiedziałem, że niczem dla mnie było pracować dwadzieścia trzy godzin, dla zapewnienia sobie swobody i przyjemności w dwudziestj czwartj, i w téj jednj godzinie czułem w sobie tyle życia, tyle szczęścia, roskoszy i dumy, że mi nawet nie

przyszło na myśl zazdrościć owym uprzywilejowanym synom ziemi, dla których życie jest tylko jedną zabawą, jednym zabiciem czasu.

Myśl wejścia w stosunki literackie z czasopiśmie lekarskiem: »*The british Lancet*«, urzeczywistniłem o tyle, że codziennie poświęcał kilka godzin czasu na spisanie kilku rozprawek chirurgicznych w języku angielskim: pracy dla mnie zupełnie nowój, pomimo bowiem najsilniejszych starań, trudno jest dogodzić stylem publiczności angielskiej, zanadto zaniedbującej go w toku mowy potocznej, lecz bardzo wymagającej w drukowanej. Przypadek czy też zrządzenie Boskie obdarzyło mnie pomocnikiem w osobie misjonarza angielskiego.

W jednej z mych samotnych ukochanych wycieczek do niemego mego przyjaciela, do góry pierwiosnka, spostrzegłem, przechodząc przez park Regenta, misjonarza kazającego na gołym polu słowa Boże zgromadzonemu ludowi. Przybliżyłem się do grupy i pozostałem tak długo, jak trwało kazanie. Kaznodzieja był młodym człowiekiem; czarny frak jego, dość wytarty choć czysty, świadczył o ubóstwie, czoło i oczy nie połyskały geniuszem; lecz w tej twarzy bladej, wychudłej, było wiele uczciwości, wiary, a nawet w niektórych chwilach natechnienia. Celem wszystkich mów jego było, wykazać w prostych, ludowi przystępnych słowach, żywioły szczęścia, życia i zbawienia zawarte w piśmie świętym; za to mu towarzystwo kaznodziei polowych (*Society for field preaching*) dawało złp. 20 na tydzień i mieszkanie, czyli raczej nocleg tylko w domu missyi.

Przechadzki me odbywałem prawie co dzień o téjże samej godzinie, tak, że kilka razy napotkał misjonarza naszego przy pełnieniu owych obowiązków; każdą razą stawałem i słuchałem wykładu jego aż do końca, a potem niezmiennie szedłem dalej na mą górę.

Wpadłem w oko misjonarzowi; rzadko w jego życiu zdarzyło mu się zwrócić uwagę jakiego gentlemana; jeżeli który się zbliżył do grupy, to chyba na chwilę tylko, i szedł dalej uśmiechając się szydersko. Na twarzy mej nigdy nie spostrzegł szyderstwa, a przypisując uwagę mą li tylko pobożności (z wstydem wyznam, że się do niej mieszała także chęć korzystania z dobrej wymowy języka angielskie-

go), śledził przyczyn mych smętnych samotnych przechadzek, w jakimś tłoczacém mnie nieszczęściu lub w jakiej zgryzocie sumienia; odważył się iść zdaleka za mną, i nie zatrzymał się aż u stóp góry pierwiosnka, tej saméj, na której już raz miałem zajście z policyantem. Wahał się czas niejaki, lecz nareszcie wolno wszedł na szczyt pagórka, zbliżył się do mnie i kłaniając się pokornie i bojaźliwie nawet, rzekł do mnie: »Niech mi pan raczy wybaczyć, proszę jak najuniżeniej, lecz miłość jedynie chrześcijańska mną powoduje, a nie płocha ciekawość. Widuję pana często przysłuchującego się tak nabożnie słabym mym kazaniom, przechodzącego się samotnie, pogrążonego w myślach, rozmawiającego z samym sobą. Musisz mieć jakieś głębokie zmartwienie, nawet zgryzotę, pragniesz może pojednać się z Bogiem, któregoś miał nieszczęście obrazić?«

—»Brawo! mój kaznodziejo! miesiąc temu wzięto mnie na témże samém miejscu za waryata, dziś biorą za bezbożnika; widzę jasno, że awansuję w opinii publicznej. Nie, panie, uspokój się. Ja jestem tylko podróżnym, sentymentalnym podróżnym, na sposób waszego Sterna.«

Missyonarz:—»Broń pana Bóg Wszchemogący od tego nieszczęścia; wszakżeż Stern był najgorszym bezbożnikiem, i teraz pokutuje w piekle za wszystko złe, co wyrządził mowami swemi i bezecnemi pismami.«

Ja:—»Masz tedy! policya mianowała go waryatem, aby go uwięzić, teologia mianuje go bezbożnikiem, aby go potępić w oczach potomności; a ja myślę, że był zdrowych zmysłów i dobrym człowiekiem, i że jedynie excentrycznością swych pomysłów ściągnął na siebie gniew jednej i drugiej potęgi.«

Złąd wszczęła się między nami długa rozmowa, w której starałem się przekonać nowego znajomego, że ja mam słuszność, a on się myli. Z teologią przynajmniej rozmawać można bez obawiania się skutków. Zamiast com miał towarzyszyć gościowi, on musiał pójść ze mną do pobliskiego *Hempstead* na porter. Trzeba wiedzieć, że wszyscy misyonarze angielscy lubią porter narodu swego, nawet w tych krajach, gdzie butelka kosztuje rubla.

Za powrotem naszym do miasta zadeszczyło się; poprosiłem nowego znajomego do siebie dla przeczekania deszczu, mieszkał bowiem aż za *Temple-Bar*, o dobre pół mili polskiej;

i tu u siebie, widząc go tyle usłużnym i skromnym, wpadłem na myśl użycia teologii do wydoskonalenia chirurgii, to jest do poprawienia stylu mych redakcyj. Misyonarz podjął się tej pracy z wielką gorliwością i ochotą. Przychodził do mnie kilka razy na tydzień, kiedy mu ulewy nie pozwoliły pełnić służby na ulicach i placach publicznych, i nie nigdy przyjąć nie chciał w nagrodę za swe ważne usługi. Czasem tylko, kiedy mnie widział w stosowném usposobieniu, wyciągnął biblię z swój kieszeni, padł na kolana, prosząc Boga: aby mu dał siły przekonania méj duszy, zanadto zajętej światowością, o świętości wiecznego, do odrodzenia ludzkości przeznaczonego pisma, i przeczytał z uroczystością traktat jaki religijny. Wtenczas, spostrzegłszy na twarzy méj wzruszenie,—a jakżeż można było pozostać obojętnym na widok téj gorącej pobożności, o której szczerości zupełne miałem przekonanie?—wtenczas mówię był uszczęśliwionym w swój duszy, a radość serca świeciła w oczach jego, i rumieńcem występowała na bladém obliczu. Wtenczas starał się spożytkować na korzyść mego *odrodzenia* wszelkie wzruszenie mego serca, i nieraz udało mu się oderwaną od ziemi duszę unieść w wyższe sfery, tam, gdzie nie masz przeświadczeń, ale gdzie jest wiara, wiara zupełna, bez myśli, bez wątpiewania; tam, gdziebym był tak chętnie pozostał całe me życie, zkądbym był z własnej swój woli już nigdy nie chciał wracać na ten padoł płaczu i zgryzot, na którym Bóg chciał abym się rodził, ja, syn jego z ducha, syn ziemi z ciała, a ciężący niém tyle, choć jest słabe i wątłe. Spadałem, stokroć nieszczęśliwszy po mym upadku, jak przed wzniesieniem. Lecz w mym głębokim smutku rozplýwały się, jak w bezdennych a czystych odmętach oceanu, wszystkie inne ziemskie smutki, jak ówe brudne rzeki do morza wpływające, i w samém nieszczęściu znajdowały ulgę, gdyż przyczyna jego była boską. A rzewne łzy, które twarz mą zlewały, były łzami niebieskimi, gdyż ich nie wyciskała ani przemoc ludzka, ani własna zazdrość, ani ból ciała, ani nieszczęście sprowadzone winą bliźnich; były to łzy tęsknoty do téj wspólnej nam ojczyzny, jedynéj jaką *my* posiadamy.

Biedny *Saunders* (tak się nazywał mój misyonarz) odwiedzał mnie przez kilka miesięcy; lecz nagle smutna w nim zaszła zmiana: nikł oczywiście, kaszlał, głos swój stracił i gorączkę miewał w wieczór. Były to suchoty galo-

pujące, tak mordercze w Anglii. — »Panie *Saunders*,« mówiłem mu, »zaprzestań pan kazać i wystawiać się na słoty; ten katar może zły wzięść obrót.« — »Ten katar,« odpowiedział mi, »dawno już nie jest katarzem, pan wiesz o tém i ja także. Szanować się byłoby mą powinnością, gdyby mi sumiennie choć najmniejszy pozostawał promyk nadziei ratunku. Ja wiem, gdzie idę, i Bogu dziękuję, że mnie tak miernemu ze wszech miar stworzeniu dozwoli umrzeć w jego bezpośredniej służbie, i dziękuję mu rzewnie, że mnie natchnął myślą poświęcenia się jemu jeszcze wtenczas, kiedy byłem zdrow i silny, i nie mógł przewidzieć mego końca, tak, że przed sobą samym wolnym jestem od podejrzenia, jakoby spekulował na tę piękną śmierć dla zaskarwienia sobie nią jedynie łaski jego. Zresztą, proszę pana, nie mówmy już nigdy o tém. Pan, jako lekarz, jesteś przekonany, że nic mnie nie uratuje; ja zaś widząc mych współbraci umierających po największej części w kwiecie wieku na tę samą chorobę, wiem doskonale co mnie czeka, i Bóg wie, jak rzewnie go proszę, żebym nie skałał reszty życia mego dumą z tego co mnie czeka.«

W kilka tygodni później *Saunders* zaprzestał przychodzić do mnie. Przewidywałem przyczynę i pobiegłem do missyi. Leżał biedny Missyonarz w infirmeryi z innym jeszcze kolegą także suchotnikiem. Śmierć bujała nad obydwoma, wahając się na którego najprzód uderzyć.

Nie wiedziałem, że można umierającemu tyle sprawić radości, ile ja sprawiłem *Saundersowi* moym widokiem. »*O thou kindhearted creature!* (o ty dobroduszne stworzenie! Anglicy nie używają zaimek drugiej osoby jak w chwilach najuroczystszych), nie zapomniałeś biednego missyonarza, i nie lękałeś się być świadkiem śmierci chrześcianina. Bóg ci wynagrodzi, zostawiając ci jej obraz głęboko wryty w pamięci.« Umarł dopiero na trzeci dzień w mych oczach. Towarzyszyłem mu do grobu; prócz kilku missyonarzy, kilkunastu wyrobników dawnych jego przyjaciół i po części krewnych, starych rodziców także wyrobników, których wspierał częścią swego szczupłego zarobku, nie było nikogo na pogrzebie jak dwóch członków towarzystwa biblijnego i ja. Jeden z tych panów odczytał nad grobem zamiast mowy pochwalnej suchy raport z działań *Saundersa*. Podczas 31 miesięcy spędzonych w służbie czynnej jako missyonarz, miał pod

gołym niebem przeszło 4,000 kazań, z których żadne nie trwało mniej jak pół godziny. Było czém zerwać i żelazne płuca.

Śmierć towarzysza mych prac, któremi przy wielkiem wprawdzie wysileniu, umiałem zarobić na swe utrzymanie; śmierć przyjaciela, który mię krzepił gorącą swą wiarą, była pierwszym bólem głęboko mnie rażącym w tém mieście, w którym ich tyle i tak dotkliwych miałem doświadczyć.

Redakcye me chirurgiczne miały szczęście podobać się panu *Walkley* magistrowi chirurgii, redaktorowi *Lancety* brytańskiej i członkowi parlamentu; ofiarował mi pięć funtów szterlingów, to jest 200 złp. za arkusz druku rozpraw, dwa razy zaś tyle za arkusz druku rewizyj i krytyk, mianowicie krytyk operacyj wykonanych przez chirurgów znakomych, których mi dał listę.—»Musisz pan sobie wyrobić wstęp do szpitali, udać że nie rozumiesz po angielsku, dla oddalenia od siebie wszelkiego podejrzenia, a dobrze patrzeć na palce tych dostojnych grzybów szczęścia, tych doktorów medycyny i chirurgii mianowanych przez uniwersytet oxfordzki, gdzie nawet sali anatomicznej nie ma; tych niesumiennych ludzi, którym się zdaje, że mają rozum dlatego, że zdobyli z łaski arystokratów tytuły, stopnie i ogromne dochody. Tych zniszczmy w opinii publiczności, wykażmy z głęboką erudycją, z nieskończonym dowcipem i bystrością, że są szarlatanami i fuzerami; nie żałujmy uszczypliwości, bądźmy niełitościwymi w obronie praw cierpiącej ludzkości, i nastawajmy na stan rzeczy, który królowi nawet nie pozwala wybrać sobie dobrego lekarzã, dlatego, że nie chcąc nadwężyć systematu Torysów, musi sobie wybrać najarystokratyczniejszego. Kiedyż to biedny nasz dom panujący będzie mógł mieć przynajmniej tak dobrych lekarzy, jak mają nasi ubodzy,« dodał z westchnieniem radykalny deputowany, dając mi tém do poznania, że wierzy dziennikom opozycyjnym, utrzymującym z trudną do uwierzenia śmiałością, że Wilhelm IV. źle był leczonym w swęj chorobie.

—»Racz mi powiedzieć, kto jest autorem artykułów do-tychczasowych o operacyach profesora *Dieffenbach*?« zapytałem pana *Walkley*.

—»To własny synowiec profesora, to doktor *Ernest Dieffenbach*, żyjący tu w Londynie, przybyły z Zurichu

z Szwajcaryi razem z innymi wychodźcami niemieckimi,« odpowiedział pan redaktor.

—»Kiedy tak, to ja nie mogę odbierać mu pracy, byłoby to złym czynem,« rzekłem.

—»Niech pan nie myśli, że tém nadwreżasz swe sumienie. Dr. *Ernest Dieffenbach* nie zna jeszcze swego stryja, i w ogólności nie doskonałe ma wyobrażenie o chirurgii; nigdy nawet dla słabości wzroku i słuchu nie może w tym zawodzie dostąpić wydoskonalenia. Artykuły chirurgiczne pisał z niechęcią, na me jedyne nalegania; spodziewałem się zaostrzyć ciekawość publiczności magicznym wpływem, jaki tu u nas wywiera samo nazwisko *Dieffenbach*. Lecz wyznając, że się ta spekulacya nie udała. Dr. *Dieffenbach* jest erudytą niemieckim, uczniem profesora *Schoenlein*, którego nazwisko sławném się staje na cały świat. Użyjemy go do rozpowszechnienia jego sławy w Anglii, do obznajomienia świata lekarskiego z systemem własnego profesora. Obaj na tém skorzystamy. Radzę panu zapoznać się z Dr. *Dieffenbach*; jestto człowiek wielostronnie uczony, bardzo miły w towarzystwie, pełen uczuć pałających i żywych pomysłów. Oto jest adres jego!«

Stosunki me z prawodawcą angielskim były zawsze bardzo przyjemne. W krótkim czasie miałem zyskać całe jego zaufanie. Powierzał mi najważniejsze prace, wyrobił miejsce lekarza przy *foreign dispensary*, przynoszące wiele zaszczytu i nadziei na przyszłość, lecz na chwilę pracę tylko, wydatki na dorożki i stratę czasu. Zapraszał na obiady, gdzie się zapoznałem z wszystkimi prawie znakomitszemi radykałami. Różnią się ci panowie pod wieloma względami pomiędzy sobą; lecz jedną stronę mają wspólną: nie wierzą w doskonałość własnych doktryn, choć je ogłaszają w życiu publiczném całemi siłami swych płuc, i, zdawałoby się przynajmniej, serca. W życiu prywatném żyją tak jak wszyscy inni synowie Anglii, nie odstępują od przesądów, przywyknień i zwyczajów rządzących Anglią. Brzydzą się mottóchem, ścigają za fortuną, a pierwszy kieliszek przy każdym obiedzie piją za zdrowie królowej.

Jednego dnia wyczytuje w dzienniku, że pan *Walkley* został mianowany przez ministra *Coronerem Londynu*, to jest urzędnikiem odbywającym wizyę ludzi zabitych lub schodzących z świata nienaturalną śmiercią; że przyjął ten

urząd zyskowny, a zatém że się wyrzekł krzesła swego w parlamencie, gdyż w Anglii nie można być razem urzędnikiem ministeryalnym i deputowanym. Teraz dopiero pojąłem radykalnego doktora, któremu nie wiedząc o tém, pomagałem memi artykułami krytycznemi do stania się straszny dla swych przeciwników, do wymożenia koncessyj, do osiągnięcia celu jego ambitnych życzeń.

Podjąłem się tej mozolnej pracy, rozumiałem służyć światu i nauce, i wytrwałem w niebezpiecznym ślizkim zawodzie krytyka bezimiennego. Ale teraz przekonywam się, że szlachetne me pobudki spotrzebowano na dopięcie osobistych widoków.

Ja byłem tylko podrzędném narzędziem w rękę intryganta politycznego, a mój biedny *Saunders* unikający z taką troskliwością wszelkiego złego czynu, wszelkiej złej myśli, gdyby był wiedział, że krytykując operatorów, szarpaliśmy jedynie torysów, żeśmy prześladowali ludzi za ich opinie polityczne?

Byłto drugi cios dla mego serca tém boleśniejszy, że połączony z odczarowaniem, z tą poczynającą się śmiercią złudzeń tak drogich młodości.

Przyszedłszy do domu spaliłem z gniewem resztę krytyk, było ich przeszło arkusz druku. Na twoją to cześć czynię biedny *Missyonarzu!* któryś służył intrygantowi, mniemając że służyysz przyjaźni i oświacie. Do p. *Walkley* już nie wracałem; on mnie także nie zapraszał, z czego byłem bardzo zadowolony, gdyż tém dał poznać, że pojmuje mój gniew i że go usprawiedliwia w wnętrzu swego sumienia. Razu jednego spotkaliśmy się przypadkiem; wymiąć się nie było można żadnym żywym sposobem. — »Doktorze,« rzecze do mnie p. *Walkley*, »wiem że pozostały jeszcze u pana obserwacye w szpitalu zebrane (tak nazwał tą razą krytyki profesorów torysowskich) racz mi je pan odesłać.« — »Spaliłem je w dzień nominacyi pańskiej na *Coronera*, z radości, że się panu tak dobrze powiodło skoczyć jednym susem z parlamentu aż do kruchty,« odpowiedziałem śmiejąc się dość serdecznie.

Pan W.:—»Ah bah! umarli przynajmniej nie mówią, i to jest zysk dla mych uszów znękanych gadulstwem teoretyków. Ale wróćmy do naszych obserwacyj, wiem że ich było do trzech arkuszy. Chętnie panu wynagrodzę pracę pańską

choćbym z niej nie miał korzystać. Trzydzieści funtów jest na pańskie rozkazy.«

Ja.—»Nie mam do nich prawa, praca spalona, żadnego po niej śladu, i nie było jej za tyle pieniędzy.«

—*Pan W.*—»Nie gardź pan pieniędzmi, zima się zbliża. Pan nie wiesz co to zima angielska, jak trudno ją przebyć. Zresztą nie bądź pan lepszym Anglikiem niż my sami. Nigdy Anglik nie zdradzi swego kraju; — lecz dla zdobycia 2000 funtów szterlingów rocznego dochodu, wielu jest gotowych pomiarkować się w swym zapale politycznym.«

—»Szczególnie ci, co się od dziesięciu lat umyślnie zapalali, dla przedstawienia światu tego pocieszającego fenomenu zgaśnięcia w kruchcie; nieprawdaż? panie Coronerze!«

—»Jesteś pan nieubłaganym widzę,«—odrzecze mi pan Walkley, »za parę lat inaczej będziesz sądził o rzeczy.« A powiedziawszy to kazał zaciąć konie i zostawił mnie na ulicy ze smutkiem na czole i gniewem w sercu.

My tu w oddaleniu zwykliśmy uważać angielskich prawodawców za owych nieugiętych Spartańczyków, zawsze gotowych do wyrzeczenia się siebie samego dla szczęścia ogółu. Zdarzają się tacy dość często, ale tak znów nie jest bez wyjątku; — i w Anglii wodę gotują, światłem świecą i pieniędzmi kupują, — i w Anglii znajdziesz pomiędzy prawodawcami ludzi oddających się w życiu prywatnym panowaniu najdrobniejszych namiętności, w życiu zaś publicznym używających zawodu politycznego jako hebel i stopień do własnego osobistego szczęścia. Znajdzie takich w parlamencie angielskim, mianowicie w tych odcieniach politycznych, których pewnemi jasnemi definicyjami jeszcze określić nie można. Tacy należą naturalnie zawsze do systematycznej opozycji, korzystać umieją doskonale z każdego ambarasu ministrów i w mętnej wodzie lubią ryby łowić. Nie raz im się uda piękny na całe życie wystarczyć mogący połów zrobić, częściej jednakże sami w ową mętną wpadają wodę, z kąd ich nie łatwo wydobyć. Ale daleko jeszcze ztąd do oczywistej zdrady kraju. Zaden jeszcze Anglik, prosty człowiek, czy też nawet magnat, nie opuścił ojczyzny swęj lub sprawy w chwili niebezpieczeństwa.

Mnóstwo zachodzi pozornych sprzeczności w tym trudnym do pojęcia charakterze angielskim, w tém życiu wielostronném a tak czynném tego wielkiego narodu. Najprzód

nas zastanowi owa budowa polityczna Anglii sztuczniejskomplikowana jak ów zegar Strasburgski, a jednak tak silna i żywotna, że nawet w najgorszych czasach z jej kół i karbów nie zdołała się wywinąć, ani jedna piędź ziemi zagarnięta w czasach lepszych przemocą i nieprawnie. Potém musimy podziwiać ową potężną politykę, która od dwóch wieków idąc nieubłaganie i niezmiennie swym systematem i torem podbija ciągle, mieczem czy łokciem, najodleglejsze ludy dla wpojenia im własnych wyobrażeń o prawach człowieka i powinnościach względem Boga. Nakoniec niesposób nie uznać owego zamiłowania się Anglików we wszystkich szczytnych pojęciach o filantropii i religii, ich przedsiębiorczości, stałości, wytrwałości z jaką wprowadzają w życie (i to na największą skalę, nie szzczędząc żadnych prac i ofiar) idee, zaszczyt i szczęście przynoszące całej ludzkości.

A jednak wszystkie te wielkie wyniki szlachetnych pobudek lub też przynajmniej głębokiego rozumu, istnieją obok najniesprawiedliwszych czynów, oburzenie wzbudzających przeciw Anglikom. Angliacy miliony wydają na rozpowszechnienie biblii i traktatów religijnych; niemi robią sobie w imieniu Boga i wiary stosunekczki z najodleglejszymi krajami; niemi wkraczają w tajemnice polityczne każdego na pozór im najobojetniejszego ludu, a nareszcie za bibliami za owem słowem Bożem ciągną jeźli nie wojska w szkarłatnych mundurach, przynajmniej wozy kotonnad angielskich, porter Londyński, brzytwy i pałasze z Liverpool, broń palna z Birmingham, armaty z Scheffield i amunicya z Toweru.

Wiele też jakoś na pozór przynajmniej obłudy w owych staraniach o rozkrzewienie chrystyanizmu. W jednym miejscu każdy żyd na chrześcianina przemycony kosztuje ich ze 12,000 złp., a w miastach wschodnio-indyjskich załogi angielskie występują przed Brahminami, i zaszczyty wojskowe przy odgłosie armat i powiewaniu sztandarów oddają,—komu? drewnianym bożyszczom wyobrażającym Brahme, Shiwe i Wisznu.

Katolikom w Anglii nie wolno zwoływać swych wiernych do kościoła!

Ale kontrabandę wprowadzać wolno do sprzymierzonych krajów, nawet zbrojną ręką w potrzebie. Za kradzież wieszano jeszcze przed kilkunastu laty, ale żonę wolno mężowi sprzedać na targowisku bydłęcém. Do domu angielskiego

żadnej władzy administracyjnej i sądowej wkraczać niewolno; ale ludzi chwycić można na ulicy i gwałtem zmuszać ich do służby wojskowej. Obok najpiękniejszych dowodów sumiennosci i rozumu, trudne do pojęcia nadużycia i najsmieszniejsze przesady. Głęboko pojęta godność ludzka, a przytém wzgarda tylko, najbezwzględniejsza wzgarda dla narodów, dotrzymać nie zdołających kroku Anglikowi w ubieganiu się za złotem.

Oto sprzeczności w oczy bijące.—oto zagadki w charakterze i sposobie myślenia Anglików. Im więcej się nad nimi zastanawiałem, im ściślej wchodziłem w życie praktyczne, im ważniej zgłębiałem przyczyny i ducha działań indywidualów (a żadne słowo, żaden giest i kroki Anglików nie były dla mnie bez znaczenia), im więcej mówię zastanawiałem się nad tym narodem, tęp goręcej pragnąłem znaleźć klucz do zagadki — przypuścić bowiem nie mogłem ani na chwilę, żeby naród tak jednolity jak angielski, i tak silnej wszystkie inne przetwarzającej narodowości, nie miał mieć pewnego prawidła, do którego jak do wspólnego mianownika przyprowadzićby można wszystkie, choć tak różnorodne, na pozór zapewnie tylko sprzeczne, a bardzo liczne obawy życia.

»Jest coś wyraźnie spirytualnego w tym materyalizmie angielskim, i coś bardzo materyalnego w ich spirytualizmie« rzekłem do siebie raz pewnego, zobaczymy czy w ich filozofii nie znajdziemy źródła najtajniejszych pobudek tego narodu, jego wielkości materyalnej, a względnej niższości duchowej.

Zobaczmy, jaki był wynik mych prac i starań, może nie jednego naprowadzi na drogę prawdy w osądzeniu narodu tak imponującego, a wszystkich ludzi postępu tak interesującego, jak angielski.

Filozofia powinna być głosem najgłośniejszej potrzeby intelektualnej każdego wieku. W życiu narodowym następuje epoka, w której ludzie uczuwają głęboko potrzebę tolerancyi, w której zapragną dla swych myśli wspólnego organu. Każda prawdziwa potrzeba ogólnie i głęboko uczuta znajdzie swego apostoła. Nim był dla Anglii dwa wieki temu Jan *Locke*. Wychowany w uniwersytecie oxfordzkim, otrzymał w kolegium Chrystusa, stanowiącém część téj wszechnicy, posadę *sine cura*, która mu dozwoliła oddać

się naukom. Nauczył się sztuki lekarskiej, lecz jej wykonywać nie chciał. Zaprzyjaźnił się z *Ashleyem Cooper*, późniejszym hrabią Shaftesbury, i zatrudnił się wychowaniem syna jego. Hrabia, mianowany ministrem, powierzył mu ułożenie konstytucyi Karoliny, i dał mu znakomity urząd. Lecz minister popadł w niełaskę, a protegowany poszedł do Irlandyi dzielić z nim wygnanie, za co został zaocznie skazany na utratę swych urzędów i dostojności. W Irlandyi oddał się zgłębianiu filozofii i wrócił do Anglii razem z księciem Oranii. Mianowano go głównym komissarzem handlu i kolonij: do miejsca tego przywiązane były znaczne bardzo dochody; lecz złożył tę dostojność po pięciu latach dla słabości zdrowia, i pomimo silnych nalegań króla, nie chciał zatrzymać dochodów urzędu, którego sprawować nie był w stanie.

Lockego uważano już za życia przedewszystkiém jako apostoła wolności politycznej i praktycznej; dziś jest więcéj znanym jako filozof, jako stwórca metafizyki nowoczesnej. W swym sławnym traktacie o umie ludzkim, przedsiębierze poszukiwać początek, wartość naszych wiadomości, nie przypuszcza żadnych wrodzonych idei, żadnej intui-cyi, uważa duszę człowieka w chwili urodzenia jako czyste pole, tłómaczy wszystkie nasze pomysły jako nabyte doświadczeniem, z kąd dwoma wyradzają się kanałami: *sensacyą* czyli pojmowaniem wrażeń, i *reflexyą* czyli zastanowieniem, i przyznaje tylko wartość wiadomościom z wymienionych źródeł wypływającym.

Filozofia ta znalazła namiętnych zwolenników pomiędzy Anglikami; dziś jeszcze jest systemem ludzi umiejących sobie zdać rachunek z swych myśli, a przesiąka ogół podlegający panującym pojęciom filozoficznym. Piękność, śmiałość i prawosć charakteru filozofa, wszystko się połączyło dla nadania mu przewagi nad umysłem Anglików; — a wiara jego w nieśmiertelność duszy oślepiła ich tyle, że się nie poznali na materyalizmie jego doktryn.

Prócz systemu nierządu, którego nazwa zawiera *contradictionem in adjecto*, a rzecz *tardam confessionem culpae*, każdy inny, oparty tylko choć na jakimkolwiek bądź ułamku wiecznej prawdy, skojarzy umysły i wywoła wspólne działanie. System *Lockego*, choć tak ułomny, umiał połączyć wszystkich Anglików pod jeden sztandar w trudnej

przeprawie, sprowadzonej zmianą jednooczesną formy rządu, dynastyi i wyznania.

Pojmuję zachwycenie Anglików systematem *Lockego*, dlatego właśnie, że jest materyalnym i dość prostym dla ich pojęcia, wówczas nieokrzesanego.

System *Lockego*, choć nie kompletny, choć za nadto hołduje empiryzmowi, choć się za nadto skłania do materyalizmu i fatalizmu, nie narusza głównych zasad religii, to jest nieśmiertelności duszy, i dlatego wystarczył Anglikom, wprowadzonym nawet został do Holandyi przez *Lectera* i *Gravesanda*, do Francyi przez *Voltaira* (*Lockego* myśli o wychowaniu dzieci zawierają zarodek »*Emila*« *Jana Jakóba Rousseau*) i upowszechnionym przez *Condillaka*.

Leibnitz i *Cousin* zbijał później zasady *Lockego*. Filozofia w Niemczech, zidealizowana przez *Kanta*, przybrała tę postać eteryczną, w jakiej ją oglądamy.

Lecz temu się dziwię, że Anglia nie zrobiła żadnego postępu w wiadomościach metafizycznych od *Lockego*. Mała nader liczba przeszła do szkoły szkockiej, do szkoły *Reid'a*; inni wytrwali w zasadach *Lockego* przejściem do *Helwetiusza*, kilku odważyło rzucić się na nieznanne morza filozofii *Kanta*, właśnie w chwili, kiedy ją Niemcy jeszcze przeszli. Lecz w zastosowaniu, filozofia *Lockego* była jeszcze systemem Anglików w czasie mego tam pobytu, i wszystko, co dodali do jego moralności, przesiąkłe jest jego systematem.

Przywiązaniu się bezwzględnemu Anglików do filozofii *Lockego* przypisać należy owe formy antyspiirtualne, które filozofia angielska zachowała dotąd. W żadnym uniwersytecie nie uczą innej filozofii, przynajmniej urzędowo. W *Cambridge* zaś tak wyłącznie i ślepo idą za *Lockem*, że się nawet nie radzą autorów zbijających lub uzupełniających jego system.

Filozofia, im jest więcej materyalną, tém łatwiej odbija się w życiu praktycznym narodów, tém łatwiej przesiąknie swym duchem ich moralność. Na dowód tej prawdy służy rzadkie, potworne, mógłbym powiedzieć, zjawisko sławy i wzięcia *Paley* jako moralisty.

Wilhelm Paley, teolog i moralista angielski (urodzony w roku 1743., a zeszedł z tego świata w roku 1805.), był professorem teologii w uniwersytecie kembrydzkim. Dr. *Law*,

arcybiskup Carlisle, mianował go swym archidyakonem; potém otrzymał kilka korzystnych posad, lecz nie mógł zostać biskupem, gdyż podejrzowano jego ortodoxyę. Pozostawił kilka dzieł uważanych za klasyczne w szkołach angielskich, mianowicie: *The elements of moral and political philosophy*; w niem wspiera moralność na woli Boga objawionej przez pożytek ogólny (*general utility*).

Z wszystkich systematów samolubstwa jawnie ogłoszonego, systemat *Paley* jest może najsurowszym utworem rozumu ludzkiego. Definicja jego o cnocie wystarczy na charakterystykę całego kodeksu moralności. *Cnota jest aktem dobrze-czynienia ludziom w posłuszeństwie woli Boga, i dla zdobycia szczęścia wiecznego.* Takim sposobem najnotliwsze czyny człowieka, a pochodzące z innej pobudki jak z zapragnienia nagrody boskiej, naprzykład z wdzięczności za doświadczone dobrodziejstwa, z miłości lub czci chrześcijańskiej, nie są już czynami cnoty; więcej jeszcze: jeżeli dusza, stając się jeszcze czystsza, zrzecze się wszelkiej myśli nagrody, wówczas gwałciłaby definicyę *Paley*, i czyny jej stałyby się grzechami.

Cóż powiedzieć o uniwersytecie, który przyjął materializm jako kodeks metafizyki, a samolubstwo jako podporę moralności? *General utility*, pożytek ogólny, oto słowa bardzo często używane przez Anglików, jako przyczyną ich czynów i jako wymówka tego, co się mnie i każdemu, z naiwnością o rzeczach serca tylko dotyczących sądzącemu, zdaje być przesądem. Pożytek ogólny! oto tarcza, o którą rozbijają się nawet te argumentacye, które dążą do dowiedzenia, że nie każdy, ludzkości istotnie pożyteczny talent, wynagrodzonym jest w stosunku swój użyteczności; że zatem niesposób sądzić o wartości człowieka z tego, co posiada, lub w stanie jest zarobić.

Nie wytaczałbym tej sprawy, gdyby tu szło o opinię ludzi nieprzywykłych do zdawania sobie rachunku z swych myśli; lecz idzie tu właśnie o sposób myślenia ludzi ciągle rozumujących, nie spuszcających nigdy z oka przyjętego systematu.

Utilitarian system, czyli system pożytku, służy Anglikowi za podporę rozumu i sumienia tak wygodną, i tłumaczy tak doskonale nie jedną stronę ich charakteru dobrą i mniej dobrą, że niesposób zakończyć ustęp ten,

poświęcony elementarnym znajomościom filozofii Anglików, bez wspomnienia choć w krótkości o sławnym wynalazcy systemu utilitaryuszów.

Jeremiasz Bentham, urodził się w Londynie 1748. roku, uczył się prawa dla zostania adwokatem; lecz oburzony wadami prawa i bezprawiami panującymi w trybunałach, poświęcił życie swe dla zreformowania ich, i starał się odbudować prawodawstwo i politykę na nowych podstawach. Prawem jego zasadniczym jest: że w prawodawstwie i moralności nie powinniśmy przyjmować innego prawidła, jak pożytek. To dało doktrynie jego nazwisko: *utilitarian system* (*système utilitaire* po francuzku); czerpał zaś myśli do niego już w pierwszej młodości w księdze *Helwecjusza* o duchu. Był w stosunkach ścisłej przyjaźni z *Konwencyonalem Brissot* (gilotynowanym 31. października 1793. roku po upadku Żyromondystów), odwiedzał razy kilka Francję i takiego w tym kraju używał poważania, że go konwencya zaszczycała obywatelstwem francuzkiem. Umarł w r. 1832., mając lat 84. Wierny swemu systematowi pożytku, rozporządził swym testamentem, aby ciało jego było zaniesionem do amfiteatru anatomicznego dla dysekcyi. Tym ostatnim czynem chciał zwalczyć przesady panujące w Anglii. Do dziś-dnia pokazują dobrze zakonserwowaną mumię filozofa w muzeum *Jana Huntera* w Londynie. *Bentham* wydał mnóstwo dzieł bardzo znakomitych, mianowicie: traktakt o prawodawstwie cywilnem i kryminalnem; taktyka zgromadzeń prawodawczych i sofizmów politycznych; *Panoptyka* czyli dom inspekcji, w którym to pierwszy raz wystąpił z propozycją systemu, mającego na celu moralną poprawę przestępców (*penitentiary system*) etc.

Bentham mówi w swęj księdze *O fałszywości*: »W sercu wszystkich ludzi (wyjąwszy rzadkie i krótko-trwałe wzburzenie się namiętności, wynik rozdrażnienia mocnego i nadzwyczajnego), interes osobisty przeważa interes towarzyski; to jest: interes indywidualny każdej osoby, mocniejszym jest jak interes wszystkich innych osób razem wzięty.«

W innym ustępie téjże samęj księgi mówi: »Nie masz i nie może być istoty ludzkiej, w którejby cały interes publiczny, jakiby mieć mogła, nie był, o ile od niej zależało, poświęconym interesowi osobistemu. Wszystko co lu-

dzie najwięcej dbali o dobro publiczne, to jest najcnotliwsi, zrobić mogą dla dobra ogółu, jest: czynić co tylko są w stanie, aby postawić interes publiczny w położeniu sprzyjającym jak najwięcej ich interesowi prywatnemu i usuwać wszystkie przeszkody, mogące wyrodzić sprzeczność pomiędzy obiema.«

Ogłoszeniem podobnych sposobów widzenia o naturze ludzkiej, *Bentham* zrobił, zdaje mi się, wiele złego, zaszkodził ludzkości i samemu sobie wyrządził krzywdę. Sereca entuzyastyczne i szlachetne nabyły przez to wstrętu przeciw jego innym rozumowaniom i przeciw swemu zamiarowi, zrobienia z polityki przedmiotu rozwagi ścisłej i filozoficznej; i rzeczywiście, gdyby tenże duch w niej panował, to stałaby się jeszcze szkodliwszą, niż była kiedykolwiek, dla szczęścia rodzaju ludzkiego.

Lecz skutek podobnych przedstawień jest morderczym dla serca tych, którzy się zaraz na nich nie poznają; pozwolili zakraść się jadowi fałszywej nauki, egoizmowi, i niszczyć moralność.

Ja utrzymuję, że istnieją i że istnieli we wszystkich czasach ludzie, u których przyczyny patriotyzmu i dobrochętności spoczywały na zasadach stałych i trwałych, wyższych nad wszystkie zwyczajne pokusy, często nawet wyższych nad wszystkie możliwe pokusy osobiste. Jakżeby inaczej można wytłómaczyć szczytne poświęcenia tylu bohaterów na polu sławy, i tylu męczenników, znoszących dla tryumfu prawdy największe katusze, a wiedzących z pewnością, że ich żadna na tej ziemi za tajone ich męstwo nie czeka nagroda! Idąc za sądem *Benthama*, musielibyśmy uważać wszystkie tego rodzaju ozdoby ludzkie za obłąkane istoty, i pozbawiając siebie samych wiary w bezinteresowne, żadną brudną rachubą nieskalane uczucie, biedz ciągle za tém jedynie, co dobrze smakuje, wygląda i przyjemnie łąchce.

Ale jaki tryumf w doktrynie *Benthama* dla tych, którzy w głębi serca swego najbrudniejsze pielęgnują samolubstwo, których cały rozum, całe przekonanie o potrzebie obłudy, nie wystarcza na pokrycie jego! Brzydki ten potworek, którego się dotychczas wstydzono, znalazł przecież piękne imię, nazywa się systematem *Benthama*! teraz można go prezentować światu i wprowadzić z śmiałością czo-

łem w najlepsze towarzystwo. Mało wprawdzie dbam o tych: lepsi jawni samoluby jak obłudni; lecz idzie tutaj o masę ludzi, to jest o tych, którzy się całe życie chwieją i rzadko mają odwagę przechylić stanowczo na tę lub ową stronę.

Dla tychto, u których uczucia cnoty są słabemi, książki moralne są przedewszystkiem potrzebne. Dla tych doktryny przez *Benthama* ogłoszone są najszkodliwsze. Szlachetniejszym zarażą smutkiem i rozpaczą słabe serce; mniej szlachetnym zaś wpoją samolubstwo suche i zimne, któremu się tém chętniej poddadzą, im więcej wysilano się na dowiedzenie, że egoizm jest wcielonym w ich naturę. Nie! nie tak pojmuję działanie, wpływy i skutki filozofii. Córka głów ludzkich, nie może ona być wieczną i jedną, choćby była siostrą rodzoną religii. Lecz choć nie wieczna sama z siebie, wiecznie powinna się opierać błędom panującym w opinii ludzkiej w każdej epoce. Anglia od dawna, od bardzo dawna przestała mieć potrzebę filozofii zimnej i naturalnej; w stanie, w którym się teraz znajduje, wpływ najidealniejszej filozofii nie szkodziłby jej jeszcze.

A są narody, w których myślach i uczuciach taki chaos, że i najskromniejsza gospodarska jaka filozofia wieleby w nich dobrego zrobiła, gdyby była przyjęta, lub przynajmniej napisana słowami, których znaczenie w jakimkolwiek słowniku znaleźćby można.

Lecz jeżeli Anglia nie posiada jeszcze tego, czego jej potrzeba, nie pochodzi to z braku ludzi pojmujących niedostatek ten, choć nie mogących zaradzić jemu. Bystrości *Byziona* nie uszły wady społeczeństwa prozaicznego Anglii, lecz geniusz jego wybrał sobie niebezpieczny sposób walczenia z rodakami, poważnemi nawet w swych śmiesznościach. Szyderstwem bez litości, wytykaniem błędów prawie *ad personam*, wykrywaniem najtajniejszych ran społeczeństwa wyższego, zraził sobie opinię publiczną do tego stopnia, że ona go potępiła nawet w nieszczęściu familijnem, pomimo słuszności jego sprawy. Przeszedł jak meteor ognisty po nad swym krajem, zdumiał wszystkich swym blaskiem, lecz nie ogrzewał, zraził do ciemności przyzwyczajonych, i przestał na zawsze przyświecać ojczyźnie. Nie nie mogło ubłagać wyszydzonych: ani nieszczęście, ani bohaterkie poświęcenie, ani śmierć przedwczesna i pełna chwa-

ły. Szyderstwo poprawi tylko ludzi silnego rozumu i serca, nieśmiałych załuka, a miernych do nienawiści pobudzi.

Późniejsi literaci z mniejszą śmiałością, z mniejszym talentem walczą przeciw przesądom, materyalizmowi i sprzecznosciom angielskim, lecz taktyczny i zbawienniejszy przez to wpływ wywierają.

Z tego, cośmy wielokrotnie wyrzekli o materyalizmie, o samolubstwie, o przesądach Anglików w ogóle, mylném byłoby wnosić, że brakuje w Wielkiej Brytanii zakładów naukowych i dobroczynnych. Od najdawniejszych czasów starają się tutaj światli i dobrzy obywatele podniecać chęć do nauk i wspierać ubogich i chorych, lecz rząd sam nie czyni nic w tym względzie.

R O Z D Z I A Ł V.

ZAKŁADY DOBROCZYNNE W LONDYNIE.—SZPITALE: ŚW. BARTŁO-
MIEJA, IDZIEGO, JERZEGO.—KLINIKA UNIWERSYTETU LONDYŃ-
SKIEGO.—PROFESSOROWIE MEDYCZYNY PRAKTYCZNEJ.—USPO-
SOBIENIE NAUKOWE POCZYNAJĄCYCH LEKARZY.—PAN LISTON.—
DYSPENSARYE CZYLI POLIKLINIKA DLA UBOGICH.—PRZYTUŁEK
MAGDALENY.—WSTYDLIWOŚĆ JĘZYKA ANGIELSKIEGO.—NIEMO-
RALNOŚĆ I ZEPSUCIE.—DOM PODRZUTKÓW.—ZADATKI MIŁO-
ŚCI.—HOTEL INWALIDÓW W CHELSEY.—DR. DIEFFENBACH.—
PAN G... I PAN STR... ADWOKACI.—MNIEMANY KSIĄŻĘ NORMAN-
DYI.—FILOZOF WYNAŁAZCA SYSTEMU ROLNICZEGO.—PAN K....
LEKARZ.—PAN JAE..... Z LEGII ALGIERSKIEJ.—TĘSKNOTA.

Nie masz w Anglii nieszczęścia, niedoli, braku i choro-
by, któreby nie znalazły w czułym jakimś, po części nawet
z nazwiska umyślnie tajonym przyjacielu ludzkości, szczo-
drobliwego opiekuna.

Lecz wszystkie te zakłady, razem wzięte, nie wystarczają
ani dla połowy ludności Londynu, i służą raczej za dowód
wspaniałomyślności pojedynczych, jak za rękojmię sumien-
ności ogółu.

Przekonajmy się o słów tych prawdzie.

Szpitaly londyńskie liczne są i obszerne, lecz nie wszy-
stkie dobrze położone, nie wszystkie także zarządzane w spo-
sób dla pacjentów pożyteczny. Z różnych pochodzą czasów,
i dziś jeszcze prowadzone są w sposób, statutami przy za-
łożeniu ich przepisany. To co było arcydobrem dwa wieki
temu, nie zawsze może wytrzymać krytykę dzisiaj, kiedy
oświata, zmiana cen żywności i lekarstw, stosunków spo-
łecznych, wywarły wpływ tak wielki na przeistoczenie po-
treb ludzkości. Ten dobrodziej (*), który trzy wieki temu

*) Mylnie utrzymuje rodak nasz, pan Lach Szyrma, że szpital
św. Tomasza jest założonym przez króla Edwarda VI.. Monarcha ten,

żądał, żeby na chirurgów szpitala nie wybierano jak ludzi *doświadczonych*; którzy przynajmniej przez trzy lata u doktora jakiego *terminowali*, nie zyczył sobie zapewne, żeby w połowie XIXgo wieku wybierano na lekarza człowieka, który nigdy nie uczęszczał na kursa akademickie, i który winien tylko protekcyi królów szpitala (tak nazywają administratorów) swą posadę. A tak się dzieje jeszcze w pewnych szpitalach trzymających się litery prawa ku największej dla ludzkości szkodzie.

W ogólności liczba łóżek zostawionych na dyspozycyę chorych, nie wystarcza nawet dla połowy ludności Londynu, i Paryż w tym względzie nieskończenie wyżej stoi.

Statuta innych szpitalów wymagają, aby rekonwalescenci służyli za infirmerów ciężko chorym, to jest: ślali im łóżka, przenosili ich, chodzili do kuchni po strawę, zadawali lekarstwa. W skutek służby tej uciążliwej, największa część rekonwalescentów zapada na nowo, a wielu z nich nawet umiera (*).

Najlepiej położony i najwykwintniejszy jest szpital św. Jerzego (*St. George's hospital*), którego posadzka jest wysłana kobiercami, łóżka zasłonięte firankami, których doktorowie są z pomiędzy pierwszych znakomitości lekarskich wybierani; służy on li-tylko na przyjęcie służących magnateryi angielskiej, tych samych ichności pięknych i wysokich, których widzimy z pudrowaną głową, z trzcina w rękę,

ledwie lat kilka panował i mając zaledwie lat 16, umarł w roku 1553 Szpital św. Tomasza jest założonym, i po największej części wyposażonym przez dobroczyńcę żyjącego za panowania Edwarda VI., a nie znanego nam nawet z nazwiska, gdyż sam pragnął być wieczną tajemnicą dla potomności. Dochody szpitala dochodzą teraz summe 16,000,000 złp. Summa ogromna! mianowicie jeżeli zważymy, że za nią administracya utrzymuje tylko 800 chorych w szpitalu i 1500 po za szpitalem, tak, że na jednego chorego rocznie wypada do 7000 złp. Funt mięsa nie kosztuje w Londynie nigdy drożej jak 40 groszy polskich, funt najlepszego chleba białego 10 groszy, lekarstwa są tańsze jak u nas. Przy lepszej administracyi możnaby zatem utrzymać do 2000 łóżek w szpitalu i do 3000 chorych za szpitalem.

*) To ma miejsce we wszystkich szpitalach prawie; przepisami postanowionem jest w szpitalu zwanym *Guy's hospital* *Guy*, księgarz londyński, poświęcił na jego budowę 800,000 złp., ogromną, bajecznie brzmiącą summe 10,000,000 złp. na wyposażenie.

w spodniach czerwonych aksamitnych i białych jedwabnych pończochach postępujących, galonami obszytych, dumnie i poważnie za żonami parów Anglii, lub siedzących w zawieszonym kabryolecie za powozem, z miną zwycięzców świata.

Szczególne względy, jakich ludzie ci są przedmiotem, nasuwały O'Connelowi w publicznych mowach, na ulicach miast, pewne nie bardzo delikatne uwagi, które przytomnym miladym wyciskały łzy gniewu i upokorzenia.

Dziwna jednakże i godna zastanowienia rzecz, że szpital kareciany strzelców i lokajów jest prawie jedynym zakładem dobroczynnym, wyszłym z poręki bogatej arystokracji angielskiej. Prawda, że zakład ten jej też jedynie służy.

Wszystkie szpitale są szkołami praktyki dla przyszłych lekarzy; w wielu znajdują się amfiteatry, w których wykładają anatomię i inne przedmioty sztuki lekarskiej. Każdy doktor i chirurg przewodniczący służbie zdrowia, ma prawo mieć kilkunastu uczniów, którzy pod nim dozierają i opatrują chorych, i którzy mu za to płacą 1260 złp. półrocznie. Tém zyskują zaświadczenie z praktykowania w szpitalu, pomocne do licencyatu i doktoryzacyi. Praktyka ta jest najgłówniejszém poczynającym lekarzy do przyszłego zawodu usposobieniem, teoryi bowiem nadzwyczajnie mało uczą. Przeciw temu zwyczajowi używania szpitali na naukę nie bym nie miał, gdyby uczniowie nie byli przypuszczani do praktyki szpitalnej, jak po uzyskaniu jakiegokolwiek bądź stopnia szkolnego z nauk przygotowawczych, potrzebnych do należytego korzystania z widoku i opatrywania chorych; lecz zarazem wymagałbym, żeby panowie profesorowie tym sposobem improwizowani, zyskiwali swe posady konkursem publicznym, lub przynajmniej za sankcyą uniwersytetu, a nie faworem administracyi szpitalnej, złożonej z obywateli bardzo godnych poważania, ale zupełnie nie umiejących sądzić o zdolnościach potrzebnych profesorom medycyny.

Wybornym porządkiem odznacza się szpital północno-londyński, służący za klinikę uniwersytetowi tegoż imienia. W nowym tym zakładzie wzięto sobie za wzór Hôtel-Dieu paryzki. Pan Liston, znakomity z dzieł swych i operacyj professor, był chirurgiem ordynującym. Mąż ten, któremu wiele winienem jako uczeń i przyjaciel, umarł w kwiecie

wieku. Wielka to dla młodzieży lekarskiej i dla ludzkości strata.

Po różnych miejscach stolicy urządzone są tak zwane *dyspensarye*, gdzie ubogim chorym daje się bezpłatnie rada i lekarstwa do domu. Lekarz przewodniczący obowiązany jest nawet odwiedzać ubogich chorych w domu, czego jednakże nigdy nie czyni, zostawiając lekarzowi do pomocy przybranemu pełnienie tych obowiązków bezpłatnie, jak ja miałem zaszczyt pełnić je podczas siedmiu miesięcy. Zakłady te byłyby bardzo dobroczynne, gdyby summa przeznaczona na lekarstwa nie była ograniczoną, i gdyby wystarczała dla wszystkich ubogich, a nie jedynie dla uprzywilejowanych, opatrzonych rekomendacją od osoby znaną z swęj *respectability*. W roku mego pobytu w Londynie przeszło 63,000 osób uzyskało pomoc po wszystkich dyspensaryach, których wówczas było dziewięć. Pięćdziesiąt zaledwie wystarczałoby na miasto, w którym roślinkuje do 600,000 proletaryatu.

Zakład, znany pod nazwiskiem: »*Magdalen-Asylum*« (Przytułek Magdaleny), poświęcony jest żałującym za grzechy niewiastom, które za często kochały i tego żałują. Pierwsze w kraju damy opiekują się tym zakładem. W zabudowaniu znajduje się kościół, w dni niedzielne dla publiczności otwarty, i bardzo uczęszczany dla budujących kazań i pięknego śpiewu, wykonywanego przez biedne istoty, zamknięte za kratami, i stokroć nieszczęśliwsze od czasu, kiedy poznały odmęt poniżenia, w który je przeszłe życie wtrąciło. Wiele z tych kobiet odzyskawszy wstyd, traci rozum; tak silny jest wpływ wywierany na ich dusze kazaniem kruszącym, względami połączonymi z pewnym wstrętem, którego trudno się wystrzedz Anglikom, zimnym i pogardzającym nawet w swęj dobroci, nareszcie i odłączeniem od świata i krewnych. Wiele z tych istot pojednano z rodzicami; dla sierot obmyślono sposób utrzymania się uczciwą pracą. Inne popochodziły za mąż, kilkoro nawet za ludzi wyższej klasy znających przeszłe ich życie. W Anglii, gdzie tak wysokie, szczytne mają pojęcie o godności niewieściej, nie zabraknie nigdy oryginałów wypowiadających walkę najsilniejszym i najprawniejszom przesądom, z któremiby nie wielu ludzi zechciało wojować. Wiadoma jest w Londynie, w całej Anglii, w całym nawet świecie, historia téj młodej i pięknej zwolennicy bogini Cytery, z której bogaty bankier *Coults*

zrobił najprzód swą kochankę, później sławną aktorkę, nareszcie swą żonę; potem zaś, gdy bankier umarł i wdowie ogromny zostawił majątek, księżę jeden angielski zrobił ją księżną i parową Anglii. Prezentowano ją na dworze, i Jerzy IV. ją przyjął, choć się za tę grzeczność uszczypliwościami różnego rodzaju zemścić nie omieszkął.

Dodam jeszcze, że od r. 1758. aż do 1848., to jest w dziewięćdziesięciu latach:

Szukało i znalazło w zakładzie Magdaleny przytułku osób	6,729.
Umarło podczas pokuty	353.
Rozum straciło	173.
Oddaliło się przed uzyskaniem świadectwa poprawy	1,378.
Wróciło do dawnego zawodu	1,165.
Poszło za mąż w Anglii	316.
Wyjechało za granicę w służbę	419.
Wyjechało na własne żądanie do Botany-Bay i innych kolonij	1,017.

W mieście ludném, gdzie tyle jest nędzy, nie braknie nigdy zepsucia. Rozpusta bogatych żywi i mnoży zepsucie biednych, niezdolnych oprzeć się urokowi złota, choćby blask jego na chwilę tylko przyświecał. W tych smutnych siedzibach nędzy, gdzie radość nigdy niezawita, gdzie życie żadnej nie ma wartości, gdzie śmierć w najbrzydszej swój postaci zawsze przed oczyma, czucie cnoty i honoru, ten błogi wynik należnego każdemu ludzkiemu stworzeniu wychowania, jakżeby mogło znaleźć miejsce? Tu, w tych smutnych siedzibach nędzy, istoty ludzkie upadają nim jeszcze dojrzeją i innym dają życie, nim same jego godności doświadczą.

Dla zapobieżenia dzieciobójstwu musiano założyć dom podrzutków (*foundling hospital*). W nim pielęgnują dzieci te rozpusty raczej, niż miłości. W nim je wychowują i spობią do rzemiosł, do służby, silniejszych do marynarki. Do wielu przyznają się z czasem sami rodzice, których wprzódy wstyd lub ubóstwo do wyrzeczenia się onych przynagliło. Zarządcy i opiekunowie tego zakładu, wychodząc z zasady, że życie podrzutka może być znośném tylko dla tego, który w wyższe sfery towarzystwa nie wejdzie, i nigdy nie doświadczy walki z istniejącymi przeciw podrzutkom przesądami, nie śledzą w nim wyższych usposobień i nie rozwija-

ją, gdyby się wyjawily same. Jaby m inaczej poj mował me obowiazki, gdybym był na miejscu opiekunów. Talent każdego członka społeczeństwa jest własnością ogółu i dla jego dobra przeznaczony. Nie więziłbym w ciasnych mierności granicach duszy bliźniego z nich się wydzierającej; lecz podałbym środki do rozwinięcia jej na największą skalę. Tak ja poj muję system utilitaryuszów w szlachetnym zastosowaniu.

Dobroczynny zakład podrzuteków londyńskich więk szezy wszystkich filantropów zyskał zadowolenie, gdyby nie jedna okoliczność, na pozór mało znaczna, a wspólna wielkiej liczbie podobnych zakładów, jak naprzykład przytułkowi dla sierot, dla dzieci zubożałych kupców i t. p. Chcę tu mówić o ubiorze dzieci, staroświeckim i niewygodnym, trzymanym w poszanowaniu dlatego, że od wieków był wprowadzonym, a najwięcej dlatego, że ubiór ten odróżnia dzieci z łaski dobroczynności utrzymywane, od wszystkich innych szczęśliwszych.

Wystawmy sobie dziecko od 4 do 12 lat mające po największej części chude i blade, ubrane w długie, przylegające pończochy niebieskie, w spodnie do kolan, ciasne, łosiowe, w kusy granatowy fracek z grubego sukna, i w barek jakiś do grzyba podobny, a trzymający się tylko równowagą na czubku strzyżonej głowy. Dzieci tak przybrane podobniejsze są do czwororęcznych jak do dwuręcznych istot. Zaręczano mi, że główną przyczyną tego obstawania przy staroświeczyźnie, jest *miłość ostentacyi*. Anglicy szukają przed cudzoziemcem dla siebie zaszczytu z swych dobroczynnych zakładów, i udają się, dla dogodzenia dumie, do środków zannadto w oczy bijących.

Ogrom gmachów, poświęconych dobroczynnym zakładom jest istotnie zdumiewający; lecz ztémwszystkiem nie wystarcza dla stolicy dwu-milionowej, nie wystarczyłyby nawet dla Paryża, połowę zaledwie tej ludności mającego.

Nie są także zostawione bez opieki dzieci naturalne, których matka, pomimo swego ubóstwa nie chce oddać do domu podrzuteków, lecz woli wychowywać przy sobie. Zawiązały się tu towarzystwa, płacące matce miesięcznie 20 złp. na utrzymanie każdego dziecka naturalnego. Dobroczynność ta często szkodliwy wpływ wywiera, gdyż prowadzi do nadużyć oburzających. Są matki, które sobie przedsięwzięły utrzymywać się z owych dzieci miłości, i mają ich do ośmio-

ro. Gdyby takie matki były wdowami i posiadały też samą liczbę dzieci z prawego łoża, wówczas dostawałyby daleko mniejsze wsparcie. Wyrobnicy i biedni wieśniacy uważają za doskonałą spekulację ożenić się z panną, która w posagu przynosi z pół tuzina zadatków miłości.

Trudno się ustrzedz takich bezprawii w kraju, w którym z osób lub towarzystw prywatnych wszystkie zakłady dobroczynne wynikają, w którym rząd w tym względzie zgoła nic nie robi, i w którym nie masz żadnej władzy lub rady centralnej, kontrolującej prowadzenie się osób, korzystających z dobrodziejstw, znających je przynajmniej. Każdy patrycyusz należący do jakiegoś z towarzystw dobroczynnych nabiera przez to prawa do zażądania pomocy innych towarzystw na rzecz swoich klientów, lub też klientów swoich przyjaciół. Nie raz zdarza się, że jedna rodzina z kilku miejsc wsparcie bierze, a druga sąsiednia, niemająca protekcji, umrze z głodu, nim jej przyjdzie opieka urzędową drogą, przez urzędników na ten cel ustanowionych. Każdy o tém wie w Londynie i Anglii, że administracya summ niezmiernych, wpływających z podatku dla ubogich (*poor rates*), w najgorszych pozostaje rękach, w rękach ludzi obawiających się więcej zaburzeń motłochu jak wyrzutu sumienia. Wymagającemu za nadto folgują, a nie przypuszczają wstydlivosti w ubóstwie. Nigdzie nie masz tylu pijaków jak pomiędzy ubogimi biorącymi wsparcie, a celują pomiędzy temi kobiety.

Hotel inwalidów w Chelsey (mieście 32,000 ludności liczącem, a leżącym tuż pod Londynem, w stronie zachodniej, na lewym brzegu Tamizy), założony jest w roku 1682. przez Karola II. Przytułek dla wysłużonych żołnierzy lądowych nie jest tak wspaniały i hojnie wyposażony, jak hotel inwalidów morskich w Greenwich, a niczem jest w porównaniu z wspaniałym domem inwalidów w Paryżu. Armia lądowa w Anglii pomimo swego męztwa w walkach z Francją często doświadczonego, nie cieszy się wielką sympatją Wielkiej Brytanii, wzrosłej w potęgę na śalach morskich. Kto zna żywioły składające armię lądową, i wie, że nie jak żelazna karność jest w stanie poruszyć angielskiego żołnierza do męztwa, nie będzie się dziwił rodzajowi pogardy, jakiej tu doświadcza. Anglik korzysta z męztwa swych żołnierzy, lecz go nie wielbi dlatego, że ono nie z szlachetnych pobudek

wynika. Liczba inwalidów nie dochodzi do 450. Mieszkają po dwóch w domkach, umieszczonych jak klatki w długich szeregach, w środku niezmiernych sali. Każdy inwalid opatrzone jest w sprzęty gospodarskie, kuchenne, i sam sobie gotuje jeść; żywność bowiem dobrą i wystarczającą otrzymuje w naturze. Dziwny ten system indywidualizacji lepiej przypada do smaku Anglikom, jak system wspólnego życia, zaprowadzony w domu inwalidów francuzkich.

Dlatego też inwalid pomimo czerwonego munduru, ran i kalectw na polu bitwy odniesionych, nie wygląda wcale na żołnierza; twarz ma wygoloną jak kolano, i rzadko rozmawia o czém inném jak o *swój* wołowninie, o *swych* kotletach baranich, o *swym* portrze i ryżu.

Francuzki inwalid wygląda groźnie, choć postrada wszystkie swe nogi i ręce; duch bohaterski, pielęgnowany jak ogień Westalki, odbija się na jego twarzy, choćby jej nie miał jak połowę, i trwa aż do ostatniej chwili życia.

W tém miejscu wypadłoby opisać sławny *Bedlam*, wspaniały szpital obłąkanych. Lecz lepiej będzie zostawić opis ten na później, kiedy nam się naturalnie nasunie sposobność mówienia o okolicznościach, usposabiających Anglików do spleenu, melancholii i utraty rozumu. Tymczasem udajmy się do doktora Dieffenbach, z którym od dawna pragnąłem zaznajomić czytelnika.

Doktor Dieffenbach, dziś sławny z opisu podróży do Nowej Zelandyi, który zyskał lat temu kilka katedrę w uniwersytecie w Giessen, synem jest profesora teologii téjże samej wszechnicy, a synowcem przedwześnie zmarłego profesora berlińskiego. Jako uczeń medycyny udał się do Zurich do Szwajcaryi, dla korzystania z klinicznych prelekcyj sławnego Schoenlein, i tutaj zyskał stopień doktorski. Później dostał się razem z wieloma spółziomkami, po większej części uczonymi, pomimo swój woli, do Anglii. Biedny doktor, wyrwany z pośród swych przyjaciół i pacjentów, i przesadzony bez funduszów do kraju, którego nie znał ani języka, ani obyczajów, jednak nie rozpaczał i wziął się do nauki języka. W sześć tygodni zwalczył trudności, a uznawszy niedoskonałość czasopismów angielskich lekarskich pisał artykuły do dzienników, i wkrótce wielką sobie zyskał wziętość u redaktorów londyńskich. Najsławniejsi autorowie lekarscy powierzali mu wykończenie prac, jak na przykład pan Marshal Hall, znany fizyolog.

Ernest Dieffenbach łączył z głęboką erudycją sąd trafny i świeżość pomysłów, przytém wolę miał żelazną, Eierpliwosć w badaniach anielską. Słowem, był to jeden z tych rzadkich zabytków dawniej Germanii, pełnych siły, rozumu, wiadomości, charakteru i niewinności serca, z któremi dobrze przestawać, jeżeli im się wyrówna przynajmniej w czynności i rzetelności. Nie był jednakże zwolennikiem *Likurga* co do wstrzemięźliwości; nie! przy butelce tak był wesołym jak każdy bursz niemiecki, lecz jój nigdy wypróżniał z człowiekiem złym lub głupim. Poznać się z *Ernestem*, zostać jego przyjacielem i współ-pracownikiem, było to dziełem jednej chwili. Uzupełnialiśmy się nawzajem. Ja bez niego nie byłbym się może nigdy nauczył przepędzać całe noce na pracy; on bezemnie nie byłby się nauczył flanować po dniach całych. Flanować nazywam: gapić się na processyę, pomniki, obrazy i piękne Angielki, przebując parę godzin po ogrodach, kościołach i na polu, zaczepiać pierwszych lepszych zdolnych oświecić nas w takim lub owakim względzie, zabierać znajomości z bliźniemi obojga płci, podobającemi się z miny; słowem, korzystać z smutnej konieczności podróżowania, osiąść talent, nie wszystkim znany, bawienia się bez wydawania pieniędzy.

Ernest zapoznał mnić z częścią uczoną swych rodaków; było ich wówczas w Londynie kilku bardzo znakomitych. Każdy miał swoją własną opinię polityczną, której był *twórcą*; każdy miał swoich własnych zwolenników, pomiędzy ludźmi stworzonymi na to, żeby mędrszym lub mocniejszym *wierzyli*. Lecz pomimo różności opinij, schodzili się wszyscy, w imieniu wspólnej narodowości, raz w tydzień, do tawerny, utrzymanej przez Niemca, i te schadzki były dla mnie niewyczerpaném źródłem roskoszy naukowej. Każdy przychodził po pracy tygodniowej z bogatym plonem różnorodnych, nowo nabytych wiadomości i spostrzeżeń, każdy opowiadał co czytał, widział i uczył.

Czém jest nawet dla najzdadniejszych ludzi smutna konieczność pędzenia życia na obcej ziemi, o tém się przekonamy z następującej galeryi obrazów.

Rej wodził w uczonym *areopagu* niemieckim pan G., adwokat badencki, który pozbawił się prawa obywatel-

stwa w owym kraju płochą chęcią dowiedzenia, że *Kacper Hauser*, ów młodzieniec siedmnastoletni, którego życie i śmierć tak głośna, nieprzejrzana są pokryte zasłoną tajemnic, — był synem pewnej księżnej. Książka ta sprawiła nadzwyczajne wrażenie w Niemczech, choć pan *Garnier* sam nie wierzył swój arcy-dowcipnie wywiedzionej powiastce. W nic bowiem nie wierzył, ale pisał artykuły do gazet wszystkich stronnictw i wszystkich krajów, od portugalskiego aż do serbskiego. Wszystkie znał języki, nawet i narzecza europejskie. Nigdy nie widział świetniejszej głowy, piękniejszej twarzy i postaci, większego scenika i septyka, dokuczliwszego szydercę, obrzydliwszego niechlujka i pijaka. Zdatnym był i niezaprzeczenie odważnym i hojnym; o resztę cnót nie dbał, a dla dogodzenia niepowściągliwej chęci drwinkowania, gotów był poświęcić wszystko. Pan *Leader*, członek parlamentu, któremu pomagał w składaniu mów i rozpraw politycznych, sam mi mówił, że go *Garnier* ciągle na fundusz bierze, z tak dogryzającym dowcipem, że go będzie musiał za drzwi wyrzucić. Pod niegodną a zwyczajem w dziennikarstwie angielskiem uświęconą bezimienności zasłoną, bronił naprzemian wszystkich odcieni politycznych, lub też je zwalczał. Dla uniknięcia osobistych satysfakcyj, którym często w Anglii podpadają dziennikarze, porywający się na sławę prywatną osób publicznych, maskował się kilkoma stylami, czém ściągał nieraz na innych, zupełnie niewinnych dziennikarzy, gradą boksów niezasłużonych. Często umyślnie naśladował styl innego, aby nań boksy ściągnąć; lecz nieraz sam także wracał do domu na barkach czterech stróżów nocnych, zбитy na kwaśne jabłko, z głową rozciętą, z stłuczonymi okularami i podartymi sukniemi. We mnie wzbudził razem podziwienie, wstręt i litość; lecz na zaszczyt ludzkości utrzymuję, że podobne charakteru wybujać mogą w całej swój potworności tylko z daleka od błogiego wpływu nieba rodzinnego kraju, oka rodziców i serca przyjaciół, w otchłani i chaosie wygnania, w mieście tak olbrzymiém jak Londyn, w człowieku pozbawionym wszelkiej szlachetnej ambicji, a niewierzącym w nic jak w swą głowę. Pan *G...* był w stanie zarobić 50 funtów szterlingów w jeden tydzień, a przetrwać tyleż w jednę noc. Tak zrobił z ceną sławnego

swego artykułu o Hanowerze, pisany dla *Foreign review*.

Innego rodzaju uczonym był p. *Str...*, choć także adwokat badeński. Pełen nauki, bystrości i dowcipu, miał rzadki dar uwierzenia we wszystko, co było nadzwyczajnem, i poświęcenia się duszą i sercem tej wierze. Zasmakował już oddawna w filozofii Fourriera, i przykroił ją, dla użytku własnego kroju, na modę niemiecką. Utrzymywał się z lekcyj i dziennikarstwa. Przypadkowi winien był poznanie się z księciem Normandyi, obecnie w Paryżu pod nazwiskiem barona de *Richemond* żyjącym. Osoba ta mieni się być synem nieszczęśliwego Ludwika XVI., owym Ludwikiem XVII., którego ślad życia zniknął od czasu, kiedy go wyrok konwenyji oddał na wychowanie barbarzyńskiemu szewcowi *Simon*. Króliewicz miał umrzeć u tegoż dnia 8. lipca 1795. r., lecz protokołu śmierci nigdzie znaleźć nie można, a wielu ludzi dostojnych, mądrych i uczciwych, uwierzyło w tożsamość księcia Normandyi z Ludwikiem XVII., i dziś jeszcze wierzy. Każdy przyzna mu podobieństwo do typu burbońskiego. Pan *Str....* dał się do tego stopnia przekonać dowodami różnego rodzaju, powierzaniami tylko bliższym znajomym, że ani chwili nie wątpił o tożsamości osoby, i poświęcił swe pióro popieraniu tej sprawy, pod warunkiem jednakże, że klient, odzyskawszy koronę, urządzi Francję na sposób Fourriera. Pretensye księcia Normandyi popierane były pieniędzmi tajną jakąś drogą; lecz z drugiej strony, podobną drogą były niweczone. Nie wiem, czy należy przypisać polityce dwukrotne zamachy, w których ciężko został rannym i ledwie życia nie postradał; lecz to wiem z pewnością, że w trudnym swym położeniu doskonale umiał zachować swą godność przybraną. Zatrudniał się mechaniką i bardzo w niej był biegłym. Księżna *Angoulême*, córka nieszczęsnego Ludwika XVI., nie chciała uznać go za brata, choć jej powierzył szczegół znany tylko królowi Ludwikowi XVI., królowej Maryi Antoninie, nieodżałowanej księżniczce Elżbiecie, i dwom dostojnym podobno jeszcze żyjącym osobom; to jest, że w chwili, kiedy cała rodzina przewidywała smutny swój los, wyćkowano szpilką obu dzieciom na udzie lewem trzy lilie francuzkie. Księżna zaparła się lilij w tém miejscu i na konfrontacyę ich zezwolić nie chciała.

Dość, że pan *St...* stał się obrońcą pretensyj dostojnego klienta i popierał je mową i drukiem. Później, kiedy Ludwik Filip osadził się mocno na swym obywatelskim tronie, i kiedy przestano na niego polować, zaprzestano także opiekować się piętęźnie mniemanym księciem Normandyi. Pan *St...*, niewynagradzany, przeszedł do Francji urządzać prywatny *salangster* pana *Lions*, Anglika, w *Cîteaux* w *Burgundyi* pod *Dijon*. Później dowiemy się o jego czynach i działaniach, kiedy będzie mowa o wpływie wywieranym przez wspólność wszystkiego dobra na *plodność*, zaczawszy od *plodności pomysłów*, a nie kończąc na *plodności ziemi*.

Pan *M...*, uczony Niemiec, uczęszczał przez 22 lat na uniwersyteta; stopnia uniwersyteckiego wyższego nad *«civis reipublicae litterariae»* nie posiadał, gardził nim, jak wszyscy przestarzeli studenci. Poświęcał się matematyce, filozofii i polityce. Ojcem był systematu matematyczno-politycznego, i nim chciał odrodzić *zbytwiną* Europę. Nie chodził nigdzie bez pudła swego *Plutona*, jedyne stworzenia, które biednego starego studenta do wytrwania pomiędzy nieporozumującymi go ludźmi przywiązywało. Nie chodził także nigdy bez kredki, i każdemu słuchać chcącemu wykladał cyframi na pierwszym lepszym stole swój system. Znał doskonale statystykę ekonomiczno-polityczną całej Europy, i dowodził, że wszyscy jej mieszkańcy mogliby żyć dostatecznie i żyć zupełnie swobodnie, gdyby podniesiono rolnictwo rozdrobnieniem roli na bardzo małe części. Wykazywał matematycznie, że człowiek każdy, osadzony w pośrodku małej części gruntu, potrafi ją tak dobrze uprawić za pomocą swęj żony lub dziecka wyrostka, jak gospodarz mieszkający z daleka od nięj, za pomocą czterech koni. Radził tedy filantropom zakupywać kapitałem zebranych akcyami wielkie łany ziemi, dzielić je i osadzać ludźmi ubogimi a żonatem. Przeświadczał najoczywistszemi dowodami, że gruntu takiego wartość w kilkanaście lat podniesie się dziesięć razy, jak to się działo w Belgii z gruntami, na podobny sposób podzielonemi. Żadne szczegóły chemiczne i astronomiczne nie uchodziły bystrości jego oka, z wszystkich umiał korzystać dla dobra swego systematu; lecz brak stosunków z ludźmi mającemi czas, wolę i zdolność rozmyślenia nad skom-

plikowanym uczonym systemem, brak funduszków, sukien wykwintnych, nieznanomość form światowych, przywyknienia karczemne uczonych niemieckich, nie pozwoliły poczciwemu *M...* sprawić wrażenia, na jakie zasługiwały owoce jego sumiennych i głębokich rozmyślań.

Pan *M.*, już około 50 lat liczący, znosił długo znoje i słoty, lecz nareszcie podupał na zdrowiu nieporotowanie. Jednego wieczora odesławszy wszystkie swe pisma i notaty znanemu dziś trybunowi Irlandyi, panu *O'Connor*, znikł z koła swych rodaków, którym półśmiejąc mówił, że idzie wykładać rybom Tamizy teorię swą o uszczęśliwieniu rodzaju ludzkiego. Istotnie, już nigdy nie wrócił, ani pies jego nawet. Znikł na zawsze. Lecz przeżył go system. Czémże bowiem inném, jak owocem pracy biednego *Millera*, jest system rolniczy pana *O'Connor*? Taż sama rzecz, a w rozwijaniu myśli też same prawie znane mi zwroty.

Poświęćmy jeszcze słów kilka charakterystyce współtowarzyszów mych niemieckich.

Pan *J...* autor »Studenta niemieckiego«, »Niemca w Algierze« i wielu innych humorystycznych dzieł, najdowcipniejszy korespondent londyński Gazety Augsburskiej, sławny niegdyś na całe Niemcy z swych awantur burszowskich, tyle napłatał figlów i pozaciągał długów w wszystkich miastach uniwersyteckich, że mu po siedmio-letnich studiach nie pozostawało, jak iść do Francyi i zaciągnąć się do legii cudzoziemskiej w Algierze, na prostego żołnierza, i to jeszcze zobowiązać się do służby trzech-letniej; inaczej cudzoziemców nie przyjmują. Bił się jak lew, ale dla częstych niesubordynacyj nie awansował nad kaprała, i często był degradowanym. Oficerowie lubili go dla jego nadzwyczajnego dowcipu i waleczności; ale subordynacya jest w wojsku francuzkiém, mianowicie w legii cudzoziemskiej z różnorodnych żywiołów złożonej, pierwszym warunkiem, a temu pan *J...* poddać się nie umiał. Często go karano aresztem i forsowną służbą. Sto razy miał chęć uciekać, ale gdzie? z jednej strony morze, z drugiej nieprzyjaciel niedowierzający chrześcianom, a lubiący ich łechtać jataganem po szyi w sposób bardzo dotkliwy. W ciągłych bojach, w których odniósł cztery rany, pojął, że smutna jest służba wojskowa w obcém wojsku, szcze-

gólniej bez nadziei awansu. Dosłużył się nareszcie końca trzeciego roku: uwolniono go ze służby, i w nagrodę męstwa obdarzono go parą trzewików, spodniami czerwonymi, płaszczem sieraczkowym i blaszaną puszką, zawierającą dymissyę, w której sumiennie były wyliczone odniesione w służbie francuzkiej rany i wysiedziane areszta. Nadto otrzymał pozwolenie powrócenia *transportem* na koszt rządu, aż do granicy swęj ojczyzny. Przybywszy do Strasburga i przekonawszy się, że trzech-letnia nieobecność nie wymazała jeszcze pamięci jego z ksiąg wierzcicieli, pan *Jaeger* zniknął towarzyszący podróży, pożegnał *kochaną* Francyę, umiejającą tak hojnie nagradzać swych obrońców, i nie oparł się aż w Londynie, gdzie nauczysz się tyle języka, ile potrzeba na zrozumienie mów *Lorda Mayora*, sądów przysięgłych, policyi poprawczęj, debatów parlamentu, został owym jowialnym korrespondentem gazety Augsburskiej, podpisującym swe artykuły znakiem półksiężyca. Augsburski fundusz wystarczał właśnie tylko na porter i bifsztyki, koledzy musieli radzić o reszcie i chętnie przyjmowali na nocleg i śniadanie sławnego burza, noszącego w swęj głowie najdoskonalszy słownik encyklopedyczny i świat cały dowcipnych pomysłów, a niezdolającego zapracować sobie na wyżywienie w obcym kraju.

Pan K..., Dr. medycyny z Nassauskiego, piękny, silny i dobrze wychowany młodzieniec, wzbudzał we wszystkich poważanie godnością swęgo charakteru, dobrocią serca i wielostronném wykształceniem. W Londynie nie mógł sobie stworzyć żadnego sposobu utrzymania się swą pracą, choć mu nie zbywało na zdolnościach. Zbrzydził sobie Anglię; chciał udać się do Francyi, lecz rząd francuzki nie przyjmował żadnego z Szwajcaryi do Anglii wydalonego Niemca. Za silném wstawieniem przyjęto go na *bezpłatnego* lekarskiego pomocnika do armii algierskiej. Był przy wzięciu Konstantyny, w kilka miesięcy później został rannym pod *Buffarik*; wyleczywszy się z ran, zapadł na tyfus *afrykański* i ledwo uniknął śmierci. Rząd francuzki, w nagrodę usług i poświęcenia, dał doktorowi K... prawo do ubiegania się o tytuł doktora francuzkiego w *Montpellier*, lecz nie uwolnił go nawet od kosztów egzaminu i dyplomu, wynoszących do 1,200 franków. Rany, choroby, tęsknota, później i praca, nie pozwoliły panu K... ko-

rzystać z uzyskanego dyplomu. Dostał obłąkania, i w nióm napisał dzieło przeszło sto-arkuszowe, zastanawiające erudycyą, o wpływie wywieranym przez nieboszczyków na żyjących ludzi. Później wpadł w czarną melancholię. Teraz wolno było ojcu sprowadzić syna do domu.

Z takich ludzi składał się *areopag* niemiecki; w opisie nie wybierałem najniezszczęśliwszych, lecz owszem najzdolniejszych. Nie szczędziłem, lecz także nie przepelniałem kolorów.

ROZDZIAŁ VI.

KLIMAT LONDYŃSKI. — PARKI REGENTA I Ś. JAKÓBA. — HYDE-PARK. — REWIA. — WOJSKO ANGIELSKIE. — GWARDYA KONNA, PIESZA, SZKOCKA. — AMAZONKI. — POSĄG ACHILLESA. — WELLINGTON. — GUST KOBIECY. — OGRÓD VAUX-HALL. — BALON PANA GREEN. — CYRK KONNY PANA ASTLEY. — OPERA ANGIELSKA. — SCENY MITOLOGICZNE PRZEDSTAWIANE NA WIDOWNI I W ŁOŻACH. — PRAWO ANGIELSKIE NIE WSZYSTKO PRZEWIDZIAŁO. — SURREY. — OGRÓD ZOOLOGICZNY. — WEZUWIUSZ. — ZABAWY LUDU. — PAŁACE GORZALCZANE. — SZKOŁY. — NIERÓWNOŚĆ I ARYSTOKRACJA NA ŁAWKACH SZKOLNYCH. — WYSOKA SZLACHTA. — MŁODSZA SZLACHTA. — GENTRY. — MIESZCZAŃSTWO. — UROK WYWIERANY PRZEZ WYŻSZOŚĆ RANGI.

Tymczasem w pracy i znojach, ale bez jednej chwili nudów, przeszła wiosna i nadeszło lato w Anglii i w Londynie. Nic tak często nie spotwarzano, jak klimat angielski.

Byron powiedział, że zima w Anglii kończy się ostatniego czerwca, a zaczyna pierwszego lipca, i że słońce angielskie w całej okazałości wygląda jak naleśnik rozpostarty na patelni.

Tak źle nie jest, przynajmniej tak źle nie było w lecie, którego większą część przepędziłem w Londynie. Nigdy tu słońce nie rozsyła z swego promienistego tronu, owych strzał pałających południa, i rzadko kiedy słońce świeci nad ziemią Anglii z tym blaskiem, który zrazi i zdrętwiało oko, i przejmie dobroczynnym swym ciepłem skrzepłe członki starca. Nie! słońce Anglii jest łagodniejsze, i rzadko kiedy objawi się w postaci, z którejby wnosić można o uroczej piękności tej świetnej gwiazdy. Słońce tu świeci podług systemu *Benthama*, i raczej jest pożytecznym niż okazałem. Lecz i ono ma swój tryumf. W porze roku, w której słońce na południu staje się nieznośnym i zwarzy swym pięknym ogniem każdy listek i kwiatek, obróci w tumany pyłu subtelnego najpiękniejszą wegetację, — wówczas słońce angielskie przyświeca łanom zielonym jak szmaragd błyszczącym,

wówczas w jego łagodnym cieple drgają z radości świeże jeszcze liście, pachnące kwiaty, i dojrzewają wolno lecz pewnie wszystkie ziarna i owoce, które my w naszym posiadamy kraju. Cała Anglia jest wówczas jednym ogrodem, ziemia jej ciągle żywiona najstosowniejszymi naturze jej przyprawami, ułatwia w cudny sposób roślinom wzrost, a owocom obfitość i dojście do doskonałości.

Najdelikatniejsze odcienia kolorów nie wydadzą się nigdzie tak pięknie i wyraziście, jak pod mgławym światłem nieba Anglii, nie dodającym, ale też nie ujmującym im tonu. Słyną z pięknego kolorytu malarze angielscy, a z płci precudnej, od słońca nieprzepalanej, lube córki Albionu.

Wbrew wszystkim istniejącym i zanadto rozpowszechnionym przesądom, utrzymuję, że trudno sobie wyobrazić coś przyjemniejszego, jak miesiąc czerwiec i lipiec w Londynie. Wystawmy sobie w środku najludniejszego miasta w Europie trzy tak wielkie ogrody publiczne, że ich nie przeniknie ani gwar ludu, ani turkot wozów, ani zapach węgla ziemnego. Tu swobodnie oddychać można pod cieniem bżów, jaworów, akacyj i tego mnóstwa drzew dalekiego nieba, które przewiezione do Anglii, uszlachetniają się pod umiejętną ręką ogrodników szkockich, i nabierają piękności dotychczas nieznanych. Czasem tylko sarna przesunie się z swemi kozłętami, stanie, skoro zoczy samotnego, i spojrzy mu w oczy jak gdyby pytała: «czyś ty przyjaciel?» a poznawszy, że to przyjaciel, pasie się na łące, ścina swemi ząbkami główki koniczyny i babki, i tak przygryza nadobnie i ładnie, jak panienka na którą się patrzy kawaler podczas obiadu. Czasem też jakieś stado cudzoziemskich kaczek, pstrych i z złocistym czubem, przewlecze się wolno i poważnie kołysząc ociężałe ciało na dwóch niezgrabnych nogach, i kwakając pomiędzy sobą. Tam znów, na jeziorze, pluska i gaworzy różnemi językami rozmaite ptastwo wodne, od flaminga czerwono-skrzydłatego, aż do śnieżnego łabędzia, a z błotnistej kępy, z środka zwierciadła wody, puści się ku niebu szybka czajka i biegnie w zawody z białą jak śnieg mewą, razem tu z nią wychowaną; oba ptaki przerzynają powietrze jak błyskawice, witają mnie smętnym krzykiem i znów zapadają na łąkę.

W odległości pluszczą kaskady i obracają kołem młyna, aby ten swym drżącym łoskotem wtórował harmonii tego

sielskiego ustronia; a z po za konarów dębu, sosien i jodeł sięgających obłoków, przeziera szwajcarska chatka z swym filgranowym gankiem i sztucznie wykrojonym szczytem.

Takim jest *St. James's park* i *Regent's park*: pierwszy w środku miasta, drugi zaś, jak już wiemy, graniczy od północy z czystym polem i z mym przyjacielem *Primerose hill*. Nie będzie nienawidził Anglii, kto umie cenić i serdecznie kosztować tych czarujących rajów powaby. Kilka godzin strawionych tutaj w uroczystym óbcowaniu z sobą samym, pocieszy każdego rozumnego za kilkodniowe cierpienia i zawody, doświadczone tam o dziesięć minut drogi dalej, w tym odmęcie, który nazywają Londynem.

Takim nie jest park trzeci, najrozleglejszy, wielki jak trzecia część Warszawy. Nazywa się *Hyde-park*. Niezmierne błonie, tu i owdzie tylko kępami drzew urozmaicone, służą na plac parady dla wojska w uroczystych okazyach, naprzykład na święcenie rocznicy bitwy pod *Waterloo*. Niegdyś królowa Wiktorya sama dowodziła tą paradą na koniu, przy brylantowych szlifach i orderze podwiązki na lewem ramieniu. Wszyscy ambasadorowie assistują w świetnym orszaku, nawet czasem i francuzki, jak do idei politycznej przeważającej, szczególnieji kiedy się ambasador nazywa *Talleyrand*, *Guizot*, a nawet *Sebastiani*. Wojska nigdy wiele, zaledwie 20,000. Szkarłat mundurów ślicznie się odbija na zielonem tle murawy. Widziałem raz zgromadzone dwa pułki gwardyi konnej przybocznej. Wysokie bermice i purpurowe pióra powiewające nad niemi, podwyższają jeszcze olbrzymich jeźdźców, okrytych ozdobami złotemi i siedzących na wielkich koniach wartujących 4,000 złp. każdy. Nie wiele powiem o huzarach i ułanach angielskich, pomimo bogactwa munduru. Dragoni lepiej mi się podobali. Artyllerya doskonale manewruje; nosi granatowy mundur z złotemi pętlcami na piersiach. Gwardyi pieszej angielskiej także dwa pułki; piękny lud, noszą szkarłatne mundury z czarnemi rabatami, na rabatach srebrne belki; spodnie białe.

Gwardya szkocka w narodowych czapkach, otoczonych w koło czarnemi piórami strusiem i w górę stojącemi; z boku przypięte jest śmiało i groźnie długie pióro orle. Fraki mają czerwone, kuse, z czarnemi rabatami i srebrnemi belkami; spodni żadnych.

Zamiast spodni mają bardzo krótkie spódnice, z tartanu szkockiego, w kwadraty różnokolorowe, podobneż plaidy, czyli bardzo długie a dość wąskie szale, które malowniczo około ramion udrapowane, służą im za płaszcze. Pończochy w podobneż kwadraty nie dochodzą i połowy łydek; trzewiki są ich obuwciem. Uzbrojeni są w bardzo piękne sztucce, puginały i w owe sławne szkockie pałasze, zwane *claymore*. Ostrze ich długie i proste, rękojeść misternie wyrabiana zastania całą rękę.

Oficerowie młodzi, piękni, majątni i z najlepszych domów, ale także bez spodni. Wystawic sobie, że w tym stanie wpuszczają ich na pokoje królewskie pomiędzy najpiękniejsze damy świata! to zdaje się przechodzić wyobrażenie ludzkie: a jednak to się dzieje w Anglii.

Pięknym także pułkiem jest gwardya strzelców celnych. Noszą ciemno-zielone litewki z bogatemi szamerowaniami czarnemi, tak jak nasze czamarki, szlify bardzo ładne z jedwabiu czarnego także, ozdoby na kaszkietach i broni szmelcowane na ciemno-błękitno, spodnie zielone, także sztucznie mereżone.

Przy jaskrawości innych, mundur ten, ciemny, poważny, a jednakże nadzwyczajnie drogi, elegancki, odbija nader przyjemnie.

Nie zaślepiły mnie jednak tyle bogactwo i świetność munduru, piękność koni i ludzi, żebym nie dosłyszał nieharmonii muzyk wojskowych, i nie dostrzegł braku wojskowości w fizyonomiach żołnierzy, podoficerów i panów oficerów.

Na około Hyde-parku, gdyż o nim tu głównie mowa, ciągnie się szeroka, piękna makademizowana droga, na której w dni niedzielne można ujrzeć tysiące wytwornych pojazdów i jeźdźców, i sta amazonek pięknych, tak zręcznie konia prowadzących, tak śmiało konia wypuszczających, że w stanie są zawrócić głowę najrozsądniejszemu, byleby tylko iskierkę ognia miał w swych żyłach. Tu, na obszerném błoni, jest najwyborniejsze stanowisko dla amatorów gapienia się piechotą, tu jest raj dla prawdziwego flanera. Cały świat obraca się około niego, tak jak gdyby do niego tylko należał. Ja przynajmniej mogłem kilka godzin trawić na podziwianiu Angielek, na odgadywaniu pochodzenia koni, na klasyfikowaniu Anglików pomiędzy kategorye wchodzące w skład mego systematu charakterów. Boga prosiłem wtenczas, żeby

mnie jaki znajomy, niewygodny w pożyciu gaduła lub ciekawiec nie nagabał i nie wyrwał z toku myśli, które mi nastręczał widok tak wielu i tak pięknych i zabawnych przedmiotów.

Nie przepadam ja wcale za ludźmi mającemi manię opowiadania długich historyj i przytém pretensyę, żeby w ich twarz wlepiono oczy jak w tęczę, podczas kiedy pletą lada co. Ludzie tacy są postrachem dla flanerów i turystów nie lubiących tracić chwili czasu na próżno.

Hyde-park byłby bez nagany, żeby go nie szpeciła jedna rzecz bardzo niegustowna. Ze strony południowej tego parku wdzięczność Anglików wzniosła księcia *Wellington* pyszny pałac. Nie mam nic przeciw temu. Córki Anglii nie chciały pozostać w okazywaniach wdzięczności po za swemi braćmi, i wzniosły temuż samemu księciu, przed jego pałacem, w obwodzie parku, posąg olbrzymi z bronzu lany, a wyobrażający samego bohatera, *szezęśliwego* zwycięzcę *Napoleona*. Ani słowa! taż sama twarz: nie braknie nawet trzech wielkich brodawek, mających zaszczyt zdobić fizyonomię szlachetnego lorda. I dotąd jeszcze wszystko dobrze.

Ale jakżeż wstydlive córki Albionu ubrały swego bohatera?

Przebrały go za Achilleśa, w szyszak żelazny i liść figowy. Reszta ubioru leży na ziemi: potrzebną była do oparcia nogi lewój, aby bohater ulany nie stracił równowagi, i za życia oryginału nie spadł z wysokiego swego piedestału.

Wyobrazić żyjącą jeszcze osobę *in naturalibus!* pod jedyną zasloną liścia figowego! o dumne z wstydlivosti córki Albionu! to nie był pomysł szczęśliwy. Cieszcie się, że już śpi ostre pióro *Byrona*, onoby wam krwawe łzy z pięknych oczu za ten potworny anachronizm wycisnęło. Ale wy tak niewinne! może myślicie, że bohaterowie są istotami nadprzyrodzonymi do żadnego rodzaju nie należąciami? Wówczas ktobyż chciał być waszym bohaterem? Pewno nie lord *Wellington*, również czuły na wasze wdzięki, jak niegdyś był *Nelson* na wdzięki swęj *Milady Hamilton*.

Z pomiędzy wielkich ogrodów prywatnych, do których publiczność za opłatą wstęp uzyskuje, najpiękniejszym i za moich czasów najmodniejszym był ogród zwany *Vaux-Hall*, położony na prawym brzegu Tamizy, dość blisko biskupstwa. Piękny istotnie ogród, mieszczący w sobie kika wido-

wni: cyrk konny, salę koncertową, dwa teatry, park angielski, park romantyczny, w których było mnóstwo efektownych partyj, wiatraki, altany, grotta z automatem przedstawiającym modlącego się pustelnika, młyny z całą rodziną automatów, z poruszającym się młynarzem, z jego córką i kochankiem skradającym się do niej; statki, kaskady, rzeki, jeziora z fregatami parowymi, słowem w wszystko we wszystkim.

Tygodniowo dawano tutaj dwa przedstawienia, uczęszczane przez wyższe towarzystwo, dlatego, że drogość wstępu (20 złp. za osobę), nie pozwalała niższemu używać go. Widowisko rozpoczynało się już o 3ój godzinie po południu puszczeniem owego wielkiego balonu pana *Green*, którym sławny ten *aeronauta* w 36 godzin przebiegł przestrzeń przeszło stu-milową z Londynu aż do księstwa *Nassau*. Balon wyrównywał wielkości kopule kościelnej średniego rozmiaru, napełniał się bardzo szybko gazem wodородnym, rozwijanym w niewielkim aparacie. Pan *Green* brał podobny, ale jeszcze mniejszy aparat z sobą w podróż powietrzną. Widziałem młodą Angielkę, puszczającą się z swym mężem i panem *Green* nad obłoki; kosztowała ich ta przejażdżka 20 funtów szterlingów. Ani jednej chwili trwogi nie doznała dama, a mąż drżał jak listek. Ciekawość kobieca wszystko zwalczy. Przy odgłosie trzech orkiestr i ze stu petardów, balon puścił się szybko w górę. Długo biegł pionowo nad naszymi głowami, aż go pędy wiatrów w wyższych warstwach powietrza uniosły na wschód ku morzu, Pan *Green* utrzymuje, że czasem na cztery różne kierunki wiatrów natrafić można w różnych wysokościach powietrznych, i pewnym jest, że kiedyś *aeronautyka* wyżej stanie jak żegluga morska.

Niech się ziszczą te przepowiednie. Towary zagraniczne będą wówczas tańsze w każdym kraju, a krajowi fabrykanci czując konkurencyę, będą musieli przestawać na mniejszym i mniej zdzierać publiczność.

Nie będę opisywał złej muzyki, którą ucęstawiano moje uszy w *Vaux-Hall*.

Towarzystwo jeźdźców konnych pana *Astleya* wykonywało w cyrku olimpijskim tegoż ogrodu sztuki zdumiewające. Żadna z amazonek nie wyrównywała w gracyi pani *Franconi-Kennebel*, sławnej amazonce Paryża, ale w zrę-

czności, piękności i odwadze przewyższały ją wszystkie prawie. Kobiety skakały tak jak mężczyźni, jeździły na dwóch koniach, każdą nogą na innym stojąc, co nie szczególnie ładnym było. Koncepta, któremi przeplatano sztuki, podobnymi były do *plum-puddingów* z tłustości.

Dla koni angielskich powziętem większy szacunek. Mądre te stworzenia pojmowały wszystko. Cztery pary koni bez jeźdźców tańczyły kontredansa, nie zmyliwszy ani jednej figury. To się nie jednemu tancerzowi nie uda, ale też konie nie patrzyły swym tanecznicom w oczy, i nie wdawały się, w żadną rozmowę.

Nie wiele także powiem o operetce wykonanej przez śpiewaków angielskich w teatrze lirycznym. Anglikom tak ładnie i pięknie przychodzi śpiewać, jak niedźwiedziowi na dwóch łapach chodzić. Brak ucha, gustu, wokalizacji, a może i czucia, wszystko się łączy, aby uczynić Anglików w *wogólności* niezdolnemi do muzyki.

Przedstawiono także dramat. Ten się lepiej daleko udał. Nie można Anglikom odmówić talentu tragicznego. Później będziemy musieli przy ważniejszej sposobności więcej o tem pomówić.

Nareszcie w innej jeszcze widowni, Francuz jakiś, przyjechawszy z całym towarzystwem bogiń i nimf, najad, *trytonek*, *hamadryadek* i innych nadprzyrodzonych istot, rekrutowanych zapewne pomiędzy *Syrenami bulwarów paryskich*, przedstawiał *des tableaux vivants* szczególnego rodzaju. Przy wtórowaniu dość dobrej muzyki francuzkiej, podnosiła się kurtyna, wszystkie świece gasły i pogrążały widzów w zupełnej ciemności; a na scenie, przy bengalskim świetle, przedstawiały się sceny cudnej piękności, to prawda, ale też tak ładującej, że nie radziłbym żadnej matce prowadzić na nie swe córki, a nawet żadnemu mężowi zapraszać tu swęj żony, jeżeli jest młoda.

Zwierzchność czuwająca nad moralnością zakazała nowym prawem podobną naukę mitologii w ciemnościach nocnych, ale dopiero w dziewięć miesięcy czy też dopiero w rok potem. Utrzymywano, że artysta francuzki był wzmowie z kowalem z Gretna-Green. Angielscy prawodawcy mniej są domyślni, jak angielska młodzież. Możeby lepiej było zakazać wszystkich reprezentacji podczas sesyj parlamentarskich, wstrzymujących prawodawców od udziału w zabawach

żon i dzieci. Dość, że w rok po téj wycieczce olimpu paryzkiego na cnotliwą ziemię Anglii, ogród Vaux-Hall wpadł w taką niesławę, że się żadna o swą reputacyę i cnotę dbała dama do niego nie zbliżyła. Ogród pozostał w niełasce przez lat pięć czy sześć. Teraz znów przychodzić zaczyna do lepszej sławy, dzięki kilkunastu reprezentacyom, na dochód towarzystwa biblijnego i innych dobroczynnych zakładów danym.

W ogrodzie zwanym *Surrey Zoological Garden*, także na prawym brzegu *Tamizy* ku *Greenwich*, znajduje się piękna menażerya: tam także dają przedstawienia mianowicie pyrotechniczne, czyli ognio-sztuki wszelkiego rodzaju. Raz na tydzień przedstawiają wybuch Wezuwiusza. Wnętrze góry, częścią naturalnej, częścią usypanej nad brzegiem obszernego stawu, reprezentującego morze, nabijają różnemi rodzajami mass i kompozycyj prochowych. W ciemną noc zapalają tę massę za pomocą stosu galwanicznego. Z razu daje się słyszeć grzmot podziemny, potem bucha płomień, nareszcie wszystko grzmi i tętni. Cały wulkan ognia wydobywa się ku niebu, tysiące rac pęka z niesłychanym hukiem w powietrzu, ognie wszystkich kolorów migają się i przelatują, ziemia ryczy w swęj głębi, góra się rozsadza i rozlewa strumienie lawy do syczącego jeziora, odbijającego obraz ten prawdziwie okazały.

Widowisko to sprawia mocne wrażenie na ludziach, a nawet na niebie, gdyż najczęściej chmury się ściągają, i nieraz grzmot niebieski wtóruje sztucznemu gniewowi ziemi, tak jak gdyby szło na prawdę. Tak słaby człowiek sztuką swą potrafi rozdać wieczne żywioły. Ja się napatrzeć nie mogłem temu widowisku, i byłem ze sześć razy na niem.

Takie są zabawy publiczne klass wyższych towarzystwa w Londynie, prócz wielkiej opery włoskiej, teatrów *Hay-Market*, *Drury-Lane*, *Covent-Garden*, kilku wielkich koncertów. Niewielkie zasoby radości na tak liczną ludność każdy przyzna.

Ale lud jakie ma zabawki i rozrywki publiczne? Żadnych, prócz egzekucyj kryminalnych i swych *ginpalaces* (pałaców gorzałczanych). Nie wstępujemy na pole dziennikarzy angielskich, i nie wdawajmy się w opisy owych egzekucyj, z których aż nadto jasne można powziąć wyobrażenie o srogo-

ści charakteru, do jakiej doprowadzić może chrześcian zaniedbanie umysłowe, nędza i chciwość silnych wrażeń.

Powiedzmy słów kilka o pałacach dżinowych, owych stekach zepsucia, w których zbiera się lud jak roje pszczoł około ula, a gromadzą się nędzni, obdarci, wychudli robotnicy, jak chmury szarańczy, w każdą sobotę wieczorem. Są to wspaniałe przybytki, owe szynkownie, wzniesione groszem tego z głodu umierającego wyrobnika, i owego żebraka żyjącego z łaski publiczności. Patrz na facyatę pałacu! Istna świątynia grecka, stoi oparta na słupach korynckiego porządku, na około płasko-rzeźby, w framugach statuy marmurowe, przedstawiające *Apollina*, *Wenerę*, *Fauna* i *Satyra*. Drzwi, arcydzieło sztuki snycerskiej. Wejdziesz do przybytku, a zobaczysz z dwóch stron długie szeregi beczek dębowych z obręczami i kruczkami mosiężnymi. W środku długi stół, pokryty grubą blachą mosiężną świecąca jak złoto. Po obu stronach pompy hydrauliczne najpiękniejszej roboty, także z mosiężu. Z jednej się leje porter, z drugiej dżin (wódka jałowcowa). Za stołem szynkarz z tuzinem pomocników czysto ubranych: szafa z niezliczonym mnóstwem szklanek i kieliszków, fajek gipsowych i śledzi.

Pomiędzy drzwiami a stołem stoją ściśnięci w łachmanach owi wyrobnicy, którzy pracują codziennie 17 godzin w pocie czoła, w sobotę tylko 12. Ich wychudłe lica, zapadłe oczy i piersi, pokrzywione nogi, pokaleczone ręce, świadczą o wpływie tej pracy na ich zdrowie. Obok nich stoją z kieliszkami w ręku, z kłatwą w ustach, nadobne ich żony i dzieci, z których nawet sześćo-letnie już się upija regularnie przynajmniej raz w tydzień.

W tej zapowietrzonej atmosferze żyje, i z niej żyje ów szynkarz milionowy. Dziś usługuje temu ludowi, dla którego ma odrazę i obrzydzenie; ale o północy, kiedy wyprosi swych gości mogących ustać na nogach, a nielitościwie wyrzuci za nie tych, którzy leżą na ziemi, skoro przerachuje swój zarobek dzienny, zmówi uroczyste pacierz i spać się położy, wówczas marzy o przyszłym szczęściu i świetności swych dzieci.

Syna pośle do *Eaton* do szkół łacińskich; drogo tu kosztuje wprowadzić utrzymanie, 500 funtów szterlingów (21,000 złp.) na rok, ale się nauczy w siedm lat komponować hexametry łacińskie, ale przedewszystkiem będzie

siedział na jednej ławce z synami parów Anglii: najwyższe dla ambicyi mieszczaństwa angielskiego szczęście!

I to zaiste nie jest jeszcze zapewnieniem losu, gdyż ten sam syn lorda, który jako dziecko zawarł przyjaźń z synem kommonera (to jest mieszczanina), wyprze się jój na uniwersytecie, gdzie wprawdzie w jednej sali będą słu chać tych samych prelekcij, ale gdzie akademik syn najstarszy lorda-para będzie siedział na uprzywilejowanym miejscu, w czerwonym złotem wyszytym barecie i podobnejże todze; a akademik syn mieszczanina, o cztery stopnie niżej stojący w randze, w czarnym barecie i czarnej merynosowej todze na ostatniem miejscu.

Wszakżeż młodszy brat pierwszego syna lorda już mnićś świetne nosi odznaki i o stopień od niego niżej siedzi, on już i zabaw starszego brata nie dzieli, bo go na nie nie stać, i u równych sobie *młodszych* braci musi szukać towarzystwa.

Gentry, czyli mieszczaństwo uszlachcone urzędem lub też zawodem uczonym (adwokaturą, doktorstwem, wyższą klasą sztuk wyzwolonych), zajmuje średnie miejsce pomiędzy szlachtą młodszą a mieszczaninem.

Ale szynkarz nie rozpacza. Mój syn górował w naukach, zyska publiczne nagrody, zostanie prawnikiem, kupię mu dobra, obiorą go deputowanym do izby niższej jako szczerze radykalnego syna ludu, strasznym się stanie ministrom swą opozycją, dadzą mu urząd sędziego dla zamknięcia mu ust, napisze dzieło, w którym zreżnie wykaże, ile może być pożytecznym rządowi modyfikacją swych opinij, dadzą mu honorowy tytuł lorda, a później, kto wie? mając majątek, umiejąc nim władać, gromadząc intratne urzędy, kupi jeszcze większe dobra, uzyska przywilej majoratu, i zostanie parem Anglii, tak jak niejeden kommoner już został.

W taki sposób rozumują najczęściej prawie wszyscy ci dorobkowcy, których majątek wzrósł na gruncie zaprawionym krwią i potem tego im obmierzonego ludu.

Z tego, cośmy teraz nadmienili i wprzód już mieli sposobność spostrzedz, wynika, że arystokracja angielska silny wywiera urok na klasy niższe towarzystwa, i że, prócz małej liczby ludzi, niezdolnych do powodowania się czém inném, jak czystą miłością prawdy, cnoty lub pra-

wdziwie zacnej filozofii, nie masz w Anglii nikogo, któryby nie zazdrościł arystokracji wysokiego jej stanowiska, i nie życzył z nią go dzielić.

Gdzie są przyczyny tego uroku?

Pojałbym je z łatwością, gdyby dzisiejsza szlachta Anglii była rycerską jak owi dawni bohaterowie okrągłego stołu za króla *Artura*; żeby wspierała nauki jak *Medyceusz*; żeby się odznaczała gracyą i wykwintnością gustu jak szlachta francuzka, storożytnością rodu jak niemiecka, wspaniałością i gościnnością, jak niegdyś, niegdyś polska.

Ale nic z tego nie widzę.

Ogół szlachty angielskiej, podobny do szlachty innych krajów, odznacza się od niej tylko bezrozumną rozrzutnością, z jaką pieniądze swe trwoni, gotowością do wszystkich płocności, namiętnem ściganiem za kapryсами, za modnymi rozpustami, za chwilową rokoszą. W długi zaś brnie codziennie: mało jest dóbr nieobarczonych hypoteką! żydzi i negocjanci zahaczyli już trzy czwarte majątków wysokiej szlachty. Arystokracja tutejsza, poddając się tak jak reszta świata ślepo panowaniu mody, władając, pomimo długów, jeszcze bardzo wielkimi zasobami pieniężnymi, i wiedząc, że nie dość błyszczy świetnością swego rodu, aby się mogła obejść bez innego odznaczenia,—udała się do innych środków, aby się stać głośną. Ambicya nią powoduje przedewszystkiem, i ona wyrodziła owe współubieganie się o wygórowanie w dziwnych fantazyach, któremi ludzie, pozbawieni istotnego wychowania umysłowego, zdołają jedynie zapełnić próżnię życia bez celu.

Par Anglii wysyła z najpoważniejszą w świecie miną syna swego pierworodnego za granicę, aby tam utrzymywał zazdrości godną reputację Anglików, wygórowania nad wszystkie inne narody dziwaectwami i ekscentrycznością.

Ze strony więc moralnej i z usposobienia intelektualnego ogółu, nie masz prawdziwie czego zazdrościć arystokracji angielskiej, i nie w niej leży przyciągający magnes.

Przyczyna leży raczej w samym usposobieniu Anglików średniej klasy, zamiłowanej w swój wolności politycznej, lecz nie przypuszczającej ani na chwilę istności takiej ró-

wności, jaką pojmują Francuzi, i jaką po części mają, choć mniej daleko posiadają wolności niż Anglicy.

Któżby powiedział, że Anglik, któregośmy wystawili praktycznie i teoretycznie hołdującego zanadto *materyi*, który jest nieczułym w swych stosunkach z światem zewnętrznym, obojętnym z przyjaciółmi, zimnym w objawieniu miłości familijnej, poważnym w swych stosunkach z Bogiem,—chowa całą swą czułość, swój entuzjazm, cały swój zasób poezyi na zubóstwienie... czego? na zubóstwienie próżnych okazałości, któremi się otaczają w tém życiu znikome wielkości ziemskie, na zubóstwienie pomp magnackich, szumiących tytułów, złożonych herbów.

A tak jest w istocie.

Tu leży bazyliszek czarujący oczy Anglików. Z dziecinną naiwnością przyznają się do tego po największej części, mówiąc: »*We must have something to worship.*« (Musimy mieć cośkolwiek do ubóstwiania.) Wszystko zaś wychodzi z poszanowania dla starodawnych instytucyj kraju, pöszanowania nieosłabionego tegoczesnemi tendencyjami, nieosłabionego w niczém burzą purytańską. *Cromwell* był owym piorunem, który padł na sztuczną budowlę towarzystwa angielskiego; najwyższa przyciągnęła go wieża i skruszała pod jego wściekłością. Reszta budowli zadrzała, lecz się nie zawaliła, i wnet odbudowali wieżę. Dziś w towarzystwie chącém uchodzić za *respectable*, a z Anglików średniej klasy złożoném, nie można wspomnieć o *Cromwellu* bez wzbudzenia objawu wstrętu. Prędzej jeszcze arystokracya uzna, że kraj winien wiele zdobywcy *Jamajki* i zwycięzcy potęgi morskiej *Holandyi*, niż kupiec londyński, który z tego najwięcej korzystał, a zawsze gotów do wypierania się już nieżyjących autorów dobrego bytu swego.

ROZDZIAŁ VII.

PRZYCZYNY ŻYWOTNOŚCI ARYSTOKRACJI ANGIELSKIEJ.—WCIE-
LANIE MIESZCZAN DO ARYSTOKRACJI.—UTRUDNIENIE WYCHO-
WANIA. — SZKÓLKI WIEJSKIE I NIEDZIELNE. — ILE KOSZTUJE
WYCHOWANIE PRAWNIKA, A ILE LEKARZA?—WSKRZESICIELE.—
KRWAWY PRZEMYSŁ.

Co tak mocno utrzymuje arystokrację angielską na nogach, że jej budowy żadna jeszcze burza zachwiać nie zdołała?

Dwie są, według mych spostrzeżeń, najważniejsze przyczyny tego zjawiska: 1^o sposób uzupełniania się arystokracji Wielkiej Brytanii, i 2^o utrudnienie nauk z przyczyny ich kosztowności.

Nie cała arystokracja Anglii składa się z boksujących ambasadatorów, z pojedynkujących się biskupów (anglikańskiego kościoła), z prawodawców wyjeżdżających do Norwegii polować na niedźwiedzie i brać kułaki od stróżów nocnych, zakładających się, kto sobie pierwszy w łeb wystrzeli lub nogę utnie, z ministrów zgrywających się w karty, dyplomatów pijących do upadłego.

Nie! są i tacy, których wszystkie chwile życia całego poświęcone są dobru kraju i tryumfowi zasad; są i tacy, którzy z nieporównaną czynnością łączą wielkie serce i wysokie talenta. Mała liczba tych mężów wystarcza do utrzymania całości na swoim stanowisku, a część tej liczby składa się z plebejuszów, którzy okazawszy zdolność i przebiegłszy wszystkie stopnie sądownictwa i urzędowania, czasem nawet wprost z ławek izby niższej powołani są do zaszczytu zasiadania w izbie parów.

Najznakomitsze talenta Anglii wsiąkają w ten sposób w arystokrację, i to tak szczerze i serdecznie, że raz zo-

stawszy parami Anglii, bronią instytucyi arystokratycznej z taką zaciętością, jak gdyby od wieków do jej ciała należeli. Koledzy też tyle posiadają taktu, że takiemu płaszczem purpurowym i godnościami okrytemu parwieniszowi rzadko pochodzenie jego przypominają. Zresztą duma szlachecka, heraldyczna, w arystokracji tej byłaby w istocie rzeczą zanadto zastanawiającą, śmieszłą pomiekką. Nie należę wprawdzie do rzędu ludzi, wierzących oskarżeniom *O'Connela* jak słowom ewangelii; ale widzę w angielskim parlamencie tylko kilka imion reprezentujących czasy poprzedzające zwycięstwa *Wilhelma Normanda*. Późniejsza szlachta ród swój wywodzi od awanturników towarzyszących owemu zwycięzcy, który był, jak wiadomo, synem naturalnym *Roberta Diabła*, księcia Normandyi, i biednej praczki z *Falaise*.

Prawie wszyscy książęta zasiadający w izbie parów pochodzą od dzieci naturalnych *Karola II*. Nie ma przyczyny być tak nadzwyczajnie pysznym z swego urodzenia!

Powiedzieliśmy wyżej, że druga przyczyna, zabezpieczająca arystokrację angielską od upadku, leży w kosztowności nauk. Świątynie Muz tylko dla bogatszych są dostępne.

Lud wiejski ma swe szkółki, do których wysyła dzieci, kiedy może obejść się bez ich pomocy przy uprawie roli lub żniwie. W nich się uczą wiesniacy czytać, pisać, cokolwiek rachować, katechizmu, i na tém koniec.

Lud miejski, nie mogący wydzwignąć się z nędzy pracą siedmnasto-godzinną na dobę, posyła swe dzieci od szóstego roku życia do fabryk. Szkółek niedzielnych nie braknie wprawdzie, lecz ileżto w nich się nauczy dziecko, pracujące cały tydzień? a ileż to nie zapomni przez sześć dni z tego, czego się w jednym dniu nauczyło?

Dla średnich nawet klass pobieranie nauk jest rzeczą dość uciążliwą, i w żadnym kraju nie znajdzie tyle wykwintnie ubranych nieuków, jak w Anglii; tyle ludzi, ogołoconych zupełnie z naukowego wychowania, a obracających się po najlepszych towarzystwach klass średnich. Nieuk najsurowszy, byleby nie był ubogim, i byleby znał wszystkie etykietalne formy towarzyskie, nie będzie raził oczu

żadnego Anglika. Powie o nim: *»indeed he is not a scholar«* (w istocie on nie jest uczonym), i na tém koniec. Angielki daleko więcej są wymagające, gdyż te w ogóle w średnich warstwach towarzystwa nieskończenie więcej posiadają nauki od swych braci. W tym względzie też same tutaj zachodzą stosunki, co i u nas między szlachtą wiejską. W Galicyi widok ten jeszcze daleko więcej w oczy bije. Jak mało okazujemy prawdziwej chęci do nauk, dając się wyprzedzić kobiecie, pobierającej je od cudzoziemskich guwernantek!

Zakładów naukowych *rządowych* nie ma właściwie w Anglii, gdyż i uniwersyteta winny swój początek, wzrost i kwitnienie najczęściej zapisom prywatnym, a są takie, które po prostu wynikły z spekulacyj handlowych, z kapitału zebranego akcyami, jak naprzykład: Uniwersytet Londyński założony przed dwudziestu laty dlatego, że pierwszy uniwersytet stolicy, zwany *»Kings College«* (wyższa szkoła królewska), zraził publiczność *nietorysowską* swemi dążnościami, kosztownością nauk i niedostatecznością tychże.

Spekulacya ta handlowa bardzo się dobrze powiodła, i akcyonaryusze ciągną teraz jedenasty procent z tej fabryki rozumu.

Pomimo tego ułatwienia, nauki i kursa uniwersyteckie drogą jeszcze są rzeczą. Wychowanie syna na adwokata kosztuje, przy największém szczęściu i oszczędności, do 160,000 złp., a na doktora medycyny do 180,000 przynajmniej; dawniej jeszcze więcej, dla kosztowności lekcyj anatomicznych.

Wprzód wykonawcy wyroków śmierci byli jedyne dostarczycielami anatomicznymi. Później *Botany Bay* weszła w modę, zaczęto przestawać karać śmiercią małe kradzieże, brakło *przedmiotów* anatomicznych. Potrzeba wyrodziła nowy przemysł, tak nazwanych *resurrectioners*, czyli wskrzesicieli, odkopujących ludzi nocną porą z ostatnich ich siedzib. Zaczęto więc czuwać lepiej nad umarłymi, staranniej daleko jak nad żyjącymi. Z tego korzystali odważniejsi wskrzesiciele: dusili późno wracających pijaków na ulicach i sprzedawali ich trupów. W Anglii wszystkie przedsięwzięcia idą na wielką skalę; utworzyło się towarzystwo wskrzesicieli morskich, które prowadzi-

ło handel *en gros*. Można było u tych piratów zapisać przedmioty anatomiczne wszystkich narodowości, płci, wieku, a nawet konstytucyi, to jest konstytucyi ciała. Wszystko to przychodziło pod firmą towaru zabranego na cmentarzach, ale później przekonano się, że ludzie żywi, znikający często tu i owdzie, na brzegach Francyi nawet, służyli na żywienie tego okropnego przemysłu.

Teraz dopiero prawodawcy angielscy postanowili prawo, upoważniające administracye szpitalów do przeznaczania na sekcye anatomiczne ludzi zmarłych w szpitalach, a nie reklamowanych w trzy dni.

Ustała od razu przebrzydła spekulacya, której pomysłu sam czart Anglikom może pozazdrościć.

Wracam do mego zadania. Znajduje się w każdym kolegium wszystkich uniwersytetów kilka, często kilkanaście burs dla zdatnych lecz ubogich uczniów; lecz prawie wszystkie uniwersyteta są w rękę ludzi szczerze oddanych arystokracji, a bursy rozdzielane są z widoczną stronnością pomiędzy synów sług lub zwolenników wielkich domów. Każdy o tém wie, i nikt się temu bardzo nie dziwi. Anglik bowiem, nieożywiony wyższem pojęciem filantropii, jeśli wznieść się zdoła nad swój własny egoizm, to chyba nigdy po za granice interesu swego stronictwa politycznego, do którego urzędowo należy.

Nigdy na krok jeden dalej.

Powiedzieliśmy już wyżej, mówiąc o jednostronności uczonych, że Anglik z zbytnej obawy rozstrzelania na wiatr swego rozumu, ścieśnia go i skupia w zanadto szczupłe, na prawdziwą mądrość nie wystarczające ognisko. Toż samo można powiedzieć o ich uczuciu, i przykładami stwierdzić.

Sir Arthur R. jest bardzo majątnym i wysoko ukształconym filantropem, cały oddany cierpiącej ludzkości, to jest téj tylko części, która cierpi w skutek ślepoty fizycznej. Syn własnych swych dzieł, twórca własnego znaczenia i majątku, poświęca od lat dwudziestu owoce swéj pracy *jedynie i tak jednostronnie* ulżeniu niedoli niewidomych, że kulawy lub rąk pozbawiony żadnej u niego pomocy nie znajdzie. Wielu ma ubogich krewnych, gdyż się wzniósł z łona ludu, lecz nie im nie wyświad-

czy dobrego. Niedawno własny jego synowiec stracił w nieszczęśliwych spekulacjach handlowych cały swój majątek.—»Jaka szkoda, żeś przytém nie stracił i wzroku! mój synowcze, więcej dla ciebie mógłbym uczynić,« mówił, serdecznie wzdychając stryj nieszczęśliwego i dając mu bardzo małą jałmużnę.

ROZDZIAŁ VIII.

SZTUKA LEKARSKA W ANGLII.— SZARLATANI.— MORISSON.—
DR. R....—TEORYA.—DUMA GŁUPOTY.—POEZYA.—NAUKI KLAS-
SYCZNE.—ZAWÓD LITERACKI.—PRAKTYKA LEKARSKA.—KU-
RYER HANNOWERSKI.—INDYANKA Z BENGALU.—MISS EMILY.—
PAN WOOD.—MELANCHOLIA.—TEATR DRURY-LANE.—SZEK-
SPIR.—MACREADY.—MISS WARRENS.—LADY MACBETH.

Kilka słów o lekarzach Anglii i o jej sztuce lekarskiej. Kraj, który wydał *Wilhelma Harvey*, wielkiego *Sydenhama*, słusznie przezwanego *Hippokratesem* Anglii, *Browna*, *Ewerarda Home*, *Jana Hunter*, *Jennera*, *Abernethego*, i który jeszcze w czasie pobytu mego w Londynie posiadał *Sir Astleya Cooper*, *Brodeza*, nie mógł nie zasługiwać na uwagę medyka kochającego swój zawód. Istotnie pobyt tych wielkich ludzi na ziemi złał nieskończone dobrodziejstwa na całą ludzkość; lecz niestety, szukać należy śladu ich przejścia więcej w literaturze, w zbiorach naukowych, w głowach niektórych uprzywilejowanych ludzi, jak w usposobieniu ogółu lekarzy, w duchu instytucyj lekarskich naukowych i administracyjnych.

Oddaję sprawiedliwość należną usiłowania, talentowi lekarzy, jak pp. *Babington*, *Bransby Cooper*, *Clarke*, *Liston*, *Lawrence*, *Charles Bell*, *Monro*, *Alison*, *Graves*, *Stokes*, których miałem szczęście znać osobiście, i wielu innym znanym mi z pism i sławy; oddaję nawet sprawiedliwość doskonałości sztuki lekarskiej angielskiej, do jakiej doszła pod ręką wielu innych lekarzy: a pomimo tego występuję z śmiałym zdaniem i utrzymuję, że nie masz narodu ucywilizowanego gorzej leczonego, jak naród angielski, że nie masz lekarzy mniej się znających na swój sztuce, jak ogół lekarzy angielskich; instytucyj naukowych za-

rozumialszych i niedostateczniejszych, jak fakulteta lekarskie Anglii.

Klasa niższa narodu zgłasza się w przypadku choroby nie do doktorów medycyny, którym nie można ofiarować za wizytę mniej jak gwineę w złocie, to jest 45 złp., ani nawet do *licencyata medycyny* lub *chirurga*, mających prawo do połowy lub trzeciej części téj ceny, lecz do aptekarza, nie biorącego nic za wizytę, ale każącego sobie płacić po aptekarsku za lekarstwa, które przesyła. Nie istnieje tu żadne prawo zabraniające aptekarzom, lub komukolwiek bądź sztuce zupełnie obcemu, praktyki lekarskiej; lecz domagać się prawnie wynagrodzenia może tylko dyplomem angielskim lub szkockim opatrzony lekarz. Dyplomy doktorskie zagraniczne, lub nawet irlandzkie, zyskują prawomocność dopiero po potwierdzeniu, to jest po zapłaceniu 35 funtów szterlingów.

Liczba *szarlatanów*, zaczawszy od *Morissona*, a skończywszy na wróźkach, jest bardzo wielką. Część mędrza publiczności gardzi niemi; pomimo tego, wielu z nich, jeśli zręcznie mają i prowadzą swe intrygi, zyskuje wielkie majątki. Za mojej bytności pan *Morisson* i spółka już wyszedł był z mody w Londynie, w Anglii i krajach sąsiednich. W Londynie samym nawet, sława jego do tego stopnia była zachwiana, że Dr. *Rat...*, jeden z zdatnych lekarzy wyszłych z fakultetu wileńskiego, walczący z nędzą pomimo ciągłej swéj czynności, nie chciał przyjąć w zakładzie *Morissona* miejsca ofiarowanego mu z rocznym dochodem 10,000 złp. Dr. *Rat.* wolał cierpieć nędzę i tracić zdrowie w bezpłatnej służbie dla ludzkości, niżeli uświęcać tytułem swym doktorskim szarlataneryę *Morissona*. Przemysł jego pigułkowy stracił swą wziętość w Anglii, Francyi, Niemczech i Hiszpanii, kwitnął jednakże i kwitnie jeszcze w Mołdawii, Wołoszczyźnie, na Podolu, Ukrainie, w Galicyi i innych krajach odległych od środka cywilizacyi; i dlatego też z *wdzięczności Morisson* chciał mieć Polaka do korrespondowania z swemi entuzyastycznymi zwolennikami. Dr. *R...* odrzucił propozycyę; w rok potem padł ofiarą swego niezmordowanego poświęcenia dla ludzkości. Umarł w skutek znękania, nędzy i tęsknoty.

Ogół lekarzy nie zna się na swéj sztuce, pomimo usiłności, z jaką stara się korzystać z nauk drogo płaconych,

i które ceni dlatego właśnie, że drogo kosztują. Niedostateczność przygotowawczych, teoretycznych nauk i sekcij anatomicznych, czyni ich niezdolnemi do korzystania z praktyki przy łóżku chorego, w sposób odpowiedni wymaganiom tegoczesnego stanu sztuki lekarskiej.

Teorią zaprawiamy łany naszego pojęcia, praktyka służy na ziarno w nie wrzucone, plony będą tém obfitsze, im zaprawa głębiej w pojęcie wsiąknie i im ziarno będzie zdrowsze, jedrniejsze. Smutna to i źle zaprawiona ziemia, na której brat brata rodzi, a tak bywa z głowami wspierającemi jedynie na pamięci zasoby swego rozumu. Angielscy lekarze są dumnymi z tego, że rozum ich nie wychodzi z ciasnych granic rutyny nabytej w szpitalach, i że odrzuca wszystko, co w głowę ich nie wejdzie, jako marzenia teoretyczne, szkodliwe w zastosowaniu; ani chcą wierzyć, żeby to było pojętném dla drugich, co dla nich nie jest dostępném.

Usiłowanie chwalebne nowszych lekarzy francuzkich i niektórych prawdziwie uczonych Anglików, dążące do wyzwolenia sztuki lekarskiej z pod jarzma systematyki niemieckiej i empiryzmu aż zanadto upowszechnionego, do wydoskonalenia części dyagnostycznej nauki medycznej, nie wywierają jeszcze żadnego wpływu na ogół lekarzy angielskich, niedość uzbrojonych w wiadomości historyczno-naturalne, w fizykę i chemię, żeby mogli wejść głęboko w naturę choroby i wysledzić jej przyczyny.

Zarzuciłem szkołom lekarskim Anglii już poprzednio bardzo wiele wad, jako to: drogość kursów, brak kadetr przygotowawczych; teraz wspomnę o braku klassycznego wychowania w młodzieży przypuszczanej do nauki lekarskiej.

Klassyczność jest tém dla rozumu ludzkiego, czém jest zapach dla kwiatka. Nie przyłoży się ona do doskonałości lekarza jako *człowieka fachowego* w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale się przyłoży do doskonałości lekarza jako członka ciała uczonego, jako członka i opiekuna téj ludzkości, której cierpienia przez całe swe życie będzie miał przed oczyma.

Umysł człowieka, krążący ciągle i bezprzestannie w szczupłych obrębach świata dotykającego, niezdolny wznieść się po nad poziom przypomnieniami obrazów czarujących nie-

gdyś klasyczną jego młodość, musi nareszcie uleść wpływowi materji, i pozbawić nas tego, czego najwięcej potrzebujemy do wykonania trudnego zawodu lekarskiego:—poezyi! Tak jest! niech się nikt nie śmieje; lekarz powinien być poetą, nie poetą widzącym wszystko w kłamliwie pięknych kolorach, ludzącym się jak dziecko kalejdoskopem własnej wyobraźni; o nie! poetą widzącym wszystko i najbrzydsze w *prawdziwych* kształtach i barwach, gdyż to jest pierwszą jego powinnością, lecz nie tracącym nigdy z swego oka szlachetności celu, zdolnej utrzymać duszę w ciągłym uroku.

Lekarz powinien być poetą, jeśli nie chce zbrzydzić sobie swych obowiązków, jeśli nie chce być poniżonym niewdzięcznością ludzką, w razie, gdy talentu jego cenie nie umieją, jeśli z bogaciwszy się, nie chce zostać zimnym kutwą, lub jeśli z czasem, *otartszy się w świecie*, nie chce być podobnym do owych rzeźniczych chirurgów, targujących się przy łożku jęczącego bliźniego o cenę krwi, którą ma przelać w imieniu ludzkości i dla tryumfu swój sztuki! Cała atmosfera poezyi powinna otaczać duszę lekarza, kiedy jest w styczności z chorym nędznym lub z chorym nędznikiem, aby się ani chwili nie zrażał widokiem obrzydzenie sprawiającym materyaliście. A cóż go pocieszy za szczebiotliwość niewieściego arcopagu, okupującego sobie *ceną jednej wizyty* prawo cenzurowania, krytykowania jego wiadomości, nabytych wieloletnią mozolną pracą?

Zarzuci mi kto, że można mieć poezję bez uczenia się klasyków. Lecz ta poezya, którą geniusz natchnie człowieka natury, zatracą się naukami fachowości, jeśli jej wprzód nie ujmijemy w szczytne formy klasycyzmu; a mało wierzę w bezwarunkową romantyczność, mającą siłę przeniknięcia pomroku materji przyciskającej duszę lekarza materyalisty.

Nie brakło mi w Londynie sposobności utrzymywania w ciągłym ćwiczeniu wiadomości mych lekarskich i zdobywania nowych teoretycznie i praktycznie. Wielu z profesorów obdarzyło mnie pozwoleniem uczęszczania *gratis* na ich prelekcye i kursa kliniczne. Prace me literacko-lekarskie nowy wzięty polot za pomocą stosunków listowych, w które wszedłem z kilku uczniami uniwersy-

tetu paryzkiego. Prelekye tamtejszych sławnych profesorów, mianowicie pana Lisfranc, już nieżyjącego niestety! i pana Ricord, stenografowane i przysyłane mi pocztą, umieszczałem w tłumaczeniu angielskiem w nowo wychodzącem lekarskiem czasopiśmie: *The medical Times*, w trzy dni po pierwszém usłyszeniu ich w salach szpitalów: *La pitié* i *St. Lazare*. Nowa ta industria literacka, której byłem twórcą, przyczyniła się wiele do rozpowszechnienia dziennika i spowodowała w kilka miesięcy konkurencyę innych, w skutek czego wynalazca, jak później zobaczymy, bardzo szkodował.

Obowiązki me dobrowolne a niepłatne w *foreign Dispensary*, zapoznały mnie z biedą londyńską w całej jej ohydnej nagości, i stawały się coraz uciążliwszemi. Zabierały mi wiele czasu i pieniędzy na omnibusy i dorożki. Chętnie byłbym się zrzekł tych obowiązków i poświęcił więcej pracom literackim, lecz zrzekając się ich, byłbym stracił sposobność opatrywania w lekarstwa wielkiej ilości cudzoziemców, nie będących w stanie wydać ani szeląga, byłbym oraz stracił sposobność wykazania méj *strony praktycznej*, jak się wyraża Anglik, a na tém budowałem nadzieję przyszłego zawodu, w razie gdyby los zechciał przedłużyć mój pobyt w Londynie.

Zawiązał się jednakże, pomimo tylu trudności, zaród praktyki prywatnej, płatnej, a to w miejscu bardzo odległym od mego mieszkania i od środka innych prac i czynności—w *Chelsey*, téj wielkiej wsi, stanowiącej przedmieście Londynu od strony zachodniej. Wiemy już, że tu leży dom inwalidów armii lądowej, przytém ogród botaniczny. Przypadkowi byłem winien nowe te stosunki. U pana *Weiss*, fabrykanta instrumentów chirurgicznych, Niemca, osiadłego od czterdziestu lat w Anglii i bogatego na 10,000,000 złp. przynajmniej, zapoznałem się z kuryerem króla hano-werskiego, panem *B.*, także Niemcem. Zona jego chorowała od długiego czasu na jedno z cierpień *hysterycznych*, bardzo dziwacznych w swych objawach. Nie mówiła ani słowa po angielsku i znieść nie mogła Anglików i doktorów angielskich; nie można było sprowadzić jej do Niemiec dla wielu zachodzących trudności. Pan *B.* prosił mnie więc, abym ją wziął w kuracyę. Mieszkała na *Chelsey* w bardzo ładnym wykwintnym domu wiejskim.

Pod wpływem kilku-tygodniowej kuracji, pani B... odzyskała znaczną część zdrowia, i z tej korzystnej zmiany tyle była zadowolona, iż żadnej nie zaniedbywała sposobności sławienia mnie pomiędzy znajomymi i sąsiadkami.

Kurjerem wjechawszy do praktyki,—musiała ona pójść prędko i szybko;—nie dziw tedy, że mnie zawiodła aż do Indyów Wschodnich, to jest do domu, którego panią była Indyanka z Bengalu, wdowa już nie młoda po Angliku, zostającym kiedyś w obowiązkach podrzędnych kompanii wschodnio-indyjskiej. Matka syna szesnasto-letniego, pracującego w kantorze kupieckim na *City*, dokąd co rano wyjeżdżał i z kąd wieczorem powracał, liczyła wprawdzie dopiero lat 30, ale już była zgrzybiała; przytém cierpiała na głowę i ślepa na oczy, i tej właśnie okoliczności byłem winien znajomość, której następstwa i skutki na całe me życie głęboki, bolesny wpływ wywarły.

Indyanka tęskniła do swój uroczej ojczyzny i przywyknąć nie mogła do zimnej Anglii, której języka nawet do brze nie posiadała nigdy.

Jej stan poprawił się znacznie. Raz, w chwili, kiedy mi z żywością wdzięczność swą okazywała, było to nad brzegiem *Tamizy*, w małym ogródku,—weszła do tegoż z lokajem za sobą młoda, błada dama, bardzo pięknych rysów, oka czarnego, bystrego, ale wyrazu twarzy tak smętnego, że sprzeczność ta pomiędzy młodym wiekiem panienki, a usposobieniem duszy, zaraz mnie boleśnie przeniknęła i nagłą sympatją ogarnęła. Zbliżyła się ku nam długą, zwirom wysypaną aleją, tak wolno, że mogłem podziwiać piękną jej kibić i sam się siebie zapytać: z kąd Angielka wziąć może tyle nadobności w ruchach, tyle gracyi w chodzie, ile jej rozwijała młoda dama, skromnie w ciemne kolory, lecz w najbogatsze materye przybrana? Zastłonięty szerokimi liśćmi roślin, pnących się z jednego drzewa na drugie, mogłem wszystko widzieć, a nie być widzianym. Istotnie młoda dama spostrzegła mnie wtedy dopiero, kiedy się tuż do nas zbliżyła; spojrzenia jej padły na me oczy zachwyczone, i lekki, bardzo lekki rumieniec błysnął na bieli jej lica. Bładość tego lica nie była jednakże zupełnie białą, lub biało-niebieskawą, biało-różową — nie! wpadała lekko, ale tak lekko, jak cień idei, w brązowy, a brzegi powiek cudnie wykrojonego

oka dość mocno wpadały w ten kolor, tak, że to im dawało blasku i bystrości. Cały typ twarzy miał coś poetycznie orientalnego—»To zapewne twój doktor? moja dobra *Abigail*,« zapytała młoda osoba, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, rzekła do mnie z niewymowną gracyą, podając mi rękę podług zwyczaju angielskiego:— »Pani *Norton* była moją mamką, i z przyjaźni dla mnie opuściła lat temu dwanaście piękną swą ojczyznę, i przeniosła się pod to smutne niebo Anglii. Może sobie pan wystawić, ile mnie martwiła jój choroba, mianowicie, że *Abigail* nie ufa żadnym doktorom angielskim. Wszyscy się dziwimy, że pan byłeś tyle szczęśliwym zyskać tak zupełne zaufanie przyjaciółki, a ja oddawna pragnęłam mieć sposobność podziękowania panu za uwolnienie nas od dotkliwego zmartwienia.« Nie wiem, com odpowiedział na to grzeczne, niespodziewane przywitanie; wzruszenie jakieś, nigdy niedoświadczane, nie dało mi zebrać mych myśli.

Miss Emily spostrzegła moje wzruszenie: tak było widoczném; i w nieznanym mi zupełnie języku zadała w uroczystym tonie mowy pytanie jakieś swój mamce, a ta, wznosząc ku niebu oczy, w których nagle ży błysnęły, odpowiedziała coś, co, wnosząc z gościów, towarzyszących słowom, musiało zapewne znaczyć toż samo, co nasze: »Broń Boże!«

Powoli nieznaną, władającą mną uczucie nieśmiałości, opuściło mnie przecież o tyle, że mógł wejść w rozmowę z piękną Angielką. Szczególne zjawisko, że pomimo solennej melancholii, rozlanéj w całej osobie, pomimo melancholii zidealizowanej nadobnością młodocianą, nie było w układzie panny *Emily* nic zimnego, dumnego, w mowie nic opryskliwego lubsztecznego. Wszystkie jój słowa teńły słodyczą, a kwiaty, które bardzo kochała i które w ich wzroście i rozwijaniu się oczami czulej matki pielęgnowała, były pierwszymi punktami zetknięcia naszego gustu, pierwszym przedmiotem naszej rozmowy.

Szczególniejsze jeszcze zjawisko, że tyła słodyczy i naturalności nie kałała ani kokieterya, ani płochość, owszem, łączyły się one z taktownością o wiele przechodzącą wiek młodej panienki, taktownością nie nabytą w świecie i jego sztucznych stosunkach, lecz wyrobioną w sobie, w swój duszy i sercu, w długich i głębokich rozpamiętywaniach umyślnych. Ta ostatnia osobliwość charakteru panny *Emilii* była wy-

rażną dla każdego oka, wyćwiczonego przenikać głębie duszy bliźniego. Rozmawialiśmy z sobą bardzo wiele, przechodząc od kwiatka do kwiatka, od klombu do klombu.

— „Jeżeli pan lubisz kwiatki i masz czas je podziwiać, tedy towarzysz mi do ogrodu domu naszego, tuż blisko; ojciec mój będzie rad poznać się z panem, już mi to oświadczył kilka razy, słysząc pochwały, któremi *Abigail* pana obsypywała.“

Przyjąłem te zaprosiny, pożegnałem się z Indyanką i podałem pannie Emilii me ramie. Chętnie je przyjęła, zdawała się być zmęczoną, szybko oddychała i pokaszliwała cokolwiek.

Ogród pana *Wood* piękny i rozległy ciągnął się wzdłuż brzegu Tamizy, od której go odgraniczał taras dość wysoki, wysadzony gęstemi krzewy i przejmujący zimne powiewy rzeczne. W środku ogrodu stała altana, cała okryta wijącym się bluszczem, pysznym powojem, świeżym liściem wina. Obszerną była altana wewnątrz, i trzy miała wniościa, czwar-te od rzeki zastawione wielkiem zwierciadłem; zresztą urząd-zono ją z tym znanym nam *comfortem* angielskim, umie-jącym przewidzieć wszystkie możliwe niedogodności i zara-dzić im stosownemi środkami. W środku altany siedział pan *Wood*... z książką w rękę; spostrzegł mnie postępują-cego ku niemu z młodą jego córką, lecz nie wstał; patrzył się na nas bez dziwienia się obcej mu fizyonomii. Na twar-zy jego szlachetnej, pełnej dobroci i rozumu, te same ślady głębokiej melancholii, co na licach córki.—„To jest mój do-dry, drogi ojciec,“ mówiła panna *Emilia*, przedstawiając mnie. „To jest doktor naszej *Abigail*.“

Pan *Wood* przyjął mnie serdeczniej, niż się było można spodziewać, sądząc z uroczystego wyrazu jego twarzy. Wszczęła się dość długa rozmowa. Z pola medycznego prze-szliśmy na filozoficzne, skoro się pan *W.* dowiedział, że w Królewcu nauki pobierał. Filozofia Kanta, dla małej części głów dostępna, a w Anglii tak mało wówczas znana, jak dziś jeszcze u nas, miała w panu *W.* wielkiego wielbiciela, lubo się sam przyznawał do inkompetencyi sądzenia o niej z dokładnością.

Do widoku Anglików idealogów przyzwyczajony nie by-łem, tém bardziej mnie więc zdziwiło, że go znalazł w ku-pecu, a nie w uczonym z professyi. Pan *Wood*... bowiem był

kupcem z bogactwem, jak się zdaje, w Indyach Wschodnich, z kąd przybył do Anglii kilkanaście lat temu. W ciągu mowy unikając wszelkich niedyskretnych pytań, starałem się wyba- dać przyczyny, które mogły na ten tor wyjątkowy sprowa- dzić umysł Anglika; lecz cytadela była dobrze pilnowaną, i żadnego w tym względzie nie zdołałem powziąć wyjaśnie- nia. Postanowiłem sobie szanować tę tajemnicę i żadnymi do- pytywaniami jej nie przenikać.

Słońce schyliło się ku poziomowi i zapraszało do korzy- stania z reszty jego promieni. *Miss Emily* zaprowadziła mnie do swych kwiatów; pięknym oddawała pierwszeństwo przed rzadkimi. Nigdzie nie widziałem piękniejszego zbioru gwoździków, róż, geranij, georginij i lilij. Najwięcej lubiła białe kwiaty; w jednym klombie były zebrane najmiłsze re- prezentantki godeł niewinności: śnieżki, jaśminy, pyszna Ca- la indica, lilie, białe róże i gwoździki, późne hyacyny i nar- cyczy.—»Czyż może być co piękniejszego, jak me białe kwiat- ki?« zapytała.—»Pani nie wolno tego pytania zadawać, kiedy pomiędzy nimi stoisz,« odpowiedziałem, wcale nie w chęci pochlebiania komplementem, lecz w istocie wyjawiając po- mimowolnie myśl swą prawdziwą. Panna *Emily* pojęła myśl méj odpowiedzi i jej poczciwość. Uśmiechnęła się. Nie było uśmiech pochlebionej miłości własnej, ani też uśmiecham- barasu; było coś w tym uśmiechu tak smutnego, że mię wskrósł przenikło.—»Ja pani obrazić nie chciałem; daruj, je- żeli pomimowolnie zawiniłem,« powiedziałem w tonie pro- szącym.—»O! ja wiem o tém dobrze; ja już teraz znam pań- skie serce, jak gdybym pana od dawna znała; obrażoną nawet nie jestem, zaręczam panu. Pan mnie porównałeś z kwiatka- mi, ja je od dawna za swe rodzone siostry uważam,« rzekła, tuląc do swego łona lilie białą; i znów się uśmiechnęła wznosząc oczy ku niebu, ale już nie smutna, tylko jak na- tchniona, jak święta. O jakże była cudnie piękną w téj chwili!

Proszono abym bywał, proszono bardzo szczerze. W kil- ka dni wróciłem. *Miss Emily* błąkała się pomiędzy swem kwiatkami i zachwycała ich widokiem.— »Jakie pan poweź- miesz smutne wyobrażenie o wychowaniu młodej damy, która, prócz pielęgnowania kwiatów, prócz haftowania ich na kanwie, nic zgoła nie robi, tylko czasem przeczyta książ- kę jaką religijną.«—»Istnieją zapewne przyczyny tego zanie-

dbania modnych gustów, tego wyrzeczenia się chwilowego przyjemności literatury, muzyki, towarzystwa i innych zabaw,« rzekłem.

Miss Emily odpowiedziała: »Nie chwilowe to wyrzeczenie się; ja już od kilku lat i na zawsze porzuciłam wszystko, co mnie może odwieść od Stwórcy mego i od natury.«

Dalsze me pytania nie zdołały odkryć mi nic nowego. Nie nalegałem. Spostrzegłem, że wielka jakaś i uroczyście tajemnicza otacza, jak obłok nieprzejrany ojca i córkę, i trzyma ich serca w więzach melancholii tak świętej i pełnej uroku, że nic w niej nie było rażącego dla sympatycznej duszy człowieka, który sam nie był szczęśliwym. Długo i wolno, odpoczywając często, błakaliśmy się po umajonych ścieżkach ogrodu. Panna Emily wspierała się na mém ramieniu; rzadko kto z nas przemówił słów kilka, a te nie ściągały się nigdy do potocznych przedmiotów, lecz zawsze były objawem wyższej myśli, czerpanej w widoku natury lub w uczuciach religijnych nim wzbudzonych. Dusze nasze pragnęły się pojąć i wybadać, obiedwie błąkały się na obszernych błoniach instynktu; gdyż na cóż służy rozum i domniemywania tam, gdzie jest grobowe milczenie z jednej strony, a względy dyskrecyi z drugiej? *Miss Emily* spostrzegła, że i mnie ogarnia powoli smętność, a chcąc wyrwać mnie z toru myśli smutnych, opowiadała mi dzieje swjej pierwszej młodości i czarowała me ucho opisem cudów nieba i ziemi Bengalu, swego kraju rodzinnego. Ileż było poezyi i bogactwa myśli w tych obrazach skreślonych z dziewiczym zapalem serca pełnego uczuć i ognia! W tych chwilach, drogich dla mnie i pamiętnych, poznawałem dopiero całe skarby wyobraźni zawarte w głowie, która gardziła wszelką literaturą, prócz pisma świętego i ksiąg na niém opartych! Wówczas ją podziwiałem, oddech mój wstrzymując, aby on nie przytłumiał ani jednego odcienia głosu.

Pożegnałem ją....—»Przyjdzie pan wkrótce odwiedzić pułstelników?« zapytała *Miss Emily* z tak wdzięcznym wyrazem twarzy, jak pogodny lazur nieba.

— »Mogęz nie przyjść?« odpowiedziałem oczarowany.

»Boże! czém mógłś zakrwawić serce tego anioła, który niczém nie zdaje się należeć do ziemi, a tyle jednakże cierpieć musi?« pytałem, patrząc w gwiaździste niebo. »Miłość, zapewne miłość, to namiętne uczucie, już w najpierwszej mło-

dości ognistej tej kreolki poczęte, uczucie tłumione lub też zawiedzione w swych nadziejach,« odpowiedziałem sobie; i czując, jak mnie niepowściągliwie owładывała sympatya dla pięknej Emilii, postanowiłem strzedz mego serca walecznie i unikać sposobności jej widywania.

Aby się wyłamać z pod niebezpiecznego uroku, oddałem się z zapałem pracom moim. Kilka godzin spoczynku wystarczało mi na dzień cały, wieczory przepędzałem w *Drury Lane*, w teatrze, gdzie *Macready*, ów wymowny mówca *Szekspira*, występował w rolach kardynała *Wolsey*, *Ryszarda*, *Hamleta* i *Macbetha*. Piękności *Szekspira* przewidywałem już prawie w latach dzieciennych, nawet w tłumaczeniu *Dmochowskiego*. Znużony paradną deklamacyą tragedyi *Rasyna*, którą mnie urzędownie w szkołach żywiono, uciekałem się z zapałem pod skrzydła geniuszu angielskiego, tak rodzimego, naturalnego, pełnego wzniosłych i jędrnych pomysłów, nie przykrojonych na długość wiersza aleksandryjskiego, lecz wyrrywających się z wszystkich form znanych, a krępujących umysł.

Później w Niemczech doskonałe tłumaczenia niemieckie wtajemniczyły mnie głębiej w ducha nieśmiertelnego poety. *Szekspirówi* winien jestem pierwszą myśl uczenia się języka angielskiego; piękności literatury angielskiej wynagrodziły mi tysiąc razy wszystkie trudy i mozoły tej nauki.

Nareszcie miałem tu przed sobą sposobność nasycenia się pięknościami jeszcze nieodgadniętymi ulubionego poety. *Macready*, tak jak wprzód *Kemble* i *Kean* sławnym już był wtenczas z swego nieporównanego talentu, oddawania muzy tragicznej *Szekspira*, uzupełniania go w miejscach, gdzie sam autor zostawia późniejszym dziedzicom ducha jego sposobność wykazania własnej muzy myśli; nieraz przechód jednej myśli do drugiej zdawałby się być nienaturalnym przeskokiem, gdyby giest i wyraz twarzy aktora nie tłumaczył przejścia, i nie pomógł widzowi odgadnąć najskrytsze tajniki ducha poety. Chcąc korzystać należycie z przedstawień *Szekspira*, trzeba znać prawie na pamięć sztukę jeszcze przed jej oddaniem na widowni.

Niewypowiedziana rokosz! Język angielski, tak nie harmonijny w potocznej mowie, gdzie go kaleczą połykaniem całych sylab, a szpecą intonacyą jakąś dziwną, przyjętą konwencyonalnie, nabiera w ustach *Macreadego* piękności, ale

przez co? przez dodawanie mu jeszcze większej szorstkości w miejscach, gdzie małuje wzburzenie uczuć, namiętność woli lub rozpacz toczącą serce. Tony te brzmią jak echa grzmotów w uszach mych do dziś-dnia, i jeszcze widzę twarz, na której połyskują namiętności jak błyskawice na zachmurzonym niebie, jeszcze śledzę tego gestu gwałtowną naturalność i pełną prawdę nadobność.

Nieporównana roszkosz, której pamięci nie zaszkodziła ani cudna gra panny *Mars*, ani też szczere hołdy, oddawane później zubóstwionej pannie *Rachel*.

A potem, jaka tu wystawa pompacyjna tragedyi *Szeks-pira*, jaka dekoracya, maszynerya, jakie hufce żołnierzy żelazem okrytych, orszaki świetne złotem i kamieniami połyskujące! Tu wszystko przemawia do zmysłów; tu się biją bohaterowie z zapalczywością godzących na swe życie szermierzy, z mieczów pryskają skry rżęsiście, pada przebity na wylot *Ryszard*, pada i sili się wyciągnąć krwią zbroczone żelazo z głębokiej rany, umiera w okropnej agonii pasując się z śmiercią, jęki jego przenikają najczulsze serca, już umiera, już z strumieniem krwi duch jego ulatuje—nie! zrywa się, wstaje, jak gdyby pchnięty wewnętrzną siłą wydzierającego się ducha, ryknie przeraźliwie i znów pada na wznak jak długi, jednym kawałem, jak się wyraża Francuz, teraz skonał; lecz agonja ta męcząca trwała z dziesięć minut i znękała autora.

Królowie Szekspirscy nigdy nie występują na scenę bez odgłosu trąb i puzonów, a czarownice zjeżdżają z obłoków na łopatach, nie spuszczone w pionowym lub ukośnym biegu na powrozach, lecz bujając sobie tu i owdzie według fantazyi w powietrzu, jak gdyby na skrzydłach sokoła. Spadają nareszcie przebrzydłe istoty; mężczyźni wysocy i chudzi je przedstawiają. Są Anglicy zdadni jedynie do tych ról.

A *Lady Macbeth*? Jak ona wysoka, piękna i biała, ta *Miss Warren*, która ją przedstawia, bardzo podobna do panny *Julii Grisi*, może jeszcze piękniejsza. O pewno! Chcąc namówić swego męża, tak walecznego, tak wiernego dotychczas, do szkaradnej zdrady gościnności; trzeba być piękną jak anioł, i złośliwą, chytrą jak kobieta ambitna.

W chwili, kiedy wstępuje na scenę obłąkana, z rozpuszczonemi do kolan włosami, w długiej, śnieżnej, spływającej szacie, i mówi: »nie nawidzą mnie nawet dzieci moje

tém mlekiem karmione,« chwytła się za pierś wykwitającą w cudnie pięknej plastyczności z pod cienkiego muslinu. Publiczność cała zyskała tym gestem doskonałe wyobrażenie o pełności wdzięków panny *Warren*, ale stare i chude panny w łóżach pierwszego piętra zakryły oczy i krzyczały w niebogłosy: »*O! fy shoking!*« (o pfe! jakie zgorzenie!).

Nie wiele takich kobiet w Anglii, co wybaczą piękność ładniejszym.

ROZDZIAŁ IX.

KANT.—DUMA KRÓLEWCA.—FILOZOFIA.—WIARA W NIEŚMIERTELNOŚĆ DUSZY.—NIEODDZIELNOŚĆ WIARY OD ZDROWÉJ FILOZOFII.—POSTĘP UMYŚLU, SERCA I DUCHA.—SZCZEROŚĆ FILOZOFÓW —OJCIEC MÓJ.—PRZYJAŹŃ.—ROZUM.—TAJEMNICA.—ZAGADKA.—PRZECZUCIE.

Zabijając się pracą i odurzając zabawami, wytrzymałem dwa tygodnie zdala od *Miss Emily*,—wytrzymałem, choć oko jój wielkie, pogodne, choć twarz jój blada, tak smutna i szlachetna, ściagała mnie wszędzie,—we śnie i na jawie.

Ale nareszcie wróciłem. Ojca i córkę znalazłem w altanie; córka haftowała kwiatki, ojciec czytał na głos książkę; przerwał lekturę dopiero, kiedym przed nim stanął, tak, że mógł dosłyszeć kilka *frazesów*. Przyjęto mnie uprzejmie, lecz z powagą, tak jak zawsze.

—»Piękną pan i mądrą czytasz książkę, panie *Wood*.; nie wiedziałem, że ona jest na język angielski przełożoną.«

—»Jako? pan z kilku *frazesów* poznajesz tę książkę?« zawołał zdziwiony i nie dowierzając.

—»Pan czytasz *Sintenisa* o wiecznobyć w śmierci, książkę, która przed czasy z rąk mych nie wychodziła, której żadna myśl nie jest mi nieznaną,« odpowiedziałem.

Bardzo się dziwił pan *Wood*..., nawet prawie ucieszył; ojciec i córka spojrzeli po sobie, potem oko jój pełne padło na mnie jak gdyby się pytała: »byłżebyś i ty nieszczęśliwym?«

Wszczęła się teraz rozmowa dla mnie tak pamiętna, że wszystkie jój słowa po tylu już latach oddać jestem w stanie, bez zmienienia porządku i *frazesów*.

Wróciliśmy raz jeszcze do Królewca i do jój wiecznej ozdoby—do *Kanta*. Pan *Wood*... chciał wiedzieć, jak w Niem-

czech w teraźniejszym stanie filozofii rozumują o ważnej kwestyi nieśmiertelności duszy.

Wyłożyłem mu rzecz tę w następujących prawie słowach:

—»Wiecznobytu po śmierci, czyli nieśmiertelności duszy, starano się dowieść na różny sposób; w nowszych czasach wywodzono go z niematerialności duszy. Niematerialność jednak także nie może być ściśle dowiedziona; a gdyby nawet udało się dowieść tego, wówczas wypadłoby, że dusza nie może być zniszczoną tak jak ciało przez śmierć, a jeszcze nie—że ona nie przestaje być i działać z pewną wiedzą siebie samą. Zawszeby bowiem jeszcze możebnym zostało, że dusza przechodzi po śmierci w stan bezwiedny, podobny temu, w którym pozostaje podczas głębokiego snu, albo też podczas długiego omdlenia. To jednakże nie byłoby prawdziwym wiecznobytem, tylko czémścis od zniszczenia nie wiele różnym. Myśl, że człowiek po śmierci swój ma przestać działać jako rozsądna i wolna istność, jest do tego stopnia rozpacz i oburzenie wzbudzająca, że ją najmędrsi i najlepsi ludzie od niepamiętnych czasów odrzucili, i że wszystkie do cywilizacyi jakkolwiek dążące ludy uznały nadzieję wiecznobytu, jako ważną i nieodłączną część przekonania religijnego. Nadzieja nieśmiertelności jest samą wiarą religijną. Rozum wymaga od człowieka, aby ciągle dążył do doskonałości nieskończonej, a z pod tego wymagania człowiek uchylać się lub wyłamywać nie może, jeśli nie chce zrzec się całej swój powagi jako rozumne i swobodne stworzenie. Dlatego też prawnie może spodziewać się wiecznego trwania swój lepszej samoistności, jako niezbędnego warunku postępu, choć możliwość tego wiecznobytu jest dla niego nieodgadniętą zagadką. Wiara w nieśmiertelność w tej samej czerpie się krynicy, co i wiara w bóstwo; i nikt nie może wierzyć z pełną ufnością w Boga, kto zarazem nie wierzy w swą nieśmiertelność. Wiara w nieśmiertelność znajduje się przeto w religii najoświecześniejszych ludów każdego czasu; idea jedynie tej wieczno-trwałości ulega pewnym zmianom w wyobrażeniu różnych narodów. Idea ta zależy najwięcej od zdania, które sobie utworzono o duszy i jej stosunkach do ciała. Najsurowszy materializm jedynie niezdolnym jest do wyobrażenia sobie tego; ktokolwiek jednak pocznie postrzegać się na działaniu duszy, i zdolnym jest odwrócić

wzrok swój od zmysłowej terażniejszości, ten także pojmie myśl o wieczno-trwałości, uwierzy w nią i w wierze swęj wspieranym bywa wzruszeniami nadziei i bojaźni, różnemi po części jeszcze niewytłómaczonemi zjawiskami natury, nawet różno-rodnemi utudzeniami. Najprzód wierzone w wiecznobyć duszy zależący od wiecznobytu ciała, i dlatego też balsamowano trupów, jak w Egipcie; później wierzone w wiecznobyć duszy połączony z odnowieniem się ciała. Tu przedstawiono sobie duszę jako ciało subtelne, jako gaz lub jako cień, który odłączony od ciała, żyje po śmierci. Lecz to są już późniejsze wyobrażenia, wyrodzone pod wpływem zmysłowości; pod jej panowaniem powstały wszystkie wyobrażenia o podziemnym świecie. Później przyjęto postęć duszy i jej wiecznotrwałość w coraz doskonalszych kształtach, czyli metempsychozę. Z wiary w świat podziemny wyrodziła się wiara w widma i wpływ nieboszczyków na żyjących.«

»Dziwić się nie można także, że człowiek wpadł na myśl naturalną zrobienia wieczno-trwałości po śmierci, zawisłej od życia na tej ziemi. Ztąd powstały wyobrażenia o nagrodach i karach pośmiertnych, i o różnych siedzibach duszy, o piekle i niebie. Nauka o zmartwychwstaniu ciała wywiązała się dopiero po wyobrażeniach powziętych o stanie nagrody nas czekającej; a ztąd i z połączenia z ideami metempsychozy, wyrodziła się wiara o stanie przeciwnym snu duszy, o stanie czyszczenia się jej, o sądzie pośmiertnym, o sądzie ostatecznym na końcu świata, albo o powrocie na świat nadziemny. Tak nauka o nieśmiertelności była częścią ograniczoną i surową, częścią objętszą i spirytualniejszą.

»Najpierwsze ślady wiary w nieśmiertelność znaleźć można w czci oddawanej umarłym; lecz czystą wiarę w nieśmiertelność dopiero religii chrześcijańskiej winniśmy. Wiara chrześcijańska w nieśmiertelność duszy odróżnia się od innych ufnością i pewnością z jaką się ogłasza. Szlachetniejsza tylko część ludzi według niej ma żyć wiecznie. Będzie posiadał życie wieczne, którego dusza w tém życiu zbudzi się z chaotycznego letargu do pewności wiedzy, wyrobi się z tłumiących jej sprężyny myśli kłamliwych i namiętności, do szlachetności prawdy i wiary w jedną, wieczną, czynną i mężną cnotę. Z tego życia przygotowaw-

czego przejdziemy w drugie lepsze; na progu jego zostawiamy cisnący ciężar ciała naszego, lecz zabieramy z sobą zaspokajającą lub martwiącą wiedzę wolnych naszych czynów: to będzie nagrodą lub karą szlachetniejszego człowieka.

»W taką nieśmiertelność wierzyć nauczyli mnie filozofowie, których znam uczciwość w życiu prywatnym, a których rozum zna cały świat z życia publicznego; a w taką nieśmiertelność uwierzyć może najmędrszy człowiek bez uchybienia swemu rozumowi, i najprostszy człowiek uwierzyć zdoła, jeśli ma dobrą wolę.«

Słowa te, wyrzeczone z tym zapałem, z tą radością i dumą serca, jakie tylko dać może szczere, niezachwiane przekonanie, zrobiły głębokie wrażenie na ojcu i córce. Znikło zimno z twarzy ojca, ustąpiło wzruszenie, którego zaledwie mógł się stać panem; w oczach córki błyszczał święty jakiś ogień, a blade lica owionął rumieniec, na wargach igrał uśmiech niebieski.

— »A możesz ręczyć, że uczeni, ozdoby naszego świata, kiedy są na katedrze lub kiedy piszą książki, nie są powodowani raczej interesem ludzkości, niż miłością prawdy? że sobie żadnej nie zatrzymają myśli w rezerwie, że nie mają podwójnych doktryn, jak podobno *Plato*, jedną dla pospolitych, a drugą dla wybranych?« pytał się pan *Wood*, a w twarzy jego przebijała się tak widocznie żądza być przeświadczonym o prawdziwości i mocy mego zdania, że łatwo mógł pojąć, ile go kosztował gwałt zadany sobie samemu tém pytaniem.

— »Odpowiem panu najprzód na drugie pytanie, nim przystąpię do odpowiedzi na pierwsze. *Plato* nie miał dwóch doktryn, tylko dwa sposoby dowodzenia jedynęj. Pierwszy, dostępniejszy, służył mu dla ogółu słuchaczy; drugi, głębszy, chował dla wybranych.

»W szczerść uczonych profesorów, których ja miałem szczęście być uczniem i znajomym, mianowicie sławnego *Herbarta* i *Rosenkrantza*, nie mam najmniejszej nieufności; z życia zaś prywatnego i publicznego wielkiego *Kanta* tyle pozostało anegdotalnych, pełnych naiwności, popularnych wspomnień, że cała atmosfera Królewca niemi przesiąkła. Ale gdyby mi wiary w wymienionych filozofów zbywało, nie rozpaczalibyśmy jeszcze i nie zachwiał-

bym się ani jednej chwili w mém przekonaniu. Niedaleko szukałbym pociechy i podpory. Byłem wychowany pod okiem człowieka, którego żaden z znanych mi ludzi nie przeszedł w uczoności, miłości prawdy i szczerości, którego imie głośnémbym było na świat cały, gdyby był w innym kraju rozpoczął swój zawód długi, a teraz już dokonany, choć jeszcze jest żyjącym. Zadna gałąź nauki nie była mu obcą, wszystko zgłębił aż do ostatnich granic możliwości. Pilność jego i cierpliwość w badaniach wyrównała pojętności, wyobraźni i pamięci, tym trzem głównym filarom rozumu, rzadko kiedy w równej sile u jednego człowieka istniejącym. Wszystkie gałęzie nauk były mu znanymi, a wszystkie w wieku dojrzałym służyły mu jedynie do dostąpienia jedyne go celu: do przeświadczenia się o gruntowności prawd odwiecznych. Grecki język i łaciński, które tak dobrze posiadał jak własny, i wszystkie inne nowożytnie, nie wystarczały mu jeszcze. Mając lat pięćdziesiąt kilka, wziął się do nauki hebrajskiego, dlatego tylko, żeby mógł w pierwotnym języku czytać części pisma świętego w nim pisane. Dla badań naukowych opuścił, żyjąc w świecie i kochając go serdecznie, wszystkie ubiegania się za bytem materjalnym; w potoczném życiu tak był niewinnym jak dziecko; pieniędzy przez trzydzieści lat przeszło nie miał w rękę i wartości ich rozeznac zapomniał. W szczupłym i zdolnościom jego mało odpowiadającym zakresie obowiązków, umiał tyle wyrzec ducha, życia i myśli, że uczniowie jego liczni i wdzięczni pamiętać go będą, w miarę własnych zdolności i w miarę własnej enoty.

»Nie mogę powiedzieć, żeby się brzydził kłamstwem, gdyż go wcale nie znał: czysta jego dusza nie dopuszczała istności kłamstwa umyślnego. Zresztą, tak się postawił w świecie, jak szczerzy swym zasadom filozof. Mały zakątek ziemi wystarczał dla jego ciała, a dusza obejmowała świat cały, w ciągłej uroczystej była styczności z jego Twórcą.

»Serce jego, pełne zapału dla wszystkiego, co było piękném i szlachetném, nie zadało ani razu fałszu jego szczytnej filozofii; i w wieku, kiedy każdy inny starzec chylił się ku grobowi, on śpiewał w wierszach tchnących ogniem młodzieńczym. Taki człowiek kłamać nie mógł

ani świata ani swym dzieciom; z jego nauk i wiary czerpałem ziarno mych nauk i mej wiary, ziarno tak silne i jędrne, że się jeło wszędzie, gdzie tylko burze losu od wielu lat mną miotają, i że rośnie i krzewi się, pomimo cierpień tęsknoty i zmartwień życia tułackiego.«

— »I któż-to był ten człowiek tak znakomity ze wszech względów?« zapytał pan *Wood*...

— »Mój własny ojciec,« odpowiedziałem.

Pan *Wood* wstał i podał mi rękę, łza błysła w jego oczach jak iskierka.—»Zawieram z panem przyjaźń,« rzekł mi z wzruszeniem ściskając moją rękę, i odbiegając szybko ku domowi.

— »A ojciec pański,« spytała *Miss Emily* z niepowsściągniętą czułością, »kiedy go pan zobaczysz?«

— »Kiedy Bóg zechce,« odpowiedziałem.

— »Ah, teraz widzę, że i pan nie jesteś szczęśliwym, że głęboko czujesz w sercu to oddalenie. Ale powiedz pan, czemu tak długo do nas nie przyszedłeś? ja już myślałam, że cię zraził dom nasz smutny, że go unikasz umyślnie; ale czemu byś unikał nieszczęśliwych, kiedy sam nim jesteś?«

— »Jednak przyznam się, że umyślnie nie przychodził tak długo.«

— »Powiedz pan przyczynę jeśli możesz, proszę, proszę,« nalegała *Miss Emily*.

— »Nie będę jej taił, nasunę ją, pani odgadnie niezawodnie. Lękam się poddawać urokowi towarzystwa młodej damy, której uczucia, jak wnoszę z tego wszystkiego co widzę, do innego należeć już muszą.«

— »Więc pan nie a nic nie wiesz, i myślisz... lecz cicho, ojciec mój wraca, pojutrze przyjdź pan, jeśli możesz, rano po 10., wszystkiego się dowiesz. Oh! niech się pan mnie nie obawia,« dodała podając mi rękę i ściskając moją tak serdecznie!

Wrócił pan *W...*, za nim służący z tacą, na niej butelka wina i trzy kieliszki.

— »My musimy zawrzeć przyjaźń z panem, przyjaźń dobrą i szczerą, abyś pan często wstępował do domu naszego.«

Zawarliśmy wzajemną przyjaźń; było coś uroczystego w tym prostym akcie. *Miss Emily* dotknęła ustami powierzchni wina, ojciec spoglądał pogodniejszym okiem i roz-

mowa toczyła się dość żywo, swobodniej niż dotąd; ojciec i córka wypytywali się o bliższe życia mego stosunki z współczuciem, już zupełnie niepowściąganém. Pan Wood... rzekł mi nareszcie:—»Z wrażeń, jakie wyznanie wiary pana na nas sprawiło, mogłeś poznać, że nie należymy, ani do kwaków ani metodystów, ni do pietystów, ci bowiem są dumni i zarozumiali, i nigdy się nie przyznają do jednej chwili powątpiewania we względzie religijnym. Mnie się znów zdaje, że chwile niepewności, które nas czasem ogarniają, zstępują na nas wprost z woli Boga, chcącego ukrócić nas w naszej dumie, a zarazem wzywać do niezaniechania żadnej drogi, którą dojść można do prawdy. Rozum, lubo w wielu ludziach nie jest najmocniejszą lub jedyną władzą przeznaczoną do zdobywania pewności w religii, jest jednakże w wielu innych ludziach władzą tak silną, że się jej rzec nie sposób, że jej przytłumić żadną miarą nie można. Rozum także służyć powinien za środek do dojścia do prawdy odwiecznej, i mnie się zdaje, że niebezpiecznym jest tylko w głowach, w których siła wyobraźni przeważa o wiele siłę rozsądku, i w sercach, w których więcej jest daleko namiętności jak rzetelności.«

Z tych słów poznałem, że przyczyna nieszczęścia rodziny musiała być szlachetną, gdyż ich religia ten charakter nosiła. Półgłówek, zbrodniarz i tchórz, uchodząc przed ścigającym go sumieniem, lub drżąc przed czekającą nań karą, wyrzeka się rozumu, i sfanatyzowaniem uczucia, zgalwanizowaniem wszystkich żywiołów skruczy chce sobie zdobyć to, co całe życie lekceważył lub obrażał. Człowiek rozsądny, silny w duchu i mężny w sercu, zawczasu bada swój rozum i pyta sam siebie, czy go już zaczyna zatrudniać ważna kwestya *powinności* na tym świecie, a przyszłość na tamtym.

Pożegnałem się, obiecując, że będę bywał częściej, codziennie, jeśli można. Ojciec i córka odprowadzili mnie do drzwi ogrodu; żegnając się ze mną *Miss Emily*, rzekła: »remember,« to znaczy: nie zapomnij.

ROZDZIAŁ X.

SMĘTNOŚĆ.—WALKA Z NIĄ.—WESTMINSTER.—STRUKTURA ZEWNĘTRZNA.—WEWNĘTRZNA.—WIECZNOŚĆ GENIUSZU LUDZKIEGO.—WAWEL.—ST. DENYS.—KRÓLOWA ELŻBIETA.—WIERNA ŻONA.—LADY WALPOLE.—EDWARD WYZNAWCĄ.—KAPLICA HENRYKA VIII.—RYCERZE ORDERU KĄPIELI.—JERZY.—HOWE HARGRAWE.—GRATTAN OBROŃCA IRLANDYI.—LORD MANSFIELD.—PITT I FOX.—NEWTON.—KÖPERNIK.—POEZJA.—SZEKSPIR.—TOMSON.—MILTON.—JOHNSON.—BUTLER.—HAENDEL.—BYRON.—ARYSTOKRACJA PIENIĘŻNA.—PROFANACJA.—GABINET FIGUR WOSKOWYCH.—NELSON I ELŻBIETA.—ANGLIA KUPCZĄCA—SŁAWĄ ANGLIFÓW.

Remember! powiedziała Miss Emily.—Smętność ogarnęła mą duszę, więziła umysł w swych czarnych nieubłaganych objęciach, a wyobraźnię nękała tysiącznemi domniemywaniami, pomiędzy których bałamuącą grą rozum mój nie mógł znaleźć wątku prowadzącego do prawdy. Tylko silném, a harmonią usposobienia umysłu nie rażącym wrażeniem, mogłem wyzwolić się z pod cisnącego jarzma myśli, trapiących mnie a nie wiodących do celu. Silném, poetyczném, a jednak smętném wrażeniem chciałem wyleczyć się ze swego smutku,

Gdzież miałem szukać lekarstw, jeżeli nie w Westminster Abbey, w tym świętym przybytku, w którym od wieków leży zaklęty skarb poezyi, niewyczerpany zasób zachwyceń, umarły i zimny, lecz zawsze gotowy odżyć w całej swój sile i piękności na pierwsze wezwanie każdego dziecka geniuszu, na pierwszą prośbę stęsknionego syna dalekiej krainy.

Otulona grubą pomroką mgły, stała gotycka świątynia odosobniona od reszty świata dżdżystym obwodem. Wspinałe jej formy zdawały się kończyć dopiero w nieprzejrzałej nieskończoności. Na szczytach wież połyskały złoczone kopyły mdło i blade, ale tak wysoko, wysoko jak gwiazdy na firmamencie, gwiazdy blednące w blasku wschodzącego

słońca. I kawki krukowały jakoś smutno i przelatywały z wieży na wieżę, jak czarne cienie na tle szarém.

Tam, w ogromności rozmiarów, nieskończoność bez granic; i tu w ozdobach każdej cząstki nieskończoność bez granic. Czy odkryjesz choć jeden atom tych ozdób, któregooby kształt nie nabrał nieznanéj piękności pod dźwiętem anioła boską myślą natchnionego?

Wejdzmy do starożytnego poważnego przybytku.

Świątynia Westminsterska tém uroczytszą jest dlatego może, że jednym rzutem oka jéj wewnętrznych rozmiarów i kształtów ani zmierzyć, ani odgadnąć nie można. Pomniki grobowe wznoszą się ze wszech stron w powietrze wzdłuż ścian obszernych i snują po filarach, na których ciąży wysokie sklepienie przybytku. Ozdoby filarów pierwotne, znikły w cieniu posągów zmarłych bohaterów i figur allegorycznych. Mnóstwo pobocznych kaplic z początku nie wchodziło w skład świątyni, a największa z nich, stanowiąca właściwy kościół, w którym się odbywa nabożeństwo, tak jest zasłonięta cieniami, pomroką, i tak jest odległą, że pojąć nie mogłem, z kąd pochodziły uroczyste głosy śpiewu religijnego. Słabe promienie słoneczne w przechodzie przez szyby kolorowe nabywały barwy i powlekały, jak gdyby magiczném, drzącém półświatłem, niepewne zarysy świątyni i posągi grobowców gęsto rozsiane, bo od tylu wieków gromadzone. Miejsce jest poważne, uroczne i posępne, jak jego przeznaczenie; każdy tu uczuł wpływ jego korzący, stapał nieśmiało, głos i niemal ducha tłumił w swych piersiach. A jeżeli czasem śmiałek jakiś, urągający się z wpływu miejsca świętego na słabe nerwy ludzkie, chciał dać dowód wyższości swéj odwagi, udać obojętnego i przechadzał się stąpając i rozmawiając głośno, wówczas ozwały się potężne echa sklepień strzegące świętości świątyni i zgromiły śmiałka. Smutny to dowód męztwa i smutna to дума, która pochodzi z braku czucia i poezyi!

Tu więc leżycie pochowani wielcy królowie, piękne królowe, waleczni bohaterowie i czarujący synowie. Tu leżycie pochowani wy, którzyście kiedyś całému światu berłem rozkazywali, lub niém władali siłą geniuszu i poezyi. Dziś leżycie nieporuszeni, zimni; i każdy człowiek, w którym tli jaka iskierka życia, lub też tkwi potrzebna mu jego ilość dó *roślinkowania* od kolebki do grobu, i każdy człowiek, mó-

wię, który jeszcze żyje, ma się za coś nieskończenie wyższego i szczęśliwszego od was: *Wilhelmie* zwycięzco, *Henryku* biczu Francyi, dumna *Elżbieto*, waleczni *Percy*, *Kongrewie* i *Nelsonie*; i wy *Newtonie*, *Szekspirze* i *Miltonie*, którzy epitetu uczczenia nie potrzebujecie!

Kto wie! może nie w jednym sercu pospolitem, widok tylu wieków, śmiercią do jednego szczupłego grobu strąconych, wzbudzi uczucie jakiegś niskiej dumy.

Tu byłoby miejsce pójść za śladem tylu innych, wrażenia swe z widoku wielkich grobowców wykwitłe opowiadających; tu byłoby miejsce rozkwilić się czułemi wykrzyknikami nad znikomością rzeczy ludzkich.

Lecz nie! wyobrażenie znikomości rzeczy ludzkich nigdy w mém sercu nie powstało na widok grobów, zawierających szczątki wielkich lub też pamiętnych w dziejach świata mężów.

Inne mnie wówczas przejmowało uczucie, uczucie więcj pocieszające: uczucie wieczności dzieł ducha i geniuszu ludzkiego.

Nie masz znikomości rzeczy ludzkich! przynajmniej ta część naszej istności, którą objawiamy przez wielkie czyny natęj ziemi, oprze się zniszczeniu, dopóki trwa pamięć ludzi i ich rozumu. Reszta niech zniknie, niech powróci do składu pierwiastków ziemi, mniejsza o to; część jedynaludzkiego życia godny sobie przytułek znajdzie w pamięci późnych pokoleń.

O ile szczęśliwszemi jesteście od pochowanych na Wawelu i rozproszonych w Saint-Denys, o wielcy umarli w Westminsterze! Leżycie w waszych metalowych trumnach, nietknięci pod cieniem szanownych sklepień gotyckich, w pośrodku godnych was towarzyszków i ubóstwiających was rodaków jeszcze żyjących, w ziemi angielskiej! Tu nie nie wzywa do ponurych dumań! owszem, uroczą smętność, pogodna rezygnacya, zazdrość jakaś szlachetna duszę ogarnie, oczaruje ją. Radbyś tu został między temi umarłemi, o przechodniu! znękany już w młodym wieku widokiem tylu bliźnich poświęcających lepszą część swęj istności służbie materyi, tracących w ubieganiu się za doczesnym szczęściem wiedzę o wiecznym, ba! więcj jak to, sposobność zasłużenia sobie na nie!

Bieglejszym piórom, ludziom z architekturą, sztuką rzeźbiarską lepiej obeznanym, zostawię opisanie szczegółowe pomników, tyle zasługujących na uwagę znawców. Ja nie jako artysta zwiedzałem groby *Westminsteru*, ja żądałem od nich czego mi potrzeba było: pociechy, i znalazłem ją obficie.

Wiele tu jest arcydzieł sztuki, ubiegających się o zaszczyt wyrównania przepychem i gustem sławie mężów, talentowi artysty powierzonych; lecz tego nie dokazało żadne. Żadne nawet nie wzniosło się do szczytności pomysłu i poprawności wykonania owego przedziwnego pomnika strazburskiego, którym sława marszałka *Saskiego*, syna naturalnego króla polskiego *Fryderyka Augusta I.*, przejdzie do późnej potomności.

Napisy w ogóle odznaczają się trafnością i niezatarte w pamięci zostawiają ślady; mało jest czezych, tchnących próżnością, lecz w wielkiej liczbie i tych nie braknie, niestety!

W kilkunastu pobocznych kaplicach stoją grobowce królów i możnowładców. Na wielkich sarkofagach leżą królowie i królowe w całych postaciach, w koronach, z berłami, rycerze z mieczem, w zbrojach, z głowami na ramionach wspartemi, z podobieństwem rysów twarzy i noszonego za życia ubioru. U nóg mężczyzn spoczywają lwy, godło mężstwa; u nóg kobiet psy, godła wierności.

Jedna dama nieboszczka leży pomiędzy dwoma mężczyznami kolosalnej wielkości. Ona z zamrużonemi oczami w postaci spiącej; oni wsparci na rękach i na nią spoglądający. Następujący napis wychodzi z głośniejszą trąbą *Klii*:

»*Pia, casta, prudens utriusque marito bona fidelis uxor.*«
(Nabożna, czysta, mądra, każdemu z obu mężów dobra i wierna żona.)

Naiwnie to bardzo pomyślany grobowiec.

Mówiąc o pomnikach niewiast, wypadłoby właściwie zacząć od pierwszej, najświetniejszej z Angielek, o wielkiej »*Virgin Queen*«, panićuskiej królowej, jak ją grzeczna nazywa historia.

Królowa *Elżbieta*, długa poważna postawa, leży na swym wyniosłym sarkofagu w głównej wielkiej kaplicy, w której się odbywa nabożeństwo. Cierpki jakiś i rozkazujący wyraz jej twarzy, ujmuje jej tyle wdzięku, że nie prawie nie zostaje. Pompatyczny napis głosi świetność panowania *Elżbiety*,

zwycięstwa jęj flot i armij, przewagę zabraną w sprawach Europy, jęj mądrość i zdumiewającą uczoność.

Później, za czasów zapewne *Oliwiera Kromwella*, dodano do napisu, że obok ciała *Elżbiety* spoczywa w grobie głowa nieszczęśliwej jęj krewnej *Maryi Stuart*. Tak grób pojednał zazdrosną mścicielkę z ofiarą. Berło złote, którym umiała władać za życia, zostało wydartém posągowi *Elżbiety* po śmierci.

Henryka V., przezwanego *Chłostą* Francyi, spotkało jeszcze większe nieszczęście. Urwano mu całą głowę, była bowiem ze srebra.

Między pomnikami niewiast celuje okazałością pomnik dla lady *Nightingale* wzniesiony. Umarła w 27. roku, w wiosnie życia. Wystawiono ją piękną jak bóstwo, z marmuru, jak się chroni przed śmiercią w objęcia małżonka; on ją przyciska do serca jedną ręką, drugą zaś zasłania od grotu śmierci. Jaka szlachetna, tkliwa rozpacz w jego twarzy! Śmierć, brzydki, nagi szkielet, wypada z napół otwartego grobu, zrzuca z siebie biały całun i porywa za nieubłaganą kosę.

Inaczej zupełnie, lecz niemniej pięknie uczczono pamięć lady *Walpole*. Cały pomnik wystawia statwę z najpiękniejszego białego marmuru, wyobrażającą lady *Walpole* w długiej zasłonie spadającej z głowy do stóp, w postawie skromnej, lecz niewymownie miłej, godnością tchnącej i rozważnej. Gdyby nie twarz charakterystycznie angielska, powiedziałbyś: że to *Westalka*, wyszła z pod dłuta *Praxyteles*; tyle jest klasycznej piękności w pomyśle i w wykonaniu.

Najdawniejszym pomnikiem *Westminsteru* jest grobowiec *Edwarda Wyznawcy*, zmarłego w roku 1066., a kanonizowanego później przez Papieża *Aleksandra III.* w roku 1179.

Byłto człowiek sprawiedliwy, dobry; lecz dziwne wyobrażenie bogobojności przeszkadzało mu być dobrym mężem, przezornym królem, a nadewszystko ojcem. Napis na pomniku mówi, że żył od kolebki do grobu w ścisłym celibacie, pomimo że miał za żonę młodą i prześliczną *Edytkę*, córkę *Goodwina*.

Gdyby *Edward Wyznawca* miał mniej pobożności, nie byłby umarł bez potomka; *Wilhelm Zwycięzca* nie byłby miał pretekstu wkroczyć do Anglii z swemi awanturnikami,

zdobyć koronę i wytepić prawie do szczytu ową gościnną i poczciwą szlachtę saksońską, którą znamy bardzo zbliska, dzięki rycerzowi *Iwanhoe*, cudnemu utworowi *Walter-Scotta*.

Na jednym grobowcu leży *Edward I.* z rasy *Normandów*, a przy nim *Eleonora* z Kastylii jego małżonka, tak pamiętna z swego poświęcenia się dla męża, że się przy jej grobie każda dama długo zatrzymywać zwykła. *Edward*, w pochodzie swym do Palestyny z wojskiem krzyżowem w r. 1279. został ugodzony zatrutą strzałą. Śmierć musiała nastąpić niechybnie, jeśli kto jadu z rany nie wyssie. Dworacy nie odważyli się, nie chcąc ważyć własnego życia, lecz się poświęca żona i ocala mąż.

Co tu jest nadzwyczajnego w tém poświęceniu żony dla własnego męża? może w Anglii, gdzie rozwaga każde uczucie poprzedza lub przynajmniej każdemu towarzyszy. Ale jestem pewny, że u nas większa część kobiet poświęciłaby się w tenże sam sposób dla małżonka, nie robiąc sobie z tego żadnej zasługi. Serce jest lepsze u nas, u samolubów rozum niemi władą.

Kaplicę *Henryka VIII.*, piękną i okazałą, uważają za arcydzieło budownictwa gotyckiego. Za życia swego miał sześć żon: dwie z nich odepchnął, dwie ściał kazał, jedna mu umarła w połogu, jedna go przeżyła; lecz żadna z swym mężem nie chciała dzielić pośmiertnego łoża, jak gdyby się obawiała przebudzenia lwa i krwawych jego wyroków.

Na ścianach kaplicy wiszą chorągwie rycerzów orderu *Kapielei (order of Bath)*, przy nich wypisane są imiona i wymalowane herby. Chorągwie tych, którzy jakim niegodnym czynem honor rycerski splamili, zrywane są, a miejsca pozostają próżne. Próżne jest miejsce, gdzie tkwiła chorągiew admirała *Cochran*, którego na utratę orderu *Kapielei* naraziła bezprawna jego eheciwość.

W kaplicy *Edwarda* przechowuje się tron koronacyjny i ów bajeczny kamień, do którego rządy królestwa *Szkocyi* są przywiązane. Prosty to szary głaz, znany w historii od szesnastu wieków (*).

*) Król *Kennet* kazał na tym głazie wyryć następujący napis:
*Ni fallat fatum, Scoti quocunque locatum,
 Invenient lapidem, regnare tenentur ibidem.*

Opuśmy pomniki koronowanych, a pójdźmy zobaczyć groby mężów dębowym liściem lub laurem uwieńczonych. Tu leżą waleczni wodzowie zastępów lądowych i fortec unoszących się na falach morskich. Szereg bohaterów otwiera *Henryk Percy*, przezwany „*hot-spear*» (gorący grot), wstawiony w wojnach Lankastrów z Yorkami za panowania *Edwarda IV.*; poległ w bitwie r. 1403. Z *Szekspirem*, który go uwiecznił w tragedji *Edward IV.*, przejdzie on do najpóźniejszej potomności, chociaż zawód młodego rycerza był bardzo krótkim.

Tu wznosi się pomnik lorda *Ryszarda Howe*, admirała wstawionego zwycięstwem, odniesioném nad flotą francuzką w kanale *Manszy* w r. 1794. W tej zaciętej bitwie wiekopomną okrył się sławą okręt francuzki *Le Vengeur*. Wolał zginąć szlachetnie, niż poddać się Anglikom.

Tu są pochowani: waleczny generał *Wolf* i pułkownik *Kongrew*, wstawiony wynalazkiem rac, których skuteczności doświadczyli Francuzi pod *Boulogne*, *Lipskiem*, *Waterloo*, a *Algier* przy bombardowaniu go przez lorda *Exmouth*.

Pomnik generała *Hargrave* zastanawia ogromem. Bohater wystawiony jest wyłamujący się z grobu. Czas, pod postacią starca, kruszy grot śmierci i wtrąca ją samą w otchłań.

Nie wszystkich bohaterów angielskich groby znajdują się w *Westminsterze*; wielką ich część ujrzymy później w kościele *S. Pawła*, w tym pantconie uzupełniającym świątynię chwały.

Przejdźmy do sławnych mężów, którzy w mniej głośnym zawodzie zdobyli sobie prawo spoczywania pomiędzy najślawniejszymi synami Anglii.

Tu spoczywa wymowny *Henryk Grattan*, Anglik i protestant, a jednak, rzecz zastanawiająca! obrońca uciśnionych Irlandczyków, prześladowanego katolicyzmu, obrońca bezinteresowny, nie płacony żadnemi składkami, człowiek szlachetny, broniący, w imię sprawiedliwości i przeciw chciwości własnych rodaków, prawa słabszego skrzywdzonego.

Trzeba znać wszystkie te szczegóły, nim się wstąpi pod te sklepienia. *Cycerone* angielski wam ich nie powie, i da wam przejść około skromnego pomnika, nie namawiając was do złożenia winnego hołdu pamięci szlachetnego *Henryka Grattan*.

Lord *Mansfield* siedzi w krześle sędziowskiem, w todze i peruce. Bystre jego oko zwrócone na szalę sprawiedliwości, w twarzy nieugięta bezstronność; obok niego geniusz mądrości i sprawiedliwości, za nim zaś śmierć w postaci pięknej i młodej kobiety gasi pochodnię. Nie powinni jej nigdy wystawiać w obrzydłej postaci szkieletu, gdzie tylko spotyka na swój drodze dobrego człowieka. Śmierć niech będzie postrachem dla złych ludzi, ale niech będzie przyjaciółką dla prawego człowieka, wiedzącego, że ona przyjść musi niechybnie powiedzieć: »już dosyć pracowałeś, dosyć cierpiełeś, teraz użyj pokoju.« Starożytni Grecy w tym względzie doskonalsze i piękniejsze mieli pojęcia. W wieku średnim oddalono się od wzoru estetycznego i z przestachu śmierci zrobiono narzędzie ujarzemia tchórzów za życia jeszcze.

Lord *Chatham* leży obok lorda *Holland*, *Pitt* obok *Foxa*, tak blisko, że łza wylana na grobie *Foxa* potoczy się na grób *Pitta*, jak mówi *Walter-Scott*. Nie masz tu innego napisu na tych grobach, jak litery *P.* i *F.* Brytania powierzyła pamięci swych synów całą sławę *Pitta* i *Foxa*, dwóch zaciętych przeciwników za życia (*), i tém zaciętszych, im więcej, im sumienniej służyli swemu krajowi. Jeden jest uosobieniem *Torysów*, drugi uosobieniem *Whigów*; a obaj, choć w ciągłej walce z sobą, umieli służyć i ratować ojczyznę i zasłużyć na wdzięczność Anglików.

Lecz jakież-to nazwisko wyczytuję na marmurze? to samo, które błyszczą na czystém tle nieba, wypisane wiecznymi gwiazdami: *Newton*! Tak, to grobowiec *Newtona*, owego astronoma, który odkryciem praw ciężkości ogólnej wytlómaczył bieg planet około słońca, bieg księżyca około ziemi, bieg komet, przypływ i odpływ morza. *Newton*, który prawami ciężkości i przyciągania wytlómaczył światu, co niedościgły geniusz naszego *Kopernika* pomyślił. Anglia tak jest dumną z *Newtona*, jak my mamy być prawo z naszego *Kopernika*, wyższego jeszcze. Lecz stokroć szczęśliwsza Anglia! Granice jej zewsząd strzeżone morzem, a my już nie wiemy, gdzie się kończy słowiańszczyzna, a gdzie poczyna

*) Przeciwników nawet po śmierci, bo *Fox* sprzeciwiał się pochowaniu *Pitta* w *Westminsterze*. Śmierć obu, dopiero ich pogodziła.

żywiół niemiecki. Ufając w zabałamucenie geografów cudzoziemskich, Niemiec niezadowolony jeszcze ziemią, śmiał sięgnąć po narodowość naszego *Kopernika*, chwałę naszą, gdyż jedném tém nazwiskiem możemy wszyscy Słowianie odeprzeć zarzut niższości intelektualnej, czyniony nam przez zarozumiałych Niemców.

Pozostaje nam jeszcze do zwiedzenia część bardzo ważna świątyni: przytułek poetów *the poets corner*, jak go tu nazywają. Stanowi on przedsionek grobów królów i bohaterów. Nie wiem, czy to było w myśli architekta, czy też przypadkiem się stało, że droga prowadząca moczary do spokojności, przechodzi przez skromne ustronie poetów, bez których geniuszu i pióra nie masz sławy dla największego nawet zdobywcy.

Ale i my jeszcze żyjący oddajmy już przy wstępie do tego świętego przytułku szczerą hołd nieśmiertelnym władcom uczucia, owym tkliwym opiekunom naszej młodości i naszych dzieci młodości, owym pocieszycielom, do których i w dojrzałych latach chętnie się uciekamy, gdy przyjdzie wiek ambicji i ubiegania się za majątkiem i honorami. Za życia i my także mało ich uznajemy, gdyż po największej części z grubej jesteśmy utworzeni materji, i wolimy ugiąć się przed człowiekiem oslepiającym nas blaskiem swój powierzchowności, jak przed geniuszem w niepozorném ubraniu.

Staję u stóp *Szekspira*. Święty dreszcz ogarnia mą duszę i miota serce w niezliczonych pulsacjach o me, jak gdyby trwogą ściśnione piersi. Czemuż w tej chwili miałem świadków mego wzruszenia? zostawiony samemu sobie, nie byłbym się wstydził wyrzucić go całkowicie, byłbym ukląkł przed twym grobowcem, *Szekspirze!* i podziękował ci za wpływ dobroczynny, któryś z twym rodzonym bratem *Adamem* wywarł na najpiękniejsze lata życia mego, na jedyne lata swobody, spędzone pod okiem Boga i rodziców na błogich *Prosny* i *Nidy* brzegach!

Ah! są tu myśli wielkie jak świat w tej marmurowej głowie *Szekspira* wspartej na rękę, a te księgi, o które się wspiera łokieć, to są dzieła nieśmiertelnego wieszczka, to są niewyczerpane skarby dla każdego zdolnego pojąć, że najszczytniejsza poezja leży w wiecznie pięknej naturze.

I ciebie witam *Thomsonie*, któryś, nie wychodząc nigdy z Anglii, zdołał ubrać wszystkie pory roku w tak świetne

barwy harmonii, obrazów, czucia i myśli, że się i pod twego kraju zimnem niebem cudnie pięknymi wydają. Ty jesteś angielskim Wincentym Polem, i umiesz ziemi, którą kochasz, nadać postać przez ciebie ubóstwianą, może ją pokochają te popsute dzieci, nie widzący w własnej ojczyźnie jak nagość, płaszczyny i piaski.

Kogo przedstawia ta piękna twarz pełna słodyczy i rozumu? *Miltona*, nieśmiertelnego twórcę *„Raju utraconego“*. Występując w życiu praktycznym pod krytycznymi okolicznościami, jako sekretarz *Kromwela*, przeciwko któremu sam stawał w opozycji w obronie wolności druku, *Jan Milton* walczył długo z przeciwnościami losu, dopóki był w położeniu świetnym; później zaś, gdy z przywróceniem *Karola II.* do tronu postradał swe posady, wielki poeta walczył w zapomnieniu z biedą, dokuczliwą chorobą i kalectwem. *Milton* oślepił zupełnie, nim żonie swój i dwom córkom podyktował poemat *„Raju utraconego“*, sprzedał go księgarzowi za biedne 30 funtów szterlingów i umarł, ani się spodziewając, jaką mu on zjedna sławę. Nie poznano się na nieporównanym dziele, aż je *Addisson* wywlókł z zapomnienia w 20 lat po śmierci autora; i dał ocenić światu. Poemat *Raju utraconego* jest dziś dumą Anglii, i najzdolniejsi krytycy wszystkich krajów uważają go za jeden z najszczytniejszych płodów geniuszu ludzkiego.

Z wdzięczności dla znawcy *Miltona*, zwróćmy się tu do tego posągu, przedstawiającego nam poetę *Addissona*, w postaci filozofa greckiego, w długim, fałdzistym, bogato drapowanym płaszczu. Piękne to dzieło sztuki wyszło z pod dłuta *Westmacotta*. *Addisson* wstąpił się najwięcej swemi pismami i pamfletami politycznymi, jako też swą tragedją *Kato*, której cenić trzeba klasycyzm i poprawność stylu.

Niemniej zadziwia okazałość pomnika *Priora*, weale nie w stosunku z jego poetyckim talentem. Lecz *Prior* był dyplomata, później ministrem nawet, i to tłumaczy świetność pomnika.

Skromny bardzo pomnik ma *Dryden* stojący na czele poetów angielskich co do wykwińtości, harmonii i gustu. Był on ojcem krytyki w swym kraju.

Niemniej skromnym pomnikiem uwieczniono pamięć *Chau-cera*, ojca poezji angielskiej, urodzonego r. 1328., a zmarłe-

go r. 1400. Był on przyjacielem i szwagrem króla swego, *Henryka IV.* (Lankastra).

Daléj *Cowley*, *Spencer*, *Gray*, *Dowenant*, *Goldsmith*, daléj urna z napisem: »*O rare Ben Jonson!*« poświęcona społecznemu i przyjacielowi *Szekspira* poecie, który, nim synem muzy został, był malarzem, żołnierzem i aktorem. Wiele jest dowcipu w jego teatralnych sztukach. Umarł w nędzy.

Znalazłeś tu przecież przytułek pod sklepieniami *Westminsteru* genialny *Samuetu Butler*, autorze *Hudibrasa*, poematu pełnego dowcipu i prawdy. Umarłeś z głodu, tak! z głodu, nie powoli, w kilka lat, w kilka miesięcy, tak jak wielu umiera ludzi w Anglii, lecz od razu, w dni kilka.

Mieszczanin jeden londyński, wielbiciel muzy *Butlera*, wystawił mu tu marmurowe popiersie z następującym napisem:

»*Ne cui vivo deérat fere omnia,
Deesset etiam mortuo tumulus.*»

(By temu, któremu za życia prawie wszystkiego brakło,
Nie brakło przynajmniej grobu po śmierci).

Znakomici synowie wszystkich *muz* znaleźli pod temi sklepieniami zaszczytne schronienie. *Garrik*, najświetniejszy aktor angielski, choć był z rodu prześladowanych francuzkich protestantów, sławny poeta dramatyczny, reformator sceny, wystawiony jest, jak za podniesieniem kurtyny występuje na scenę. Nad głową jego w obłokach wznosi się *Szekspir*, w towarzystwie *muz* tragedyi i komedyi.

Haendel, najukochańszy kompozytor Anglii, choć był Niemcem, silny, śmiały, szczytny i porywający w swych boskich utworach, wystawiony jest na płaskorzeźbie przysłuchującym się tonom niebieskiej muzyki, wydobytej ze stron harfy anioła unoszącego się w obłokach. Przed natchnionym kompozytorem leży partycya *Messyasza*, którą raz wykonywał z takim duchem i sercem w kościele podczas wielkiego postu, że i życie ubiegło na skrzydłach uczuć wzniesionych ku Bogu, i nigdy nie wróciło do ciała.

Nie zapomniano i *Causabona* filologa, *Knelera* malarza, *Taylora* architekta, nawet *Tomasza Parr*, który zasłużył na pomnik w *Westminsterze* sztuką przedłużenia sobie życia. Urodził się r. 1482., umarł zaś r. 1635., przeżywszy lat 152. W roku 120. życia swego ożenił się pradziadek po czwarty raz z młodą kobietą, z którą miał jeszcze dwoje dzieci.

W najnowszych czasach znalazł w grobach *Westminsteru* miejsce inny jeszcze mąż, sławny jedynie z przeżycia 110 lat.

Wy, którzyście waszém długim życiem nic nie zrobili, coby na uwagę zasługiwało, wy długo-wieczne rośliny, znaleźliście nieśmiertelność w *Panteonie* angielskim; a ty *Byronie*, ty jesteś z niego wykluczonym, choć twe krótkie życie umiałeś uwiecznić blaskiem wiecznej chwały. *Kapituła Westminsteraska* odmówiła ciątu twemu przytulku dlatego, żeś nie był dość prawowiernym zwolennikiem anglikańskiego kościoła. *Byronie!* puszczając się na lotnym *Pegazie* z szczytów Parnasu w niedościgłe okiem sfery eteru, powinien byleś zabrać z sobą katechizm tej wiary, która zachowała hierarchię katolicką dla przywilejów i pieniędzy do niej przywiązanych, a przyjęła dogmy protestantyzmu dlatego, żeby *Henryk VIII.* mógł zerwać ślub swój ze starą *Katarzyną Aragońską*, a zarządzić inny z młodą *Anną Boleyn*.

Powiedźmy jeszcze okiem na okół kościoła. W zachodniej jego stronie przytykają szczątki dawnego klasztoru, w którym już nie ma ani dawnego azylum, tego niekniętego schronienia, ani cel zakonnych, ani tego budynku, gdzie w r. 1474. *William Caxton* założył pierwszą w Anglii drukarnię i wydrukował pierwszą książkę: o grze w szachy. Lecz jeszcze dotąd dotrwał klasztor, ogromny czworobok, w którego bocznych murach mnóstwo się mieści grobowych kamieni. Przechowała się jeszcze część kapituły, przebudowanej w późniejszych czasach i obróconej na archiwum koronne, w którym dotąd znajduje się oryginał znakomity *Doomes day Book*, czyli wielki kadastr Anglii, ułożony w XI. wieku.

Ale opuśćmy już te święte podwoje, pożegnajmy ciebie wielkich ludzi. Powróćmy z tego świata podziemnego, gdzie tak dobrze, tak cicho, tak święto, do świata nad-

ziemnego, gdzie ani dobrze, ani cicho, ani święto. Zakrystyan nie pozwala nam tu zostać dłużej i zaręcza nam, że *„he must have his dinner“* musi mieć swój objad.

Oh! teraz jesteśmy znów na bruku londyńskim; łoskot i wrzawa budzi we mnie człowieka, powietrze ulic owionęło mnie, jestem znów krytykiem nieprześląganym; i powiedzieć wam mogę, że prócz ludzi sławnych jedynie z długiego życia, znalazłem w *Westminsterze* jeszcze innych, sławnych jedynie z majątku.

Pieniądz, podły pieniądz, zabezpieczył tym ludziom nieśmiertelność!

W tym względzie niestety *katedra Krakowska* staje się aż zanadto podobną do *Westminsteru*. I w niej znalazłem pomniki, całe kaplice, poświęcone dumie arystokratycznej, dumie pieniężnej, i tym torem idąc jeszcze dalej przez pół wieku, znajdziemy w pośród pomników, które wdzięczny kraj wznosił bohaterom, pomniki szczęśliwych spekulantów.

W jednej z kaplic *Westminsteru* pokazują dwie trumny stojące na ziemi. Trumny te zawierają zwłoki dwóch ambasadorów zagranicznych, którzy straciwszy po śmierci przywilej nietykalności, służący ambasadorom za życia, dostali się jako nieboszczyki w ręce wierzących. Nikt nie reklamował panów ambasadorów, którzy tym sposobem zostaną w *Westminsterze* aresztowani aż do dnia sądnego. Idea, żeby *Panteon* służył za zakład pomocniczy więzieniu za długi, jest jedyną w swoim rodzaju i tylko w duszy kupieckiej wyrodzić się może.

Nie dość na tém. W innej jeszcze kaplicy pokazywano nam *Elżbietę* i *Nelsona* z wosku, w ubiorach prawdziwych jakie nosili za życia. Stoją za szkłem, z owemi twarzami, rysem i kolorytem małpującemi życie, a nieruchomemi jak maski. Nieznośny widok, rażący niestosownością w tym świętym, okazałym przybytku wieczności, wzbudzający wstręt i nasuwający myśli, które tu przy najmniej wolelibyśmy zapomnieć.

Ta woskowa *Elżbieta* nie może być ową królową, która zwyciężyła *Armadę* i prawa dyktowała Europie, lecz raczej ową nieubłąganą zazdrośnicą, która wysłała na śmierć swą siostrę *Maryę*, która zezwoliła na ścięcie hrabiego *Essex*, swego kochanka.

A ten woskowy *Nelson*. To nie ów bohater z pod *Abukir* i *Trafalgar*, wołający: »zwycięstwo lub grób w *Westminsterze!*« lecz raczej ów podłący się kochanek *Emmy Lyony*, ów zazdrosny kat admirała *Caraciolo*.

Anglicy! uznajcie brak smaku w tych bohaterach woskowych i przetopcie ich na świecę, lub też sprzedajcie do jakiego gabinetu.

Jeszcze tylko jedno spostrzeżenie o podatku, którego Anglia nie wzdraga się ciągnąć z sławy pośmiertnej swych wielkich ludzi. Wystawcie sobie, że taki *Milton*, *Jonson*, którym dano umrzeć w nędzy, taki *Butler*, któremu dano umrzeć z głodu, muszą po śmierci swęj żywić owych tłustych, rumianych, poważnych cyceronów, opowiadających z monotonią automatyczną i ziewając, ich życia historyę! To sprzeczność zanadto rażąca. Niektóre większe pomniki wypuszczone są szczególnym cyceronom w entrepriżę. Ichmościowie ci obstawiają pomnik drewnianemi baryerami jak pajęczyną, i czatują, zacziawszy się jak pająki, na publiczność! Niechno się kto posunie blisko pomnika! pajak wypada z swęj dziury, porywa ofiarę, wtrąca ją w siatkę, pokaże pomnik, opowie, ziewając i kalecząc najnieznośniej nazwiska, jego historyę, i żąda za to szylinga lub pół szylinga.

O Anglio! poznaj się na twęj własnej szlachetności i zaniechaj tego szachrowania wrażeniami wywieranemi przez pomniki twych wielkich ludzi. A jeśli już żadnym sposobem duch twój kupiecki nie może zrzec się téj spekulacyi, wówczas zmień przynajmniej przeznaczenie dochodu: zaprzestań żywić podatkiem poezyi owych brzuchatych zakrystyanów z rumianą twarzą, złotemi zegarkami i pękiem breloków złotych; przeznacz dochód ten na utrzymanie przy życiu jakich starych synów *Thalii* lub *Melpomeny*, którym wiek i choroby nie pozwalają pracować, a którzy giną tuzinami na ulicach Londynu. I publiczność na tém skorzysta: zamiast monotonnych, na pamięć nauczonych, a jednak kaleczonych panegiryków, będzie miała opowiadania ludzi obeznaných z historyą i literaturą. Publiczność chętniej da pół korony weteranom sceny, niż szyling waszym zakrystyanom, których od dawna bardzo serdecznie nienawidzi.

ROZDZIAŁ XI.

OGRÓD BOTANICZNY W CHELSEA.—ROZMOWA Z MISS EMILIĄ.—MISS ARABELA.—MISS JENNY.—AUGUST.—BETSEY.—CMENTARZ.—POMNIKI GROBOWE.—NAPISY.—OZDOBY.—NIE MASZ POKOJU DLA POPIOŁÓW W ANGLII.—NIEŚMIERTELNOŚĆ.—GRABARZ.—RĘKAWICZKA.—POEZJA.—OPISY PODRÓŻY.—SCHOLA-STYKA.—DOŚWIADCZENIE.—CNOTA.—ODWAGA.—SZALBIERSTWO.

Ogród botaniczny w Chelsey własnością jest towarzystwa aptekarzy, a nie rządu, lub uniwersytetu. Ani piękny, ani romantyczny,—lecz obszerny i celowi doskonale odpowiadający, służy za miejsce przechadzki mieszkańcom przedmieścia.

— „Wiem, *my dear friend*, że my jesteśmy dziwną dla pana zagadką, wiem, że nie możesz sobie wytłómaczyć naszego odosobnienia, naszego smutku, naszej obojętności na wszystko, w czem największa część ludzkości przyjemność i szczęście znajduje.“ Mówiła *Miss Emily*, przechadzając się ze mną po ogrodzie w dniu, w którym mnie do siebie zaprosiła. Wiadomo, że pannom angielskim wielką w tym względzie zostawiają wolność.

— „Nie przeczę bynajmniej,“ odpowiedziałem. „Widok młodej osoby z sobą tylko żyjącej, oddalającej się z własnej woli od świata, którego by była ozdobą, zastanawia mnie bardzo; i nie kryję wcale, że usiłując sobie wytłómaczyć oziębłości tej dla świata tak niezwykłej w tym wieku powody, wpadam na domniemywania...“

— „Tak dziwnego rodzaju“ przerwała mi *Miss Emily* uśmiechając się, „że one właśnie nakłaniają mnie do powierzenia panu przyczyn postępowania naszego. Długo się wahałam, w tej jeszcze chwili nie wiem zupełnie, czy dobrze czynię, zatrudniając serce pana losem ludzi tak mało ci znanych.“

— „Mało mi jesteście znani, to prawda, lecz nie wiem, czemu w waszém towarzystwie dusza moja nie czuje więzów żadnych; wam powierzyłem bez ogródki najskrytszych myśli mych tajniki, méj wiary obręby, mych cierpień przyczyny. Mało kogo do tych powiernictw przypuszczam.“

— „Spostrzegliśmy to. I my także uczuliśmy wpływ pańskiego towarzystwa, i my uznaliśmy, że człowiek myślący i czujący, zdolny zdać sobie sprawę z swych myśli i uczuć, musi wiele cierpieć, trawiając najpiękniejszy swój wiek zdaleka od kraju, w którym się urodził. Jest pewien węzeł braterstwa pomiędzy nieszczęśliwemi wszystkich narodów, z jakiej bądź przyczyny nieszczęścia ich pochodzą. I dlatego też ośmielam się zdrzeć zasłonę kryjącą naszych cierpień dziwne, niezwykle przyczyny. Lecz wprzód, nim moją zaczną jeremiadę, na dwa pytania odpowiedzieć mi musisz, ale odpowiedzieć rzetelnie, bez ogródki, nie robiąc sobie żadnego zastrzeżenia w myśli.“

— „Gotów jestem do tego, *dear Miss Emily!*“ odpowiedziałem zdziwiony tém długiém i ostrożném przygotowaniem.

— „Dobrze. Więc powiedz najprzód: czy wierzysz, że są ludzie, dla których myśl śmierci nie przedstawia nic okrutnego, nie srogiego; ludzi, którzy w śmierci widzą tylko odrodzenie, długo oczekiwane wyzwolenie się z cisnących więzów?“

— „Wierzę, jakże nie miałbym wierzyć? wszakże od dawna sam nie uważam śmierci za karę, lecz za nagrodę dla dobrych, za odpoczynek dla znużonych.“

— „Dobrze, drogi przyjacielu! lecz teraz powiedz mi: czy czujesz się na siłach zniesienia w żyjącym przyjacielu przekonania, że w pewnym jemu wiadomym czasie będzie nieboszczykiem, stanie się ofiarą losu smutnego jemu już znanego? Czujesz się na siłach szanowania tego przekonania, jeśli uznasz, że ono jest uzasadnioném, wstrzymania się od wszystkich słów próżnej pociechy i niepotrzebnego żalu? rozmawiać o śmierci z chrześcijańską odwagą, jak o jakiej podróży niezbędnie potrzebnej, której żadnym sposobem uniknąć nie można? Czujesz się na siłach być powiernikiem rwącej się w świat wieczny ziemskiej istoty?“

Na to niespodziewane, niezwykle, rozpaczą tchnące pytanie odpowiedzieć nie zdołałem natychmiast. Dusza, smu-

tném przeczuciem trapiąca, śledziła w oczach *Miss Emily* rozwiązania trwożącej mnie zagadki; lecz w jej oczach żadnego obłąkania, żadnego—owszem, wyraz jakiś silny rozumem, a ujmujący dobrocią.

— „Oh! nie lękaj się pan, ja jestem w posiadaniu całego mego rozsądku,“ rzekła *Miss Emily*; „lecz odpowiedz na me pytanie.“

— „Nie mam wysokiego wyobrażenia o odwadze ludzkiej w ogólności, uznaję nawet od dawna, że zbytńia bojaźń śmierci jest nikczemności ludzkiej i jej nieszczęść główną przyczyną; lecz mnie nie wolno nie wierzyć w odwagę chrześcijańską zwalczającą bojaźń śmierci, gdy wiem, że filozofia poganów już nad nią wynosiła, i czuję się na siłach dać jej dowody w potrzebie. Czemużbym tedy miał słabnąć na widok istoty, spoglądającej na śmierć jak na funkcję życia, i odwozicie jej myśli od osławiania się z nią, jeśli ma nastąpić niechybnie?“

— „Dzięki panu niech będą za tę odpowiedź. Przebacz młodej dziewczynie, że postępuje z taką ostrożnością, nim zawrze przyjaźń, która nie potrwa długo, lecz przetrwa me życie. Pan na mnie spoglądasz zdumiałemi oczyma, i nie przewidujesz jeszcze co ci chcę powiedzieć; błąkasz się w labiryncie domniemywań, błąkasz się, choć łatwiej od innych mógłbyś przewidzieć co mi grozi, jesteś bowiem lekarzem. Lecz nie! Wszakżeż i najpierwsi lekarze londyńscy nie przewidzieli możliwości choroby i śmierci w najstarszej mej siostrze, nim jeszcze dojrzała do całej świetności piękna. Ona była jak ten kwiat rzadki, którego najwyższy stopień rozwinięcia poprzedza tylko o chwilę pierwsze oznaki śmierci, który doszedłszy do doskonałości, zaczyna raptownie więdnąć, chylić swój kielich ku ziemi, niknąć i umierać. Nie przerywaj mi,—opowiem całą opłakaną historję długiego szeregu żałoby, której nieszczęsna ma rodzina była ofiarą i świadkiem.“

„Matka moja rodziła się w Indyach, pochodziła ona nawet w żeńskiej linii od Rayów indyjskich. Poszła za ojca mego mając zaledwie lat 15, a doszedłszy zaledwie do dwudziestego pierwszego roku życia, miała pięcioro dzieci, chowających się jak najzdrowiej pod cudnym niebem indyjskiem. Dziad mój, ojciec mego ojca, żyjący w Londynie, umarł nagle lat temu ośm, zostawił wdową matkę, i znaczny ma-

jątek, lecz w bardzo zawikłanych interesach. Babka, obawiając się straty tego majątku, nagliła na ojca mego, by wrócił jak najprędzej do Anglii. Ojciec musiał zezwolić choć niechętnie na ten powrót. Przybyliśmy tedy do tej zimnej, słotnej Anglii. Matka moja rodziła się widać z usposobieniem do suchoty, rozwinęły się one wkrótce w tym zabijającym klimacie. Żadna siła lekarska nie mogła wstrzymać biegu choroby; biedna moja matka umarła, nie wiedząc że umiera. Miała wówczas zaledwie lat 32.

„W dwa lata później siostra moja najstarsza *Arabella* doszła do ośmnastego roku życia. Świetniała pięknnością jak żadna z nas: wysoka, wysmukła jak lilia, cerę miała czystą i białą jak lilia. Zachorowała nagle, zaczęła kaszleć, płuć krwią i nikać w oczach naszych. Cios śmierci znalazł ją zupełnie do niej nieprzygotowaną; ona kochała i kochaną była z zapalem, ona marzyła wówczas o szczęściu godnym jej wyobraźni, pełnej ognia i rzewności. Ostatnie chwile jej życia były okropne: myśl śmierci trwożyła ją do tego stopnia, że sama trwoga przyspieszyć ją musiała; żadna pociocha religijna nie zdołała jej pojednać z smutnym losem.—„Ja chcę żyć dla was, ja chcę żyć dla mego *Alfreda*, ja nie pragnę roskoszy raj, ja je tutaj na ziemi znajduję,“ tak wołała nieboga jeszcze prawie w chwili zgonu.

„Po niej zaczęliśmy znikać z tego świata w takich prawie odstępach, w jakich nań przybyliśmy. Corocznie jeden z naszego grona schodził z świata pomimo wszystkich środków zaradczych. Za *Arabellą* poszła *Jenny*. Ta się gotowała na śmierć rok cały w modłach, skrusze i czytaniu pism religijnych. Oderwała się od świata więcej niż ja się odrywam, pograżyła się całkiem w przygotowaniach do agonii, ona nie miała uśmiechu dla nikogo, czułości dla nikogo, ani dla ojca, ani dla nas. Serce jej jeszcze za życia otoczyło się lodem, pragnęła, by chwila rozłączenia przyszła jak najprędzej, i gdy pierwszy raz krwią kaszlnęła, spojrzała w niebo z zimnym uśmiechem, i rzekła: „*I come, I am prepared*“ (Przychodzę, jestem przygotowaną). Umarła z stoicyzmem godnym Sokratesa, lecz bez żalu i rzewności. Mnie się zdaje, że chrześcianka inaczej konać powinna.

„Interesa majątkowe mej babki ułatwiły się dopiero po śmierci mej drugiej siostry. Babka sama, dotychczas tylko swym interesem zatrudniona, nagliła teraz ojca, by nas za-

wiół do Włoch. Zostawało nas jeszcze troje, trzech kandydatów do trumny: brat mój *August*, siostra *Betsey*, i ja.

„*August* wychował się w kolegium w *Epsom*, później zaś w uniwersytecie w *Oxford*; zdumiewał professorów i spółuczniów bystrością geniuszu, poletem duszy, poetyckim talentem i odwagą. Tajono przed nim umyślnie przyczynę śmierci siostr jego. Lecz byстрыm był nasz *August* i pefen serca i charakteru, choć tak jeszcze młody. On dobrze wiedział co mu groziło, że go nie w świecie nie jest w stanie ocalić, lecz wszystko pokrywał milezieniem, gdyż nas kochał czule. Lubił zabawy od maleńkiego dziecka, i podczas naszego pobytu w *Neapolu* żadnej nie zaniedbywał sposobności przepędzenia wesoło reszty swego życia. Tańczył i jeździł konno, uczęszczał na widowiska, i nas także odwoził coraz nowemi zabawami od myśli smutnych zalegających umysł. Łatwo tego dokazał z mą siostrą *Betsey*; umysł jój tak był dziecinnym, że lada nowém wrażeniem można było oczarować jój duszę.

„Kochany nasz brat *August*, zapadłszy już nawet na złowróźbny kaszel, usiłował ukrywać swe cierpienia. Choroba szła nieubłaganie swym zwykłym torem. Wkrótce tać jój nie można było. Aż do ostatniej chwili nie stracił gustu do zabaw, mianowicie do muzyki. Na godzinę może przed śmiercią mówił do mnie: „Żałuję tylko, że dwa lata dłużej żyć nie mogę, byłbym was moje biedne siostry przeprowadził przez to głupie życie, śmiejąc się i żartując z niego.“ On znał mą siostrę, lecz mnie nie znał nigdy; ja nie chcę schodzić z tego świata ani śmiejąc się, ani narzekając; znam ja tego życia ważność, i pragnę umrzeć z pełną wiedzą wielkiego mnie czekającego przejścia.

„Biedna nasza *Betsey* umarła już w ośm miesięcy potem, umarła jak dziecko. Bawiliśmy ją aż do końca podarunkami, muzyką, opowiadaniem historyj, kwiatkami. Umarła głaszcząc swe ulubione pieski, pewna, że na nią czekają tam w niebie brat i siostry.

„Prosiłam ojca, abyśmy wrócili jak najspieszniej do Anglii i zabrali z sobą zwłoki brata i siostry. Ojciec długo się opierał mym naleganiom, utrzymywał on, że mnie może łagodny klimat oszczędzi; po tylu stratach łudził się jeszcze nadzieją uratowania choć jednego dziecka.

„Dał się nareszcie nakłonić do powrotu. Wróciliśmy trzy miesiące temu do *Chelsey*, gdzie na cmentarzu leżała już matka i dwie siostry, a gdzie teraz prócz mnie cała spoczywa rodzina. Teraz pan znasz smutną życia naszego historię, znaną ona jest nie jednęj osobie, mamy tu bowiem krewnych i tak nazwanych przyjaciół podostatkiem, a jednak widzisz nas zawsze samotnych. Jedni lękają się mnie jak widma pośmiertnego już teraz, i unikają nas jak mogą; drudzy pojąc mnie nie są w stanie, i zanadto sobie zadają pracy odwozić mnie płochemi rozmowami od myśli poważniejszych, przez to stają się dla mnie bardzo uciążliwemi gośćmi. Wiem, że tylko nieszczęśliwy umie się postawić w położeniu nieszczęśliwego i szanować w nim smutek, jako konieczny wynik położenia. Towarzystwo pańskie wielką było dla ojca mego i dla mnie ulgą: łączysz z wielkim zapałem wiele uczucia, i, co tak jest rzadkiem w młodych ludziach, wiele wiary. Lecz trzymać pana w niewiadomości losu mi grożącego, byłoby niedyskretnością, nieroztropnością nawet, od czasu jak wiem, że sobie tak dziwnie tłómaczysz powody mego smutku i odosobnienia.“ Tak skończyła *Miss Emily* rumieniąc się nieco.

Uszom mým nie wierzyłem, kiedy *Miss Emily* zamilkła. Najsprzeczniesze uczucia mną władały. Miałem w młodej dziewczynie znaleźć więcej stoicyzmu, niż dotąd u kogolwiek-bądź znalazłem? To prawie nie sposób! Widziałem, że do wysokiego stopnia można się owoić z ideą śmierci; lecz z drugiej strony, jako lekarz, byłem tyle razy świadkiem zgonu mych bliźnich, i przyznać musiałem, że nadzieja zachowania życia wszystkim towarzyszyła aż do ostatniej jego chwili. *Miss Emily* spostrzegła walkę, która się w mej duszy toczyła, i chcąc mnie przekonać o szczerości swęj wiary, rzekła: „Niedaleko ztąd jest ostatnia ziemska siedziba licznej mej rodziny. Jest tam i dla mnie miejsce przygotowane. Pójdźmy je zwiedzić, tam pan'znajdzie na zimnym kamieniu potwierdzenie tego, o czém głos mój nie zdołał pana przekonać.“

Podobny więcj do automatu jak do stworzenia wołą obdarzonego, wsiadłem do pojazdu, zmierzając ku cmentarzowi przedmieścia *Chelsey*.

Cmentarze w Anglii nie są temi powabnemi, sztuką rzeźbiarską i drzewami ozdobionemi przytułkami, jakie napoty-

kamy tak często we Francyi, Włoszech i Niemczech. Nie szukaj tu wspaniałości cmentarza *père Lachaise* w Paryżu, ani też pompatycznej malowniczości cmentarza Liwurny, ani też owych wyszukanych, tkliwych napisów i drobnotkowych wygód »poła pokoju« niemieckiego. Anglicy czczą wprawdzie swych wielkich ludzi i dogadzając narodowej próżności, pyszne dla nich wznoszą pomniki; lecz w ogólności mniej daleko oddają cześci *zwyczajnym* umarłym, niż inne oświecone narody.

Nie masz tu okazałych grobowców wzniesionych pobożną ręką dzieci dla rodziców, nie masz napisów tędnących załemi smutkiem, rzadko ujrzysz kwiaty pielęgnowane staraniem na ziemi pozostałych krewnych. Granicząca z oziębłością prostota religii Anglików, wzbrania im wszelkich powierzchownych oznak czułości. Anglik wystrzega ich się za życia swych krewnych, czemużby je miał udawać po śmierci. Kamień czworo-boczny przykrywa grób, na kamieniu napis zaczynający się nieodmiennie następującemi słowami: »Tu leży w Bogu i w nadziei szczęśliwego zmartwychwstania śmiertelna powłoka tego a tego i t. d.«; następuje wymienienie nazwiska bez tytułów, roku urodzenia i śmierci, czasem dodają stosowny wiersz z biblii. Oto cała ozdoba pomnika; rzadko bardzo cyprys lub wierzba płacząca rzuca swój cień na ziemię kryjącą nieboszczyka.

Wiemy, że protestanci nie modlą się za dusze umarłych nie myślę nastawać na dogmy wzbraniające im tej pewno bardzo pocieszającej wiary, tej pięknej nadziei wpływania na los umarłych modłami żyjących; lecz Anglicy idą jeszcze dalej i nazywają bałwochwalstwem wszelką cześć oddawaną umarłym.

Anglicy nie piszą na grobie umarłego: »pokój jego popiołom,« pokoju bowiem popioły nie mają w tym kraju; dla szczupłości miejsca przeznaczonego na cmentarze, nie można żadnemi pieniędzmi zakupić grobu na dłużej, jak na lat dwadzieścia. Jedna generacya musi ustępować drugiej; popioły dzieci wracają do łona rodzicielskiego w pełnym znaczeniu tego słowa.

Rodzina W... miała tu osobne miejsce spoczynku wiecznego, odznaczało się od innych tylko mnóstwem krzaków i roślin kwitnących jak najpiękniej, lecz zresztą skromne to było miejsce jak i inne. Pięć napisów, na każdym kamieniu

jeden: matka zaledwie przeżyła rok trzydziesty, z dzieci żadne nie dożyło do dziewiętnastego, na szóstym kamieniu nie było jeszcze ni imienia ni nazwiska wyrzytego, lecz napis następujący:

„I wróci się proch do ziemi, jako przedtém był, a duch wróci się do Boga, który go dał.“ (*Eccles. R. XII, w. 7.*)

— „Tu jest miejsce spoczynku już dla mnie oznaczone, tu w ziemi ciało me pozostanie przez lat dwadzieścia, cokolwiek dłużej niż ich na ziemi strawię; potém zaś, potém już i śladu nie zostanie z tój wątłej powłoki.“ mówiła dalej *Miss Emily*, spoglądając się z smutkiem na swe drobne a białe jak alabaster ręce. „Ziemia wszystko pochłonie, a z tój licznej niegdyś rodziny, nie pozostanie jak jój ojciec. Biedny mój ojciec! wrócić chce do Indyj, jak będzie po wszystkiemu. On chce oddać się na nowo pracy, by zebrać wielki majątek i przeznaczyć go na ufundowanie szkoły i szpitala tutaj w *Chelsey*. I dobrze zrobi; jemu trzeba szlachetnego jakiego celu do zniesienia tego życia odartego z wszelkiej przyjemności. Jego nawet nie zmuszać nie powinno do życzenia sobie rychtój śmierci; on czerpie swą wiarę raczej w filozofii i rozumowaniu jak w modlitwie, a tamtą drogą nie tak prędko do celu dojdzie, trzeba mu jeszcze wielkich walk na tym świecie. Ja jestem szczęśliwszą w tym względzie; oddawna już bardzo instynktem jakimś, przecuciem wiedziona, tęskniłam do lepszej jak ta ziemia siedziby. Nieraz nawet będąc jeszcze szczęśliwem dzieckiem, w gronie mój licznej, wówczas zdrowej rodziny, wyrzucałam sobie uczucie tój tęsknoty, jakby dowód jakiejś niewdzięczności. Potém, gdy śmierć wkrazała do nas zaczęła, poznałam, że mnie Bóg już oddawna tym niewyraźnym głosem do siebie powoływał, i teraz dziękuję mu z rozrzewnieniem za tę łaskę.“

Mało odpowiadałem na słowa *Miss Emily*, dziś tak wymownej, wylanej. Cóż miałem odpowiadać? Serce me przepełnione chaosem uczuć nigdy dotąd niedoznaczonych, ciężyło na mój duszy, a nieprzygotowany rozum nie nasuwał mi myśli żadnej, godnej okoliczności tak uroczystój. *Emily* w mych oczach nie należała do ludzi, patrzyłem na tę młodą i piękną istotę jako na anioła, którego na

chwila kilka ziemia od nieba wyżebrała. Pytałem sam siebie: czy to nie cud, czy nie jestem pod urokiem jakiego złudzenia.

— „Jeśli istotnie nie jesteś aniołem, *Miss Emily*,« mówiłem nareszcie idąc więcej za wątkiem mych marzeń, jak na drodze wskazanej jasną myślą; „jeśli istotnie nie jesteś aniołem, tedy przeznaczoną jesteś być nim kiedyś; schodzić z tego świata tak młodą i piękną, bez żadnej złej myśli wspomnienia, czystą i bez winy, to ci już na tej ziemi daje przedsmak wiecznych rokoszy.«

— „Nie mów jeszcze, że schodzę bez winy. Nie zapominaj, że mnie jeszcze czekają wielkie próby na tym świecie. Dziś leży we mnie zarodek choroby uspiojony, tak jak ziarno w skrzepłej ziemi. Lecz przyjdzie czas, kiedy to ziarno wypuści liście i wybuja i zajmie gorączką całe me ciało. Wówczas widząc się codziennie niksącą, może i moja zacznę maleć odwaga; wówczas przez kilka miesięcy będę własnej swój agonii ofiarą i świadkiem. Kto wie, czy siła mej duszy wystarczy na zniesienie katuszy, kto wie, czy nie ulegnę w trudnym boju.«

Opuszczając cmentarz spotkaliśmy grabarza, szedł z motyką i rydłem w rękę przygotować komuś ostatnie mieszkanie. Poznał on *Miss Emily* i pokłonił się jej z pewną smutną serdecznością.

— „*You like us, old friend, we are good costumers for you, are we not?* (Ty nas lubisz stary przyjacielu, my jesteśmy dobrą praktyką dla ciebie, nie prawdaż?), rzekła do niego *Miss Emily*, kładąc mu w rękę kilka szylingów.

— „Oh panno *Emily*,« odpowiedział stary grabarz i łza zakręciła mu się w oczach: „to żart okrutny. Ja jestem ojcem licznej rodziny, a jednakże oddałbym chętnie me życie za twoje.«

— „Przebacz mi, mój dobry przyjacielu, przebacz,« zawołała z żywością *Miss Emily*, obejmując swemi rączkami grube spracowane ręce grabarza, te same ręce, które ją kiedyś zasypią ziemią; „wyznaje, że się zbłądziła, oto jest gwinea, rozdziel ją pomiędzy twe dzieci.«

Oh cudzie! Ja dotąd myślałem, że łatwiej łzę wykrzesać z kamienia, jak znaleźć poezję u zimnego Anglika, a znalazłem ją u grabarza w *Chelsey*! Ale *Miss Emily* ota-

czała już wówczas aureola świętości w oczach wszystkich ją znających osób.

— »Patrz pan, nie dawno porównywałeś mnie z aniołem, a ja się pospieszyłam przekonać cię, że nim nie jestem wcale. Płochym żartem obraziłam poczciwego grabarza, a on przecież będzie mym ostatnim s'ugą.«

Mamże dalej opisywać pamiętnego tego dnia wrażenia?

Nie! i to może dla niejednego za wiele. Zresztą czytelnik ma może prawo oczekiwać w opisie podróży czegoś innego, jak sentymentalnych przygód samegoż podróżnego; może nawet wyrzucać mu będzie, że go za wiele nękam własnej duszy smutnemi wrażeniami.

Wiele przecierpiałem w kraju angielskim; i barwa mych wrażeń przesiąknie pomimo mej woli te karty życia mego; ja tylko pomiędzy cierpiącemi znalazłem przyjaciół i cześć ostatnią pragnąłbym oddać wszystkim. Cierpienia dowcipu nie zaostwiają—to szkoda! wieleby go było na tym goryczą przesiąkłym świecie; lecz cierpienia kształcą rozum poczciwego człowieka i dają mu poznać te subtelne odcienia serca ludzkiego, których wesoły za dowcipem goniący człowiek spostrzedz nie jest w stanie. Któż kształci człowieka nieodwołalnie na całe życie? książka czy doświadczenie?

Ja oddawna pożegnałem się z martwą scholastyką i w własnych przekonaniach śledziłem wiecznych prawd odgadnięcia, gdy mi spisany rozum ludzki już nie wystarczył mi dla szczęścia, ni dla spokojności. I znalazłem to odgadnięcie częścią w samej naturze, częścią w tradycyjalnej, do pewnego zakątka ziemi wcielonej pożył, częścią też w samych mieszkających ziemi, nawet w ludziach.

I dlatego niech wam będzie cześć: tobie oceanie! wam skały Norwegii, duchu Hamleta posępny, którego tęskne westchnienia do dziś dnia powtarzają śnieżne fale Sundu! niech ci będzie cześć o młoda istoto, której duch pogodny unosi się w czystym eterze nieba nad owemi brzegami Tamizy, na których po raz pierwszy życia srogości doznałem.

Ileż-to myśli nie nasuwa obraz tej, pięknej dziewczyny, która mówiła o swój bliskiej śmierci z tak uroczystą spokojnością?

Na tym nędznym świecie, na którym tyle widzimy ludzi bez odwagi, drżących jak liść błuszczu na samo wspomnienie śmierci, obraz młodej, pięknej, od wszystkich ubó-

stwianej istoty, wiedzącej, że ją grób wkrótce pochłonie, i uśmiechającej się do niego jak dziecko do swjej kolebki, jest zjawiskiem tak pocieszającym, że warto do niego myśleć wracać.

Lecz nie zabraknie sceptyków, którzy utrzymywać zechcą, że obraz ten jest schorzałej wyobraźni fikcją.

Ludzie ciasnego serca, którzyście wszystkie wasze siły wywarli na zdobycie materyi; ludzie przebiegli, którzyście się wznieśli ze szkodą rzetelnych, ludzie ambitni a ograniczeni! wy nie uwierzycie w prawdziwość skreślonego obrazu; dumni z loiki, którą roślincujecie, nie będziecie przeczyć mi wyraźnie; lecz może litować się będziecie w głębi serca nad moją łatwownością.

Ale ja nie dla was piszę, nie dla was maczam to moje pióro w najskrytszych tajnikach serca mego. Są tacy, którzy mnie pojmują, i tych najmniejsza nawet liczba pocieszy mnie za to, że pisząc wystawić się muszę na wasze krytyki.

R O Z D Z I A Ł XII.

OBCOWANIE Z CIENIAMI UMARŁYCH.—KATEDRA Ś. PAWŁA.—
ŚWIĄTYNIA DYANY. — KRZYSZTOF WREN BUDOWNICZY. — SPE-
KULACYA.—POMNIKI.—NELSON.—BOŻYSZCZA GRECKIE.—DU-
CHOWIEŃSTWO.—TEOLOGIA.—SEKTY.—TOWARZYSTWO BIBLIJ-
NE.—AKENSIDE.—STERNE.—OTWAY.—KAWALER ST. GEOR-
GES.—CUDZOZIEMCY NA CMENTARZU KATOLICKIM.—EON DE
BEAUMONT.—KRÓL KORSYKAŃSKI TEODOR.

Osoby, które w Anglii najwięcej kochałem, schroniły się już oddawna pod tę ziemię, na której szczęścia nie znalazły. Cóż więc dziwnego, że raz wstąpiwszy do obszernego państwa umarłych, oddalić się z niego nie mogę? że tak niechętnie wracam na powierzchnię Anglii, jak niegdyś niechętnie opuszczałem kraj rodzinny? Czemuż tak lubię obcować z cieniami umarłych? Może dlatego, że śmierć oczyszcza pamięć dobrego człowieka z wszystkich błędów nienależących do właściwej jego przyrody, a może też i dlatego, że żadna bojaźń zmienności w przyjaźni nie łączy się z ich wspomnieniem. Oni mi pozostaną wiernymi, nie zakrwawią mi serca oziębłością, ani też nie tracą nigdy w stosunkach z światem swęj wartości.

Katedra Ś. Pawła służy Anglikom za Panteon, za drugi Westminster, ta bowiem świątynia tylu już w swych obrębach sławnych ludzi mieści, że bez naruszenia spokojności dawnych, nie może ustąpić miejsca dla teraźniejszego pokolenia.

Gmach ten, zdumiewający swym ogromem, drugie w tym względzie po katedrze Ś. Piotra w Rzymie zajmuje miejsce. Nie mniej w nim zadziwia czystość stylu, jak pełna majestatu okazałość.

Wzniesiony jest nad północnym brzegiem Tamizy na wzgórzu zwaném *Ludgate-hill*, na tém samym miejscu, na którym niegdyś stała majestatyczna gotycka katedra, tak

wymownie spisana *Dugdala*. Szczątku z niej nie pozostało po sławnym pożarze w r. 1666.

Kopiąc ziemię dla wzniesienia fundamentów terazniejszej katedry, znaleziono, prócz fundamentów kościoła gotyckiego, szczątki świątyni chrześcijańskiej, jeszcze za czasów prześladowań *Dyoklecjana* zburzonej, a później za *Konstantyna* odbudowanej, jeszcze zaś później przez *Saksonów* pogańskich w perzynę obróconej.

Znaleziono nawet więcej jak to: znaleziono szczątki dawnej świątyni *Diany*, a pomiędzy głazami, służącemi jej za podstawę, kilka kamieni z napisami charakterem runów dowodzących, że na tém miejscu niegdyś był las dziki i ołtarz *Druidów*,

Dziś na szczycie *Ludgate-hill* wznosi się wysoko w niebo szczytna kopuła ś. Pawła, w środku Londynu, z pomiędzy mnóstwa domów i gwaru, w centrum życia kupieckiego, w atmosferze przesiąkniętej do tego stopnia kupieństwem, że się w niej żaden atom poezyi utrzymać nie zdoła! Żal mi tej pięknej, szlachetnej świątyni, ściśnionych domami, których mieszkańcy ani są zdolni poznać jej cuda architektoniczne, ani też mają czas zwrócić swój wzrok na rzeczy, które nie są towarem lub pieniędzmi.

Stoi tedy samotna pomiędzy mnóstwem domów, tak jak nie jeden człowiek stoi samotny pomiędzy swymi bliźnimi. Wznosi się w kształcie krzyża i budowana jest na wzór wspaniałego kościoła ś. Piotra w Rzymie.

Budowniczym jej był Anglik *Krzysztof Wren*, który odbudował i ozdobił Londyn po wielkim pożarze r. 1666., za panowania *Karola II.* wydarzonym. Zajmuje 48025 stóp kwadratowych przestrzeni. (*Bazylika* ś. Piotra w Rzymie zajmuje 227069. Kościół Panny Maryi we Florencyi 84802. *Panteon* paryzki 60287 stóp,—Budowano katedrę ś. Pawła 35 lat; ś. Piotra bazylikę 100 lat dłużej; tamta ma 340 stóp wysokości, ta zaś 437.) Wystawić sobie kopułę, której ogrom przechodzi wysokość wieży strazburskiej, to rzecz prawie bajeczna, zdawałoby się że tego wyobraźnia objąć nie jest w stanie.

Pomimo ogromu katedry ś. Pawła, pomimo wspaniałej kopuły, która nad całą stolicą Anglii panuje; pomimo dwóch wzniosłych i pysznych po bokach wystaw na korynckich filarach opierających się, jej powierzchowność nie sprawia

wrażenia, jakieby sprawić mogła, gdyby stała na otwartém miejscu. Wielkie budowle, dla okazania się w właściwej swój postaci, potrzebuja być widzianemi najprzód zdaleka, i na stosowném sobie stanowisku, by wielość rozproszonych szczegółów nie uderzała wzroku od razu, na czém cierpi całość architektonicznych rozmiarów.

Ale wstąpmy do środka Panteonu angielskiego. Rozumie się samo z siebie, że i w Panteonie angielskim wrażenia zaczynają się płaceniem szylingów. Wrażenia te miłe powtarzają się nawet systematycznie ośm razy: 1 przy wejściu do kościoła; 2, przy wstąpieniu na galerję otaczającą kopułę wewnątrz; 3, przy zwiedzeniu księgozbioru bardzo mało interesującego; 4, sali trofeów wojskowych zakupionych na ten cel we Francyi, Hiszpanii, Danii, Holandyi i w Indyach, słowem, we wszystkich krajach, z któremi Anglicy mieli do czynienia, jako jawni nieprzyjaciele lub jako kupcy, co na jedno wychodzi; 5, za zaszczyt przejścia po schodach zwanych »*geometrical staircase*,« schodami geometrycznemi dziś jeszcze nie wiem dla czego; 7, za rozkosz podziwiania Londynu otoczonego mgłą i dymem z wysokości wielkiej bani wzniesionej nad kopułą tuż pod krzyżem; 8, za użycie chłodu w sklepieniach podziemnych.

Wszystkie te przyjemności kosztują razem 8 szylingów i pół (złp. 18). Wyrachowano, że do 100,000 osób zwiedza rok rocznie kościół ś. Pawła; przychód roczny z niego dochodzi do 1,800,000 złp. Z tego wykazuje się, że *Panteon* angielski nieźle rentuje, że warto go było postawić.

Zamiast stawiać cukrownie, papiernie i mydlarnie, trzeba budować *Panteony*.

Nad szczegółami architektonicznemi kościoła ś. Pawła zastanawiać się nie będę, uprzedził mnie doskonałym ich opisem rodak nasz pan *Lach Szyrma*, lat dwadzieścia kilka temu. Od tego czasu w strukturze zewnętrznej nie nie przybyło, ani ubyło; w wewnętrznych zaś ozdobach mogło przybyć kilka pomników wystawionych morskim bohaterom, którzy świetnemi zwycięztwy zmusili Chińczyków do trucia się, a ułatwili fabrykantom angielskim odbyt towarów żelaznych i bawełnianych w Indyach, kontrabandę w Hiszpanii i Algierze; kilka pomników wystawionych wielkim filozofom którzy dowiedli, że poddanie się losowi jest najlepszym systematem dla ludzi biednych kiedy cierpią, kilku dobroczyn-

nym spekulantom, którzy udowodnili, że towary bawełniane można fabrykować o pięć procent taniej, przedłużając pracę wyrobnika o dwie godziny stopniowo i zmniejszając mu cenę pracy o czwartą część, lecz stopniowo, żeby tego nie czuł, kilku filologom, którzy odkryli, że *Szekspir* pisał nie ortograficznie, a *Byron* mijał się z ortodoksją.

Kościół ś. Pawła służy za *Panteon* dopiero od końca przeszłego wieku, od kiedy zaczęło zbywać na miejscu dla wielkich ludzi w *Westminterze*; lecz i teraz odprawiają w nim w jednej z bocznych kaplic nabożeństwo choralne, na którym wykonywane bywają często wspaniałe kompozycje *Haendla* i innych kościelnych.

Kilka razy do roku, mianowicie 10. maja i 8. czerwca, dają tu nawet tak nazwane *oratorya*, to jest: koncerta kościelne, wykonywane przez pięciuset do sześciuset muzyków i śpiewaków. Nawałnica harmonii, odbijająca się o wysokie sklepienie ogromnej kopuły, sprawia istotnie przenikające wrażenie: zdaje się, że to odgłos trąb zwalających swym głosem mury miasta *Jerycho*.

Reszta kościoła, nie zajęta wspaniałymi stalami dla księży, wygodnymi ławkami dla nabożnych, ławeczkami dla chłopaków choralnych i stołem figurującym ołtarz dla Pana Boga, reszta mowie kościoła, to jest dziewiętnaście dwudziestych objętości wewnętrznej jego, stoi próżna bez żadnych ozdób, krom pomników kilkunastu, które, choć kolosalne, giną w niezmiernym obszarze, jak rzeka w morzu.

Pusto też i zimno w tej świątyni, jeżeli ją uważamy za świątynię Bogu chrześcijańskiemu poświęconą, a łatwo się pomylić, widząc na każdym prawie grobowcu kilku członków greckiego Olympu oddających różne hołdy posagom sławnego człowieka tu spoczywającego. Tu widzisz *Jowisza* z piorunami, tam znowu *Herkulesa* z maczugą, *Minerwę* z tarczą *Meduzy*.

Nelson, najznakomitszy tej świątyni mieszkaniec, wspaniały tu ma pomnik. Wielki bohater morski wystawiony jest z marmuru w mundurze admirałskim, wspierający się na kotwicy; przy nim stoi *Herkules* z trójzębem w dłoni, pokazujący *Nolsona* dwom młodym kadetom morskim ubranym w spancerki, jako wzór do naśladowania. *Minerwa* pisze na pomniku: »*Nil, Kopenhaga, Trafalgar.*« *Mars* rozplakany stoi po lewej ręce, a należyta liczba *Trytonów* i *Na-*

jad wylewa łzy u stóp *Nelsona*. Nie brakuje [temu] pomnikowi nie, prócz *Wenery* z twarzą *Emmy Lyonny*.

Nelson jest pochowanym w sklepieniach grobowych w trumnie, którą sobie był za życia z masztu okrętu francuzkiego *l'Orient* kazał zrobić. To myśl piękniejsza, jak owa mythologia pogańska w kościele chrześcijańskim.

Katedra ś. Pawła, do której mało kto uczęszcza na nabożeństwo, posiada jednakże wspaniałe orszak osób duchownych poświęcających się cześci religijnej, jako to: jednego biskupa, dziekana, precentora, kanclerza i skarbnika, pięciu archidyakonów, dwudziestu kanoników, sześciu wikarych i znaczną liczbę pomniejszych sług bożych. Mniemałby kto, że to kościół katolicki, gdyby temu orszakowi nie towarzyszyły: pani biskupowa, dziekanowa, precentorowa, kancelerzowa, panie archidyakonowe, kanonice, wikarzyce, oraz biskupięta, archidyakonięta, kanoniczeta i t. p.

Utrzymanie tej duchownej siły kościoła wynosi złp. 2,640,000 rocznie.

Wyznanie anglikańskie zachowało dla wygody sług kościoła nie tylko biskupów i urzędy kościoła katolickiego, lecz nawet znaczną część obrządków kościoła katolickiego: zowie się dlatego *Episkopatnem* i wewnątrzniemi urządzeniami swemi różni się od wyznania *prezbiteryańskiego*, jakie jest panujące w Szkocyi, w którym wszyscy księża są sobie równi, a co rok z pośród swego grona obierają starszego, który zowie się *moderator*. Prawo rozdawania probostw, jak było za katolickich wieków, w większej części należy i teraz do szlacheckich rodzin. Ponieważ do nich, w skutku bogatych ich uposażeń, przywiązane są najczęściej znaczne dochody, kollatorowie zwykli je dawać komu z własnej familii, póspolicie któremu z młodszych synów, albo uboższym dalekim krewnym. Ci panicze, przyszedłszy do posad, ciągną z nich zyski, ani myśląc o pełnieniu obowiązków; przesiadują najczęściej w stolicy, gdzie do wszystkiego, co wielki świat czyni, należą; albo, dla większej jeszcze wolności, wyjeżdżają do Francyi lub Włoch, zostawiając owczarnię swoją jakiemu zastępcy, których zowią wikarjami i kuratami, a którzy, jak dalece źle są płatni, i jak dalece kaprysom swoich pryncypałów podlegać muszą, wiadomo będzie czytelnikom z romansu Goldsmitha: *Wikaryusz Wakefieldu*.

Jest to jedno z owych rażących nadużyć, jakich Anglia w swojej wewnętrznej organizacyi ma nie mało, które przezto, że mają dawność za sobą, nietylko są cierpiane, lecz uważane za sprawiedliwe. Taki stan rzeczy nie zachęca wcale do pracowania z usilnością w winnicy Pańskiej, a mnoży skłonnych do światowych zabiegów i intryg, które powinny być dla sług kościoła obcemi. Jak teraz rzeczy się mają, wielu stara się dochrapać jak najrychlej intratnej posady, aby potem zobojętnieć na wszystko. W żadnym też kraju nie widziałem między duchowieństwem tyle gnusności i ospalstwa, ile między anglikańskiem. Pełni ono swe obowiązki dlatego, że je pełnić musi, ale widocznie bez powołania i wyższego namaszczenia na tak wysokie stanowisko. Samo ich nabożeństwo, które w większej części na odczytaniu liturgii (*Common prayer book*) się zasadza, jest dla nich wygodne, że nie wymaga najmniejszego wysilenia umysłowego, ani nawet pamięci, prócz cokolwiek czytania. Wieczne powtarzanie tych samych modlitw, acz bardzo pięknych, uczyniło ich z czasem zupełnie nieczułemi na ich treść i ducha. Ta sama odrętwiała obojętność przenosi się z liturgii do ich kazań, które także są bez duszy i czytane zwykle z papieru; rzadko kto, jak księża szkoccy, mówi je z głowy, i tak uchodzi już za znakomitego kaznodzieję.

Takowy brak ducha powołania między duchowieństwem, nadto niejednostajność wychowania teologów, i nawet zupełne jego zaniedbanie, że wielu z bakałarzów, za przyczynieniem się możliwych, dostępuje kościelnych beneficjów, sprawiły to, że pomimo znacznych przywilejów, jakie do panującego kościoła są przywiązane, wiele ludności od niego się odstrycha; co przy wrodzonej człowiekowi chęci zrozumienia wszystkiego lepiej i przy nieograniczonej wolności druku, wylęgło mnóstwo sekt religijnych, jakich w żadnym kraju i między żadnym innym narodem nie było dotąd przykładu. Na ocenienie lub potępienie ich zasad, trzebaby biegłego teologa: różnice między niemi zachodzące są liczne i subtelne. Najwięcej odznaczają się i wydatne znamiona mają: Metodyści, Kwakrzy, Unitaryusze i Bracia Morawczyki: inne różnią się bardziej w subtelnościach słów, niż w rzeczy Tymto sektom odszczepionym, a wcale nie wyznaniu anglikańskiemu, przypisywać należy ów zapał, jakim Anglia odznacza się w tym wieku przez rozszerzanie pisma święte-

go, zakładanie szkółek dla ubogich i różne instytucje dobroczynne. Pośród nich przechowuje się gorliwość religijna i ciągłe dążenie do ulepszeń, czemu członkowie kościoła panującego często stawiają silny opór. Najwięcej z sekty Metodystów i Kwaków znajduje się w Ameryce północnej, metodyzm jest tam prawie panującą religią. Twórcami sekty Metodystów byli: *Wesley* i *Whitefield*. Pierwszy miewiał czasem do 12,000 słuchaczy; kościoły nie były dość obszerne do ich objęcia. Ztąd poszedł zwyczaj kazania u nich pod gołym niebem, na polach, na ulicach, na rynkach; czasem występowali w świętnych zgromadzeniach publicznych zabaw, jako nieproszeni goście, karcąc złe obyczaje i bezbożność bawiących się.

Surowość religijna, nieubłagalność prawie tej sekty, przyciągnęła do siebie wielu prawdziwie gorliwych chrześcian, ale też i wielu mizantropów, chętnie noszących maskę religijną, pod którą im wolno okazywać bezkarnie nienawiść rodzajowi ludzkiemu. Mizantropia i hypokryzja wyrodziła jezuityzm pietystów, ten zaś stara się doprowadzić protestantyzm do tego, do czego inni katolicyzm doprowadzić usiłowali, to jest: chce zrobić z religii wyłączny przywilej dla siebie, jarzmem zaś intelektualnym zrobić go dla drugih. I to wyrodziło wszystkie owe stowarzyszenia.

Słowem, Anglia, dla wmówienia w świat, że jest religijną, wydaje więcej niżby wydawała, chcąc dowieść, że jest ludzką; postępuje jak ów szarlatan, który chcąc utrzymać się na swém położeniu sztuczném, fałszywém, wywiera daleko więcej usilności, niżby potrzebował do zdobycia sobie położenia prawdziwego, wygodnego.

Opuśćmy piękną katedrę, z żalem w sercu, że ta wspaiała budowa więcej pysze ludzkiej, niż chwale Boskiej służy.

Nie wszystkich wielkich ludzi pomniki grobowe znajdują się w dwóch już opisanych starożytnych katedrach. Wiele znajduje się po innych kościołach. *Akenside*, autor pięknego poematu o rokoszach wyobraźni, ma pomnik w kościele św. Jakóba na ulicy *Piccadilly*.

Sterne, humorystyczny autor sentymentalnych podróży, spoczywa w kościele św. Jerzego na ulicy *Hanoier*.

Otway, autor tragedyi *Wenecya oswobodzona*, leży pod sklepieniem kościoła św. Klemensa, wzniesionego pierwotnie w r. 730. W ołtarzu tego samego starożytnego kościo-

ła znajduje się portret Jakóba Edwarda *Stuart* (znanego lepiej pod nazwiskiem kawalera *St. Georges*, i pod nazwą *Pretendent*), jako też jego małżonki, księżniczki *Sobieskiej*, wnuczki wielkiego *Jana III*.

Pretendent miał z nią dwóch synów; potomkowie ich jeszcze istnieją pod nazwiskiem *Sobieski—Stuart*. Poznałem jednego z nich: jest malarzem w Glasgowie, wydał dobre dzieło o historii malarstwa w Anglii i Szkocyi.

Fletcher i *Massenger*, dawni pisarze dramatyczni, pochowani są w jednym wspólnym grobie w kościele Odkupiciela.

Bakon, *Locke* i *Alfred Wielki* spoczywają w Stowe, niedaleko wspaniałego zamku książąt *Buckingham*.

Starożytny kościół ś. Pankracego i cmentarz jego ostatni dały przytułek wielu sławnym cudzoziemcom wyznania rzymsko-katolickiego, naprzykład: walecznemu *Paoli*, wodzowi korsykańskiemu, potem arcybiskupowi Narbońskiemu, siedmiu biskupom francuzkim i mnóstwu innym Francuzom, którzy podczas rewolucyi szukali w Anglii schronienia. Najślawniejsze w historii znajdziesz tu imiona. Skromne tu mają pomniki, lecz i te zabezpieczają ich pamięci pewną trwałość.

Tu także pochowano sławnego kawalera *Eon de Beaumont*, który podczas całego swego życia, to jest przez lat ośmdziesiąt trzy, intrygował Europę dwójznacznością swęj płci.

Nie opuszczajmy kościołów i cmentarzy bez zwiedzenia jeszcze jednego grobu, który właściwie przy wstępie na ziemię angielską staćby powinien, by ostrzegał cudzoziemców zmuszonych błagać gościnności tego kraju.

Przy ciasnej uliczce zwanęj *Dean-street*, za kratami przegradzającemi cmentarz kościoła ś. Anny od trotoaru ulicy, trzy kroki od przechodzących się po ulicy tłumów, stoi kamień grobowy bardzo skromny, a na nim wyraźnemi literami wyryte następujące słowa:

Below this place is interred
T H E O D O R E
King of Corsica
Who died in this parish
December XI, MDCCLVI,
Immediately after leaving
The King's bench prison
By the benefit of the act of insolvency.

Co znaczy po polsku: »Pod tém miejscem jest pochowany król korsykański *Teodor*, który umarł w téj parafii dnia 11. grudnia 1756., zaraz po swém uwolnieniu z więzienia dłużników, dobrodziejstwem aktu bankructwa.«

Tak się rzecz miała istotnie: *Teodor*, baron de *Neuhof* urodzony w Metz, był najprzód paziem księżnej *Orleańskiej* potem oficerem w wojsku francuzkiém, później jeszcze członkiem ambasady francuzkiej w Szwecyi. Dręczony ambicyą, a nie widząc dla siebie dość świetnego zawodu w Francyi, wstąpił w służbę hiszpańską i został ambasadorem *Karola VI.* we Florencyi. Korsyka usiłowała wówczas wydobyć się z pod panowania *Genui*. *Neuhof* miał wmówić w Korsykańczyków, że ich potrafi wybawić z trudnego położenia, zjednał sobie wielu przyjaciół i został obwołany królem r. 1756, lecz już w rok potem zmuszonym był opuścić swe królestwo.

Dwa razy kusił się o odzyskanie korony, lecz napróżno. Naraziwszy się dworom kontynentu, i pozbawiony fundusów, szukał przytułku w Anglii. Żył lat kilka na kredyt, odplacił to hojnie siedmio-letniém więzieniem za długi. Wypuszczono go *na mocy aktu bankructwa* na trzy dni przed śmiercią, by nie umarł w więzieniu.

Jakiś filantrop angielski wystawił mu pomnik z napisem wyżej wzmiankowanym, i na spodzie kamienia wyrznął mu jeszcze następującą naukę moralną wierszem:

*The grave, great teacher! to a level brings
Heroes and beggars, galley—slaves and kings!
But Theodore, this moral learned ere he dead;
Fate pour'd its lessons on his living head,
Bestow'd a kingdom, and denied him bread.*

Co znaczy po polsku w zupełnie wolném tłumaczeniu:

„Czyś ty pan południa, czy też władzca wschodu,
Gdy nie masz szylingów, musisz umrzeć z głodu.“

R O Z D Z I A Ł XIII.

GEOLOG I FILOZOF.—TĘSKNOTA.—SZKOCYA.—ZDANIE MONTE-
CUCULEGO.—PAN WEISS.—KATALOG.—WINDSOR.—KAPLICA.—
ORDER PODWIĄZKI.—BIEDNI RYCERZE.—GROBOWIEC KARDYNA-
LA WOLSEY.—PARK WINDSORSKI.—SLOUGH.—POŻEGNANIE.—
MARCIN.—KAPITAN DUŃSKI.—ODJAZD Z LONDYNU.

Rozpoczęły się wakacye w uniwersytetach londyńskich. Najslawniejsi professorowie rozjechali się na ląd stały lub też do wód morskich do *Brighton* i *Ramesgate*, lub do mineralnych do *Cheltenham*, *Clifton*, *Bath*, *Matloc*.

Wielka część mych znajomych opuściła Londyn.

Pan W.. nawet, z matką i córką, wybierali się do *Bristol* na dwa miesiące.

Do méj duszy wkraczać zaczęła tęsknota wraz z mizantropią i prawdziwie angielskimi spleenami. Postanowiłem otrząść się z smutków wycieczką jaką w góry szkockie, które Walter Scott splótł z najmiłszymi wspomnieniami méj pierwszej młodości. Tęskniłem do Szkocyi, jakby do ojczyzny méj pierwszej poezyi, tęskniłem do morza i do gór, i do tych okazałych utworów Boga, których nikt bezkarnie nie podziwia, gdyż raz je zobaczywszy, każdy pragnie do nich wracać. Zgiełk życia miejskiego, przymus obcowania z ludźmi różnemi namiętnościami pędzonemi, różną niedorzecznością, przewrotnością nudnemi, sprawia mi wstręt, jeśli trwa długo i jeśli nie jest od czasu do czasu przerywany obcowaniem uroczystém z piękną przyrodą.

W jéj widoku czerpię siły kupiące me rozstrzelone myśli, dające mi nowe nadzieje, nową ochotę życia, potrzebną mi na zniesienie widoku tego wszystkiego, co się natury i prawdy wyrzekło, lub co nie miało odwagi pozostać im wierném.

Do Szkocyi tedy! tam, gdzie na mnie czekają góry śniegiem pokryte, tam, gdzie mi się śmieją zielone doliny, tam, gdzie tak harmonijnie szumią sosny i dęby, tam, gdzie huczą czystych wód potoki.

Lecz, aby podróżować, potrzeba koniecznie tego, co Montecuculi uważa za trzy pierwsze rzeczy niezbędne do prowadzenia wojny: potrzeba szylingów, koron i gwinei, bez których nie ma Anglii, ani nawet Szkocyi.

Dla zdobycia ich, podjąłem się pracy mozolniejszej jak ułożenie dykcyonarza: podjąłem się zrobienia katalogu historycznego instrumentów chirurgicznych, będących w magazynie i muzeum pana *Weiss*, fabrykanta instrumentów, bardzo majątnego i tak zamiłowanego w swym zawodzie, że nie tylko posiadał w magazynie swym wszystkie instrumenta potrzebne do stanu obecnego sztuki chirurgicznej, lecz nawet pozakupował w różnych muzeach na całym świecie wszystkie instrumenta z mody wyszłe.

Szło więc tutaj o zrobienie katalogu wszystkich tych instrumentów, z opisem ich kształtu, ich zalet i niedogodności, sposobu użycia, a nadto z wymienieniem czasu i okoliczności, w których zostały wymyślane.

Pan *Weiss* był pod wielu względami bardzo znakomitym człowiekiem. Urodził się w Niemczech i w młodym jeszcze wieku przybył do Anglii, pędzony tą miłością do obcych krajów, z jaką się tylko Niemcy rodzą. Przybył jako czeladnik ślusarski, a wyszedł na najpierwszego fabrykanta instrumentów chirurgicznych Londynu, posiadającego do 10 milionów złp. majątku.

Pod jednym względem mało był podobnym do swych rodaków: umiał używać swego majątku, lubił żyć dobrze i przyjmował swych przyjaciół gościnnie, a pomiędzy przyjaciółmi liczył wszystkie znakomości chirurgiczne Londynu i wielu innych uczonych ludzi.

Będąc już od wielu lat przyzwyczajonym okupywać sobie każdą najmniejszą przyjemność wielkim wysileniem, wzięłem się do pracy z wielką odwagą i rzadko trawiłem przy niej mniej jak 15 godzin na dobę; takim sposobem musiała ona iść naprzód koniecznie.

W wilię dnia poprzedzającego wyjazd rodziny *W.* do *Bristol*, zostałem przez nią zaproszony na przejażdżkę do *Windsoru*, który od dawna pragnąłem zwiedzić.

Było to już w początku sierpnia; pogoda sprzyjała najpiękniejsza. Miss Emily widziałem w dniu tym pierwszy raz w sukni jasnej; ubraną była w gazę koloru paliowego. Najniebezpieczniejszy to kolor: tylko prawdziwie piękne brunetki, obdarzone delikatną cerą, wydadzą się dobrze w obłoku palli. Miss Emily była zachwycającą dnia tego; mała jednakże na pozór okoliczność do wysokiego mnie stopnia wzruszyła i na humor mój smutny wywarła skutek. Oczekując ojca i córki, przechadzałem się w ogrodzie, przyniosłem z sobą bukiet najpiękniejszych kwiatów i położyłem go na stoliku w altanie; widząc zaś Miss Emily zbliżającą się do altany i chcąc być świadkiem niepostrzeżonym wrażenia, jakie na niej sprawi mój podarunek, ustąpiłem za krzew bluszczu, który maskował jedną ścianę altany.

Miss Emily nie spostrzegła mnie, lecz zaraz jęj wpadł w oczy piękny bukiet. Podjęła go z radością, podziwiała go z takim naiwnym, serdecznym ulubieniem; raj cały tkliwego szczęścia malował się na tęg pięknej anielskiej twarzy.

Nareszcie wydobyła z bukietu piękną kamelię, zwróciła się do zwierciadła, iżby ją sobie włożyć we włosy.

Biała jak śnieg kamelia odbijała się jak gwiazda północna na czarnym połyskującym tle włosów.

Patrzała jeszcze w zwierciadło, patrzała jeszcze trzy chwile, trzy chwile nacechowane trzema różnemi uczuciami: zadziwieniem, radością, nakoniec rzewnym tkliwym żalem.

— »*What a pity it is* (jaka szkoda), że to nie potrwa długo,« i oczy łzą zasłzy.

O kim mówiła? o kwiatku? Ach, ona nie żałowała kwiatka, lecz samęj siebie! żal jęj było umrzeć.

Odbiegłem jak najciszej męj kryjówki z sercem przepętionem smutkiem i zjawiłem się dopiero w kilka minut, ochłonawszy z wzruszenia. Ślady łez znikły z jęj oczu. Starała się bawić mnie w tym dniu, była tak serdeczną, wesołą prawie.

Windsor, starożytny królów Anglii zamek, wzniesiony jeszcze przez *Wilhelma* Zwycięzcę, pięć mil polskich od Londynu odległy, rozpościera się majestatycznie, zajmując przeszło dwanaście włók gruntu, na szczycie dość wysokiej góry, której stopy nurzają się w wodach Tamizy.

Na przeciwnym brzegu rzeki, w powabnej dolinie *Eton*, leży sławna szkoła tegoż nazwiska, gdzie najznakomitszych

rodzin synowie odbierają wychowanie. Założył ją *Henryk IV.*, roku 1440.

Samo miasto *Windsor*, lubo piękne i zamożne, nie zawiera nic ciekawego; lecz zamek imponuje swą masą i czaruje szczegółami architektonicznymi. Prawie każdy monarcha Anglii poświęcał znaczne kapitały, by rozprzestrzeni i ozdobić to ulubione królów siedlisko. Wszystko jest w kolosalnych rozmiarach: główny bastyon obszerny jak cyrk, a wysoki jak jedna z najwyższych wież świata. Na nim powiewa królewski sztandar angielski, wielki jak największy żagiel. Taras, usypany niezmiernym kosztem, około wschodniej strony zamku ma 2000 stóp długości. Jestto najpiękniejsza promenada Europy ręką ludzką wzniesiona; z niej widok na Londyn, na hrabstwa: *Midlessex, Essex, Kórts, Bucks, Berks, Oxford, Wittli, Kemts, Surrey, Sussex, Kent* i *Bedford*.

Cały zamek wygląda jak cytadela średnich wieków; tyle jest najeżony wysokimi, zębatego murami, wieżami i innymi wymysłami sztuki fortyfikacyjnej.

W środku zamku mnóstwo pięknych pokojów, mianowicie wspaniały salon św. Jerzego długi na 120 stóp. W nim ustanowiony był order Podwiązki.

Znajduje się w nim tron królewski, nad nim unosi się niby w obłoku krzyż św. Jerzego, patrona Anglii, naokoło obwiedziony podwiązką, której końce trzymają figlarne amorki z łukami i strzałami.

Na podwiązce zaś napis następujący: *hony soit qui mal y pense* (niech będzie przeklętym, który tu źle pomyśli!).

Lecz Anglik nie widzi nic w tém zdroźnego, choć poganami nazywa chrześcian przepędzających niedzielę na niewinnej zabawie. Każdy naród ma swą loikę. Nie zazdroścze w tym względzie Anglikom.

W dziedzińcu niższym stoi kaplica św. Jerzego, w niej pasują na rycerzy Podwiązki, w niej znajdują się tych rycerzy wspaniałe siedzenia, ozdobione herbami i chorągwiami, podobne do siedzeń rycerzy Kąpieli w kaplicy *Westminster-skiej*.

Najpierwsi mocarze świata mają sobie za zaszczyt być kawalerami orderu Podwiązki. Królowa angielska jest wielkim mistrzem Podwiązki, nosi ją na lewém ramieniu, kiedy występuje publicznie z dekoracyami.

Ze strony zachodniej i południowej dziedzińca znajdują się domy tak nazwanych *poor knights of Windsor*, czyli biednych rycerzy *Windsorskich*. Także interesująca instytucja, warta krótkiego opisu. Jestto rodzaj gwardyi, do której przypuszczają tylko szlachtę średniego wieku i bezżenną niemającą żadnego sposobu utrzymania się.

Zakon ten ustanowiony jest przez królowę *Elżbietę*. Ona sama napisała jego ustawy, przepisała ubiór. Tak wielkie jest poszanowanie u Anglików dla woli królewskiej, że nie śmiano niczmienić w ustawach, i téjto okoliczności winniśmy możliwość porównania naszych mód z modami szesnastego wieku przy każdej processyi królewskiej i w dni galowe.

Biedni rycerze występują wówczas w opończach czerwonych haftowanych na piersiach i plecach, w kaszkietach z piórami, w obcisłych czerwonych spodniach, takichże pończochach etc. Bardzo zajmujący widok istotnie dla kostiumerów teatru.

Pokoje królewskie obite są nader kosztownemi i pięknemi kobiercami z Persyi i Indyj. W pokoju sypialnym królowej stoi mebel kosztujący 10,000 funtów sterlingów, to jest blisko pół miliona złotych polskich. Tym meblem jest: *«the queens state bed»* to jest: łożo stanu królowej.

Nie sposób wymienić niezliczonego mnóstwa arcydzieł sztuki malarskiej, rzeźbiarskiej i snycerskiej, zawartych w pokojach, przedsionkach i kaplicach.

W stronie wschodniej kaplicy św. Jerzego stoi przepyszna budowla, którą wznosił sobie jeszcze za życia kardynał Wolsey, wielki ów i potężny minister króla Henryka VIII., przeznaczając ją na swój grobowiec. Los atoli inaczej chciał.

Kardynał wpadł w niełaskę u króla Henryka VIII. i został wyzutym z swych dostojności. Kardynał powiedział sobie sam następującą moralną naukę, umierając wkrótce potem: *«had I but served my god with all the zeal I served my king, he would not have abandoned me so,»* (gdybym Bogu memu choć połowę tak gorliwie służył jak panu memu, on nie byłby mnie tak opuścił). Umarł i pogrzebano go bez okazałości w opactwie *Leicester*, później zaś przeniesiono do kościoła św. Pawła, com zapomniał nadmienić opisując tę świątynię.

Jakób II. przemienił grobowiec kardynała w kaplicę katolicką; później poszła ona w zupełne zaniedbanie, aż nareszcie *Jerzy III.* przestoczył wielkim kosztem ten budynek w mauzoleum królewskie. Nie równie pięknego w tym guście nie widziałem nigdy.

Park *windsorski* ma do dwóch mil polskich kwadratowych obszaru. Jedną główną alea długa na pół mili przebiega go-wskroś, zaczawszy od zamku aż na wzgórze, z kąd widok bardzo powabny. Kilku magnatów angielskich ma jeszcze obszerniejsze i jeszcze piękniejsze parki.

W *Slough*, pod *Windsorem*, jest obserwatorium astronomiczne, przy którym *Herszel* był gwiazdździarzem. Wystawił on największy dotąd znany teleskop, długi na stóp 40; główna soczewka ma półtrzeciej stopy średnicy.

Cały teleskop waży 4000 funtów i stoi pod gołym niebem, gdyż trudnoby było objąć gmach ten budową.

Pod nim jest zwierciadło, gdzie maluje się obraz rzeczy, na którą jest skierowany. Gwiazdy wydają się w nim trzy tysiące razy większe.

W przeciagu jednej godziny *Herszel* naliczył ich do 80,000 przechodzących przed jego wzrokiem. Odkrył on za pomocą niego wulkany na księżycu, pierścien otaczający *Ura*na i sześć towarzyszących mu planet.

Podczas całej wycieczki *Miss Emily* zachowała humor jednostajny i podziwiała wszystko, co natura lub człowiek stworzył pięknego, podziwiała to z pewnym tkliwym zapalem. Nieraz zapytywałem sam siebie, czy jój nie przyświeca choć mały promień nadziei pozostania na tym świecie, który jeszcze tyle dla niej miał uroku? *Miss Emily* odgadywała zdaje się moje myśli, mówiła bowiem: »jak tam pięknie musi być na tamtym świecie, kiedy już tutejszy tak ładnym znajdujemy.«

Pokaszliwała tego dnia więcej jak zwyczajnie, ślady nawet gorączki już się ukazywały wieczorem, a przytém jednakże rozwijała się codziennie więcej i piękniej. Tak nadpsuta wewnątrz żądłem robaka róża, rozkwita rychlej i rychlej wędnie.

Pożegnałem się z nieszczęśliwą rodziną; za dwa miesiące mieliśmy być z powrotem: ja z północy, oni z południa.

Pracą mą, nareszcie dokonaną, zdobyłem sobie możność odświeżenia myśli i ducha w widoku wielkiej natury; żało-

wałem, że Dr. Dieffenbach towarzyszyć mi nie mógł w wycieczce, lecz to nie było możebnem: wybierał on się na daleko większą podróż do Nowej Zelandyi, dokąd się udał istotnie w kilka miesięcy później, jako lekarz i naturalista kolonii nowo-założonej, razem z kilkuset kolonistami, na wielkim okręcie *the Thory*, wystąpym przez towarzystwo kolonialne pod prezydencją księcia *Wellingtona*.

Konieczność zmuszała mnie do oszczędności; dla téj przyczyny życzyłem sobie zawitać do Szkocyi, nie statkiem parowym, ani też dylizansem, lecz statkiem kupieckim.

Zabrawszy mały tłumoczek rzeczy niezbędnie potrzebnych do podróży, której część umyśliłem odbyć piechotą, pożegnawszy przyjaciół, z których wielu już z mizantropiały nie chwaliło weale méj żądzy podróżowania, udałem się na Mile-End do agenta duńskiego, na początku tego dziełka wzmiankowanego, w nadziei, że temu najłatwiej będzie — wyszukać mi statek dążący do Szkocyi.

Tu pierwszy raz od przyjazdu mego do Londynu miałem sposobność przekonać się o stanie zdrowia Marcina i jego mamki. Marcin już był wyrosł i doszedł wysokości kądła; już też i instykt niedźwiedzi zaczął się w nim rozwijać niepohamowanie. Właził na wszystkie drzewa, przekraczał wszystkie płoty, cudzej własności ani myślał szanować, kurrom odbierał życie. Te wybryki zniewoliły pana Nicolson do [trzymania go w dość głębokim dole umyślnie na to wykopanym. Od towarzystwa ludzkiego odłączony, Marcin chudł, leniał i spleenu dostawał angielskiego.

Kozę darowałem gospodarzom z wdzięczności za dotychczasową opiekę dawaną Marcinowi. Los zaś ostatniego postanowiłem zabezpieczyć zaraz po powrocie ze Szkocyi.

Pomiędzy duńskimi statkami do odejścia gotowemi nie było żadnego wprost do Szkocyi zmierzającego. Jeden jednakże dążył do Belfast do Irlandyi, w tym porcie miał się zatrzymać tylko dni kilka, a potém udać się do Glazgowu.

Kapitanowi tego okrętu, przyjacielowi mego poczciwego Jens Jensena, znany byłem z reputacyi. Usłyszawszy o mym zamiśle, przybiegł sam do pana Nicolson i tak mi sławił swój bryg, tyle mnie prosił i nakłaniał, żem się nareszcie dał namówić do téj drogi dalekiej, której pewno nikt jeszcze nie obrałby zajechać do bliskiej Szkocyi. Pytałem o cenę miejsca: »żaden z przyjaciół Jensena nie śmiałby wziąć od

pana ani grosza; a ja dla własnego zysku nie byłbym nama-
wiał panado téj podróży circum-nawigacyjnej, z której sobie
obietuję wiele przyjemności.«

Wątpić o szczerości ludzi tak nazwanych prostych, było-
by tém samém ufać oświadczeniom ludzi tak nazwanych
ucywilizowanych. Wiem, że pomiędzy prostakami znajdzie
fałszywych, a pomiędzy ucywilizowanemi szczerych; lecz je-
dni i drudzy odróżniają się pewnemi charakterami, które
człowiek szczerością się powodujący łatwo rozpozna.

Wiatr wieje z wschodu na zachód, my go schwytny
żaglami naszemi, kiedy będziemy na wysokości *Doweru*;
a tymczasem, popychani odplywem morza, śpieszmy po *Ta-
mizie* podziwiać jeszcze raz tę zmianę scen fantazmagoryczną,
którą nigdy znękać się nie można; śpieszmy pożegnać na
czas jakiś białe wyniosłe skały *Albionu*, świecące w pomro-
ce wieczornej, jak widma śmiertelném prześcieradłem okry-
te; i śpieszmy tam, gdzie w zimnym powiewie *Boreasa*
brzmią przenikające tony harfy *Ossyana*; tam, gdzie na zie-
loniej murawie obok szmeru kaskady tętni tkliwa lutnia
Burnsa; tam, gdzie przy iskrzącym się, pryskającym ko-
minku, powieść narodowa *Walter-Scotta* czaruje ucho wę-
drowca.

ROZDZIAŁ XIV.

MORZE. — SZKOCYA. — JÉJ LUDNOŚĆ. — POSTĘP. — WAŻNOŚĆ. —
PRZYRODA. — KANAŁ ŚW. JERZEGO. — MORZE IRLANDZKIE. — WY-
SPA MAN. — BELFAST. — LUD IRLANDZKI. — LATARNIE MORSKIE.
— WYSPA ARRAN. — GÓRY SZKOCYI. — KRAJOBRAZ. — WSPOMNIE-
NIA PRZESZŁOŚCI. — RZEKA KLAJDA. — DUNBARTON. — POMNIK
SMOLETTA I BUCHANNA. — BUDNICY NA RZECE. — ŻEGLUGA. —
DYM GLAZGOWA.

Przy ujściu Tamizy czekają na nas posłuszne Eole, dmą potężnie w żagle i unoszą nasz okręt, lekki jak jaskółka, na falach morza. Słońce zachodzi; błądy księżyc wskazuje nam drogę srebrnym połyskiem, rzuconym na iskrzące wody oceanu. Oko granic jego nie widzi, i myśl moja buja swobodnie, nie uwięziona żadną zaporą. Przewróć bez granic nie kładzie kresu dla myśli.

Jak tu swobodnie! przyjemnie! na tych głębokich wodach!

Tu mnie nie dochodzi żaden turkot pojazdów, żaden tentent dzwonek posługaczy pocztowych, zbierających listy, żaden krzyk sprzedających, żaden śpiew nieharmonijny wirtuozów brukowych, żaden odgłos klątw pijanych ludzi.

Tu tak pięknie i cicho! a jeżeli coś zagada, to chyba wiatr świszczący w postronki, bałwan bijący o boki okrętu, i fale ryczące na dalekich brzegach skalistego lądu.

Mnie się zdaje, że nawet i bezwzględny materyalista, byleby miał cokolwiek odwagi, uczuje w swém sercu coś podobnego do szlachetnego poruszenia, na widok tego ogromu nieba nad sobą, tego obszaru wody około siebie, na myśl tych otchłani pod sobą; uczuje, że za niskim, za ciemnym, za płytkim jest obręb idei, w których się dusza jego samolubna obraca. Tu, przed obliczem wielkiej przyrody, próżność, samolubstwo, lekkomyślność nie przystoją człowiekowi.

Ja cię kocham, oceanie! kocham cię, jako miękką kolebkę wyobrażeń, unoszących mnie nieraz nad poziom życia prozaicznego, dających mi jakieś niczém niezwalzone zaufanie w piękność natury ludzkiej, jakiś przedsmak wieczności. Zdaje mi się nie raz, że ludy obcujące z morzem łatwiej się unoszą do wyższych pojęć, wyższych pomysłów i przedsięwzięć, jak inne nie mające przed sobą rozmaitości i ogromu przyrodzenia.

A teraz do Szkocyi!

Mały to kraj i nieludny, a jednakże tak często całą Europę sobą zajmował i jeszcze zajmuje. Przed ósmnastym wiekiem Szkocya miała zaledwie milion ludności, tyle ile teraz Paryż.

Dziś nawet, przy tém nadzwyczajném rozmnożeniu się rodzaju ludzkiego, ilość ludu szkockiego, wszystkich tych dobrych ludzi mieszkających na Hebrydach i Orkadach,—na wysokościach i nizinach—zaledwie przechodzi ilość ludzi, których siedziby jednym rzutem oka zobaczyć zdołasz z wysokości kopuły św. Pawła.

Cała Szkocya zawiera dziś zaledwie półtrzecia miliona ludu. A jednakże, jak daleko sięga sława i wpływ tego nielicznego narodu! Któż nie słyszał o piękności jego kobiet, o geniuszu jego licznych poetów, o mężstwie jego wojowników, o mądrości królów i ludzi stanu, których wydał od czasów bohaterów ossyańskich, kładących tamę szerzącej się potędze państwa rzymskiego, aż do czasów Roberta Bruce i świetnej pięknością i nieszczęściem królowej Maryi?

I w naszych czasach Szkocya ściąga na się i zdumiewa wszystkich oczy. Od połączenia swego z Anglią, kraj ten rzucił się z gorliwością do przemysłu i rolnictwa, i dawną swą rywalkę, którą bił swym orężem przez tyle wieków, przeszedł dziś w wielu gałęziach spokojnego zatrudnienia.

Miasta szkockie rywalizują z angielskimi co do handlu i przemysłu. Wpływ wywierają wielki na kolonie angielskie.

Największa część myślących głów i literackich talentów Wielkiej Brytanii pochodzi ze Szkocyi. Wychowanie ludu doszło do daleko wyższego stopnia w Szkocyi niż w Anglii. Rolnicy i ogrodnicy szkoccy są dziś nauczycielami Anglików.

A przyroda tego kraju codziennie się upiększa pod twórczemi rękoma mieszkańców:—tu powstają lasy, tam znikają

stepy, tam się zapełniają nieurodzajne doliny ogrodami i pałacami.

Podróż po kraju takim, równie bogatym w wspomnienia przeszłości, jak w dowody twórczej terażniejszości, odbyta systematycznie i z pełną wiedzą ważności przedmiotów spostrzeganych, nie może być bez interesu dla kraju mego, mogącego wiele korzystać z ulepszeń wprowadzonych tam już oddawna w życie, a u nas jeszcze nieznanym.

Opis podróży mej w Szkocyi różni się znacznie od opisu innych krain:—trzeba to przypisać i ważności rzeczy i usposobieniu, w którym się w chwili podróży znajdowałem. Zajęciem naukowym, ściganiem sprężystym za rezultatem ważnym, statystycznie pewnym, starałem się pozbyć tego natłoku smutnych uczuć, które w mej duszy pobyt w Londynie, a więcej jeszcze widok cierpiących tej stolicy wyroził.

Opis mej podróży po Szkocyi rzadko kiedy wyjdzie poza granice naukowości. Dodać jeszcze winienem, że aby temu opisowi dodać wartości praktycznej, nie wahałem się korzystać ze źródeł najnowszych, wystawiających kraj w dzisiejszym jego kształcie.

Już jesteśmy na kanale św. Jerzego, już i na morzu Irlandzkim.

Na prawo zostaje wyspa Man, tuż blisko. Szkoda, że ję zwiedzić nie mogę! Walter-Skott zaczarował wieczną poezią to dawne siedlisko bitnych rycerzy i zuchwałych przemycarzy. Teraz spokojnie się rozwija w dobrym bycie—góry obfitują w minerały, a ziemia w najpiękniejsze owoce.

Już nas przyjmuje przestrzeń Belfastu, pięknego miasta portowego w Irlandyi, liczącego do 70,000 mieszkańców, zawierającego mnóstwo fabryk płótna, bawełny, szkła, wiotryolu, lin okrętowych, a dwa tylko kościoły. Anglicy zakładali sobie tutaj szpitale i inne dobroczynne instytucje, ale dla siebie samych, dla siebie przybyszów. Lud irlandzki, którego groszem wzniosły się owe gmachy, leżał na biednej, nieszczęsnej swjej ziemi z wygłodniałem obliczem, odziany łańchmanami i grubym nieprzejrzanym obłokiem smutku i gorczy!

Śpieszmy do Glazgowa.

Biegliśmy ku stronie północno-wschodniej (p. p. w.); tym jedynie kierunkiem można się zbliżyć do wnętrza Szko-

cyi jadąc z zachodu, wszystkie bowiem ramiona morskie wkraczające w zachodni brzeg Szkocyi, ciągną się od strony południowo-zachodniej ku stronie północno-wschodniej. Przeciwnie, ramiona morskie wkraczające w brzegi wschodnie Szkocyi, biegną od północy i wschodu ku południowi i zachodowi.

Można tedy uważać Szkocję jako ziemię wielokrotnie pokrajaną i warstwami poukładaną w oznaczonym kierunku. Kierunek ten spostrzega się nie tylko w zatokach Szkocyi, lecz także w jej półwyspach, pasmach gór, dolinach, a nawet w średnich podłużnych jeziorach. Co więcej nawet, rozbiegając geologicznie wewnątrz ziemi, znajdujemy, że wszystkie warstwy, z których się ta ziemia składa, ciągną się w kierunku opisanym (ssw—nne), a nie w kierunku głównej długości kraju, od strony południowo-wschodniej ku stronie północno-zachodniej.

Zastanawiającą jest rzeczą, że w kierunku tego geologicznego i geograficznego uwarstwienia, posuwał się także wpływ moralny i polityczny, objawiony podziałami politycznemi Szkocyi, rozprzestrzenieniem się rass ludu, obyczajów i języka.

Już nas witają przyjacielskimi spojrzeciami brzegi Szkocyi, już błyszczą na ciemnym zachmurzonym niebie jasne i wesołe latarnie morskie. A jest ich tyle: na wyspie Copeland, na Majdens-Rock (to znaczy: na dziewiczych skałach); nie jeden tam na tych dziewiczych skałach śmierć swoją znalazł, choć kompasem był opatrzony; iskrzą się równie światła w Cautire na wyspie Pladde i na wyspie Cambreg.

Znów się pokazują nowe światła—teraz już jesteście wśród mnóstwa latarni przyświecających z północy i południa, z wschodu i zachodu: teraz trudno zmylić drogę.

Otóż wyspa Arran, jedna z najcięższych świat. Osyan tam spędził ostatnie lata swego życia!

Ludna dziś ta wyspa ma do 8,000 mieszkańców. Niewyczerpany zasób dla album malarza! tu z każdym stem kroków nowa scenerya, nowe cuda perspektywy.

Ale dla geologa jest to nieprzebraany, nieoszacowany skarb nauki. W tej wyspie nagromadzone są, jak w jakim olbrzymim muzeum geologii, najrzadsze, najrozmaitsze formacje ziemi; na tej wyspie znajdziesz wszystko, co geologa intere-

sować może, wyłożone tysiąc razy lepić, jak w najuczestszej książce.

Prześliczne są w tej wyspie jaspisy i agaty, a szczególniej kryształ, znane pod nazwiskiem dyamentów z Arran.

Cała Szkocya posiada dziś ze 30 latarni morskich, po największej części dopiero od roku 1820. z wielkim kosztem wzniesionych, Najpiękniejsze i najkosztowniejsze z tych latarni, z których każda wygląda jak pomnik, leżą na ogromnej skale zwanój dzwonem (Bellrock) i na wyspie majowej (isle of May), przed odnogą morską Forthu i Taya. Wzniesienie tych dwóch latarni, nadzwyczajnie ciekawych, kosztowało prawie tyle, co wszystkich innych razem, to jest do 150,000 funtów szter. (przeszło sześć milionów trzykroć sto tysięcy zł. pol.).

Koszta roczne utrzymania wszystkich latarni wynoszą 15,000 funt. szt. Wartość ładunku prawie każdego okrętu przechodzi tę sumę; jeśli więc wszystkie 30 latarni ubezpieczą od zatonięcia przynajmniej jeden okręt na rok, wówczas koszta utrzymania ich już są pokryte. Ale dobrodziejstwa wynikające z tych latarni są daleko większe.

Dopływamy do ujścia rzeki Clydy (wymawiaj Klajdy), znajdujemy się naprzeciw miasta Greenok,—na prawo i lewo leżą przed nami karty nowego kraju. Na lewo piętrzą się jedne za drugimi śnieżne szczyty gór szkockich, zdaje się, że to szronem okryte głowy Tytanów spoglądających na nas; —a tu na prawo rozpościera się rokoszny krajobraz, umajony świeżą, od słońca niezwarzoną murawą, drzewami owocowemi,—włością szkocką; każda może służyć za wzór, tak jest piękną, czystą; i to bydło czarne jak kruki, bez żadnej odmiany, jak ślicznie wygląda! zdaje się, że pokostowane. To baronia Renfrew, jeden z najpiękniejszych dyamentów w koronie księcia Walii.

Po za nami wyzierają z pod bałwanów morza wyspy, obok których przebyliśmy, skały groźące, któreśmy dzięki latarniom ominąć zdołali; a przed nami rozpromieniają się wody przystani ku północy w jezioro Loug, ku południowi w jezioro Garo, a w środku biegną ka nam czyste fale Klajdy, i witają nas poetycznemi tonami lutni poetów szkockich.

Tu, w tej szczęśliwej krainie, czerpalicie wasz zapał, wy życiodawczy, nieśmiertelni bardowie! trafia w me ucho wasz głos tęskny, przedziera się do mego serca porywającym

strumieniem, i zmywa z niego troski nagromadzone pobytom pomiędzy ludźmi, którzy się rządzą fałszem. Niech wam będzie chwala i cześć wieczna! wy bliźni, którzy słowami Boga do stęsknionego cudzoziemca przemawiać umiecie!

Ale powściągnij się tęskne serce nawet w tém czystém uniesieniu; nie przyznawaj, że jeden widok natury zdolny jest zagładzić w sobie rany od dzieciństwa doznawane, rany tak głębokie, że ich może nie zagajać nie powinno: może nie jeden osądzi cię bardzo surowo, za tę łatwość poddawania się tkliwości poetycznej.

Niechże i tak będzie. Bez wyższych, wielkich wpływów nie przychodzą troski, ani też przychodzi ulga, a ulgę tę czerpię nie w materialném źródle, lecz w czystej krynicy uczuć i myśli.

Zwęża się, zwęża ciągle koryto Klajdy; zbliżają się coraz więcej do zdumiałego oka najpiękniejsze krajobrazy. Nie mylą się znawcy: piękniejszego kraju nie masz na świecie nigdzie.

Tylko klimat ostry, niestały. Chwilami jedynie przedziernie słońce przez obłoki i przyświecła tym łanom. Dobrze robi klimat, że taki nieubłagany. On nie dozwoli przyjemności, tylko takiemu, którego grzeje święty ogień poezyi; nie masz tu i nie będzie nigdy owych prozaicznych nudnych turystów, nie zjawią się tu nigdy owe hordy komiwojażerów, profanujących tuzinkowemi, błahemi conceptami naszpikowanym opisem, to siedlisko piękna. Zostawcie nam coś czystego, wy zjadacze ostryg, i wy handlarze szampana i szuwaksu. Jedźcie sobie nad Ren i do Szwajcaryi, tam klimat lepszy, tam wygodne hotele!

Przy ujściu jeziora Lomond do Klajdy wznosi się stromym krokiem w powietrze wysoka opoka bazaltu, a na szczycie jej cięży warowny zamek Dunbarton, odwieczny świadek dziejów bitnej Szkocyi, dawna Theodozya, już dobrze Rzymianom znana.

Ossyan nam śpiewa, że na téj skale panował bitny Carthon, syn Klessamora i modrookiej Moiny. Teraz z po za wyniosłych murów wyglądają żołnierze angielscy w szkarłatnych mundurach. To rój koszenillów, powiedziałybyś: tak wysoko ztąd aż na szczyt skały.

Tu do téj skały przykuć miano prometeusza, którego nazwisko dziś przez własnego synowca zparodyowane. Ale się

lękano, żeby nie uniósł z sobą skały, i dlatego na samotnej wyspie w środku oceanu osadzono go, by umarł z zgryzoty.

Daliej Newark Castle i Dun Glass, jeszcze dwie starożytne fortece, giną już w ruinach. Piękny pomnik, wystawiony w najnowszych czasach na jednej z skał, pławionej wodami Klajdy, na pamiątkę sławnego inżyniera Henryka Bell. Był on pierwszym, który wystawił statek parowy na Klajdzie, i Klajda pierwszą jest rzeką, na której się w starym świecie pojawił statek parą pędzony. Dwanaście ich już było na Klajdzie, nim się jeden na wodach Tamizy pokazał.

Niedaleko stąd, na brzegach rzeki Leben wpadającej do Klajdy, stoi wysoka kamienna kolumna, poświęcona pamięci Smolleta, nazwanego Rubensem pisarzy romansów. Tam się także rodził Buchanan, Horacyusz Szkoeyi, przewany także Sarbiewskim Polskim, autor książki: *de jure regni*, nauczyciel Jakóba, syna Maryi Stuart. Dochowuje się świątce skromna, słomą poszyta chatka, w której się rodził. Na pięknym wzgórzu, na którym będąc dzieckiem bąki zbijał, wznosi się jego czei poświęcony obelisk bazaltowy na 100 stóp wysoki.

Miło widzieć naukę i cnotę tak godnie uczczoną!

Sztuka i przyroda, starożytność i terażniejszość, poezya i przemysł, wszystko to razem i wspólnie pracowało, by tę krainę upiększyć.

Podziwiać musimy sposoby, któremi polepszono żeglugę na rzece. Przed rokiem 1824., okręty na 4 stopy głębokości w wodę wchodzące, mogły tylko za pomocą przyływu morza zbliżyć się do Glasgowa.

Rektyfikacyami rzeczniemi, wykopaniem, rozsadzeniem skał za pomocą prochu, maszynami wybierającymi szlam i kamienie (dredging machines), nareszcie dzwonami do nurkowania przeznaczonemi, umiano tyle dokazać, że dziś okręty 16. do 17 stóp w głąbię zanurzone, przybyć mogą aż do Glasgowa.

Koszta utrzymania rzeki w tym sztucznym stanie wynoszą do 50,000 funt. szter. rocznie; tyle też prawie wpływa poborem pobieranym od okrętów.

Droga wodna do przebiegu okrętów oznaczona jest szeregiem beczek żelaznych, mających kształt piramid. Są one

czerwono malowane i do gruntu za pomocą kotwic przy-mocowane.

Prócz tych beczek znajdują się jeszcze słupy miłowe (na milę polską znajduje się 14 tych słupów), wzniesione na łąwach piaszczystych i na skałach, a odznaczających odległość od Glazgowa.

Ale i na tych środkach ostrożności i wymysłach wygody nie dosyć; jest tutaj jeszcze szereg małych domków, do gruntu rzeki kotwicami przytwierdzonych; w nocy zapalają na dachach latarnie, w każdej budce mieszka dwóch budników czuwających na przemian dniem i nocą nad bezpieczeństwem okrętów. Około każdej budki stoi kilka łodzi. Jeden budnik kontroluje drugiego i zapisuje w swym rejestrze, ile jego kolega strawił czasu na spaniu, na czytaniu, na pisanu, na czuwaniu; czy był pijany, lub nie. Inspektorowie robią rondy dniem i nocą od budki do budki.

Do takiej-to doskonałości doszła teraz żegluga na tej Klajdzie, i z zrobionych od krótkiego czasu postępów można wnioskować o możliwości dalszych. Jednakże przyznać należy, że koleje żelazne zaczynają już szkodzić rozwijaniu się żeglugi parowej na rzece. Z pism publicznych przekonałem się, że żegluga rzeczna na Klajdzie już poczyna przechodzić zenit swjej świetności.

Im głębiej w środek kraju wkraczamy, tém powietrze staje się mglistszym. Nieprzejrany las masztów oznajmia nam bliskość Glazgowa. Teraz słońce wygląda jak szkarłatny okrągły płatek bez promieni. Szkoockie słońce jest istotnie zadziwiającym fenomenem dla tego, który angielskiego nie zna.

Dym Glazgowa zadusza—pochodzi to z wielkiej ilości fabryk wyrobów chemicznych. Z przyczyny tego dymu zaginęły wszystkie rośliny delikatniejsze w botanicznym ogrodzie, przedtém zdrowo rosnące.

Obserwatorium astronomiczne nawet musiało sobie dla dymu wybrać inne miejsce.

ROZDZIAŁ XV.

KOMIN MONUMENTALNY.—FABRYKA WYROBÓW CHEMICZNYCH.—TARTANY SZKOCKIE.—KLANY RÓZKOLOROWE.—FABRYKA HAF-TÓW.—HAFCIARKI.—MISSYONARZ PROTESTANCKI.—LOJOLA.—FABRYKANT I WYROBNICY.—NEKROPOLIS.—KATEDRA.—LU-DNOŚĆ GLAZGOWA.—PRZYCZYNA SZYBKIEGO WZROSTU.—PARTYE POLITYCZNE.—BIEDNI I BOGACI.—SOBOTA I NIEDZIELA.—JAN KNOX.—UNIWERSYTET GLAZGOWSKI.—MUZEUM HUNTERA.—SZPITALA.—CHOROBY.—INŻENIER WATT.—PROREKTOR I RE-KTOR UNIWERSYTETU.—AKADEMICY.—RYGOR KARNY.—»HUMA-NITY« CZYLI FAKULTET FILOLOGII.—NAUKI PRZYRODZONE.—KATEDRY STARE I NOWE.—KANAL KLAJDY.—KANAL KALE-DOŃSKI.

Pierwszą rzeczą zwiastującą nam Glazgów nie były ma-szty okrętów, lecz niebotyczny komin, wystający po nad mia-stem, i przykrywająca go mgła, jak szczyty piramid wysta-jących po nad obłokami.

Nie jest też niższym od nich ten najstawniejszy z swego wzrostu po nad wszystkich współbraci komin. Wznosi się na 450 stóp po nad ziemią, czyli raczej po nadfabryką kwa-su siarkowego, solnego, sody i mnóstwa innych wyrobów chemicznych pana Tennant.

Szkodliwe wyziewy, wyrabiające się w téj fabryce, dały powód do częstych skarg;—właściciel jéj tedy, chcąc raz na zawsze położyć koniec skargom, postanowił wybudować ko-min wyższy niż jakiegokolwiek bądź dzieło ludzkie. I dotrzymał słowa. Komin pana Tennant zakasował wieżę św. Szczepana w Wiedniu, Münster w Strasburgu, ba nawet i piramidę Cheropsa, najwyższą z swych rówienniczek.

Cały zakład pana Tennant zajmuje wiele miejsca; z ka-żdego ogniska, znajdującego się w rozmaitych oddziałach, prowadzi podziemny kanał do wspólnego komina. Robotni-cy utrzymują: że zstępując do kanałów dla jakiegokolwiek re-peracyi, znajdują w nich, jeżeli dobrze drzwi nie zamkną, tak

okropny przeciąg, że się na nogach utrzymać nie mogą. Zjawisko to łatwo można wytłomaczyć: niebotyczny komin otwiera się w sferach powietrznych bardzorozzredzonych; *natura abhorret vacuum*, i zawsze gotowa napełniać to, co jest próżnem lub rozrzedzonym. Komin ten olbrzymi otoczony jest do połowy swój wysokości tak nazwanym płaszczem, to jest murem.

Wiem dobrze, że sposób pana Tennant powiódł się bardzo pomyślnie, że się teraz w angielskich miastach fabrykanci łączą dla wystawienia jednego wspólnego kominu, zabezpieczającego miasto od szkodliwego dymu.

Przyszło nawet do tego w niektórych miastach, że właściciele domów zamyślają skasować zupełnie owe kominy brzydkie, szpecące domy, i sprowadzać dym do ogromnych za miastem stojących kominów. Kominom tym możnaby łatwo dać postać pomników za pomocą ozdób architektonicznych; a takim sposobem i kieszeń i oczy zyskałyby na zmianie, a nawet mniejby było powodów do pożarów.

Mówiąc o fabrykach, nie zostawiamy bez wzmianki fabryki tartanów szkockich panów Campbell, w której także do tysiąca pracuje wyrobników.

Tartany te, czyli materye kraciaste wełniane różnego rodzaju, zyskały od czasów Walter-Scotta wielką wziętość w Europie, w Szkocyi zaś mają od niepamiętnych czasów znaczenie, o jakim trudno sobie zrobić wyobrażenie. Wszakżeż już Cezar o nich wspomina w swych dziełach. Każdy klan (pokolenie) ma tu swoje kolory i swój właściwy sposób mieszania ich porządku i odcieni. Jeden kolor predomинуje najczęściej w tym tartanie. Szerokość pasów, również jak ich skład, moc kolorytu, odcieni, od niepamiętnych czasów ustanowionemi zostały i utrzymują się poczęści w niezmiennem poszanowaniu. Każda nić snuje się jeszcze dziś w ten sam sposób, w jaki się snuła wieków temu kilka; niezawodnie myśl jakaś, znaczenie jakieś przywiązywało się do tego porządku. Myśl zaginęła i zamiast onęj przyzwyczajenie nastąpiło i świętośćjemu nadaje. Tak musiało być z wieloma zwyczajami, których dziś przyczynę odgadnąć nie sposób.

Szkocki góral zakochanym jest w barwach tartanu swego pokolenia, jak pauna w kolorach kwiatu, jak dziecię w kolorach motyla.

Szkocki góral tęskni za swym krajem, na widok koloru swego klanu i wpada w melancholię, tak jak Szwajcar na odgłos rodzinnego Kuh-ranzen. Nie czulszego, jak śpiew Burnsa, gdy w oddaleniu od ojczyzny zoczył przypadkiem kolor tartanu swego pokolenia.

Tartany niektórych klanów bardzo są pojedyncze: klan Rob-Roy, wsławiony przez Walter-Skota, nosi tartan koloru czerwonego i czarnego, krzyżujące się w równych sobie szerokościach. Kolory innych klanów bardzo są skomplikowane; naprzykład: klanu Royal-Stuart, pasy purpurowe predominują tu wprawdzie, lecz obok nich znajdują się paski żółte, czarne, niebieskie, białe i zielone, krzyżujące się w sposobie i porządku nie łatwym do opisania. Tartan klanu Macpherson prawie zupełnie jest białym. Godną uwagi rzeczą jest, że żadnemu wzorowi nie brakuje powabu, że mile wpadają w oczy i że dzieci już każdego klanu pokochają się w jego barwach,

Dotychczas znajdują się miejsca, w których Szkoci nie przestają nosić tartanu odwiecznych swych kolorów, a przy uroczystych okolicznościach każdy występuje w kolorach swego klanu.

Pan Campbell posiada także fabrykę haftu, w której pracuje do 300 młodych dziewcząt. Zwiedzić wypada tę fabrykę, nie tylko dla poznania piękności wyrobów, sposobów ułatwiających haftowanie w sposób nadzwyczajny, ale i dla obznajomienia się z wysokością skali, do której wzniesić się może w Glazgowie, w klasie ubogiej, igłą pracującej, diapason piękności. Nie są to owe wygadane kokieteryjne gryzетки paryzkie, oh nie! ani owe lotaryngskie wesołe hafciarki z Metz, Nancy i Lunewilu, i to nie.

Pietystajakiś chudy, missyonarz z towarzystwa biblijnego czyta im za dziesięć szylingów na tydzień płaczącym głosem psalmy od rana do wieczora, a owe biedaczki muszą pracować przy odgłosie smutnym téj muzyki i składać się jeszcze na utrzymanie takiej orkiestry.

Czysto były przybrane bardzo, w tartany po największej części: nosiły małe czepczki zasłaniające tylko tył głowy, z pod nich wykradały się długie warkocze koloru ciemnego, jeżeli pochodziły z górnej Szkocji, jasnego, jeżeli pochodziły z dolnej.

Później będziemy mieli sposobność mówić o różnicy ras zamieszkujących Szkocję.

Hafciarki nasze ładne były prawie wszystkie, choć też prawie wszystkie blade: podlegały zapewne tym usposobie-
niom, które się wyradzają u młodych dziewcząt w skutek
zbytniego oddania się sedenteryi.

Figlarności nie brakło tym oczom jednakże, jeżeli się kto
w nie z interesownością wpatrywał. Ale nasz chudy jezuita
protestancki, którego oczy jaszczurcze śledziły każde porusze-
nie swych biednych ofiar, spostrzegł się i zaraz ostrym jak
syczoryk głosem zawołał: *»let us pray«*, to znaczy »módl-
my się«; i zaraz zaczął gadać o owczarni i o wilku, to jest
wzywając złość swą w modlitwie.

O Lojola, Lojola! wielkim musiałeś być człowiekiem,
kiedy cię nawet i nieprzyjaciele twego wyznania tak dobrze
pojeli i zastosowali do własnego użytku.

Panowie Campbell zaczęli handel mając 100 funtów szter-
lingów, to jest 4200 złp. kapitału; dziś sprzedają corocznie
za 20 milionów swoich wyrobów. Sami powiadają, że jeden
szczęśliwy, sankeyę mody zyskujący pomysł, jeden krótki
uśmiech szczęścia, majątku ich był podstawą.

W Wielkiej Brytanii, posiadającej tyle ogromnych pla-
ców targu w całym świecie, najmniejszy nawet wynalazek
wielki zyskuje odgłos i niesie, jeżeli jest szczęśliwym, prędkie
i piękne owoce.

Lecz to samo koło fortuny, które nieraz fabrykanta wy-
niesie na największy szczebel zamożności, zostawi u stóp je-
go biednego wyrobnika, którego jedynem jest szczęściem,
kiedy mu nie zbywa na owęj mozolnej pracy, którą sobie na
chleb codzienny zarobi. Fabrykant w takim szczęściu umie
zręcznie odrzucić część kapitału w biegu będącego na bok
i zabezpieczyć sobie prywatną od kaprysów niezależną for-
tunę. Gdy się koło potoczy na dół, fabrykant traci kapitał
związkowy, zachowa osobisty, a wyrobnik zostaje bez pra-
cy; kilka miesięcy później, a fabrykant zaczyna znów na in-
nym punkcie ziemi, a wielka część wyrobników leży już na
ementarzu Glazgowskim, na tej pięknej Nekropolii, którą tu-
taj od niedawnego czasu na wzór ementarza Père Lachaise
założono.

Powabne to miejsce! Najpiękniejszymi drzewami zarosły
pagórek, którego szczyt wieńczy prawdziwie pyszny pomnik,
wzniesiony wielkiemu reformatorowi Szkocyi, Knox. Tuż
przy ementarzu wznosi się gotycka katedra Glazgowa, naj-

starszy budynek całego miasta i najwięcej godny podziwienia.

Nekropolis i katedra leżą na końcu najdłuższej ulicy Glazgowa zwaną Highstreet, w której znajduje się jeszcze kilka innych śladów starożytnego miasta.

Glazgów wznosił się prawie z niczego w ciągu jednego stulecia, do jednego z najludniejszych miast Europy. Przy wcieleniu Szkocji do Wielkiej Brytanii liczył tylko 15,000 mieszkańców, w roku 1822., za pobytu pana Lacha Szyrmy, liczył 160,000, dziś w roku 1850. dochodzi do 300,000. Lud i pieniądze zostały tu wprowadzone najprzód przez tak nazwanych »Virginia Lords«, to jest kupców handlujących tytunem z amerykańskimi koloniami, a mianowicie z Virginią. Potem zaś najczęściej się przyczynili do wzrostu miasta tak nazwani »Cottonlords«, to jest fabrykanci bawełny.

Landlordów, to jest wielkich właścicieli dóbr ziemskich, nie było nigdy i nie ma też w Glazgowie. Ci przekładają pobyt w starych szlacheckich miastach położonych na wschodniej stronie kraju, a mianowicie w Edyburgu. Każde z tych miast złożone jest z innych żywiołów. Edyburg zawiera wszystko, co znamienitą się stało, przez wychowanie ukształcenie i dostojność. Glazgów zaś od stóp do głów jest dorobkowcem, posiada w swych murach tylko kupców i fabrykantów. Niektórzy z nich posiadają do 30 nawet do 40 tysięcy funtów szterlingów rocznego dochodu, jak się to wykazuje z nowo wprowadzonego podatku od dochodu (incometax). Przywile Edyburga istnieją od dawna, i przed bilem reformy jedynym było miastem w Szkocji, wysyłającym osobnego członka do parlamentu. Glazgów zaś zaledwie z kilkoma innymi miastami zbiorowo wysyłał reprezentanta do parlamentu.

Dlatego też Glazgów był siedliskiem Whigów, wotował za reformą i postępem. Edyburg trzymał się długo Torysów, Pajsley zaś radykalnych.

Hrabstwa górne (highland-counties) głównymi są podporami Torysów.

Ztém wszystkiem bogaty Glazgów jest często widownią wielkiej, serce rozdzierającej nędzy. Czasem przy wielkich katastrofach politycznych, 20 tysięcy i więcej nawet ludności pozostaje bez chleba. W sobotę wieczorem dozwolone jest każdemu ubogiemu wyrobnikowi żebrać na ulicy. Wów-

czas zobaczysz całe massy ludu w łachmanach przechadzające się tłumami po ulicy, błagające gestami o kawałek chleba, gdyż mową nie wolno. Tam zobaczysz nie raz młode, piękne istoty pomiędzy niemi, ale tak blade i nędzne, zdaje się, że im życia nie dostaje do jutra.

Ale z soboty na niedzielę jaki kontrast, jakie nagłe przejście! W sobotę żaden bogaty nie wyjdzie na ulice, każdy się trzyma w domu jak zamurowany, nie wyjdzie z niego za nic w świecie. W niedzielę zaś wychodzą bogaci i nie ujrzysz biednego na ulicy. Sobota dla biednych, pracy nie mających, chleba potrzebujących. Niedziela dla chleb mających i do kościoła chodzących.

Niedziela wielki uroczysty dzień dla Szkota! Cicho wtenczas wszędzie, nie usłyszysz ani muzyki, ani uśmiechu, grobowa cisza,—tak Pana Boga chwala.

Już zkądinąd przybywającemu i Londyn smutnym się i nudnym wydaje; ale to jest niezem w porównaniu z Glazgowem i Edyburgiem. Jak makiem zasiał, nikt ani śmieć pisnąć. Wszyscy idą do kościoła długimi szeregami ponuro i smutno, damy i panowie. Pójdźmy i my za niemi. Jesteś cudzoziemcem? bądź pewny, że ci to wszyscy z twarzy poznają, że ci to wszyscy zimnemi oczyma wyrzucać będą, jak gdyby się pytali: »a tyś tu po co? a zachowasz się grzecznie?« Zachowajmy się tedy grzecznie, nieśmiałym krokiem dźmy do kościelnego zapytać się, gdzie tu miejsce dla cudzoziemca; za udzieloną wiadomość wciśnijmy szylinga w dłoń na to dobrze przygotowaną, siądźmy zmówiwszy pacierz—w kapelusz!

W kościele nie zupełnie to samo co w Anglii; większa jeszcze pojedynczość, prostota w obrządkach prezbiteryańskich; lecz w ich kazaniach ani śladu owój obojętności episkopalnej angielskiej, owszem jakaś przesadzona orientalna dykeya, pełna namiętności i ognia zapaleczywości, dziwnie kontrastującej z młodością poetyczną słów, z zwyczajnością stereotypowych myśli. Jest to sam namiętny kalwiński duch; który John Krox potrafił wpoić, pomimo jego woli i przyrody, w zimnego, obrachowanego, rozumnego Szkota, nieprzyjmującego przed nim żadnego fanatyzmu religijnego. Siłono się tu widzieć na wywołanie sztucznego fanatyzmu w narodzie tym bitnym, ale zresztą bardzo łagodnym. Ta dykeya kaznodziejska więcéjby przystała ludziom ognistym z natury—Hisz-

panom i Arabom. Ale zapewne nasi prezbiteryańscy kaznodzieje znają sposób entuzjazmowania się na zimno: prawdziwy entuzjazm szkodzi apetytowi, a ten tutaj, jak w całej Wielkiej Brytanii, przedewszystkiēm jest czczony.

Uniwersytet Glazgowski, założony roku 1450., mniej jest znany światu uczonemu jak Edyburgski, o sto trzydzieści dwa lat późniejszy. Edyburg, jako miejsce pobytu wszystkiego co jest znakomitē i świetnē w narodzie, jest naturalnie także chętnie odwiedzanym przez cudzoziemcōw; potēm wpływają na to i pewne prawa staroświeckie, którym cudzoziemcy, a nawet i krajowcy niechętnie ulegają.

I tak: każdy akademik musi tu nosić fryzē krochmalną, krōtkie czarne spodnie, pończochy i trzewiki, oraz rodzaj dłużej opończy czerwonej, w której wygląda raczēj jak rozbrojony alguazil hiszpański, niź jak zwolennik Muz i Apollina. Budynki uniwersyteckie zadziwiają ogromem, lecz ogołocone z ozdōb architektonicznych, podobne sã raczēj do więzień: odłączone sã od reszty miasta kratami i bramami, wzniesione z szarego ciosowego kamienia.

Odrōżnia się korzystnie od tych budowli muzeum historyi naturalnej, zebrane przez Dra Williama Hunter i darowane uniwersytetowi. Zbiōr ten oceniono na 120.000 funtów szterlingōw. Gmach wspaniały, ale i zbiory, mianowicie anatomiczny, nadzwyczaj szacowne. Dość jest go przebiegać z katalogiem drukowanym, dobrze urzãdzonym, w rękę, by sobie wszystkie anatomiczne wiadomości odświeżyć. Po muzeum londyńskim i edyburgskim ono pierwsze zajmuje miejsce, a przechodzi w wartości i porzãdku muzea w Manchester, York i Oxford.

Szpitalōw jest kilka, bo inaczej być nie może w tak ludnē mieście, w którym tyle jest ubogich, a pomiędzy robotnikami tyle do chorōb usposobionych. Lecz i tutejszym jak i londyńskim można zrobić ten zarzut, że nie wystarczają. Gorączka tyfoidalna panowała wlasnie okropnie pomiędzy ubogã klasã, codziennie liczne wysyłając ofiary na Nekropolis.

Szczegōlna rzecz, że w tym samym czasie, kiedy w Paryżu tyfoidalnych leczono srodkami oslabiającymi, puszczeniem krwi i solami obojętnymi, tu ich wzmacniano winem Oporto! A rezultat jakiz z tego tak różnego postępowania? Tenże sam, na nieszczęście! tenże sam. Tu na sto umierało 30, tam

na tysiąc trzysta, z małą różnicą w rachubę wejść nie mogąca.

Jakaż z tego nasuwa się uwaga? Że niezawodnie nie jeden, coby w Paryżu był umarł, byłby w Glazgowie wyzdrowiał, i *vice versa*. Któż bliżej prawdy: Brown, czy Broussais? Obadwaj równo oddaleni pokazują się. Wprawdzie przyznać należy, że Anglicy posiadają talent wycieńczenia wyrobnika aż ustać już nie może i na chorobę zapadnie: *ils savent en tirer meilleur parti* wysławia się fabrykant francuzki, gdyż mu wzmacniające środki nie więcej szkodzą, niż Francuzowi osłabiające.

Dumny jest uniwersytet Glazgowski z swego sławnego inżyniera Watta; wznosił mu pomnik w muzeum Huntera i portret jego w sali posiedzeń uniwersytetu umieścił. Zachowują tutaj jeszcze i małą maszynę, nad którą procował. Watt był z początku inżynierem uniwersytetu i uniwersytet ma tę zasługę, że się pierwszy poznał na jego geniuszu.

Watt powinien być uważanym za prawdziwego wynalazcę maszyn parowych, gdyż on wymyślił do nich kondensator, to jest jedyny sposób użycia ich do celów, do których dziś są używane.

Prorektor uniwersytetu nosi tytuł »Principal«. Na rektora obierają professorowie i uczniowie razem popularną, lecz wysoką jaką osobę. Za méj bytności sir Robert Peel, a zatem torys, był Lordem - Rektorem uniwersytetu; później obrano Margrabiego Breadalbane, a zatem zaciętego whiga.

Od kilku lat cała Szkocya, wprzód tak torysowska, odpadła od torysów; w Edyburgu nawet nie śmia już wysyłać ani jednego torysa do parlamentu.

Uniwersytety w Oxford, Cambridge i Dublinie pozostały jeszcze czysto torysowskimi. »Rather'a changing body« (zmienny to korpus) mówi Anglik.

Liczba uczniów uniwersytetu Glazgowskiego zmniejszyła się od roku 1820, z 1600 na 1000. Edyburgski zaś o tyleż zyskał. Fakultet medyczny, by ściągnąć uczniów z zagranicy, wystarał się o uchylene ich z pod części rygoru dyscyplinarnego; trzeba bowiem wiedzieć, że młodzież uniwersytecka angielska traktowana jest z wielką surowością. Każdemu profesorowi towarzyszy tu jak cień tak nazwany cenzor, właściwie inspektor, czuwający podczas prelekcji nad sprawowaniem się uczniów i notujący sobie na katalogu, który

w rękę trzyma, przekraczających. Stypendystów wskazują czasem na kary cielesne, ale tylko *stypendystów*, którzy wolą znieść karę niż stracić stypendyum.

Dla psychologa zastanawiającem jest zjawiskiem, że bursze niemieccy, sławnie dziei i swawolni, nieznoszący żadnego jarzma podczas lat studenckich, wychodzą na najspokojniejszych, najpoddających obywateli; gdy tymczasem młodzież uniwersytecka angielska, pod tak ostrym rygorem trzymana, wychodzi często na nieugiętych, silnych mężów opozycyi. Tamtych entuzjazm wyszumiał na ławkach szkolnych u tych zaczyna szumić na ławkach meetingów.

Aż do najnowszych prawie czasów, w Szkocyi i w ogólności w całej Anglii mniemano, że znajomość języka i literatury starożytnej nie tylko jest niezbędną, ale nawet jedyną podstawą prawdziwie klasycznego wychowania ludzkiego; i dlatego nazywali to, co my znamy pod nazwiskiem fakultetu-filologii greckiej i łacińskiej, »humanity« a professorem »of humanity« nazywali po prostu profesora greckiej i łacińskiej literatury. W wiekach średnich, kiedy język łaciński był istotnie wszystkich muz heroldem, nazwisko to było stosownem; lecz dziś należałoby nareszcie otrząść się z tych nieznaczających tytułów, tchnących feudalizmem naukowym. Nowe światło ludzkie, które się rozkrzewiło w Europie, dzięki gorliwym i pilnym dociekaniom zjawisk i praw natury, nie byłoby nas doszło przez znajomość łacińskiej literatury *li tylko*. Jéj, to jest naturze, winniśmy prawdziwą »humanity«. Dopiero w najnowszych czasach ustanowiono w Glasgowiekatedrę historyi naturalnej i chemii.

Dawne katedry (the old chairs) posiadają wiele przywilejów, których nowe potrzebniejsze jeszcze zdobyć nie zdołały. To wyrodziło walkę pomiędzy katedrami. Nowe katedry żądają także wolnego mieszkania w gmachu uniwersyteckim, prawa głosowania w sprawach dotyczących się wewnętrznego urzędzenia kraju; tego i dotąd nie otrzymały.

Niech żaden lubownik silnych a niedoznanych dotąd wrzeń nie opuszcza Glasgowabez zwiedzenia prawdziwego cudu hydraulicznego. Jest nim ciągnące się niedaleko zachodniej części miasta, tuż przy przystani zwanéj »Dundas«, ramię wielkiego kanału, prowadzące wody rzeki Forth do rzeki Klajdy. Kanał ten przebiega wysoki grzbiet wzgórza znajdu-

jącego się na dolinie Klajdy, i zdaleka już zdumiewają oko statki, zdające się unosić ponad dachami przyległych domów.

Widzieć na wysokości to, cośmy byli przyzwyczajeni widzieć w głębi, jest coś tak uderzającego, że trudno własnym oczom wierzyć, trudno myśleć, żeby to było na jawie.

Kanał ten ma dziewięć stóp głębokości okręt więc o 200, beczkach łaosztu może po nim płynąć wygodnie.

Kilka kanałów przerywa Szkocję w różnych kierunkach: najgłówniejszym jest wielki kanał Kaledoński, przebiegający całą obszerną dolinę Albin.

Kanał ten, szeroki na 116 stóp, głęboki na 18 do 21, jest dziełem olbrzymiów, przerywa on całą północną Szkocję i łączy dwa morza z sobą. Największe okręta mogą po nim przekraczać całe wnętrze Szkocyi, i wypłynawszy z oceanu Północnego znaleźć się po wygodnej pięknej podróży na wodach Atlantyku.

ROZDZIAŁ XVI.

TEATR I PRZYSTAŃ.—GALERYA OBRAZÓW.—CHATEL-HERAULT.—
PARK.—WODOSPADY.—TĘCZE RUCHOME.—CORA-LINN.—PODO-
BIENSTWO.—PSTRAĞI.—POLOWANIE.—SKAŁY.—CARLAN-
CRAIGS.—RZEKA MYSZ.—MOST.—LANARK.—GOSPODA.—WIER-
SZOKLETA, BARD I PATRYOTA.—KILT I SPODNIE.—CHARAKTE-
RYSTYKA NÓG SZKOCKICH I ANGIELSKICH.—NOWY LANARK.—
PRZĘDZALNIA.—ROBERT OWEN.—JEGO SYSTEM.—SERCE DOLIN
SZKOCKICH.—LUDNOŚĆ STOSUNKOWA.—STOLICE SZKOCYI.—
DROGI.

O teatrach Glazgowskich nie wspominam. W mieście, w którym religia wzbrania znajdować przyjemność w reprezentacyach teatralnych, a w którym bogaci chcą uchodzić za wygórowano-religijnych, dlatego, żeby tém łatwiej losami biednych władać mogli, w mieście takim sztuki piękne wygórować nie mogą. Bogaci czekają dobrej pory, wyjeżdżają na stały ląd i tam w Paryżu, Rzymie i Neapolu nasycają się muzyką i teatrem; powróciwszy zaś do domu, są znowu purytanami, purytanami nieubłaganymi: muzykę nazywają niebezpiecznym kuszeniem zmysłów, odwodzącem ludzkość od poważnych roztrząsań, — teatr zaś wymysłem czarta najoczywistszym.

Obszedłszy, co było godnym widzenia, pożegnawszy mego kapitana duńskiego, którego okręt był moim hotelem podczas mego pobytu w Glazgowie, udałem się z kilku akademikami niemieckimi piechotą do rajy Kaledonii, do miejsc, których żaden miłośnik pięknego przyrodzenia omijać nie powinien.

Odwiedziliśmy najprzód Hamilton, siedzibę książąt Hamiltonów. Dawniej tej rodziny dzieje splecionemi są z dziejami Szkocyi od XIII. wieku. Miasto Hamilton, mające teraz do 10,000 ludności, leży w pięknej i żyznej okolicy, nad zbiegiem rzek Klajdy i Awony. Podróźni rzadko zapominają zwiedzić to miejsce, dla oglądania bogatej galeryi obrazów znajdującej się w pałacu. Rodzina książąt Hamiltonów na-

gromadziła tu od dawna i wielkim kosztem mnóstwo utworów najpiękniejszego pędzla. W Szkocyi nie ma tak bogatej galeryi, Anglia nawet mało ma podobnych. Do najpiękniejszych obrazów liczą się: Daniel w lwiej jaskini, i Złożenie do grobu Chrystusa; pierwsze Persina, drugie Titiana, szczególnie ztąd ciekawości godne, że dwaj wielcy artyści wielki ten przedmiot inaczej a może z równym talentem oddali. Ciekawy też jest święty Sebastyan przez Guido, dwie Madony przez Sassaferata, wiejski Prawnik przez Holbeina.

Znajduje się tu piękny portret hrabiego Denbigh, jednego z przodków rodziny księcia, malowany przez Vandyka. Największym przedmiotem podziwienia w tém dziele jest żywość kolorytu: wszystko zdaje się w nim nosić barwę rzeczywistości i oddychać życiem.

Mnóstwo nowych, z galeryi kardynała Fesch zakupionych malowideł, znajduje się jeszcze w pakach nie otworzonych. Książęta przeznaczają rok rocznie na zbogacenie i utrzymywanie galeryi dochody całego klucza dóbr, to jest do 150,000 zł. pol.

Lecz napróżno siliłbym się na opisanie wszystkich utworów pędzla i sztuk pięknych zawartych w zamku Hamiltonów; wiele z nich traci z swego uroku dla braku należytego wystawienia na światło, dla ciemności pokoiów, które lubo są obszerne, mają bardziej ponurą postać klasztornych korytarzy, niż galeryi obrazów.

Cała nawet budowa, lubo zadziwia ogromem, nie jest kształtną ani malowniczą; jedném słowem, mało ona jest godną być mieszkaniem pierwszego magnata Szkocyi. Wszelako nazywają ją pałacem. Książę rzadko kiedy w nim przebywa.

Ojciec terażniejszego księcia posłem był w Petersburgu i mnóstwo przywiózł pamiątek z Rosyi i Polski, w której z wielkimi wówczas rodzinami zabrał był znajomość i przyjaźń.

Z Hamiltonu droga prowadzi piękną aleją około parku, w którym pasie się bydło i owce. Każdy morg jego przynosi do 300 zł. rocznego dochodu. Park zatem nie służy li tylko dla przyjemności. Po prawej stronie na pięknym wzgórzu wznosi się zamek Chatel-herault, zwany tak od

posiadłości, którą rodzina Hamiltonów posiadała przed wielką rewolucją we Francyi.

Dążyliśmy do Lanarku. Droga szła na pochyłości spadzistych brzegów Klajdy, płynącej czasem wolno i łagodnie, lecz toczącej najczęściej spienione swe nurty z wielkim hukiem i łoskotem. W niektórych miejscach rozlewając się szeroko, płaszczyny wód leżały jak połyskujące zwierciadła. Gaje, łąki, pasące się trzody, pałace i chatki rzuciły niewymowny urok na całe jej pobraża.

To nazywają słusznie Edenem Kaledonii, to piękne miejsce położone w hrabstwie Lanark.

Weszliśmy do gęstego gaju; już było ku wieczorowi. Wtém dochodzi nasze ucho ciężki, ponuro-głęboko-przenikający szum. Wzrasta on z każdym krokiem, zaczyna zagłuszać naszą mowę; to sławny wodospad Klajdy. Zeszliśmy ścieżką śliską i niebezpieczną w głąb stromego parowu i oglądamy nareszcie ten wspaniały cud natury. Woda spieniona spada jak szeroka firanka najbielszego muslinu, a u spodu cała rzeka, strącając się w przepaść i rozbijając o krawędzie głazów, zdawała się wrzeć i kipieć; obfita para unosi się w powietrze w kształcie kłębow dymu; — istotnie zdaje się, że tam na spodzie wrą te odmęty piekielnym grzane ogniem. Lecz tu na około murawa, odwilżana bezustanną mgłą, tak zielona, tak powabna; barwa ta szmaragdowa trwa tu prawie wiecznie, i w zimie bowiem nie znika.

Fenomen optyczny, zadziwiający, przyczynił się do przyjemienia wrażenia. Wiatr wiejąc przeciwko spadowi rzeki, rozbijał spienioną wodę na obłoki mgły i igrał z niemi w powietrzu, jak dziecko z bańką mydlaną. Na unoszące się obłoki padały ukosem promienie słońca i malowały kilka ruchomych tęcz, zmieniających swe miejsce podług ruchu i kształtu, jakie wiatr nagle nadawał.

Nie zabawniejszego jak ten kelejdoskop olbrzymi, ta igraszka kolorów towarzysząca hukowi spienionych bałwanów, szumowi wrzącej wody.

Wiecznie tu pozostać nie można było; z bólem serca oddaliłem się do dwóch innych wodospadów. Średni wodospad Cora Linn jest najwspanialszy. Klajda spada tu z wysokości 84 stóp, łamiąc się na trzech progach napiętrzonych jak schody Tytana. Z szczytu opoki, wystającej na północnym brzegu rzeki, spoglądaliśmy na tę kataraktę.

Dreszcz przejmował członki; nad głowami naszymi potok wydobywał się z swego koryta drzewami zarosłego, strąca się wściekły z wysokości opoki i wstrząsa nią, jak wiatr wiatrakiem, ginie u stóp naszych w przepaścistej głębi, pieniąc się i wyjąc w swym gniewie, a potem, o kilkaset kroków dalej, udobruchany rozlacza się swobodnie w szerokiemi łożu, odbijając w swém zwierciadle nachylone ku niemu wierzby i brzozy płaczące, i obmywa, dzieląc się na dwie odnogi, stopy skały, na której wierzchołku sterczą zwaliska dawnego zamku.

Potem zaś, jeszcze dalej, szumny potok dał się uprosić dobremu młynarzowi i posłusznie obraca koło jego młyna.

Człowieku płochy! jakie do ciebie w tém zjawisku podobieństwo. Gdyś młody, huczysz i wszystko gotówesz przewracać, w przepaść się rzucasz oba zamknawszy oczy, całą siłę młodzieńczą wyrzucasz zawczasu na niepotrzebne rzeczy; potem zaś, wyszumiawszy, zbierasz rozbite członki, myślisz co z sobą robić, czepiasz się tego i owego, i kończysz obracając cudzemi kołem.

Drżą nawet brzegi wyniosłe, bite wściekłością rozuzdanych wód, drganie się czuje za przyłożeniem ręki do skały.

Najniższy, bo tylko 30 stóp wynoszący wodospad nazywają Bonniton. Jednakże jest on pięknym—skała w pośrodku stojąca rozrywa na dwie części bryłę wody staczającą się w głębie, to robi tę kataraktę podobną do spadu wody pod Szafhuzą. — Lecz, by hołd oddać prawdzie, wyznać trzeba, że brzegi Klajdy przewyższają pięknoscią brzegi Renu, gdyż to wszystko skupione w skład rajy ziemskiego wchodzić powinno: skaliste brzegi, malownicze ruiny, grotty i skały bluszczem i mchem obrosłe, drzewo zwieszające się ze szczelin opok nad powierzchnią wody, potoki szumiące, strumienie mrujące i spokojne jeziora.

Jest tu jeszcze niska katarakta, zaledwie na sześć stóp wysoka. Służy ona za szkołę gimnastyczną dla młodych pstrągów uczących się skakać. Mnóstwo ich tu jest wieczorem i rano, wskakują jednym susem na wierzch wodospadu i prawie nigdy nie chybią celu. Ubiliśmy wystrzałami z strzelby dwóch pstrągów w locie. Nie każdy myśliwy miał sposobność strzelać do ryb w locie, chyba że je sobie umyślnie kazał rzucać w powietrze.

Daliej droga prowadzi przez skaliste góry Cartlan-Craigs. Wytknięto ją tamtędy wielkim kosztem umyślnie, żeby podróżnemu ułatwić piękny widok na okolice prawdziwie zachwycającą. Most druciany łączy z sobą wierzchołki dwóch gór, jedna z nich miała 4100 stóp wysokości. Pod tym mostem przerywała głęboko leżącą dolinę rzeka zwana Myszą, dlatego zapewne, że się jak mysz z pośrodku gór skalistych wymyka. Płyńie tak głęboko pomiędzy wzniosłemi brzegami, że zaledwie ją dostrzedz można, i chociaż przez skały się przedziera, ucho nie słyszy jej szumienia. Niedaleko ujścia jej do Klajdy widać było na niej kamienny murowany most. Jedni poczytują go za zabytek po Piktach, pierwsiatkowych Szkocyi mieszkańcach, a drudzy za dzieło Rzymian. Międzygórami rzeczka ta płynie tak wąskim korytem, że je przekroczyć w niektórych miejscach można. Nad jej brzegami widać sterczące skały i niedostępne jaskinie. Jedna z nich, jak podanie niesie, miała służyć za schronienie dla Wallacea, dawnego bohatera Szkocyi.

Nocowaliśmy w Lanarku. Pierwsza to noc, którą spędziłem nie na wodzie Szkocyi, lecz na jej lądzie. Nocowaliśmy tedy w Lanarku nie w pierwszym hotelu miasta, gdzie stawają Lordowie i podróżni magnaci,—ani w hotelu drugiego rzędu, gdzie stawają kapitaliści i fabrykanci, lecz na przedmieściu, w starożytniej gospodzie, gdzie przyjmują podróżnych niższego rzędu, a w potrzebie młodych wesołych studentów i naturalistów wojażujących z ekonomią dla własnej przyjemności, a często dla pożytku całego świata.

Nie będę opisywał naszej gospody; jest ona jedną z owych starożytnych zabytków dawnych dobrych czasów, w których rzęwo, wesoło serce biło w sercach tych ludzi, nie zatrutych jeszcze sztuczną potrzebą wygórowania w przepychu i wygodach. Opis tych gospód napotkasz często w dziełach Walter-Skotta. Na dole wielka obszerna izba z ogromnym kominem w kącie, nad nim piętro z garnków na około wspierających się na drewnianych filarach.

Dunkan Mac Pherson, stary gospodarz, przyjął nas z dobroduszną, rubaszną radością. Niestety! nie nosił ani kiltu, ani plaidu, zaniechać musiał lubego Szkotom zwyczaju chodzenia *in naturalibus*, to jest obywania się bez tej części ubioru, którego Angielki wymawiać nie lubią.

Poznał nas już zdaleka stary Dunkan, choć nas nigdy w życiu nie widział, i wołał: »Welkome to ye merr-y lads of the high scool of Glasgow; welkome to ald Lanark.« (Witajcie wesole dzieci wszechnicy Glazgowskićj; witajcie nam w starym Lanarku.)

Ale któż odda tę wymowę staroszkocką, brzmiącą tak *broad*, to jest szeroko, jak się Anglik wyraża:

„Weu did gou see them, the fairy waters of Linn and Bonniton:

how thej come waring and grumblin
and keepin and tumblin,
and hoppin and skippin,
and foamin and drippin,
and strugglin and toilin,
and bubblin and boilin,
and heatin and jumpin
and bellowin and thrumbin?..“

(„Dobrze! widzieliście te czarnoksiężkie wody Linna i Bonnita, jak przybywają:

rycząc i mrucząc,
przewracając się i skacząc,
pluskając i huczając,
pieniąc się i wrząc,
igrając i walcząc,
gotując się i wytryskując,
rozdeirzając i odskakując,
dmąc i grzmocąc?..“

Oto jest dosłowne tłumaczenie tych wierszy improwizowanych, które słabe tylko dać jest w stanie wyobrażenia o pięknościach malowniczych w nich zawartych. Nasz gospodarz był starym powszechnie tu znanym i czczonym bardem ludu — on pielegnował jak ogień Westalski ostatnie iskierki narodowości Szkockiej; a jeżeli przywdział spodnie, to tylko dlatego, że w całej okolicy Lanarku, która jeszcze nie jest górnym krajem, on jeden byłby pozostał z gołymi nogami. Miał już około lat 80, ale czerstwy i silny, na 60-letniego ledwo wyglądał. Jednak pocieszyć się nie mógł po stracie swego kiltu, to jest spódnicy Szkockiej. »Cała nasza narodowość w łeb wzięła, od czasu jak

spodnie weszły w modę« mówił mi wzdychając. »Noga Szkota jest pierwszą ozdobą, a jakie to teraz między nami nogi od czasu, jak Anglicy swoje na kraj stawili! zdaje się, że się wyrodziły nogi z sercami. Przedtém noga była muskularną, a jednak okrągłą, łydka siedziała tuż pod kolanem pełna i gruba; a jak owa stopa mała a dziarska nadobnie była osadzoną na tój nodze! Przytém skóra tak była delikatną, jak aksamit! było na co patrzeć. Teraz ani spojrzeć można na nogi. Anglicy przywieźli z sobą zkądśiś nogi jakieś długie i cienkie jak u pajaków, a stopy płaskie i szerokie jak motyki, aż brzydko patrzeć, pfe!«

Nasz gospodarz chorował istotnie na monomanię nóg, choć zresztą zdrów był jak rydz i wesół jak dziecko.

Posiliwszy się rostbifem i porterem, szukaliśmy spoczynku, każdy w osobnej izdebce na piętrze. Drzwi tych pokojów wychodziły w lecie zewnątrz na ganek, w zimie zaś wewnątrz na inny korytarz: zbytek za dawnych czasów potrzebnej ostrożności.

Lanark jest dziś porządnym, do 12,000 ludności liczącym fabrycznym miastem. Miało ono kiedyś powstać z obozu rzymskiego i zwać się Colonia.

W Nowym Lanarku, wsi o trzy staje obok miasta leżącej, znajdują się przedzalnie bawełny, należące do sławnego z filantropii Roberta Owen, poprzednika filozofii Fourriera.

Pracuje w tych rękodzielnich do 1,500 dzieci i w nich pobierają nauki, — z nich wychodzą na zdrowych i pożytecznych ludzi.

Znany jest system Owena całemu światu: miał on sposobność wyłożyć go osobiście Cesarzowi ALEKSANDROWI i otrzymać od Niego dowód wysokiego zadowolenia. Radził on nadać każdemu człowiekowi równą ilość sposobów potrzebnych do dostąpienia szczęścia swego i rozkrzewienia szczęścia ogółu. Zaleca on przeto rządowi zaprowadzić w krajach stosowniejszy podział całej ludności na społeczeństwa, czyli gminy, ograniczając każdą taką gminę do siedmiu lub ośmiuset rodzin; większej liczby nie radzi, bo do większych społeczeństw zakrada się łatwiej zepsucie i trudniej je dobrze urządzić. Możliwości uskutecznienia tego planu nie przywiązuje on do żadnej formy rządu wyłącz-

nie, okazuje owszem, że może pod każdym rządem mieć miejsce i czyni go zupełnie od woli i opieki krajowej zwierzchności zawistym. Każda gmina ma składać sama przez się osobną osadę, a mieszkania jęj, dla ułatwienia komunikacyi osadników między sobą, mają być budowane w kształcie podłużnych równoległoboków. Każda ma być opatrzona we wszelkie środki do jęj utrzymania konieczne; ma posiadać stosowną do swych potrzeb przestrzeń ziemi, swoich rolników, rzemieślników, kupców, kościół i szkoły. Płody ziemi i wszelkie zyski mają być wszystkim wspólne, i dla tych, aby ciągle były pomnażane, ma być zaprowadzony stosowny podział pracy. W ten sposób zaprowadzając wszędzie równość dobrego bytu i jego wzrastanie w równym stosunku, zapobieży się chciwości i kradzieżom, bo nikt nie będzie żądał, ani kradł tego, co jest jego własnością; co zarazem, jak on mniema, wykorzeni wiele nasion do zbrodni, zmniejszy ubóstwo i nędzę. Nie jest ten plan bez przykładu: tak ma żyć sekta chrześcijańska Dunkardów w Georgii. Względem wymierzania surowych kar w Anglii za kradzież, był Owen jednego z Tomaszem Moore zdania: iż zbyt uczynna ich surowość nie zgadza się z sprawiedliwością, ani z dobrem społeczeństwa. Gdzieby powyższy podział ludności na osady nie dał się zaprowadzić, jak np. w krajach rękodzielnych, radził on obmyślić dla ubogiej ludności domy zarobkowe, stałą pracę od roboty, zaprowadzenie umiarkowanej ceny żywności, nakoniec udzielanie im stosownej i błędne uprzedzenia wykorzystującej oświaty. Względem wychowania, p. Owen był tego zdania, że nie należy w szkołach dawać nagród dla zachęty do nauk, a najmniej nagród pieniężnych. Do wychowania, podług jego planu, wchodzią wszystkie nauki za elementarne uznane, oprócz języków, które dla rzemieślniczej klasy ludności uważał za rzecz zbyt kłopotliwą. Nauki przeplatane są tańcami, śpiewem i obrotami wojennymi. Dziewczynki, oprócz zwykłych nauk, uczyć się mają robot ręcznych, szycia, robienia pończoch, haftowania. W uczeniu czytania, jak mi p. Owen mówił, doznawano najwięcej trudności: już to dla przeszkód przywiązanych do samego języka angielskiego, w którym słowa inaczej są pisane, a inaczej się wymawiają; już to dla braku zgodnych

z jego systematem ksiąg elementarnych. W rachunkach trzymają się metody Pestalloegego, a najbardziej starają się wprawić do rachunków z pamięci. Przy swoich widokach mocno obstaje, a o pożyteczności swych planów, chociaż zbytnią nowością swoją od naśladowania zrażających, wyraża się z wielką pewnością. W takim kraju jak Anglia, którego istnienie jest tak sztuczne, gdzie tyle zadawniałych ustaw i zwyczajów ciągle z sobą się krzyżuje i przyjęciu nowych zagraża drogę, musiał Owen koniecznie natrafić na liczne i nieprzewyciężone przeszkody do zwalczania; jednakże usilność jego rzuciła bujne do wielu ulepszeń nasiona: najprzód w rozwinięciu towarzystw, dla zaradzenia między rzemieślnikami ubóstwu i nędzy związanych; powtóre, w ustanowieniu szkółek dla ubogich, z niektórymi odmianami jego planu, jakie dla zjednania im w oczach ludzi wziętości uznano za potrzebę. Zaprowadzono do nich naukę religii wyznania panującego. Już samo uważanie rzeczy z odmiennego niżli dotąd stanowiska, naprowadziło na bardzo wiele pożytecznych ulepszeń. Lecz na tych korzyściach, które dla ojczyzny zgotował, Owen nie poprzestał. Odwiedził on kilka razy zamorskie kraje Ameryki, chcąc na nowej ziemi dokonać swych zamysłów. Sława go tam poprzedziła. Prezydent Zjednoczonych Stanów i znakomitsi urzędnicy przyjęli go z wielkiem uszanowaniem, a kiedy w jednem mieście miał publicznie swój plan wykładać, na co obrane było miejsce w kościele, entuzjazm był tak wielki, i tak wielką uwagę do jego pomysłów przywiązywano, że w godzinach na ich wykład naznaczonych sądy zawieszały swoje posiedzenia. Osada zwana Harmonią, którą w Ameryce swoim kosztem założył, pierwszą jest próbą jego rozległych planów.

Kilka dni przyjemnych spędziłem w towarzystwie pana Karola Islington, majątnego właściciela dóbr ziemskich, w domu jego pod Linton i w części Szkocyi najżyźniejszej, najrówniejszej, najlepiej zaludnionej i najpiękniej zabudowanej. Kraj ten jest prawdziwem sercem dolin Szkocyi, centrum życia rolniczego a zarazem i przemysłowego. Hrabstwa leżące pomiędzy ujściami Klajdy i Forthu (hrabstwa Clyde, Renfrew, Lanark, Dunbarton, Stirling, Fife, Linlithgow, Edyburg) wkraczają całkowicie lub też poło-

wą w tę środkową dolinę, drugą zaś połowę posuwają się ku północy na góry Szkocyi, ku południowi zaś na góry przedzielające Szkocję od Anglii.

Piękne te hrabstwa mają 20, nawet 30 razy więcej ludności jak wielka część górnych hrabstw. I tak np. w hrabstwach: Renfrew, Lanark, Edyńburg, Fife, Linlithgow, Stirling, jedna dusza wypada na jedną do trzech włók, a w hrabstwach Argyle, Inwerness, Ross, Selkirk, na 24 włók zaledwie jedna dusza. W północnem hrabstwie szkockiem Sutherland, jeszcze mniej zaludnionem jak Orkady na Hebrydach, na 44 włók zaledwie jedna wypada dusza.

Szczupła ta, 60 mil kwadratowych zawierająca dolina, była jednakże widownią najważniejszych wypadków w dziejach tak powabnych Szkocyi. Tu blisko jedna drugiej znajdują się starodawne stolice królów Szkocyi: Perth, Stirling, Edyńburg; — tutaj jeszcze leżą najważniejsze i największe miejsca królestwa: Glazgów, Edyńburg, Paisley, Dundee; — tu także świetnieją jedno prawie przy drugim pola sławy krwią zbroczone, pola Stirlingu, Falkirku, Bannokburne i inne, na których nie raz rozstrzygał się los kraju. Tu się także rozwijał język Anglo-Saksoński, język, który prześcignął celtyckie narzecze. Nawet i reformacja tutaj przyjęła się najpierw i pociągnęła za sobą kraje górne.

Teraz zaś, gdy, po wcieleniu Szkocyi do państwa Wielkiej Brytanii, wszystkie siły człowieka skupiły się w jedno koryto i współubiegają się o zubożenie kraju wycieńczonego długimi wojnami, teraz zaś ta dolina rywalizuje zwycięzko płodami swego przemysłu z najpiękniejszymi płodami fabryk angielskich. I tu w tej szczupłej przestrzeni, zawartej pomiędzy jednym morzem a drugim, przebiegają najlepsze Szkockie drogi: wodne, kamienne i żelazne, mianowicie kanał Forthu i Klajdy, droga żelazna pomiędzy Glazgowem i Edyńburgiem, i stary murowany gości-niec, teraz mało znaczący. Ztąd się rozdzielają jak gałęzie pomniejszych drogi, a te rozpadają się na gałązki i tworzą obszerną siatkę, wkraczając na wschód i zachód, na północ i południe.

Kraju tego czarującego wszystkich cudów opisywać nie będę — niech czytelnik je odgadnie z tego, com już powiedział i co jeszcze o Szkocyi powiem.

Lecz już się piętrzą ku wschodowi góry nad pagórkami, gmachy nad domami, wieże nad kościołami, a nad wszystkiem wznosi ponurą czarną głowę zamek jakiś starożytny.

To Ateny północne, to stary gród królewski. — Wjeżdżam do Edynburga.

ROZDZIAŁ XVII.

EDYMBURG.—LEITH.—WSPOMNIENIA BURZY.—ARTHUR-SEAT.—
SALISBURY CRAGGS.—HOLYROOD.—STARY GRÓD.—WIDOK.—
ATENY PÓLNOGNE.—PORÓWNANIE.—PRAWNICY.—UNIWERSY-
TET.—KLUB LÉKARSKI.—OŚWIECENIE.—CLOSES.—NĘDZA.—
CHOROBY.—FILANTROPIA.—MISSYONARZE.—HISTORIA EDYM-
BURGA.—PROTESTANTYZM.—JAN KNOX.—INSYGNIA KRÓLEW-
SKIE.—PARLAMENT.—BIBLIOTEKA ADWOKATÓW.—PLAC TOL-
BOOTH.—WIĘZIENIE.—ZAKŁAD LITERACKI PANÓW CHAMBERS.—
MILION FAKTÓW.—»EDIMBURGH JOURNAL«.—SALA TŁOMA-
CZEŃ.—PROPOZYCYA.

Nie masz miasta, do którego by wjazd był wspanialszym, jak Edyburg, mianowicie gdy się doń przybywa ze strony góry Calton.

Gościniec z wielkim kosztem w skałe wykuty wiedzie do stolicy szkockiej.

Po prawej stronie przedny widok na odnogę morską i na portowe miasto Leith. Tu na tej pamiętnej dla mnie przystani, dziesięć miesięcy temu, burza miotła mym okrętem jak łupiną orzecha, oderwała mnie od brzegów Szkocyi, i ztąd mnie rzuciła na skalistą Norwęgję, pograżywszy w odmętach morza statek nasz, widownię tyłu cierpień i okropności.

Po lewej stronie Edyburga wznosi się olbrzymia opoka Arthur-Seat, góra na 900 stóp nad powierzchnię morza wyniesiona, a tworząca najszczytniejszy punkt długiego pasma skał pionowo ściętych, zwanego Salisbury-Craggs. Pomiędzy dwoma górami Calton-Hill i Arthur-Seat leży w dolinie Holyrood pałac królów Szkocyi;— tuż obok niego zwaliska dawnej świątyni gotyckiej. Ztąd ciągnie się po podnóżu, ku innej nad całą okolicą panującej opoce zamkowej, sławna ulica zwana Cannongate. Czoło zaś opoki wieńczą fortyfikacye i wzniosły bastyon, na którego szczycie powiewają obłokami trącane olbrzymie proporce królów Anglii i Szkocyi. Da-

lój jeszcze na prawo i lewo starego zamczyska widok na całe stare miasto, i na katedrę z jej wieżą, w kształcie korony, królującą nad niem.

Widok Edymburga jest zachwycający z przyczyny wzniosłości piętrzących się jedne za drugimi coraz wyżej, z przyczyny szczególnej struktury gmachów budo wanych umyślnie, żeby jedne drugich przed okiem nie zasłaniały, ale owszem, grupy malownicze ogrodami poprzecinane tworzyły. — Nikt też nie zdoła oprzeć się wrażeniu zupełnie niespodzianemu, chociażby i najwięcej czytaniem opisów na nie był przygotowanym.

A w czyjś duszy widok ten cudny obudzi wspomnienia scen, których te miejsca były widownią, komu przeszłość Edymburga stanie w oczy jak zakłęte widmo wzruszone do życia laską czarodziejską poezyi, — ten dozna niewypowiedzianego wzruszenia, temu serce bić będzie jak mnie biło, kiedym po pierwszy raz widział przed sobą miejsce, na którym się odegrały sceny czarujące niegdyś dziecinną mą wyobraźnię.

Prawdziwie nie masz ani jednego żywiołu piękna, któreby nie udzieliło Edymburgowi swego uroku w pełnej, sownej mierze. Tam morze, tutaj rzeka, owdzie góry, skały, wąwozy, pagórki i doliny, gdzie-niegdzie wysokie budowle, grożące zamki, nie braknie i idyllicznych widoków, a wszędzie, wszędzie historia, podanie, poezya.

Porównano Edymburg, ze względu na piękność jego położenia, z Atenami, i przeto nazwano go Atenami północy. Podobieństwo jest zastanawiające. Ateny są miastem częścią w dolinie, częścią na górach wzniesionem. Rzeka Illyssus przebiega pod Atenami jak tutaj Leith; tutaj morzem Egejskim jest zatoka morska Forth. — Pireusem miasto portowe Leith, Akropolis wznosi się na górze zamkowej, a Parthenon w kształcie świątyni Minerwy wieńczy szczyt góry Calton, na której wznosi się także niegustowny pomnik Nelsona, i gustowniejszy cokolwiek dla Wellingtona.

Co zaś do ozdób natury, każdy znający oba miejsca przyznać winien, że Szkoekie Ateny daleko hojniej niemi są wyposażone niż greckie: wszystkie korzyści z położenia wynikające znajdziesz tu w daleko większych rozmiarach. Ale inny poważniejszy tytuł do nazwania się Atenami północy posiada Edymburg, nie masz na świecie miasta, wyrównyujące-

go Edyburgowi co do ludności, w którymby dziś nauki kwitnęły jak w Edyburgu. Istotnie tak jest.

W nowej części miasta, tak pięknej, czystej i okazałej, mieszkają jedynie rodziny dobrze się mające i zamożne: profesorowie uniwersytetu, niezmierna ilość prawników (mówią, że nie mniej jak 16,000 ludności, wrachowawszy w to dzieci i kobiety, do tego należą stanu), mnóstwo rodzin wyższej i niższej szlachty i innych osób ukształconych, ściągających tutaj z całej Szkocyi, a nawet z wielkiej części Anglii, dla używania tańszym jak w Londynie kosztem dobrodziejstw i przyjemności cywilizacyi. W tym bowiem względzie Edyburg, pomimo stosunkowo małej liczby mieszkańców, jest drugim miastem w całej Wielkiej Brytanii, o wiele się odróżnia od Dublina, z którego majątni tak chętnie się oddalają. Edyburg nie jest miejscem handlowym i fabrycznym, lecz miastem stołecznym uniwersytetu, wysokiego sądownictwa i szlachty. Wiele rodzin przybywa tu zdaleka dla dania dzieciom wychowania tańszego i lepszego jak gdziekolwiek. A Szkoci, rozsypujący się po całym świecie dla zdobycia majątku, powracają do Szkocyi, powracają do Edyburga dla używania owoców swjej pracy. Z uniwersytetem jest w związku nie mniej jak 5000 osób, wliczywszy w to nie tylko uczniów, lecz i profesorów, urzędników i ich rodziny. I tak zaręczyć można, że prawie trzecia część mieszkańców Edyburga należy do klasy ukształconej. Ludność tego miasta wynosi 150,000 dusz. Łatwo też poznać z tonu uprzejmości i dobroci, który wszędzie tutaj panuje, że istotnie jest wiele cywilizacyi w mieście. Bo też i kocha Szkot namietnie swe stołeczne miasto i nazywa je swym ukochanym siedliskiem (*darling seat*). Zamiłowanie to czułe tém lepiej pojmujemy, im więcej jesteśmy przekonani, że i cudzoziemiec je podziela w części. W istocie wystawić sobie trudno, ile tu wszystko tchnie ludzkością i grzecznością: wszystkie instytucye publiczne i prywatne noszą na sobie cechę wielkiej serdecznej roztropności i dobroci. I tak naprzykład: lekarze miasta mają osobny swój klub, w którym lekarzom obcym wolno nie tylko korzystać z dzienników lekarskich całego świata, ale nawet przez cały tydzień jeść kosztem członków klubu śniadania, obiady i kolacye, pod jedynym tylko warunkiem, żeby opuszczając Edyburg zosta-

wili u prezesa klubu spisana i bezstronna opinia o fakultecie lekarskim, o szpitalach i o lekarzach w ogolnoscii.

Proszę! w niektorych miejscach, gdzie lekarze tem sie glownie odznaczaja, ze sobie nawzajem najserdeczniesza niosą nienawisc, nikt pojac nawet nie zdoła, ze istnieja podobne dobroduszne instytucje.

Oswietlenie Edyburga nadzwyczajnie jest rzęsistem.— Nie masz miasta w Europie zyskujacego wiecej swiatlem zalalonem, na ulicach i w pokojach. Stare miasto mianowicie pieknie sie wówczas wyduje. Domy jego pietrza sie jak schody po nad dluga ulica ksiazęca, ciagna sie wzdluz doliny umajonej drzewem i kwiatem. Tysiacę i tysiacę swiateł blyszczy tu z kazdego okna, jak na firmamencie nieba. Liczna ludnosc mieszkajaca w tej czesci miasta jest przyczyna tego oswietlenia; ulice jego są ciasne jak nigdzie, najwiecej dwa łokcie maja szerokosci. Domy stawiano tu dawnymi czasy tak, zeby je najlatwiej bronieć można. (Dlatego nazwano je »Closes« zamkniecia). Wiele z nich nosi dotychczas nazwiska wielkich rodzin, do ktorych niegdys nalezaly lub jeszcze naleza. W zamknieciu, w ktorem niegdys królowa Marya de Guise Regentka mieszkala, zyja teraz biedni ludzie. To samo dzieje sie z zamknieciem hrabiów Gosford Moray, ksiazat Queensberry i wielu innych.

Oddac obraz nędzy, ktorej stare miasto jest widownia, niesposob. Nikt nie jest w stanie zliczye ilosci ubogich zamieszkujacych owe zamkniecia; jedni mowia, ze ich jest do 20,000, inni utrzymuja, ze przynajmniej o polowe wiecej. Policja nie jest w stanie zkontrolowac ludnoscii, tak jak dawni wlasciciele »zamkniec« juz od wieku nie są w stanie pobierac komornego od lokatorów, uwazajacych swe na polowe w zwaliskach lezace stany, korytarze, kruzganki, za vlasnosc ogolna. Nieporzadek i nieczystosc tych okropnych siedzib nędzy przechodzi wszelkie granice. Cholera, tyfus i inne choroby grassuja niemiłosiernie w domach tych, niedostępnym nie tylko dla policji i lekarzy, ale nawet i dla slonca i swiezego powietrza. Można powiedziec, ze zarazy nigdy z nich nie znikaja. Wielka czesc mieszkanców sklada sie z Irlandczyków; ci, jak wiadomo, nie moga sie nigdy obejsc bez towarzystwa *prosiat* i biorą je z soba az na szoste, siódme nawet pietro, dolochów i kryjówek, zkąd ich, po wytuczeniu, zywcem juz wyprowadzic nie można. To siedli-

sko nędzy i nieporządku jest na nieszczęście sceną dość częstych, a prawie nigdy nie wykrytych zbrodni.

Właściciele tych starodawnych domów, pokrywających dziesiątą część przestrzeni całego Edynburga, chętnieby zezwolili na ich zrucenie, gdyby miasto niemię się zająć chciało.

Lecz miasto, mając szczupłe dochody, bo zaledwie do 30,000 funtów szterlingów wynoszące, nie jest w stanie podjęcia się tej pracy, wiele wymagającej za sobą kosztów, dla nadwyzwyczajnej mocy pozostałych murów. Nie jedno miasto zostało oswobodzone od tego rodzaju niedogodności pożarem. Tutaj nie masz wcale nadziei, żeby ten straszny sposób kiedykolwiek mógł uwolnić ludzkość od widoku i istnienia tej serce zakrwawiającej nędzy; wszystkie bowiem domy zbudowane są umyślnie z kamienia i sklepione, by im żaden pożar szkodzić nie mógł.

Jakież tedy lekarstwo na tę chorobę?

Umysł człowieka tak jest dziwacznie usposobionym, że się nie da wznieść do zapału dla bliskiego piękna, ani do litości dla bliskiej nędzy. Pomiędzy bogatemi Edynburczykami zawiązały się towarzystwa w celu nawrócenia żydów i murzynów, lecz żadne z nich nie ma na celu polepszenia stanu ubogich pod ich okiem roślinkujących.

Początki Edynburga gubią się w pomroce wieków. Miał go założyć w połowie VIII. wieku Edwin książę Anglo-Saski. Pierwiastkowe jego nazwisko było istotnie Edwineburg; dopiero XV-go wieku zaczęto w nim odbywać obrady krajowe i uważać go poniekąd za stolicę. Dawną stolicą Szkocyi było miasto *Scone*, gdzie i królów koronowali. Roku 1504. stawiano w Edynburgu drewniane domy, mury wzniosły się dopiero później. Wiele Edynburg ucierpiało w czasie sporów religijnych. Miecz krajowców długo nie osychał z krwi, i dopiero po pamiętnym roku 1746., po pokonaniu Karola Stuarta, spoczął w pochwach. Pokój zgodziła złały błogostawieństwo na kraj i na miasto.

Wszystkie osobliwości, jakie Edynburg posiada, są nowszej daty, mało z nich sięga piętnastego wieku. W walce protestantyzmu z katolicyzmem zatracono wszelkie dawne pamiątki. Powiedzieć nawet można, że w żadnym innym kraju protestantyzm tyle nie zrządził szkody dla sztuk pięknych, ile w Szkocyi. Kościoły obnażone zostały z swych ozdób,

a z zabytków literackich klasztory, które wówczas literatury prawie jedynym schronieniem były. Starając się zatrzeć wszystkie ślady dawnych obrzędów, podniesiono świętokradzką rękę na wspomnienia narodowe, tak drogie każdemu ludowi.

»Burzcie gniazda, a odlećą kruki!« wołał Jan Knox do swych zwolenników, a fanatykowi takich rzeczy nie potrzeba dwa razy mówić. Dalejże na ołtarze, na obrazy!—nawet na grobowce. Jan Knox nie należał do łagodnych reformatorów.

Stary gród, wzniesiony na szczycie góry zamkowej, jest najstarszym pomnikiem miasta. Rozpocznijmy ztamtąd naszą wycieczkę po Edyburgu. Zamek, dla spadzistości skały, na której się wznosi, z natury swój bardzo jest warownym. Podczas zaburzeń w kraju, królowie chronili się tu czasem. Tu Marya Stuart powiła syna Jakóba VI., którego z swym mężem i kuzynem Henrykiem Darnley miała. Syn tej nieszczęsnej Maryi, powołany po śmierci okrutnej Elżbiety na tron angielski, zjednoczył pod jedno berło dwa te od wieków nieprzyjazne sobie narody. W tym zamku więziono niedawnymi czasy jeńców zabranych w hiszpańskiej wojnie. Obrócono bowiem od lat pięćdziesięciu stary gród na koszary dla garnizonu.

Niedawno, bo zaledwie przed trzydziestą laty, odkryto tu w małym pokoiku, do którego światło dzienne nie dochodziło nigdy, zamurowane insygnia królewskie. Odkryto je nie przypadkiem, lecz za wskazówką daną przez Walter-Skota. Pokazuje się, że owe godła dostojności królów Szkocyi miały los ten sam, jak niegdyś insygnia królów Węgierskich, los, który dla tych powtórzyć się może. Od roku 1707., od wcielenia Szkocyi do Anglii, znikły insygnia i nikt nie wiedział gdzie się podziały. Zdaje się jednak, że tajemnica przechowaną została w rodzinach niektórych wysokiej szlachty szkockiej, i że nie została wyjawioną jak w chwili, gdy wszelka nadzieja samoistności znikła dla Szkocyi.

Insygnia te przechowują dotychczas w zamku Edyburgskim, a nie w Towerze, jak mylnie utrzymywał znany nam już cicerone londyński.

Składają się z korony, której obrączka jeszcze dla Roberta Bruce została zrobioną, z miecza sprawiedliwości, darowanego przez Papieża Juliusza II. Jakubowi IV., z berła dla

Jakóba V. w Florencyi ulanego i dęutowanego, z jabłka, la-ski i pierścieni różnych dat. Pomiędzy perłami i drogiemi kamieniami, które te regalia zdobią, znajduje się także kilka przesłieźnych »Cairngoms«, to jest owych dyamentów pojawiających się w granicy góry Cairngoms w północnej Szkocyi, niedaleko Inverness.

Pomiędzy najpiękniejszymi widokami schodzimy z góry wysoką esplanadą, na której ćwiczą się w mustrze angielscy żołnierze, ku staremu miastu. Jest ono połączone na lewo wysoką groblą z nowym miastem, na prawo zaś pysznym mostem z przedmieściami. Pod tym wspaniałym mostem snuje się wązki strumyk, zwany tutaj bardzo niepysznie: krowią strugą.

Blizko mostu leżą okazałe zabudowania starego szkockiego parlamentu i najwyższego sądu, zawierającego sławną bibliotekę adwokatów. W sali największej, wzniesionej niegdyś dla obrad parów i deputowanych razem zebranych, znajdowało się do trzystu prawników ubranych w długie czarne togi i białe peruki, które dziwnie odbijały od czerstwych, wesołych i młodocianych twarzy adwokatów, pełnych siły i, trzeba wyznać, piękności i gracyi.

Księgozbiór adwokatów jest jednym z najbogatszych Wielkiej Brytanii. Znaleźć tu można wszystkie bez wyjątku dzieła wyszłe od lat 150. w języku angielskim, jakoteż i ważniejsze zagraniczne, nawet polskie w wielkiej obfitości. Trudno znaleźć bibliotekę lepiej od tej urządzoną. Przepych i wygoda są w niej połączone. Z obu stron ogromnej sali w oknach stoją stoliki do pisania, gdzie każdy spokojnie jak w osobnej izdebce pracować może. Stoliki są nieruchome, mają podstawy wydrążone z żelaza lanego i ogrzewane ciepłem przeprowadzonym rurami pod podłogą.

Księgozbiór ten zawiera teraz przeszło 150,000 tomów i wielką ilość rękopismów, z których wszystkie starsze, nawet jeszcze z czasów kromwelowskich datujące, spisane są gockimi literami.

Księgozbiór wzrasta codziennie, dzięki przywilejowi, na mocy którego dzieła drukowanego w Anglii jeden egzemplarz winien być złożonym na żądanie bibliotekarza. Wydawcy uważają tę daninę za bardzo uciążliwą, zwłaszcza kiedy idzie o kosztowne edycje.

Schodzimy z *Canonzatu* na ulicę High-street (która właściwie jest tylko jego dalszym ciągiem) i stajemy na miejscu, no którym zapewne już wszyscy byliśmy kiedyś, przynajmniej duszą lub wyobraźnią: stajemy mówię na miejscu, gdzie stał kiedyś ów stary Tolbooth, którego ciemne i ponure mury w romansie Walter-Scota »*Wieżenie w Edyμβur-gu*« tak jaskrawem światłem jaśnieją.

Gdziekolwiek cię kroki zaprowadzą w Szkocyi, wszędzie uczujesz w powietrzu powiew poezyi, noszący na swych anielskich skrzydłach nazwisko Walter-Skota, wszędzie stąpasz po ziemi przesiąkniętą historią i oczarowaną romantyzmem. Nie masz kraju, któryby we wszystkich swych stosunkach, w swęj przyrodzie, swych dziejach, swém położeniu przeszłém i terażniejszym był przedstawiony światu tak wier- nie i nadobnie, jak Szkocya. I to dzięki geniuszowi jednego człowieka.

I jakżeż go nie mają kochać Szkoci!

Niedaleko od placu starego Tolbooth wznosi się ważny dla literatury zakład, zakład mówię panów Roberta i Wilhelma Chambers, którego publikacye w nowszych czasach dostąpiły tak wielkiej sławy i wziętości w Wielkiej Brytanii. Panowie ci są zarazem autorami, drukarzami, nakładcami, intrologatorami i księgarzami.

Wszystkie do sprawy literackiej potrzebne operacye odbywają się w jednym i tym samym gmachu. W pierwszym pokoju widzisz, jak się rodzi myśl z głowy pana Roberta Chambers, w ostatnim pokoju podaje ci ją pan Wilhelm Chambers oprawną w sałian z złoconemi brzegami.

Co za widok rozrzewniający dla nas biednych niepraktycznych autorów, piszących z natchnienia i marzących o jakiejś tam sławie, o jakimś tam pożytku dla bliźnich! Nie! każdy autor powinien być kupcem, i targować się o swą idee jak o łokieć wstążki.

Oddajmy sprawiedliwość panom Chambers, zasługi ich są istotnie wielkie; wydali oni mnóstwo wybornych książek, naprzykład: »*information for the people*« (wiadomości dla ludu), której przedali do 80,000 egzemplarzy; potem »*Educational course*« czyli kurs wystarczający na całe wychowanie praktyczne, szereg książek zawierający porządkiem logicznym i pedagogicznym wszystkich wiadomości podstawy, wykład i zastosowanie.

Książka przez panów Chambers wydana pod tytułem *»a million of facts«* (milion faktów), jest najciekawszym przykładem cierpliwości kompilacyjnej Anglików; zawiera ona istotnie w jednym tomie wyniki wszystkich umiejętności ludzkich: chemię, historię naturalną, botanikę, nawet sztukę suszenia ziół, zoologię, fizykę, antropologię, higienę, geografję, historię wszystkich narodów, które istnieją lub kiedykolwiek istniały, geometryę, naukę o wagach, miarach i monetach, słownik biograficzny z życiorysami wszystkich wielkich ludzi, astronomię, dyetykę, przepisy dla kucharzy, piekarzy, piwowarów—słowem wszystko, co tylko na myśl przypadnie lub przypaść może człowiekowi. Autorem tej książki, który umiał objąć w milionie (*nie mniej i nie więcej*) artykułów całą mądrość ludzką, jest pan Phillipps.

Trzydzieści lat kompilował cierpliwie i zacięcie, aż nareszcie złożył swe dzieło, któremu żadne inne w podobnym rodzaju pisane nie wyrówna.

Dzieło to, wydrukowane drobnym wprawdzie lecz czyściutkim drukiem, na najpiękniejszym welinowym papierze, oprawne w skórę tłoczoną z ową wykwintnością i precyzją jakiej nawet i Francuzi naśladować nie umieją, kosztuje....., ile? dwanaście szylingów czyli 25 złp.

Tak tanio kosztuje ten skarb wiadomości pożytecznych objętych w jednym tomie, a że jest dobrym i potrzebom świata odpowiadającym, dowodzą kilkakrotne jego edycye, i przetłómaczenie jego na język francuzki rozkupione w moment.

W ogólności edycye tak nazwane popularne (*people editions*) dzieł pana Chambers odznaczają się przed wszystkimi innymi zadziwiającą taniością. Całe wielkie dzieła Bakona wraz z jego życiorysem kosztują groszy pol. 40., dzieło Lockego 30 gr., poezye Grahama 25, Byrona 45. Dziennika znanego w całej Anglii pod tytułem *»Chamber's Edinburgh Journal«* odbija się nie mniej jak 70,000 egzemplarzy tygodniowo.

Panom Chambers polecony byłem listownie przez ich krewnego a mego przyjaciela, pana Graham, profesora chemii przy uniwersytecie londyńskim. Przyjęli mnie z wielką uprzejmością i oprowadzili po całym zakładzie, w którym przeszło 400 osób pracuje.

W jednej z sal stały ogromne pułki, zawierające słowniki, gramatyki i chrestomatye wszystkich języków; w niej pracowało kilkunastu cudzoziemców nad tłumaczeniami autorów ważniejszych cudzoziemskich. Miałem niespodziewaną przyjemność odnowić tu znajomość z p. K. z Wilna, którego lat temu ośm poznałem w Klajpedzie. Przedtém był wojskowym, dziś uczonym, tłumaczem Mickiewicza i Puszkina. Zapoznał mnie p. K. z swemi kolegami Niemcami, Francuzami, Włochami, Hiszpanami i Duńczykami—z wszystkiemi rozmawiałem w własnym ich języku, co nie mało zadziwiło panów Chambers. Dowiedziałem się później, dla czego. Panowie ci potrzebowali właśnie do swego zakładu kogoś, któryby znał wszystkie techniczne wyrażenia lekarskie, i przytém posiadał wszystkie ważniejsze języki europejskie, a to do weryfikacyi dobroci tłumaczeń i do ułożenia nowego słownika lekarskiego, mającego wyjść w zakładzie panów Chambers.

Ofiarowano mi miejsce to i pensyę roczną 25,000 złp., pod warunkiem, abym się aktem sądowym zobowiązał pozostać przez lat cztery w zakładzie. Nie przyjąłem. »Cztery lata, to wieki! ja przecież tak długo za granicą nie pozostanę. A przytém lękam się oddawać pracy literackiej, lękam się nawyknąć do niej—owszem jestem w tym wieku, w którym człowiek pragnie wystąpić praktycznie w świat, i dlatego też przekładam zatrudnienia lekarskie nad inne.« Tak odpowiedziałem pp. Chambers, którzy uznać musieli, że mam słuszną rację.

Żegnając się z właścicielami tego pięknego (przeszło milion czystego rocznego zysku dającego) zakładu, byłem od nich proszony, abym dom ich podczas mego pobytu w Edyburgu za dom przyjacielski uważał.

Przyszedłszy do hotelu, znalazłem w nim wielką pakę, zawierającą po dwa egzemplarze dzieł, którem w zakładzie pp. Chambers najwięcej podziwiał, przytém prośbę, »abym przy pierwszej sposobności dał poznać memu krajowi zakład literacki, który mi się zdawał tyle podobać.«

W tej dopiero chwili jestem w stanie zadość uczynić tym żądaniom.

High-street, czyli wysoka ulica, przebiegłszy znaczną część miasta, zwęza się nareszcie ku końcowi, dochodząc do podnóża skalistego pagórka. W tém miejscu High-street przy-

biera nazwisko Netherbow, i w tém miejscu także leży dom Jana Knox. Tu żył, z tego ganku często do ludu przemawiał, tutaj umarł (1572) namiętny ów reformator, o którym hrabia Norton w mowie pogrzebowej powiedział: »tu leży ten, który się nigdy nie lękał oblicza ludzkiego.« Jan Knox umierając utrzymywał: »że nigdy nienawidził osobistości tych ludzi, których dla dobra ogółu przeklinać musiał.«

Na tym domu znajduje się jeszcze płaskorzeźba przedstawiająca kazalnicę, i w niej stojąca figurka mająca wyobrażać reformatora. Pod tą rzeźbą wyryto w języku greckim, łacińskim i angielskim słowo »Bóg.« (*Theos, Deus, God*).

Dom ten sławny w dziejach Szkocyi, wspomniany w tytu kronikach i księgach, jest dziś szynkownią: tak jest, po prostu szynkownią i to jeszcze bardzo podłą i zawsze napełnioną pijanemi Szkotami.

Wielki reformatorze! tyś tu piorunował przeciw zabobonom, przeciw papizmowi; dziś ich nie ma w Szkocyi, to prawda, ale wkroczyła doń wódka, gorszajak papizm i zabobony, i leje się strugami w gardła twych wiernych zwolenników i w twym własnym domu, pod twoim nosem prawie. Większy to nieprzyjaciel ludzkości, jak kiedykolwiek była źle rozumiana religia.

Wartoż to było tyle naburzyć kościołów, klasztorów, tyle poniszczyć posągów i malowideł dla zrobienia ludzi tém czém są?

ROZDZIAŁ XVIII.

HOLYROOD.—PRZYWILEJE REZYDENCYI KRÓLEWSKIEJ.—PRZY-
TULEK DLA DŁUŻNIKÓW.—DYGNITARZE DWORSCY.—LUCZNICY
KRÓLEWSCY.—HISTORIA PAŁACU.—SYPIALNIA MARYI STU-
ART.—CICERONE ŻEŃSKI.—DAWID RIZZIO.—HENRYK DARN-
LEY.—LORD RUTHWEN.—LORD LINDSEY.—MORDERSTWO.—
DUMA OBRAŻONA.—BOTHWELL.—SALA Z PORTRETAMI KRÓLÓW
SZKOCYI.—HISTORIA WYMYŚLONA.—KAROL X.—NIOBE I JÉJ
DZIECI.—KRÓLOWA WIKTORJA.—PORTRETY ANGIELSKICH PIĘ-
KNOŚCI.—RUINY KAPLICY KRÓLEWSKIEJ.—GROBY.—NIEUFNOŚĆ
SZKOTÓW.—ANGIELSKA OZIĘBŁOŚĆ.—CHARAKTER OBU NARÓ-
DÓW.—PODRÓŻNI UCZENI NIEMIECCY.—OSADA NEWHAFEN.—
UJŚCIE FORTHU.—RYBOŁÓWSTWO.—WYSEPKI.—ZATOKA ZE-
WNĘTRZNA I WEWNĘTRZNA.—PAISLEY.—KROMWELL KUZYN
KAROLA I.—KACZKI MORSKIE.—POSTĘP W SZKOCYI.—OKOLI-
CE SZTIRLINGA.—ZAMEK.—PAŁAC TURNIEJÓW.—SKAŁA.—
DOM.—PRZYPOMNIENIA.—NOWOŻYTNE TURNIEJE.—

Zejdźmy na dół ulicą Canongate z miejsca, z którego podziwialiśmy dom Knoxa,—a staniemy przed pałacem Holyrood.

Pałac ten, lubo nie jest zamieszkałym przez królewską rodzinę, uważanym jest jednakże za królewską rezydencję i jeszcze używa w zupełności przywilejów i praw tejże, i tak: ma prawo dawać przytułek dłużnikom, których nie wolno aresztować w pewnej odległości od zamku. Domki oparte o mury pałacu, a należące do biednych ludzi, zamieszkane bywają czasem przez bardzo znakomitych ludzi, którzy z własnej winy, lub z winy innych, popadli w długi i zdołali schronić się przed wierzycielami w atmosferę zamku. Tutaj nie jeden wierzyciel patrzy się na swego dłużnika z szczerym żalem w sercu, że mu dokuczyć nie może.

Prócz przywilejów, przywiązane są także do pałacu królewskiego zaszczyty, tytuły i dostojęstwa dworskie.

I tak istnieją tu jeszcze wielcy krajczowie, koniuszowie, chorążowie, podskarbi, kanclerze i t. p. dygnitarze. Rzadko który z nich ma szczęście wystąpić choć raz jeden w życiu w roli swój dworskiej. — od pięćdziesięciu lat bowiem dwa razy tylko dwór był w Edyburgu.

Do świetności dworu Szkockiego przyczynia się jeszcze kompania gwardyi łuczników *»the royal company of archers«*, którą tutaj najniepotrzebniej żywią.

Pałac Holy-Rood, zabudowany w czworogran z wieżyczkami po rogach, a z dziedzińcem wewnątrz, był przedtém klasztorem. Założył go jeszcze Dawid I. król Szkocki w r. 1130. Potém został przeistoczony w pałac królewski, lecz właściwie mieszkali w nim tylko ostatni trzej Jakóbowie i królowa Marya. Starszemi daleko rezydencyami królewskimi są zamki w Perth, Sterling, Linlithgow i Seone, leżące teraz w gruzach.

Zamek Holyrood winien właściwie królowej Maryi całe swe znaczenie. Nadzwyczajne wypadki, wydarzone pod panowaniem tój pięknej królowej, przechowały się tak wernie w pamięci Szkockiego ludu, że za nie w świecie nie dozwolonoby zrobić najmniejszej zmiany w pokojach, pozostałych dziś jeszcze w takim stanie, w jakim je nieszczęsną królowa opuściła lat temu prawie trzysta, w r. 1567. Wszystkie miejsca, w których się odegrał dramat jej życia, miejsce jej urodzenia, miejsce gdzie powiła Jakóba VI., dokąd się schroniła prześladowana, gdzie cierpiała, gdzie się kochała, gdzie polowała — pozostały całemu ludowi Szkockiemu drogiemi.

Tak jest! trzysta lat mija od chwili, kiedy ostatnie westchnienie rozpaczy i smutku odbiło się o ściany tój szcuplej izdebki, która była sypialnią królowej Maryi, a wszystko aż do firanek, do podnóżka, do przerwanój robótki, do chustki łzami skropionój, do maleńkich pantofli—wszystko jeszcze leży tu w porządku,—nie, nie w porządku, lecz w takim stanie, w jakim tego pałacu geniusz w chwili odjazdu opuścił. Już po niój nikt tu mieszkać nie śmiał w tym pokoju,—ani nawet jej młodociany syn Jakób. Tak się też przechował nietknięty ten zabytek starożytności aż do naszych czasów, i może służyć w najdrobniejszych szczegółach lubownikom historyi za pewny punkt oparcia dla wyobraźni.

Sypialnia Maryi była bardzo małą, szczuplejszą jak jest dzisiaj owe wielkie łożo stanu królowej Wiktoryi, o którym wspomnieliśmy opisując zamek Windsorski. Małe miejsce wystarczyło na jej rozkosze i nieszczęścia.

Hrabia Bedford w liście swym, zdającym sprawę o krwawej awanturze Dawida Rizzio, a pisanym dnia 27. Marca 1566. r. do Lordów rady stanu królestwa Angielskiego, mówi, że sypialnia królowej miała tylko 12 stóp w szerz i wzdłuż, że w niej stało tylko łożko, stół i sześć krzesel, i że do niej prowadziły z pokoju króla schody prywatne i drzwi w ścianie utajone. Tak jest jeszcze dzisiaj.

Cyceronem naszym w pałacu nie był tą razą ziewający Anglik z twarzą najedzoną i z ręką ciągle stuloną do łapowego, lecz żona burgrabiego, nie młoda kobieta, bo już do sześćdziesięciu lat mająca, ale rezolutna, pełna siły i życia. Cyceronem była nie z chęci, lecz z powołania.

Urodzona w murach pałacu córką, wnuczką, prawnuczką, od najdawniejszych pokoleń potomkiem burgrabów zamku, Miss Mac Kenzie żyła jedynie podaniami swego gniazda, chodzącą była jej kroniką, przeszłością urzeczywistnioną. Widząc mnie szukającego w najmniejszych szczegółach śladów dawnych dziejów, zainteresowała się bardzo i weszła zenną w żywą rozmowę o zbrodni dokonanej na Rizzio. »Wierz mi pan, rzekła, nikt historii tych rzeczy tak dobrze znać nie może, jak ja ją znam z podań dochowanych w naszej rodzinie; my mamy religijne poszanowanie dla prawdy, i nie interesowalibyśmy się dziejami pałacu, gdybyśmy nie mieli pewności, że one są prawdziwemi.«

Uprosiłem panią burgrabinę o opowiedzenie mi z wszelkimi szczegółami sprawy Rizzia; ona zezwoliła, usiadła na taburecie Maryi i tak zaczęła:

»Było to 9. Marca r. 1566., w sobotę, wieczorem o godzinie ósmej. Królowa Marya wstała właśnie od stołu z Lady Argyll, kilkoma innymi damami i z panem Rizzio, który, jak wiadomo, był królowej....

»Wiemy czém,« przerwał śmiejąc się młody D..., nasz towarzysz, Francuz, literat i dziennikarz.

»To pan źle wiesz czém, jeżeli się pan tak szyderczo uśmiecha. Rizzio był ulubionym śpiewakiem, czasem i po-

wiernikiem królowej, ale nieczém więcej. Henryk Darnley, który inaczej wierzył, nieczém więcej nie był, jak łatwowiernym nieczemnikiem. Królowa Marya mogła się bawić w towarzystwie Dawida Rizzio, który dobrze śpiewał; ale kobieta tak szlachetna jak Marya Stuart, nie da nigdy swego serca tchórzowi,—takim był Rizzio,—a każda kobieta z duszą odgadnie tchórze odrazu.—Siedziała tedy tutaj na tém miejscu, koło niej Lady Argyll na prawo, za Lady Argyll stały dwie damy dworu tuż przy łóżku, a Rizzio siedział tam pod oknem, gdzie właśnie stoi ten gentleman francuzki, który tak lekko mówi o naszej królowej jak o jakiej Małgorzacie francuzkiej. *Notabene*, siedział z lutnią w rękę, właśnie z tą, którą w naszym muzeum przechowujemy i państwu później pokażemy.

»Nagle otwierają się drzwi w murze utajone i wchodzi Henryk Darnley, mąż królowej, a za nim uzbrojeni od stóp do głów Lord Ruthwen i Jerzy Douglas, którzy się byli sprzysięgli przeciw Włochowi: Darnley w mniemaniu, że królowa kochała śpiewaka i uważając go za przyczynę niemożności owdłania umysłu i berła królowej,—baronowie zaś z zazdrości przeciw cudzoziemcowi. Pałac został już wprzód zajęty przez innych sprzysięgłych pod dowództwem hrabiego Morton. Rizzio siedział w barecie piórem ozdobionym: pojął on zaraz o co rzecz idzie, i zadrzał, gdy okropne wampirze spojrzenie Lorda Ruthwena na niego padło, i gdy grobowy głos jego przykazał mu wstać i wyjść za drzwi.

»Królowa Marya, będąca wówczas w szóstym miesiącu ciąży, rzekła: »Ja chcę, żeby Dawid tu pozostał.«

— »Lecz to jest przeciw twemu honorowi i ja za niego odpowiadam. Ja to chciałem zejść was tu razem, by w twój przytomności ukarać tego Włocha.« — Tak rzekł Darnley.

»Lord Ruthwen przystąpił do Rizzia i chwycił go za rękę, mówiąc: »Ja cię twój powinności nauczę.«

»Rizzio zrywa się z krzesła, czepia sukni królowej i za nią szuka schronienia. Marya go broni jak może. Ale Darnley obejmuje ją w swe ramiona i odpycha Włocha nogą. Baronowie zaś przypadają i za drzwi wyrzucają muzykanta do przedpokoju, gdzie zgromadzeni byli Lord Morton, Lord Lindsey i inni sprzysięgli. Właściwie nie

było ich celem zabić go, chciano go tylko schwytać i nazajutrz powiesić. Lecz widząc śpiewaka bladego jak chusta z przestachu i wpadającego do przedpokoju jak bezsilna masa, Lord Lindsey tak się zgorszył tym widokiem tchórza, że mu się aż źle zrobiło; wydobył więc pugnał i utopił go w piersiach Włocha. Inni sprzysięgli poszli za jego przykładem. Rizzio padł przesyty pięćdziesięciu sześcioma ranami.«

Tu burgrabiego żona wstała, otworzyła drzwi na oścież i pokazywała nam na podłodze ślady krwi przelanej trzy wieki temu.

»W sypialni nikt nie wiedział co się w przedpokoju stało,—rzecz odbyła się cichuteńko, podczas kiedy Marya klękała przed swym mężem i błagała go jęcząc i płacząc, by nie przelewał krwi Dawida;—lecz nareszcie widząc go nieubłaganym i zimnym na jej prośby, królowa wstała i groziła, mówiąc: »każda kropla krwi Dawida drogo was kosztować będzie, jeżeli ją przelać będziecie mieli zuchwałosc.«

— »Na twe żądanie nie przystaniem, o pani,« rzecze jej na to Ruthwen, »gdym się więcej obrażoną pokaziesz, tém was surowiej świat osądzi.«

»I znów królowa płakała rzewnie i biła się w głowę i narzekała na siebie samą:—»Ah to moja własna wina! czemuż ja rękę mą oddałam temu człowiekowi, który nie ma ni wielkości serca, ni charakteru, ni rozumu! ja jego pokochałam dla jego piękności, zdobiąc go wszelkimi jej odpowiedniami cnotami, ah! ta piękność obrzydła mi od dawna!«

»Darnley miotał na królowę zabójcze spojrzenia, lecz nie ruszył się i milczał. Długo milczał, wpatrując się w swą żonę jak sokół w swą ofiarę. Wówczas to, mówią, w lichy tej głowie wyrodziła się myśl przyjęcia protestantyzmu, wydarcia żonie berła i życia w potrzebie.

»Bystre oko Maryi dostrzegło jednak, mimo też zaciemniających źrenicę, że się myśl jakaś niezwykła a mściwa wylęgła w głowie Darnleya. By go wybadać, udała, że się uspakaja: zbliża się do męża z niejaką czułością, wdzięczy mu się, i nakoniec prosi, by z nią został.

»Lecz on grzecznie i zimno odmówił, udając, że jest śpiącym, i wkrótce się oddalił.

»Od téj chwili zniechęcenie królowej zamieniło się w nienawiść, ba nawet w zawziętość. Żona byłaby wybaczyła mężowi morderstwo rywala, lecz królowa poddanemu wzgardy zapomnieć nigdy nie zdołała.

»Wiecie panowie, co się później stało.

»Marya oddała swe serce Bothwellowi, młodemu hrabi Szkockiemu: ten zabił Darnleya i w trzy miesiące potem zaślubił królowę. Oto tak się rzeczy miały a nie inaczej»—dodała Miss Mae Kenzie, kończąc swą historję, czerpaną z podania od generacyi do generacyi, a niezawodnie prawdziwszą od wszystkich spisanych kronik. Ja spojrziałem jeszcze raz około siebie i zdumiałem się, że tu jestem pomiędzy temi firankami, przy tém łożu, blisko tych drzwi, na tym kobiercu, w tych miejscach, na których działy się tak dziwne a tak naturalne rzeczy.

Blisko skromnych podwojów Maryi Stuart znajduje się niezmiernie długa sala, której ściany pokryte są wizerunkami królów i książąt Szkocyi w naturalnej wielkości. Lecz mało interesu wzbudzają te portrety, najprzód dlatego, że dla ciemności sali ich fizynomij rozpoznać nie można, potem dlatego, że wielu z wymalowanych tu królów nie istniało, chyba w fantazyi starożytnych historyków Szkockich. Ci bowiem, Buchanan nawet, szli ślepo za celtyckimi podaniami starych bardów. Żaden naród europejski nie wkracza tak głęboko w pomrokę przeszłości jak Szkocki, żaden naród nie cytuje tak długiego szeregu królów panujących przed erą chrześcijańską, nie wymienia ich stosunków familijnych, czynów i mów, z taką pewnością, nie opisuje ich charakteru i fizynomii z takimi szczegółami. Historykowi wolno wzgardzić temi bajecznemi dziejami, lecz psycholog i etnograf znać je powinien, gdyż one rzucają wielkie światło na charakter ludu. Mania wymyślenia sobie historyi narodowej i wierzenia w nią jak w prawdziwą, tak daleko zaprowadziła Szkotów, że sobie nawet wymalowali urojonych królów i zawiesili pomiędzy Robertami, Aleksandrami i Jakóbami, którzy w istocie posiadali kiedyś ciało i kości.

Istnieje tu także portret »Reginae Mariae Stuartus,«—lecz niestety słabym pędzlem malowany. Najlepszy jój portret znajduje się w opisanj już galerji obrazów książąt

Hamiltonów. Najwydatniejszym rysem tego portretu są brwi bardzo od siebie odłączone, a wysoko zagięte.

Inna część pałacu, zburzona przez żołnierzy Kromwella, a odbudowana przez Karola II., zawiera długi szereg dość niewygodnych pokoi, które Karol Burboński zajmował dwa razy z swą rodziną: raz jako hrabia d'Artois przed restauracją, drugi raz po stracie swój korony w roku 1830.

Ściany wielu z tych pokoi pokryto kobiercami tkanymi w Arras. Na jednym przedstawiają Niobę, w chwili, gdy jej liczne dzieci padają pod strzałami Apollina. Innych sufity zamalowano niebem zachmurzonym. »Malarzom naszym przykazano wymalować co najpiękniejszego, wymalowali tedy niebo Kaledonii,« mówiła nam Miss Mac Kenzie.

Oglądać przed sobą ciągle i ciągle płaczącą Niobę, dzieci jej konające, niebo zachmurzone, nie dziwię się, że tu długo biedni wygnańcy pozostać nie chcieli.

Królowa Wiktorya, przyjęta z takim zapałem w Szkocyi, nie raczyła nawet odwiedzić tego smętnego starego pałacu Stuartów i wolała mieszkać w pięknych, wygodnych domach swych bogatych poddanych. Utrzymywano, że szkarlatyna grassowała w pałacu Holyrood, i że to królowę zmusiło do korzystania z gościnności lordów. Jabyśmy myślał raczej, że tą szkarlatyną były niezatarte ślady historii Rizzia i Maryi, historii gorszącej umysł tak cnotliwej żony, jak królowa Wiktorya.

Jest jeszcze mnóstwo pięknie malowanych portretów w kilku pokojach niegdyś zamieszkałych przez Karola I., mianowicie portrety kilku dam Angielskich.

Odznacza się szczególniej portret hrabiny Kildare, pędzla sir Piotra Lellie, i panny Elżbiety Rich, córki hrabiego Holland, malowany przez Van-Dyka. Nic piękniejszego, jak te malowidła. Czarujące pierwotwory znalazły tu godnych swój urody artystów.

Kaplica królewska pałacu Holyrood leży w gruzach. Jest to część dawnego przez króla Duńskiego założonego opactwa. Karol I. kazał ją odbudować dla obrządku anglikańskiego, Jakób II. dla rzymskiego. Szkoci nie lubiący ani jednego, ani drugiego, dali świątyni rozsypać się w ruiny. Lecz i te nie są bez wielkiego powabu. Cudnemi są

i dziś jeszcze: stara gotycka brama i filary dźwigające sklepienie. Otoczone są grobowcami starych rycerskich magnatów Szkockich. Istnieje także ołtarz, przed którym ślub brała królowa Marya z Darnleyem.

Smutny sprawiają widok groby Stuartów, znajdujące się pod tą kaplicą. Żołdaci Cromwella przetopili trumny ołowiane na kule, drewniane zaś służyły im na opał. Teraz kości Jakóbów leżą poukładane na deskach: nie jest ich wiele i nikomu nie wiadomo, do jakiego z Stuartów należą. I butelka jakaś zawieruszyła się pomiędzy te kości,—mówią, że zawiera dokumenta. Sklepienie wewnątrz jest czarno wymalowane i mnóstwo na niem białych podłużnych plam, przedstawiać mających łzy rozsozone przez Szkocki lud, który tak długo i tak wiernie bronił swych Stuartów i dziś ich jeszcze czule wspomina.

Czas bardzo mile schodził mi w Edyburgu w towarzystwie ludzi zacnych i uczonych, do których uzyskałem wstęp memi listami z Londynu i z Królewca. Wszyscy starali się o zostawienie mi miłych wspomnień z pobytu mego w Atenach północnych; ani jeden dzień nie przeszedł bez zaprosin na obiad, które tutaj umieją dawać równie dobre jak w Londynie i w Paryżu.

Szczególność sprzecznosc istnieje w charakterze Szkotów: są oni w ogóle tak nieufni jak Anglicy, ale raz przekonawszy się w pożyte, lub z dobrej rekomendacji, że osoba do nich wprowadzona jest zaufania godną, daleko są serdeczniejsi, poufalsi i weselsi, niż Anglicy. Ta nieufność u Szkotów pochodzi więcej z bojaźni poniewierania swych uczuć dla ludzi niegodnych przyjaźni zacnego człowieka, niż z dumy i oziębłości Angielskiej. Anglika systematem życia jest: otoczyć się obłokiem antypatycznym, by nieznanemu mu człowiek przystąpić, ani nawet zagadać do niego nie śmiał. Młodzież, a szczególnie modna, stara się wygórować w sztuce zimnej opryskliwości i odpychać od siebie wszelką naiwność i dobrodusznych ludzi poufałość, manierami, o jakich trudno sobie zrobić wyobrażenie na stałym lądzie, gdzie Anglik tylko jest gościem, gdzie zatem rozwinać się nie może swobodnie z swą systematyczną bezsercowością. Niech się kto przejdzie po ulicach Londynu i policzy pomiędzy przechodzącymi fizyonomie wyrażające dobroć: znajdzie je tak rzadko, że je jako fenome-

na zatrzyma w pamięci. Rzecz nie tak się ma w Edyburgu. Tutaj więcej jest uczucia i dobroci rozlanej w twarzy; lecz zatrzymaj na ulicy gentelmana Szkockiego i zapytaj się o drogę, lub która godzina, a zaraz ujrzysz wyraz nieufności na jego twarzy, i wyraz ten potrwa tak długo, aż się przekona, że z uczciwym człowiekiem ma do czynienia, potem zaraz ustępuje wyrazowi dobroci.

Przytém w Edyburgu ludzie niemal wszystkich powołań i stanów ożywieni są szlachetnym dążeniem do istotnej wszechstronnej oświaty; nie masz tutaj owęj jednostronności w wychowaniu, do jakiej Anglię dążą dlatego, że ona im się wydaje być niezbędnie potrzebną do udoskonalenia się w jednym przedmiocie i do zdobycia majątku.

Szkot lubi pieniądze, tak jak i Anglik i Francuz, chętnie poświęci całą swą czynność dla zdobycia ich, nie poświęci dla nich honoru, tego i Anglik wprawdzie nie uczyni, lecz ani też serca, co Anglik często zrobi. Później będziemy się starali dowieść, że wielka różnica zachodząca w charakterze tych dwóch narodów, zjednoczonych pod jednym berłem, ale jeszcze nie pod jedną koroną, pochodzi z charakteru osobnego wspomnień narodowych i z wpływów filozofii tak różnej w obudwóch narodach. Anglik jest dumny z swęj narodowości, a Szkot kocha ją przedewszystkiém. Duma i miłość, dwie może równie silne sprężyny życia, objawiają się jednakże zupełnie innemi zjawiskami podczas życia.

Czas mi tedy przyjemnie uchodził w Edyburgu, choć zakłady najwięcej dla mnie powabu mające, rozjechały się na wakacye. Mówię tu o uniwersytecie i szkołach. Postanowiłem tedy zwiedzić je później za powrotem, a tymczasem korzystać z dobrej pory i z nadarzonej sposobności zwiedzenia gór Szkockich wtowarzystwie trzech uczonych, z których jeden był geologiem, drugi botanikiem, trzeci zoologiem, a wszyscy Niemcami. Zalecam każdemu, chcącemu korzystać naukowo z podróży, towarzystwo Niemców, mianowicie po krajach malowniczych, a nie łatwo dostępnych, a szczególnie, kiedy ekonomia w podróży jest koniecznie potrzebną.

Są oni w ogóle gruntownie choć tylko teoretycznie ukształceni, przytém cierpliwi, wytrzymali i czynni, mało

dbają o wykwintne wygody i nie spuszczaają nigdy celu naukowego z przed oka, utrzymują władze umysłowe w rzeźwości, i rzadko je puszczaają na pola marzeń, tęsknoty i poezyi.

Tego mi właściwie potrzeba było w téj chwili.

Widokiem biedy ludzkiej wzburzone uczucia, wyobraźnią rozkiełznaną unoszone serce, potrzebowały lekarstwa. Gdzież je łatwiej znaleźć mogłem, jak w towarzystwie ludzi, których każdy kamyczek, każdy kwiatek, każdy motyl zachwycił, którym wszystkie utwory Boga przedstawiały świat nauki, łączącój me rozstrzelone myśli do przedmiotów mnie otaczających.

Wybieramy się tedy najprzód do Sztirlinga, i to statkiem parowym, po falach odnogi morskiej zwanój Forth.

Blisko Leith, portu Edyńburga, leży miejsce zwane Newhafen, zasługujące z wielu względów na naszą szczególniejszą uwagę.

Liczba mieszkańców tego miejsca dochodzi zaledwie do tysiąca. Obyczajami różnią się o tyle od innych mieszkańców Szkocyi, ile i ubiorem, a nawet kształtem domów. Żenią się prawie wyłącznie tylko pomiędzy sobą. Mężczyźni zawsze są zatrudnieni na wodzie jako rybacy, przewoźnicy i majtkowie; z tego też pochodzi, że kobiety réj wodzą na lądzie i w domu. Ale téż proszę, co-za kobiety! W Edyńburgu, dokąd przynoszą ryby na targ, każdy je poważa, każdy ich się lęka, tyle są silne i zawsze do boju gotowe. Niewiasty jak Herody! i taką przewagę w domu mające, że kiedy która z nich chce pójść za mąż, a nie ma dość dziarskości, czynności i siły, inne towarzyszki kładą swe *veto* absolutne mówiąc: »tobie iść za mąż, tobie? a masz ty dość siły, abys mogła zarobić na chleb mężowi i dzieciom?«

W takim to kraju żenić się owym wątłym, słabym, w pewnych nieszczęsnych krajach coraz więcej w modę wchodzącym kawalerom, którym cała siła fizyczna i moralna zaledwie wystarczy na zrobienie wolty w kartach.

Osad podobnych rybackich jest tu kilka w Szkocyi; zdaje się, że to duńskie kolonie, przechowujące wiernie osobliwość swych dawnych skandynawskich zwyczajów, które kiedyś w dawnój ojczyźnie były powszechniejszemi, a dziś już nie istnieją.

Ujście zatoki Forth ożywioném było nieskończoną ilością małych statków rybackich, zatrudnionych łowieniem łososi i śledzi, zwykłych tu ryb. Szczególna rzecz, że Anglicy i Szkoci, których zdaje się położenie kraju najwięcej usposabia na dobrych rybaków, nie dawno, bo dopiero od stulecia, wzięli się szczerze do rybołówstwa. Dawniej Duńczycy, Norwegowie i Holendrzy wyławiali tu Szkotom ryby, jakby z przed nosa. Dziś się stan rzeczy wprawdzie zmienił, ale pewne rzadkie gatunki ryb dziś jeszcze są dostarczane Anglikom przez Holendrów.

Kilka rzek wpada do zatoki, a z ujścia ich, choć wąskiego, wysuwały się okręta i statki parowe tak szybko i szumnie, jak pszczoły wypadające z ula.

Minęliśmy kilka małych, lecz kształtem swym dziwnych wysp; do niektórych tak się zbliżyliśmy, że łatwo można było poznać ich początek wulkaniczny, bazaltowy, czy też trappowy.

Mała wyspa Stone-Mickery wygląda właśnie tak, jak forteca w perzynę obrócona wystrzałami stu dział. Wielkie pokłady ostryg opierają się o ściany skalistych wysp; ostrzygi te należą do księcia Buccleu. Nikomu nie wolno ani jednej oderwać bez jego pozwolenia.

Na małej wysepce, zwanój Inch-Colme, leży pomiędzy wulkanem i rozwalinami ogromnych głazów starodawny klasztor, założony przez króla Szkocyi Aleksandra L, w roku 1111., zarzuconego tu gwałtowną burzą w podróży do Fife. Bawił tu trzy dni i przyjmowany był wraz ze swemi dworzanami przez pobożnego zakonnika mlekiem i rybami.

Królowa Marya de Guise uległa później temuż samemu losowi pod Fife-Ness.

Zatoka Forth przy ujściu swém ma przeszło dwie mile szerokości, pod Leith zaledwie milę. Stopniowo ścięśnia się ona pod Queensberry aż do połowy wiorsty, później znowu w wnętrzu kraju rozszerza się aż do 2 i 3 mil. Można by zatem podzielić zatokę na zewnętrzną i wewnętrzną. Wody wewnętrznej już są słodkie, albo przynajmniej na pół słone.

Zastanawiającą jest rzeczą, że wszystkie zatoki tę samą mają postać: wszystkie się dzielą zwężeniami na zewnętrzne i wewnętrzne, a w tych zwężeniach właśnie umieszczo-

ne są promy, przewożące ludzi i bydło z jednego hrabstwa do drugiego. Statki parowe ciągną te promy od jednego brzegu do drugiego.

Fife (wymawiaj: fajf) jest jedném z najwięcej ludnych, żyznych i zamożnych hrabstw Szkocyi.

W środku jego leży powabna dolina zwana *Eden*, i rzeka tegoż nazwiska ją przebiega. Nie masz wprawdzie ani jednego wielkiego miasta w tém hrabstwie, lecz jest ich tu mnóstwo pomniejszych, a wszystkie prawie założone są na brzegach zatoki.

Na brzegu południowym zatoki leży hrabstwo Linlithgow. Wprost ku zachodowi wznoszą się góry Stirlingu. Choć mniej powabna jak zatoka Klajdy, piękna jest i zatoka Forthu. Ztąd podziwiasz pałace hrabiów Murray, lordów Elgin i starożytny zamek Stuartów, Rossyth-Castle, w którym rodziła się babka Kromwella, Stuartówna z domu.

Kromwell był krewnym Karola I., ale i Filip Egalité był krewnym Ludwika XVI.

Chmary dzikich kaczek morskich, najrozmaitszych barw i wielkości, pokrywają powierzchnię wewnętrzną zatoki Forthu. Na zimę chroni się to ptactwo do pomniejszych ramion zatoki, za ciałninami gór leżących; jest ich wówczas tyle, że cała powierzchnia wody niemi jest pokryta.

Mnóstwo było passażerów wszystkich płci i stanów na okręcie naszym; wysadzaliśmy ich wszędzie w okolicznych wsiach i miasteczkach. Od czasu jak żegluga parowa wkroczyła w każdą zatokę, rzekę i odnogę, wszystko się zmieniło w kraju i nowe się otworzyły związki i widoki dla ludzi. Postęp, z nowego stanu rzeczy wyniknąć mogący, jest nieprzewidzialnym. Mała kraina Szkocka utorowała sobie drogę do tak wielkich postępów, że postrzeganie ich i spisanie stało się prawie niepodobnem jednemu człowiekowi.

Parą płynęliśmy po zatoce tak daleko, aż ta się stała wązkim miłątkim strumieniem; nareszcie brak wody i odpływ morza zmusił nas opuścić statek parowy i dążyć dalej ku Stirlingowi łodzią. Rzeka wije się nieskończonemi, półkulistemi krętami aż pod Stirling; miasto, zamek i góry umykały nam raz na prawo, raz na lewo, raz mieliśmy je przed sobą, drugi raz za sobą. Nic więcej urozmaiconego, jak brzegi tego labiryntu wody. Tu świetne opactwo Killross zadziwia nasze oczy, tam znów je czaruje miastecz-

ko Kinkardine. Owdzie mury miasta Alloa z swą starą wysoką wieżą i zamkiem hrabiów Marr, gdzie-niegdzie pamiątki po Robercie Bruce, którego ślady w Szkocyi nigdzie nie znikają, zwaliska dawnych rzymskich wałów i mnóstwo innych ciekawych rzeczy, których różnorodną, historyczną i romantyczną wartość nie łatwoby było tutaj spisać.

— »Jaka piękna ta kraina! jakie skupienie najinteresowniejszych rzeczy na jednem miejscu!« rzekłem do jednego z mych Szkockich towarzyszków podróży. »Nie pojmuję, dlaczego wy, mając tak piękną ojczyznę, obwozicie się po krajach obcych daleko mniej interesujących?«

— »Dlatego właśnie, żebyśmy się przekonali, że ojczyzna nasza jest piękniejszą,« odpowiedział Szkot bardzo trafnie, »na pewno nie dlatego, żeby sobie własne znienawidzić gniazdo.«

Nareszcie podpłynęliśmy pod śliczną równinę, a pośród tej równiny leżał na wysokości i skalistej górze zamek Stirlingski. Na tej równinie odbywały się niegdyś rycerskie turnieje, a u podnóża tej skały, dziś jeszcze zwanej Ladies-rock, zasiadały piękności Szkockie, aby się przypatrywać zrzeczności i mężstwu swych braci i kochanków, i wspierać ich rzewnemi modłami. Na szczycie zaś téjże samej skały wznoszą się wieże gotyckiej świątyni. Tu nie jedno serce, tam na równinie zdobyte, poddało się męжным rycerzom w uroczystym ślubie.

Tutaj potykał się niegdyś Ivanhoe, i rycerz milczący zwany *Ryszardem tuiem sercem* z Gilbertem Front de boeuf i owym zdradliwym Templaryuszem, który się w żydówce pokochał.

Tutaj jeszcze przed kilku laty, by wskrzesić na czas niejaki w pamięci ludzkiej dawnych rycerskich czasów przypomnienia, najbogatsi lordowie Anglii i Szkocyi przywdzielili bogate zbroje, i na dzielnych rumakach potykali się z sobą pod okiem młodej królowej.

R O Z D Z I A Ł X I X .

ULICA HIGHSTREET.—ZAMEK STIRLINGSKI.—PARLAMENT SZKOCKI. — PAŁAC JAKÓBA V. — KAZALNICA KNOXA. — JAKÓB II. I DOUGLAS.—WOJSKO SZKOCKIE.—ICH ZAMILOWANIE W MUZYCE I REPREZENTACYACH TEATRALNYCH.—STRÓJ SZKOCKI.—STAROŻYTNOŚĆ.—CHLAMYS RZYMSKI I KILT SZKOCKI.—PLAID.—CZAPKA.—DUDY.—WIDOK Z ZAMKU.—OBÓZ AGRYKOLI.—MATKA CESARZOWEJ MAROKAŃSKIEJ. — GOŚCINA. — ŚLEPY DUDZIARZ.—NAUCZYCIEL WIEJSKI.—MIESZKANIE JEGO.—DOCHODY. — GÓRALE. — JĘZYK GAELICKI.—TOWARZYSTWO CELTYCKIE. — ROLNICTWO I HODOWANIE OWIEC. — SKUTKI ZNIESIENIA KLANÓW. — NAZWISKA ICH. — DRUMMONDOWIE.—CAMPBELLOWIE.

Podobnie jak w Glazgowie i w Edyburgu, znajduje się i w Stirlingu Highstreet, to jest wysoka ulica, a na niej kilka starych mocno zbudowanych i pięknie ozdobionych pałaców. Dziś jeszcze te pałace opierają się zniszczeniu. I tak: istnieje tu pałac Regenta hrabi Marr, pałac hrabiego Stirling (sir Wilhelma Aleksandra), filozoficznego poety dworu Jakóba VI. i nauczyciela Karola I., który go zrobił hrabią.—Dalej jeszcze widzieć można wieżę, w której żył i pisał Buchanan, historyk na całą Europę sławny. Był on także nauczycielem Jakóba VI.

Drogą prowadzącą między temi jeszcze dobrze utrzymanymi zabytkami starożytności, a zwaliskami opactwa, zbliżyliśmy się do zamku. Leży on na opoce bazaltowej, ściętej ku jednej stronie ukośnie, tak, że szczyt jęj przedstawia płaszczyznę pochyłą i dość stromą. Droga prowadząca ku podnóżu tej pochyłości przedstawia widok czarujący.

Z jednej strony wznoszą się wysoko w powietrze owe stare słupy bazaltowe otoczone bluszczem, z drugiej strony obszerna płaszczyzna, którą wijąca się półkolami rzeka Forth zdaje się że niechętnie opuszcza;—widać, że wzdraga się być połączoną przez ten ocean, którego wody z tak daleka już przybyły na jęj spotkanie.

Na szczycie opoki porozkładane są tu i owdzie różnokształtne i rozmaite części składające zamek Stirlingu.

Jest on jednym z czterech zamków Szkocyi, które w skutku unii winny być utrzymywane na stopie obronnej. Nie brakuje bastyonów, wałów, murów, bateryj i dział w warowni tutejszej, lecz nie brakuje też miejsc, do których czerwone sztyldwachy zakazują przystępu, a z których widok na otaczające przedmioty i okolice właśnie najpyszniejszy.

Są miejsca, które pięknnością swą wszystko przejdą, co sobie wyobraźnia śmie przedstawić. Takiem miejscem jest właśnie zamek Stirlingu. Fundamenta budowli i warowni tego miejsca sięgają najdawniejszych przedhistorycznych czasów:—historja bowiem nigdy nie wspomina o czasach, gdzieby tutaj zamku nie było. Wielka część teraźniejszych fortyfikacyj pochodzi z czasów królowej Maryi de Guise, matki Maryi Stuart. Gmach parlamentu wzniesiony jest przez Jakóba III., pałac Jakóba V. i kaplica królewska wybudowana przez Jakóba VI.—oto budowle najwięcej na uwagę zasługujące.

Dom parlamentu bardzo charakterystyczne zajmuje miejsce tuż obok pałacu króla, niejako jakby część jego, bo czémże też wówczas były owe parlamenta, jeźli nie radą przyboczną króla, nie śmiejącą mu się nigdy sprzeciwić? Oppozycya przychodziła zupełnie z innych stron: nigdy z parlamentu, zawsze od wysokiej szlachty.

Pałac Jakóba V. jest istotnie wzorem niesmaku. Zastanawiającą jest rzeczą, jak gust do tego stopnia zły i popsuty mógł panować przy dworze królewskim, przy którym francuzka księżniczka była królową. Nie okropniejszego, jak owe figury mitologiczne poumieszczane po murach. Czemż na te szkaradne bohomyzy nie targnęła się ręka reformatorów raczej, jak na tyle opactw i klasztorów, pełnych najpiękniejszych dzieł sztuki?

W kaplicy pokazują jeszcze kazalnię Knoxa. Kazalnie są jedynymi relikwiami protestantyzmu, który wznosił budowę swą religijną słowami i utrzymuje ją przy życiu także tylko słowami.

W jednym z gabinetów najdawniejszych zabudowań dworskich, Jakób II. zabił własną ręką w r. 1452. hrabiego Douglas, za to, że ten nie chciał odstąpić ligi, która się była sprzymięła przeciw królewskiemu stronnictwu.

Walter-Skott w swój *Lady of the lake*, czyli Pani Jeziora, tak mówi o tym zamku:

»Ye towers within whose circuit dread
 »A Douglas by his sovereign bled.«

Stuartowie bardzo lubili zamek Stirlingski i więcej ich tu mieszkało niż w Edyburgu. Jakóba V. pamięć przechowują tu z tą samą serdecznością, jak pamięć jego córki Maryi w Edyburgu. Był to książę dobry, cnotliwy i bogobojny, miał zwyczaj schodzić przebrany, jak niegdyś Harun al Raszyd, z wysokości swego zamku do siedzib swego ludu, tam badać jego potrzeby, jego zdania, i rozsiewać dobrodziejstwa. Dziś jeszcze nazywają go Szkoci »the Gudeman« — to jest pocziwce.

Cały zamek napełniony był Szkockiem wojskiem; rosły to, kształtny, a nawet piękny lud. Część ćwiczyła się w mustrze, część pełniła służbę na warta h i posterunkach, inni jeszcze przygrywali sobie na Szkockim ulubionym narodowym instrumencie, — na dudach, które tu Bagpipe nazywają (od *bag* mieszek i *pipe* piszczałka).

W jednej z sal zamkowych robiono przyrządzenia do reprezentacyi teatralnej, mającej być odegraną przez dzieci Marsa, — ukonstytuowane w towarzystwo lubowników dramatu.

Tu można się było przypatrzeć do woli ubiorowi górali Szkockich, tak oryginalnemu, pięknemu, a przedewszystkiem wygodnemu dla tych, którzy pogardzają pantalonami. Podczas wojen Napoleona można go było podziwiać na lądzie stałym tak, jak Kroatów, Pandurów. Teraz ludy mało wiedzą jak wyglądają nawzajem. Szkoci chlubią się, że ich strój narodowy pochodzi jeszcze od Rzymian, że rzymscy żołnierze zaprowadzili go w Szkocyi i upowszechnili pomiędzy Piktami. Pomimo wiary Szkotów i zdania ich historyków, rzecz ta zdaje mi się być nieprawdziwą; najprzód dlatego, że ubiór narodowy z rzymskim ma tylko bardzo odległe podobieństwo; powtóre dlatego, że Rzymianie nie zdołali nigdy osiąść tej części Szkocyi, w której ubiór ten był i jest do dziś dnia najwięcej upowszechnionym. Trudno wierzyć, żeby Piktowie przybrali byli strój swych nieprzyjaciół i odstąpili własnego. Płaszcz rzymski miałżeby się tutaj ucześć najodleglejszych skał Kaledonii, kiedy ani jeden płatek jego nie pozostał wreszcie Europy? to rzecz do prawdy niepodobna!

Podobieństwo rzymskiego Chalmys do Szkockiego Kiltu jest zapewne także zupełnie przypadkowym. Dla etnografa dowód zbijający me osobiste zdanie byłby bardzo interesującym, pojełibyśmy może wtenczas przez analogię, jak się stało, że język łaciński pozostał barbarzyńcom wschodnim państwa Rzymskiego, to jest Wołochom, w puściznie po panowaniu Rzymskiem.

Osobliwością najwięcej strój szkocki charakteryzującą jest właśnie to, że damy angielskie, bardzo wstydlive, jak wiemy, nie potrzebują nigdy, opisując go, wymówić brzydkiego słowa *spodnie*. Słowa tego bowiem nie cierpią, nie wiem czy i *rzeczy*, tego nie wiem istotnie, dość że nieobecność tej części stroju daje Szkotom pewien urok; nie można bowiem zaprzeczyć, że spodnie, jak je dzisiaj noszą, wyzuwają nogi z ich naturalnego kształtu i udzielają im postać dwóch dość brzydkich słupów. Część wyższa ubioru góralów Szkockich nazywa się Kilt. Zrobiona jest z ciężkiej tkanki w kształcie krótkiej sukni kobiecej i jest fałdzistą—wiatr ją nie łatwo podniesie, ciepło tedy zachowuje ciało mianowicie, że ciężka skórzana torba z przodu na niej wisi. Na Kilcie Szkoci noszą zwyczajny *Plaid*, zrobiony również z ciężkiego tartanu kraciastego. Ma formę długiego czworokątowego szalu, przewieszzonego na piersiach i plecach i trzymającego się na jednym z ramion. Szkoci umieją weń otulić się jak w płaszcz i nosić go z wielką gracyą.

Ta część ubioru nie tylko używaną jest powszechnie w Szkocyi we wszystkich stanach, ale nawet w Anglii północnej przez klasę ludu. Czapka Szkocka jest bardzo malowniczym pokryciem głowy, ozdabiają je piórem orłem, albo też piórami strusiami. Nogi odziane są sandałami przymocowanymi wstążkami, krzyżującymi się aż po nad łydkę. Lecz zaczyna się ten ubiór zatracać, pomiędzy góralami nawet, tak jak się wszystkie zatracają narodowe stroje. Starzy ludzie przechowują go wiernie. Młodzież zaś do pewnego wieku ubierają w Kilty, nietylko wieśniacy z oszczędności, ale i bogaci z przyczyn zdrowia dotyczących. Dowiedziona jest w całej Anglii rzeczą, że więzienie nóg butem, pończochami i spodniami nie służy zdrowiu młodzieńców.

W sali głównej zamku huczały i wyły dudy Szkockie. Dziwne to instrumenta—głośnie one są i wrzaskliwe do tego stopnia, że ryk dział przygłusza.

Te, które służą do muzyki pułkowej, są szczególnie dobrze i pięknie zrobione. Przy każdym pułku jest 24 dud wojennych (*war bag-pipes*), a nadto przy każdej kompanii dwoje. Pułk zaś składa się tylko z dwóch batalionów, a batalion z ośmiu kompanij, tak, że w marszu 56 dud roztrąca powietrze swym głosem piskliwym jak klaruet, wrzaskliwym jak trąba, hucznym jak grzmot i pioruny.

Szkoci zamiłowani są do wysokiego stopnia w tych tonach narodowych, przypominających im grzmot rozbijający się o ściany ich gór i wycie orkanu w odnogach morskich.

U podnóża góry zamkowej ku południowi leżą ogrody królewskie, założone już w r. 1315., a ciągnące się aż pod skałę dam, na której, jak już wiemy, zasiadał król, sędziowie turniejów i najpiękniejsze damy kraju, podbudzając urokami swemi młodzież do czynów bohaterkich.

Lecz ucho nie ma czasu przysłuchiwania się opowiadaniom cyceronów, gdyż oczarowane oczy unoszą je po za wszystkie granice głosu na piękną krainę, otaczającą te sceny dawnych romansów rycerskich.

Widok z Stirlings-castle jest bez żadnego wątpienia jednym z najpiękniejszych świata. Z śnieżnych szczytów gór Grampianu spadają trzy bystre strumienie: Allan, Teith i Forth, i podbiegają pod Stirling w zakrętach półkulistych, dzieląc świecące się szmaragdowe niziny na niezliczoną moc półwyspów, czyli ogniw (*link*), jak je tu nazywają.

Czarna bazaltowa skała wznosi się pod obłoki z łona tego zielonego raju, i dźwiga na swym szczycie śmiejących się wesołych jego stróżów. Tam dalej, w tym pasie skał, przerwa, którą sobie utorował ocean, by tu się zbliżyć i zabrać z sobą trzy piękne strumienie,—a tam ku północy patrzą na nas te same śnieżne głowy Tytanów, które nas witały, kiedyśmy kilka tygodni temu przybywali z Irlandyi do tej ziemi Szkoekiej.

Miasteczka, wsie i folwarki rozsiane są po tych szczęsnych nizinach, po tych półkulistych odcinkach ziemi, które zowią doliną Strath-more.

Tą doliną jedźmy do Drummond, do zamku sławnego w dziejach Szkocyi. Droga prowadzi po nad brzegami rzeki Allan na podgórzu Orchillów, pod miasteczkiem Lecropt i Dunblanc. Na milę prawie za ostatniem miasteczkiem leży stary rzymski obóz, tak dobrze utrzymywany, jak gdyby był

przed kilkudziesiąt laty usypany. Ma przeszło 100 stóp szerokości a 900 długości, i jest otoczony potrójnym wałem. Obóz ten miał być usypany przez Agrikolę 83. r. po Chr., dla 20,000 wojska rzymskiego. Na wałach i po ogrodzeniach namiotowych pasie się teraz bydło. Główne wejście znajduje się ze strony północnej. Wzniesiono tu bramę tryumfalną dla przyjęcia księcia Alberta, małżonka królowej Angielskiej.

Od tego obozu rzymskiego aż do zamku Drummond ciągnie się obszerna płaszczyna, a na tej płaszczynie stała i zapewne jeszcze stoi mała chatka. Przed trzydziestu pięciu laty mieszkała w tej odosobnionej nędznej chatce znakomita osoba, to jest matka cesarzowej Marokańskiej: tak jest, żona cesarza Marokańskiego była córką tej stariej biednej wieśniaczki. Przyszła zaś do tego zaszczytu następującym sposobem:

Będąc jeszcze dziewczką, młoda Szkotka wybrała się z wieloma swemi rodakami do Ameryki, lecz okręt jej został schwytanym przez piratów Marokańskich. Młoda Mary Ann Mac Drummond została sprzedaną w Maroko do haremu cesarskiego i tak się potrafiła podobać cesarzowi, że ją tenże do godności jednej z swych żon najłaskawiej podnieść raczył. Będąc już cesarzową, Mary-Ann pisała do swjej matki i przysłała jej podarunki. Miała dwóch synów; ci przyszedłszy do lat, zostali po śmierci wtrąceni do więzienia przez brata przyrodniego, który owdładnął koronę. Starali się biedni bracia zainteresować za sobą rząd Angielski i zawezwali pomocy jego, jako pochodzący z strony matki z Anglii. Tem się cesarz rządzący obraził, braci swych kazał ściąć, a matkę ich udusić. Tak się ukończyła tragicznie ta historia jeszcze za życia stariej kobiety, która chatki swjej nigdy opuścić nie chciała dla pałacu cesarskiego, pomimo prośb swjej córki.

Dlatego też, by przeehować pamiątkę stariej wieśniaczki i przywiązania jej do miejsca urodzenia, wieśniacy tutejsi własnym kosztem od lat 30 biedną chatkę w takim stanie utrzymują, w jakim się znajdowała, gdy jeszcze matce cesarskiej za mieszkanie służyła.

Kocham tę religię pamiątek; jest ona dowodem życia jakiegoś duchowego, wywyższającego człowieka nad poziom znikomiej materyi.

Już nie daleko do zamku Drummond, już jesteśmy w wiosce poprzedzającej go o pół mili. Lecz słońce zapada, a tu w tej wiosce znów taka piękna starożytna Walter-Skotska gościna. Spojrzeliśmy po sobie i porozumieliśmy się nie mówiąc ani słowa, i zwracamy nasze piesze kroki ku drzwiom gospody pod *Ślepym Dudarzem* (blind-bag-piper), którego portret, bity deszczem i wiatrem, skrzeczącym na swych antabach, wisiał nad drzwiami pod gankiem.

Wstępujemy do gospody i znajdujemy oryginał portretu siedzący na ławce—stary wprawdzie, zgrzybiały, ale jeszcze żywy, jak to świadczył i kufel portera przed nim stojący i harmonijny hałas wydobywający się z dud, w które dał nielitościwie.

Istotnie stary dudarz służył nie tylko za godło gospodzie, lecz był jej właścicielem. Sierota, który mu towarzyszył przez lat 30 w kursach po całej Anglii i Szkocji, i który mu pomógł do zdobycia sobie dość sporego kapitału, wystarczającego na zakupienie tej gospody, — był teraz jej gospodarzem, synem przybranym właściciela i naturalnie jego dziedzicem, gdyż stary dudarz innej rodziny nie miał.

Od dwudziestu lat używał sobie stary wirtuoz i jego towarzysz, w spokojności i przyjemnym zatrudnieniu, owoców długich wędrówek i niewygód. Sierota już się był dawno ożenił, już miał i synów i dwie dorosłe córki, które starego muzykanta nazywały dziadkiem.

To wszystko nam opowiedział w pięć minut po przybyciu, gdy wszedł jegomość jakiś z rozumną, choć prostą i szczerą twarzą, ubrany nie w kilt Szkoeki, lecz w rodzaj długiego spencerka, jak teraz lwy nasze noszą, i w spodnie, rozumie się samo z siebie. Sposobem wystowienia się nasz nowy przyjaciel należał oczywiście do stanu oświeconego, manierami zaś więcej do klasy ludu.

Był to nauczyciel wiejski, jeden z tych poczciwych ludzi, których lubiłem spotykać w mych podróżach, gdyż postawieni na granicach stanu oświeconego, zastanawiają się i rozumują nad wszystkim, co w obrębie ich miejscowości się zawiera. Oni mają znajomość ludu i ich obyczajów z pierwszej ręki, oni poznali naturę kraju, zwierząt, roślin i klimatu, równie praktycznie jak leśnicy, strzelcy, rybacy i rolnicy, a przytém potrafią o niej mówić

jak uczeni. Etnograf i statystyk może czerpać nieskończenie wiele zasobów z umu nauczycieli wiejskich. Zabraliśmy tedy znajomość z dobrym nauczycielem i wyprosili u niego, aby został z nami na wieczerzę, co przyjął jedynie pod solenną obietnicą, że przyjdziemy do niego do domu nazajutrz na śniadanie.

Gospodarz, wsparty żoną i córkami, krztałi się około naszego królika i łososia, roastbifu i plumpuddingu;—stary dudacz wygrywał pianissimo na najdrobniejszej piszczałce jakieś teskne pienia, i ani ruszył owych części dudów, z kąd się wydobywają jak z jaskini Eola wichry i uragany;—a my tymczasem szczęśliwi z posiadania naszego wszystko wiedzącego nauczyciela, szturmowaliśmy go kolejno pytaniami do upadłego.

Nazajutrz po ósmej przeszedłszy się po polach, na których zboże już dojrzewało, poszliśmy in corpore do naszego nauczyciela. Mieszkał w domu szkolnym murowanym i w zdrowym miejscu położonym. Pokoje nauczyciela zaś były nie tylko wygodne i czyste, ale nawet ozdobne.

Towarzysze moi, choć Saksończycy, a zatem przyzwyczajeni do widzenia wygodnych domów szkolnych na wsiach, nie spodziewali się nigdy znaleźć tyle miejsca, wygody i wykwintności w domu szkolnym Szkocyi, i zadziwienie swe wyrazili gospodarzowi.

—»To się panom jeszcze zdaje wygodnym? ja zaledwie mam pięć pokoi i kuchnię, to nie wystarczy na tak liczną rodzinę jak moja. W ogóle wszyscyśmy niedostatecznie płatni, my biedni nauczyciele wiejscy»—odpowiedział gospodarz.

—»Na to i nasi nauczyciele narzekają«—mówił Niemiec.

Szkot: »A ileż mają na rok, prócz mieszkania, opału, kawałka gruntu i ogrodu, nauczyciele wiejscy w waszym kraju?«

Niemiec: »Rocznie — niektórzy mają do 100, nawet do 150 talarów, — ale największa część zaledwie 50, są tacy co nie mają jak 30.«

Szkot: »Ile funtów szterlingów jest w talarze?«

Niemiec: »Siedm talarów idzie na funt.«

Szkot: »A więc ile jest funtów w 50 talarach?«

Niemiec: »Siedm funtów.«

— »Co? siedm funtów? siedm funtów na rok dla nauczyciela?« krzyknął Szkot i zerwał się zdziwiony z krzesła. »A to ja mam dwadzieścia razy więcej i jeszcze mi się zdaje, że jestem skrzywdzony.«

— »Dwadzieścia razy więcej! Tysiąc talarów!« krzykną wszyscy Niemcy i zrywają się z krzesła;—»jak to?—tysiąc talarów! tyle za ledwie Radca Stanu u nas bierze, i wy się jeszcze skarżycie?«

— »Pewno, że się skarżymy i mamy prawo skarżyć się; zważ pan, że funt najlepszej kawy kosztuje 3 złote, cukru 40 groszy, że butelka rumu jamajka wynosi 10 zł., że funt mięsa wołowego kosztuje złoty, wieprzowego 40 groszy, przytém, że czekolada, wino i herbata są również drogiemi artykułami.«

Niemcy byli odurzeni wyliczeniem tych artykułów i powiedzieli: »To co innego!«—ale sobie rzekli po niemiecku: »Nasi nauczyciele szczęśliwi są, *wenn sie das liebe Brod zu Hause haben*« (kiedy mają chleb w domu).

Wiadomą jest rzeczą, jak wielkie robi postępy w Szkocyi wychowanie wiejskie. Gospodarz nas zapewnił, że pomiędzy wieśniakami w ogóle istnieje największa gorliwość pod tym względem.

Nigdy nie trzeba zmuszać wieśniaków do posyłania swych dzieci do szkół, byłoby to wstydem, nikomu to nawet na myśl nie przyjdzie.—»Zresztą używać musu do podobnych rzeczy nie można tu w Szkocyi, byłoby to najlepszym środkiem odstręczenia wszystkich od szkół i nauk« dodał nasz profesor.

Nie jest tutaj wprawdzie mowa o góralach zamieszkujących nieładne strony północnej Szkocyi. Celtycki język jest tam wielką zawadą dla oświaty, która może tylko dojść mieszkańców Wielkiej Brytanii na skrzydłach narzecza normando-saskiego. W tém bowiem tylko narzeczu myśli się i pisze. Trudno, żeby w jednym i tym samym kraju dwa języki i dwie literatury razem i w tymże samym stopniu kwitły. Jeden język musi pokonać drugi z czasem, i taki los będzie udziałem języka celtyckiego, pomimo wszystkich zabiegów i starań patryotów Szkoekich. Całe wieś, w których przed 40 laty nikt po angielsku nie mówił, dziś zapomniały już prawie celtyckiego języka. Wszakżeż i to już prawdziwym było cudem, że celtyckie narzecze, nie mają-

ce nigdy podpory w pisanėj literaturze, potrafiło się utrzymać tak długo przed germanizmem, i niezawodnie germański żywioł (byłby dawnemi czasy uległ sile oporu Celtyckiego narzecza, gdyby nagły napływ Normanów i jego styczności z niemiecką flegmą nie były wydały *języka Angielskiego*, tego dowcipnego syna naturalnego, jeszcze brzydszego z brzmienia jak jego matka, lecz równie głębokiego jak ona, a znów więcej jeszcze giętkiego jak ojciec.

Angielski język wkracza teraz silnie pod sztandarami swych nie nie kosztujących biblij i kolorowanych katechizmów, swych tanich pism peryodycznych z wizerunkami ciekawość zaosirzającemi.

Jeszcze dwie generacye, a umrze ostatni człowiek mówiący po gaelicku; jeszcze trzy generacye, a umrze ostatni człowiek chodzący bez spodni.

Szkoci, zasadzający patryotyzm na przechowywaniu starożytności, pogrzebią Celta, i Sans-culości w Parthenonie wydadzą sobie żałobną uczcę; Szkoci zaś, zasadzający patryotyzm na nabywaniu, zgromadzą się w meeting, odbędą tryumfalną processyę z chorągwiami i napisami: »niech żyje język angielski! niech żyją spodnie, korty i nankiny angielskie!« i uroczystość skończy się także na uczcie. Być może, że się dwie partye cokolwiek poczubią w zapale wznieconym żalem i rokoszą, porterem i winem, i na tém skończy się panowanie kiltu i gaelickiego narzecza.

Do przewagi żywiołu angielskiego w górach Szkocyi przyczynia się także poprawa rolnictwa i hodowanie owiec. Przedtém wielka część góralów rozsianą była w dolinach pomiędzy skałami i błotami, i zadawała się małym kawałkiem gruntu, wydającym owies, który im wystarcza na chleb i na utrzymanie kilku sztuk chudego bydła. W nowszych czasach wywłaszczono biednych ludzi, częstokroć przymusem, z tego kawałka gruntu, który właściwie do lordów należał, ale od wieków przez ich wasalów był używanym.

W dawnych czasach, kiedy klany istniały jeszcze, bogactwo pana szacowaném było według ilości wasalów, których posiadał; człowiek miał pewną wartość dla pana, chociażby żadnego mu z gruntu nie płacił czynszu. Po zniesieniu instytucyi klanów, panowie musieli szukać innych źródeł przychodu. Panowie poszli jak zawsze za in-

stynkiem własnej wygody, pozbywali się częstokroć przymusem swych dawnych ludzi, do niczego im już służyć nie mogących, i przeistoczyli owe małe folwarki i łany nieuprawne w wielkie pastwiska dla owiec. Tymczasem powstały w Szkocyi i rękodzielnie i miasta, ożywiły się porty handlem zagranicznym, lepszy system rolnictwa wprowadzonym został w większych włościach na dolinach, potrzebowano zatem i w nich więcej ludzi, w miarę jak ziemia obfitsze zaezęła wydawać plony.

Górale, wygnani przez trzody owiec z swych starych siedzib, znajdowali w miastach, portach i we wsiach sposób utrzymania. Ludność skupiła się tedy i zbliżyła do siebie, i chcąc nie chcąc przybrać musiała oświatę.

Zniesienie klanów w górzystych okolicach, dokonane niestety bardzo okrutnemi sposobami w r. 1746. i na krwawej drodze (jak o tém wiedzą kumberlandzkie huzary), wydało jednak, trzeba przyznać, dla Szkocyi najpiękniejsze owoce. Instytucya klanów została zniesioną przez Anglików, jeden zaś, to jest klan Mac-Gregorów, odznaczający się dzikością i srogością, został formalnie proskrybowanym i do wytopienia przeznaczonym.

Wielu z tych Mac-Gregorów (znany światu Rob-Roy był także Mac-Gregorem) rozstrzelano i wywieszano, nazwisko nawet Mac-Gregor zostało zupełnie zakazanem. Mac-Gregorowie chronili się, gdzie mogli, i kryli swe nazwiska. Jedni przeszli do Campbellów i przyjęli ich nazwisko, inni do Drummondów. Tutaj nawet, w wiosce naszej (zarecał nam nauczyciel wiejski), znajdują się jeszcze Mac-Gregorowie, wszyscy o tém wiedzą, lecz nikt ich nie wyda; pomiędzy sobą nazywają się Mac-Gregor, lubo się podpisują Drummond.

Nazwiska innych klanów jeszcze pozostały, a lubo po zniesieniu instytucyi członkowie téjże porozchodzili się po całym kraju z dystryktu zamieszkanego przez ten klan, i lubo wszędzie prawie można znaleźć ludzi noszących nazwiska wszystkich przedtém istniejących klanów, jednakże w niektórych dystryktach nazwiska pewnych klanów dominują przed wszystkiemi innemi. I tak, w naszej wsi nazwisko Drummond jest tak częste, że blisko ośm dziesiątych ludności do nich należy; są to potomkowie członków owego wielkiego klanu, którzy razem z klanem Stu-

art stanowili znaczniejszą część ludności wielkiego hrabstwa Perth. Naczelnik (Chief) klanu Drummond był zarazem hrabią Perth. Od roku 1716. tytułu tego zostali pozbawieni naczelnicy Drummondów za wierność okazaną Stuartom; lecz do dziś dnia Szkoci nazywają Drummondów »Szlachetną familią Perthu« (the noble family of Perth).

Tytułu prawnego hrabiów Perthu już nikt nie nosi, i dlatego Anglicy nazywają go »państwem wygasłym«, albo też »*forfeited title*«, straconym tytułem.

Naczelnicy dawnego Drummondów klanu rezydują zawsze jeszcze w zamku Drummond, lecz i rodzina męzka tych Chieftanów wymarła przed kilku latami. Pozostała dziewczynka Klementyna Drummond poszła za Lorda Wiltoughby de Eresby, Lorda W. Kanclerza Anglii, i nadała przywilejem, służącym niewiastom kilku najszlachetniejszych rodzin, mężowi swemu prawo noszenia świętego nazwiska Drummondów, i uważa się za naczelnika rodziny i klanu Drummondów. Z tego też przywileju korzystał Mylord i przedstawił się królowej Wiktorji, odwiedzając zamek Drummondów, ubrany w kolory klanu i na czele niego; kolorami zaś klanu są: karmazynowy, czarny i zielony.

Matką króla Jakóba I. była Drummond.

Drummondowie z Drummond-Castle są najznakomitsi tego nazwiska. Prócz tych jest jeszcze mnóstwo innych znakomitszych rodzin to nazwisko noszących. I tak: Drummondowie z Strathallan, z Comrie, z Blairdrummond, z Hawthorden, z Kettie i Kimwel.

Wszystko to są Drummondowie młodziej familii, tak nazwani *Cadets de famille*, oddzielni od głównego pnia od dawnego czasu.

Wielu z nich są parami Szkocyi i należą do najpierszych rodzin państwa, np. Hrabiowie Kinnoul, Hrabiowie Strathhallan. Oprócz tych szlachetnych Drummondów, wielu jest innych tego nazwiska nieszlachciców, np. sławny bankier Drummond, Dr. Drummond i wielu chłopów tu we wsi zamieszkałych noszących to nazwisko. Wszyscy Drummondowie, szlachetni, czy nieszlachetni, tym samym pieczętują się herbem. Tu herb nie przywiązany do szlachectwa. Nim jeszcze istniały herby i nazwiska rodzinne w Szkocyi, były już tam familijne stowarzyszenia, uznające głowę rodziny, to jest najpotężniejszego jej człon-

ka, za naczelnika. Później obce nawet osoby przybywały do klanów, poddawały się temu naczelnikowi i przyjmując obowiązki lennika, przyjmowały i nazwisko jego, liczyły się formalnie do jego rodziny. Z początku pokrewieństwo to było jedynie imaginacyjnem, później jednakże w drugiej i trzeciej generacyi stawało się istotnem przez zaślubienia i inne związki. Wszyscy chętnie szli za wodzem, którego uważano nie tylko za właściciela i pana kraju, lecz także za głowę rodziny, i służyli mu z wiernością lennika i z miłością krewnych.

Nie daleko od okolicy, w której panował niegdyś klan Drummondów, a w której klan ten żyje dziś jeszcze, leży kraj Campbellów.

Do charakterystyki jednego i drugiego klanu posłużyć może następująca prośba, zamykająca *Ojciec nasz* znanego nam z Walter-Skotta poczciwego kmiotka Maxtona:

„From the greed of the Campbells,
From the ire of the Drummonds,
From the pride of the Grahams,
From the storm of the Murrays,
Good Lord, deliver us.”

Od chciwości Campbellów,
Od gniewu Drummondów,
Od dumy Grahamów,
I od natarć Murrayów,

Zachowaj nas Panie Boże!

Taka jest historia klanów Szkockich; lepiej ją jeszcze pojmniemy z tego, co w przyszłym rozdziale dobry nasz nauczyciel opowie, towarzysząc nam z wioski do zamku Drummondów.

ROZDZIAŁ XX.

STAROŻYTNE DZIEJE SZKOCYJ. — MURY RZYMSKIE. — STUARTOWIE. — UNIA. — CHARÁKTER NARODU. — PRAWA SZKOCYJ. — KOŚCIOŁY I KAPLICE. — KLANY. — ZDANIE TACYTA. — GÓRNĄ SZKOCYĄ. — NAPADY. — OBJĘCIE DOSTÓJNOŚCI NACZELNIKA. — WAROWNIE. — BROŃ KALEDOŃCZYKÓW. — MORALNOŚĆ. — GODŁA HERBOWE. — SPRAWIEDLIWOŚĆ. — OKRUCIEŃSTWO. — SYSTEM FODALNY. — WIKTORJA W PLAIDZIE SZKOCKIM. — ŁOWY W PARKU DRUMMOND. — ROSKOSZI I POLITYKA. — SZCZĘŚCIE I POWINNOŚĆ. — WIDOK. — OGRÓD. — SZTUKA I NATURA. — UPIĘKSZENIA. — KRZYŻ ŚW. ANDRZEJA. — KWIATY. — TRAWNIKI. — RÓŻA NA CZEŚĆ KRÓLOWEJ STWORZOŃA. — DRZEWA KARŁY. — LAS W MINIATURZE. — POSTĘP I OŚWIATA.

Naród Szkocki jest zlewkiem dawnych Kaledonów i Bretonów, dwóch pokoleń celtyckiego szczepu, do których się później wcieliłi Piktowie, lud pierwotny. Rzymianie owładnęli tylko część południową dzisiejszej Szkocji zamieszkałą wówczas przez Kaledończyków. Agrikola (85. po Chr.) odepchnął narodońców aż do zatok Klaydy i Forthu. Adryan (120) wstrzymał ich murem idącym od Tyne aż do zatoki Solway. We dwadzieścia lat później pod panowaniem cesarza Antonina wybudowano inny mur więcej na północ, łączący Forth z Clydą, a kraj znajdujący się poniżej tego muru na południe został nazwany Walencyą; nakoniec w roku 207. Septimus Severus wkroczył do kraju nowym murem jeszcze więcej na północ posuniętym. Wówczas Szkoci przybyli z Irlandyi i Pikci połączyli się z Kaledończykami gór dotychczas niedobitych, i wydzali wojnę zaczepną najprzód Rzymianom, a po ustąpieniu tychże Bretonom. W dziewiątym wieku (rok 833. podobno) Kenneth Mac Alpin, wódz Szkotów, pokonał zwaśnionych pomiędzy sobą Piktów i Kaledonów, ogłosił się królem i nadał krajom podbitym, od zwyciężkiego plemienia Senytów (Senyto znaczy wędrowiec po Celtycku), którem dowodził, nazwisko Szkocyi. Był to właściwie pier-

wszy król szkocki, lubo historycy tego kraju utrzymują, że pierwszy ich król, zwany Fergus, panował na 350 lat przed Chrystusem i że od niego aż do Kennetha panowało 66 królów w Szkocyi. Historia ta, jak już wiemy, jest bajeczną, przez bardów wymyśloną, ale Szkoci chętnie w nią wierzą.

Pierwsze zaszczerpienie religii chrześcijańskiej miało miejsce, jak niektórzy historycy szkoccy utrzymują, na początku trzeciego stulecia, to jest o ośm wieków pierwiej niż w Polsce.

W dziesiątym wieku pod panowaniem Makolma III. (1047 do 1093), wielu Saksonów uciekających z Anglii przed Wilhelmem Zwycięzcą schroniło się do Szkocyi, osiedli na dolinach tego kraju i założyli im jedno miasto. W roku 1286, po śmierci Aleksandra III. wygasła starożytna rassa królów Szkocyi. Po długich sporach o koronę, podczas których wielkopomny Robert Bruce król szkocki wstąpił się świetnym zwycięstwem odniesionym na Anglikach (1314), tron dostał się w ręce Stuartów roku 1370. Jakób I. starał się powściągać nadużycia i dumę baronów i został przez nich zabitym (1437). Syn jego, Jakób II., nie dał się ustraszyć losem ojca i zwycięzko przeprowadził swe zamiary; lecz Jakób III., który po nim panował, nie posiadał talentu polityki, wzburzył przeciw sobie ogólny bunt, w którym stracił życie (1488). Jakób IV., zaślubiwszy córkę Henryka VII. króla Anglii, zdobył sobie prawo ubiegania się o koronę angielską po śmierci teścia, lecz poległ w bitwie przeciw Anglikom pod Flodden (1513). Jakób V. ożenił się z Maryą de Guise i miał z nią córkę Maryę, która siedziała na tronie Francyi jako żona Franciszka II., później była królową Szkocyi, a znalazła zgon na rusztowaniu z ręki swjej krewnej (1587). Po niej panował w Szkocyi syn jej Jakób VI., który po śmierci Elżbiety został obwołany królem Anglii (1603) pod nazwiskiem Jakóba I. Przezeń korona szkocka została połączoną z koroną angielską, lecz jeszcze nie kraj i naród. Zupełna unia obu królestw nastąpiła r. 1707. za królowej Anny.

Po usunięciu Stuartów z tronu angielskiego odezwało się w narodzie szkockim stare przywiązanie do tego domu. Starał się o odzyskanie tronu najprzód Jakób Edward Stuart, syn zdetronizowanego Karola Jakóba II., a mąż wnuczki Sobieskiego króla Polskiego; potem zaś syn Edwarda Stuart i księżniczki Sobieskiej, Karol Stuart, zwyciężony przez Anglików w bitwie pod Culloden r. 1746. Dwa razy jeszcze

kusił się Karol Stuart o tron szkocki r. 1753. i 1761., lecz napróżno.

Odtąd dopiero Szkoci poddali się losowi i unii, do której Irlandya przystąpiła dopiero r. 1801. Późem wszystkie trzy królestwa przybrały sobie nazwisko Wielkiej Brytanii.

Związek ten, skupiając zamiary i siły trzech narodów w jedno, pomnożył w oczach Europy złączoną ich potęgę i przyczynił się do pomyślności każdego z osobna, lecz w nierówniej mierze.

Na ukształcenie narodów składających terażniejsze państwo Wielkiej Brytanii wpływały odmienne instytucye, odmienne rządy, a najbardziej odmienne wyznania religijne. Wiele z tych przyczyn działa do dzisiaj, osobliwie w Szkocyi, która przystępując dobrowolnie do unii, dając Anglii własnego króla i nie będąc jak Irlandya krajem podbitym, zastrzegła sobie używanie dawnych praw i swobód: ztąd daleko więcej pomyślności, i w ogólności więcej dobrych chęci dla rządu.

Szkocya rządzi się zupełnie swemi prawami, kodeks Justyniana za podstawę mającemi, a z Anglo-Saksońskich ustaw przyjęła tylko sąd przysięgłych, lubo i tę instytucyę w wielu ważnych punktach zmieniono. Dlatego narodowość szkocka rozwija się równie jak dawniej, tylko pod mniej surowemi kształtami. Urzędy mogą być powierzane tylko rodowitym Szkotom wyznającym religię prezbiteryańską. Inne wyznania, nie wyłączając nawet anglikańskiego, są tylko tolerowane. Świątynie ich noszą tylko skromne nazwisko kaplic (chapel), a nie kościołów (church); nie wolno nawet przy nich mieć dzwonów, tylko w prezbiteryańskich kościołach dzwonią na nabożeństwo.

Anglia naturalnie robiąc odwet na Szkotach, nie pozwała prezbiteryanom mieć u siebie kościołów, lecz tylko kaplice, i uważa ich zarówno z innemi różnowiercami (dissenters). Jednym słowem, kościół episkopalny, panujący w Anglii, uważany jest za nic w Szkocyi, gdzie prezbiteryalny jest panującym, i nawzajem. Tak przy wszelkiej wolności zdań łączyć się mogą drobiazgowy szykany.

Wiemy już, że od niepamiętnych czasów naród był podzielonym na klany, czyli pokolenia, jak u nas Sławian w dawnych wiekach. Na czele każdego pokolenia stał *wódz dzie-*

dziczny, a nie obieralny. Stosunki zachodzące między nim a ludem były feodalno-patryarchalne. On utrzymywał między swemi zgodę, zasiadał w radzie, dowodził w boju, i miał nieograniczoną władzę życia i śmierci. Od jego wyroku nikt nie odwoływał się do wyższego, już to z ufności w jego sprawiedliwość, już to z bojaźni jego zemsty. Wszyscy do klanu należący nosili jego nazwisko, wchodzili z sobą w związki małżeńskie, z kąd poszło, jak już wyżej powiedziano, że tyle znajduje się w Szkocyi rodzin jego nazwiska. Nosili też osobną odzież dla odróżnienia się od innych klanów.

Klany te żyły z sobą na nieszczęście w ustawicznych rozterkach i najazdach, co siły całego narodu niszczyło. Nie raz korzystali z takowego stanu Szkocyi: Norwegczycy, Rzymianie, a później sąsiedni Anglicy. Tacyt w życiu Agrikoli, wodza przeciw Szkotom wysłanego tak się wyraża: *»Nunc per principes factionibus et studiis trahuntur: nec aliud adversus validissimas gentes pro nobis utilius, quam quod in commune non consulunt. Rarus duobus tribusve civitatibus ad propulsandum commune periculum conventus: ita dum singuli pugnant, universi vincuntur.«* I tak było niestety! Najezdniczy znali machiawelskie *»divide et impera«* nadwadzieścia wieków przed Machiawelem. Umieli wzniecać niezgody w ludach do niezgód skłonnych, umieli zwyciężać bez bohaterstwa, bez meztwa. *»Dum singuli pugnant universi vincuntur.«* Gdzie nie ma jedności, tam żadne nie pomocą ofiary i poświęcenia.

Właściwem siedliskiem klanów była górna Szkocyja; lud w dolnej, jako z natury łagodniejszy, więcej ulegał władzy królewskiej i częściej zostawał ofiarą zaburzeń, niż był burzycielem. Wojenny charakter Szkotów należy się prawie wyłącznie góralom. Oni mieszkając pokoleniami po dolinach nad jeziorami, nad odnogami morskimi, któremi cała Szkocyja jest poprzerynana, kłócąc się między sobą i robiąc wyćieczki do dolnej Szkocyi, napełniali kraj trwogą zamieszaniem. Nie tylko że sami krzywd swych się mścili do upadłego, jak dziś jeszcze Korsykanie, lecz zwaśnienia ich były częstokroć dziedziczne i przechodziły od przodków do potomstwa: zemsta prądka i okropna często była wynikiem własnej woli członków klanu, lecz częściej jeszcze wynikiem woli naczelnika.

Napad nagły i niespodziany na siedziby nieprzyjaciela, zabór bydła, były wojny zapowiednią, a pożogi najokropniejsze i rzeź, wojny zakończeniem. Pokonany klan musiał się okupić, albo przechodził pod władzę zwycięzcy, co jednak rzadko się zdarzało, gdyż powszechnie przekładano śmierć nad poddanie się pod jarzmo nieprzyjaciela jako rzecz naturalniejszą.

Pomniejsze klany łączyły się dobrowolnie z większemi, aby w przypadku potrzeby mieć z nich pomoc i opiekę.

Po śmierci wodza klanu, następca winien był złożyć dowód swego męstwa i roztropności, nim objął po nim tę dostojność. W tym celu przedsiębrał on jaką wycieczkę do krainy sąsiedzkiej, z którą jego klan zostawał w poróżnieniu, gdzie, jeżeli mógł pustoszył okolice i upędzał stada.

Za powrotem z takiej wycieczki, w której młody dowódca najczęściej zwyciężał, gdyż wolałby poledz, niż okazać się w oczach swego ludu niemężnym, obrany został na wodza. Wyborowi towarzyszyły różne starodawne obrządki. Stawiano przysięgę wodza na kupie kamieni w kształcie piramidy wzniesionej, którą jego krewni i lud otaczali. Najwierniejszy z jego przyjaciół wręczał mu miecz, a inny białą laskę, znak zwierzchnictwa. Późem występują Bardowie sławiący potężny ród zwierzchnika i czyny przodków. Uroczystość zakończyła wspaniała biesiada, na której młody wódz musiał także dać dowody niezachwianej męskości w picu.

Na wyspie Skye, jednej z Hebrydzkich, w zamczysku Dunvegan, pokazują do dziś dnia ogromny róg bawoli mieszczący półtrzeciej kwarty. Każdy Macleod na znak, że doszedł męskości, musiał go spełnić duszkiem.

Warownie wodzów były głównym punktem zjednoczenia dla całego klanu. W nich rozstrzygano ważniejsze sprawy, wyprawiano uczy i rozdawano nagrody najmężniejszym wojownikom. W czasie niebezpieczeństwa służyły dla pokolenia za schronienie.

Stawiano je najeźdźcą na niedostępnych miejscach, na skałach oblanych morzem lub jeziorem. Mnóstwo takich zamczysk leży w gruzach na brzegach Szkocyi. Budowane z potężnych głazów, wieki jeszcze przetrwać mogą. Przestronność niektórych była zdumiewającą. Pałac Macleodów zaj-

mował 5,000 stóp kwadratowych. Było w nim miejsca na 6,000 ludzi. Codzień dawano w nim obiad na czterdzieści gości.

Wodzowie zawierali między sobą zaczepne i odporne przymierza. Warunki rozejmów ryto często na kamieniu, gdyż nie uważano papieru i pergaminu za dość trwałe materiały do ich zachowania.

Ossyan wystawia swych rodaków walczących z wozów jak bohaterowie greccy. Długo zaczepną bronią Kaledonów był łuk, sztylet (dirk) za pasem, miecz długi i szeroki (claymore); później zaczęto używać rusznic i pistoletów. Do zasłonięcia się od pocisków służyła mu tarcza (target) dębowa powleczone skórą, albo tylko z prętów dębowych przeplatanych łożą, a obwiedziona miedzianą obręczą. Rzadko używano innej zbroi odpornej, owszem przed bitwą zrzucili zwierchnią odzież, ażeby uderzyć prędkiej i silniej.

Roku 1546. stoczono bitwę, w której obie strony walczyły w koszulach, dlatego nazwano ją »battle of shirts« walką koszul. Zwyczaj mieli z krzykiem nacierać na nieprzyjaciela, stawać do boju klanami, które dzielono na rodziny, stawiając krewnych obok siebie, aby każdy walcząc przy swoich i za swoich mężniej się potykał. Zwyczaj mieli puszcać się w skok na nieprzyjaciela, zatrzymywać się w niejakić odległości, wystrzelić dobrze, wymierzywszy z łuków lub rusznic, i rzucić je; potem zbliżali się jeszcze raz biegiem ku hufcom wrogów, będąc o 10 kroków strzelali do nich z pistoletów, potem je nań rzucali; nareszcie brali się do niezmiernego miecza, a w razie pęknięcia tego, lub zaciętego pasowania się, do sztyletu. Taktyce tej winni byli nie jedną wygraną nad Anglikami, ale później jazda angielska a szczególnie artylerya umiała zniweczyć straszność tej natarczości.

Moralność ówczesnych Szkotów była szczególnego, z dzisiejszemi pojęciami zupełnie niezgodnego rodzaju. Do najszlachetniejszych uczuć i czynów mieszały się najniegodziwsze. Poświęcając się bez granic dla swoich, mścili się bez litości na swych nieprzyjaciółach. Dopuszczali się zaborów, najazdów, nawet okrucieństw. Wojna była ich rzemiosłem, w rabunkach i łupieży nie widzieli nic złego, częstokroć były one ich jedynym sposobem do życia. Mało dbali o uprawę gruntu. Za najpewniejsze begactwo uważali bydło, bo

w razie niebezpieczeństwa mogli je upędzać i upędzone przez nieprzyjaciół odbić. Te zabory samowolne, władzą rządową pohamować się nie dające, pomieszały wyobrażenia o własności do tego stopnia, że górale często nie wiedzieli, co jest *ich* lub *nie ich* własnością. Ztąd zdobycz rabunek i kradzież, uważali za równie dozwolone, i nikt z ich powodu nie czynił sobie wyrzutów, owszem, nie raz chwały w nich szukał. Ztąd przyjaciel złodziejów, księżyc, i przyjaciółki, gwiazdy, ztąd wilki i lisy wzniosły się do zaszczytów heroldycznych, ztąd godła jak: *Reparabit cornua Phoebe* (przyświeci nam księżyc), godło rodziny Harden.

»Ye shall want ere I want« (rychlej tobie zabraknie niż mnie) godło rodziny Cranstoun. »Watch well« (strzeż dobrze) godło Haliburtonów. »Wat'snot ours, thats mine« (co nie nasze, to moje), niby co do klanu nie należy, to będzie moją zdobyczą) godło Mac Phersonów.

Błędne także były ich wyobrażenia o sprawiedliwości, a kary okrutne. Było u nich prawo, że w przypadku niewydania lub ucieczki prawdziwego winowajcy, ktokolwiek z jego klanu mógł być złapanym i ulegał tej samėj, co prawdziwy zbrodniarz karze. Zdarzyło się, że jeden z Campbellów przewinił przeciw Macdonaldom i dla uniknięcia ich zemsty przymuszony był ukrywać się w odległej jaskini z całą swą rodziną do trzydziestu osób liczącą. Macdonaldowie wysłdzili go, i gdy na ostatnie ich wezwanie przestępca nie był wydanym, podłożyli ogień przed otwór jaskini i wszystkich podusili.

Następujący przykład sprawiedliwości przytacza Johnson ze wszech miar wiarogodny pisarz: »Gdyśmy siedli do stołu u Macdonalda, przyszedł dudarz i grał na swym narodowym instrumencie. Podczas tej chrapliwej muzyki, starzec siedzący z nami u stołu rozrywał nas opowiadaniem dawnych dziejów, a między innymi opowiadał i to, że w odległych wioskach Macdonaldowie z Glengary, będąc obrażeni od mieszkańców Cullodenu i nie mogąc zyskać sprawiedliwości, udali się jednej niedzieli w celú pomszczenia się do Culloden. Mieszkańców zastali na kazaniu; zamknęli tedy drzwi do kościoła i podłożyli ogień. I ta pieśń, »dodał opowiadający starzec, którą teraz słyszycie, była właśnie grana, kiedy kościół stał w płomieniach i Cullodencyki w nich się smażyli.«

Unia Szkocyi z Anglią położyła koniec niesnaskom, rozwiązując, wprawdzie nie bez wielkiego oporu i krwi przelewu, władzę wodzów i odejmując im dziedziczne sądownictwo.

Systemat feodalny doznał pierwszego w tej mierze ciosu w roku 1703., a najsilniejszy wymierzony nań został r. 1743, po nieszczęśliwem zjawieniu się w kraju Karola Stuarta zwanego Kawalerem. Odtąd parlament zakazał nosić broń, bez której od wieków żaden Szkot nie zrobił i kroku; zakazał nawet ubiór klanów, jako obudzający dawne niesnaski. Lecz dziś, kiedy wszystko przybrało spokojną postać, a ubiory klanów zamiast trwożyć, zostały tylko historyczną pamiątką, powyższa ustawa, jako przestarzała, utraciła moc swoją, a dawny ubiór klanów, noszony przez milicję szkocką i celtyckie towarzystwo, zamienił się na ubiór chętnie noszony przez patryotów.

Nawet młoda królowa, będąc roku 1840. w Szkocyi, wystąpiła w plaidzie z purpurowego tartanu Stuartów, zapiętym spinką przedstawiającą *Oset*, to jest herb Szkocyi, i osadzoną owemi kamieniami szkockiemi, które zowią *Cairngorms*. Naród unosił się z radości, widząc swą monarchinię oddającą cześć narodowości szkockiej.

Tak opowiadając, czyli raczej w tym duchu na pytania nasze odpowiadając, nauczyciel wiejski przyprowadził nas do granic parku, z kądem po pięknej grobli, usypanej z wielkim kosztem przez jezioro mnóstwem zarosłych kępurozmaicone, postępowaliśmy naprzód, zbliżając się ku starożytnej siedzibie Drummondów.

Park ten i zamek był za bytności królowej Wiktoryi, która tutaj cztery dni u swego kanclerza bawiła, widownią nadzwyczajnego życia. Szczególniej się podobały małżonkowi królowej polowania na jelenie, których tutaj jest jeszcze wielka ilość w stanie zupełnie dzikim. Psami i szczuc i konno ścigać nie można ich tutaj; natura gruntu, nadzwyczajnie dzikiego i skalistego, tego nie dozwala; tutaj sztuka zależy na wytropieniu zwierzca i na zbliżeniu się do niego ukradkiem na odległość strzału.

Księżciu Albert, dobremu widać myśliwemu, udało się zaraz w pierwszym dniu polowania ubić dwóch pysznych jeleni. Uszczęśliwiony tym dowodem zręczności danym Szkotom, młody książę wróciwszy wieczorem do swój królew-

skieję małżonki do zamku, rzekł uniesiony radością, której pohamować nie mógł: »Nigdy w życiu tyle nie doznał roskoszy.«

Na nierównym szczycie stroméj opoki rozpościerają się obszerne budowle wchodzące w skład zamku Drummond. Najstarsza jego część leży prawie już w gruzach, na skale wystającej po nad głęboką przepaść. Kilka tylko pokojów tego grodu jest w stanie zamieszkalnym, lecz za to część nowsza zamku w dobrym znajduje się stanie.

Widok z tarasu zamkowego sięga bardzo daleko aż do niziny Porthu, aż do kopca Duminnan, pod którym pochowano Macbeta, zabitego, jak wiemy z przedziwnej tragedyi Szekspira, ręką człowieka, który nie był synem kobiety.

Lubownikom ogrodnictwa zalecam ogród zamkowy, rozpościerający się po niezmiernych tarasach zamku Drummond. Jest on jednym z najpiękniejszych całej Wielkiej Brytanii.

»*We like to assist nature as much as possible, but it must not be seen.*« Lubimy pomagać przyrodzie o tyle, o ile być może, lecz w sposób nierażący oko — powiedział nam ogrodnik oprowadzający nas po tym raj. I to jest prawdą. Anglicy doprowadzili sztukę kształcenia roślin i ziemi do najwyższego stopnia; produkcyę ich są tak sztucznemi jak tylko być może, a zdają się być zupełnie naturalnemi utworami.

To jest właśnie tryumfem sztuki, że gdy nią jest w doskonałości, zdaje się być całkiem naturą.

Taras był wykutym w opoce, ziemia na nią zwiezioną, drzewa sadzone i ręką ogrodnika pielęgnowane, wody kaskady spadającej z szumem sprowadzone długoletniem świdrowaniem przez kamień z wnętrza ziemi — a jednak zdawało się, że natura jedynie była w stanie dokazać tego cudu. Murawy téj obszernej łąwy składane są kawałkami, a zdaje się, że tu od początku świata tańczą lekkonogie giselle podczas jasnych księżycowych nocey. Nawet te jeziora, na kilkaset stóp po nad powierzchnią ziemi wyniesione, hydrauliką są sprowadzone w łożę prochem wysadzone, a powiedziałybyś, że to owe Morskie Oczy ze szczytów Karpat, spoglądające się tęsknie na sławiańskie krainy. Bluszcz wijący się tak nadobnie po czarnych ścianach skały, rozpościerający swe gałęzie w kształcie dachu ponad łąwami aksamitną trawką umajonemi, wszystko to sztuka pielęgnowuje swém staranném, a tak umiejętném okiem.

A nie jest to ów fantom Hoffmana, małpujący tak wiernie i przerażająco postać człowieka. Nie, to jest Galatea wyszła z rąk Pygmaliona, ożywiona miłosnym technieniem Wenery.

Tu Drummondowie więcej dokazali, niż Ludwik XIV. w swym Wersalu.

Patrz na tę dolinę pomiędzy zamkiem a pagórkami parkiem objętymi; patrz na te dziko rosnące kwiaty! To są podłe wrzozy uszlachetnione wychowaniem! Tu się ucz filantropii, o człowiecze!

Plan całego ogrodu jest, że tak powiem, patriotyczno-szkocki. Główne ulice przerzynają się w kształcie szkockiego krzyża św. Jędrzeja, a pomiędzy nimi błyszczą klomby kwiatów, jak brylanty i szmaragdy tego krzyża, i inne ścieżki otaczają go, jak jego oprawa. Na jednym obelisku w pośrodku ogrodu umieszczono 60 zegarów słonecznych, w sześćdziesięciu różnych sposobach. A z pośrodku krzewów wyglądają marmurowe statuy przedstawiające pory roku, Bachusa, Florę i Pomonę.

Krzewy północne nabierają tu pod nożycami ogrodnika kształtu drzew pomarańczowych, drzewa kształtu palmów i cyprysów: chcą przynajmniej kształtem przypomnieć widzowi cuda natury, których klimat posiadać nie dozwolił krajowi.

Nigdzie nie widziałem tak pięknych pełnych róży, jak tutaj na północy, na podnóżu Grampianów; wychowują je w kształcie drzew, a nie krzewów, jak u nas. Kwitnęły jeszcze lewkonia i gwoździki, i już się rozwijały astry, dalia i georginie. Samych georgiin jest tutaj 6000, zaręczał nam ogrodnik.

Drogi i ścieżki nie są usypane zwirem, lecz krótką pulchną murawą pokryte. Zdaje się wełniany kobierzec, tak jest delikatną ta trawa. Angielki nie lubią stąpać po piasku i kamykach, wolą unosić się jak Sylfidy po trawce—ale też za to pozostać muszą w domu, gdy deszcze trawkę zmoczą.

W samym parku wielka jest ilość drzew iglastych, sosien jodeł i świerków. Nachylają tu umyślnie gałęzie drzew tych ku ziemi, tak że spływają na dół jak muślinowe suknie wysmukłych kobiet, lub jak ogony pawie, kiedy nie są podniesione.

Kto nie podziwiał ogrodów angielskich, a szczególnie szkockich, ten sobie wyobrazić nie zdoła, do jakiego stopnia

natura jest skłonna, gotową do służenia gustowi człowieka, jak łatwo da się nagiąć do wszystkich kształtów. Szkoccy ogrodnicy posiadają tajemnicę tej architektury roślinnej i umieją nadać taką, jaką sami chcą, postać drzewom i krzewom.

Ogrodnik pokazywał nam tutaj pyszną różę, jaką na cześć królowej Wiktorii był stworzył, czyli raczej wyrobił (worked), jak się wysłowił. Róża ta, pełna jak najpełniejsza centyfolia, miała kolor purpurowy i cała była mszystą. Kapusta, rzepa i burak, dochodziły pod ręką ogrodnika do rozmiarów tak olbrzymich, jak niktby może nie uwierzył; strączki grochu przechodziły długość połowy łokcia.

Dla wygody uczniów, uczących się leśnictwa, pan Mac Pherlane wynalazł sposób zmniejszania do rozmiarów miniaturowych wszystkich drzew rosnących w Szkocyi. Drzewa te: dęby, klony, jawory, świerki, grusze, jabłonie, choć są zmniejszone w wszystkich swych częściach do wysokości sześciu cali najwyżej, przedstawiają najwyraźniej obraz i własności pierwotworu. Drzewa te kwitną nawet malutkimi, ledwo powiększającym szkłem widzialnymi kwiateczkami. Zbiór wszystkich drzew rosnących dziko w Szkocyi, w pięknych doniczkach porcelanowych—kosztuje 10 funt. szter. to jest 420 złp. Jednym rzutem oka można się tu nauczyć całej botaniki leśniczkiej. Pan Mac Pherlane nie chciał nam wyłożyć wyraźnie, jakim sposobem dochodzi do rezultatów tak zastanawiających; powiedział jednak, że już jego ojciec miał ten rezultat na oku i pracował przez 40 lat, by go osiągnąć; pokazuje się, że pierwotwory nabywają wolno, stopniowo, generacya po generacyi, tych własności karła, kwitnącego i reprodukującego się owocem.

Nauczyciel wiejski, widząc mnie podziwiałego z taką serdecznością wszystkie utwory natury uszlachetnione lub upieczone ręką ludzką, rzekł mi z zapałem i radością: »Nie prawdaż? u nas pan widzi postęp i wyznać musi, że nie masz pod słońcem kraju, któryby się szybciej doskonalił jak nasza Szkocya. Dzięki rolnictwu i ogrodnictwu, wartość naszej ziemi stała się dziesięć razy większą, a produkuje doskonałe, pożywniejsze, smaczniejsze i dla oka przyjemniejsze. Wszystko winniśmy najprzód łasce Boskiej, to rzecz pewna, ale zaraz potem *dobremu sensowi* naszego ludu, który zaraz pojął, jakie niezmierne korzyści spłynąć mogą na kraj z po-

koju, porządku i swobody kraju. I góral nasz, choć z natury więcej daleko skłonny do jednorazowych wysiłków jak do ciągłej pracy, pojął przecież od razu przy zmianie stosunków społecznych, że ziemia będzie dla niego lepszą matką, jak skały, śniegi i torfy górnej krainy. Raz wyzuty z opieki swych panów nie długo się wahał: zstąpił z swych górnych siedzib, gdzie dotąd groźne a niepewne życie prowadził, i rzucił się do uprawy roli. W swęj przyrodzonej dumie, która go dotąd do bojów, zamieszek i gwałtów pobudzała, znalazł szlachetny bodziec do czynności, mogącej mu zabezpieczyć niezawisłość.

»Zdolności swe przyrodzone wywarł po pierwszy raz od 20 wieków na coś pożytecznego. Ziemię swą uszlachetnił do tego stopnia, że ten kawałek, którego mu kiedyś za ledwie na własne utrzymanie wystarczał, wystarcza dziś sownie na wyżywienie całej rodziny. Ale więcej jak to zdobył: zdobył sobie wiarę w doświadczenie i rozum ludzki, gdyż im był winien polepszenie swego gruntu, wydoskonalenie plonów. Nauki nie prędzej się przyjmą serca człowieka, aż się przekona na ziemi, na gruncie, że ona materialne wydaje korzyści. I dla tego też rzucili się Szkoci odrazu do nauki, i w każdej chatce znajdziesz pan książek użytecznych i pism peryodycznych podostatkiem.«

ROZDZIAŁ XXI.

MIASTO CRIEFF.—RZĘKA EARN.—POETA MALLET.—PLAIDY.—PERTH.—FABRYKI.—NIEMIECCY NAJEMNICY.—DOLINA WALKI.—DUCH KLANÓW.—POBLISKIE ZAMKI.—SCONE.—PARLAMENT.—SZCZĄTKI ZAMKU.—KAMIEŃ FATALNY.—ROBERT BRUCE.—OŚWIATA OBJAWIA SIĘ W ZWIERZĘTACH.—GĘSI UŻYTE DO ŻEGLUGI.—DUNKELD.—MACBETH.—PASZCZA GÓR.—A ROMANIS INWICTI.—GÓRNA I DOLNA SZKOCYA.—ZAMEK KSIĄŻĄT ATHOLL.—ZAGAJENIE SZKOCYI.—DOBROCZYNNY MAGNAT.—MODRZEW.—ZWALISKA.—KLANY.—OBÓZ KRÓLEWSKI.—WODOSPAD BRUANU.—JASKINIA OSSYANA.—MALWINA.—BURNS.—MOORE I BYRON.—ISKRA APOLINA DAR NIEBEZPIECZNY.—BREAD-ALBAN TAYMOUTH.—PRZEPYCH I GUST.—TROFEA RYCERSKIE.—MIASTO KILLIN.—WODOSPAD ACHOM.—OWCE NAMASZCZONE.—GÓRALE.—SZCZEROŚĆ.—CYWILIZACYA.—FALSZ.

Dotychczas podróżowaliśmy po Szkocyi żółtym krokiem turysty, zastanawiającego się z upodobaniem nad każdym przedmiotem nowym, nad każdym zjawiskiem nieznanem, lub niedość zgłębionem; i tak przechadzając się po pięknym miastach, powabnych dolinach, odwiedzając zamki i ogrody, wolno i swobodnie, byliśmy w stanie wyłożyć czytelnikowi najważniejsze kwestye dotyczące się kraju, a przedstawiające z okoliczności. Teraz zaś, gdy niebo już się zachmurzać poczyna, gdy się zbierają grube obłoki na szerokich barkach Grampianu, spieszymy, póki czas, szybkim krokiem w okolicy górzyste, przelemy choć lotem ptaka po nad te piękne miejsca, ożywione na czas wieczny tchnieniem poetycznej przeszłości.

Drogą prowadzącą przez park z półtorą milą doszliśmy do miasteczka Crieff, rozpościerającego się na wzgórzu postawionem u podnóża Grampianu jak sztyldwach przed bramą cytadeli.

U stóp wije się rzeka Earn, której wody o dwie mile dalej widzimy spadające w spienionych falach po ścianie olbrzymich opok.

Sławny poeta Malet, który właściwie był zatajonym Mac-Gregorem, urodził się był w jednym z tych małych domków miasteczka Crieff.

Na rynku wielki ruch. Okoliczni dzierżawcy i właściciele małych folwarków (farmers) zgromadzili się tutaj w celu obrania reprezentanta.

Ubrani byli w największej części po francuzku, ale wszyscy mieli na surdutach lub frakach plaidy Szkockie, zastępujące in paletto, płaszcz lub makintosz.

Plaid Szkocki nie odpowiada, zdaje mi się, ani klimatowi Szkockiemu, ani powadze ludzi dojrzałych. Młody człowiek, pełen żywych ruchów, może chętnie znieść zimno dla przyjemności ubierania się teatralnie; ale człowiek w poważnym wieku i fizyonomią spokojną obdarzony, otulony w pstry plaid Szkocki, nie przedstawia, podług mnie przynajmniej, widoku bardzo zachwycającego. Przytém otulanie, owijanie i drapowanie się w ową długą sztukę tartanu, zabiera istotnie wiele czasu i wiele kosztuje pracy. Wolę ja burnus Afrykański.

Spieszmy do Perthu, do krainy gór i fali, jak ją Burns nazywa dlatego, że góry, jakie zwykle widzieć można tylko wewnątrz kraju, oblane tu są morzem. Znajdują się bowiem nad zatoką Tayu, tą dumą i radością Szkocyi.

Tay jest najpiękniejszym, największym strumieniem Szkocyi. Powstaje on z niezliczonego mnóstwa krynic i wodospadów w górach. Dwa razy Tay wydziera się z szumem i łoskotem z pasma skalistego gór: raz pod Denskeld, drugi raz pod Perth; przy ujściu jego leży miasto Dundee, które w sto lat wzniosło się z małej rybackiej osady do miasta 80,000 mieszkańców liczącego.

Chcąc mówić godnie o mieście Perth i o jego okolicach, trzeba by opisywać go w hexametrach. Szkoci uważają miasto Perth za właściwą stolicę całej średniej Szkocyi, i choć tylko czwartą część ludności bliskiego Dundee liczy, jednakże ze względu na swą starożytność, swą sławę, swą szlachetną postać, Perth jest przekładany nad Dundee. Lud okoliczny nazywa go po dziś dzień „noble Perth, the fair City“, szlachetny Perth, uroczne miasto.

A tak i lud więcej jeszcze szanuje starego podupadłego szlacheica, niż młodego milionowego dorobkiewca.

Dawném nazwiskiem Perthu było Bertha. Agrykola, pokonawszy Szkocyę południową, miał tam r. 70. po n. Chr. swoje stanowisko, czego dowodzą znalezione ulomki dróg rzymskich i kamieni z napisami oznaczającymi stacye. Wojsko rzymskie, widząc zdaleka piękne brzegi wyniesione nad wspaniałą rzeką, miało z radości wykrzyknąć: *«Ecce Tiberim, ecce campum Martium!»*

W różnych czasach zyskiwało miasto Perth różne przywileje i swobody od królów Szkockich, które przyczyniły się znacznie do zamożności jego mieszkańców. Posiada kilka fabryk mosiądzu, blachy, wyrobów bawełnianych, lnianych i narzędzi rolniczych.

Na południowym brzegu rzeki Tay leży piękna dolina. Na niej w r. 1746. obozowali hescy najemnicy w służbie księcia Karola Stuart.

Na północnym brzegu rzeki Tayu także jest piękna, zielona, obszerna dolina. Była ona w r. 1390. świadkiem morderczej walki. W owym czasie panował w Szkocyi król Robert III., który chętnie widział, kiedy klany, opór mu stawiające, ścierały się nawzajem, i dlatego zezwolił, żeby dwa klany Chatam i Kay zakończyły swą kłótnię następującym sposobem: każdy z nich miał swych najmężniejszych ludzi stawić do walki w dolinie, tam miała się odbyć pomiędzy nimi walka, zwycięzca miał otrzymać sprawiedliwość, zwyciężony zaś zupełne przebaczenie.

Trzydziestu zapastników stawiło się z każdej strony; lecz w chwili, kiedy się do boju uszykowali, spostrzeżono, że jeden z Chatamów znikł, nie wiadomo dotychczas, czy z tchórzostwa, czyli też zachorował.

Miał tedy jeden z klanu Kay odstąpić, lecz ci tak zapalczywie pragnęli boju, że żadnego nie można było nakłonić do odstąpienia. Wielki ztąd ambaras dla wszystkich; lecz wtém zjawia się siodlarz z Perthu nazwiskiem Henryk Wynd i ofiaruje się walczyć w miejsce ubyłego Chatama, pod warunkiem, że za to dostanie pół talara złotego. Przystano na to. Dzięki bitności siodlarza, Chatamy odnieśli zwycięztwo, a wszyscy Kayowie zginęli, prócz jednego, który wskoczył w rzekę i ratował się ucieczką. Siodlarz i dziesięciu Chatamów pozostało przy życiu.

Znamy całą tę historję z romansu Walter-Skotta *«the fair maid of Perth»* piękna dziewczyna z Perthu; lecz tu

na widowni tej dziwnej i zaciętej walki, której pamięć tak żywo pozostała w duszy mieszkańców, nie sposób nie wspomnieć o niej raz jeszcze.

Znamionuje ona tego barbarzyńskiego ducha klanów, który tutaj przeszło 2,000 lat nieprzerwanie i niezmiennie panował, nim go Anglicy silnym ciosem na zawsze zniszczyli. Od stu lat żadna chmura polityczna, żadna katastrofa finansowa nie zachwiała pokoju wewnętrznego w Szkocyi. Cały kraj zakwitnął, ludność jego podwoiła się. Szkoci, których przedtém oglądano we wszystkich krajach obcych tak, jak dziś Niemców i Żydów, znajdują dziś w własnej ojczyźnie byt i szczęście. Błogie te owoce przypisać należy pokojowi. Jedno bez drugiego sprowadzićby ich nie zdołało; dowodem tego biedna Irlandya.

Blisko miasta leży wielka ilość pałaców i zamków, na przykład siedziba Kinnoulów w zamku Dupplin-Castle, którego wysoki, szeroki front wystawiony jest na skale naprzeciw miasta, zdaje mu się grozić jeszcze tak, jak przedtém groził istotnie. Jest tutaj w skale podziemny labirynt, nazywają go jamą smoczą; pamiętna ona w dziejach Szkocyi, tak jak nasza Wawelska w dziejach Polski.

Daliej pyszne pałace lordów Grey. Jeszcze dalej dwa zamki: jeden wstawiony zabójstwem dokonaniem na Jakóbie I., drugi więzieniem Jakóba VI.

Dalszych wycieczek celem jest Scone, dawna stolica Szkocyi, gdzie teraz znajduje się odnowiony pałac i kilka starożytnych pamiątek, jako to: galerja obrazów, haftowania ręki Maryi Stuart; malownicze ruiny dawnego zamku otoczone są w ogrodzie bluszczem i kwiatami, powiedziałbyś, że to zwałiska umyślnie stawione, by wabić oko spacerujących.

Dawniej zgromadzał się tutaj parlament Szkoeki. Scone jest teraz własnością hrabiów Mansfield, nie odznaczających się z gościnności, muszę powiedzieć, zaledwie bowiem zdołaliśmy uzyskać pozwolenie zwiedzenia pałacu.

W zamku, którego szczątki służą na upiększenie ogrodu, znajdował się niegdyś ów kamień złożony teraz w Westminsterze, do którego panowanie nad Wielką Brytanią było przywiązane. Uniósł go był ze Scone Edward I. roku 1296. do Londynu.

Ostatnim z królów ukoronowanych w Scone był sławny Robert Bruce r. 1306., który dzielnym swym orężem uwolnił Szkocję od najazdów i jarzma Anglii. Z napisów na kamieniu wyrytych przekonać się można, że obrady narodowe miały miejsce w Scone jeszcze 906. roku.

Do jakiego stopnia oświata przesiąkła w Szkocyi powietrze i wodę, ludzi i zwierzęta, dowodzi widowisko dane nam gratis na rzece Tay.

W wannie, jakich używają do prania bielizny, siedzi pajac ogłaszający zebranej na moście publiczności, że wieczorem towarzystwo Clownów będzie miało zaszczyt popisywać się z swemi sztukami w teatrze Adelfi. Pajac siedzi w wannie, a wanna pływa po powierzchni rzeki od brzegu do brzegu i ciągnioną jest przez sześć gęsi.

Tak jest, przez sześć gęsi, godne potomki kapitolskich wybawców, jak utrzymuje nasz pajac, znający widać dobrze historję rzymską.

Wdzięczna to jest i pocieszająca, dla wielu ludzi nawet, rzecz widzieć, że i gęgająca gęś może być użytą jeszcze podczas życia do czegoś ludzkości pożytecznego. Warto było zwiedzić Perth, *the old, the fair, the saint, the bonny city* (stare, uroczne, święte, piękne i dobre miasto), jak je z czułością nazywają poczciwi jego mieszkańcy.

Spieszmy ku Dunkeld, spieszmy ku miejscom zwanym *„the mouth of the highlands“*, to jest paszczą gór Szkockich. Tu na prawo mijamy pole, na niem kiedyś stał sławny las Birnamski, ów las, który się na znak dany poruszył i zbliżał wolno, wolno ku obozowi zdumiałego Macbetha. Tu leży i Macbeth pod tym kopcem, a tam na lewo pagórek, na którym kiedyś, kiedyś, nieszczęśliwy król Duncan miał swój zamek i dwór, nim go Macbeth przeszył sztylet.

Już się ścieśnia dolina, już się malują coraz wyraźniej na firmamencie olbrzymie, niebotyczne kryształy Grampianu. Drapiemy się mozolnie po krawędziach skał i brzegach przepaści; na prawo tuż pod naszymi nogami huczą spienione wody Tayu, tu się przerywają przez wąwóz, który same utworzyły, z objęć skalistych w zieloną dolinę.

To miejsce nazywa się *paszczą gór*, *the mouth of the highlands*, a za tćm miejscem z drugiej strony wąwozu znów dolina, a w őrodku nićj miasto Dunkeld.

Tu się znajdujemy w krainie tych Szkotów, którzy w herbie swym noszą pićkne słowa: *na Romanis invictis*.

Jesteśmy w górach i piersi nasze jakoś swobodnićj oddechają.

Podział Szkocyi na dolną i górną nie jest bynajmniej sztucznym. Pominąwszy różnicę przyrody, która na wieki pozostanie, jest jeszcze do dziś dnia różnica w ludności zamieszkująćj oba kraje.

Raz przekroczywszy granicę oddzielającą dolinę od gór, znajdziesz w nich zupełnie inną rasę ludzi, usłyszysz jeszcze tu i owdzie celtycki język i widzisz przed sobą kraj, w którym dopiero co poczęła rozszerzać się cywilizacya angielska.

Tu jeszcze napotkasz choć cienie dawnych klanów, usłyszysz mowę o Chieftanach i chodzisz nie raz po dzikich, nieuprawnych strefach. Góry Szkoćkie, zajmując daleko większą przestrzeń jak doliny, zawierają zaledwie szóstą część ludności dolin, zaledwie 400,000.

Nawet w politycznym względie istnieje jeszcze różnica, mianowicie co do cła nałożonego na dystyllacye wódki, na tytoń i na sól.

Dunkeld leży jak na dnie kotła, w około otoczony bliskimi, wysokimi górami, w czarująćj, żyznćj i uprawnćj dolinie. Dodaje mu uroku pyszny zamek książąt Athol, naczelnika wielkiego nićgdys groźnego klanu Murrayów. Dziad teraz żyjącego księcia wiele się przyłożył do uprawy roli, samych drzew kazał posadzić dwanaście milionów na przestrzeni 45 tysięcy morgów gruntu, dotychczas do niczego nie służącego. Sławny Dr. Johnson, podróżujący w r. 1773. po górach Szkocyi i po Hebrydach, utrzymywał, że drzewo w tćj krainie jest tak rzadkićm zjawiskiem, jak koń w Wenecyi. Teraz znalazłby wielką różnicę,—dzićki staraniom księcia Athol, dbałego o dołło kraju magnata i jego naśladowcom.

Góry Szkoćkie pokryły się, jakby czarodziejską sztuką, najpićkniejszymi lasami. Nawet ostatnie krańce gór położonych na północy kraju, porosły borami na kilka mil długimi, naprzykład bór Dirry-Meanach, bór Tarfe, idący

aż do przyładka Wrath. W Szkocyi, tak jak i w Irlandyi, ziemia pokryła się po dwakroć lasami i po dwakroć je straciła.

Z początku naturalnie, w chwili kiedy wyspy Brytańskie wystąpiły z łona oceanu, ziemia była nagą. Później ręka Twórcy przez burze i wichry południowe zaniósła nasiona lasów, ziemia pokryła się bujnym lasem; tak ją znaleźli Rzymianie. Świadczą o tém dzieje, świadczą i potężne pnie znajdujące się w bagnach i trzęsawiskach Hebrydów, gdzie od wieków drzew nie było. Starożytne pierwotne lasy zniszczały powoli w ciągu wieków z winy złego gospodarstwa, niedbalstwa i głupoty ludzkiej. Lecz nasz *nowy czas*, mądry, po tylu bolesnych doświadczeniach, rozsiał nowe lasy na powierzchni Szkocyi. Piękny to dar dla tej ziemi, i magnatom, pojmującym tak godnie swe stanowisko jak książęta Athol, niech będzie cześć i wdzięczność. Bodajby więcej było tak patryarchalnie myślących panów! wszakże książąt nie braknie na ziemi, i sposobności wyświadczenia dobrodziejstw także nie braknie.

Modrzew (*pinus larix*) jest drzewem, które tu najczęściej sieją i które się najlepiej przyjmuje. Szkoci mniemali z początku, że się modrzew w ich zimnej krainie utrzymać nie jest w stanie, lecz książę Athol dowiódł im, że się mylą.

Pierwsze egzemplarze modrzewia przybyły tu w r. 1750. z Tyrolu, gdzie się znajdują najpyszniejsze lasy tego pięknego i użytecznego drzewa. Hodowano je z początku w doniczkach, a później, r. 1757., przesadzono przed pałac księcia. Teraz są to pyszne rozłożyste wysokie drzewa. Jedno z nich zawierało, według obrachunku ogrodnika, nie mniej jak 396 stóp kub. drwa.

Ten sam książę Athol, którego ręka sadziła i pielęgnowała te piękne pomniki własnej mądrości i dobroci, doczekał się największego zadowolenia: żył jeszcze tak długo, że kilkaset jego ręką sadzonych modrzewiów weszło w budowę wielkiej fregaty o 56 działach i popłynęło w świat roznosić chwałę flagi angielskiej. Oby ten przykład zdołał nakłonić do czynności ludzi, którzy się nudzą i nie wiedzą co robić z pieniędzmi.

Obszerny, wiele jeleni, bawołów, lamów, nawet kilka łosi zawierający zwierzyniec opasuje zamek księcia. W nim się znajdują zastraszające swym ogromem zwaliska dawniej kolegiaty biskupiej, spustoszonej przez reformatorów. Ze świątynia musiała być wspaniała, świadczą na pozostałych filarach, wieżach i sklepieniu, sztuczne rzeźby i różne ozdoby, budownictwu gotycko-saksońskiemu właściwe. Wewnętrzna część kościoła obrócono już od dwóch wieków na cmentarz. Tu się teraz mieszają popioły Murrayów z popiołami sąsiednich klanów, a dawnych zaciętych nieprzyjaciół.

A jest ich wiele tych sąsiednich klanów. Są Mac Kaye, Mac Inry, Stewartowie, Mac Inroy, Donnachy i Robertsony. Wszystkie te klany zstąpiły z gór podczas pobytu królowej i księcia Alberta w Dunkeld. Rozpięto tu na obszernej błoniu przed zamkiem przepyszne namioty z różnokolorowych tartanów dla królowej i dworu, dla Chieftanów sąsiednich klanów i dla dawnych ich wassalów, którzy w narodowym stroju, poprzedzeni huczącymi dudarzami, zstępowali z gór w długich szeregach i przybywali witać młodą królowę.

Musiał to być wspaniały widok! tyle przepychu, tyle dawnego życia wskrzeszonego, tyle narodowych pamiątek i zabytków świetnie rozłożonych na tej murawie, w pośrodku tego parku, z którego wyzierają dachy nowego zamku i ruiny starego gotyckiego biskupstwa. Dziś wszystko było cichem, posepnem. Klany siedziały sobie spokojnie w swych górach, a piękna księżna Athol, jeszcze przed kilku tygodniami pani tego miejsca, leżała zimna w grobie swej rodziny. Krótco po odwiedzinach królewskich zachorowała i umarła.

Choć czas nagli, nie możemy pominąć wodospadu Bruanu i mostu pod rozpadliną dwóch gór, między którymi na 50 stóp w głębi bystry potok się przedziera.

Nad brzegami tegoż potoku Bruanu znajduje się jaskinia na pół naturalna, na pół sztuczna, nazwana jaskinią Ossyana. Według podania ludu, w niej ten poeta i rycerz szukał czasami schronienia. Na wydatnym miejscu na ścianie wyryto tęskne słowa, któremi Malwina we śnie przemawia do cienia Oskara:

Patrz na jasną tę postać! jak mdlawe jej cienie!
 To Oskar! on tu spieszy na me pocieszenie.
 Ach, to on! mdły, znikomy i jak mgła uchodzi:
 Stój Oskarze! niech cień twój mój sen mi osłodzi.

Ocnę się harfo moja, niech się żal rozczuli;
 Zabrzmij sławą Oskara, śpiew smutek utuli;
 Ożyj synu Fingala, głośny Ossyanie,
 I z memi wespół połącz twe lzy i wzdychanie

Od dnia klęski zadanej przez ramię Kerbara,
 Puchar uczył nie krążyć po gmachach Oskara;
 Wolno sarny biegają przez Morwenu jary,
 I nie tropio ich w kniejach Oskara ogary.

Myśliwiec cztery głązy gdy zoczy w dolinie,
 „Pokój ci mężu!” rzeknie i mogiłę minie.

Wszystko tu technie poezją; na jedną chwilę nie można tu puścić z rąk cudnych utworów muzy Burnsa, który jest tém dla Szkocyi, czém jest Thomas Moore dla Irlandyi. Obydwaj są poetami lirycznymi, obaj dostąpili w krótkim czasie nadzwyczajnej popularności. W Szkocyi muza Burnsa tak się splotła z każdym pięknym widokiem, z każdą pamiątką historyczną, że każde wspomnienie przeszłości, każdy krajobraz nasuwa piękność jakąś muzy narodowego wieszca.

Wspomnij tylko, choć przypadkiem, o bitwie pod Bannockburne, a zaraz usłyszysz Szkota, jak z rozjasnioném czołem zacznie nucić lub deklamować swym Szkoekim dyalektem:

Scots, wha hae wi Wallace bled,
 Scots, wham Bruce has aften led.
 (Szkoci, którzyście z Wallasem krew przelewali,
 Szkoci, których Bruce tak często wiódł do boju.)

Lub zacznij tylko mówić choć jedno słówko o pięknych wysmukłych góralach Kaledonii, a zaraz echa gór Szkoekich odpowiedzą ci z Burnsem:

Nae, gentle dames, tho' ever we fair
 Shall ever be my Muses care;

Their titles a'are emty show;
Gie me my Highland lassie, oh!

Co znaczy po polsku: »Nie, dostojne damy, choć tak powabne jesteście, moja muza nigdy wami się nie zajmie; wasze tytuły są próżnym przepychem; o dajcie mi mą góralską dziewczynę!«

Szkocki Burns, irlandzki Moore, i angielski Byron, jaśnieli jak trzy gwiazdy prawie jednocześnie nad trzema krainami. Wszyscy trzej należą do nowożytniej szkoły, wszyscy trzej byli ubóstwiani w swęj ojczyźnie i posiadali niewątpliwie od Boga nadany geniusz. A jednak wielka pomiędzy nimi zachodzi różnica. Byron złym był patriotą. Wszystkich trzech bardów serca zachmurzyła gruba smętność, rozrywała boleść. Okropnym to darem dla człowieka, twój święty ogień Apollinie; a tak często go wzywamy przecież!

Moore miał więcej słodyczy, więcej wiary chrześcijańskiej, i szczęśliwszym był w sercu od swych przyjaciół, od swych współzawodników.

Namiętny, burzliwy umysł zakrwawiał serca szlachetnego lorda Byrona i skromnego chłopca Burnsa. Temu ostatniemu dar poezyi stał się najwięcej fatalnym, choć za życia jeszcze doszedł do tój chwaty, o jakiej pewno nie marzył w rodzinnej swęj chatce. Cała Szkocya podziwiała jego muzę i znała na pamięć jęj cudne utwory, ale poetę samego zapomniała. Umarł w nędzy i jeszcze na łożu śmiertelném zebrać musiał swych przyjaciół o złożenie się na 5 funt. szt., które winien był lichwiarzowi grożącemu mu więzieniem.

Dziś mu stawiają kosztowne pomniki. Kosztem jednego biedny Burns byłby sobie zabezpieczył na tój ziemi niezawisłość i dłuższe nawet życie.

Idź na Orkady i Hebrydy, a ujrzysz w rękach każdego mieszkańca, obok psalmów Dawida, pieśni Burnsa!

Stajemy w Kenmore, nad brzegami długiego jeziora Tay, w Taymouth-Castle, wspaniałym zamku margrabiów Bredalbanu, Chieftanów klanu Campbell.

Wnętrze zamku Taymouth mogło zdumieć nie tylko mnie, ale i ludzi zrodzonych w pałacach, i na dworach królewskich wychowanych. Tyle przepychu i gustu nagro-

madzonego tutaj w tój odległej krainie, w tych od srodka cywilizacji tak odległych górach, gdzie każdy krok jest podróżą uciążliwą, w pośród tych skromnych lepianek nie mających nawet komina. Ale pan Breadalbanu jest wielkim, mającym właścicielem. Jego dobra ciągną się na sto mil angielskich, od jednego końca Szkoji do drugiego, ze wschodu na zachód. Dobra takiej rozciągłości nie są rzeczą zastanawiającą w innych krajach, ale tutaj, w małej Szkocji, jest to zjawisko prawie jedynem.

Mnie nie tyle wielkość ile charakter tego przepychu zastanawiał. Nigdzie nie widziałem tyle starożytności nowożytnej, tyle mebli kształtu wieków średnich wyrobionych z smakiem i drobnostkową dokładnością szczegółów mody panującej. Zdawało się, że wszyscy rzemieślnicy i artyści pracujący dla Breadalbanu zrodzeni byli za czasów Franciszka I. i że doskonaląc ciągle swą sztukę, doczekali się wieku dziewiętnastego, by ozdobić obszerne baronów podwoje tym przepychem i tą wykwintnością, jakie dziś jeszcze znieść mogą najwybredniejszą krytykę najdoskonalszych znawców. Jakie tu cuda sztuki snycerskiej w meblach i ozdobach okien i podwojów, jakie kobierce i firanki, malowidła olejne i al fresco, jakie zbiory ksiąg i rycin!

Okolo sali bankietowej, obszernej, wysokiej, ciągnie się galerya na jaspisowych słupach oparta. Szesnaście trofeów rycerskich różnych wieków i narodów zdobi ten świetny przybytek, a te ryzsztunki nie są mdłą imitacją dawnych zbroi, lecz prawdziwe w krucyatach i wojnach francuzkich przez Campbellów zdobyte trofea. Znajdziesz tu szablę Bajazeta, zbroje Karola VI. króla francuzkiego i jakiegoś arcyksięcia austriackiego; zbroje Maurów i Hiszpanów, Indyan i Duńczyków. A jakie okolice! Głębokie doliny leżały pomiędzy niebotycznymi stromemi opokami. Niezmiernie sosny, wyrastające z szczelin skalistych, sięgały swym szczytem obłoków, zdawały się wisieć nad przepaściami. Jezioro rozaczało swe wody w łonie pagórków, a rzeka Tay, wijąca się jak figlarny srebrny wąż pomiędzy łąką, rozwieszczała oczarowane oko. Wznosi się potężny, wieżami i bastyonem powietrze roztrzaskający zamek nad temi cudami natury, a ogród i statuy zstępują z wysokości góry zamkowej po niezmiernym tarasie, aż w dolinę, gdzie

marmurowe Najady i Trytony pławią swe nogi w czystym kryształe Tayu. Brzmi w lesie harfa, w którą sam Eol dmucha, świszczy płastwo, huczą kaskady, a tam siedzi samotny pasterz i nie spuszczaąc z oka swęj trzody, nuci na swych dudach piskliwe pienia i myśli o swęj wysmułkędj góralce.

Wzdłuż południowego brzegu jeziora Tay dążyliśmy ku miasteczku Killin. Droga ta uciążliwa, lecz jakże pominąc góre Ben-Sawyer i wodospad Achern-Den, zkad wody strącają się z wysokości 250 stóp na dolinę.

Hodowanie owiec jest jednym z najważniejszych sposobów utrzymania się dla mieszkańców tych krain. Aby zabezpieczyć młode owce od wpływu wiatrów i niskiej temperatury, mieszkańcy tutejsi używają środka bardzo praktycznego: smarują owe zwierzęta maścią sporządzoną ze smoły i maśła. Maść ta przylega bardzo dobrze i przetrwa zimę, chroni od zimna i owadu, a nie szkodzi w niczém zdrowiu i wzrostowi wełny. Dzięki temu sposobowi, i najwyższych szczytów gór rośliny nie przepadają bez pożytku.

Pierwszą tu noc spędziłem pomiędzy góralami w chatce pasterskiej, niskiej i słomą pokrytej, a wspartej na dwóch starych sosnach, których postannictwem było chronić słabą chatkę od szturmów i wichrów. Piorunu nie obawiano się. Na gałęziach sosny schły na wietrze ryby: to spiżarnia tych dobrych ludzi. Pod sosną stała prassa do sera. Ojciec i syn siedli ze mną przed chatką na zgiętym pniu drzewa i paląc me cygara, opowiadali mi stare i nowe dzieje Szkocyi, a poczciwy kudłaty pies owczarski wścibił mi spiczastą paszczę swoją w rękę i patrzył mi się w oczy tak wiernie i czule, jak rzadko człowiek patrzeć potrafi.

Na prawo paśł się koń rączy góralski, a na lewo beczało małe stado owiec czarno ufarbowanych. U stóp naszych w okropnej głębi leżało jezioro Tay, a z drugiej strony wznosił się ku niebu stary Ben-Sawyer na 4,000 stóp wysoki.

Zazdrościłem mym gospodarzom. Oni tak szczęśliwi, tak poczciwi, a przytem dumni i od żadnego człowieka niezależni.

Jakaś luba spokojność wstąpiła w me serce na widok tędj świetnej olbrzymiej przyrody, i w towarzystwie tych prostych a dzielnych jędj synów. Pomiędzy niemi—o dziec-

ko popsute światowej cywilizacji! uznasz może choć na chwilę, że szczerść uczucia i mowy niewyczerpalnych uroków jest krynicą;—może nawet przyznasz, że tu więcej zasobów życia i szczęścia, jak w owym świecie obłudy pełnym, w którym się urągają litościwie z szczerości i odwagi serca.

Podobał mi się kuc góralski. Siwy, kudłaty, na krótkich silnych nogach osadzony, głowy wprawdzie nie miał arystokratycznej, ale za to spojrzenie mądre i uczciwe. Zresztą był kształtnie zbudowany. Nabyłem go za 15 funtów szterlingów, to jest za 630 zł. pol. Obiecywał dobre usługi,—i nie zawiodłem się. Na nim odpoczywałem w podróży gdym był znużony pieszym pochodem, on nam dźwiżał płaszcze, paczki z minerałami i tłomoczki. Później sprzedałem go bez szeląga straty, bo za cały milion uroczych wspomnień.

ROZDZIAŁ XXII.

JEZIORO TAY.—WYSPA.—KLAN STUARTÓW.—KILLIN.—KOŚCIÓŁ KATOLICKI.—SEMINARYUM.—RZĘKA DOCHART.—MOST WISZĄCY.—BAŻANTY.—DOLINA GLEN OGLE.—JASKINIA ROBERTA BRUCE.—WIOSKA BALKWIDDIR.—PUSTYNIA.—OPARZELISKA I TRZĘSAWISKA.—STRZELEC KAROL STUART.—KRISTY MAC KLARA PUSTELNICZKA.—JASNOWIDZENIE.—SECOND SIGHT.—PAN ERNEST SONNTAG.—BESSEL NATURALISTA.—NIEPOROZMIENIE.—WALKA.—ODKRYCIE.—ZGODA.—DZIERŻAWCY SZKOCCY.—OWCZARZE.—FOLWARKI.—PROSTOTA Z OŚWIECENIEM.—PRZYJĘCIE.—WIECZERZA.—ALFRED STUART DANGLEBY.

Teraz jeszcze szybciej ku celowi, na naszym białym rozumnym kucyku.

Jezioro Tay jest bardzo głębokie i górami tak otoczone, że rzadko kiedy zamarza. W pośrodku jego wyspa, a na niej szczątki dawnego opactwa wybudowanego przez Aleksandra II. króla Szkockiego. W nim pochowana jego żona Sybilla, córka króla Angielskiego Henryka I.

Reformatorowie spustoszyli opactwo.

Około zachodniego końca jeziora Tay mieszka klan Stuartów, jako też i około jeziora Earn i Katerin. Klan ten przyjął nazwisko angielskie. Sama rodzina Stuartów pochodzi od rycerza normandzkiego Walter Fitzallan; został on królewskim zawiadowcą (*royal steward*), tytuł przeszedł na rodzinę w dziedzictwie za nazwisko i przyjętym został przez klan cały: tylko jedni piszą swe nazwisko Stuard, inni Stuart, inni jeszcze Stewart, lub też Steward. Teraz wiemy, czemu jest tylu potomków królewskich pomiędzy Anglikami; — nie łatwiejszego, jak nazwać się Stuart: całe wsie noszą te nazwiska.

Chłopacy do 15. roku noszą tu jeszcze we wszystkich stanach kilt zamiast spodni, a dziewczynki do tego samego wieku bardzo krótką spódniczkę i sandały, lub w wyższych stanach trzewiki, lecz wcale żadnych pończoch.

Każdy wieśniak ma przy swój chatce piec na wypalanie wapna, którym tutaj zaprawiają grunta za nadto torfu za-

wierające. Praktyka ta dopiero od lat kilku weszła w użycie i bardzo się pokazała korzystną. Lecz w ogólności Stuartowie mniej są dbali o uprawę roli jak Campbellowie; mniej tu posiano lasów; góry pokryte są stadami owiec i owym czarném bydłem, które rogatém nie zawsze nazwać można, gdyż bardzo często nie rosną rogi.

Niezmierna jest obfitość torfu zawarta w ziemi, nawet na wysokościach gór, i ten właśnie jest najlepszym.

Killin jest małym, lasami i górami otoczonym miasteczkiem. Stawiano wtenczas nowiuteńki kościół katolicki dla nowo-nawróconych do katolicyzmu protestantów,—zjawisko to zaczyna być dość częstém w Szkocyi. Górale, jako w ogólności więcej poezyi mający, skłaniają się do katolicyzmu.

Pod Aberdeen, w kollegium S. Maryi, jest seminaryum katolickie z 50 seminarystami. Dziś jest w Edyburgu już do 60 uczniów uniwersytetu katolików, kiedy w roku 1822, zeledwie ich dziewięciu było. Parafij katolickich jest teraz w Szkocyi 63, i liczba ich mnoży się ciągle.

Poranek był wyjątkowo pięknym, powietrze czyste, choć cokolwiek chłodne, śnieżne szczyty gór malowały się na lazurze nieba tak wyraźnie w wszystkich swych krańcach i zarysach, jak szczyty Karpat, nad brzegami Dunaju pod Czorsztynem.

Tuż za miastem Killin schodzą się dwie doliny i wylewają przebiegające je strumienie w jedno koryto. Poniżej miejsca, z kąd cała rzeka Dochart spada z wysokich opok i toczy w swych nurtach niezmierne skały, śmiały most druciany łączy dwa brzegi. Ztąd widok niewypowiedzianie piękny. Cały most drży pod potężném tętnem białego żywiołu rzucającego się w przepaść, chwijeje się jak listek bluszczu, a wiatr niesie nam w oczy całe płaty bielutkiej piany.

Rzeka spieszy ku jeziorowi Katrine i my tam dążymy drogą prowadzącą przez żyzne pola. Mnóstwo na nich bażantów na prawo i lewo. Ptaki te tak są w Szkocyi liczne, jak u nas kury. Pozostają one w lecie i zimie pod gołym niebem pomimo srogości klimatu, i nie masz tu zwyczaju chować je w bażantarniach. Tylko wystawiają się w lesie i parkach skrzynie z żywnością. Skrzynie te są z żelaza, zielonym pokostem powleczone. Składają się z dwóch przedziałów: jeden jest zamknięty i służy na mały magazyn dla ziarna, drugi pokryty jest klapą, i zawiera poręcz przema-

czoną dla bażantów. Kłapa otwiera się skoro bażant na nią wskoczy i zamyka się za pomocą łatwej maszyneryi, skoro bażant nasyciwszy się odleci. Bażanty znają doskonale ten mechanizm, gust do mechaniki jest tutaj w powietrzu i udziela się widać i ptakom.

Skrzynie te dlatego są z żelaza, żeby się na deszczu nie popsuły i żeby ich nikt skraść nie mógł.

Droga nasza, z początku piękna, stała się bardzo uciążliwą, skorośmy na dolinę Glen Ogle wstąpili. Dolina ta jest dziką i prawie zupełnie z vegetacyi ogołoconą. Okrążona czarnemi skałami jak ruda żelazna wyglądającemi, a z nich tylko tu i owdzie wrzosa i biedne brzozy wyrastają.

Niezmierne odłamy skaliste pokrywają całą dolinę; czasem się zdarzy, że cała opoka spada i roztrąca się w tysiączne głazy, zasypując pola i drogi. Wiele jest podobnie dzikich, chaotycznych, do uprawy zupełnie niezdatnych dolin tutaj w Szkocyi.

Wydostaliśmy się przecież choć z poranionemi nogami z tej okropnej siedziby Mac-Djabłów, jak ją tu nazywają; wstąpiliśmy w inną dolinę piękną, romantyczną — nawet i klasyczną, w dolinę, na którą nie raz oczami wyobraźni patrzeliśmy.

Tutaj znajduje się jedna z owych sławnych jaskiń, w których prześladowany, ścigany Robert Bruce część swego życia spędził. Miejsce to prawie niedostępne, na którym gnieżdżą się orły, nazywa się Kriczmach Kranach; z samego brzmienia tego nazwiska można sobie zrobić wyobrażenie o dzikości tych skał i przepaści.

Wypocząwszy w Sothearnhead, puściliśmy się w dalszą podróż, znów przez trudne do opisanego parowy, skały, przepaści i góry. W wiosce Balkwiddir zwiedziliśmy grób sławnego Rob Roya, którego imię doszło i trwożyło kiedyś naszą dziecięcą wyobraźnię. Teraz leży na cmentarzu biednej wioski pod skalistym blokiem, na którym wyręła niewprawną ręką długi miecz, znamie rycerskie. Zdawałoby się, że Druidzi wzniesli ten grobowiec, tak jest surowy, ogromny.

Za Balkwiddir też sama dzika pustynia na przestrzeń 3-milową: nigdzie ani śladu życia ludzkiego, nigdzie ani drogi, ani nawet ścieżki.

Jakżeż miały pozostać ślady stóp ludzkich na tym gruncie, częścią skalistym, częścią bagnistym, a prawie nigdzie

ziemią pokrytym? Nigdy nie zapomnę tych 3 mil (geograficznych) oddzielających Balquiddir od jeziora Katerine, ale które wznoszą się do 6, z przyczyny grzbietu skalistego wznoszącego się w pośrodku tej nieszczęśliwej doliny; tu drapać się należało na czworakach; pocziwy kuc stawił nogi z wszelką ostrożnością po kamieniach, usuwających się z pod kopyt i stękał żałośnie pod ciężarem naszych pakunków. Pomimo przewodnika, zesłiśmy nicraz z kierunku prostego, gruba mgła zakrywała nam dalekie punkta, za pomocą których można się było jedynie orientować po tym padole boleści i nudów.

Napotykamy wreszcie kilku pasterzy przekraczających puszcze z północy na południe—ci nas na właściwy zwracają kierunek. Idźmy tedy nowym kierunkiem, nie pewni, czy się mamy cieszyć ze znalezionej drogi, czy też gniewać z straconego czasu.

—»Bez kompasu nie puszcę się już nigdy na te przeklęte puszcze, postanawiam to sobie nieodwołalnie,« rzekłem do przewodnika.

—»To jeszcze będzie gorzej; prostym kierunkiem nie daleko pan zajedziesz. Jest tu mnóstwo zdradzieckich miejsc, które tylko świadomy tej krainy mieszkaniec rozpoznać i ominąć jest w stanie. Patrz pan na tę zieloną wysepkę, jak się śmieje do nas, zdaje się, że to najpiękniejszy trawnik. Postaw pan na niej choć jedną nogę, a zginiesz na wieki i ciała twego żadne ludzkie oko nie ujrzy,« odpowiedział przewodnik.

Istotnie, te zielone wysepki są to odnogi bagniste, porośnięte zdradzieckim chwastem, a tak miękkie i głębokie, że ich zgruntować nie sposób. Znów inne gęstsze bagna pokryte są kamieniami mehem obrosłymi. Po tych kamieniach przejść można, ale biada człowiekowi, któremu się noga pośliznie. Nawet koloryt tej puszczy strasznym jest i melancholicznym. Jedyna rzecz oko rozweselająca leży na najwyższych szczytach gór—to jest śnieg;—a jedyna rzecz człowiekowi pożyteczna leży na długim grzbiecie górzystym—to jest torf.

Taką jest wielka część górnej Szkocyi — taką jest największa część powierzchni Hebrydów, Orkadów i wysp Szetlandzkich. Teraz pojąć jesteśmy w stanie, dlaczego lord Huntt wzdragał się kupić cały archipelag Hebrydów, który mu Jakób VI. za mizerną sumę 34,000 złp. ofiarował. Je-

dna włóka kwadratowa tego gruntu przynosi człowiekowi w przecięciu tyle pożytku, ile dwa pręty kwadratowe gruntu dolnej Szkocyi.

—»Na całym obszarze tej doliny mieszka tylko jedna dusza ludzka, tylko jedna,« rzecze nam nasz przewodnik strzelec, czyli raczej kontrabandzista z professyi, przytém zajadły nieprzyjaciel istniejącego stanu rzeczy. »Widzicie panowie tam na prawo ową chatkę, tam na podnóżu tej groźnej pochylonej skały?«

—»Widzę, widzę, dym się unosi z biednej lepianki i wlece się po krawędziach skały,—a ta skała chwiać się zdaje, lada chwila upaść może i zgruchotać na miazgę mieszkanie i mieszkańców,« odpowiedziałem.

Strzelec. »Ta skała chwiać się zdaje i chwieje się istotnie, i byłaby już oddawna upadła, lecz ją wstrzymuje ta słaba lepianka od upadku.«

Ja. »Nie rozumiem. Ta skała tysiąc razy większa niż owa lepianka, a milion razy cięższa.«

Strz. »Nie ciało ją wstrzymuje, lecz siła przekleństwa, urzeczenia. Jak to? pan nie słyszał w Londynie o stariej Kristy Mac Klarze? Pan, co wiesz tyle, o niej nie słyszałeś?«

Ja. »Nie, nie słyszałem, wyznaję ze wstydem. Opowiedz nam, kto Kristy Mac Klara, o Karolu Stuardzie!«

Strz. »Dziwna to historia. Kristy Mac Klara mieszka tutaj od tak dawna, jak tylko zapamiętać mogę, i umrzeć nie może, chociażby chciała. Stara Kristy ludzi unika, ale nie dlatego, żeby ich nienawidziła, ach nie, to dobra kobieta, ona się oddala od ludzi dlatego, że im dobrze życzy. Biedna Kristy jest udarowaną, czyli raczej trapioną drugiem widzeniem.«

—»Drugiem widzeniem? ha! przecież po raz pierwszy słyszę coś o niem tutaj w Szkocyi, w ojczyźnie tej dziwnej wiary w widzenie duchem, w przepowiednie przyszłości«—zawołałem radośnie i moi towarzysze skupili się od razu około przewodnika.

Stuart. »Tak jest, panie, rzadko już i coraz rzadziej tu u nas w Szkocyi zdarzają się te przypadki. Prócz biednej Kristy i pasterza w Kinkardine i małego Dangleby w wiosce pobliskiej, już może żadnego nie masz człowieka z drugim widzeniem. Na Hebrydach, Orkadach, Szetlandzkich

wyspach i w Gallii częściej się te wypadki zdarzają; dość, że ona będąc już żoną i matką, zapadła na jakąś długo-trwałą chorobę, podczas której spała nieprzerwanie przez czas kilka miesięcy, a później została zupełnie inną istotą. Z wesołej i czynnej, hożej i prostej kobiety stała się smutną, marzącą. Smutek ten wzrastał codziennie i mgłą zalegał coraz grubiej jej duszę. Mąż kochał ją czule, bo była piękną i dobrą istotą; lecz jako prosty człowiek, nie mógł pojąć przyczyny jej smutku i odrętwiałości i często jej wyrzucał jedno i drugie; ona mu zawsze odpowiadała: więcej mnie nie łaj, tylko się lituj nademną i przyczyn mego smutku nie pytaj—nie ich nie potrafi zniszczyć.

»Mieszkała wówczas w wiosce Karrach nad jeziorem Karrin, gdzie stary Mac Klary był kowalem. Tylko się pastrowi zwierzyła z tém, co się z nią dzieje, i opowiedziała, że podczas długiego snu swego wyczytała w księdze wiecznych wyroków los wszystkich swych znajomych, i że ma pewność przeżycia ich wszystkich, choćby najmłodszych. Pastor, jako uczony, nie wierzył w drugie widzenie, uważał Kristy za obłąkaną i nakłaniał ją do modlitwy. Lecz ona, by zapewnić pastora o prawdziwości swego nieszczęścia, powiedziała mu: »I ja powstawszy z mego snu długiego nie wierzyłam, by się ziścił, lecz powoli uwierzyć musiałam, gdy moi znajomi powoli schodzić zaczęli z tego świata porządkiem, jakim ich losy w księdze wyroków wyczytałam, i za nimi pójdą jeszcze w tym miesiącu: stary Dunban dzwonnik i syn Jakóba Mac Kauley, który teraz jest w wojsku, a nawet stara ciotka wielebnego plebana.« I to się ziściło; Kristy błagała nieba, by z niej zdjęło dar okrutny drugiego widzenia;—lecz napróżno. Kilka razy do roku zapadała w sny długie, w których nam wyroki nowonarodzonych lub nowoznajomych wyczytywała. Życie stało się dla niej okropną męczarnią. Przeczyła męża i dzieci dwoje, nareszcie nie chcąc być świadkiem zgonu swych bliźnich, zapisała domek swój i grunt gminie, pod warunkiem, żeby jej co tydzień na tamto wzgórze wysyłała koszyk z żywnością: chlebem owsianym, i sérem. Wybudować kazała chatkę pod tą groźną skałą, gdzie płynie strumyk i gdzie torfu nie braknie; tam trzyma sobie dwie kozy i tam czeka śmierci, która nie nastąpi, aż ostatni z jej znajomych umrze.

»Dlatego unika ludzi biedna istota! — Smutno na tym świecie być więcej jak człowiekiem, i mieć choć iskierkę boskiej wiedzy.«

Tak skończył nasz przewodnik, a jego twarz brunatna wyrażała tak serdeczną litość, tak głęboką wiarę, żeśmy wątpić nie mogli o szczerości słów jego, choć podzielać tę wiarę nie byliśmy w stanie.

— »A ciebie zna Kristy? Karolu Stuarcie!« zapytał młody Ernest, jeden z mych towarzyszków.

— »Widziała mnie małym dzieckiem, ona nawet jest moją krewną, ja przed nią z tego świata zejść muszę,« odpowiedział przewodnik smutnym bardzo głosem.

— »A więc by ci zabezpieczyć długie życie, pójdę zawrzeć znajomość z starą Kristy i zmusić ją do przeżycia mnie zdrowego i młodego,« rzecze Ernest, i nie myśląc długo, biegł co żywo ku chatce.

— »Hanież szczęśliwy! stój!« krzyknął piorunującym głosem Karol Stuart, rzucił na ziemię torbę swą i lejąc kucą i puścił się za Ernestem. 50-letni góral, lecz szybki jak jeleń, doznał młodzieńca, objął go rękoma i jak sнопek słomy powalił o ziemię. Ale Ernest powstaje z ziemi i chcąc się pomścić zniewagi, rzuca się na górala; następuje walka na boksy, z obu stron dość systematycznie i według reguł wykonana. Przypadamy i rozłączamy zapasników.

— »Będziesz pan miał satysfakcję!« rzecze góral z najmniejszą krwią w świecie; — podnosi z ziemi kapelusz filcowy Ernesta, kładzie w niego kamień około funta wagi, przyczepia do skrzydła długi szpagat i mówiąc do nas: »*follow me*« (idźcie za mną), poszedł kierunkiem przez Ernesta w biegu obranym jeszcze ze sto kroków naprzód, potem się wstrzymał i powiedział:

— »Patrzcie i sądziecie!« i rzucił przed siebie o dziesięć kroków najdalej kapelusz dnem ku ziemi. Kapelusz padł nagrunt, na którym i kropli wody nie było, zapadł się na nim w parę sekund w otchłań i biegł w nią coraz prędzej. Sznurek wił się z ręki górala, było go z piętnaście łokci, i to nie wystarczyło. Góral spojrzał się teraz na Ernesta: »Czy masz satysfakcję, czy mi chcesz podać rękę?« Zbladł nasz naturalista okropnie i z miłą chęcią odstąpił od dalszej walki. Podał rękę góralowi i wyciągnął sznurkiem swój kapelusz. Wszyscy trzej naturaliści: geolog, botanik i zoolog, rzucili się nań

z ciekawością, by rozpoznać, jaki gatunek gruntu zawarty w kapeluszu.

— »Ten grunt taki lekki, jak jego głowa,« rzecze do mnie góral śmiejąc się.

Geolog znalazł w kapeluszu kamyczki, zoolog robaczki, botanik zaś jakieś bardzo ciekawe grzybki. Wszystko było w tym kapeluszu, to prawdziwa puszka Pandory. Związano więc kapelusz w chustkę i noszono go kolejno na końcu kija na barkach, dla zbadania w stosowniejszej porze.

Zgoda i pokój znów nastąpiły. Niespodziewana przygoda wzbudziła w nas nowe siły; bieглиśmy naprzód, chcąc jak najprędzej wyjść z puszczy. Lecz rozmowa nie przestawała się toczyć i zawsze zwracać do wiary w drugie widzenie.

— »Powiedz przyjacielu Stuardzie, czy wam religia pozwala wierzyć w istność drugiego widzenia?«

— »Spytaj mnie się pan raczej, czy mi pastor pozwoli wierzyć w istność drugiego widzenia? a odpowiem panu, że nie pozwoli, że nam tego wzbrania najuroczyściej, że nazywa zabobnem wszystką wiarę przechodzącą granice rozumu, a nie wchodzącą w poczet dogmatów wiary. I jakżeż inaczej być może! w tak ważnych rzeczach pastor, jeżeli chce pozostać pastorem, musi się trzymać prawa pisanego, wiary zaprzysiężonej;—lecz, że pani pastorowa i panny pastorówny wierzą w istność drugiego widzenia, o tém panu cała wieś zaręczy, bo mamy dowody na to.«

Tak zakończył Karol Stuart i więcej ani słowa powiedzieć już nie chciał w tej materji.

Tak jest, nie już w tym względzie nie chciał powiedzieć nasz przewodnik, bo niedowiarkom nie lubił rozprawiać o rzeczach wymagających dobrej wiary; — mnie tylko w sekrecie i z ostrożnością nasunął, że w pobliskiej wsi pokaże mi dziecko obdarzone *drugim widzeniem*.

Wstępujemy w las, najprzód dość rzadki, powoli coraz gęstszy;—zaczynamy schodzić z góry w dolinę. Miałem czas dumać, bośmy w milczeniu naprzód postępowali.

Wiara w prorocze jasnovidzenie w tym prostym ale tak rozsądnym, tak jędrnym ludzie, to coś zastanowienia godnego! to coś niepojętego! Ten lud cały szalbierzem być nie może—jego spojrzenie tak śmiałe, pewne i rozumne. Na spodzie serca u najrozsądniejszego człowieka jest pe-

wna chęć wiary w tak nazwane rzeczy nadprzyrodzone, w cuda, w upiory, w zabołony nawet. Rozum ludzki, krótki, nie wystarcza pożądlivosti duszy naszej, radziłyśmy odkryć jakąś część węzła, łączącego nasze doczesne życie z przyszłym, tak długim. Wyrzec się nie możemy nigdy szczerze, przed sobą samym przynajmniej, pewnych nadziei w objaw nowych sprężyn, nowych żywiołów istności, potwierdzających to, co nam jest tak potrzebnym do szczęścia, potwierdzających już tutaj na tej ziemi, że po za nią jest życie, jest pamięć, jest wieczność. Kilka razy w mém życiu miałem sposobność przekonania się, że to, co pospolicie nazywają lunatyzmem albo jasnowidzeniem magnetyzmu nie jest prostym wymysłem szalbierstwa, przewrotności lub głupoty. Nie byłem tedy skorym urągać się z łatwowierności mego przewodnika; owszem wyznam szczerze, że jego naiwna, a z taką szczerością objawiona wiara w istność drugiego widzenia, silne na mnie, i dla mnie samego zastanawiające sprawiła wrażenie.

Znużeni, odpoczęliśmy na chwilkę. Moi naturaliści dalejże do kapelusza, który podziemną odbył podróż,— a ja biorąc na bok przewodnika, mówię do niego uroczystym głosem.

— »Słuchaj! przyjacielu Stuarcie. Wierzaj mi, że nie płocho ciekawość mną powoduje. Pewny jestem twój rzetelności, i przysięgłbym, że masz inne jeszcze dowody na poparcie twój wiary. Udziel mi ich, proszę, nie zatrzymaj nic przy sobie, co mnie oświecić może w tak ważnym przedmiocie.«

Karol Stuart wlepił swe bystre oczy w me oblicze, i długo śledził, czy się w nich żadne nie objawia szyderstwo. Nie znalazł go ani śladu.

— »Ja jestem prostym człowiekiem« rzecze mi nareszcie; »prócz méj wiary i kilku przykładów usprawiedliwiających ją, nie panu dać nie mogę. Ale w miejscu, do którego dążymy, żyje człowiek bardzo uczony, z doświadczenia i z książek uczony, a ten człowiek wierzy w drugie widzenie, bo jest synem i ojcem istot obdarzonych tym rzadkim przywilejem; z nim mógłbyś się dogadać o rzeczy tak dla siebie powabnej, gdybyś....«

Ja. »Cóż, przyjacielu Stuarcie, gdybyś?... kończ, proszę cię.«

Stuart. »Gdybyś w nim potrafił wzbudzić toż samo zaufanie, jakieś wzbudził we mnie.«

Ja. »Wzbudzę, ani o tém wątpić. Ale powiedz, na Boga, kto jest ten człowiek? jak się do niego zbliżyć?«

Stuart. »Ten człowiek, to mój kuzyn, nawet nie bardzo daleki, coś w siódmym czy ósmym stopniu. Nazywa się Francis Stuart of Dangleby, i jest dzierżawcą jednego z folwarków hrabi Moray, także Stuarta rodem. Wszystkich was czterech nie mogę do niego zaprowadzić, obraziłbym sobie Misis Jefferies, gospodynię oberży,—ale pana i owego postrzelonego naturalistę, z którym zawarliśmy przyjaźń na boksy, chętnie zaprowadzę do Francisca. Gościnnie to człowiek, będzie wam rad jak dawnym znajomym. Tylko o jedną panów rzecz proszę: nie bądźcie zanadto skoremi do kwestyj, nie badajcie go za prędko, czekajcie aż mu porter, gin i grok serce otworzy. Na syna zaś, chłopaka dziesięcioletniego, nie zwracajcie wyraźnej uwagi, bo się stary lis spostrzeże, że nie bez kozery do niego przyszliscie.«

Propozycya przyjęta jak najchętniej— rzecz cała ukartowana z Ernestem, który tymczasem wydobył z swego głomoka coś podobnego do czapki, i nią zastąpił swój geologiczny kapelusz.

Wstępujemy w las, z razu dość rzadki, ale gęstniejący powoli; — schodzimy w głęboką dolinę i spostrzegamy kilka nadobnych dworców i liczne zabudowania folwarczne.

Sześć rodzin, samych Stuartów, dzierżawi włość tę całą; żyją z sobą w pewnej spółce gospodarskiej co do uprawy roli i hodowania owiec, których posiadają razem do 6000. Panem gruntu jest lord Doune hrabia Moray. Jest to najmajątniejszy z wszystkich Stuartów, lecz nie jedyny par Szkocyi z tej rodziny. Baronowie Blantyre, hrabiowie Tranquair są także Stuartami.

—»Kuzynie—przyprowadzam ci gości, dwóch zagranicznych doktorów, którzy radzi poznać zbliska nasze gospodarstwo szkockie, i przekonać się, czy tak sławiona gościnność szkocka nie jest czczem słowem.«—Tak nas przedstawił Karol Stuart swemu kuzynowi.

—»Dziękuję ci kuzynie za ten nowy dowód twój o nas pamięci, a wam, moi panowie, serdecznie dziękuję za za-

szczyt. memu skromnemu domowi wyświadczony, « odrzekł gospodarz domu, sadzając nas obok kominka.

Pan Francis Stuart był sobie człowiekiem dość prostym z miny,—nie wiele się różnił układem i ubiorem od zwyczajnych wieśniaków Szkocyi. Ręce miał osmolone ową maścią, którą namaszczają owce, żeby im ciepło było, i żeby im wrony wełny nie wyskubywały. Dom jego podzielony na dwie części: na prawą, zawierającą obszerną salę, gdzie jeść gotowano dla państwa i dla czeladzi, gdzie jadła cała rodzina wraz z czeladzią, gdzie ciągle krążyli parobki i dziewczki, gdzie wielki monumentalny stoi magiel, żarna i piec do pieczenia chleba—słowem, tu się obraca całe potoczne życie czynnego gospodarstwa szkockiego. Ale wszystko było w porządku, choć mnóstwo rzeczy nagromadzonych w tej obszernej izbie.

Na lewo, u wejścia był salon na przyjęcie ceremonialnych wizyt, a za nim trzy sypialne pokoje: dla rodziców, córek i dla młodego panicza, małego, bladego i smętnego chłopaka.

Na piętrze trzy pokoje przeznaczone dla gości.

Wszystkie te pokoje były czyste, a nawet wykwintne. Koberce pokrywały podłogę i schody prowadzące do gościnnych izb.

Wszystko to pokazał nam gospodarz zaraz w pierwszych chwilach naszej znajomości; potem nas zaprowadził na piętro do izby o dwóch czystych łóżkach, pozwalając nam czasu do przebrania się.

Schodzimy. Właśnie wracają córki domu z pola, gdzie żniwiarzom pomagały,—trzy córki piękne jak łanie, zdrowe jak tulipany i wesołe jak lube dzieci natury. Panienki wyrażały się doskonale dyalektem angielskim, lecz pomiędzy sobą mówiły narzeczem szkockim, bardzo naiwnym, choć niekoniecznie pięknie brzmiącym. Ale w ustach pięknej młodej kobiety wszystko nabiera uroku.

Wkrótce zaś nastąpiła wieczerza w izbie wielkiej, w której stały piec, magle, żarna i warsztat do tkania. Goście, gospodarstwo i czeladź zasiedli po krótkiej modlitwie przemawianej kolejno przez uczestników—było wszystkich do czterdziestu. Suto nas przyjmowano: gęś, tak nazwana salonowa, nadziana plumpuddingiem, jarzabki i wyborne ryby z czarnego jeziora, warte były podniebienia Lukulla.

Przy wieczerzy mieliśmy sposobność przeświadczenia się, że prostota nie jest w Szkocyi oznaką zaniedbania umysłowego. Żadna z kwestyj politycznych i religijnych, tyczących się kraju, nie były ani obojętną ani obcą nie tylko gospodarzowi naszemu, ale i jego sługom, *prostym parobkom*. Wszystkie ulepszenia rolnicze, nowo odkryte sposoby korzystania z czasu i siły znanemi im były doskonale. Przytém znali mniej więcej stosunki polityczne całego świata, i często cytowali swych poetów. Panny Stuart przedeklowały nam kilka pieśni Burnsa i pół poematu Pani Jeziora.

Mały Stuart, owe dziesięcio-letnie chłopię, nie brał naturalnie udziału w ogólnej rozmowie, ale oka nie spuszczał z ust mówiącego, a szczególnie kiedyśmy, przybysze, kwestyę jaką wnieśli lub popierali. Oko to było głębokie, mądre i przewidujące. Młody Alfred doznawał, nie tylko ze strony sług ale i całego domu, sióstr nawet i ojca,—pewnego rodzaju części. Uważano go widocznie za coś nad człowieka wyższego. Spojrzenie miał w wysokim stopniu sympatyczne—każdy w nim odgadywał piękną, kochającą a cierpiącą duszę.

Wieczera trwała dość długo—mieliśmy czas poznać się doskonale z gospodarzami i jego rodziną, i obznajmić się z stanem temperatury sercowej domu. Była ona rozgrzewającą.

ROZDZIAŁ XXIII.

ROZMOWA POMIĘDZY PANEM STUART I NAMŁ.—FILOZOF.—MAGNETYZM ZWIERZĘCY I MEDYCYNĄ.—PRZECZUCIA.—PROROC-TWA.—PRZYSZŁOŚĆ.—OPOWIADANIE.—DZIECKO PRZEWIDUJĄ-CĘ PRZYSZŁOŚĆ.—WALKA PSÓW Z WILKAMI.—BIEDNY HEK-TOR.—DUNKAN.—FILOZOF UPOKORZONY.—PROFANACYA ŚWIĘ-TOŚCI.—MAGNETYZM W RĘKACH SZARLATANÓW.

Słońce dawno już zapadło—na dworze śnieg z gór za-wiany pruszyć zaczął, a księżyc prawie w pełni przy-świecał cudownemu krajobrazowi, przybranemu tak nagle w szatę niewinności.

W godzinę po wieczery, panny Stuart, zęcane pracą, powiedziały nam dobranoc, a młody Alfred, podawszy nam wszystkim kolejno rękę, udał się do swęj sypialni i zamknął jęj drzwi wewnątrz na klucz. Znajdowaliśmy się w ówczas w owęj sali zwanęj ceremonialną na le-wo od wnijscia; siedzieliśmy sobie z gospodarzem i z kil-koma z jęgo przyjaciół, przy kieliszku wybornego Port-wina.

— »Syn pański bardzo ostrożny na swój wiek, panie Franciszku Stuart« rzeknie dość niezręcznie Ernest Son-natag; »zamyka się w swym sypialnym pokoju? a to rzecz dziwna—taka nieufność w dziecku!«

Jest to dziecko bardzo oryginalne, wistocie,» odpowie-dział ojciec, tłumiąc swój głos; »ale niech pan nie uważa na jęgo maniery, dusza w nim jest dobra, bardzo do-bra.«

Taka odpowiedź nie zadowolniła ani Ernesta, ani też mnie. Postanowiłem postąpić strategicznie: wziąć gospo-darza rozmową lekarsko-magnetyczno-mystyczną w for-malne oblężenie i zmusić go do poddania się wtenczas właśnie, gdy wszystkie swe bataliony do obrony wła-

snego zdania z forticy swęj wyprowadzi. Taki manewr udaje się łatwo z ludźmi lubiącemi i umiejącemi długo przemawiać o jednym przedmiocie. Z płytkimi ludźmi trudniejsza sprawa.

Gin, whisky, rum z Jamajki, Portwino, musiały konspirować razem zemną przeciw dyskrecyi gospodarza. Wszystkie zresztą zachęcało do rozmowy. Na dworze mroźno, wiatr wył w kominy, śnieg ciągle padał i zimno w szyby trzaskało. Długo trwała rozmowa, nareszcie przybrała ten charakter naukowości, do którego ją wznieść usiłowalem. Francis Stuart dowiódł, że jest mocnym i na tém polu, zajmowały go wszystkie kwestye tyżące się nauk przyrodzonych, sztuki lekarskiej i filozofii. Nie zadziwi to nikogo, kto miał sposobność poznać wieśniaka szkockiego: na całej kuli ziemskiej nie masz tak uczonego rolnika.

— »A zatem pan, który jesteś filozofem, jak mniemasz, *de jure et de facto*, ani przypuścić nie chcesz, żeby istniały na tym świecie inne siły jak te, któreście panowie oficjalnie uznali *in nostro docto corpore*; a ty panie, który jesteś lekarzem i musisz się ciągle mierzyć i pasować z siłami zniszczenia wkraczającemi w życie, pan utrzymujesz, że znane i oficjalnie uznane siły natury nie wystarczają ani na przywrócenie zachwianej równowagi w życiu, ani na wytlómaczenie wszystkich jego fenomenów» mówił do nas Francis Stuart, rozumując parlamentarnie rozmowę, toczącą się od dwóch godzin.—»Ale teraz idzie o to, rzecze on dalej, czy lekarze już wpadli na ślad jaki sił innych, a objawiających się w mniej więcej podobnych okolicznościach podobnemi skutkami.«

Ja. «Zdaje się, żeśmy wpadli; wszakże od lat kilkunastu i Doktor Medycyny mówić może o magnetyzmie zwierzęcym bez zarumienienia się przed swemi kolegami, bez ściągnięcia na siebie podejrzenia, że nie znając dobrze *środków*, któremi rozporządza sztuka lekarska, ucieka się do guseł i zabobonów: To już wielki moment w historii postępu.«

Francis Stuart. »To rzecz jasna! ludzkość jest zaudmą z posiadania prawd dotychczas zdobytych; w swęj zarozumiałości nie widzi, że się nawet przez pierwszą

warstwę prawd rękami dotykalnych nie przebiła jeszcze. Nie jeszcze nie będziemy- umieli dopóki nie poznamy praw, według których tworzą się, rozwijają, doskonałą siły ducha,—praw, podających nam środki wpłynięcia wolą naszą na potęgę naszego ducha, tworzenia tych *zastanawiających*, mylnie *nadprzyrodzonych* zwanych zjawisk, które zdarzają się czasem przez szczególną łaskę lub przez szczególne dopuszczenie Boskie.«

Słowo w słowo podają tutaj, co Francis Stuart, chłop szkocki, wyrzekł z trudnym do opisania zapałem i namaszczaniem. W tak ważnej materji żaden autor nie chciałby się dopuścić egzageracyi.

»Tak, moi panowie!« rzecze dalej nasz gospodarz, widząc nas milczących i w osłupieniu na siebie spoglądających. »To, co nazywamy magnetyzmem zwierzęcym, powinno było przekonać nas dostatecznie, że dla wzroku duszy, wzbudzonej do najwyższej potęgi w ciele uspiioném, nie masz zapor ani przestrzeni; ale tu idzie o rzecz jeszcze inną, milion razy ważniejszą, a jednakże istniejącą. Dusza ludzka, wyższą wolą usamowolniona z więzów ciała, przenika nie tylko zapory i przestrzeń, lecz nawet czas, lecz nawet i przyszłość. Przeczucie—proroctwo—oto wyższe potęgi ducha z więzów ciała oswobodzonego, oto najwyższe z znanych nam, a prosto prowadzących do tego, na czém się gruntuje *to*, bez czego ani nędzarz, ani bogaty nie może być szczęśliwym, na czém się gruntuje *religia*.«

Mówiłem, że zostawaliśmy w stanie osłupienia, słysząc te myśli tak ważne, w dobitnym, jędrnym, wyraźnym języku wymówione przez prostego wieśniaka, przez człowieka oddającego się niskim, pospolitym, *myśl zabijającym* zatrudnieniom uprawy roli i hodowania owiec. Ernest Sonntag, niedowiarek najpierwszy wyszedł z osłupienia; on znalazł w swym filozoficznym sceptycyzmie, w swój uczonnej zarozumiałości, zasoby myśli, których ja nie znalazłem od razu, ja, syn mocnej wiary, wierzący w rzetelność przekonania każdego z mych bliźnich.

—»Tak tedy, rzekł Ernest, ty mówisz o przeczuciu, o proroctwie! A gdzież są podpory przeczucia i proroctwa, jeżeli nie w istnieniu przyszłości? A czy przyszłość istnieje? wszakżć ona wynikiem naszej woli, naszych błędów i ty-

siąca tysięcy ślepych trafów, przyszłość jest dzieckiem naszych dzieł rozumnych czy nierozumnych, każdej zmiany powietrza, każdej przypadłości nieprzewidzialne, całym rozumem najoświeczonego najbystrzejszego człowieka. Nie mamy przecucia—proroctwa być nie może.

Francis Stuart. »Nie! mylisz się, panie filozofie! mylisz się; choć potępiać cię nie mogę za twą bezwzględną wiarę, wolną wolę, gdyż człowiek umiejący ją poznać i szanować, mniej jeszcze błądzi jak człowiek błakający się ciągle pomiędzy dwoma ostatecznościami, idący wolno tam-gdzie go wzywają namiętności, a poruczający przeznaczeniu lub ślepego trafowi wyniki swój obojętności i swego niedbalstwa. Ja inaczej wierzę, ja silę się, bym działał jaknajlepiej i Bogu dziękuje, gdy dobre plony z mych czynów odnoszę; ja Boga proszę o przebaczenie, gdy się przekonam, że zbłądziłem; ale wiem, że pomimo Jego woli i wiedzy nie się stać nie może, ja wierzę w przeznaczenie. Przyszłość jest tem co się później pokaże, że już jest. Przyszłość jest rzeczą już dziś w rękach Boga istniejącą. Zresztą, przyszłości nie byłoby, gdyby ją przewidzieć nie było można, a ja wierzę w przewidzenie przyszłości!

»Ah! mamy cię przecież na twym własnym polu« powiedziałem sobie, a Ernest, przedmiotem dyskusji, porwany, krzychał: »Dowody, dowody! proszę o dowody!

Francis Stuart pomyślał minut kilka, potem powiódł po nas okiem ciężkim, badawczym, nareszcie rzekł: »Słuchajcie panowie! to co wam powiem, jest rzeczą ważną, uroczystą, świętą. Sam się sobie dziwię, że cudzoziemcom, których znam zaledwie od godzin kilku, zawierzać mogę tajemnice tego rodzaju. Ale czynię to w pełnym przekonaniu, że jesteście dobrymi, godnymi istotami, że słowa moje padną na was, jak spada rosa na spragnioną ziemię, że w was wsiąkną i nie przejdą bez skutku jak ów deszcz lipcowy, który zaledwie spadnie, a już się ulotni. Słyszyć już musieliście w waszym życiu o drugim widzeniu Szkotów, Irlandczyków i innych ludzi, których posępne niebo kraju, powietrze, może magnetyzm w ziemi zawarty, długie, rzetelne rozmyślanie nad władzami ducha i przeznaczeniem duszy, nareszcie dziwna jakaś, częstokroć prawie chorobliwa organizacya, usposabia do stanu, jakiego wielu ludzi pojąć nawet nie może, a który my na-

zywamy ekstazą duszy. Ludzie w tym stanie mają pro-
roczce widzenia, o tém nikt z nas nie wątpi. Ludzi ta-
kich niewiele, gdyż z postępem tego, co nazywają cywi-
lizacją, dusza krępuje się coraz więcej materją; trudniej
jój zatem przychodzi od niej się odsuwać, odosobnić,
usamodzielić. Ale ludzie tacy dziś jeszcze istnieją. Na
tój dolinie, którą przebiegliście z tak wielkim trudem, jest,
żyje istota, niewiasta już prawie dziewięćdziesiąt lat li-
cząca, którą zbyt oddanie się miłości macierzyńskiej
wprowadziło w stan egzaltacji umysłowej, następnie
w chorobę, podczas której czytała w księdze przeznaczeń
że wszystkich swych znajomych przeżyje. Dla niej pro-
roctwo to było męką, karą, jaką Bóg wymierzył już na
tój ziemi istocie mającej niezmiernie zasoby *miłości*, a zwraca-
jącej je całkiem dla swego własnego ciała, dla życia
swych dzieci. Ojciec mój inny miał rodzaj przewidzenia,
zdobył go długoletnimi modłami, rozpamiętywaniem Pi-
sma świętego, odosobnieniem się długoletniem na wier-
chołkach gór, zanurzonych w mgłę i obłokach. Człowiek
ten przewidywał nie tylko śmierć swych bliźnich, lecz tak-
że ich moralny upadek, jeśli im groził, i całą korzyść swe-
go boskiego przywileju zwracał ku dobru swych bliź-
nich, ostrzegał ich i nawracał, i nawróconych Bogu odda-
wał. Wielkiem zmartwieniem dla niego było, że nie
miał syna. Siedm córek, z których dwie Bóg do swej
chwały powołał (dwie poszły za mąż, a trzy jeszcze się
w domu chowają), przyszły na świat w dwurocznych od-
stępach; mało miałem nadziei zostać po raz ósmy ojcem,
gdyż już od lat siedmiu nowego nie miałem potomka. Ale
rodzic mój zapewniał mnie że przyjdzie na świat syn, któ-
ry ducha jego odziedziczy, i że się doczeka jego urodzenia,
lubo był starcem zgrzybiałym i widocznie chylił się do
grobu. I ta się ziściła przepowiednia.

»Przyszedł mi na świat syn, lat temu dziesięć, i przy-
ściem swém wielce rozradował starego mego ojca. Osta-
tnie chwile swego życia strawił przy kolebce nowo-naro-
dzonego, błogosławiąc go i na śmierć się gotując. Umarł,
jak sam przepowiedział, w kilka godzin po ochrzczeniu uko-
chanego wnuka. Nigdy nie mówił o jego przyszło-
ści, choć nie brakło pytań, ale nigdy nalegać nie śmieliś-
my. Dziecko to, jeszcze będąc niemowlęciem, różniło się

od wszystkich innych: nigdyśmy go nie słyszeli płaczącym—ani jednego razu. Potem, gdy przemawiać i bawić się zaczęło, jego słowa i ruchy wyjawiały jakąś dziwną rozważę. Godziny całe pozostawało nieporuszone, patrząc się pogodnym, rozumnym okiem na nasze posępne, tajemnicze niebo szkockie. Tak jest! duch mego bogobojnego dziadka przeszedł w to dziecko, o tém wątpić nie można było. Alfred pokochał naszą trzodę, i mając zaledwie lat sześć, przepędzał letnie miesiące tam, na wierchołkach naszych lubych gór, pod zastoną nieba lub też wątego szałasu—tam, gdzie my wyprowadzamy nasze owce. Czytać, pisać nauczył się nie wiem gdzie i jak od pasterzy, toż samo katechizmu i arytmetyki. Pismo święte nie odstępuje go już od lat kilku, w niem się zagłębia, choć je nigdy nie cytuje, choć nigdy o niem nie mówi, co zadziwiającą jest rzeczą, gdyż każde słowo wymówione lub wycytane zostaje w jego pamięci, jak gdyby ryłcem w granit wryte. Rodziców swych i siostry kocha z czułością, ale bez uniesienia; gdy który z nas zasłabnie, on wtenczas obiera sobie stanowisko przy łożu chorego i nie opuści go, aż do zdrowia wróci. Oh! dziwne to dziecko, nieprawdaż sąsiedzi?»

—»Dziwne, i dla nas samych byłoby niepojęte, gdyby pamięć ojca twego wszystkiego nie tłómaczyła; on zdaje się zlał mu dar Boski przewidzenia przyszłości,« odrzekł jeden z sąsiadów, starzec sędziwy, z ową plastyczną, piękną fizyonomią, którą i w naszym kraju nie raz natrafiamy u starców.

—»Ale czyż to dziecko czytać może w księdze przyszłości? to dziecko, tak młode, tak niewinne, miałożby już być skazanym na trapienie się przyszłym losem, śmiercią ukochanych mu osób? Ah! to rzecz okropna, pomyśleć tylko o tém!« rzekłem, jakimś świętym dreszczem przejęty.

—»Trapienie się losem? śmiercią?« odpowiedział Francis Stuart. »Panie Doktorze! dla wierzącego śmierci nie masz; wierzący, widząc ukochaną mu osobę uchodzącą z świata, przekonany jest, że się zobaczy, że ją znajdzie tam w krainie duchów, gdzie nie masz rozstania się, ani boleści rozstania. Syn mój przewiduje przyszłość, choć nigdy nie przepowiedział, chyba nie umyślnie, we śnie, co mu się nie raz zdarzy. Dlatego też tak się zamyka podczas

noey, co nawet zwróciło twą uwagę, panie filozofie. Że przewiduje przyszłość, o tém nikt z nas nie wątpi. Rok temu, pocziwa moja, bogobojna żona zaczęła nagle słabnąć, niknąć, choć ją nic nie bolało. Udawałem się po rady do okolicznych doktorów, oni zapewniali, że to słabość przechodnia, że siły wrócą wraz z wiosną. Ufność wstępowała w nasze serca na te zaręczenia, ale tej ufności Alfred nie dzielił ani na chwilę. On nie odstępował matki, on, nie wiedząc może co robi, na śmierć ją gotował, on jęj czytał Pismo św., on się z nią rzewnie modlił. A gdy wiosna przyszła i żona moja, zamiast wracać do zdrowia, coraz szybciej ku grobowi dążyła i nareszcie nagle zmarła, my wszyscy pogrążeni byliśmy w smutku, a nasz Alfred jak anioł stał pomiędzy nami, z uroczystym ale pogodnym czołem, wzywał nas do korzenia się przed tym Majestatem Boskim, który daje życie dla zdobycia wieczności.

»Nie dawno, miesiąc temu załedwie cztery, nasz Alfred lubiący tyle swe góry i samotność, pozostał z nami w dolinie i nie poszedł z pasterzami do letnich szałasów. Coś się święci—mówiłem do siebie i nie myliłem się. Alfred czas swój cały bawił się z synkiem jednego z mych sąsiadów, z synkiem tego pocziwego człowieka, którego tu panowie widzicie w naszym gronie. Tą razą, choć nie było żadnego znaku choroby w małym owym towarzyszu, przewidział zgon jego i we śnie często bardzo o nim mówił. Miesiąc temu, młody towarzysz nagle zapadł na rodzaj gorączki nerwowej i w krótkce potem umarł. Nie odstąpił go Alfred ani na chwilę podczas choroby, i cieszył go w ostatnich chwilach przytomności umysłu opisem roskoszy, których doświadczy pomiędzy aniołami.

»To są dwie najważniejsze okoliczności, w których Alfred dowiódł przeczucia i przewidzenia przyszłości,—ale innych mniej ważnych było bardzo wiele. Na pytania bezpośrednie względem przyszłości nigdy nie odpowiada,—ani razu, owszem, martwią go podobne pytania, a nawet i niecierpliwą,—i nikt ani z nas ani z naszych sług nie poważy się niemi go kusić.»

—»A czy zna swój stan wyjątkowy, młody Alfred? czy będąc obdarzony bystrością umysłu, pojętnością i łatwością nauczania się, myśli obrać sobie jaki zawód, poży-

teczny ludzkości, a wyrównywający polotowi jego pięknego ducha?» zapytał Ernest.

— »Zna swój stan, to jest pewna,« odpowie nasz gospodarz, »i instynktem jakimś wiedziony, unika ciekawych, którzy tu nieraz i z bardzo daleka przybywają dla poznania cudownego dziecka Jeziora Tay. Zawsze sypia w osobnym miejscu lub w najodleglejszej części szałasu. by go nie podstuchiwano; ale często, pomimo wszystkich przeczności myśl z duszy ubiegła dojdzie uszu naszych i przekonuje nas o swém boskiem pochodzeniu. Co zaś do zawodu, rzecz to zastanawiająca, on o nim nie myśli, razy kilka jednakże powiedział nam, z ręcznie zagadniony, że naszych okolic nigdy, nawet na najkrótszy czas nie opuści, że całe jego życie przywiązane do tych skał, tych jezior i do tego nieba, i że się tu skończy.«

Podczas całego tego opowiadania oka nie spuściliśmy z ust *Franciszka Stuart*, w uroczystém milczeniu słuchaliśmy każdego słowa, i każde słowo odbiło się na méj duszy niezatartym śladem. Serce mi pukało, słyszałem rytm jego w méj głowie i w mych rękach. Ośmiu nas było w salonie, ale w téj chwili szmer jednej muchy byłby nam się wydawał nieznośnym odgłosem: tak było cięcho w pokoju.

Wtém — wtém!.... Bóg nie chciał, bym z tego miejsca zszedł bez zyskania zupełnego przekonania o rzeczy tak ważnej jak jest przedmiot tego pisma. Wtém, mówię, dochodzi nas jakiś słaby jęk z pokoju, w którym spał Alfred. Ojciec jego, jakby ze snu zbudzony, podniósł zwieszoną myślami głowę, i my się ocknęli, i wyraźnie słyszeli razy dwa powtórzone następujące słowa: »Poor, poor, Hector! (biedny, biedny Hektor!)

I potem znów nastąpiła zupełna cisza.

Ernest ją przerwał następującemi słowy:— »Syn twój, panie *Francis Stuart*, marzy o Hektorze, zapewne nie dawno czytał Iliadę?»

— »Mój syn nigdy w swém ręku téj książki nie miał, on nie o Hektorze Trojańskim marzy, lecz po prostu o swym faworycie, o Hektorze najlepszym kądłu moim, pilnującym tu nie opodal całości méj trzody. Biedny Hektorze, grozi ci zapewne jakieś niebezpieczeństwo, kiedy zajmujesz myśli mego syna.«

— »Wartałoby zobaczyć, co się z nim dzieje, sąsiedzie,« rzekł jeden z przyjaciół gospodarza.

— »Śnieg, wiatr, zaspy, ztąd do obory z pół staja, oh! wkrótce zapewne zobaczymy co się święci,« odpowie nasz gospodarz.

Jeszcze ubiegło minut z dziesięć w rozmowie, którą hamowało jakieś pomimowolne tęskne oczekiwanie. Ale nagle słyszymy jakieś wściekłe szczekanie psów, jakieś wycie, skomlenie,— trwało ono z pół minuty, potem dochodzi nas odgłos wystrzału z fuzji, jeden, drugi, trzeci, potem jeszcze wycie, skowyczenie,— długie przeciągłe wycie.

Wszyscy się przebudzili w dworku Stuarta, jego córki, jego syn, nawet służdy.

— »Ojcie! ojcie! co się dzieje?« pytały panny Stuart.

— »Wilki chciały się wkraść do obory i poszarpały biednego Hektora,« odpowiedział przez drzwi Alfred; »spijcie siostry spokojnie, dobranoc.«

W kilka minut potem słyszymy ciężkie stąpanie,—kołaczą do drzwi.

— »Kto tam?« zapytał gospodarz.

— »To ja, Duncan,« odpowie głos jakiś; »niosę wam zdobycz; dalej! otwierajcie!«

Otwierają. Duncan do sieni wchodzi i coś za sobą wlecze.

— Aha! krzyknie Duncan, oto macie postrach całej okolicy, oto *greesy*, oto siwosz co nam tyle już wyjadł owiec; dalej stryju! dalej nalać mi tegi kielich whisky, *greesy* wart tego, patrz skóra nietknięta prawie, tylko pod gardzielem, i na łbie gdzie go moja kula trafiła.

— Ale biedny Hektor!— drogo ten tryumf okupiony— rzecze Francis Stuart.

— Hektor? a cóż mu się stało? zapyta Duncan zdziwiony.

— W zapale boju nie widziałeś zapewne, że Hektora wilk rozszarpał.

— A wy — zkądże o tém wiecie? ha! to wam Alfred powiedzieć musiał rzekł z smutkiem Duncan, słyszałem wprawdzie psa nielitościwie skomlaącego — alem nigdy nie pomyślał żeby się Hektor dał zwalczyć.

I nie domagając się litkupu, pobięł znów Duncan ku oborom.

Za minut kilka wrócił—i rzekł z żalem: Prawda, prawda! zginał najlepszy pies całej okolicy — to to będzie feta dla wilków jak się dowiedzą—teraz sobie mogą broić spokojnie i paść się naszymi owcami.

Znowu się uciszylimy, a Francis rzekł do Ernesta: a cóż powie filozofia? czy jest przyszłość? los Hektora nie przeświadczył ci jeszcze?—czy jest przyszłość, czy dopiero będzie? czy me zapytanie paradoksem?

Ernest siedział jak porażony w osłupieniu i nic nie odpowiedział. Ja sam w odurzeniu pograżony zdać sobie nie mogłem rachunku z mych myśli, — choć prawie zupełnie inne uczucia mną władowały.

Jego filozofia jednym ciosem zgruchotana leżała jak długo przed jego nogami, — a moja wiara na skrzydłach nowych żywiołów prawdy wznosiła się ku niebu.

— Widzę to jeszcze nie dosyć dla ciebie, to cie nie przeświadczy, niedowiarku tobie jeszcze innych dowodów prawdy trzeba? a może jej nigdzie i nigdy nie znajdziesz, rzecze z posepnym czołem Francis Stuart do Ernesta Sonntag. Ty się rozstać nie chcesz z twą nauką, wolisz się obracać i błąkać w ciasnym kole twych doktryn, dlatego, że ich wartość według wartości czasu i możou na ich zdobycie wywartego oceniasz. Zruć beret doktorski przytłumiający rozum, stań się z filozofa człowiekiem, uznaj prawdę choćbyś ją w najnikczemniejszej znalazł chatce. Chrystus Pan rodził się w oborze, a przecież jest jedynym panem myślących i czujących ludzi.

Długo jeszcze siedział Ernest w myślach zatopiony i długo sam się z sobą pasował. Wybiła pierwsza godzina i kwadrans na drugą uderzył. Ocknął się Ernest i wyrzekł: »Wyznaję Franciszku Stuarcie, że w twym synie odbywa się coś niezwykłego, i jestem pewien, że nie masz na świecie istoty zdolniejszej do uczucia wpływu magnetycznego, jak twój syn. Sprowadź magnetyzera, każ go magnetyzować—możesz zdobyć miliony!«

— Oto masz ludzi! zawoła z oburzeniem Francis Stuart; oto masz ludzi! najświętsze rzeczy spożyć, zdeptać, zprofanować w usłudze najbrzydszych namiętności, w usłudze chciwości. Dlatego też nie macie nic świętego, bo gdzie się iskierka wyższych od zacności osobistej zale-

żnych sił wyjawi, zaraz masz roje spekulantów, w wszystkich sukniach, którzy materialny zysk lub natychmiastową doczesną korzyść z każdego objawienia łaski Boskiej chcą wyciągnąć. Tak jest, z każdą świętością obchodzicie się jak owa niezręczna mamka, która dziecko wraz z kąpielą wylała. Dlatego też błąkać się musicie na tej ziemi nękani pożądliwością materji i tęskną potrzebą wieczności, owęj wieczności, której przecież ten sam Bóg, co istotę stworzył nie mógł odmówić istocie, doskonalącej się samęj w sobie w ciągłej tęsknocie i ciągłej ufności. Z wiary chcecie zrobić matematykę, z magnetyzmu sztukę leczenia, z przewidzenia przyszłości sposób zarobienia majątku a z mistycyzmu, w którym lubi błąkać się dusza nasza w przeczcuciu uroków wiecznego szczęścia, chcecie zrobić filozofią lub też przynajmniej przedmiot rozmów salonowych. Rozum ludzki na szczęście nie wystarcza—to świat już uznaje smutnym przekonany przykładem; dalejże tedy do innych zasobów, uciekacie się do nowych żywiołów, ale cel zawsze ten sam, cel brzydki i niski; i dla dopięcia go chcielibyście posługiwać się najświętszymi sprzężniami! A wiesz ty, filozofie, żeby mnie ciężka trafiła kara, gdybym dar mego syna choć raz jeden zechciał użyć do osiągnięcia jakiegokolwiek bądź korzyści doczesnej, nawet do ocalenia życia najdroższej mi istoty. I dla tego też to niedowiarstwo w biednej ludzkości,—każdą bowiem razą gdy się zjawi coś nadzwyczajnego w człowieku, zaraz przybywają chmary ciekawych, chcących sprawdzić cud, i potęga ducha z której wykwita objaw wyższych sił niknie lub się cofa w siebie, gdy tylko spostrzeże na jaki cel ją chcą użyć ludzie. Wy chcecie, by fakultety, akademie i rządy uznały oficjalnie istność magnetyzmu zwierzęcego, istność jasnowidzenia, i wtenczas w niego uwierzycie; a tu na szkockiej ziemi, na której się wyższe cuda objawiają, wiara w przewidzenie przyszłości istnieje od niepamiętnych czasów, i nikt ją wyrwać nie zdoła z serca poździwego prostego ludu. My nie frymarczemy rzeczami świętymi i dlatego w nie wierzymy.«

Tak zakończył Francis Stuart, dzierżawca w wsi Doune nad jeziorem Tay, i już ani jednego słowa w tym przedmiocie nie przemówił.

Udaliśmy się na spoczynek.

— »Doktorze Medycyny!« rzekł do mnie Ernest zasypiając, nie wszystko głupie w chatce wieśniaków.»

— »Ani też wszystko mądre na ławach fakultetu, mój filozofie!«

R O Z D Z I A Ł XXIV.

TROSACHS.—CHAOS.—JEZIORO KATRIN.—OPIS WALTER-SKOTA.—KOLORYT NATURY I POEZJI.—BENVENU.—URISKI, DUCHY USŁUŻNE.—BEN LEDI.—KOPIEC.—SPOTKANIE.—INVERARY.—IGNAŚ.—WPŁYW UKŁADU NA LUDZI NATURY.—WYCIECZKI FILOZOFICZNE.—ŻYDEK Z PIŃCZOWA U STÓP ATLASU.—HERB MIASTA INVERARY.—ŚLEDŹ, ZNAMIE HERALDYCZNE.—ZAMEK KSIĄŻĄT ARGYLU.—PARK.—SKAŁA Z STRAŻNICĄ.—ZNAKI DOSTOJEŃSTWA KSIĄŻĄT.—POMNIK DLA MĘCZENNIKÓW.—REAKCYA.—»PROSPERA LUX ORITUR«.—KLIMAT.—POŻEGNANIE.—CIEKAWOŚĆ I BRAK JĘJ.—IGNAŚ STANĄŁ U CELU SWĘJ WĘDRÓWKI I SWYCH ŻYCZEŃ.—CZUACHEN.—OBAN.—ZATOKA LINLIE.—PRZESMYK MULL-SUND.—MORVEN.—PODRÓŻ PAROSTATKIEM I PODRÓŻ WŁASNĄ RĘKĄ.—WIOŚLARZE.—ŚPIEWY.—GÓRAL I DOLINIEC.—WPŁYW WIELKIEJ PRZYRODY NA DUCHA, SERCE I WŁADZE UMYSŁOWE LUDU.

Te skały, za któremi znikło jezioro, kiedyśmy z góry schodzili, nazywają się „*Trosachs*“ słowem gallickim, znaczącem *Chaos skalisty*. Prawdziwy to chaos. Woktaedry, skryształizowane bloki różnej wielkości, pozrzucone jedne na drugie i przebiegające długim, wysokim wałem od jednego pasma gór do drugiego na poprzek doliny.

Grzbiet zębaty, nierówny wznosi się ku niebu. Lecz i na te nierówne ostremi brzegami skrajane powierzchnie, pomiędzy szczeliny i jamy, powiewy wiatrów od wieków pracujące, naznosiły żywioł życiodawczej matki odrodzenia, ziemię, i na téj ziemi inne powiewy zarzuciły nasienie wiecznie pięknej ozdoby ziemi,— nasienie drzew i kwiatów, i dziś ten dziki chaos, który demony w swym guiewie tu wzniosły, zarósł brzozą i dębami, jodłą i leszczyną, i już nie tyle straszny swym kształtem.

Tak nie jeden potwór zdrapać trzeba z jego powabnej powłoki, by się dowiedzieć, czém jest w istocie.

Przedartło w tym wale skalistym głęboki wąwóz, i nim dostaliśmy się na brzegi jeziora Loch-Katrin czyli Loch-Katrin, co w gallickim języku znaczy: zimne jezioro czarnych skał.

Nie będę się silił na opis tych czarujących miejsc; jest on wyryty na wieki w pamięci ludzkiej i złożony w cudnym poemacie *Pani jeziora*.

Widzieliśmy wszystko: jaskinię upiórów, czarną skałę wynurzającą się z głębi jeziora, zwaną psem Rodryka; widzieliśmy cienistą wyspkę samej pani jeziora i pamiętny dąb wieczysty; lecz już nie było małej chatki, w której miała kiedyś żyć owa piękność pustyni. Spalili ją cygarami jaćys prozaiczni turyści.

Geniusz Walter Skota wskrzesił zakłęte podania tych zaczarowanych siedzib, wskrzesił je na wieki, lub przynajmniej dopóki żyć będą poeci, ludzie wieczności godni. Poezja rozlała tu sownicie swą różową i niebieską barwę na te czarne wody, te rude skały i to szare niebo; natura odmówiła bowiem Szkocyi owych różnobarwnych fenomenów światła, jakimi świetnieją na lazurówem tle nieba fioletowe i czerwone Alpy i Pireneje.

Góra Benvenu, rzucająca swój trzymilowy potężny cień aż dotąd, kiedy słońce za nią zachodzi, uchodzi za najpiękniejszą górę w Szkocyi. Cała niemal z granitu wzniesiona, zawiera w sobie obfite żyły kwarcu. Wysokości ma do 3,000 stóp paryzkich nad powierzchnią; szczyt jej tworzy naga, czarna skała, pokryta bielutkim śniegiem, wygląda jak murzyn w białym burnusie. Inne skały, przez jakieś wstrząśnienie wulkaniczne od góry oderwane, wiszą na jej bokach. Środek zarosły brzożami i osiczyną, stopy zaś szare giną w niepewnej pomroce odległości i mgły wlokącej się na nich. Orły gnieźdzą się tu na wierzchołkach Benvenu, ale im górale zacięta wypowiedają walkę, gdyż wielkie szkody robią w trzodach te drapieżne ptaki.

U podnóża góry wydrążona jaskinia, w której zabobon osadzał Urisków, rodzaj duchów ziemnych, gnomów, których ludzie przebiegli umieli zmusić podejściem do różnych usług w gospodarstwie, mianowicie do młócenia zboża. Te wygodne diabielki emigrowały z Szkocyi od czasu, jak w niej zaprowadzono młockarnie i inne prace ludzką ułatwiające maszyny.

Bend-Ledi, jak już wiemy, leży na przeciwnym brzegu jeziora i w gaelickim narzeczu znaczy kamień Bogów. Góra ta poświęconą była w pogańskich czasach części najwyższego bóstwa. Jest to właściwie kopiec wysoki, ogromny, cztery razy większy od Kościuszkowskiego. Podziś dzień rozeznac można ścieżkę dość szeroką, wiodącą wężem aż na sam szczyt. Rośnie na nim piękna murawa, co dowodzi, że była utworem ręki ludzkiej. Palono na szczycie kilka razy do roku wielki ogień na cześć słońca, które po celtycku nazywa się jeszcze Belis.

Jesteśmy w Inverary, małym miasteczku Szkocyci zachodniej, położonem na brzegu długiej zatoki morskiej. Słynie ta zatoka od niepamiętnych czasów z połowu śledzi. Napływa ich częstokroć tyle, że mieszkańcy tutejsi, chcąc tego dać obraz dobitny, mówią, iż w zatoce jest dwie części śledzi, a jedna tylko wody.

Do 700 statków wpływa na połów śledzi, i rybacy bawią czasem cały tydzień na zatoce. Zdobyć połowu mogłaby łatwo wyżywić ludność trzy razy większą, ale każdy śledź należy do księcia Argyłu; jemu dwie trzecie połowu oddawać każdy rybak winien; czuwa tu nad prawami pana policya, złożoną z kilkudziesięciu gwardzistów śledziowych.

Zamek książąt Argyłu, jeden z najkolosalniejszych w całej Wielkiej Brytanii, wznosi się na pagórku panującym nad okolicą, i zajmuje murami swemi, wieżami i kopułą niezmierny obszar ziemi. Niegdyś otaczała ten zamek głęboka fosa, dziś nie ma jej śladu. Walter-Scott zaręcza, że niegdyś stało przed bramą zamku, na znak dostojności i potęgi książąt Argyłu, pięć szubienic, a na nich najczęściej pięciu wisało ludzi. Dzisiejsi książęta nie dbają już o te ozdoby feodalne, i zadawalniają się śledziem na tarczy ich herbu wiszącym. Godłem bowiem księstwa i miasta jest sieć z wiszącym śledziem i z naiwnym napisem: *Semper tibi pendeat talex!* to jest: «niechże ci zawsze śledź wisi.»

Piękna murawa, poprzerzynana ścieżkami, otacza pałac; wśród niej rzeka Array toczy bystre swe nurty.

Po moście kamiennym wchodzi się do pałacu. W nim panuje smak wykształcony i przepych; w nim galerie obrazów, biblioteki, meble i kobierce, freski i obicia, zbroje

i sprzęty, słowem wszystko, co do szczęścia magnatów należy, znajduje się bez liku.

Szkoda, że sługi magnatów prawie zawsze niezmiernie są chciwi na pieniądze. O tém przekonałem się i tutaj ze szkoda mej kieszeni.

»*Half a sovereign is the least, you dare offer me!*« (Pół suwerena jest najmniejszą kwotą, jaką mi pan ośmielić się możesz ofiarować za moje usługi), powiedział przewodnik pałacowy, podając mi jak najuprzejmiej książkę złożoną dla wpisania *mej godności*. Wpisałem w księgę:

»*Antiquitatum Caledoniae custodes! antiquam Caledoniae hospitalitatem servare ignovisti.*« (*)

Ale dlatego zapłaciłem pół suwerena, to jest złp. 21, za zwiedzenie książącego pałacu.

Kazać sobie płacić za daną w domu gościnność! oh Boże! jakże Cię chwale za to, żeś mnie nie postawił w konieczności wyrzeczenia się szlachetnych tradycyj mojego narodu!

Białe mury zamku malowały się w jasnych a kolosalnych zarysach na ciemno-zieloném tle parku, który się z niemi rozciągał. Park ten uchodzi za najobszerniejszy w całej Wielkiej Brytanii, ma bowiem 30 mil angielskich obwodu.

Nad ciemnym lasem wznosi się w niebo bystro, jak owa wieża strasburska, lecz prawie dwa razy wyżej, na 760 stóp, stroma, krągłowata skała, a na niej strażnica, która w wiekach zaburzeń domowych, była bardzo potrzebną i użyteczną. Z niej o kilkanaście mil angielskich można było dostrzedz nieprzyjaciela zbliżającego się morzem lub lądem. Skała ta, stercząca jak pik Teneryffy, zwęża się w pewnej wysokości, potem się od razu rozszerza, wyżej znów się zwęża, i wierzchołkiem swym rozdziera czarne, natarczywe szkockie obłoki.

Łatwo sobie wyobrazić jakie trudności przedstawia wdrapanie się na szczyt tego kaprysu przyrody. Nikt tam nie wejdzie, kto nie ma silnych piersi, tegiej głowy, dzielnych rąk i nóg, a przytém porządnego zasobu lin, haków i drabin.

(*) Starożytności szkockich stróże! staręj szkockiej gościnności zachować nie umieliście.

W środku samego miasta wznosi się pomnik z ciosowego kamienia. Z napisu wyczytałem, że wzniesiono go na uwiecznienie pamięci siedemnastu Campbellów, którzy w obronie wyznania prezbiteryańskiego gorliwość swą życiem przypłacili. Między nimi był sam książę Argylu, Campbell rodem. Zdarzenie to odnosi się do roku 1685.

Inverary było jednem z wielkich ognisk kalwinizmu, siedliskiem zaciętych purytanów, zajadłych conwenantorów, surowych propagatorów protestantyzmu. Lecz zdrowsze zdania wytepiły z czasem ducha nietolerancyi; namiętności ukołysały się powoli pod błogim wpływem pokoju i oświaty, i już w roku 1754. wyryto na pomniku Campbellom postawionym te pełne mądrości wyrazy:

»Prospera lux oritur! linguis amicisque favete!« (*)

Tak zaiste, dobrodziejstwa oświaty spłynęły nareszcie na Szkocye; uspokoiły się umysły i wszystkie usta chwałą Stwórcę wedle własnej woli. Już tu nie włada umysłami trwoga, sercami już nie kieruje przymus, idla tego też wielu dziś szuka pociechy w tém wyznaniu, które tu niegdyś ogniem i mieczem tępiono. Już się w Inverary zawiązał zarodek przyszłego kościoła katolickiego. Podczas mego pobytu myślano już o wybudowaniu świątyni dawniej przesładowanej wierze, i może teraz, w tém gniaździe purytanów, wznosi się, obok pomnika Campbellów, kościół katolicki, i nie razi on oczu dzisiejszych ludzi, umiejących szanować szczerść przekonania w bliźnim.

Dni kilka odpocząłem w tém małym miasteczku zaledwie 2,000 ludności liczącem, a jednak tak bogatym w pomniki starożytności, w cuda przyrody i w wielkie nauki.

Lecz niebo zaczęło naglić. Już od czasu do czasu ciepłe zachodnie powiewy ustępowały zimnym wiatrom wschodnim a ja miałem jeszcze zwiedzić wiele kraju, i przedewszystkiem złożyć hołdy Ossyanowi w grocie jego ojca Fingala, na wysepce Staffa, jednej z Hebryd Archipelagu.

Puszczam się więc z towarzyszem Merry, przez góry przegradzające zatokę Finu od jeziora Awe, przebywam to jezioro na łodzi, i dążę znów górami na północ, ku zatoce morskiej Awe. W tej podróży jedna z najwyższych gór

(*) Błogie światło się rodzi! językom i przyjacielowi się przyjaciel!

Szkocyi pozostaje na prawo, nazywa się Kruachan i jest do 4500 stóp wysoka. Czarne chmury wisiały na jej skalistych obnażonych bokach, a szczyt śniegiem pokryty błyskał w czystym eterze nieba.

Ossyan zaręcza, że wewnątrz tej góry zamieszkiwały dawnemi czasy gnomy. A lud w pamięci przechowuje wiernie następujące podanie:

Stara Bera ostatnim była długiego szeregu przodków potomkiem i pozostawała tu samotną panią. Obszerną i urodzajną posiadała krainę. Do niej należały bogate doliny i liczne stada i trzody, pasące się na przyległych wzgórzach. Sama strzegła pilnie źródła jednego, które, jak wyrok przeznaczenia głosił, miało wpłynąć na dziedzinę jej ojców. Nim promienie słońca zgasły w morzu, już ona czujnie przywalała źródło kamieniem, na którym znajdowały się wyryte jakieś tajemnicze czarodziejskie wyrazy. Kiedyś wieczorem znużona skwarem słońca i polowaniem, zasnęła przed zwyczajną porą i nie nakryła źródła. Wody niezakłute wybuchły gwałtownie, i zalały całą przestrzeń dziś jezioro Awe stanowiącą. Na trzeci dzień dopiero przebudziła się nieszczęśliwa Bera ze snu; pobiegła natychmiast, aby zawalić kamieniem źródło, lecz kamienia już nie było: zniknął. Spojrzała na zalaną dziedzinę swego rodu, i z rozpaczy tak mocno krzyknęła, że się góra wstrzęsła w swych osadach, i częścią w zatokę zwała, tworząc wysepkę, której tu przedtém nie było.

Ani słowa. Góra, jezioro, odnoga morska, wyseпка, wszystko tu jest. Powierzchnia wysepki nawet tak jest podobną do powierzchni szczytu góry, jak jeden trójkąt do drugiego; przystałyby do siebie! Wszystko tedy w porządku, bo podania nigdy nie kłamią.

Płyniemy jeziorem Awe pomiędzy mnóstwem pięknych lub w dziejach pamiętnych miejsc; na lewo zostawiliśmy skalisty półwysp Dunstafanage, na którym wznoszą się jedne z najstarożytniejszych zwałisk Europy: ruiny zamku królów Piktów. Dunstafanage było najdawniejszą stolicą Szkocyi. Ztąd wyszedł ten kamień, którego oglądaliśmy w jednej z kaplic Westminsteru, kamień, do którego przywiązane są rządy Wielkiej Brytanii. Do dziś dnia na nim koronują monarchów Anglii.

W Oban, małym miasteczku leżącym nad brzegiem morza, najałem na dni kilka sporą łódź i pięciu dzielnych wiosłarzy, i puściłem się, wzięwszy konika mego z sobą, na poprzek zatoki Linlie ku Mull-Sund, to jest ku przesmykowi morskemu oddzielającemu wyspę Mull od przylądka Morvenu. Mogłem być wprawdzie udać się tam statkiem parowym, dwa razy na tydzień wprost z Oban na Mull do wysepki Staffa żeglującym, ale podróż taka, wygodnemi bifszytkami i portierem przepłatana, drukowanym programem świata oznajmiona, i z prozaicznymi turystami odbyta, nie miała żadnego dla mnie powabu. Wolałem drożej zapłacić, naciерpić się cokolwiek niewygody i zimna, a być zdaleka od zgiełku świata i rozporządzać meni krokami jak mi się podoba.

Zamki, przylądki, skały, półwyspy i wyspy mijają przed memi oczyma. Nazwiska ich znane oddawna wzbudzały swém brzmieniem wspomnienia lat młodzieńczych, spędzonych w podziwianiu muzy i ojczyzny Walter-Skotta.

Mijamy zamek Dunellu, mijamy wyspę Lismore, dawną stolicę biskupstwa katolickiego dyecezyi archipelagu Hebrydzkiego. Tu, jak pomiędzy Scyllą i Charybdą, sterczą groźne skały i zimne wieją wiatry. Ale moi żeglarze nieustraszeni. To nadstawiają wielki łaciński żagiel powiewom wiatru i chwytają go wprost albo ukosem, ale zawsze tak zręcznie, że celu dopną i niebezpieczeństwo ominą; to znowu zwijają żagiel i potężnie robią wiosłami, aż drży łódź na zbałwanionej morza powierzchni; pryska piana, a mój biedny Merry trzęsie się ze strachu, leżąc na tyle statku umieszczony pod pokładem, aby przypadkiem łodzi nie przewalił nagłym jakim skokiem.

Lecz czy pędzeni wiatrem, czy też popychani własnych rąk siłą, wiosłarze moi śpiewają ciągle. I cóż śpiewają? O! nie o krowie lub koniku, o wódcie lub o dziewczce, lecz śpiewają chórem, w uroczystej harmonii i wolnych spadkach, nieśmiertelne Ossyana utwory. Tysiące wierszy wysuwa się z pamięci tych rybaków bez suslera i bez zajęcia. O Ossyanie! ty się na oziębłość, na nieczułość twego narodu żalić nie możesz; kto ciebie nie zna i nie śpiewa, ten nie jest górnej Kaledonii synem.

Tak jest, góral szkocki, choć u dolinca za nieoświeconego uchodzi, zna Ossyana i powtarza jego cudne pie-

śni z uniesieniem. Góral więcćj ma polotu poetycznego od dolinca, który o istnieniu nawet Ossyana powątpiewa, i całą poezję Ossyańską uważa za spekulacyę pana Mac' Phersona. Góral jest z przyrody poetą i entuzyastą; chętnie, dla śpiewu i opowiadań dziejów dawnęj Szkocyi, zaniedbuje się w pracy i znosi głód i zimno; dolincem on długo pogardzał jako ludem niemężnym i nazwał go Sas-senachem, to jest Niemcem. Przydomek to wzgardliwy, potępiający, u wszystkich poetycznych ludów.

Oświata pomiędzy góralami, *oświata praktyczna*, mniejsza jest jak pomiędzy mieszkańcami płaszczyn; w niektórych nawet stronach i na wyspach Szetlandzkich, Orknejskich, powiedzieć można, że oświata na nader niskim stoi stopniu. A jednakże górale nie są nieokrzesanymi i nigdy nie rażą gestami lub przywyknieniami wstręt wzbudzającymi, nigdy się nie upijają jak bydłeta.

Jest w boskiej, ogromnej naturze, otaczającej ich, coś, co im nie pozwala być nikczemnymi. Gdzie nam zewnętrzny świat nastrecza tyle przedmiotów dla uwagi i tyle pobudek do rozpamiętywania, tam nie można być wiecznie barbarzyńcem.

Wielki to zasób dla ducha i serca, widok gór dzwigających niebo, łoskot piorunów spadających z pod nóg naszych w doliny, huk grzmotu rozbijający się o skaliste ściany i krawędzie, i łomot lawin unoszących w wściekłym swym biegu całe opoki.

Tak, widok pięknego przyrodzenia rozwija nawet władze umysłowe, świadków tak pysznych, tak wstrząsających zjawisk.

Wielki bohater

ROZDZIAŁ XXV.

OSSYAN.—POETA.—BOHATER I POETA TEORETYCZNY.—OSSYAN PRZEWIDUJĄCY PRAWDY CHRYSYANIZMU.—POPULARNOŚĆ WALECZNEGO POETY.—MORVEN.—BRAT DRUMMOND.—ASTOR-NISH.—AROS NA WYSPIE MULL.—PAŃSTWO HETHRINGTON.

Jesteśmy tedy w dawnym kraju Morvenu, i już nas witają w wieczornym pomroku przesuające się po sklepieniu nieba wielkie cienie Fingala, Ossyana, Oskara, Moiny i Malwiny.

Lecz tak często wspominamy o Ossyanie, którym Szkocya żyje i oddycha, a jeszcze nie powiedzieliśmy, kto to był ten Ossyan.

Dawniej, kiedy jeszcze czystą, czyn do ideału pojęć ludzkich wznoszącą poezję, cenić umiano, dawniej wszyscy znali Ossyana, wszyscy się do niego udawali, jako do najpiękniejszej krynicy wieszczej.

Lecz w terażniejszym wieku, którego uczucia w formy modne ujęte, przedwcześnie znękanę, zwiedniałe, lub też fałszywą *filozofią* porażone, nie posiadają ani dawniej jędrności, ani siły, ani też nawet zaufania w siły, w naszej przechodniej, władaniem tylu różnorodnych interesów pomarszczonęj epoce, poezya podnosząca wszystkie władze ludzkie *jednocześnie* do wyższych sfer szlachetności, jest rzeczą zupełnie niepojętą.

Tak jak zaprzestaliśmy żądać, żeby poeta był bohaterem, lub nawet prostym człowiekiem charakteru; tak też zaprzestaliśmy domagać się wyższego uszlachetnienia od poezyi. Mało dbając o to, czy poeta działa w duchu swego natchnienia, lub też czy pokłada wiarę w uczucia, które wzniesia, darujemy mu wszystko, byleby nas na chwilę

zgalwanizował swym duchem, byleby nam pomagał kochać *na chwilę* swą miłością, nienawidzić swą nienawiścią, wierzyć swą własną wiarą, albo -też nawet cierpieć swemi cierpieniami,

W poezyi już nikt nie upatruje rzeczy ważniejszej, godniejszej, silniejszej.

I pocci też aż zanadto usłużnie pojmują smutne swe posłannictwo, i korzystając z możliwości nieodpowiadania żadnym czynem za swe utwory, śpiewają pięknie, a inaczej robią.

Ale taka poezya efemeryczną też tylko cieszy się życiem: nie korzeni się ona w pamięć żadnego ludu, bo lud się pyta: *»kto to jest ten człowiek, który tak szczytnie chce władać uczuciami?«* nim się na pamięć nauczy jego wierszy.

Oh! tego nie wiecie, wy biedne istoty, których cała poezya na papier się wylewa. Wasze pienia i żale potrafią wprowadzić na chwilę przejąc i tchórza jakimś przechodniem uczuciem męztwa, przejąc samoluba litością i uszczęśliwić jednego i drugiego błogiem zaufaniem w własną cnotę. Tego im też właśnie potrzeba tym biednym pigmejczykom, zdolnym znieść brak rzeczy wiściwości, lecz nie umiejącym obejść się bez fałszywego jój blichtru; i dlatego też poezye tegoczesne, strojne w wyszukane słówka, napuszone niezrozumiałemi dla autora samego myślami, umiejące wpływać na zniewieściałe natury ludzi z niewielkiem sercem i z małym rozumem, znajdują jeszcze jakie takie wzięcie. W nich to niejeden czytelnik wyczytuje z rozczuleniem i nie wstając z łóżka, że jest zdolnym na bohatera; dewotka upewnia się szyjąc ornaty a nienawidząc bliźnich, że zostanie świętą; a inny zaleje się rzewnymi łzami i przekonany jest, że do wszystkich ofiar gotów, choć grosza nigdy nie dał ubogiemu, nie widząc około siebie świadków.

Ztąd tylu ludzi świadczących się uczuciami, których *mieć* już dawno nie śmieją.

Nie! nie taka poezya w Ossyanie. Ossyan byłby szesnaście wieków nie przeżył i swém technieniem wszystkich pieczar, jaskiń i szczelin Szkocyi nie ożywił, gdyby był tylko do usposobień przechodnich społeczeństwa przemawiał. On nie spekulował na efemeryczne uczucia swych słuchaczy; on

porywał ich dusze i wznosił je z sobą w te szczytne sfery, z kąd nikt nie wraca tak prędko, jak nasi nowożytni uczuciowcy z nieba do kruchty, z pól Maratonu do łóżka, z szpitala do karcianego stołu.

Ossyan żył w trzecim wieku po narodzeniu Chrystusa i był synem i wieszczem Fingala, króla Morvenu, pana wysp Hebrydzkich, bohatera słynnego z męstwa i ludzkości. Ossyan, sam rycerz znakomity, złamany bólem po stracie Oskara syna jedyne go i po utracie wzroku, słodził sobie lutnią samotność i kalectwo. Spiewał w języku celtyckim, a lud wiernie przechował każde jego słówko, nie w martwej spisane literze, lecz w wiecznie żyjącej pamięci.

Ossyan nie był chrześcianinem; jeszcze światło Chrystusa do Szkocyi nie było zawitało,— a on już oddał charakter swego bohatera Fingala tak pięknym i szlachetnym, że żaden chrześciański poeta nie skreślił nigdy nic piękniejszego. Niezwyciężony w walce, Fingal był prawdziwym ojcem swego ludu, wspaniałomyślny dla zwyciężonego wroga; nieszczęśliwy nigdy nie odszedł bez ulgi z przed oblicza Fingala. Swemu wnukowi mówił: »Oskarże! walcz z silnym gdy uzbrojony, ale oszczędzaj słabego nawet w nieprzyjacielu«; a o sobie mawiał: »ramię me było podporą dla skrzywdzonego, słaby mógł być spokojnym pod cieniem mego tronu.«

Takimi uczuciami przejęty był ów król pogański! dla serca jego żadna cnota chrześciańska nie była tajemnicą.

Mac'Pherson, właśnie przed stuleciem, to jest roku 1751, pierwszy wpadł na myśl zebrania nigdy jeszcze niepisanych pieśni Ossyana, a żyjących w pamięci górali, wspiary i rybaków tych krain. Podróżując dwanaście lat pomiędzy nimi, zdołał spisać wszystko, co tylko w pamięci ludu pozostało, i wydał ten ciekawy zbiór w angielskim tłumaczeniu w roku 1762., w dwóch tomach

Poezye te sprawiły niesłychane wrażenie we wszystkich oświeconych krajach Europy; ludzie celujący smakiem i geniuszem zachwycałi się szczytnością tych cudnych utworów, woniejących kwiatami pól Elizejskich. Napoleon, prócz Ossyana nie chwalił żadnej poezyi, i przekładał go nad Homera.

Mistrzowskie wystawienie namiętności, trafne, rozrzucające opisy, wystawienie malownicze, śmiałe a nadobne obrazy i porównania, głębokie, zachwycające uczucia, miła jakaś a pełna dziewiczej odwagi smętność, udzielają pieśniom Ossyana szczególnego uroku. W poezyi Homera postacie występują żywo, jaskrawo; w Ossyanie zaś, jakby obłokami otoczone, jawią się, zbliżają i nikną. Ossyan nie maluje swych bohaterów, ale każe ich kształty odgadnąć; nikt ich nie widzi działających, a każdy przewiduje ich czyny z kroków, znaków i skutków. Jakaś pełna uroku tajemniczość towarzyszy poezjom Ossyana od początku aż do końca; tajemniczość, której przyczynę i природę odgadnie tylko serce urodzone i bijące pod tém dżdżystém niebem Szkocyi, pomiędzy temi olbrzymiami w obłoki zazutemi skałami, na tych jeziorach i zatokach, pod strzechą tych głębokich a marzących Szkotów.

Znaleźli się jednakże i tacy, którzy panu Mac'Pherson zarzucali podrobienie tych poezyj i wydanie ich pod nazwiskiem Ossyana dla zapewnienia sobie większego zysku. Bo ludzie, którzy w nie pięknego nie wierzą, jeśli zniszczyć nie mogą wiary w innych, to przynajmniej zachwiał ją usiłują. Mac'Pherson jeszcze w chwili swego zgonu odpierał jak najuroczyściej czyniony mu zarzut.

Ja wierzę, że Ossyan był wieszczem i bohaterem, i że dlatego pieśni jego wrosły w pamięć całego narodu, bo lud się pyta: *«kto jest ten człowiek, który tak wysokimi chce władać uczuciami?»* nim się słów jego nauczy na pamięć. Lud jeszcze nie pojmuje rozdzielenia *poety* od *poezyi*, i w autorze poezyi chce widzieć *cnotę wyższego człowieka*.

Ja wierzę, że Ossyan żył, i że zostawszy kaleką, a nie mogąc czynnego brać udziału w bojach i sprawach narodu, chwycił za lutnię i uwiecznił bohaterskie dzieje, których był świadkiem. Ossyan nie poczynał zawodu swego od kłecenia rymów; lecz od razu uwieńczył go świetnie nieśmiertelnym laurem najczystszej, najświętszej poezyi.

I dlatego też jego myśli przeszły w granit tych gór niebotycznych, przeszły w odmęty tego morza, w kwiaty i drzewa szkockiej ziemi, w krew jej wiernych dzieci, i nie przebrzmia nigdy — i na harmonii lutni Ossyanowej wznie-

sie się nie jedna dusza szlachetna do tych wiecznych siedzib, gdzie nieprzemijająca panuje błogość.

W dawném Fingala królestwie, na skalistych brzegach Morvenu, w małej osadzie rybackiej, dokąd dosyć wczesnie przybyliśmy, zostałem na noc. Przystań ta, osłonięta zewsząd zwaliskami skał, leżała niedaleko ruin starego zamczyska, i to właśnie skłoniło mnie do przepędzenia jednej jeszcze nocy na stałym lądzie Szkocyi, a nie na wyspie Mull, odległej zaledwie pół mili, do której mogłbym zawinąć jeszcze tego wieczora; pogoda bowiem jak najpiękniejsza sprzyjała nam ciągle.

Najbogatszy z rybaków był razem i oberżystą. W jego domu znalazłem niespodziewanie serdeczną gościnność; zaledwie bowiem próg przestąpiłem, górał jakiś, na ławce śpiący, zerwał się, spojrzął na mnie, porwał za leżące obok dudki, i zaczął na powitanie mnie najokropniejszą i najwrzaskliwszą muzykę, jaką mi się kiedy słyszeć zdarzyło. Przechodząc się dumnie jak kogut okdło mój osoby, dał z całej siły w swój nielitościwy instrument. Nareszcie się zatrzymał i krzyknął z radością, wywijając czapkę nad głową: *«Hail ye Drummatich brother, hail!»* Cześć tobie bracie z klanu Drummondów, cześć!

Teraz dopiero pojąłem przyczynę radości i uniesienia owego górała. Widząc mnie w czerwono-czarno-zielonym pledzie Drummondów, i w takiejże czapce piórem orlém ozdobionej, które to znamiona nosiłem od czasu zaprzyjaźnienia się z Drummondami, wziął mnie tedy, w tej odległej od siedzib klanu krainie, za jakiego Drummonda z rodziny Chieftanów, i nie pytając się o nic więcej świadczył mi *stante pede* najwyższe honory klanu; sam bowiem także był Drummondem i nosił kolory klanu na czapce, pledzie i kilcie (to jest spódnicy).

Podziękowałem jak najczuliej za to przyjazne powitanie, i przyznałem ze wstydem, że jestem tylko przyosobionym Drummondem, uznanym za takiego przez dwunastu tego nazwiska spółpokoleńców, z którymi miałem szczęście pobratnąć się i z których jeden obdarzył mnie pledem, a drugi czapką; pióro zaś zdobyłem wstępny bojem na orle, w menażeryi książąt Atholu.

— To tak dobrze, jak gdybyś pan był prawdziwym Drummondem od czterech wicków. Zaden z Drummondów

nie byłby śmiał upoważnić pana do noszenia kolorów świata tak znanych, gdybyś ich nie był godzien. I dlatego też powtarzam mój reel zwycięzki (taniec w około), i krzyczę: »*Drummatic brother for ever!*«

I znów się rozpoczyna repetycja téjże saméj owacyi muzyczno-choreograficznej, która skończyła się dopiero, kiedym wy dobył z torby myśliwskiej plecionkę dobrego *whisky* inapł się z niéj do brata Drummondą.

Czułym bardzo był na to wezwanie brat Drummond, i nie omieszkął z niego korzystać, kilka razy nawet i to dość serdecznie, co przyspieszyło wielką między nami zażyłość.

Opowiedział mi w krótkości dzieje życia swego. Ze dzieckiem będąc terminował u krawca, później wzrosłszy w siły i w cnoty obywatelskie został *pressed*, to jest przymusowym szeregowym w gwardyi szkockiej, gdzie się rozwinął w poczcie dudarzy pułkowych talent jego muzyczny; nareszcie na starość uzyskawszy *dimissye* i dziesięć szylingów emerytury na miesiąc, wrócił do dawnego swego rzemiosła. Z potrzeby był krawcem, a z powołania dudarzem. Szukał w całej Szkocyi roboty i godów weselnych, nie brakło mu jednych tam gdzie była druga, ale ani te, ani tamte nie zbogaciły go wiele.

Brat Jonathas Drummond, dowiedziawszy się że jadę do Hebrzyd, prosił bym go wziął z sobą; ofiarował mi tysiączne usługi.

— »Będę, o Chieftanie! twoim bardem, podczaszym, giermkim i gwardzistą, i to za nic, bylebyś mi nie dał umrzeć z głodu.«

Jakżeż tu odmówić? Spytałem się jednakże mych wioślarzy czy im nie zrobi wielkiej różnicy ciężar tak ważnej osoby.

»O, bynajmniej Chieftain!« odpowiedzieli jednogłośnie wioślarze. Z Jonataszem jeszcze lepiej pójdą śpiewy, on nam doda sił do pracy. Jonatasz zna całego Ossyana na pamięć od deski do deski, prawie tak dobrze jak preceptor z Obanu, który go wyśpiewa całego jak historycę, po celtycku i po anglosasku.

Nazajutrz przypatrzyliśmy się zwałiskom starożytnego zameczyska Astornish, znanego nam dobrze z poezyi Walter-Skotta, i zrobiwszy na kucyku małą wycieczkę w głąb Morvenu, wsiadłem na małą arkę i pusiłem się ku wioszczynie

Aros, leżącój na lewym wschodnim brzegu wyspy Mull, na drugiej stronie przesmyku, nie dalej jak milę polską od ruin zamku Astornish.

Wyspa Mull, po wyspie Ske największa z wysp Hebrydzkich, ma z dziesięć mil polskich długości, a półsiódmiej szerokości. Żyje na niej do 10,000 ludzi. Wieś Tobermorg, leżąca na południowym brzegu, jest najważniejszym miejscem. Została przyłączoną do Szkocji jeszcze przez Jakóba III.; resztę zaś Hebryd przyłączył do królestwa Jakób V. dopiero w roku 1536.

Aros jest raczej osadą rybacką jak wioską; w ostatnich jednakże czasach podniosła się ona cokolwiek, dzięki żegludze parowej i turystom odwiedzającym grootę Fingala.

Hotel ma dość porządny, szyby jego świeciły się z daleka w błędem słońcu.

Wpływamy do przystani, ale z wielkiem wysileniem wioślarzy, gdyż przy odpływie morza, łódź wielka i ociężona osiadła na piasku zdaleka od niskiego brzegu. Ja nie chcę czekać na przyptyw; każę wysadzić kucyka w morze i poprzedzony dudarzeń brnącym piechotą, spieszę ku oberży.

Jonathas, stanąwszy na wyspie wydobywa dudy i zaczyna w niebogłosy wyciągać hymn Drummondów. Na ten szumny odgłos wypadają z oberży gospodarz, gospodyni, synowie i córki, słudzy i goście obojga płci, i spieszą na nasze spotkanie.

Pomiędzy gośćmi znajduje się jedna z mych znajomych londyńskich, sławna w całej City z swych wygórowanych uczuć, z wysokiego rozumu i wzrostu.

Poznajmy się z tą damą.

Miss Hethrington była sobie niezaprzeczenie jedną z najmodniejszych panien całej City, lat temu kilka, może więcej. Uczuciowa, oczytana, śmiała, imponująca, jedném słowem *blue stocking* (*) najniebezpieczniejszego rodzaju, nie znalazła godnego sobie małżonka: Czekwała na zstąpienie Apollina z niebios; ten się nie zjawił, poszła więc jako *kobieta niezrozumiana, niepojęta*, za swego stryja, człowieka już średniego wieku, który całe swe życie spędził na polowaniu, w klubach i wycieczkach gastronomicznych na kontynencie europej-

(*) Bas-bleu, kobieta mająca pretensyę do uczoności.

skim. Stryj ten nie był ani miłym, ani uczciwym, ani pięknym, ale miał wyżej czterech tysięcy funtów szterlingów rocznego dochodu, to jest posiadał wszystkie cnoty w stanie uśpienia zachowane.

Panna Hethrington odgadła, że daną jej była missya obudzenia z letargu cnót swego stryja mister Hethringtona, i nie zmieniając swego nazwiska, znanego już w literaturze emancypacji kobiecej, raczyła najłaskawiej zezwolić na odmianę panińskiego stanu. Poszła więc za swego stryja, i od tej chwili datuje przeobrażenie się pana Hethringtona w najnieszczęśliwsze stworzenie w świecie, w człowieka, którego Anglicy nazywają malowniczym przydomkiem *a bed-ridden man*. (*)

Bądźcie zdrowe polowania, karty, byfsztyki i swobody kawalerskiego życia! teraz podlegać trzeba, podlegać kobiecie, w imieniu cywilizacji, postępu i godności człowieczeństwa.*

Mistres Hethrington poznaje mnie z okien hotelu, i nie dbając o *decorum*, ani o *fashion*, ani o *qu'en dira-t-on?* wypada na me spotkanie, i z radości ledwo wymówić może:

—»Ah, doktorze! oh jakie szczęście! oh tą razą uwierzyć muszę w przecucia! Wystaw sobie pan: my tu wczoraj przybywamy parostatkiem dla zwiedzenia Staffy, a mój mąż, korzystając z méj choroby morskiej, zakłada się podczas podróży, że zje 12 byfsztyków z kartoflami. Zakład wygrał niecnota, ale teraz leży prawie bez duszy, leży jak petryfikaeya kornwalska, i passuje się jak gladyator rzymski z swemi bifsztykami. Proszę sobie wystawić moje położenie. Kapitan parostatku kazał go wysadzić, z bojaźni żeby na okręcie nie zamarł, a ja tu sama jedna, bez żadnej pomocy lekarskiej, bez sługi, bez przyjaciela, pielegnować muszę mego prozaicznego, obżartego małżonka. Ach! powiedz sam doktorze! co to za okropne położenie, mieć tak pełne uczuć, tak szczytne serce, i być żoną takiego gminnego potwora, jak pan Hethrington! Ah mój Boże!«

—»W imieniu Apollina i dziewięciu Muz, w imieniu panny Throllop i pani George Sand, wzywam panią, uspokój się. Oh poetyckie, czułe serce! nie pierwsza to niestrawność twego męża!« Temi argumentami cieszyłem rozpaczającą.

(*) Mąż w spódnicy.

—»Ale zapewne będzie ostatnią!« dodała ona, załamując ręce.

Pacjent istotnie był w smutném położeniu. Leżał bez przytomności z obłąkanemi oczami, majacząc o polowaniach na lisy, o bysztykach, o zakładach i o wiście.

Musiałem wyrzucić całą potęgę lekarską na zwalczenie tak kolosalnej niestrawności; szczęściem, że lekarstwa na to potrzebne miałem z sobą. Jestem pewnym, że bez silnego ratunku, pan Hethrington byłby ofiarą swego zakładu.

Ale pomimo polepszenia, przewidzieć można było, że choroba potrwa jeszcze dni kilka. Zalecałem tedy cierpliwość i chciałem wyruszyć nazajutrz, przepisawszy choremu stosowną dyetę, w dalszą podróż.

Ale zaledwie wyjawilem chęć moją, pani, a nawet i pan H..., zaczęli mnie najusilniej błagać, żebym ich nie opuszczał, dopóki sami nie będą w stanie wyruszyć w podróż. Pan H... ofiarował mi za zwłokę w podróży 10 funt. szt. dziennego wynagrodzenia, na utrzymanie mego dworu, *for the entertainment of my court*, jak się wyrażał. Anglik, choć materyalista, delikatnym jest przecież i wspaniałym, i tém się różni od wielu magnatów, którzy znajdują roszkosz życia w pogardzaniu rodem ludzkim i w skąpstwie.

Dałem się nakłonić i pozostałem w Aros, w hotelu, który weale był wygodnym; zatrzymałem w méj służbie łódź z wioślarzami, dudarza mego i kucyka, co mnie kosztowało do półtora funta dziennie.

Nie brakło w hotelu owsa dla konika mego, niezbyt nawet był drogi, garniec bowiem kosztował szylinga, to jest złp. dwa. Owies polski słynie z dobroci swój i w tej odległej krainie; starają go się mieć na zasiew; pełniejszym jest bowiem od wszystkich innych. Mieszkańcy Hebryd, majętni i ubodzy, nie jedzą innego chleba jak owsiany, któryby był nawet dość dobry, gdyby nie zawierał w sobie często jakichś plewów ostrych, język i gardło kaleczących.

Statki parowe, często tu zawijające, upowszechniły wprawdzie w Hebrydach bułki pszenne w kilku hotelach, ale nawet magnaci Hebryd nie chcą żywić się innym chlebem jak tym, który kraj wydaje. Tak pojmują patriotyzm ci godni ludzie; wiedzą, że dobrym przykładem winni przewodniczyć reszcie ludności.

Korzystałem z méj łodzi i z mego konia, i codziennie robiłem wycieczki w głąb wyspy i po jej brzegach. Często nawet państwo H... mi towarzyszyli. Wyspa, którą pan Lach Szyrma w r. 1822 bardzo nędzną znalazł, nie należała wprawdzie, w chwili gdym ją zwiedzał, do kwitnących; ale nie przedstawiała tego smutnego obrazu, jaki nam nasz rodak skreślił. Ludność powiększyła się znacznie od tego czasu; postęp ten należy przypisać poprawie rolnictwa i hodowaniu bydła, a przede wszystkim zniesieniu reszty praw feudalnych, trwających tutaj aż do r. 1832., a które w biednej Irlandyi po dziś dzień jeszcze istnieją. Szkocya umiała się usamowolnić z pod wpływu owych *tenants*, to jest dzierżawców, którzy razem z gruntem nabywali także prawo korzystania na lat tyle a tyle z pracy i życia wieśniaków na nim osiadłych. Przedtém mieszkańcy Hebryd, uciekając przed głodem i zdzierstwem dzierżawców, udawali się chmarami do Ameryki. Od lat ośmnastu stan ich stał się daleko znośniejszym: pozostają tedy w kraju i starają się użyźnić ten kawałek gruntu, który teraz nie od *dzierżawców* hurtowych, ale wprost od pana mają prawo brać w cząstkową dzierżawę. Przedtém, szlachcic nie chcąc uchodzić za oczywistego gnębiiciela włościan, wypuszczał dobra swoje pierwszemu lepszemu spekulantowi, z prawem używania wszelkich przywilejów do osoby pana przywiązanych, a sam puszczał się za granicę i nie wiedział, jakie się w jego dobrach dzieją nadużycia. Dziś pomiarkował się przecież i szlachcic z swemi powinnościami względem kraju i ludzkości; przesiaduje częściej w domu, osobiście wchodzi w układy z kmiotkami, i jest w stanie przekonać się, że struna zanadto nateżona pęknąć musi koniecznie.

Zniesienie danin i tym podobnych ciężarów i nadużyć postawiło nareszcie mieszkańców Mull w takim położeniu, że wyżyć mogą z pracy rąk swoich, z rolnictwa z rybołówstwa, z kopalni węgla, metalów, marmuru, żółtej terpentyny, z wyrobu wybornéj sody i tym podobnych zatrudnień. Chatki owe bez kominów, w których ludzie mieszkali razem z bydłem, już ustąpiły miejsca po większej części schludniejszym mieszkaniom, otoczonym ogródkami warzywnymi.

Oświata tych poczciwych ludzi, która zawsze była daleko wyższą, niżby z smutnego ich stanu majątkowego wnosić można, dziś podniosła się jeszcze pod błogim wpły-

wem lepszego bytu materyalnego. Powaga, roztropność, uprzejmość, znamionami są ich charakteru. W każdej chatce znajdziesz biblię, książki do modlitwy i śpiewy Ossyana, często kroniki narodowe, a czasem nawet jakie czasopismo ludowe, naprzykład nieoszacowane: „*Penny news*“ panów Chambers, którego arkusz drukowany, wielki jak obrus, mniej kosztuje jakby u nas kosztował tenże sam arkusz niedrukowany, choć naszemu krajowi nie brakuje pierwszego materyału do wyrobu papieru potrzebnego.

Podczas zimy, kiedy śnieg i mrozy odosobniają tu ludzi od świata, pisma te prawie jedyną ich są zabawą i pociechą; one im zdziwienie nie pozwalają

Zresztą, nie zbywa tej krainie gór i przepaści, skał, dolin, parowów, jaskiń i pieczar, orłów i zwierzyny, burz i piorunów, tak jak i całej ziemi górzystej Szkocyi. Góra Benmore, wznosząca się na 3,500 stóp po nad powierzchnią morza, panuje prawie nad całą wyspą i przejmuje wiatry północne i wschodnie tak skutecznie, że stopy południowo-zachodnich gór cieszą się ciepłym powiewem jeszcze wtenczas, kiedy wschodnio-północna część wyspy leży pogrążona głębokimi śniegami.

Góra ta dla swego kształtu zwana jest bochenkiem (*loaf*).

Pomiędzy zamkami wyspy Mull godnemi widzenia, najwspanialszym był dawny Mac'Donaldów zamek. Zostały z niego okazałe rozwaliny, leżące na podnóżu skalistej góry, staczające się po części w wązką przystań osady Aros.

Mac'Donaldowie byli dawnymi panami wyspy Mull. Oni ją Norwegczykom wydarli i tutaj długi czas, nie uznając żadnego zwierzchnika, samowładnie panowali. Sam ogrom rozwalin ich siedziby świadczy, że Mac'Donaldowie byli potężnymi panami. Groźne ruiny sterczą jak widma na krańcach opoki, o której podnóża rozbijają się bezustannie morskie bałwany.

Dalej, na północ wyspy, leżą od dawnych, dawnych czasów zwaliska, grubym mchem, sosnami i brzezina obrosłe. Mają to być ruiny Bakluty czyli zamku Moiny, te same ruiny, o których mówi Fingal tak czule:

„Widziałem mury Bakluty, lecz one były spustoszone. Ogień wygaś w kominach i odgłos biesiadników już się nie odbijał o ściany komnat. Strumień Kluta wyparły z dawnego łoża rumowiska walącego się zamku. Nikogo już

nie ujrzyś w tych -niegdyś tak wesołych dziedzinach. Tylko oset trzęsie siwą głową, i wiatr świszczycy przez szczeliny. Z okien wycierają chytre lisy, a bluszcz pnie się po ścianach. Zniszczenie i milczenie panują w zamku pięknej, lubej Moiny.“

„Tak śpiewał — kończy Ossyan — bohater i tysiąc bardów powstało, by usłyszeć głos króla, a głos ten był podobnym do dźwięku harfy, gdy w nią zaszepcze wiosna. Kto zrówna tobie, o królu Morwenu!“

Ossyan tak serdecznie ubóstwiał swego ojca Fingala.

Ale wszystko na świecie ma swój koniec, nawet i angielskie niestrawności. W pięć dni po moim przyjeździe do Mull, stan pana H. nie pozostawiał nic do życzenia. Umyśliłem tedy puścić się w dalszą podróż.

— „Doktorze! tak nas pan szybko opuszczasz?“ krzyknął zdumiały pacjent, widząc mnie w podróżnym ubiorze, w plaidzie Drummondów na barkach, w czapce z orlém piórem na głowie i z strzelbą w ręku.

— „Już czas, o mój pacyencie! Patrz, jak tam góry Morwenu tula się w obłoki, musi im być zimno okropnie. Ja muszę jeszcze zwiedzić i Staffę, i Jonę, przejechać wskrós całą północną Szkocję kanałem Kaledońskim, zwiedzić plac boju pod Kulloden, zwiedzić uniwersytet w Aberdeen, i zabiawić dni trzy jeszcze w Edyburgu, nim znów wrócę na zimowe leże do Londynu. Chwili nie mam do stracenia, a wiatr dobry wieje ku Staffie.“

— „Ach! to mi to piękna, romantyczna podróż!“ rzecze pani H., „a nie taka prozaiczna jak nasza, w której i oka spuścić nie można było z nudnych twarzy kupców londyńskich. Ach! panie Hethrington, i ja też wolę tę zajmującą drogą wrócić do Londynu, a nie wprost przez ten kupiecki Belfast i Liverpool.“

— „Ale zastanów się pani kochana“, odezwał się pan H.; „wszakżeż to przynajmniej cztery razy dalej; kołować po całej Szkocyi, by wrócić do Londynu! to dobrze dla uczonego, ale nie dla pani, której delikatne nerwy...“

— „Panie Hethrington,“ zawoła londyńska Sapho; „panie Hethrington! o hańbo! ja nerwy miałam mocne jak cięciwy, nim pańską zostałam żoną. Panu to winnam, pańskim gminnym zwyczajom winnam tę drażliwość moją nerwową!“

— »Tak jak ja pani winienem moje niestrawności: nie znałem ich przed ślubem« dodał zimno pan H.

— »God Almighty! Saviour!« wrzaśnie obrażona Sapho, układając fałdy sukni do klassycznego zemdlenia.

— »Na Boga! pani Hethrington! odłóż pani ten napad nerwowy na czas inny. Do Staffy pojedziem, do Jony pojedziem, Kaledońskim kanałem pojedziem, do antypodów, do piekła pojedziem, bylebyś mię pani uwolniła od widoku gotującego się paroksyzmu. Na Boga!«

Tak błagał nieborak, a rozumne nerwy miłej żony drgać przestały, tylko się piękne oczy łzami zalały i koralowe usta przemówiły:

— »O! niewdzięczny! wszakżeż ja dla twego dobra podróżuję. Dla ludzi tak majątnych jak my, nie masz odległości, a potem w towarzystwie doktora będę spokojniejszą o twoje zdrowie.«

— »Ah! to z doktorem puszcza się w podróż? rzecz smutno-naïwnie pan Hethrington;« »ha! he! to co innego. A może mu to subjekeyę sprawi!

— »Oh! nie!« odpowie sentencyonalnie pani H.; »ręczę, że nie. Doktor jest dobrym, domyślnym człowiekiem, przytém *quite a gentleman* i pojąc zdoła, ile jest delikatności w obawie mej o tve zdrowie.«

I tak zupełnie, niespodzianym sposobem, zyskałem nowych towarzyszków podróży. Kupiłem kucyka, by nie być samotnym, a tu odrazu widzę się otoczonym licznem gromem sług i przyjaciół. Nie źle podróżować w Hebrydach!

Nie tracąc ani chwili, puściliśmy się w podróż. Łódź z trzema wiosłarzami, wyprawiona na morze, miała z pakunkiem naszym okrążyć północną część wyspy, i czekać na nas w osadzie Dug, na brzegu zatoki Keal. My zaś lądem dążyliśmy do tej zatoki odległej o półtrzeciej mili geograficznej od Aros. Kucyk miał szczęście dźwigać samą panią Hethrington, ubraną w niebieską amazonkę i w kapeluszu pluszowy z białym strusim piórem. Wysmukła, wysoka i piękna, wyglądała jak kolumna czerwcowa na słoniu Bastylli. Dwóch wiosłarzy z siekierami służyło nam za saperów. Pan Hethrington uzbrojony był w strzelbę, w torbę myśliwską, w kordelas i w jakiś blaszany aparat, który, jak się później pokazało, służył mu do robienia bifsztyków *à la minute*, i nigdy go nie odstępował.

Jonathas huczając i skrzecząc na dudach, poprzedał mnie wszędzie, jak liktorowie konsulów.

Opuszczamy Aros właśnie w chwili, gdy nowy parostatek wpływał do przystani, i przywoził nowe towarzystwo turyistów. Nie dbaliśmy o nowiny z Londynu i pochodzącego naszego nie wstrzymaliśmy.

Wszystko dobrze szło, dzięki pogodzie, dzięki kucykowi, bardzo zadowolonemu z swego ciężaru, i dzięki memu bratu Drummondowi, rozweselającemu nas opowiadaniem dziejów, podań i plotek kraju, który przebiegaliśmy. Biedny ten człowiek całkiem był poetą; nie troszczył się o przeszłość, choć mu szron głowę przypruszył i choć nigdzie nie miał własnej strzechy; żył tylko radością innych; obudzać ją, było dla niego najmiłszym zatrudnieniem. Wiele widział złych dni w swym życiu, ale mówił o nich bez goryczy; spędził dwadzieścia siedm lat zdaleka od swjej ojczyzny, ale swego Ossyana nie zapomniał, i wróciwszy do kraju, pragnął koniecznie przebieść wszystkie kąty i pustynie wstawione poczytą ślepego Barda.

Wyspa Mull nie wiele tu przedstawiała pięknych widoków. Góry i skały, prawie całkiem z drzew i liści огоłoczone, tu i owdzie tylko pokryte były skąpą trawką; pasły się po nich stada owiec nieliczne. Gdzieś tam kilka włók gruntu zasianego owsem, który właśnie zbierano. Cała wyspa, 43 mil kwadr. geogr. powierzchni zajmująca, nie wydawała nawet tyle ziarna, ile jedna mila gruntu naszego wydać jest w stanie.

Weszliśmy do dość pięknego gajku, który nieznacznie gęstnąc ku północy, tworzył już bór dość cienisty. Pan Hethrington i Jonathas, któremu strzelby pożyczyłem, poszli się uganiać za ptastwem leśnym. My tymczasem zstępowaliśmy wolnym krokiem w głęboką dolinę, i wkrótce ujrzelśmy zdaleka srebrne zwierciadło zatoki Keal. Niebawem spostrzegliśmy w dali łódź naszą, okrążającą z północy przylądek Pikatorne, na którym wznosi się latarnia morska. Nasze saperzy nie spuszczały z niej oka, jak gdyby jej od wieków nie widzieli.

— »Kto stanie pierwój w Dug, my, czy oni?« zapytała pani Hethrington saperów.

— »Oni, choć trzy razy dalej mają, i choć wiatr im służyć przestał,« odpowie jeden z wioślarzy; »bo sternik po-

wiedział, wyjeżdżając z Aros, że i na czas stanie i przejdzie od nas, a on się nigdy nie myli, skoro co zaręczy.»

—»Jakto? on się nie myli nigdy? przyjacielu,« zapyta zdziwiona pani H....; »a któż nieomylny na tym świecie?«

—»Są tacy, których przeczucia nigdy nie mylą; są i tacy nawet, co przyszłość przewidzieć umieją. Oto Dawid Paterborn jest właśnie takim człowiekiem,« odrzekł znów wioślarz, a na jego roztropnej uczciwej twarzy malował się wyraz przekonania i pewności, jak gdyby mówił o rzeczach żadnej wątpliwości nie podpadających; i to mówiąc pobiegł z swym towarzyszem naprzód.

—»To jakiś dziwak, ten wioślarz!« rzecze znów do mnie pani H....; »wierzyć w niemylność przeczucia, w przewidzenie przyszłości. A to rzecz niepojęta!«

—»Pani musiałaś słyszeć o »*second sight*«, tym, że tak powiem, wewnętrznym wzroku Szkotów, i wiesz zapewne, że ani religia chrześcijańska, ani oświata nie zdołały wykorzenie z ich serca wiary w ów wzrok duszy sięgający w przyszłość. Ale dziwi mnie, że mąż pani nie widać, musiał się gdzieś za daleko zaawanturować za zwierzyną.«

—»Albo też ją piecze w najlepsze na swój podręcznej kuchni, bez której się nigdy nie puszcza w podróż, nawet kiedy z naszej włości jedziemy do pobliskiego kościoła. Ah! żebyś pan wiedział, co to za oryginał ten pan Hethrington! Przed kilku laty pojechał odwiedzić grób swego stryja w Tunbridge, stryja, który mu zapisał cały majątek. Poszedł na cmentarz leżący nad romantycznym brzegiem rzeki Medwaj. Ja pozostałam w hotelu, byłam cierpiącą i nie mogłam się narażać na wzruszenia grobowe. Czekam pół godziny, czekam godzinę, pan Hethrington nie wraca. Nareszcie znicięcierpliwiona zebrałam wszystkie siły, zważyłam wstąpić, i idę na cmentarz z lokajem. Długo tu szukamy pana Hethrington, nareszcie znajdujemy go na kamieniu grobowym swego stryja.«

—»Kłęczącego, płaczącego, modlącego się?« przerwałam.

—»Ale gdzież tam! doktorze! smażącego wróble, które ubił z wiatrówki na samym cmentarzu!—Na ten widok okropny padłam jak nieżywa! prosiłam grabarza, żeby mnie zakopał w grób otwarty, czekający na swą ofiarę, i doktorze! czy uwierzysz? pan Hethrington z najzimniejszą

krwią daje pięć szylingów grabarzowi, żeby mnie dobrze przygniótł ziemią. Zgroza mię przejęła, odstąpiłam od mego zamiaru, i żyję jedynie na przekór mężowi. Oh! God Almighty! Boże, ty wiesz, ile ja znoszę, ja niepojęta istota!»

Wtém jeden z wioślarzy przystąpił do nas robiąc uwagę, że nicobecność pana Hethrington dziwi go bardzo, i oświadczył się gotowym odszukać go.

—»W górach, mówił, są zdraдлиwe miejsca, można się zabłąkać łatwo, można wpaść w jaką przepaść.«—Trzeba oddać sprawiedliwość: pani H.... zbladła i zadrżała na te słowa. Nagle z góry, z wysoka, woła na nas jakiś chłopczyna i oznajmia, że go dudarz posłał po wioślarzy, aby przybiegli z hakami i linami, bo ten jegomość z Londynu, uganiając się za dzikim kozłem, zesliznął się z spadzi-stej góry, i wyjść z przepaści nie może, choć sobie żadnego nie zadał szwanku. Wioślarze pobiegli, nie czekając naszego polecenia; ja chciałem pójść za nimi i powierzyć panią Hethrington chłopakowi; ale przystać nie chciała, żebym się na krok od niej oddalał; zeskokczyła z konia i pobiegła zemną w góry. Konia tymczasem przytrzymał chłopak. Idąc za odgłosem wystrzałów dawniej słyszanych, zblądziliśmy w lesie, a odszukawszy drogę, spotkaliśmy Jonathasa obciążonego kozłem dzikim ubitym ręką pana H.

Tak tedy Jonathas, obciążony kozłem, nie wypuszczał spod swęj pachy kozy.

—»A gdzie mój mąż? a gdzie mój kochany mąż?« krzy-czała pani Hethrington załamując ręce.

—»Przyniosą go tu wioślarze niebawem. Wywindowali-śmy go z wielką biedą z głębi przepaści. Ale winszuję pa-ni, sławne ma kości pan Hethrington, ani jednej nie zła-mał. Wić też pani, co jćj mąż robił w jamie czekając na pomoc?«

—»Ręcę, że zgadnę: smażył sobie jadło na patelni?«

— Ot! nie! nie zgadła pani; rewidował tylko, czy owa kuchnia, którą dźwiga na plecach, szwanku nie ucierpia-ła; zaczerpnął wody w pobliskim strumyku i gotował ją na spirytusie.«

—»To na jedno wychodzi; smażyłbyśztyk *in effigie*« odrzekła pani H.... uśmiechając się gorzko.

Nadszedł przecież i pan H., kulejąc cokolwiek; ale spostrzegłszy swą żonę, nie śmiał biedak i kuleć, i zaręczał, że się umyślnie spuścił w przepaść dla dowiedzenia światu, że głowa męża uczonéj kobiety rozbić się nie może o skały.

—»A to dla czego nie?« spytała ciekawie pani H.

—»Dlatego, że do czegoś innego przeznaczona,« odpowie pan H., śmiejąc się tak serdecznie, jak gdyby był wygrał zakład.

Ale pani H. zbladła jak alabastr, a potem załała się krwawym rumieńcem.

Do dziś dnia nie wiem, co pan H. chciał powiedzieć; ale mi się zdaje, że miał na myśli głowę zabitego koźła... źleć to zawsze malować diabła na ścianie!

Stajemy nareszcie w Dug; łódź nasza już tu zawinęła przed dobrą godziną.

—»A cóż? czy myli się Dawid Paterborn?« spyta wioślarz.

—»Byłby się omylił, gdyby pan Hethrington nie był wpadł w przepaść,« odrzekła sucho pani H.

—»Ale Dawid Paterborn przewidział, że mąż pani musi wpaść w przepaść,« powie głupio wioślarz.

»A niechże cię piorun trzaśnie z twoją szatańską loiką!« pomyśliłem sobie.

Przyptyw morza. Ani sposób puszczać się do Staffy. Trzeba nocować w Dug, w chacie rybackiej, i grać w wista cały wieczór; a potem położyć się w ubraniu na wiązkę słomy.

ROZDZIAŁ XXVI.

WYCIECZKA DO STAFFY.— GROTA FINGALA.— WRAŻENIA.—
APETYT PANA H.— POSTAĆ WYSPY.— OLTARZ DRUIDÓW.—
CLAMCHELL.— WYSPA JONA CZYLI IKOLMKILL.— ZWALISKA.—
SMĘTARZ.—PASTOR.—PLEBANIA.—GOŚCINNOŚĆ.—

Nazajutrz, skoro tylko śnieżny szczyt Benmoru srebrzcę się począł w bladém, wschodzącém słońcu, i światło poranne rozjaśniło dolinę, wypłynęliśmy, zostawiwszy rzeczy nasze i konia w gospodzie, ku wyspie Staffa. Z obu stron zatoki wznoszą się ku niebu ogromne skały i straszą olbrzymiemi kształty.

Wiatr gwałtownie rozpręzał żagiel i przejmował zimnem. Jonathas, natchniony bliskością świętego miejsca, dął nielitościwie w swe dudy. Za pomocą żagli, futer i plaidów udało nam się zrobić na tyle łodzi coś nakształt namiotu, by się zasłonić od wichru i nawałnicy. Tak biegliśmy ku celowi, oddalonemu od nas o 10 mil morskich, a biegliśmy z nadzwyczajną szybkością.

O parę mil od Staffy wiatr zwolnił i nastąpiła cisza, co wielkiem było dla nas szczęściem, gdyż do podwojów Fingala zbliżyć się nie można przy nawałnicy. Pionowe skały odrzucają z taką siłą fale morza, że częstokroć i wielkie statki giną pod ich naporem.

Grota Fingala jest najcudowniejszym utworem wulkanicznym, jaki się na kuli ziemskiej znajduje. Z wnętrza ziemi i z pod powierzchni morza wznoszą się wysoko, ku niebu, miliony ręką natury wyciosanych słupów bazaltowych, i noszą na swych szczytach ów dach niezmierny, który nazywamy wyspą Staffa; a pomiędzy filarami znajduje się przerwa na 60 stóp szeroka, na 300 zaś długa,

na 150 wysoka i tak piękna i regularna, jak tylko umyślnie stawiany kościół być może.

Nic nigdy natura nie wybudowała do sztuki podobniejszego jak ową grootę.

W te podwoje wstępują bałwany morza i rozbijają się często o ich ściany z łoskotem i wściekłością, aż drży wyspa cała i chwieje się w swych podstawach.

Tą razą mogliśmy spokojnie wpłynąć w głąb tej cudownej jaskini, i dostać się łodzią aż do samego jej końca. Tu przytwierdziwszy statek, wysiedliśmy na słupy, w różnych wysokościach z wody wystające. Po nich można było dojść jeszcze głębiej w jaskinię do miejsc, gdzie się już nie daje słyszeć ryk bałwanów, łoskot fali, jęk powietrza wypychanego nawałnicą, lecz gdzie nas czekała inna muzyka, do żadnej dotychczas słyszanej niepodobna.

Myriady kropel staczały się po krawędziach słupów bazaltowych dzwiecznych jak metal, i krople te tarcieciem swém tworzyły szmer tak pełny i harmonijny, jak go wydają tafle szkła pociągane smyczkiem, lub też owe banie brzmiające, gdy słońce rozgrzeje w nich zawarte powietrze. Niewidzialna ta muzyka, wtórująca tak tajemniczo cudownemu budynkowi, melodia ta ręką wieczności do niego przywiązana, przejmując zdumiałego widza jakimś czarującym, nerwy łaskocącym, nieznanem uczuciem; powiedziałbyś, że to ostatnie akordy bardów Fingala, którzy niegdyś tu zasiadali na tych słupach i sławili wielkie czyny króla Morvenu.

Żałobny kolor bazaltu, ponury mrok rozlany w głębi jaskini Fingala, mrok, w którym ginęły jak w nieskończoności niepewne zarysy świątyni ręką natury wzniesionej; dźwięk tajemniczy muzyki, brzmiającej tak jednostajnie a tak uroczym; niezmiernie morze szumiące zdaleka; jęk jaskiń pobocznych, dławionych bałwanami, — i tu u stóp naszych, w pośrodku świątyni, ten niezgłębiony ocean, kryjący w swych odmętach początek od dwudziestu wieków zgromadzoną! któż mógł się oprzeć wpływowi tak potężnych, przenikających wrażeń?

Wioślarze nasi, proste dzieci natury, choć setny może raz w te podwoje wstępowali, stali przecież i teraz w milczeniu uroczystém, z twarzą wzruszoną, w tej jaskini, gdzie tyle się skupia różnorodnego piękna, aby utwo-

rzyć cud nieporównany. Jonathas tak był rozczulony, że łązy ronił i o swych dudach zapomniał. Pani Hethrington, z rozpuszczonemi od wilgoci długimi lokami, siedziała nieporuszona, niby natchniona, na jednym z bazaltowych słupów, jakby cień Moiny z odmętów morza wskrzeszony. Już o sobie nie mówię, gdyż niewypowiedzianemi są uczucia, które mną wówczas owładły. Zdaje się, że nikt nie zdołał oprzeć się wpływowi tego świętego miejsca.

Niestety, znalazła się pomiędzy nami istota nie dzieląca wcale naszego uniesienia.

Tak jest, niestety! znalazł się człowiek, co nie dzielił naszego zachwycenia w uroczystej, tak silne uczucia pobudzającej grocie Fingala.

Są ludzie niezdolni, że tak powiemy, do wszelkich uczuć szlachetniejszych, co nawet przypuścić ich w kim innym nie mogą, i ci zwykle tak są zatwardziali w brzydkim samolubstwie, że nawet w obec ludzi wyższych pojęć, nie są w stanie powściągnąć swych niskich zwierzęcych skłonności.

Takim właśnie był nasz turysta londyński.

Widząc nas wszystkich pogrążonych w uroczystém milczeniu, zdudził się okropnie, i korzystając z naszego poetyckiego odrętwienia, wydobyl z futerału swoją ulubioną kuchenkę, postawił ją na słupie bazaltowym, tym wspartym niegdyś podnóżku bohaterów Fingala, zapalił lampkę spirytusową, i zaczął w najlepsze smażyć kawał kozła dzikiego, który jako człowiek przezorny, zachował w torbie myśliwskiej.

Ostłupieliśmy wszyscy na ten widok gorszący; pani Hethrington zwraca melancholiczne oko na światło lampki, myśli, że to błędnica, rozeznaje za chwilę prawdę i zapala się, jak błyskawica, świętym gniewem.

—«Oh i tu nawet! i tu powściągnąć nie możesz twego wileczego żołądka, bezczelny świętokradeo! w tém uroczystém miejscu śmiesz zakładać kuchnię?» rzekła głęboką przejęta zgrozą pani H.....

—«A to zabawna rzecz!» odpowie z najzimniejszą krwią nieporównany małżonek; »na honor; to zabawna! a gdzież sporządzą sobie śniadanie? Tam wiatr nielitościwy, a na całej wyspie nie masz ni jednego ludzkiego mieszkania. Jaskinia Fingala, jak gdyby naumyślnie stworzona do sma-

żenia bifszyków. Patrzno, jak tu pięknie, ani najmniejszego powiewu powietrza. Maszynka stoi sobie nieruchoma na kamienną podstawie, spirytus ładnie się pali i dodaje temu miejscu jakiegoś jeszcze fantastycznego uroku. A potem....zaczekaj: tylko w kraję cebuli.... ot jaka aromatyczna woń rozwija się w około! Czy ci to nie przypomina zapachu ofiar palonych tu niegdyś przez Druidów najwyższemu Jestestwu! Oh i ja byłem w Arkadyi! i ja jestem poetą!... Skosztujno tej potrawki, wyśmiania!

—»Oh! Jonathan, David, Patrick, Dulkan! pomścijcie się za sprofanowanie podwojów Fingala! zapach przebrzydłej cebuli, tu, wtém miejscu! Synowie Szkocyi, wrzućcie całą tę kuchnię w otchłań morza! Doktorze, ja mdleję, ja umieram!»

Istotnie, to było za wiele na wykwintne nerwy, na delikatną duszę pani Hethrington. Dostała spazmów z konwulsyjnym śmiechem i z innymi przypadłościami nerwowymi. O mało co nie spadła z bazaltowej kolumny w morze. Musiałem ją trzymać wszystkiemi siłami.

Pan Hethrington tymczasem wyniósł się ze swoją patelnią do jednej z bocznych jaskiń, i zaczął jak najsmaczniej zajadać, nie troszcząc się ani o obrażone cienie Fingala, ani o łkania konwulsyjne żony, które echo jaskini wiernie odbijało.

Opuszczamy czempredziej znieważony przybytek, przebiegamy po bazaltowych słupach, leżących jak stosy drzewa porozrzucane prostopadle, poziomo i ukośnie. Po tych schodach naturalnych, bardzo w prawdzie niewygodnych, dostajemy się wreszcie na wierzch wyspy. Zimą tu nikt nie mieszka, latem tylko pasie się ze sto sztuk bydła, a kilka nędznych szalasów służy za przytułek pasterzom, wyrabiającym ser na miejscu, i żyjącym wyłącznie serwatką czyli żetycą. Pasterze ci, tak nędznie żywieni, bywają przecież mocni i zdrowi, choć nie tak rośli jak nasi pastuszkowie w Karpatach, żyjący także przez kilka miesięcy w roku li tylko żetycą. Jak mało potrzeba człowiekowi do utrzymania życia i zdrowia! rzecz zastanowienia godna!

Zimą, mówię, wyspa ta całkiem jest opuszczoną. Żaden jój podróżny wówczas nie odwiedza. Rozkielznane mo-

rze wstępu nie dozwala. Cała wyspa chwieje się i trzęsie na swych kamiennych podstawach; powiedziałbyś, że się chce zapaść w niezgłębiony ocean, z którego wyrosła na skrzydłach wulkanu, podniesiona bazaltowemi słupy.

Żąd się wzięła ziemia roślinna, pokrywająca skąpo wprawdzie szczyty tej dziwnej wyspy, wypartej ogniem z głębin oceanu? Oto pytanie, na które trudno odpowiedzieć. Cuvier, wielki geolog i filozof chrześcijański, sprawdzający i opierający prawdziwość Pisma Świętego na zjawiskach geologicznych; Cuvier, mówię, utrzymuje, że wiatry i burze zaniósły na Staffę ziemię roślinną z pobliskich wysp. Ileżto wieków potrzeba było na dokonanie tego zjawiska!

Łoskot powietrza wypieranego z jaskiń, któremi podkopana cała wyspa, silny jak wystrzały armatnie, przeraża nawet zwierzęta na niej się pasące.

Ludności stałej, jak powiedziałem, wyspa ta wcale nie posiada, choć nie jest najmniejszą z Hebryd, ma bowiem $\frac{1}{3}$ mili geogr. długości, a $\frac{1}{4}$ szerokości.

Lecz Staffę zamieszkują jeszcze cienie Druidów, cienie rycerzy Ossyana, którzy tu się zgromadzali wraz z królem Fingalem na tajemne narady, i dlatego też właściciel tego poetyckiego gruntu dumnym jest z swój bezludnej własności, i podpisuje się: Mac-Donald-Lord of Staffa.

Na najwyższym szczycie wyspy, tuż po nad gmachem Fingala, wznosi się na 150 stóp wysokości, wielki stos systematycznie poukładanych odłamów bazaltu.

Jestto starożytny ołtarz Druidów; tak się przynajmniej domyślam: któżby bowiem prócz Druidów miał cierpliwość budowania tak mozolnych pomników.

Tak jest! Tu przed chrześcijańskimi wiekami, w tém niedostępném prawie miejscu, pierwsi tych krain mieszkańcy oddawali cześć pokorną najwyższemu Jestestwu; tu chowali swych bohaterów.

Jeśli co może pogodzić człowieka myślącego a uczciwego ze smutną koniecznością życia wśród ludzi zwichniętych fałszywemi teoryami, niewiarą i bojaźnią, to niezawodnie widok pomników, świadczących, że w najodleglejszych już czasach, poprzednicy nasi czuli nagłą potrzebę ubóstwiania czegoś wyższego od człowieka i od złota. Tej błogięj doznawałem nieraz pociechy, patrząc na ślady dawnych pa-

miątek, i mimowolnie umysł mój wraca do owych miejsc, gdzie tak lubo było mi żyć życiem minionych czasów.

Nie mogliśmy oprzeć się chęci dostania się na sam wierzchołek ołtarza Druidów, choć podróż ta nader jest uciążliwa i prawie niebezpieczna. Nawet i pani H. nie żałowała swych paryzkich bucików i rękawiczek, siląc się dostać na te strome urwiska.

Jesteśmy na szczycie kamiennego kopca, uwieńczonego płaskim głazem, na czterech bazaltowych słupach spoczywającym.

O! jakże pyszny ztąd widok na Atlantycką, ginącą w szarém posępniém niebie, na Archipelag po tém morzu rozrzuczoną, który ci wskaże bielutką pianą, rozbijającą się o czarne skały! Mnóstwo gęsi dzikich, kaczek, jaskółek morskich okrążyło nas i witało melancholicznemi krzykami.

Drapie się, sapiąc, klnąc i stękając i pan Hethrington na ołtarz Druidów. Stając przy nas, głaszcze się po brzuchu i mówi:

— »Ach! tutaj dobrze«.

»Mój dobry mężu! *for pity!* (litości!) czy i tu smażyć się mają jakie bifsztyki? Tutaj niegdyś Boga chwalili«, zapytała płaczącym głosem pani H....

— »Nie, drogie życie! Ale sama zważ: wiatr wieje diabelnie, wilgoć przenika człowieka do kości; wypada się napić wódki, *notabene*, uczyniwszy naprzód wedle dawnego ob-
rządku, stosowną libację: Odinowi« odpowie z namaszczeniem gastronomiczny mąż uczuciowej damy, i wydobywszy z torby butelkę z wódką, wylał uroczyście połowę na ołtarz Druidów, a resztę wypił kolosalnemi łykami.

Na ten widok nie mogłem wstrzymać się od serdecznego śmiechu i pani H...., patrząc to na mnie, to na męża, na głos się rozśmiała. Pan H., widząc żonę w tak dobrym humorze, cieszył się jak dziecko, i przystąpiwszy do niej, pocałował ją w rękę, mówiąc:

— »*Now you are a good child* (teraz jesteś dobrém dzieckiem); śmieję ze mnie, ile tylko zechcesz, a ręczę, że tém łatwiej poprawisz, niż łąjąc mnie ciągle. Panie doktorze, tobie dziękuję, żeś tak poczciwy! Inny, na twojem miejscu, byłby odgrywał rolę fircyka sentymentalnego, byłby się niby litował nad urojonemi cierpieniami mej żony, i tém ją wię-

cój jeszcze przeciwko mnie burzył. Ale sam poszedłeś za popędem dobrego serca, i śmiejesz się z dziwacznych wymagań mojej żony, która zresztą jest najlepszą w świecie kobietą. «

I od tej chwili ciągła zgoda panowała w naszym towarzystwie; żona zaczęła wybaczając mężowi, a on wdzięczny za to, unikał wszystkiego, coby ją zmartwić mogło.

Anglik jest tém czulszym na najmniejszy dowód uczciwości, im mniej się jój spodziewa od cudzoziemca, którego zwykł uważać za naturalnego sprzymierzeńca wszystkich ładnych kobiet, zawsze spiskującego przeciwko mężowi; z góry go posądza i niełatwo mu ufa. Lecz kiedy raz przekona się o zacności człowieka, z którym jest w styczności, wówczas jego ufność nie zna granic; wiąże się z nim dobrą i uczynną przyjaźnią, bez żony, bez przymusu, lecz także bez ciągłych oświadczeń wykwintnych grzeczności.

Słońce dochodziło do połowy swego dziennego biegu, z nieba zeszyły czarne chmury, i mgły zaciemniające powietrze w morze padły. Wyspa Jona ukazała się na południu. Wiatr od zachodu dął silnie, a do Jony tylko półtorąj mili. Wiosłarze sami namawiają do wycieczki: obiecują, że na noc możemy wrócić do zatoki Kilmore.

Pani Hethrington najpierwsza się skłoniła do tej niebezpiecznej podróży; drażliwa i słaba w małych przygodach życia, była odważną i wytrwałą, kiedy szło o zaspokojenie ciekawości, o nagromadzenie przedmiotów do późniejszych konwersacyj salonowych.

Wsiadamy tedy na łódź rybacką, powierzamy się zdradliwym falom oceanu, posiliwszy się najprzód żywnością z Aros, zabraną w jaskini Clamshell, tak nazwanej od swego podobieństwa do konchy morskiego kruka.

Wiatr dmie w nasz żagiel; nie jest ani za silny, ani za słaby; ale na połowie drogi ustaje zupełnie. Zwijamy żagiel i bierzem się do wiosła. Spiewają wiosłarze, Jonathan na dudach przygrywa. Wtém zrywa się znów wiatr, lecz z innego kierunku, i pcha przeciw nam bałwany. Wiosłami już nie nie dokążesz; za silna nawałnica, trzeba rozwinąć żagiel, zbliżać się gzygzakiem do celu. W cztery dopiero godziny zawijamy do Jony. To wielki dla nas zawód; gdzie tu nocować na tej biednej wysepce? tym wiatrem do Kilmore wrócić nie sposób, a kto wie, jaki będzie jutro.

Wyspa Jona, zwana także Icolmkill, od celtyckiego nazwiska I Columb kill (wyspa Kolumba), jest mało znaną, a przecież tak jest dla dziejopisarza archeologa i poety interesującą, jak nie wiele wysp w świecie.

Wysepka ta zaledwie 450 głów ma osady, i obfituje tylko w żółtą terpentynę, biały marmur i w inne niekosztowne minerały, a te nie zdołałyby zapewne zwrócić na nią naszej uwagi.

Ale nie terażniejszość Jony, lecz jej przeszłość nas tu zwabiła: ciekawe tu rozwaliny najdawniejszych budowli chrześcijańskich.

Niegdyś, byłoto w r. 565. po narodz. Chrystusa, święty Kolumb założył tu pierwszą kaplicę chrześcijańską. Z tego małego, dziś nieznanego zakątka, światło religii Chrystusa rozeszło się na całą Szkocję, a w tym klasztorze, którego dziś tylko stoją rozległe gruzy, nauki i sztuki znalazły spokojny przytułek w VII., VIII. i IXtym wieku.

Na około zwalisk kaplicy i klasztoru znajduje się wiele niegdyś wspaniałych, dziś niszczałych pomników.

Królowie i możnowładcy kazali się tutaj po śmierci chować. Dzieje świadczą, że spoczywa tu 48 królów szkockich, pięciu irlandzkich, ośmiu norweskich, a nawet jeden francuzki, który się rzekł berta w r. 771. Byłto Karloman. Za grobami królów znajdują się mogiły tak nazwanych Panów wysp (Lords of Islands).

Czemuż pragnęli być pochowanymi w Jonie? nie wiem. Utrzymują, że sławiona świętość przybytku religijnego przyciągała doń wiernych chrześcian, a podanie głosi, iż głównym powodem było dawne proroctwo: że na siedm lat przed ostatecznym sądem, zapadnie się w morze wielka część północnej i zachodniej Europy, że Jona dotrwa na swém miejscu aż do końca świata. Każdy dobry chrześcianin pragnie być w ziemi, a nie w głębi morza, przy uroczystej chwili obliczenia się ze swemi prawami do dalszego bytu.

Bądź co bądź, tutaj wygodnie być musi leżeć, w tej świętej kolebce oświaty kaledońskiej, z kąd nieokrzesana dzieczerpała zasady religii i jej dobrodziejstwa.

Tu wam wygodnie być musi leżeć o królowie pomiędzy tym ludem, który tak biedny, a przecież nie wpadł jeszcze na myśl świętokradzką znieważenia waszych popiołów, dla szukania złota, którym lubicie się zdobić jeszcze po śmierci;

pomiędzy tym wiernym i walecznym ludem, który, gdy reformatorowie Kromwela chcieli wylądować do Jony, oparł się temu, mówiąc: »uzbrojonym apostołom nie wierzymy nigdy; przyjdźcie bezbronni do nas, a będziem was słuchać«.

Po tym klasycznym gruncie chrystyanizmu stąpaliśmy tedy, idąc od zwałiska do zwałiska, od kurhana do kurhana, siłąc się, żeby wyczytać dawno zatarte celtyckie, skandynawskie i łacińskie napisy. Słów tych nie zatarta ni ręka ludzka, ani kopyta bydła, lecz zniszczył czas nieubłagany, który od kilkunastu wieków zęby swe na tych marmurach ostrzył.

Najgorętsze uczucie religijne wskróś mnie przejęło na widok ruin Jony, i choć tu nie było ani wspaniałego sklepienia, odbijającego kroki me groźnym echem, ani poważnego głosu organów, ani szczytnego śpiewu kapłanów, ani woni roznoszonej złotem trybularzami: w miejscu tém, pod dżdżystym niebem Hebryd, na skalistym gruncie wyspy otoczonej wiecznie szumiącym oceanem, nie potrzebowałem żadnych podżegań, by wznieść duszę do Boga, i ukorzyć się przed majestatem jego wiecznej dobroci.

Zaprawdę! kogo ruiny Jony nie przejmą gorącym uczuciem religii, tego chyba galwanizować trzeba wszystkimi zmysłowemi podżegaczami, by uznać choć chwilowo, że jest coś świętszego na ziemi jak pieniądz, coś mocniejszego jak trwoga.

W takich pogrążony myślach, nie spostrzegłem, że się zbliżył ku nam mężczyzna średniego wieku, czarno ubrany. Był to pastor i nauczyciel mieszkańców Jony. Małą jest osada tej wysepki, ale każdy ojciec rodziny odstępkuje znaczną część swego szczupłego zarobku dla utrzymania duchownego przewodcy. Ogień religii przodków tkwi jeszcze silnie w tych dobrych ludziach.

Przystąpił do nas pastor, przywitał serdecznie i odrądział nam puszczać się wieczorem napowrót do Mull.

— »Noc jest i ciemna i zimna,« rzekł, »wiatr na nowiu zawsze niestały, często burzliwy; nie wystawiajcie się na niebezpieczeństwo i pozostańcie na noc w Jonie.«

— »Ale gdzie tu przenocujemy? *reverend Sir!* Na wyspie nie ma i gospody,« zapyta pan H...

— »Tutaj gospód nie potrzeba, panie,« odpowiedział pastor; »u nas co dom to gospoda, i spodziewam się, że pań-

stwo raczą wyświadczyć najuboższej plebanii szkockiej zaszczyt i przyjmiecie w niej gościnność.«

— »Zrobilibyśmy zanadto zachodu pani pastrowej, mój wielbny panie,« przekładała pani H...

— »Pani pastrowej nie zrobicie żadnego zachodu; pastrowej od blisko stulecia niebyło w Jonie,« rzecze znów pastor, uśmiechając się.

— »Jakto? wielbny panie! przecież nie jesteś katolickim księdzem?« woła prawie ze strachem pani H., bo pomimo całego ukształcenia, mocno w niej tkwiły znane nam angielskie przesady.

— »Jestem sługą przezbiteryjańskiego kościoła, lecz żony nie mam, nie miałem i zapewne już mieć nie będę,« odrzekł pastor.

Pastor Jony był bezżennym, co w Anglii rzadkiem bardzo jest zjawiskiem. Dochody parafii nie wystarczyłyby na utrzymanie żony i licznych dzieci, któremi Bóg zwykł błogosławić pastorów protestanckich.

— »Zresztą,« mówił nam pastor Mac-Bullen, »wolę być sam na tej wyspie, gdzie pełnienie mych duchownych obowiązków podczas zimy połączone jest z pewnym niebezpieczeństwem; wolę tu być zupełnie niezależnym od wszelkich ziemskich węzłów, a całkiem oddanym mej trzodzie. Trudnoby było w mém położeniu pogodzić jedne obowiązki z drugimi. Chętnie poświęcam nadzieję widzenia się odrodzonym w własnych dzieciach, dla obfitego plonu, jaki zbieram poświęcając się dla obcych dzieci.«

Tak piękna i czysta ofiara, niesiona dobrowolnie, musi być miłą Bogu. Ksiądz Mac-Bullen czczonym był na całej wyspie jak patryarcha. Chrzcił, uczył, godził, leczyl i na śmierć przygotowywał swych współziomków; czyż może być piękniejsza missya spełniona przez jednego człowieka!«

Plebania, wzniesiona z gruzów dawnych zabudowań klasztornych, wcale nie była okazała, choć stanowiła najpiękniejsze mieszkanie na wyspie. Z dość obszernej sieni, która służyła zarazem na salę jadalną a nawet na kuchnię, wychodziło się na prawo do dwóch pokojów, to jest do sypialni i do biblioteki, a na lewo do sali służącej za szkołę młodym wyspiarzom. Na poddaszu jeden jeszcze był pokój dla młodziana, którego sobie sposobił pastor na swe-

go następcę; sprawował on tymczasem urząd kantora i podnauzcyciela.

W sieni na kółkach wisiały dwie piękne gęsi solan-skie (solan-geeze), ubite przez tegoż młodziana. Sławne to w całej Anglii ptaki; w Londynie para płaci się trzy funty w czasie połowu śledzi, wtedy bowiem, żywiąc się niemi przez kilka tygodni, nabierają wybornego smaku i nadzwyczajnie tyją. Ale też ostrożne są bardzo wówczas; umieją cenić życie, gdy im nie braknie żeru.

Stara kucharka wzięła się niebawem do tych gęsi, do których dodała dwa dzikie króliki i kilka ryb morskich.

Pan H..., widząc te obiecujące przyrządzenia, nie posiadał się z radości, i natychmiast posłał Jonatana do spiżarni okrętowej po xerez, whisky i dzin.

Nie zdołam opisać zadowolenia pastora, gdy nas widział w swym domu wesoto rozgoszczonych. Każde jego słowo świadczyło o anielskiej dobroci serca i o wysokiem wykształceniu jego rozumu; bardzo bowiem staranne odebrał wychowanie, kosztem Campbellów z Mull, na uniwersytecie edyńskim.

Oświadczyłem mu moje podziwienie, że człowiek tak wykształcony mógł znajdować szczęście w ciasnych obrębach wysepki świata nieznanj.

— »Mój panie doktorze!« odpowiedział mi pastor; »żyję pomiędzy ludźmi, z których żaden mnie nie zdradzi, żaden mi nie skłamie, choćby za wszystkie bogactwa świata; tu każdy pracuje w pocie czoła, a najczęściej pod gołem niebem, na utrzymanie swj rodziny. Myślisz pan, że tacy ludzie, jeśli są obeznani z pierwszemi podstawami wszelkich nauk i umiejętności, to jest z biblią świętą i z dziejami świata, nie są w stanie ująć swą rozmową i serdecznie zabawić *nawet* człowieka uczonego? Oh! wierzaj mi pan: rozum prosty tych ludzi więcej wart, niż wszystkie dowcipyki modne wykwintnego świata. Żyłem ja w nim czas długi; ale tylko próżnię serca i umysłu wynosiłem z pośród tych ludzi, których wiecznem dążeniem jest wyrugować dowcipykami i plotkami z serc bliźnich wiarę w cnoty, co się czynem objawiają. Oh! wolę żyć z memi prostemi wyspiarzami!«

Zastawiono wieczerzę. Nie brakło dobrego apetytu, ani też wesołego humoru. Pani Hethrington wypytywała pa-

stora, czy czasem jaki *dépit d'amour* nie jest przyczyną jego bezżeństwa. Nie wiem, jak się wywiązał pastor z tych pytań, ale wiem, że w skutku tych rozmów świat się zubożył romanssem pod tytułem: *The lonely pastor of the Hybrid islands* (samotny pasterz wysp Hebrydzkich).

Po wieczerzy, połączyliśmy się duchem, w rzewnej modlitwie, z poczciwym pastorem; echo słów jego pozostało mi długo w pamięci, jak owa wibracya dzwonu, rozlegająca się długo jeszcze w powietrzu, po ostatniem uderzeniu żelaznego serca o spiżową masę.

R O Z D Z I A Ł XXVII.

POWRÓT NA WYSPĘ MULL. — ŁÓDŹ CAMPBELLÓW. — RODZINA CAMPBELLÓW. — GIENIUSZ WYSPY. — DIANA HEBRYD. — MISS CLARISSA. — SIR EVERARD OFICER GWARDYI SZKOCKIÉJ. — GRÓD CAMPBELLÓW. — PAŁAC. — SALA. — SPRZĘTY. — PARK. — ZMIANA POŁOŻENIA CHIEFTANÓW PO ZNIESIENIU PRAWA FEODALNEGO. — WYCIĘCZKA PO PARKU. — SĘP I GOŁĘBICA.

Nazajutrz rano, czule się pożegnawszy z uprzejmym gospodarzem, i zostawiwszy składkę na małe nagrody dla trzech najlepszych uczniów, opuściliśmy wyspę Jonę.

Już tylko o milę angielską byliśmy oddaleni od ujścia zatoki Keal, gdy z niego wypada szybko jak strzała pyszna długa łódź, popychana dwunastu wiosłami. Biegnie w kierunku Staffy; ale nas spostrzega, zatrzymuje się w szalonym pędzie, zwraca ku nam i przybliżywszy się o dwa staje, wywiesza różowo-czarną banderę i daje ognia z kilku strzelb razem.

— »To Campbellów kolory!« zawoła sternik, « i to łódź Campbellów z Eagle's Nest Castle, a na niej całe gniazdo młodych Campbellów, wszyscy, nawet Miss Clarissa, anioł, gieniusz Hebryd. Do nas biegną, doprawdy, a spodziewać się należy, że w przyjacielskich zamiarach ukazali swoje kolory.

Wkrótce dochodzi nas głos trąby morskiej:

— »Ohe, ohe! czyto wy wiezicie gości, którzy przedwczoraj wieczorem przybyli do Dug?«

— »Yes! we do! (tak, my wieziemy!)« odpowie sternik.

— »To stać, stać!... Zatrzymajcie się, jeśli łaska.«

Zwijamy żagiel; łódź Campbellów dąży ku nam. Już z łatwością rozezналиśmy jego osadę.

Na tyle łodzi, kierując sterem, stał pan Everard Campbell, chorąży z pułku gwardyi szkockiej, syn sir Everarda Campbell, majora w tymże pułku, wdowca od lat siedmiu;

ubrany był w szkarłatny mundur, narodową spódnicę i kołpak ze strusiem piórami. Przy nim siedział brat jego, kadet marynarki, młodzieniec piętnasto-letni, w skromnym mundurze świetnej marynarki angielskiej; dalej nieco najmłodszy brat, chłopczek jedenastoletni, w ubraniu czystoszkockim, z torbą myśliwską przez ramię i z fuzyjką w rękę.

Na przodzie łodzi stała Miss Clarissa, przezwana geniuszem Hebryd. I zaprawdę, godną była tego miana. Młoda, bo zaledwie 17 lat licząca, wesoła i niewinna jak dziecko, gibką była jak palma, piękną i dobrą jak anioł, a szlachetną i odważną jak Campbellówna. Twarz jej biała, owiana żywym rumieńcem, błyskająca wielkim czarnym okiem, wizerowała jak pączek róży z pod popielatego kapelusza, którego szerokie skrzydło, zadarte w górę i spięte agrafą ze szkockich dyamentów, zdobiły czarne i różowe, w wietrze powiewające pióra. Kłęby jasnych włosów, złotego połysku, spływały z pod kapelusza na przedziwnie zaokrąglone barki. Czarne oczy i jasne włosy! namiętność i czułość!... to przeciwieństwo tak czarujące, mniej jest rzadkiem w rasie anglo-saskiej jak w każdej innej, ale wszędzie pełne jest uroku. Murillo tak malował swe madonny.

Geniusz Hebryd nosił strój swego kraju: długi, dumnie udrapowany plaid Campbellów krzyżował się na lewem ramieniu; czarny aksamitny spencer, naksztalt męskiego fracza, obejmował wdzięki zaledwie się rozwijające, i kibić giętka jak u węża; na nóżkę strojną w buciki szkockie i półczochy w wielkie czarno-różowe kraty utkane, spadała tychże kolorów spódniczka, cokolwiek krótka, pozwalająca oczarowanemu oku podziwiać najpiękniejsze w świecie kształty.

Geniusz trzymał w rękę dubeltówkę, za pasem miał małe pistolety, a przy boku kordelas i trąbkę myśliwską.

Dziecko to powabne Hebryd rozwijało się swym własnym, samowolnie obranym torem, zupełnie po za obrębem dziś przyjętej cywilizacji. Nic mu nie przeszkadzało pójść za popędem ognistej swęj wyobraźni, żywionej dziejami przodków i rodzinnymi romansami. Clarissa już od urodzenia nieugiętej woli dawała przykłady. Matka ją odumarła, kiedy miała zaledwie lat dziesięć; ojciec odkomenderowany z pułkiem, to do wysp Jońskich, to do Malty, to do Gibraltaru, nie mogąc zajmować się jej wychowaniem, powierzył ją

guwernantce francuzkiéj, która od lat 30 była w rodzinie Campbellów, i trzecie już pokolenie wychowywała. Ale ona, lubo bardzo zdatna, szlachetna i do rodziny przywiązana, była już za starą, żeby zdołała pohamować ognistą duszę młodej dziewicy, której bracia ułatwili wszystkie sposobności zasmakowania w rozrywkach męzkich, w jeźdzeniu konno, w strzelaniu do zwierzyny, w robieniu wycieczek w góry i do pobliskich wysep.

Ojciec niebardzo też o to się gniewał. Od czternastu pokoleń, każda Campbellowa i każda Campbellówna, były bohaterkami. »Nie widzę potrzeby zmieniać dawnego trybu rzeczy i stosować się do dzisiejszój cywilizacyi niewieściej. Wolę, żeby Campbellówna była mężczyzną, jak jedną z owych nieszczęsnych istot, które lada dandy zdurzy!« mawiał major gwardyi szkockiej.

Bracia zaś podziwiali swą siostrę jak bóstwo. I jakże jój nie mieli podziwiać? Zawsze była wesołą, dobrą i na wszelką swawolę gotową. Jój nieubłagane kule sięgały prawie tak daleko, jak jój piękne oko; biada kozłowi dzikiemu, bawołowi lub orłowi, jeżeli się na 300 kroków do Clarissy zbliżył.

Sternik nam to wszystko opowiedział, i byłby zapewne jeszcze więcej o geniuszu Hebryd mówił, gdyby się łódź Campbellów nie zbliżyła tuż do naszój.

—»Wybaczcie państwo naszój śmiałości!« zawoła chorąży Campbell, zdejmując grzecznie swój kołpak.

—»Wybaczcie, że was zaczepiamy jak piraci, istotnie byliśmy o was niespokojni. Wczoraj będąc przypadkiem w Dug, spostrzegłem nigdy tam niewidzianego kuca białego; pytam, do kogo należy, i dowiaduję się, że do państwa, i żeście się udali do Staffy. Rozstawiliśmy tedy czaty, by nas o waszym powrocie uprzedziły; żaden bowiem podróżnik przybywszy do tego kraju, nie powinien gdzieindziej stawać, jak u Campbellów. Dbamy o ścisłe zachowanie dawnych zwyczajów, w tym dzikim kraju; gdzie oświata tegoczesna przedrzeć się nie powinna. Nie mogąc się doczekać waszego powrotu, zaczęliśmy się o was naprawdę lękać; nie sądziliśmy bowiem, żebyście państwo śmieli się puszczać na tę łodzi ze Staffy aż do Jony. Ale widzę, żeście nieustraszeni turyści i tém więcej was poważam, a usilnie proszę, abyście

u nas choć na dni kilka spoczęli. Cała nasza rodzina przybyła na wasze spotkanie, moja siostra i moi bracia.

Tu nastąpiły ceremonialne przedstawienia; ze strony zaś pani H... nieskończone dzięki za ofiarowaną gościnność, ale gdzieżby śmiała prezentować się w zamku Sir Campbella, w tym zaniedbanym stroju.

Zwalczono wszystkie argumenta, usunięto wszelkie trudności; przesiadamy się do łodzi Campbellów, poznajemy się bliżej, zaprzyjaźniamy się.

Starożytny gród Campbellów z Eagle's Nest Castle leży na szczycie stromiej skały, i dlatego nazywa się *ortém gniazdem*. Nie jest zamieszkany, bo częścią leży już w gruzach, jedno tylko mocno sklepienie skrzydło oparło się zniszczeniu i zawiera różnorodne pamiątki familijne.

Rodzina Campbellów mieszka w pałacyku, wybudowanym po zniesieniu feodalizmu w Szkocyi. Wznosi się nieopodal od starego zamku, na ogromnym tarasie, który niegdyś stanowił część wału zamkowego. Pałac ze strony zachodniej wisi tuż nad morzem, bałwany podczas burzy podchodzą aż pod okna. Mała odnoga morska wkrada się węzłem w grunt skalisty wyspy, i tworzy przystań bardzo wygodną. Ztąd do pałacu prowadzi ścieżka stroma i kręta.

Pałac miał wieżyczki po bokach i wielką kopułą uwieńczoną salę w środku. Tu zawieszzone były trofea łoweze i wojenne, portrety antentatów: Campbellowie w rycerskim rynsztunku, Campbellówny z sokołem na rękę, z psami przy boku, czasem i strzelbami w dłoni. Żadnej nie było stariej, wszystkie malowano młodo!

Dwa ogromne kominy, w których palono całe pnie sosien, i olbrzymie piece, rozgrzewały zimową porą tę obszerną salę.

Sprzęty odpowiadały gustowi rodziny: pałasze, florety, rapiry, z maskami i rękawicami, harfa ze strzelbą o nią opartą, szpicruty, rękawiczki damskie z sztylpami, krosienka z zacętym haftem, książki, nuty i kwiaty sztuczne, rysunki, busole i książki młodego żeglarza; to wszystko stanowiło nieład pełen uroku i poezyi.

Na wysokiej kopule wznosi się rodzaj belwederu; osadzono tam na ruchomych podstawach: teleskop, tubę morską i śmigownicę. Z niejto Miss Clarissa nieraz ubijała

bujające w oddaleniu po falach oceanu potwory morskie: delfina, ciele morskie lub rekina.

Po obu stronach środkowej sali były dwupiętrowe pawilony, z mnóstwem pokojów, salon dla rodziny, jako i dla gości. Od pawilonów ciągnął się ogród, okrążający całą górę zamkową; dalej zaczynał się park okolony górami, zatokami i skałami. Park ten stanowił razem zwierzyniec: były tam łosie, jelenie, daniela, a nawet młode bawoły. Grunt parku pokryła silna wegetacya. Drzewo nietylko wystarczało na opał i na budowle, ale sprzedawano go nawet rok rocznie za 600 funt. szter., nie niszcząc go tém wcale. Liczne trzody znajdowały tu wyżywienie. Miał przeszło sześć mil ang. obwodu. Pola do uprawy zdatnego było do siedmiu mil angielskich. Połowę tego pola w ostatnich dopiero czasach wzięto pod uprawę. Przedtém wassale magnatów szkockich byli tak gnuśni, jak dzisiaj jeszcze wielka część naszych kmiotków; nie lubili brać się do uprawy roli na gruntach nieurodzajnych, woleli paść owce, zaganiać zwierzynę, zaciągać się do licznej a próżniackiej służby pałacowej, bić się, a nawet i rabować. W czasie głodu wassal całymi miesiącami żył kosztem pana. Gdy nie było wojny między klanami, wtedy Szkot rzucał swą ojczyznę, i zaciągał się do gwardyi potentatów stałego lądu, lub też oddawał się jakiemu przemysłowi w różnych częściach świata.

Od wcielenia Szkocyi do Wielkiej Brytanii stosunki zmieniły się zupełnie. Panowie stracili prawa feodalne, ale zostali przy własności gruntu; chłopci przestali być wassalami, ale musieli się żywić własnym przemysłem, własną mozolną pracą, bo rozterki pomiędzy klanami ustały od razu, a dragoni angielscy pilnowali porządku; nie było zatem sposobności do rozbojów. Uznano wkrótce, że zbyt liczne trzody wyniszczają ziemię, i nie przynoszą dostatecznych dochodów. Zaczęto zatem kolonizować i użyzniać dawne pastwiska; osadzono je małemi dzierżawcami, i powoli rolnictwo znacznie się podniosło; pracowity znaleźć w niem wyżywienie, i nie potrzebuje liczyć na wojny, boje, rozterki, ani sprzedawać się obcym krajom lub własny opuszczać.

Nadeszły nasze rzeczy z Dug, i przebraliśmy się, aby się znajdować na wielkim obiedzie, na który zaproszono

Lairdów i Squirów okolicznych. Miss Clarissa czyniła honory domu z wielkim taktem i miłą uprzejmością. Po obiedzie, damy udały się do swych komnat, mężczyźni pozostali i spijali toasty; wpuszczono nawet do sali kilkunastu dudarzy pod przewodnictwem Jonathana. Zadrżał dom Campbellów pod odgłosem dud i moździerz, wiwatowych.

Następnego dnia odbyło się polowanie w zwierzynicy; zabito dwóch danieli i dwie sarny. Miss Clarissa i Miss Hethrington, w świetnych amazonkach, dosiadły dzianetów angielskich; mężczyźni zaś kuców góralskich różnej maści i wielkości. Mój biały kucyk miał szczęście podobania się bardzo Miss Clarissie. Jonathan plótł niesłychane duby o jego rozlicznych cnotach, prywatnych i publicznych, o jego mądrości i filozofii w poddaniu się smutnemu losowi turysty morskiego.

Serdecznie się śmiał geniusz Hebryd z dudarza, z kuce, a może i ze mnie; nareszcie rzekł:

—»Panie doktorze, czy długo jeszcze myślisz podróżować konno po morzu?«

— »Nie! już niedługo cieszyć się mym kucem będę, chyba że mu skrzydła urosną, albo przynajmniej pletwy« odpowiedziałem. »Żeby geniusz Hebryd zechciał, toby mu niezawodnie urosły—dodałem.

—»Geniusz Hebryd umie orłowi bujającemu w obłokach urwać skrzydło, potworowi morskiemu utracić pletwy, rzecze miss Clarissa, ale przyprawić ich nie umie.«

—»Nie doktorze!—dodała miss Clarissa—kuc szkocki nie będzie nigdy Pegazem ani trytonem, ale zmarnieć może w takich excentrycznych podróżach; jakie pan przedsięwzrzesz. Odstap mi go pan! będziemy mieli po panu pamiętkę, a ja nim obdarzę mego brata najmłodszego, mego wierne-go giermka Edwarda, który pokochał się na śmierć w pańskim Merry.«

—»Chętnie odstąpię; cóżbym nie zrobił, aby żyć w wspomnieniu Campbellów, którzy tak czułą pamięcią pielęgnują rycerskie podania przeszłości, których szlachetnej duszy wiatr terażniejszości jeszcze nie owionął. Odstępuję pani kucyka na wieczną własność, ale pod dwoma warunkami: najprzód, żeby mowy nie było o żadnej zapłacie; powtóre, żebyście państwo wraz z mym kucykiem wzięli do siebie i jego dotychczasowego giermka, owego zapamiętałego du-

darza, owego poetyckiego krawca, który choć tak długo ojczyźnie swój służył, nie ma przecież żadnej strzechy, i na starość tułać się musi od domu do domu. Tu, w waszym staro-szkockim grodzie, znajdzie on spokojność i szczęście, i niezawodnie zaniecha swego tułackiego życia.«

Nie przewidywałem słów mych wrażenia. Było ono rozczulające. Stary dudarz zalał się łzami, wielkimi jak groch cukrowy, wykrzywił swą zmarszczoną twarz jak kapciuch, i chcąc sobie dać jaką taką minę, zaczął dąć z rozpaczy w swe przebrzydłe dudy.

Z twarzy miss Clarissy ustąpił rumieniec, oczy jej zwróciły się na mnie z wyrazem niepowściąganój dobroci, i podając mi rękę, rzekła głosem brzmiącym, jak niebieska harmonia:

—»Tyle spótcznia dla innych, tyle litości! a dla siebie nie pan nie zachowujesz? wszakżeż i pan obcym jesteś wszędzie, a osiąść nie chcesz nigdzie... *and you are erring and longing after your home!*

— Ale słuchaj, Jonatanie Drummond! chcesz pozostać z nami i sprawić obowiązki kapelmajstra zamkowego? Damy ci za to chatkę i kawał gruntu wystarczający na twe utrzymanie, w dożywotnią posiadłość. Wszakżeż się znasz na uprawie gruntu jako tako?

— Znam się niezłe na wszystkich rzeczach w świecie, i chętnie strawię resztę mego życia w Eagle's Nest Castle— rzekł stary Drummond, nie przestając dąć jakieś adagio na *fis mol* w dudy, i widocznie walcząc z wzruszeniem.

— A teraz, zwracam się raz jeszcze do pana, mój dobry przyjacielu — rzekła miss Clarissa, podając mi raz jeszcze swą małą w rękawiczkę z sztylpami przybraną rączkę. Campbellowie nie przyjmowali nigdy darmo koni, nawet od swych monarchów. Pan wiesz o tém.

— Ale je przyjmowali od zwalczonych w turniejach i w bojach. A ja się uznaję zwyciężonym przez panią na morzu i na lądzie, na ostro i tępo, i błagam o przywilej jeńca wojennego—odpowiedziałem składając ręce i korażąc się przed majestatem wdzięków i dobroci.

— Ah! jaka trudna sprawa z panem; własną mą broń obracasz przeciw mnie. Nie! przyjąć musisz jakiś upominek odemnie. Nie dbasz więc o pamiątkę od Clarissy

Campbell?« zapyta rumieniąc się geniusz Hebryd, a patrząc się czule w me oczy.

Boską była w tej chwili!

— »Oh! przyjmę, przyjmę; życie oddałbym za jedno z tych piór, które powiewają na twym kapeluszu, za jedno z tych piór czarnych.«

— »To są strusie pióra; one nie przystoją panu; poczekaj.«

I spojrzała się w niebo, i konia wypuściła wyteżonym pędem, i ciągle ku niebu patrzała. Zostawiła nas daleko za sobą, nareszcie stanęła i my się do niej zbliżyli.

— »Patrz doktorze w niebo! widzisz tam bujającego małego ptaszka, a nad nim unoszące się czarne ptaszysko? To biała mewka, a tamto orzeł!«

— »Widzę, widzę! ale to daleko!«—odpowiadam.

— »Edwardzie, giermku! dajno mi sztuciec!... a czy ostro nabity?«

— »Ja sam własną ręką nabijałem!« powie dumnie mały Edward; »kula jak perła, proch jak piorun.«

— »Dawaj i trzymaj konia!« rozkaże geniusz i zeskakuje z dzianeta lekko jak sylfida.

Biały ptak ciągle uciekał ku morzu, straszny potwór za nim, już go doganiał, już chce szpony w nim zatopić.

Ale miss Clarissa mierzy, długo mierzy i prawie pionowo w górę, i drobniutki palec dotyka czułego sznelle-ra; broń wypala z taką siłą, że się aż wysmukła kibić geniuszu zachwiała.

— »Patrzcie!« zawoła uradowana; »patrzcie w górę! Ach nie darowałabym sobie nigdy gdybym chybiła.«

Istotnie, ptaszysko ugodzone, przewala się w powietrzu, zbiera wszystkie siły, pasuje się ze śmiercią, ale nareszcie opuszcza mdłe skrzydła i upada na ziemię.

Był to orzeł niezwykłej wielkości.

Miss Clarissa dopada, i wydobywszy kordelas, odcina potworowi kilka największych piór ze skrzydła, zdejmując swój kapelusz i zatyka je za dyamentową spinkę. »Teraz jest godnym ciebie« rzecze, i w mgnieniu oka, nim się spostrzedz mogłem, wkłada mi na głowę swój kapelusz, wskakuje na konia i pędzi z gołą głową, z rozpuszczonymi włosy, ku zamkowi.

Minut kilka stałem jak skamieniały w miejscu i ścis-
kałem me piersi, bo serce wyskoczyć z nich chciało i po-
biedz za tą dziewczicą Hebryd, która odtąd na długo stała
się aniołem snów moich i wznieciła w duszy mej ciągle
brzmiącą harmonię wieków rycerskich. W nich tylko krą-
ży mój umysł odtąd i buja ciągle, i nie pozwala mi spo-
strzedz się, żeśmy oddawna, a może na zawsze, od tych
oddaleni czasów.

ROZDZIAŁ XXVIII.

GENIUSZ HEBRYD ZARĘCZONY. — POWRÓT DO AROS. — FORT WILLIAM. — KANAŁ KALEDOŃSKI. — FORT AUGUSTUS. — INVERNESS. — MACBETH. — CULLODEN. — TARE WELL OUR SCOTISH FAME. — STAN DZISIEJSZY SZKOCYI. — NAIRN. — ABERDEEN-UNIWE-RSYTET. — MOWA. — BUDYNKI. — TEATR. — ZGIEŁK. — POLICYA SZKOCKA. — EDYMBURG. — OGRÓD ZOOLOGICZNY. — MUZEUM ANATOMII PORÓWNAWCZÉJ. — OTWARCIE KURSÓW. — URZĄDZE-NIA UNIWE-RSYTECKIE. — WYDZIAŁ LEKARSKI. — PANOWIE CHAM-BERS. — DUCH EDYMBURGA.

Już od dwóch lat powabny geniusz Hebryd zaręczonym był lordowi Glenelg, najstarszemu synowi Para Szkocyi, podróżującemu obecnie po Europie. Skoro młody lord nabierze doświadczenia i również wówczas wróci do Szkocyi, i najprozaiczniej w świecie poprowadzi do ołtarza piękną Clarissę Campbell, potem zawiezie ją do Londynu, — i osierocieją biedne Hebrydy może na zawsze.

Trzeba więc pożegnać się z Eagles-nest Castle, dopóki jeszcze czas, i rozstać się z lubą, gościnną, rycerską rodziną.

Wracamy do Aros, okrążając południowo-zachodnie brzegi wyspy Mull. Tu żegnamy naszych wioślarzy i starego Drummonda, dziękującego mi ze łzami w oczach za wyświadczone mu dobrodziejstwo.

Już jesteśmy na statku parowym dążącym do kanału Kaledońskiego, już tańczymy na falach morskich, ale jeszcze dochodzi nas pożegnalny hymn Campbellów.

Żegnam was Hebrydy! żegnam cię nieporównana dziecko, która ich jesteś bóstwem.

Przyszłego rana, przebiegłszy wieczorem cieśninę Mull i obok wyspy Lismore, najdłuższą średnicę dłuższej cieśnej zatoki Linlie, zarzuciliśmy kotwicę pod twierdzą Fort William, obleganą niegdyś, 105 lat temu, przez pretendenta, tuż przy ujściu kanału Kaledońskiego do wód Atlantyku.

Na prawo sędziwy Ben Nevis spoglądał na nas swą głową wiecznym śniegiem pokrytą. Dalej ku południowi

wysokie pasmo gór Grampionu odgraniczało horyzont; dotychczas mieliśmy góry te przed sobą na północ.

Tą razą krańcami północnego widokregu były góry zaczynające się od Morwenu i ciągnące ku Orkadom.

Kanał Kaledoński, łączący zatokę Linlie z długim głębokim jeziorem Ness, a to jezioro pod Inverness z zatoką Murray, przelewa wody oceanu północnego do wód Atlantyku i ułatwia żeglugę w sposób bardzo dogodny.

Dzieło to jest olbrzymiej wielkości ten kanał, mianowicie część jego pomiędzy Fort William a Fort-Augustus. Tu musiano walczyć z wszystkimi trudnościami, jakie przedstawia górzysty skalisty grunt, i w opoce twardej wyłobić koryto, mieszczące w sobie dwadzieścia kilka stóp głębokości wody.

Często trzeba było okrążyć półkolem lub trzema bokami góry, gdzie-niegdzie wznosić najcięższe okręty do wielkiej wysokości.

Raz na 2,000 stóp przestrzeni wzniesiliśmy się na 150 stóp w górę, a to za pomocą ośmiu czy dziewięciu słuz, przelewających wodę z jednej w drugą, aż do osiągnięcia najwyższego punktu.

Stojąc na dole i widząc inne okręty wywindowane tak wysoko w górę, pojąć nie można było, jakim tam zaszyły sposobem; zdawało się, że to widma wyobraźni, a nie okręty z drzewa.

Mijamy Fort Augustus, wpływamy do jeziora Ness, które dla głębokości i wysokości brzegów nigdy nie zamarza. Jesteśmy w Inverness, dawniej stolicy królów Piktów, miście, które się w ostatnich 20 latach nadzwyczajnie wzniosło. Za bytności pana Lacha Szyrmy w Szkocyi miało tylko 5,000 mieszkańców, dziś ich ma trzy razy tyle.

Tu w Inverness oddychała niegdyś owa piękna, ambitna, okrutna, krwì i władzy cheiwa Lady Macbeth, i tu żył ten mężny bohater, który się okrył sławą w walce przeciw nieprzyjaciółom swego króla, a z którego ambitna żona zrobiła jedną swą piekielną radą gwałciciela gościnności, zdrajcę i królobójcę.

Tu na tej łące Macbeth pośród burzy i błyskawic spotkał trzy czarownice, co go królem witały i w nim żądze władzy zapaliły.

A tam w zamku Calder pokażą ci jeszcze krwią Dunkana zbroczone łożo, przeniesione tamże lat temu 800 po zbuczeniu zamku Macbetha w Inverness.

Po nad tą krainą będzie się unosił wiecznie nieśmiertelny duch Szekspira. To grunt klasyczny dla poety.

Idąc z Inverness do Nairn pokażą ci tuż blisko Croy błonia i bagna Cullodenu, pamiętne bitwą r. 1745., w której sprawie Stuartów zadano cios ostatni. Dziś jeszcze rozpoznać można miejsce potyczki. Pośród wrzosów zielenią się kurhany w boju poległych Szkotów. Klan Kameronów całkiem wyginął prawie.

Tu tedy na tém polu został ostatecznie zwalczonym ten *„bonie prince Charlie»*, ten dobry i piękny książę Karol, którego dziś jeszcze Szkoci z rozczuleniem wspominają, i tu ostatecznie zawartą została owa unia Szkocyi z Anglią, którą Burns w znanych wszystkim Szkotom wierszach tak rzewnie opłakuje:

•Fareweel to a'our Scottish fame,
Fareweel to our ancient glory!
Fareweel e'en to the Scottish name,
Sae fam'd in martial story!
Now Tweed rins to the ocean
To mark where England's province stan-!s!

•Żegnam cię, nasza Szkocka cała chwalo,
Odwieczna słowo nasza, żegnam cię!
Żegnam cię imie Szkockie, coś dźwięczało
Tak chlubnie w nasze bohaterskie dnie!
Teraz w ocean Tweed się nurza tam
Anglii prowincję by oznaczał nam!

Nie! dla Szkocyi unia nie była klęską! Nigdy Szkocya tak szczęśliwa nie była, tak wielkiego znaczenia nie miała, jak dzisiaj. Ustały barbarzyńskie klanów rozterki, Szkot już nie potrzebuje sprzedawać się jako najemniczy żołnierz obcym panom, ani puszczać się za granicę zarabiać sobie na chleb jak Włoch jakiś lub Niemiec wędrujący. Dziś jest miejsce dla wszystkich Szkotów w Szkocyi, a jest ich dzisiaj dwa razy więcej niż przed bitwą pod Culloden, i wszyscy żyją swobodnie i wygodnie.

Ani też ich charakter narodowy nie zatonął w angielszczyźnie, ani nawet w tym brudnym oceanie zabiegów

przemysłowych. A gdzie więcej kwitnie literatura jak w Szkocyi? gdzie piękniejsza i więcej ceniona poezya? gdzie idealniejsza filozofia? gdzie uczucia religii żywsze?

Owszem, Szkocki żywioł przeważny w nowym świecie, w Ameryce. Zaszczepili go emigranci, literatura żywi go ciągle.

Pociesz się tedy Burnsie, narodowi twemu drogi poeto! pociesz się! Szkocka sława, Szkockie nazwiska słyną dziś jeszcze, i końca przewidzieć nie można téj sławy, dopóki lud Szkocki bronić się nie przestanie swą poezją i religią przeciw wkroczeniu samolubstwa i materyalizmu.

Ale już jesteśmy w Nairn, na brzegach zatoki Murray. Mała miejscina, zaledwie 4,000 ludności licząca, ale sławna z swych okrętów, które wysyła na połów wielorybów. Wielka w przystani rzeźwość i czynność.

»Dokąd dąży ten statek parowy gotowy do wyjścia?»

»Do Aberdeen i do Edyburga.«

A więc dalej do Aberdeen! nie traćmy chwili. Słońce zachodzi, wiatr pomaga parze, noc przepędzamy wygodnie w łózkach. Nazajutrz jesteśmy w Aberdeen; w 16 godzin zrobiliśmy 36 mil geograficznych drogi.

Aberdeen, miasto uniwersyteckie, dawna Devana, ma dziś do 70,000 mieszkańców. Wielki ruch w porcie, wielki ruch w uniwersytecie, gdyż już się zjechali uczniowie, już pryncypał otwiera uroczystą mową nowy rok szkolny. Mówi po łacinie, aleby tego ani Cyncero, ani Quintilian, ani pan Wólke nie odgadł. Wymawia *dżem* zamiast *jam*, *wajdaj* zamiast *vidi*, *winaj* zamiast *veni*, *ridżajne* zamiast *regina*, *litereciur letaine* zamiast *literatura latina*, i t. d. Całą mowę łacińską, tak jasną i pełnobrzmiącą, przekręca na kopyto mowy angielskiej.

Budynki niektóre bardzo piękne, mianowicie kolegium lekarskie, trybunał, śmiały most granitowy przekraczający rzekę Don pięcioma arkadami, i niezmierna tama granitowa, ubezpieczająca przystań od wkraczania fal morskich.

Wieczorem, nie mając lepszego sposobu zabicia czasu, poszliśmy do teatru. Na galeryi mnóstwo majtków, w parterze wielka ilość akademików; zgiełk i niesłychana wrzawa. Dają: »Szkotę skandalu« Sheridanana. Nie wiem, gdzie ją lepić odgrywają: na scenie, czy na parterze, czy też na galeryi?

Aktorowie korzystając ze zgiełku i widząc, że ich publiczność nie jest w stanie dosłyszeć, nie siłą płuc, udają że mówią, ale głosu nie dobywają i tylko mimiką i gestami dalej grają.

Spostrzega się nareszcie publiczność na tym fortelu, i zaczyna nielitościwie świstać. Grad ziemniaków i jabłek spada z galeryi i parteru na aktorów. Jeden z nich ugodzony w głowę traci zimną krew, podnosi z ziemi pocisk i ugadza nim jednego studenta w parterze.

Jeszcze większy zgiełk. Publiczność oburzona domaga się, żeby ją aktor przeprosił i *to na kłęczkach*. Aktor na to poniżenie przystać nie chce, i zaręcza, że woli zginąć na tych deskach teatralnych. Rejwach dochodzi do najwyższego stopnia, parter już się zabiera szturm przypuścić na scenę. Damy w łóżach mdleją, spazmów dostają i krzyczą: shoking!

Wtém występuje komisarz policyi.

I cóż robi komisarz policyi? grozi koźą?

Nie! nie z tego. Każe orkiestrze grać: »God save the queen,— Boże chroń królowę!«

Orkiestra gra. Aktorowie wtórują. Cała publiczność wstaje, zdejmując kapelusze i wtóruje.—Uspokajają się umysły złane w jedność tém samém uczuciem. Sztukę grają dalej — publiczność słucha w cichości i sypie brawo aktorowi, który się nie chciał unżyć przeproszaniem na kłęczkach.

Witaj mi Edyburgu po raz drugi!

Wjeżdżamy do miasta równo z wschodem słońca. Podróż trwała jeszcze o kilka godzin krócej, niż zwykła trwać przy okolicznościach bardzo sprzyjających.

Dziś słońce zechciało wejść w niezwykłej okazałości, w najpiękniejszym swym ornacie. Coś bardzo rzadkiego w téj porze roku, mianowicie w kraju Szkockim: było to bowiem w pierwszych dniach listopada.

Anglicy i Szkoci późno wstają,— wiedzieliśmy o tém, i zamiast do hotelu budzić ludzi, poszliśmy do ogrodu zoologicznego, którego mieszkańcy wstają równo z świtem i domagają się natychmiast śniadania na sposób wszystkich barbarzyńców.

Przywitał nas ryk lwa i tygrysa, jęki hyeny i szakala, mruczenie niedźwiedzia, i dziwne jakieś beczenie, do płaczu dziecka zupełnie podobne, ale o 20 razy silniejsze, tak jak gdyby dziecko przez trąbę morską płakało.

Autorem tego dziwnego, głos ludzki nieprzyjemnie młupującego jęku, był młody cielak morski, potwór szczególnie interesujący i silny, gdyż czterech ludzi mocnych zaledwie mu dało radę. Z charakteru także bardzo mało do naszych cieląt ziemskich podobnym był ten imiennik. Chwytał paszczą co tylko mógł, pomiotło grube na dwa cale przetrącił jak sucharek jednym zamknięciem paszczy. Nic nie widziałem w życiu mojem zaciętszego jak owo ciele morskie.

Z wszystkich zwierząt czworonożnych, które w Szkocyi znajdują się jeszcze w dzikim stanie, najniebezpieczniejszym jest kot dziki, a największym bawół.

Polowanie na żbiki jest zdrażliwą rozrywką. Góral jeden opowiadał mi, jak ustrzeliwszy żbikowi dwie przednie łapy, tenże żbik przypadł doń obces na tylnych z rykiem do lwa podobnym. Drugim dopiero strzałem zdołał zabić zwierzę zemstą pałające.

Bawół pochodził z parku znanego nam księcia Hamilton i zupełnie jest podobnym do owych, które się w Strafford-shire napotykJają. Zwierz to jest długi, łeb ma mały, czoło nadzwyczaj szerokie, sierć delikatną biało szarawą, uszy czarne, na pysku zaś dużą plamę czarną i odgraniczoną jak podługowaty okrągły plaster.

Ten sam tedy rodzaj, ta sama rasa zwierząt żyje od wielu wieków w dwóch od siebie bardzo odległych miejscach. I to jest rzeczą bardzo zastanawiającą. Taka w nich potężna, dzielna siła rasowości, że im dozwoliła przechować pierwotne znamiona od tak dawnych wieków! Pod obłaskawiającą ręką człowieka, stworzenia te byłyby od dawna postradały te charaktery znamionujące, byłyby nabrały innych.

Mnóstwo innych, nader rzadkich istot organicznych zawiera ogród zoologiczny Edyuburski, jedyny w Szkocyi. Pomiedzy innymi znajduje się tutaj żywy ornitorynchus, zwierzę ssące z dziobem i składające jaja jak ptak.

W cieplarni znaleźliśmy dziwnie piękną ptasiarnię. Najwięcej mnie zajmował kochany, złotem i szmaragadami świecący rodzaj owych drobnych prześlicznych istot, które my nazywamy *kolibri*. Było ich z dwieście różnych wielkości i odmian, swobodnie bujających od kwiatka do

kwiatka, od pączka do pączka, a stokroć piękniejsze od kwiatków i pączków.

I muzeum Edymburskie także bardzo pięknie urządzone i bogate w najrzadsze rzeczy. Nigdzie, nawet w Paryżu ani Florencyi, nie znalazłem w tak licznym porządku ustawionych. Ryby naprzykład, nawet i największe, nie są przybite gdzieś wysoko do ściany jak w innych muzeach, lecz ustawione na drutach żelaznych tak, że je z każdej strony obejrzeć można. Obok wypchanej skóry stoi szkielet, a obok niego w słojach spirytusem napełnionych zawarte trzewia téjże saméj istoty.

Kurs zupełny anatomii porównawczej, zacząwszy od najprostszych istot i stopniowo doszedłszy do najwięcej złożonych, znajdziesz tutaj ustawiony w tak logicznym porządku, że przechadzając się z uwagą i rozmysłem od jednego do drugiego preparatu z katalogiem opisującym w ręku, znajdziesz klucz do całej loiki i do wszystkich tajemnic przyrodzenia, żebyś nawet dotąd najmniejszego nie był miał wyobrażenia o składzie istot, których jesteś najdoskonalszym typem.

Lecz co to za dzwon odzywa się w bliskości?

Pryncypał uniwersytetu, na czele profesorów w uroczystych togach, przystępuje do wielkiego aktu rozpoczęcia roku szkolnego, i postępuje ku Auli Akademickiej, poprzedzony pedelami dźwigającymi wielkie złote berło rzeczypolitej literackiej.

Już w Auli zgromadzeni uczniowie, nie owa pstra kohorta niemieckich synów Apollina, lecz przystojne zgromadzenie młodych, rozumnie wyglądających gentlemenów.

Młodzień wita z zapalem swych ulubionych profesorów i bije w ręce z radości gdy do Auli wchodzi. I ja też idę za popędem uczniów i biję w ręce za nimi, gdyż zdanie ucznia jest w tym względzie nieomylném, on wie doskonale, który profesor jest ojcem jego rozumu, a który jego ojczymem.

I ja też umiem czcic mych dobrych profesorów, i nazwiska ich pozostaną mi wiecznie w pamięci, wdzięczność dla nich wiecznie w sercu.

Mowy łacińskie, mowy angielskie, wiwaty i głos dzwoń, nastąpiły naprzemian.

W urzędzeniu swém wewnętrzném fakultet lekarski Edyburga zbliża się więcej niż jakikolwiek bądź inszy zagraniczny do niemieckich, mianowicie do Pruskich. W naukach duch dyagnostyczny niemiecki predominuje. Rząd ustanowił w ciągu tego stulecia sześć nowych katedr i stara się wpływać więcej niż kiedykolwiek na los uniwersytetu.

Zresztą uniwersytet Edyburgski jest najmłodszy, lecz najważniejszy z wszystkich Szkockich. Został założony w roku 1503. Najstarszy uniwersytet, założony r. 1410 w St. Andrews, najmniej jest uczęszczanym. Fakultet lekarski Edyburga należy do pierwszego rzędu fakultetów. Od lat 40 wydawał stopniowo coraz większą ilość doktorów, zwłaszcza w r. 1806. 37-tn w r. 1816. 76, w r. 1826. 118, w r. 1836. 123, w r. 1841. 147. Od tego roku liczba doktoryzacyj zaczęła się zmniejszać cokolwiek.

Z powrotem uczniów do szkół i do wszechnicy zaludniło się miasto. Rodziny arystokratyczne wróciły do swych wspaniałych pałaców. Edyburg stał się znów ogniskiem zbytku, mody i wykwintnego smaku.

Domowe uciechy i zabawy w rodzinném kole wystarczają Szkotom, dlatego życie daleko regularniejsze prowadzą w Edyburgu niżeli w Londynie. Wieczory zwykle przepędzają się w rodzinném gronie; rzadko kiedy szukają rozrywki po za domem. Muzyka więcej kwitnie w Szkocyi, niżeli w Anglii; fortepian wielką tam odgrywa rolę. Z tych powodów Szkoci nie mają zamiłowania do widowisk scenicznych; najgorsze kazanie przekładają nad dramę lub komedję najpiękniejszą. To też, właściwie mówiąc, nie ma teatru w Edyburgu. Szkoci zresztą chętnie przyznawają się do niższości pod tym względem, gdy pod innemi niezmiernie wysoko o sobie trzymają, a jako poeci, krytycy, jako filozofowie, nikomu nie ustąpią z pola. Piśmienniczy geniusz Szkocyi jeszcze jest znamienitym, ale już nie tyle potężny co duch jój przemysłowy, który piękną przyszłość ma dotąd przed sobą. Jednakowoż od Walter-Skotta wiele dobrych rzeczy tam wydano, zaś złych lub miernych bardzo mało, bo duma i uczucie własnej godności wstrzymuje każdego od wystawiania się na pośmiewisko i wydawania opłakanych, poniżających mrzonek i wybryków myśli. Koncentracja jest jedną z przyczyn umysłowej supremacyi Szkocyi i blasku, którym Edyburg

od pół wieku świeci, jako miasto naukowe i literackie. Towarzystwo w tém mieście nie jest tak rozprzęgnięte jak w Londynie, łatwo się więc objąć daje. Człowiek z prawdziwą zdolnością zawsze tam znajdzie wziętość, prawdziwe ocenienie, a nawet poparcie.

Różnica między klassami towarzystwa większa jest jeszcze może w Szkocyi jak w Anglii. Arystokracya rozwija tam taką samą dumę i takie roszczenia jak w Londynie, ale do wyniosłości swęj przymieszywa jakąś prostotę i dobrotliwość, ostatni ślad patryarchalnych obyczajów dawnych klanów. Zresztą, i tu złociste herby świecą na karocach, a wielkie draby, w pudrowanych włosach, z dużemi laskami, stoją za powozem. Ten duch wyłączności objawia się na zebraniach i zabawach wszelkich; człowiek niższego stanu nie może naprzykład iść do jednego kadryla z człowiekiem do klasy wyższej należącym. Jednakowoż, wyniosłość ta i duma arystokratyczna bynajmniej grzeczności nie wyłącza. Uraża się o to tylko próżność mieszczańska; schnie ona z boleści, że nie może używać przywilejów do szlachectwa przywiązanych, i na swojej tylko klasie ograniczać się musi.

ROZDZIAŁ XXIX.

DROGI ŁĄDOWE Z SZKOCYI DO ANGLII. — DYLIŻANS SZKOCKI. — GALASHIELS. — WYROBNICY. — FILANTROP. — CIERPLIWOŚĆ DOWODEM CYWILIZACYI. — ZWALISKA SŁAWNYCH OPACTW. — WALTER-SCOTT. — CZYTANIE ROMANSÓW. — JAK SPOŻYTKOWAĆ ROMANSO-MANIĘ. — TURYSTA W ABBOTSFORD. — SELKIRK. — SZEWCY. — YELHOLM. — CYGANY. — RZEKA TWEE. — PASMO CHEVIOTU. — WOJNA I POKÓJ. — ZWALISKA ZAMKU ARMSTRONGÓW. — OBELISK POD LANGHOLM. — GRANICE SZKOCYI. — BĄDŹ ZDROWA KALEDONIO!

Dwie są główne drogi dylizansowe prowadzące łądem ze Szkocyi do Anglii: jedna ciągnie się wzdłuż brzegu wschodniego przez Berwick; druga zaś wzdłuż zachodniego przez Carlisle. Pomiedzy temi miastami leży pasmo pagórków Cheviot, utrudniające wszelkie komunikacye łądowe. Pasma tedy Cheviotu odgranicza Szkocyę od Anglii prawie w ten sam sposób, w jaki góry Pyrenejskie przedzielają Francycę od Hiszpanii; dwa główne trakty, z jednej strony przez Bayonnę i Sansebastyan, z drugiej zaś przez Perpignan i Geronę, ciągną się i tam po obu krańcach podnóża łańcucha granicznego.

Podróźni jadą najeczęściej przez Berwick z Szkocyi do Anglii. Wybraliśmy drugą drogę, chcieliśmy bowiem zwiedzić Abbotsford i Carlisle, wabieni sławą poety i wspaniałej bazyliki.

Przez pyszne pola pszeniczne Mid-Lothianu, urozmaicone willami i fabrykami, włością i błoniem, gajem i dąbrową, ciągnie nas szybki jak wiatr dylizans Kaledoński. Woźnica milczący w wprawnej dzierży dłoni swe lejce, a rumaki na cienkich posuwistych nogach rżą z radości i kłębami pary pryskają z szerokich różowych nozdrzy. I liczna osada dylizansu milczy. Któż chętnie opuszcza miły Edyburg? kto bez smutku w sercu żegna się z te-

mi oświeconemi a tak dobrimi mieszkańcami północnych Aten? Wszystko jest względniem na tym świecie, nawet i smutek. Kto go nie uczuje rozstając się z ukochanemi ludźmi, ten niech rozpacza, bo ten pewno dobrym nie jest człowiekiem, i w doznaniu próżni serca znajdzie dotkliwą karę za swój stoicyzm.

Toczą się i obracają szybkie koła naszego wozu, zawierającego w swém wnętrzu i na duchu ćwierć setni pasażerów, różnego wieku i płci różnej. Na mgły wlekać się obojętnie, gnuśnie po krańcach widnokregu, przecież pada promyk słońca; pierzchają popielate wodniste dymy, rozjaśnia się widnokrąg; powoli, powoli, roje siedzib ludzkich wyrastają z pomroku—wszędzie życie, wszędzie myśl i czucie. Z dobroczynniem światłem miłe ciepło rozlewa się w tę toczącą maszynę i powołuje do życia i do udziału życia całą osadę dylizansową. Ten się rusza, ów trzeźwi się tabaką, i tamta poprawia loków, inna jeszcze z podpólotwartych źrenic egzaminuje towarzysza podróży, dzieci nie zażywając tabaki wszystkie kichają, łechtane w nos promykiem w chodzącego słońca, a ja, po raz może tysięczny w mém życiu dziwię się, że tu jestem, pomiędzy tylu cudzoziemcami, tak daleko od mego kraju, i tęskne przesyłam westchnienia wam wszystkim, którzyście mnie znali dzieckiem, a zobaczycie dopiero, gdy młodość moja minie, i w jesieni wieku domagać się będziecie odbłyску zdaleka od was strawionej młodości.

Szukam, nie wiedząc, że szukam współdziału. Pytam go u przyrody mnie otaczającej; ah! niestety! ona wszędzie inną, więcej urozmaiconą jak nasza. Pytam go w fizyognomiach mych bliźnich; ah! przecież gdzie są ludzie, tam i przyjaciela znajdziesz, bylebyś sam pałał potrzebą przyjaźni i wierzył w święte, bezinteresowne uczucia.

Wóz się toczy rażno i szybko po dolinach Mid-Lothianu; już jesteśmy na pograniczu hrabstwa, już się wije po zieloném błoniu rzeka Gala, już i miasto Galashiels zpoza wysokich drzew licznemi fabrykami, a drobnym wyziera kościołem. Bawelnie wzrost swój winno to miasto, którego starzy mieszkańcy jeszcze pamiętają jak było nędzną wioską. Pamiątek historycznych jeszcze w niém za-

dnych, prócz dymu, który z wysokiego komina od pół wieku kopci mury miasta. Bawełną żyje, dymem oddycha, a może od węższej jeszcze substancji zginie. Ludnem bo jest bardzo, ale patrzcie na te znędziałe twarze młodzieńców, na te znękanie pracą dzieci. Jak niepełne życie w tych ludziach, a ilu cierpień ślady w owych posepnych oczach.

Trzeba nawet przyznać, że jest coś złośliwego, chytrze podstępного w wyrazie twarzy wielu z tych wyrobników, uważających się instynktownie, a przecież słusznie za ofiary cywilizacyi!

—»Oni spoglądają z zazdrością na wszystkich ludzi a umierają obojętnie; zdaje się, że im nigdy promyk nadziei nie przyświeca,« rzekł nam jakiś filantrop siedzący w Galashiels umyślnie dla przekonania się, jaki stopień ubóstwa znieść może wyrobnik, zanim z nędzy umrze.

—»Prawdziwie, moi panowie; kto widział waszą ludność wyrobniczą, ten wam nie pozazdrości ani potęgi, ani rozumu, ani waszej wolności. Jaki smutny z tych trzech wielkich żywiołów szczęścia robicie użytek, kiedy nędza tak licznej klasy ludu musi być warunkiem waszego bytu, lub też koniecznym wynikiem waszego szczęścia — rzekłem do pana Hether..? i do filantropa, który się był przypłatał do nas dla złowienia zdań naszych, jak to często robią ciekawi, choć nie literaci.

Pan Hethrington tak zagadnięty, wytrzeszczył oczy zpod ciężkich, cokolwiek zaspanych powiek, pięści ścisnął i krzyknął: *Damn! and still ye are, what ye are* (a jednak jesteśmy czem jesteśmy: panami morza i dzierżawcami ziemi!). Ale filantrop do żywego tknięty w swém uczuciu godności narodowej, odrzekł z wielkiem zastanowieniem w sentencyonalnym tonie: »Patrz pan! każdy rad być dumnym ze wszystkiego, z czego tylko można być dumnym. Pan w tej chwili dumny jesteś ze swój szlachetnej duszy, która mu tak pięknie płodzi uczucia, ze swego rozumu, który mu tak logiczne nasuwa rozumowanie; a my Anglicy, choć ze ścisnioném patrzymy sercem na nędzę naszych bliźnich, której pomimo wszystkich ofiar nie umiemy usunąć odrazu, dumni jednak jesteśmy, że przy tej nędzy toczącej znaczną część ludności, prawo jednakże jest szanowaném, porządek nienaruszony, szeroka droga do po-

stępu utorowana, tak, że nędza ta nie wyzuwa owych ludzi ze względów winnych szczęśliwszym, że im nie wpaja ani wściekłej myśli targnięcia się na majątek bliźniego, ani też niezwalzonego pociągu do samobójstwa. Owszem, zobaczysz pan coś, czego nigdy może i w żadnym nie widziałeś narodzić: zobaczysz pan średnią klasę ludu mało zamożną, ale posiadającą środki wystarczające na życie, nie tylko niezadzroszczącą bogatym magnatom, ale owszem dumną z tych praw, których poszanowanie robi, że majątki tak ogromne ostać się mogą obok tak okrutnej nędzy proletaryatu, i oprzeć się nawałnicy złych namiętności, wywołujących w innych krajach, gdzie szacunek dla prawa osłabiony, najokropniejsze burze i konwulsye. W towarzystwie tak sztuczném jak jest nasze, w porządku rzeczy tak czynnym, wszystkie najrozmaitsze stosunki i siły, dodatne i ujemne, wespół pracować muszą. A tak, choć bolejemy wszyscy nad losem człowieka nieumiejącego niczém inném służyć światu, jak kręceniem mechanicznego krążka, pomnieć jednakże na dwie ostateczności winniśmy: *na ogromne bogactwa sprowadzane dla całego państwa pracą rękodzielniczą; powtóre: na to, że oprócz nieszczęśliwych, do żadnej innej łatwiejszej, mniej zdrowiu szkodzącej pracy niezdolnych, niktby się tej pożytecznej pracy oddać nie chciał.* A to na pochwałę i najniebezpieczniejszego Anglika przytoczyć muszę, że on woli być powolną ofiarą pracy, aniżeli szybką ofiarą zbrodni, samobójstwa lub głodu; że woli, używając swobody, wiele pracować, a mniej zarabiać, jak w domach roboczych przymusowemu oddawać się mozołowi.«

Powiedziawszy ten *Speech*, nasz filantrop spojrzął na zegarek, kiwnął głową i wrócił do brudnych zaułków, gdzie mieszkają blade rodziny wyrobników. Tam gniazdo jego filozofii.

Kto to jest ten filantrop, rozumujący tak mądrze i zimno? Zdaje się prawie, że ma słuszość.

To młody Cobbett, wnuk starego, sławnego demagoga angielskiego Wilhelma Cobbett. Niewiele ma majątku; zdobył go wielkimi wysileniami pracując w fabryce; ale codziennie wyszukuje ubogich i wydaje znaczne sumki na otarcie tych łez, jakie sam niegdyś wylewał w podobnym zawodzie.

Wnuk zaciętego demagoga, był przyjacielem ludu, ale nie demagogiem. Tak się idee przekształcają, ludzie wyrabiają, i coraz nowe siły umysłu i ducha w działanie wchodzą.

W bliskości Galashiels leżą pyszne zwaliska świetnego opactwa Melrose, dalej Jedburg i Dryburg, także powabne miejsca, rozpościerające się malowniczo po śmiejących dolinkach, opasanych czterema rzekami: Tweedą, Galą, Varrowem i Etrykiem. Miejsca te minąć musieliśmy, pozostawiając do lepszych czasów nadzieję ich zwiedzenia; jednego jednakże dotychczas niewymienionego minąć nie byłem w stanie: przyciągała mnie doń wdzięczność za kilka lat strawionych w ciągłym zachwyceniu. Ledwie dwanaście lat liczyłem, kiedy po raz pierwszy dostał się w me ręce romans p. t. *Guy Mannering*. Ojciec mój, pomny o me dobro nie pozwalał mi osłabiać sił duszy czytaniem romansów, i wkrótce spostrzegł, jak głęboki, trwały urok wywierał na mnie Walter-Scott, nawet w tak niedoskonałym przepolszczeniu, jak jest Dmochowskiego. Dobry ojciec, widząc mnie po całych godzinach marzącego o górach Szkocyi, o poczciwych, walecznych ludziach mieszkających pod jej posepnym a poważnym niebem, nie walczył już z wrażliwością dziecka, lecz umyślił spożytkować ją na jego korzyść.—»Dobrze, możesz czytać romanse Walter-Scotta, nie zawierają one nic, co duszę człowieka skalać może lecz abyś w sobie nie osłabił, nie zniewieścił ducha, czytaniem łatwo wyobraźnię łudzącej literatury, czytaj Walter-Scotta w języku oryginalnym. Przymuszony potykać się z trudnościami języka, nie rozpieścisz twych władz umysłowych, nie wpadniesz w błąd tych istot, które czytając wiele wykształcą w sobie do zbytniego stopnia wrażliwość duszy, a żadnej nie zdobędą potęgi ducha.«

Tak mówił mój ojciec, i sprowadził wraz ze wszystkimi już wyszłymi romansami szkockiego powieścio-pisarza, słownik angielsko-niemiecki; angielsko-polskiego wówczas jeszcze nie było.

Ciekawość, chciwość wiedzy przewyciężyła wszystkie trudności. W kilka miesięcy za pomocą słownika i rad uczonego mego ojca, czytałem płynnie trudny, bogaty język Walter-Scotta. Mogę powiedzieć, że Szkotów dzieje wcieliły

się siłą krwi w me wzrastające serce. Może one obudziły w niem tego ducha rycerskiego, który tylu nieszczęść i tylu zachwyceń dla mnie stał się źródłem, i dziś jeszcze, w czasach tak prozaicznych, pokutuje w méj duszy jak widmo dawno upłynionych wieków.

Mógłbym tedy minąć Abbotsford, wiejską siedzibę starego romanso-pisarza, rozczulającego utworami swemi miliony młodzieży wszystkich krajów, i nie złożyć hołdu szczeremu cieniem męża, który siłą swego geniuszu obudził tyle sympatyj dla swéj nieludnej, a tak uroczej ojczyzny?

Jestem w Abbotsford. Z początku było tylko drobny folwark, kiedy go zakładał niezamożny, bogactw swych późniejszych nie przewidujący bard szkocki. Później przybyły do małych pokojów większe sale, do dachów wieże, do murów strzelnice; aż nareszcie w lat dwadzieścia kilka stanęła ulubiona poety siedziba taka, jaką jest jeszcze dzisiaj: najnieregularniejsza narośl, niby gotycko mieszanego stylu, coś naksztalt tylnéj części owego pałacu Uruskich, która wyziera na pałac Kazimierowski w Warszawie. Szczerze powiedziawszy, wiele smaku w téj budowlu nie masz; za dużo pretensyi w owych drobnych rozmiarach: bawidelko, którym gotycka wyobraźnia antykwaryusza poety lubiła się pieścić. Z samych zbiorów, niegdyś bardzo szacownych, stary wieszcz straciwszy nie z własnéj winy swój majątek, zmuszonym był sprzedać najciekawsze przedmioty; później poszło wszystko w ręce wierzycieli; i dziś cała posiadłość do obcych przeszła ludzi.

I tu spotkaliśmy angielskiego turystę, oryginała kompletnego, jakiego już od dawna życzyłem sobie widzieć. Rudy, sztywny i cierpki jak dzikie jabłko, stapał w nankinowych *inexpressiblach* i w długim paltocie, w wodotrwałym kapeluszu, który zarazem służył mu za miednicę i wagę, z kołnierzykami podrzynającemi mu uszy, jak dwie piłki. Kieszonki miał zapelnione całym magazynem najrozlicniejszych sprzętów domowych: znajdowało się w nich krzesło kieszonkowe, stolik kieszonkowy wraz z album in folio; brzytwę miał w lorynetce, bussolę, puszkę z szuwaksem i barometr w lasce, fajkę i szcotkę od zębów w nożu; nakryty zaś był płaszczem, który w razie potrzeby można było zatknąć na laskę, i przemienić w deszczochron lub w namiot, a nawet w materac, nadawszy powietrzem przedział pomiędzy

podszewką a wierzchem zawarty. Tak wyposażony Anglik pędził już od lat kilkanustu, najczęściej piechotą po kontynencie, aż nareszcie wróciwszy do ojczyzny, przyszedł zwiedzić Abbotsford. Nie był zadowolony ze swych wycieczek, szukał wszędzie rozrywki, a znalazł tylko nudy. Nic a nic w świecie nie odpowiedziało jego oczekiwaniom: ani kościół św. Piotra, ani Alhambra, ani Mont-Blanc, ani wodospad Renu pod Szafuzą.

—»Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czemu ludzie do tego znów stopnia ubiegają się za przyjemnością oglądania siedziby wielkiego Nieznajomego«—rzecze do nas turysta, siadłszy na swém składaném krześle i rozpiąwszy deszczochron na barometrze. »Walter Scott nie wyglądał na gentlemanna, nie miał w sobie szlachetnego, okazałego lub dostojnego. Owszem, fizyognomia jego tłusta, płaska, staro-szkocka, nosogórkowaty, oczy małe, siwe, tchnęły gminnością. Ani też nawet mądrze nie wyglądał: usta miał ciężkie, obwisłe, *uponny word* bardzo głupie. Na ogromnych chodził nogach, kulejąc na jedną, a niecznośnóm mówił narzeczem, akcentem czysto-chołopskim; przytém, na domiar nieszczęścia, tak miał nieudolne organa wokalizacyi, że go trudno było zrozumieć. Żadnego *r* nie mógł wymówić; zamiast *rock*, mówił *cock*; ubierał się zaś jak wieśniak, w gruby surdut z wielkimi jak talary, metalowemi guzikami. Takim go widziałem ze sto razy przed dwunastu laty w Edyburgu; anim się spodziewałem, że tu przyjdę umyślnie, by oglądać wiejską siedzibę dawnego pisarza kolegium notaryuszów edyburgskich. Ale darmo, przedsięwziąłem sobie podróżować przez całe lat 15, i jeszcze dwa lata będę się musiał włóczyć po świecie, dla dotrzymania sobie słowa.«

Istotnie, obraz, jaki tu skreślił nudny turysta o osobistości Walter-Scotta, wiernym jest zupełnie. Tak czasem wielka zachodzi różnica pomiędzy wartością duszy, a ciała.

O małą milkę za Abbotsford, leży nie wielkie, wesołe miasteczko Selkirk, pamiętne w dziejach wojen Szkotów z Anglikami. Szewcy Selkirku słyną po dziś dzień z dobroci swych wyrobów: wszyscy niemal obywatele tego miasteczka oddają się z zapałem temu użytecznemu rzemiosłu. Ztąd też zapewne pochodzi istniejący dotąd zwyczaj, że wszyscy nowi obywatele miasta, przed uzyskaniem dyplomu obywatelskiego, winni wyczyścić wiązeczkę szczeciny.

Przebywamy hrabstwo Roaburg i stajemy na popasie w Kirk-Yelholm, wiosce położonej między górami i zawierającej w sobie największą kolonię Cyganów, jaka w Szkocyi istnieje. Jest ich przeszło 150; z postępem oświaty wiele przybrali zwyczajów europejskich, zachowali jednakże śniady kolor twarzy, mowę swą i zwyczaj koczowania i trudnienia się kradzieżą.

Już zdaleka widzimy srebrny strumyk wijący się pomiędzy pagórkami Teviotu. To rzeka Tweed, to granica Szkocyi, to owe pamiętne czyste wody, które splukały potoki krwi bohaterskiej z błon szkockich. A tam dalej na zachód piętrzy się długi i gęsty szereg kopców okrągłych, gładkich i zielonych aż po same szczyty; jedne wznoszą głowy nad drugimi, jak gdyby dzieci jednej matki: — to pasmo Cheviotu, stanowiące suchą granicę pomiędzy dwoma królestwami, zostającymi dziś pod jednym berłem. Ten srebrny strumyk i te pagórki, były przez lat przeszło tysiąc widownią krwawych walk i zaciętych zatargów. Dziś tu wszystko spokojne. Rzeczka obraca młyny, tartaki i walcownie, pagórki porośły bujną trawą, trzody się na nich paszą: wszystko tchnie szczęściem i pokojem, tryumfują błogie skutki pracy, i wszędzie, zamiast dzikiej trąby wojennej, odzywa się tęskny odgłos pasterskiej fujarki. I ztąd się rozchodzi na całą Szkocyę i na wielką część Anglii owa pyszna rasa owiec Cheviotu, której wełna tak miękka i biała, i to poprawne plemie wypędza zewsząd starodawną czarną i kudłatą rasę swych współbraci.

Tylko jedna jeszcze sterczy ruina: zwaliska zamku Armstrongów. Wiele tu grobowych pomników, uwieczniających pamięć bohaterów, a pomiędzy nimi świetniejsze wysoki na 100 stóp obelisk, wzniesiony pod *Langholm* na cześć generała Malcolm.

Pomiędzy rzekami Esk i Sask rozpościerało się niegdyś na pochyłości wielkie bagno torfowe, zwane *Solway Moss*. Bagno to zmiękczone i wzdęte deszczami, zerwało się z twardej swęj podstawy d. 17. listopada 1771. r., i zalało błotnistą lawą 400 pól, wielkie mnóstwo wiosek, pograżyło w swych odmętach wielu ludzi i nareszcie zginęło w morzu.

Wjeżdżamy w ów labirynt okrągłych pagórków: raz się zamyka widnokrąg w ciasnych obrębach, drugi raz się

otwierają, znów ścieśnia i znów znikają zapory. Drzewa coraz rzadsze, płaszczyzny wyzierają ku południowi, deszcz kropi coraz rześsisty. Żal mi ściska serce, bo już granice Szkocyi niedaleko już dymy miasta Carlisle czarnemi kłębamipną się ku niebu.

Bądź mi tedy zdrowa Kaledonio, bądź zdrowa nazawsze! Gdziekolwiek będę, tęsknić za tobą nie przestanę, boś ty mnie przyciągnęła twą sławą, oczarowała poezją i twą pracą oświeciła!

Tobie Szkocyo winieniem przekonanie, że praca, - przemyśl i handel nie są grobami poezyi i szlachetności, choć w narodach, gdzie charakter jest słabszy jak namiętność, ruch większy jak czynność, lub też żądza wygod materyalnych żywszą, jak potrzeba pokoju duszy.

Zegnam cię Szkocyo wyrazami twęgo ulubionego barda Burnsa:

• Fare well to the Highlands high covered with snow,
Fare well to the straths and green valleys below,
Fare well to the forests and wildhanging woods,
Fare well to the torrents and loudpouring floods. •

Zegnam was góry wierzchołkiem śnieżyste

Zegnam doliny i łąki zielone.

Zegnam was bory, gaje rozłożyste |

Zegnam was szamne potoki spienione.

ROZDZIAŁ XXX.

MATTER OF FACT ENGLAND.—NARODOWOŚĆ.—PATRYOTYZM
U ANGLIKA I FRANCUZA.—ARYSTOKRACJA, MIESZCZAŃSTWO
I PROLETARYAT ANGLII.—PRZYMIOTY JĘZYKA ANGIELSKIEGO.—
WIARA W WŁASNY ROZUM.—POSTĘP OPARTY NA WSZECHSTRON-
NYM ROZWOJU.—MOŻNA POWAŻAĆ CO SIĘ NIE KOCHA.—CAR-
LISLE.—KATEDRA SAKSOŃSKO-GOTYCKA.—POMNIK DRUIDYŃ-
SKI.—MANCHESTER.—KOLEGIUM KATOLICKIE.—LIVERPOOL.—
FABRYKI I ZAKŁADY NAUKOWE.—SHEFFIELD.—FABRYKA PAŃA
SLIVERS.—NOTTINGHAM.—JASKINIE.—LEICESTER.—ZABYTKI
STAROŻYTNOŚCI.

—»*Good God be mercifal on us! there we are again in our old matter of fact England!* Dalibóg tak, a nie inaczej,«
wykrzyknęła *Mistris Hethr...* —, skorośmy przebyli mostek
rzucony na Tweedę.

Ale warto dać przepolszczenie tego wykrzyknika! »*Good God be mercifal on us*» znaczy: dobry Boże, zlituj się nad nami; »*there we are again in our old England*: jesteśmy znów w naszej stariej Anglii. Ale co znaczy *matter of fact?*— to epitet, który nie łatwo w polskim oddać języku.

Arystokrata angielski, mówiąc o kupcu, o przemysłowcu, o adwokacie angielskim, nazywa go z urąganiem: *a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć, że to człowiek pilnujący li tylko swego interesu, sięgający nie tylko swemi czynami, ale także swym rozumem, swém uczuciem, najdalej aż do granic zakreślonych mu powołaniem, dającém mu chleb i utrzymanie; przez to chce oznaczyć szczerpły zakres, w którym się obraca jego honor i jego prawo do szlachetności.

Poeta, literat, uczuciowiec i uczony, nazywając Anglika *a matter of fact man*, chce przez to wyrazić swą pogardę dla człowieka pozbawionego wyższych, szczytniejszych uczuć; uczuć wrywających się po za położenie materyalne jednostki. Nie potępia on przez to wyrażenie honoru lub moralności swego rodaka, ale daje poznać, że jego dusza

nie zdolna wznieść się ani na chwilę po nad widnokrąg swych cielesnych oczu. I tém wyrażeniem mści się za swoją biedę, za swe upokorzenie, za nudy doświadczone w towarzystwie człowieka, oddanego duszą i ciałem zawodowi, doprowadzić mogącemu do bogactwa, do wziętości, nawet do poszanowania gminu.

Rzemieślnik, kupiec, przemysłowiec, adwokat nawet i lekarz angielski, mówiąc o sobie, z dumą powie: *I am a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć: nie obawiaj się, ja celu mego nigdy ani na chwilę z oka nie spuszczę; ja całkiem i bezwzględnie memu powołaniu oddany, ani na chwilę na bezdroże sprowadzić się nie dam; mnie się możesz powierzyć, na mnie liczyć jak na Zawiszę.

Wiemy teraz, co jest *a matter of fact man*, epitet powtarzany tak często w Anglii z pogardą, z urąganiem i dumą. To znaczy po prostu, *być prozaicznym*, nie łądzić się ani poezjami, ani teoryami, ani dać się oczarować żadną rzeczą, której w rękę wziąć, powąchać, obejrzeć, obśłuchać i obśmakować nie można.

Pani Hethrington nazwała tedy swą ojczyznę prozaiczną Anglią i nie bardzo się cieszyła z powrotu do niej. Anglik nie jest hipokrytą, i nie jeden z nich wyznaje najnaiwniej w świecie, że go własna nie zachwyca ojczyzna, że przekłada pobyt za granicą nad bawienie we własnym kraju. Z tego jednakże nie wypływa, aby tacy Anglicy byli wyzwani z patriotyzmu; bynajmniej—tylko oni inaczej pojmują patriotyzm: mniej się przywiązują do miejsca urodzenia, które nie zawsze piękne i powabne, jak do narodowości angielskiej, która wszędzie jest poważną. Nie raz mi się zdarzyło widzieć Anglików nie lubiących własnego kraju, utrzymujących, że podróżami do tego stopnia otrząsnęli się z narodowych przesądów i uprzedzeń, iż stali się prawdziwymi kosmopolitami, to jest obywatelami świata. Ale doświadczenie nauczyło mnie nie ufać takim zaręczeniom. Anglik nie pozbywa się nigdy dumy narodowej, nie przestaje cenić wysoko współobywateli, chociażby ich prawdziwie nie kochał. Anglik ubogi, podróżujący dla oszczędności, za granicą czepiać się nie będzie bogatszych od siebie ziomeków; ale skoro tylko zoczy w prawach ludzkości obrażonego, zaraz występuje śmiało i odważnie, i nie uważając na żadne niebezpieczeństwo, na żadne straty, nie da włosa

ruszyć swemu rodakowi. Jednym słowem, Anglik nigdy nie przestaje być patriotą.

Gdy idzie o poniesienie ofiar dla swęj ojczyzny na zawsze od niego pożegnanęj, wówczas budzi się w Angliku uczucie patriotyztmu na honorze oparte, w całej swęj sile. Tak tedy Anglik, choć nie tęskni do swęj ojczyzny, kochać honor swęgo narodu nigdy nie przestanie; i lubo często narzeka na klimat swęgo kraju, na egoizm, na przesady swęch rodaków: ale w gruncie serca nie przypuści nawet, żeby Anglicy nie byli najgodniejszymi obywatelami świata, jedynie pojmującemi prawdziwe znaczenie wyrazu *honor*.

Jakże inaczej Francuz pojmuje patriotyztm! On tęskni do swęj krainy nie przestaje nigdy. Francuz nie przypuści nigdy, żeby istniał kraj tak piękny jak jego Francya, i dla miłości do ziemi poświęcić gotów względy winne jej mieszkańcom, swym własnym ziomkom. Dla Anglika tedy ojczyzna istnieje nie raz abstrakcyjnie w uosobieniu; ojczyzny mu nie reprezentuje ani ziemia, ani rodacy, lecz raczej duch honoru wyrobiony w kraju i przez rodaków. Tak pojęty patriotyztm nie nastęrcza tkliwości Anglika żadnych żywiółów, a jednakże godność osobistą jego całkowicie pozostawia nietkniętą. Gardzi korzyściami spłynąć nań mogącemi z narodowości, ale pełni powinności, które mu ona nakłada. Można szanować Anglika, nawet gdy utrzymuje, że jest kosmopolitą.

Francuz zaś przywiązuje nie raz całą swą czułość patriotytczną li tylko do kawałka ziemi, na którym się urodził. Puszcza się w świat, służy obcym, rozrzewnia się, płacze i pociesza nadzieją powrócenia na łono ojczyzny; i powraca zdobywszy w dalekim świecie sposób utrzymania, i umiera zadowolony ze swęgo żywota, przekonany, że najlepiej dopełnił obowiązków syna ojczyzny. Czy patriotyztm w ten sposób pojmovany wzbudza uszanowanie?

Ale wróćmy do Anglii, którą tak naiwnym wykrzyknikiem powitała uczuciowa pani Hethrington. Zaden z Anglików, a siedziało ich nie mało w naszym omnibusie, nie obruszył się, słysząc córkę Albionu witającą Albion z tak wielką szczerością. Jeden tylko, który dotychczas drzymał, otworzył oczy i spytał się niby nawiasem: *You are a sentimental Lady, is it not Madame?* (Pani jest sentymentalną niewiastą, czy nie tak?) tak, jak gdyby się był spytał: która

godzina u pani? lub też: daleko stąd de Carlisle? Pani Hethrington odpowiedziała krąjącym jak brzytwa tonem: »*So I am Sir! to be sure*« (Tak jest panie, upewniam pana). »*That's very well Madame*« (To bardzo dobrze, moja pani) dodał znów Anglik, zamknął powieki, ręce złożył i dalej sobie drzymał.

Z tego wszystkiego, cośmy dotychczas o Anglii i o Anglikach powiedzieli, wypada, że wysoko cenimy Anglików, pomimo dumy ich arystokracji, pomimo prozaiczności mieszczaństwa, pomimo niedoli proletaryatu angielskiego. Wybitne jest jedno, drugie i trzecie; a jednakże nie tak powszechne w jednej, drugiej i trzeciej klasie narodu, żeby dostrzedz nie można licznych wyjątków, błyszczących, jak gwiazdy na niebie, nad horyzontem Albionu. Poważam ten naród szczerze i wyznać się nie waham, że mu wiele winien. Co w nim było dobrego i pięknego, to tak głębokie na mnie wywarło wrażenie, że go żadne w latach późniejszych doświadczone burze zatrzeć nie zdołały w mej pamięci. Jasność charakterów i zdań angielskich wypiętnowała się w mej duszy wiarą jakąś niezmiernie złamaną w pojęcia proste, zdrowe i że, tak powiem, absolutne. Mowa ich krótka, szorstka, ale w najsubtelniejszych odcieniach każdą myśl dokładnie oddająca, pomimowolnie jakoś na mój język wpłynęła. Słyszając Anglika wystawiającego się z jemu tylko właściwą precyzją, widząc Anglika gardzącego próżną, niewyraźną frazeologią, pożegnałem się raz na zawsze z ową niemiecką ostrożnością w mowie, i z ową niewiarą w absolutne pojęcia, któremi mowa pseudofilozofów, okoleniem zobojętniona, ciągle uwzględniana możliwością jakichś wyjątków, lubi matwać się, maskować i utrudniać pojęcie najprostszej rzeczy. Uwierzyłem w wartość mej idei, gdy ją posiadałem zdrowo i silnie wyobrażoną w mej myśli. Słowa znajdziesz na wyrażenie twój idei, i bylebyś tylko miał śmiałość oddać ją bezokolicznie, znajdziesz wkrótce, że Anglik ją oceni, nawet wtenczas, gdy się z jego przekonaniem nie zgadza.

Wieczny też rozbrat wziętem z francuzką chciwością mówienia o rzeczach, o których żadnego, lub niewyraźnego tylko miałem wyobrażenie. Francuz puszcza język, tak jak nie jeden myśliwy puszcza charty, na chybił trafił: może się tam myśl jaka nawinie, lub też zając wytropi.

Dalej tylko, dalej, haż go ha! Pola nie zabraknie, a ludzi złudzić się dających brzmieniem słów podostatkiem wszędzie. Bylebyś nie zaciął się językiem o zęby, znajdziesz zawsze sympatyzerę, którego zdumiesz, odurzysz twą wymową, który nasłuchawszy się do syta, a nie zrozumiawszy nic wcale, wykrzyknie z uniesieniem: »A to mi człowiek! A to rzeczy pojmuje! aż miło słuchać! niech go d.... biorą!«

Oh! nie tak z Anglikami. Anglika słowami nie odurzysz; z uwagą cię będzie słuchał, nawet gdy się niedokładnie wysłowiasz; ale gdy cię nie nie pojmie, wówczas jest pewnym, iż gadasz byle co, odwróci się od ciebie, i bądź zdrow:— nie zaczepi cię nigdy do pogadanki.

Za tę wiarę we własne zdanie szanują ich, i za wiele innych przymiotów jeszcze.

Ale z tego nie wynika konieczność rozkochania się w pamiętala w Anglii, pomimo wszystkich izb, pomników, katedr, domów ubogich, szpitalów i zakładów; pomimo marynarki, *habeas corpus*, akademii i towarzystwa biblijnego. Nie! z tego wcale nie wynika, ażebym uważał Anglię za przewodniczkę takiego postępu, jaki ja sobie wyobrażam. Nim ją postawię na czele ludzkości i w zapomnieniu tego, co się może dzieje w mniejszych, mniej potężnych krajach, nim jej oddam berło pierwszeństwa, zapytać się zechcę Anglii: czemuż, o! potężny narodzi, kiedy tak szumnie głosisz tryumf pracy, członkowie twoi pracujący najwięcej są najniezszczęśliwsi? Bezwzględni jednak potępiicielami arystokracji angielskiej nie jesteśmy. Część jej, jak to już wprzód wyrekliśmy, jest, że tak powiem, kwintessencją narodu, a całość jeszcze nieskończenie wyższe miejsce zajmuje od arystokracji wielu narodów. Może nie ma i jednej rodziny arystokracji angielskiej, któraby nie uważała za najświętszą powinność ponosić wszelkie ofiary dla dobra kraju, utrzymywać swe imię w poszanowaniu doskonaleniem się w naukach, ośmielaniem literatów i artystów.

Kocham tedy i wielbię tych mężów stanu, którzy jednej chwili życia swego nie stracili, którzy zdobywszy władzę, spożytkowali ją na dobro ziomek. A takich miała i ma Anglia! Kocham i wielbię owych filantropów, którzy nie szcędzą mozołu i pieniędzy na wyszukanie biednych i otarcie łez ubóstwu. Takich mnóstwo w Anglii.

Szanuję w mieszczanństwie, owój osi społeczeństwa angielskiego, ten umysł praktyczny, nieporównaną rzeźwość, czynność, przenikliwość, sprowadzające tak wielkie zasoby dla kraju. Szczerze się lituję nad tą biedną klasą ludu, ginącą tysiącami w znojach i mozole, a nie tracącą cierpliwości, nie porywającą się na prawa kraju i Boga.

Ze i Francya nie zasłużyła, jako przewodniczka narodów, na bezwzględną sympatyę moją, o tém wiedzą moi czytelnicy i tego się wcale wypierać nie myślę.

Nie wiem, dlaczego tylko Anglia i Francya mają posiadać tajemnicę owój maszyny, na której, według wyobrażenia mędrców sądzących zdaleka, jeździć ma jak na lokomotywie *postep!*

Milsze mi kraje, w których cywilizacya nie przeskrzydliła uczuć poczciwości.....

Ale otoż i Carlisle, — przerywamy nasze rozmyślania.

Jesteśmy więc w Carlisle, w starodawném Luguvallum, które już za Adryana było znaném światu. Zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ma mieszkańców, ale wiele w niem ruchu, handlu i przemysłu. Fabryki wyrobów bawełnianych szczególnie tu są liczne; znajdują się także i ludwisarnie. Carlisle za Rzymian było punktem militarnym bardzo ważnym; ztąd wychodził ów mur wysoki, którym Rzymianie zasłonić się chcieli od natarczywości Kaledonczyków, a szczątki tego muru, do dziś-dnia tu istniejące i podróżnym ukazywane, głęboko do duszy przemawiają. Pod Dawidem I. Carlisle należało do Szkotów; roku 1644. wzięli je i spalili parlamentarze, a w roku 1745. Jakobici.

W starym, od pięciu wieków istniejącym zamku, Marya Stuart więzioną była w 1568. r. Napisy francuzkie wyrżnięte dyamentem na gotyckich oknach, wielką tchnące smętnością, mają być wypisane ręką nieszczęsnej królowej.

Katedra biskupia w Carlisle ciekawym jest bardzo zabytkiem budowy saksońsko-gotyckiej. Coś równie starożytnego, a tak dobrze utrzymanego i okazałego może w całej Anglii nie ma; kościół ten bowiem już w VII. wieku ery chrześcijańskiej budować zaczęto.

W bliskości miasta, w stronic północnej, znajduje się ów sławny pomnik druidyjski, przewany *Long Meg and her daughters* (długa Meg i jój córki). Jest to niezmierne koło, obstawione po obwodzie surowemi głazami ogromnej

wielkości, a góruje nad wszystkiemi długa *Meg*, głaz formy stożkowej, na 170 stóp wysoki.

Dyżanssem puszczamy się o 7-mój godzinie wieczorem do Manchester, o 23 mil geograficznych od Carlisle odległego, i stajemy tam na drugi dzień rano o 8-mój godzinie. Całą drogę w najlepsze przespaliśmy, tak był wygodnym dyżans, pomimo szybkiego swego biegu.

Czy mam opisywać Manchester, ową na węglu i parze wypieczoną stolicę przemysłu angielskiego, która sto lat temu miała zaledwie 15,000 mieszkańców, a dziś ich liczy 300,000? Trudno rozwozić się nad takim opisem; zresztą może on tylko ludzi specjalnych zajmować, a ci wiedzą doskonale, gdzie go mają szukać. Za mój bytności 327 machin parowych w ciągłym było ruchu w Manchester. Samych warsztatów tkackich, poruszanych mechaniką, było 35,000. W powietrzu tego miasta nie ustaje gwar, turkot, a gęsty dym węgla ziemnego bezustanną toczy walkę z mgłami, wlekącemi się po ulicach.

O milę od Manchester warto zwiedzić pyszne kollegium katolickie Stonhurst.

W pięć kwadransy przybyliśmy z Manchester do Liwopolu koleją żelazną. Dziewięć mil geogr. nie mniej i nie więcej z jednego miejsca do drugiego. Przed stuleciem Liwopol liczył zaledwie 10,000 mieszkańców; dziś ich posiada 220,000. Swobodniej się oddycha w Liwopol, jak w Manchester, pomimo gorączkowego zajęcia, jakie się i tu maluje na twarzach wszystkich mieszkańców. Bliskość morza czyści powietrze, a zresztą w Liwopolu nie zapomniano jeszcze Boga i muzy, dla pary i Merkurego. Są i piękne świątynie, mianowicie kościół św. Piotra i Pawła; są i muzea nadzwyczaj bogate w najrzadsze przedmioty, jest i ogród botaniczny, są nareszcie szkoły, gimnazya i licea dosyć liczne. Pod całym prawie miastem rozciąga się tunel podziemny, długi na 6,000 stóp, wysoki na 24, a szeroki na 30. Okazała jest budowa tego kosztownego dzieła.

Wracamy jeszcze do Manchester i ztąd jedziemy do Sheffield, także koleją żelazną. Już jesteśmy w Sheffield, bo tu wszystko niestychanie prędko idzie, i mieszkamy nie w hotelu, tylko u pana Slivers, fabrykanta i bliskiego krewnego pana Hethrington.

Sheffield liczy 120,000 mieszkańców; przed stu laty liczył ich zaledwie 6,000. Niegdyś to miasto było fortecą, dziś słynie na cały świat swemi wyrobami żelaznemi, mianowicie brzytwami i nożami. W bliskości miasta kopie się wyborna ruda, a w inném miejscu doskonały węgiel kamienny: a tak wszystko sprzyja Sheffieldowi. Budynków okazałych, prócz ogromnego szpitala, w którym porządek najprzykładniejszy, nie ma tu prawie wcale; 212 machin parowych, reprezentujących siłę 36,000 koni, w ciągłym są ruchu; niezmierne kłęby dymu wznoszą się pod obłoki, drży cały Sheffield od tętna tysiąca ogromnych młotów, spadających na rozżarzony metal. Rzeka Sheaf spotyka się w samym mieście z rzeką Don; kanałów ułatwiających komunikacyę, dróg i kolei mnóstwo, mało zaś kościołów na tak liczną ludność. Stan zdrowia wyrobników zadowalający, w porównaniu ze stanem zdrowia wyrobników w Manchester: żelazo mniej sprowadza chorób jak zdradliwa bawełna, wkradająca się subtelnym pyłem w płuca.

Pan Slivers małą tylko w porównaniu innych miał fabrykę; machina o sile 120 koni wystarczała na jej obracanie. A jednakże małą siłą wielkie pan Slivers otrzymał wyniki: wyrabiał u siebie pilniki z lanéj stali, słynne na całym świecie z twardości i taniości, przytém wynalazł sposób polerowania stali i żelaza w krótszym czasie i z mniejszym wysileniem, jak dotychczas. Tylko 20 najlepszych, najwierniejszych robotników przypuszczonych było do tajemnicy tego wynalazku; pan Slivers nam nawet nie pozwolił zwiedzić téj części swéj fabryki, tylko na dowód jej doskonałości zabrał ile mieliśmy przy sobie kluczy, nożów, wraz ze wszystkiemi memi narzędziami chirurgicznymi, i w godzinę potém zwrócił nam wszystkie nasze przedmioty gładkie i świecące się, jak zwierciadła.

Inną jednakże maszynę, którą niedawno był wynalazł, raczył nam pokazać pan Slivers. Była to maszyna wyrabiająca ostrza do scyzoryków i tak urządzona, że z jednéj strony wchodził w nią drut stalowy na zimno, a z drugiéj strony sypały się z niego wycięte ostrza najwyborniejszego gatunku. Na każdą minutę sześć takich ostrzy wyrabiała ta maszyna. Na funty i kamienie pan Slivers sprzedawał te wyroby, cały funt za 6 pensów, to jest groszy

polskich 30. Zastanawiająca taniość! a jeszcze się bogacił p. Slivers tym przemysłem i kazał stawiać 12 maszyn więcej.

Z Sheffield jedziemy dyliżansem przez Nottingham i Leicester do Oxfordu.

Położenie Nottinghamu miasta, a zarazem i hrabstwa 60,000 mieszkańców liczącego, bardzo jest malowniczym. Rozpościera się na wysokości opoce nad brzegiem rzeki Trent. Zamek książąt Newcastle góruje nad wszystkimi budowlami uszykowanymi w piękne ulice. Mnóstwo jasnych naturalnych i sztucznych w opoce. Główny rynek otoczony wysokimi domami, które się na śmiałych wspierają filarach i pyszne tworzą kolumnady. Wiele tu zakładów dobroczynnych i naukowych, ale nie braknie i fabryk. Pomiedzy innymi słynie na cały świat fabryka pończoch bawełnianych i jedwabnych, fabryka koronek, fajansu i huta szklana.

Leicester, dawne *Ratae Coritanorum*, które odegrało tak ważną rolę za heptarchii anglo-saskiej i zawiera około swęj *via romana* mnóstwo zabytków starożytności, dziś jeszcze jest pięknym i świetnym miastem, choć ma zaledwie 60,000 mieszkańców. Jakiś ton swobodny, naukowo-arystokratyczny w tém mieście, przypominał mi luby Edyburg. Prawda, znalazłem tu niespodzianie dawnego znajomego, i radość z tego spotkania wszystkie osłodziła wrażenia zdobyte w tém miejscu. Nocą wyjeżdżamy do Oxfordu, odległego stąd o mil geogr. 15. Stajemy w starodawnym grodzie nauk i sztuk pięknych, prawie równo ze świtem.

ROZDZIAŁ XXXI.

OXFORD.—DUCH DZISIEJSZÉJ NAUKOWOŚCI.—UCZNIOWIE I PROFESSOROWIE.—UBIÓR UCZNIÓW.—KOLLEGIA.—KANCLERZ UNIWERSYTETU.—FEODALNOŚĆ PODSTAWĄ WYCHOWANIA.—KSIĘGOZBIÓR BODLEYA I RADCLIFFA.—TEATR SZELDONA.—SALA ARUNDELA.—DOKTORYZACYE.—DR. BLUECHER KSIĄŻĘ WAHLSTADSKI I FELDMARZALEK PRUSKI.—WOODSTOCK.—ROZAMUNDA CLIFFORD.—BHENHEIM.—KSIĄŻĘ MARLBOROUGH.—WPLYW ATMOSFERY LONDYŃSKIEJ.—POWRÓT DO LONDYNU.—BROMBY.—DOM PAŃSTWA HETHRINGTON.

Na okrągłym pagórku, przy ujściu rzeki Charwel do Tamizy, wznosi się Oxford, wpośrodku zielonych błoni i łąk kwitnących. Całkiem gotyckie miasto, najeżone wieżami i kopułami, pełne pałaców, których styl prosty i dostojny wzbudza poszanowanie, a którym zbliżka przypatrzysz się, nie można odmówić podziwiania. Miasto to niegdyś stołeczne. Król Karol I. tutaj szukał schronienia podczas wojdy domowej. Wszechnica oxfordzka, jedna z najdawniejszych w Europie, bo w XI, wieku założona, i niegdyś jedna z najświetniejszych w świecie, dziś jeszcze zdumiewa przepychem zakładów i budowli do niej należących; ale od pewnego czasu przestaje zadziwiać swém światłém i przyciągać do swych piersi młodzież chciwą nauki. Niegdyś 3,000 uczniów do niej uczęszczało: dziś, po upadku wiary w przywileje scholastyki, wszechnica oxfordzka zaledwie trzecią część téj liczby pielęgnuje. Dziś młodzież dąży do natychmiastowego zastosowania wyniku swego mozołu, specjalności więcej się oddaje i nie pojmuje wolnego a ciągłego wpływu nauk klasycznych na swe wykształcenie i szczęście. Zwolna, porwana prądem, młodzież zapomni szlachetnych tradycyj starożytności, i specjalizując wszystko, może nowe wyrobi żywio-

ły dla przyszłości, a może też zaniedbawszy starych, za-
grzęźnie w bezdenne trzęsawiska niedowiarstwa.

Oxford opuszczony. Tułają się do niego prawie tylko potomkowie mężów, którzy tu ufundowali bursy rodzinne, ich krewni, lub ich dependenci. Professorowie też, nie widząc przed sobą owych ócz pałających żądzą nauki, zaniedbują się pomimowolnie w swych obowiązkach, bo nie czują się zagrzanyimi owym świętym ogniem, który swe żywioły czerpie w nadziei bogatych plonów. Zresztą i oni po największej części przywilejowi winni tę posadę. Być zwolennikiem kościoła anglikańskiego, torysem, krewnym, powinowatym, lub dependentem jakiego z do-brodziejów,—oto najważniejsze tytuły do osiągnięcia miejsca. Potem dopiero idą tytuły uniwersyteckie, potem kon-duita, a nareszcie zdatność.

Uczniowie wszyscy chodzą w togach różnej materji i różnych kolorów: w togach czerwonych i czarnych, jedwabnych i wełnianych, w baretach haftowanych i niehaf-towanych. Pięć tego rodzajów. Jak do stopnia uniwer-syteckiego?—Nie! jak do gatunku urodzenia. W audyto-ryach także uniwersyteckich, których jest ze wszystkiemi 13, osobne są miejsca dla uczniów należących do *nobility*, do *gentry*, do *commonalty* i t. d., słowem do pięciu klasz towarzystwa, z których się składa naród angielski.

Kollegiów, to jest gmachów, w których mieszkają uczniowie i pobierają *repetytorya*, jest 19. Niosą po największej części nazwiska fundatorów, lub też hrabstw. W kolle-gium zwanem *Alt Souls college* mieszczą się prawie wy-jątkowo synowie pierwszych rodzin angielskich. Dziwnie piękna jest kaplica gotycka do tego collegium należąca, a nie ustępuje jej ogród, księgozbiór i muzeum, w skład budynki wchodzące. Pod względem wygód, synowie mo-narchów nie wymagaliby więcej...

Prócz owych 19 collegiów, po największej części świe-tnie wyposażonych, znajdują się tutaj cztery *hals*, czyli budynki przeznaczone dla uczniów *wolnych*, to jest stołu-jących się w mieście.

Fakultetu lekarskiego nie ma właściwie w Oxfordzie, ale istnieje tu rada lekarska, upoważniona do dawania dy-plomatów doktorskich lekarzom, którzy pobierali nauki

w innych fakultetach, lub też prywatnie przysposobili się. Teatr nawet anatomiczny nie istnieje w Oxfordzie.

Kanclerzem uniwersytetu zawsze bez wyjątku mianują pana jakiegoś dostojnego: ministra, generała, księcia, lorda i t. d.; wice-kanclerzem jest uczony jaki, wybrany z grona profesorów. Uniwersytet prócz tego posiada przywilej mianowania swego własnego reprezentanta do izby niższej.

Każdy *Civis Academiae*, to jest uczeń wszechnicy, prócz jednych *commonerów* bursyjnych, mieszczan stypendystów, ma prawo głosowania.

A tak można powiedzieć bez omylenia się, że nie ma w świecie feodalniejszego zakładu naukowego, jak uniwersytet oxfordzki. Dziwić się potrzeba, że coś podobnego ostać się mogło aż do połowy XIX. wieku; ale istotnie, gdy zważymy, że tyle innych starodawnych instytucyj angielskich winno swe istnienie jedynie tylko poszanowaniu, jakie u Anglika zdobywa prawo swą długotrwałością, przestaniemy patrzeć na wszechnicę oxfordzką jako na widmo ubiegłych czasów.

Pod względem czysto naukowym uważając wszechnicę Oxfordu, wyznać musimy, że nowe zakłady naukowe Anglii, mianowicie nowy londyński uniwersytet, daleko większe zdobyły prawo do poszanowania. Oxford oddawna przestał przewodniczyć światu w dziedzinie nauk, i wszystkie bez wyjątku uniwersytety niemieckie wyprzedziły starodawną szkołę oxfordzką w naukowości. Puzeizm tu wcale nie służy za dowód przeciwnemu zdaniu; mogły się jego doktryny rozpowszechnić w idei wielu zwolenników, ale na stan religii lub naukowości w Oxfordzie żadnego jeszcze nie wywarły wpływu.

Pomiędzy księgozbiorami Oxfordu celuje biblioteka Bodlejska, założona i wyposażona przez Tomasza Bodley (1544—1612), szlachcica angielskiego i ambassadora królowej Elżbiety. Dyplomata ten opuścił zawód publiczny i zajął się wyszukaniem najciekawszych ksiąg świata. Zgromadził do 80,000 ksiąg i do 13,000 rękopismów, i zapisał ten szacowny zbiór, wraz ze swym majątkiem, uniwersytetowi oxfordzkiemu. Hearn zgromadził kilka pism Bodley pod tytułem: *Reliquiae Bodleyanae*. Lon-

don, 1703). Dziś biblioteka Bodlejska, druga w Anglii, zawiera przeszło 200,000 ksiąg, 25,000 rękopismów; pomiędzy temi wiele sanskryckich, arabskich, perskich i trzy meksykańskie.

Biblioteka Radcliffa, druga z rzędu w Oxfordzie, zawiera wszystkie dzieła, jakie w którymkolwiek bądź języku wyszły o prawie, sztuce lekarskiej i historii naturalnej. Wielkiego podziwienia godną jest sala, w której się mieści ta biblioteka. Ogromna pokrywa ją kopuła. Ale przede wszystkim zastanawia teatr Szeldona (Sheldonian Theatre), wzniesiony przez Wrena, sławnego architekta kościoła św. Pawła w Londynie, na wzór teatru Marcella w Rzymie. Może mieścić w sobie 3000 osób i przeznaczony jest na uroczystości, towarzyszące otwarciu kursów, rozdawaniu nagród, doktoryzacyom i t. d., jako też na reprezentacye sceniczne tragedyj i komedyj greckich i łacińskich, przedstawianych przez uczniów filologii.

Są i galerie obrazów, muzea, sala marmurowa Arundela. Ogród botaniczny, położony obok wspaniałego mostu kamiennego, rzuconego na Charwell, i obserwatoryum, ozdoba są wielką tego starodawnego miasta, w którym wszystko technie gotycką powagą. Trudno oprzeć się urokowi tych wysokich murów, wzniesionych wiernie w jednym stylu od lat blisko tysiąca, i łatwo tu zapomniałem gwaru miast fabrycznych, pokutującego w mych uszach.

Być doktorem oxfordzkim, wielki to zaszczyt, którym nie wzgardziły i ukoronowane głowy, odwiedzając starodawną, stolicę nauk.

W r. 1815., gdy monarchowie świętego przymierza zwiedzili Anglię wraz ze swemi zwycięzkimi wodzami, ciekawość zaprowadziła ich do Oxfordu. Mianowano doktorem błogostawionej pamięci Monarchę naszego Cesarza Aleksandra, i ś. p. króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, nareszcie i marszałka księcia Blücher.

O dwie milki od Oxfordu leży powabne miasteczko Woodstock. Świetny pałac otoczony pysznym parkiem góruje nad tém miejscem, pamiętném w dziejach Anglii. Król Henryk IIgi wystawił go w r. 1165. dla swój kochanki Rozamundy. Któż nie słyszał o pięknej Rozamundzie Clifford, bohaterce tylu tragedyj, oper i romansów? Nieszczęścia Rozamundy przeszły starożytnemi balladami

od pokolenia, do pokolenia i wcieliły się w pamięć wszystkich Anglików, a Walter-Scott swą cudną powieścią obznajmił nas wszystkich z pięknościami i tajemniczym labiryntem Woodstocku. Król Henryk IIgi schronił tu swą kochankę przed zazdrością prawnej żony Eleonory de Guyenne, ale zazdrość wzrok zaostrza, i rywalka padła pod razami obrażonej królowej. Do dziś dnia istnieją ślady podziemnych ganków, któremi Henryk wkraadał się do swej kochanki.

Dziś Woodstock mniej poetyczny, trudni się przemysłem, mianowicie wyrabianiem sławnych rękawiczek.

I Blenheim, leżący tuż pod Woodstockiem, minąć nie sposób. Jestto pyszny zamek, darowany walecznemu Marlborough, na cześć zwycięstwa przezeń odniesionego pod Blenheim nad Francuzami i Bawarczykami w roku 1704. W środku dziedzińca pałacowego wznosi się brązowa statua zwycięzcy, na kolumnie 130 stóp wysokości. Dziś jeszcze zamek ten należy do książąt Marlborough i stanowi część ich majoratu. Ale rodzina Marlborough na majątku zupełnie podupadła; w długach siedzi po uszy i chętnieby swój majorat sprzedała, gdyby to było możebnem. Żył jeszcze za méj bytności w Blenheim walecznego wodza ostatni potomek w linii prostej; synów bowiem nie miał, tylko córek kilka. Najmłodszą i najpiękniejszą córkę wydał książę Marlborough za pana Barton, majątnego piwowara w Oxfordzie, człowieka już niemłodego i dosyć gminnego obejścia się; ale pan Barton posagu nie wymagał, owszem, jeszcze swéj żonie bogaty zapis zrobił i tatce pożyczył cokolwiek pieniędzy; i tak się spokrewniła korona książęca ze słodem i chmielem. Własny *major domus* księcia oprowadzając nas po pysznym zamku, opowiadał następującą, dosyć oryginalną anegdotę.

Ostatni potomek Marlborougha nigdy się nie wstawiał orężem, ale za to potężnie władał biczem. Namiętnie lubił powozić końmi i gdzie mu się tylko nawinęła sposobność, zaraz siadał na kozioł i dalej—wiśta ha! Z wiekiem i wzrastającym osłabieniem głowy, która nigdy nie była mocną, namiętność powożenia przybrała charakter monomanii. Wtém żona księcia umiera. Na przepysznym karawanie, na którym wznosił się baldachim książęca koroną wieńczony, leży trumna ze zmarłą księżną, toczy się ciężki wóz zaprzężony ośmią białymi koń-

mi ku Oxford, gdzie jest grób rodziny Marlborough'ów. Wtém się zapomina książę postępujący w krepowym płaszczu za karawanem, wskakuje na jego kozioł, zacina konie i kłusem wiezie żonę do grobu familijnego.

Listopad nadszedł, deszcze spadły z katarakt niebieskich, i ze ściśnioném bolesnemi przeczuciami sercem, wracam koleją birminghamską w mury tak dla mnie złowróżbego Londynu. Smutek mój coraz wzrastający, nie uszedł bystrego oka pani H...., ani téż dobrego serca jój męża.

—»Doktorze! na Boga, tracisz odrazu cały twój humor: jedź z nami na dni kilka do Bromley: tam się w bliskości Londynu przyzwyczaisz do zniesienia jego atmosfery, i w towarzystwie przyjaciół zwalczysz ogarniający cię spleen« mówili moi dobrzy towarzysze podróży. Ja im odpowiedziałem:—»I tu w Londynie mam przyjaciół, może mnie bardzo potrzebujących; okrucieństwem byłoby, żebym przez Londyn przejechał i nie dowiedział się nawet o ich powodzeniu. Za tydzień najdalej będę u was w Bromley, a teraz was żegnam z żalem w sercu i dziękuję za miłe chwile spędzone z wami!«

—»Nie! nie! doktorze, bez strzemiennego nie puścimy cię; choć butelkę szampana wypić z nami musisz. Potrzebujesz szampana, wierzaj mi, okrucieństwem byłoby odmawiać sobie szampana, *upon my word*, tego nie ścierpię!«— krzyczał pan H., i wciągnął mnie do bufetu wspaniałego dworca na Euston Square.

Wystrzelił pocziwy korek epernajski, trysnął perłowy nektar. *Good friendship for ever!* Otucha jakaś wstępuje w me serce. Za godzinę państwo H. byli w drodze do Bromley, a ja znalazłem się znów w dawném mém mieszkaniu, przy ulicy Tottenham-Court-road, i szukam myśli i natchnienia przy kominku, na którym pali się w najlepsze węgiel kamienny.

Już na drugi dzień wszedłem w me bezpłatne obowiązki w *foreign dispensary*, odnowiłem stosunki z areopagiem niemieckich uczonych, z redakcyą medycznój *Timesy* i z profesorami uniwersytetu londyńskiego. Ze świeżemi siłami wziętem się nie tracąc chwili do pracy, w żwawy ruch wprowadziłem maszyneryę umysłową, wszystko szło dobrze: pracy nie brakło, bo chęć do niój wrzała w duszy.

Odwiedziłem i Abigail. Oczekiwała mnie od dawna matka Emily, bo znówu zapadła na oczy. »Przywróć mi pan wzrok mój, niech ją choć raz jeszcze oglądam, nim się z tym światem rozstaniemy. Nastąpi to niezadługo. Miss Emily coraz ma się gorzej, a ja dla niej tylko żyję. Syn mój już sobie sam daje radę i jak będzie po wszystkim, wróci z panem W. do Indyj«—mówiła Indyanka.

Pan W. i jego córka mieli jeszcze miesiąc cały pozostać w Bath, gdzie powietrze łagodniejsze jak w Londynie.

I w Mile-end byłem. Kapitan duński z ciągle wzrastającym zapalem oddawał się kontrabandzie. Marcin jakoś niebardzo zadowolony ze zbliżającej się zimy, obrastał wprawdzie w sierć, ale tracił swój dobry humor. Prawda, że mu kaganiec włożono, pazury obcięto, co się niekoniecznie zgadzało z jego wyobrażeniami o wolności osobistej.

Ze dwa tygodnie minęło w tych zatrudnieniach, gdy jednego pięknego wieczora wpada do mnie pan Hethrington i krzyżąc: »Tak to dotrzymujesz słowa?« wdziewa na mnie paletę i mackintosh, wydobywa z szuflady frak z świątecznym ubraniem, sadza na karyolkę i na całą noc pędzi do Bromley. Trzy tylko mile geogr. do tego miejsca; doskonałe konie mego przyjaciela zawiozły mnie w półtoręj godziny. Przebieram się, do salonu wchodzę; siedzi w nim jak na tronie pani Hethrington, otoczona gronem dam i panów, świetnie przybrana, dumna i imponująca. Nie wiedziała, że przybyłem, nie wiedziała nawet, że mąż po mnie wyjechał. Chciał jej zrobić miłą niespodziankę, bo jutro jej urodziny. Długo myślał, czémby jej mógł największą zrobić przyjemność, aż nareszcie wpadł na myśl sprowadzenia jej dawnego towarzysza podróży.

—»*And now I see Mister Hethrington, you are a perfect gentleman, and I am proud of you. Be wellcome in our house, dear Doctor! many, many thank for your kindness. But let me introduce yourself to the honourable company.*« (*)

(*) Teraz widzę panie H., że jesteś prawdziwym gentelmanem, i dumną jestem z pana. Witaj nam pan w domu naszym; wiele, wiele dzięków za jego grzeczność. Lecz pozwól sobie przedstawić szanownemu towarzystwu.

I tu nastąpiły ceremonialne przedstawienia, trwające z dziesięć minut.

Gospodyni w najlepszym była humorze. Przebiegliśmy jeszcze raz wszystkie wypadki i wrażenia podróży wespół doświadczane. Towarzystwo było zachwycone. Nastąpiła kolacya, posiedzenie zakończyło się zwykłym sposobem angielskim: damy się ulotniły, a mężczyźni, ciężko cięci, posnęli, jeden na stole, drugi na kanapie. Byli i tacy, co pod stołem i kanapą szukali i znaleźli Morfeusza dary.

ROZDZIAŁ XXXII.

POSIADŁOŚĆ PANA HETHRINGTON. — FABRYKA. — DRUKARNIA
PŁÓCIENEK. — OPIS JÉJ. — PERPETUUM MOBILE. — WĘGIEL KA-
MIENNY ŻYWIÓŁ ANGLII. — OBIAD. — NOCLEG. — ZAPROSZENIE NA
OPERĘ. — ODPOWIEDŹ. — OPERA WŁOSKA. — ŚPIEWACY I ŚPIE-
WACZKI. — PROPOZYCYA. — LEKARZE W MAŁYCH MIASTACH
ANGLII. — MISS EMILY. — NARZECZONY W DUCHU. — CLARISSA
CAMPBELL. — SALON LITERACKI. — MISTRISS WOLKOTT. — JANE
EDG.... — MISTRISS LAWRENCE. — MISTRISS THROLLOP. — KAPI-
TAN ALEKSANDER. — WARREN. — PAN D'ISRAELI. — CHARLES
DICKENS.

Nazajutrz raniuteńko wyprawiony był goniec do Londynu do *foreign dispensary* z prośbą, żeby mnie kolega dr. Costello zastąpił w mych obowiązkach.

Zwiedzamy posiadłość pana H. Składa się z domu wiejskiego na przedmieściu, pięknego, wygodnego, w środku sporego ogródka wystawionego, w którym mieszka rodzina, z folwarczku doń przytykającego, a cokolwiek dalej z jakiejś długiiej, wązkiej budowli, na której sterczy komin, wyziewający kłęby dymu. To fabryka pana Hethrington. Był bowiem fabrykantem, choć nie chwalił się z tém przedemną, bo jejmość niebardzo lubi żeby o tém wspomiano; ale był fabrykantem, to tam darmo, i zatrudniał się drukowaniem perkalów, półpłócienek, płócienek, nowym, przez niego wynalezionym sposobem. Istotnie przyznać muszę, że nic w podobnym rodzaju nie widziałem równie pięknego.

Tła nie drukowano dawnym sposobem prasami, lecz za pomocą szeregu walców metalowych, oklejonych jakąś substancją drewnianą, na których rysunek był wyciętym. Do każdego koloru w skład desenia wchodzącego, jeden był walec obracający się wolno; tło przechodziło pomiędzy tym walcem kolorem właściwym zaprawionym, a pomiędzy drugim walcem obwodu miękkiego, przyciskającym tło do farbującego walca. Tło wyszedłszy z pod walca kolorowego, wchodziło na inny walec ze środka ogrzany i także metalowy dla osuszenia farby; potem podchodziło pod trzeci walec

wilgotny, zaprawiający tło chwytnikiem chemicznym koloru. Potem znów pod inny walec kolorowy, zaprawiony inną farbą w skład deseni wchodzącą, podchodziły płócienna. Wszystkie walce obracały się wolnym, a matematycznie wyrachowanym biegiem. Gdyby jeden był szybszym lub większym od drugiego, lub elastyczność tła większą w jednym miejscu jak w drugim, natenczas rysunek następującego walca, zamiast paść na swe miejsce, padłby bliżej lub dalej, a tym sposobem chybiwszy tylko choćby na włos, deseń nie wydałby się czystym tylko zamazanym. Do każdego tedy walca farbującego, należał drugi osuszający farbę i prasujący, trzeci odwilżający i chwytnikiem chemicznym zaprawiający. Czasem dziesięć kolorów różnych wchodziło w skład malowidła; potrzeba zatem było 10 walców farbujących, 10 osuszających, 10 odwilżających; oprócz tego był jeden gumujący, jeden prasujący i wreszcie ostatni zwijający tło już skończone. Tego ostatniego walca przyrząd był najtrudniejszym dziełem: bieg jego bowiem około osi, aby nie spowodować ciągle wzrastającego prężenia, musiał ciągle jednostajnie wolnieć, w miarę jak się tło około niego owijało. Ostatni walec zwijał tedy po sto łokci tła malowanego, a zwinąwszy je coraz wolniejszym biegiem, nożyce padały na tło, przecinały je, walek sam spadał, i na nowy walec znowu się zwijało płócienna. Bieg maszyny parowej bardzo słabej siły, pędzący całą mechanikę, regulowanym był jak zegar ogromnym wahadłem, oznaczającym matematycznie, na frakcyę tysięcznej części minuty, prędkość biegu we wszystkich walcach. Fabryka ta cała była jednym zegarem pędzonym parą, zamiast sprężyny lub ciężarów. Maszyna tak była urządzoną, że z dokładnością wiedziano, ile się tła drukuje w jednej minucie. Drukowało się tego tła u pana H. półtrzecia łokcia na minutę, bo w minutę walec cały swój obrót zrobił, a obwodu miał właśnie półtrzecia łokcia. Fabryka szła 12 godzin na dobę, a zatem 1,800 łokci perkalu czy płótna drukowało się na 12 godzin. Wszystkie walce obracane były jedną osią stalową, długą na 120 stóp, do której przytwierdzone były koła zębate, dające jednostajny ruch wszystkim walcem. Niezmierna sala, w której odbywała się ta dziwnie piękna zegarkowa maszynerya, ogrzana była zawsze jednostajnie; lękano się bowiem nawet, żeby różnica tempe-

ratury nie wpływała na obojętność najściślej wyrachowaną metalów, w skład maszyny wchodzących.

Główny rysownik brał 30,000 złp. rocznie, za wykonywanie projektów; pięciu było rysowników przenoszących rysunki na walce i pobierających po 10,000 złp. rocznie; dziesięciu rytowników wyżłobujących walce i pobierających po 5,000 złp. rocznie; farbiarz główny brał 10,000 złp., toż samo maszynista główny; czterdziestu było pomocników biorących po 4,000 złp., a dwudziestu po 2,500 złp.; koszt materiałów farbiarskich, opału i innych potrzeb, wynosiły 100,000, podatki drugie 100,000; jednem słowem do 500,000 złp. było rozchodu rocznego, licząc w to procent od kapitału włożonego w samo wystawienie fabryki. Ale tło wydrukowane nabywało o 45 groszy na łokciu większej wartości wychodząc z pod prasy, odznaczało się przed wszystkimi innymi, które dotychczas widziałem, żywością kolorytu, trwałością i poprawnością rysunku. Cudowne były te płócienka: jedne błyszczały najprzepyszniejszymi kwiatami, drugie ptakami, trzecie w arabeski, inne jeszcze w guście gotyckim wyobrażały budowle, jakie tylko najbujniejsza fantazja wymyślić może. Obicia, story, firanki, pokrowce na meble, szlafroki, kurtyny, wszystko tu mógł obstałować, wybrać sobie, lub sam oznaczyć desen i koloryt; wszystkie nowe mody i smaki mogłeś tu ujrzeć odgadnięte, wszystkie nowe pomysły natychmiast na 1,800 łokci wzdłuż i 3 łokcie wszędy jednego dnia urzeczywistnione. Ale też wszystkie nauki tu znalazłeś zastosowane: zoologię, botanikę, architekturę, archeologię, chemię, fizykę, mechanikę i optykę. Wiele podobnych zakładów w Anglii, ale żaden może w tak małych rozmiarach nie zastosował dla użytku mody, dla wykwinności gustu, ogrom tak poważnej wiedzy ludzkiej. I w tém jest tryumf wiedzy, bo prace takowe uszczęśliwiają i uszlachetniają, podnoszą duszę i żywią ciało.

—«Oh Anglii!—rzekłem zachwycony do mego gospodarza—prawdziwie, macie z czego prawo być cokolwiek dumnymi: kiedy wam się najmniejsze ułamki czasu odbijają na tle tak żywymi kolorami, to pewno niezadługo wynajdziecie klucz do owęj zagadki, do *perpetuum mobile*.»

—«A niechże Bóg broni! ukamienowałbym Anglika, porywającego się na ten zuchwały, Anglo-bójczy wynalazek —

odrzeknie pan Hethrington. Nie pojmuję cię, jak to wynaleźć bieg niezwywiony żadną substancją, żadną zgubą materji?»

—»To nazywasz bezbożnym wynalazkiem? a toż przecie urzeczywistnienie najpiękniejszego snu filantropów. Jest w tém coś Boskiego, pożyczyc od natury cząstki jej wiecznej siły, uszczęśliwić ziemię, bez szkodenia naturze. Da-libóg, nie ma myśli szczytniejszej, bujniejszej, a jednakże podobniejszej do urzeczywistnienia: bo *perpetuum mobile*, tak jak kwadratura koła i aeronautyka jest zadaniem, które kiedyś niezawodnie rozwiązaniem zostanie.

—»Byleby nie za mego i mych przyjaciół życia«—odpowie z tęsknym westchnieniem pan H.

—»Ale na Boga! czemuż się lękasz tego *perpetuum mobile*, jakby powietrza, głodu, wojny, kominizmu?»

—»Lękam się go stokroć więcej jak kominizmu, republiki czerwonej, braku apetytu i wszystkich djabłów piekła. Doktorze, zlituj się! czyś jeszcze nie spostrzegł, że cała Anglia na parze się trzyma i z węgla żyje? Nasze kopalnie węgla tysiąc razy więcej warte od kopalni złota Meksyku, bo one są kopalnią chleba i życia. Wszystkie maszyny parowe w trzech królestwach węglem kamiennym Anglii się ogrzewają, a wszystkie razem reprezentują siłę przeszło czterech milionów koni. Węgla kamiennego angielskiego wywozimy za granicę rok rocznie za przeszło 10 milionów funtów szterlingów, bo żaden węgiel kamienny Europy nie może rywalizować z naszym: tak jest palny i pełen substancji; a węgiel ten żywi maszyny stojące, bieżące i płynące. Rozwożeniem tego węgla, handlem jego i wydobywaniem żywi się przeszło milion osób, a ceną sprzedanego żyje kilka milionów ludzi: tyle z niego zysku dla kraju wypływa. Teraz przypuść wynalezienie obrotu wiecznego, teraz przypuść możliwość ruchu bez pary, ciepłika, a zwałiłeś z nóg całą Anglię: dziesięć milionów ludzi zostanie bez chleba, i nastaje rewolucya, jakiej świat nie był jeszcze świadkiem! Oh! wierzaj mi doktorze, okropna to myśl dla Anglika wynalazek owego *perpetuum mobile*; myśl ta ciąży nam na piersiach jak Alp jaki, ale nie radzi o tém mówimy, bo nas to okropnie zasmuca. I ja cię proszę, nie rozwijaj téj myśli przed naszymi gośćmi, bobyś im wszystkim apetyt popsuł; obiadek zaś będziemy mieli, przysięgam

na honor, godny Lukullusa i księcia regenta: ostrygi, trufle, indyki, morskie ryby, niedźwiedzie, głuszce, *klaret*, *sherry* i jamajkę. Na Boga! tylko nic o tém szkaradném *perpetuum mobile*, które nam zwali z nóg Anglię, tak jak kula drewniana zwala *alle nejne*.«

Tak rozumował pan Hethrington i zdaje mi się, że nieźle rozumował: Anglia stoi na swym węglu kamiennym geograficznie i socyalnie;—późniejsze wypadki mogą to okazać.

Po przekąsce dosyć żwawej, korzystając z południowych godzin, pojechaliśmy z wiedziem z gospodarzem i jego żoną w sąsiedztwie leżący pałac biskupów Rochester. Wystawić go kazał z wielkim przepychem Henryk VIII., kiedy jeszcze był katolikiem, dla jednego z najzagorzalszych nieprzyjaciół reformacyi. Później odarto pałac z godeł katolickich, a pod panowaniem Maryi przezwanej *bloody Mary* przywrócono je; pod Jakóbem IIgim zdjęto te godła jeszcze raz, poniszczono posagi i obrazy przedstawiające Świętych i spalono bibliotekę. W architekturze nic szczególnego, ale porządek i wygody w środku nie pozostawiają nic do życzenia: osobne są pokoje dla biskupa, osobne dla biskupowej, inne jeszcze dla ich dzieci. Wszystko urządzone jak najlepiej: nie zapomniano ani o gotowalni, ani o łazienkach.

Obiad tedy, obiad angielski z truflami, rakiem i niedźwiedziem, z sosikami indyjskimi i toastami, z wykrochmalonemi gentelmanami i uczuciowemi ladyskami! Rozmowa toczy się najprzód widelcem, potem nieśmiało wargami i oczkami, nareszcie śmiało całą gębą. Ale nikt nie piśnie o węglu i o *perpetuum mobile*. Damy po obiedzie ulatniają się, *to pluck a rose*, aby zerwać różę, jak się wystawiają Angielki. Obrus się zdejmuje, pluton butelek maszeruje na stół, jawią się orzechy, migdały, figi i daktyle. Zaczyna się *»Old England's merry life.«* Każdy siada na dwóch stołkach, jak gdyby miał miłą objętości. Kto dobrze i jędrnie mówi, ten ma głos; inni żują orzechy i wytrzeszczają oczy. Ja Torry, ty Whig, tamten Radical, ja nie chcę Cornlaws, ty chcesz Repealu. Tam znów pietysta: *Puzey for ever, Wesley be damned. You are a free trader*; pan na Chartystę zakrawa. *Sir!* Niech żyje królowa: *Cod save the Queen. Merry England for ever!* Ostatnia scena kończy się pod stołem. John! podaj poduszki. *Good night!*

Na drugi dzień rano otrzymuję bilecik następujący:

»Pan nas opuszcza, ale my nie opuszczamy pana. Dziś w Londynie grają Purytanów w włoskiej operze. Grisi! Persiani, Rubini! Lablache. Tamburini! Mario! ach! jakie melodyjne, jakie dźwięczne nazwiska. Mamy zakupioną łożę. Nieprawdaż, pan nam będziesz towarzyszył? Oh! *be kinde nough*. Dobry Francis tak pana kocha. Jedziemy razem. Tylko żadnego *perpetuum mobile*. *Truly yours.*«

(Podpisano) *Heliodora*.

Ja odpowiedziałem z pod stołu:

If the sound of your devine name,
Did charme your ear, as it doe's mine,
You would no other's sound reclame,
To make obedient him, who is thine.
Oh! de not fear the dreadful word,
Of *perpetuum mobile*!
Do rather shreak the pleasing sport,
Of *perpetuum stabile*.

Te wiersze, podobno pierwsze jakie wymyśliłem w języku angielskim, napisałem uniesiony natchnieniem i, że tak powiem, duszkiem. Nie wychodząc z pod mego namiotu, i po odejściu służącego widząc, że *Justice of peace*, to jest sędzia pokoju, leży jak zabity pod kanapą, że major lekkich dragonów chrapi w najlepsze na fortepianie, że Sir James Bedford głowę swą dostojną ma złożoną ciągle na dostojniejszym jeszcze brzuchu *Rewerend-Sira* Nightingal, wikarego parafii; pozwoliłem sobie pozostać w tém samym położeniu, i bawić się sennemi myślami bujającemi jak widemka w wzruszonej listem Corynny wyobraźni. Długo to zatrudnienie nie trwało, bo trzeba było koniecznie ocknąć się i zjeść śniadanie, zastawione nad mym namiotem. Żadnej nie przyjmowano wymówki, nie sposób było uchylić się od téj nowój missyi.

— Wody! wody! — krzyтели widząc co się święci, sędzia major, baronet i wikary; — wody! krzycałem i ja, zbudzony z marzeń błogich. Czterech służących wpada z wiadrami i płynny kryształ leją na angielskie głowy.

Tak się bawią Anglicy. Gdy pracują, całkiem są oddani pracy: wszystkie siły wyprężone, wszystka uwaga zwrócona na przedmiot, na cel zatrudnienia; ale gdy się bawią, wówczas ustają wszelkie myśli zatrudnień zwykłych

życia zależące, wówczas zapominają, że będzie jutro lub pojutrze, i w tej rokoszy nowe zdobywają pomysły, nowe zasoby na życie.

Jesteśmy w Londynie i siedzimy w łoży najpierwszego rzędu, w której (nawiasem powiedziawszy) każde miejsce kosztuje 2 funty szterlingi. Cztery tysiące publiczności; wszyscy mężczyźni w czarnych frakach, w białych chustkach na szyi, nawet na galeryi i paradyzie. Królowa ze swym mężem i orszakiem siedzi w królewskiej, pysnie ozdobionej łoży. Poszanowanie, jakie wzbudzała przyfomność ukochanej monarchini, utrzymywało całą publiczność w granicach najprzykładniejszej przystojności.

O samém przedstawieniu Purytanów nic nie powiem. Świetne to były czasy dla opery włoskiej, a szczególne dla wielbicieli muzyki, kiedy Rubini, *najpierwszy tenor świata*, walczył o pierwszeństwo z miłym, świeżym śpiewem Julii Grisi. Potężny organ Tamburiniego i Lablasza towarzyszył tej cudownej harmonii, a młody wykwitający talent Mariona, obiecywał na przyszłość tyle rokoszy.

Ale od tego czasu jakiś wicher nieprzyjazny padł na operę włoską Paryża i Londynu. Rubini zszedł ze sceny, Lablache i Tamburini zestarzelili się, Julia Grisi w częstych obowiązkach macierzyńskich świeżość głosu straciła, a Mario zawiódł nadzieje swych wielbicieli.

— »Doktorze! jak ci się podoba nasze miasteczko? — spyta mnie pan Hethrington; — ludności nie wiele, zaledwie trzy tysiące kilkakset, ale ubóstwa prawie nie masz: milionowych panów przeszło 20, fabryki, rolnictwo, piękne położenie, dobrzy ludzie. Wygodne to miejsce dla lekarza, nieprawdaż? Bo i okoliczne wioski zatrudnienie dają.«

— »Widać, że to dobre miejsce dla lekarza, kiedy ich aż pięciu jest u was« — odpowiedziałem.

— »Ale jest miejsce na szóstego, i szósty może zakasować pięciu innych, bylebyś ty nim zechciał być. Zyskałś sobie pan wójta, komendanta, księży, sędziego, mnie i kilku fabrykantów najznacniejszych. Osiądź pomiędzy nami, będziesz miał szalone wzięcie; ja z moją familią i fabryką abonuję się na 100 funtów szterlingów rocznie, sir T. Bedford na tyleż dla siebie i swych włościan, sędzia pokoju na 20, inni fabrykaci pójdą za naszym przykładem. Zakupimy ci aptekę i pozostaniesz między nami.

— »Doktor medycyny, mój dobry przyjacielu— odrzekłem panu H.— obowiązków aptekarza sprawić nie może zarazem: uchybiłby swemu tytułowi i swemu ważnemu postanowieniu. To dobre dla waszych druggistów, nie wierzących w naukę lekarską, tylko w sztukę zarobkowania.

— »A to jednak konieczne, mój szanowny doktorze; gdybyś brał lekarstwa u druggistów, którzy zarazem są lekarzami, toby ci wytruli połowę pacjentów umyślnie, aby cię zgubić w opinii. Aptek, właściwie tak nazwanych, u nas nie ma; nie utrzymałaby się żadna. Będziesz sobie trzymał prowizora, i wszystko pójdzie jak po *oleum ricini*«— rzecze znów pan Hethrington.

— »Może, może się później na to zgodzę; teraz jeszcze wytrwam w mém położeniu, w którym się daleko więcej uczę, w którym daleko więcej daję, niż cierpię i zarabiam. Później może mnie owionie srogi wiatr egoizmu, może i ja legnę pod ciężarem nędzy, wówczas zacząć pamiętać o sobie; teraz jeszcze wytrwam w mych uczuciach.«

Tak rzekłem do pana H., a on spojrzawszy mi w oczy, zamyślił się, rece mi ścisnął i nie nalegał więcej.

— »Za dni 17 urodziny mego męża; uwolnij się pan na dni kilka, będziemy mieli towarzystwo literackie«— rzekła *mis*tris Hethrington półgłosem, żegnając się ze mną.

Ja znów po krótkim przestanku wracam do prac mych literackich, tyle uroku dla mnie mających. Uczęszczam przytém do szpitalów, sprawuję me obowiązki w *foreign dispensary*, którego dyrektor biorąc 300 funt. szterl. rocznie, a zaledwie raz na tydzień w zakładzie się jawiący, wyznaczył mi przecież 6 funt. szt. miesięcznie na doróżki. Nękały mnie w krótkich dniach zimowych wizyty oddawane chorym cudzoziemcom, po najodleglejszych zaułkach Londynu rozsianym.

Ojciec Emilii, pan W., wrócił nieco wprzód niż zamierzał do Londynu. Był u mnie, cały wieczór przesiedział ze mną, u mego skromnego *fire-side*.

— »Moja biedna córka często, bardzo często o panu mówi. Ona pana nazywa swym narzeczonym w duchu, z naiwnością temu aniołowi tylko właściwą. Niech pana to skoligaćenie z umierającą istotą nie przestrasza; krótkie jój chwile, a długie przed tobą życie, mój przyjacielu. Zakroilesz sobie mozolny, ale wielki zawód, i zdaje mi się, że go

przebieżesz, bo jest coś nadzwyczajnego w twym całym stroju, *coś*, co idei śmierci nie dopuszcza — rzece, patrząc w ognisko kominka pan W. — »Możesz być u nas jutro, lub przynajmniej po jutrze? Moją biedną Emilię znajdziesz bardzo zmienioną. Cera jej, niegdyś biała, potem tak kwitnąca, przybiera barwę jakąś woskową. Rysy niegdyś tak świetnie piękne, zaostwiają się, wyciągają; usta te pełne życia, koralowe, więdniją na zębach. Boże! Boże! jaka okrutna zmiana! i ja tego wszystkiego muszę być świadkiem!«

Biedny ojciec! twarz zasłonił rękami, konwulsya serca wstrząsnęła całym jego ciałem tak muskularnym, tak silnym. Łzy przeciskały się pomiędzy palcami. Pierwszy to raz w życiu, i raz jedyny, widziałem Anglika płaczącego, i płacz ten odbił się w mej duszy okropnym, przeszywającym bólem.

Cóż miałem robić w tej chwili? Pocieszać ojca, tracącego piąte i ostatnie dziecko, jakiemiś cytacyami religijnymi? Boże drogi! on już oddawna sposobił się na czekającą go niechybną boleść, i wszystko przeczytał, co tylko ludzie gdziekolwiek i w jakimkolwiek języku napisali o śmierci i wieczności.

»Ciało musi wrócić do łona ziemi, z kąd wyszło nieskończenie drobnemi cząstkami, a dusza wróci w ręce Boga, z kąd wyszła całkiem, i odrazu żyć będzie wiecznie, bo Bóg dał ludziom pamięć: dobrym na roskosz, a złym na umartwienie« — rzekłem machinalnie, ale słowa te były tylko niewyraźnym echem tego, co wówczas duch mój jasno poczuł.

Odwiedziłem pustelników w Chelsey. Dobrze zrobił pan W., że mnie na zmianę zaszła w Egnilii przygotował, że jej oszczędził widoku wrzenia, jakiego niechybnie była na mnie sprawiła. Śmierć, nieubłagana śmierć, już rozłoczyła skrzydła nad tą głową anielską, już niemi przejęła blask życia.

Powitała mnie z serdecznością Emilia. Wiedziała, że mam przyjść i sama mówiła, że chwile liczy w tém oczekiwaniu. Życie musi jednak wielki mieć urok dla człowieka i świętą jakąś wartość, kiedy w pewności zbliżającej się śmierci nie niknie, nie więdnije przyjaźń dla żyjących.

Jeden pokój domku pana W. przeistoczono na kwaciarnię. W pośród lubyh, woniejących córek Flory i kanarków bujających od krzewu do krzewu, ustawiono kanapkę,

na której pracowała, czytała i spoczywała dzień cały Emilia. Wieczorem jednakże i nocą wąż lilia indyjska nie mogła znieść towarzystwa swych rówienniczek europejskich, bo kwiaty dniem wyziewają życie, a śmierć nocną porą; co tylko ten uczuje, w kim mało pozostaje sił żywotnych.

Musiałem opowiedzieć dzieje mej podróży po Szkocyi. Z natężoną uwagą słuchała Emilia. Tak się zajmowała tém opowiadaniem, tak szczegółowo miue wypytywała, że nieraz oczarowany wzbudzoną uwagą, uniesiony zapałem, zapomniał, w jaką podróż wybiera się biedna Emilia, i że z tej podróży już nigdy do nas nie wróci.

— »Claryssa Campbell tak piękna i dobra, tak odważnego serca i pełnego życia — rzeknie z westchnieniem, gdy skończył, Emily. — Ah! Boże! ona musi być szczęśliwą, i jak rzewnie powinna dziękować Ci Boże za tak wielkie jój udzielone łaski! Powiedz *my dear friend*, czy umie miss Claryssa cenić swoje szczęście?«

— Mnie się istotnie zdaje, że go nie umie cenić — odrzekłem, żałując szczerze, że życie wychwalałem w obliczu niezawodnej śmierci, bo nie raz napadają tę młodą, pełną życia osobę chwile jakiejś smętności, jakiejś melancholicznej tkliwości. Widać, że nie zawsze czuje się szczęśliwą, albo też właśnie w tych chwilach życie to, wywierające się zazwyczaj z takim ciepłem na zewnątrz, skupia się czasem w sercu młodej osoby, i ukazuje jój wewnętrzne duchowe zasoby, przez nią zaniedbane.«

— »Ah! nie, doktorze — rzecze z żywością Emily; — nie obwiniaj twój przyjaciółki, ona wskrósł dobra. Nic nie zaniedbała w sobie wykształcić, i właśnie owe chwile melancholii są tego dowodem. Musisz wiedzieć przyjacielu, że miss Clarysse od małego dziecka zaręczono z lordem Glenelg, jój kuzynem. Znaliśmy go bardzo dobrze z Neapolu, gdzie był towarzyszem zabaw mego biednego brata Jerzego. Przyszły małżonek miss Claryssy to młodzieniec piękny, bogaty, dobry bardzo; ale mało ma polotu umysłowego, mało owęj natychmiastowości uczuć, które tak ceni młoda Campbell: *he is rather a matter of fact man*. Wie o tém dobrze geniusz Hebryd. Wolałaby, żeby ów gołąb był orłem.«

Tak się jeszcze szczerze i serdecznie zajmowała życiem znajomych owa dobra istota, którą niebo pożyczyło na czas tak krótki naszej ziemi!

Nadszedł dzień urodzin pana Hethrington. Wyrwam się od zatrudnień, wyrwam się z oddechu myśli poważnych i smutnych, obcowaniem mým z domem pana W... wzniesionych. Spieszę do Bromley, oddać hołd przyjaźni.

Salon literacki! Z kobiet były tam: mistris Wolcott-Radcliff, kojarząca w swém nazwisku sławę teścia J. Wolcotta, piszącego pod pseudonimem Piotra Pindara, z sławą swój babki pani Radcliff, której w swoim czasie nadzwyczaj smakowne romanse na wszystkie języki zagraniczne zostały wytłómaczone. Sama także pisała owe tkliwe i clikliwe romansiki, wyszłe pod zasłoną nazwiska Julii Evergreen, ale nie przechodzące nigdy za kanał Manszy.

Mistriss Throllope, niezmordowana podróżniczka, już nie młoda; muza suchego temperamentu, bujnych myśli, nieustraszonej odwagi i siekającej impertynencyi. Właśnie czekała zimy, aby się nauczyć na zmarzłych stawach Hyde-Parku jeździć na łyżwach i potem popłynąć do Norwegii dla zwiedzenia cudów tego kraju. Mocno pragnęła mej znajomości *indeed*: słyszała, że mój zimę całą przepędził w uroczą Skandynawii, że ją kocham entuzjastycznie. Ale się pokazało, że mniej znam Norwegię niż pani Throllope, czekająca na zimę dla nauczenia się w Hyde-Parku objeżdżać łyżwami cuda Skandynawii i uroki Laponii. Dalibóg, ona lepiej znała Norwegię niż ja; wszystkie o niej książki przeczytała. Znała Norwegię jak filolog niemiecki Ateny, jak niejeden z nas zna Niemcy.

Skromna, młoda miss Jane Burney, autorka pięknych powieści wyszłych p. t. *Evening lecture formy young sisters*, w milczeniu przysłuchiwała się dyssekującym rezonowaniom autorki podróży po Pyreneach i Kordylliach. Na jej miłej twarzy malowały się pogoda i tkliwe czucie, które znamionują jej utwory.

Jest i mistriss Lawrence, żona sławnego chirurga, uczona, która zbożaciła botanikę nie jednym odkryciem. Właśnie zarecza i zaklina się, że nie masz w naturze *agamów*, to jest bezpłciowych istot, że się dotąd mylili botanicy, dając ten upośledzający epitet biednym grzybom

i bedłkom, że ona sama, mistriss Lawrence, nie rozpacza, i że spodziewa się przywrócić tym płodom natury zaprzeczony im zaszczyt.

—«A gdzieżby pani nie wynalazła tych organów?—rzecze mistriss Throllope—w kamieniach nawet.»

Zbladła mistriss Lawrence i rzekła półgłosem donośnym, jak trąba jerychońska, a przeszywającym jak bagnet bayoński:

—«Pani pisałaś podróże pod tytułem: *Pyrenees i za Pyreneami*, alebyś lepsze mogła napisać.»

Twarz pani Throllope stała się podobną do głowy głuszcza, tak się karmazynem załała. Widząc to major lekkich dragonów, wstaje z krzesła, dąży poważnym krokiem do mistriss Throllope i ofiaruje się z najzimniejszą krwią w świecie na sekundanta. Ale właśnie w tej chwili nowi goście przybywają; nagle przeszkoda kroki nieprzyjacielskie zawiesiła, gniew stłumiła, ale u kobiety nie zniknie on nigdy.

A mężczy literaci? Jest kapitan Alexander, co objechał kulę ziemską kilka razy naokoło, i przywiózł z sobą *tu w towarzystwie przytomnych*: małpę z Borneo, księcia kaffryjskiego z przylądka Dobrej Nadziei, dwóch Budehudów z szpontami na półtora cala grubemi w wargach, i patagońskiego olbrzyma, który się w chwilach wolnych od zabaw salonowych pokazywać raczył na Smithfield (to jest na targowisku bydłecem, na którym Anglicy czasem sprzedają swe żony), i to za skromną summę sześciu pensów. Kapitan Alexander istotnie nie jeździł na wieczory literackie, gdzie był zawsze upragnionym, bez swój menażeryi, i tysiąc ciekawych owoiadał szczegółów o swych podróżach i dzikich towarzyszach. Wszystko co tylko uzdolnić może człowieka na podróżnika, wszystko to posiadał kapitan. Dzielny marynarz, uczony geograf, historyk i naturalista, rysownik, lekarz nawet i chirurg zręczny; przytém śmiały, wesoły, dowcipny: oto charakterystyka tego żeglarsza, którego przygody zainteresowały świat cały.

Mało się udzielający reszcie towarzystwa, a w ciągłej rozmowie z baronetem Bedford zatopiony, siedział jakiś jegomość z dumnym, pogardliwym, źle dostojność, ale wcale dobrze wyemancypowaną pychę malującym obliczem.

Do kogo należy ta fizygnomia, około której ust igra wyraźny orientalny *gipses*, a igra pomimo i wbrew woli właściciela? My Polacy tak wprawne mamy oczy na wyśledzenie żywiołu hebrajskiego, jak wyżeł ma wprawny nos na wytropienie zwierzyny. Nawet w dziewiątym pokoleniu jedna kropla krwi starozakonnej nam nie ujdzie, choćbyś ją nawet paszтетem sztrasburskim zamaskował.

—»*Who is that Jew?* (kto ten żyd?)«— pytam tedy mego gospodarza.

—«Na miłość Boga—odpowie pan H. oczywiście zakłopotany;—wszakżeż to najdosłojniejszy człowiek naszego towarzystwa, przynajmniej tak utrzymuje pani Hethrington: to pan d'Israeli! Isaac d'Israeli! wielkiej reputacyi autor!»

—«*Still a Jew* (jednak żyd); wszakżem to odgadł?» rzekłem.

—«Z czegoż pan odgadł?»

—«Z układu ust, z powiek wierzchnich cokolwiek ocięzanych, z kręconego włosa, z wycmancypowanej pychy, malującej się w całym układzie, z podufałości chełpliwej, z jaką stara się traktować osoby wyżej od siebie stojące.»

—«Ale bogaty, ale uczony, ale modny (*fashionable*) i dobrze widziany u torysów. Wielkie to szczęście, że go tu posiadamy; musiałem do szczęście zdobyć przyjęciem jego rekomendowanego do mej fabryki.»

Sławny autor Panowania Karola Igo, Sprzeczek autorских, Koningsby a, mało się udzielał naszemu towarzystwu; nie w swym był żywiole, nie pachnęli mu fabrykanci. On wolał obcować z książętami i zawierać przyjaźń z milordami.

Jako talent literacki wysoko stoi w Anglii pan d'Israeli, niżej cokolwiek jako mówca parlamentowy, ale zawsze poważne, winne talentowi swemu, swój uczoności zajmuje miejsce. Nieraz go zbytnei zapał torysowski zawiedzie po wszystkie granice względności dla ludu angielskiego; ale to zwyczaj neofitów, przekraczać granice dawniej wiary. Nieraz mu się zdarzy kręcić prawdą w te lub owe strony, boć tego przecież nawyknięcia odrazu pozbyć się nie można; ale pomimo tegokredyt jego wzrasta. Z przyjęciem czystych torysów do steru rządu, pan d'Israeli niezawodnie zdobędzie tękę ministeryalną.

Pan Warren, autor *Now and then*, także obecny, należy do małej liczby wszechstronnie uczonych, z utworami stałego ładu obznajmionych pisarzy. Miły to był, dostojnie wyglądający, już niemłody autor.

Było jeszcze kilku innych mniej znanych literatów w salonie pani H., np. William Bell, współredaktor Prawdziwego Słońca (*True Sun*), jakiś doktor rodem Włoch, którego sobie nie przypominam nazwiska, a główny redaktor czasem dowcipnego, ale zawsze ordynarnego *Szelągowego satyrysty* (*penny Satirist*).

Kilku literatów, ze zbytnej bojaźni, żeby nie powiedzieli głupstwa, nie mówili; kilku innych w nadziei, że im się nawinie przypadkiem coś mądrego, o wszystkim mówili. Tak bywa i u nas w każdym salonie literackim.

Kilku literatów miało minę ludzi bardzo zgłódniałych: tak najczęściej bywa i u nas w inne dni, wyjąwszy w niedziele i poniedziałki.

— «Mistriss Hethrington, *pray Madame*, kto jest ten młody gentleman tak przystojny, rozmawiający tyle z panną Jane Burney?» pytam się gospodyni.

— To Charles Dickens, ten sam, który podobno pisze owe *Sketches of London* (owe londyńskie szkice) w *Morning Chronicle*. Zabawne to artykuły, ale nie wiemy z pewnością czy z jego pióra wypływają. Ma mieć wiele dowcipu; nie znam go bliżej. To literat dopiero poczynający; takich się trzyma jeszcze zdaleka. Przedstawił mi go poczciwy Warren, ja go zaprosiłam, aby go ośmielić. Widzi pan, takich ludzi to się ośmiela na chybił trafił. Ale coś panu wpadł w oko?»

— «Istotnie, jego twarz taka otwarta, roztropna, rysy tak poprawne: piękny to typ angielskiej szlachejnej twarzy. To on pisze owe *Szkice londyńskie*? wiele w nich prawdy, — wiele dowcipu i duszy a talentu obserwacyjnego, samoistnego nadzwyczaj wiele — doprawdy!

— Tak, tak, te szkice londyńskie istotnie niezłe, szkoda tyle talentu zmarnowanego na opis gminnego, potocznego życia. Ale to wcale jeszcze rzecz niepewna, czy Dickens jest ich autorem; on się wypiera tych utworów: to skromność z zarozumiałością granicząca, albo też jakieś dziwactwo charakteru. Jedno z dwojga, przyznasz pan. Mister Charles Dickens (*soit dit entre nous*, ale to podsekretem, nie chciałabym, żeby to się rozniosło, że takich ludzi

do mego domu wpuszczam); mister Charles Dickens, mój, nigdy nie był ani w uniwersytecie, ani w klasycznych szkołach. Proszę pana: co może wydać talent człowieka nieumiejącego ocenić pierwowzorów starożytnych?»

—«Oh pani! może wydać wiele, wiele. Talent ogrzany iskrą geniuszu, może wydać coś z kształtu i ducha nowego, piękniejszego jeszcze od pierwowzorów starożytnych. A wasz Shakespeare, moja pani? Ale pan Dickens musi znać grecką literaturę, kiedy oto cytuje Sophoklesa, a właśnie go cytuje pannie Jane Burney. Racz mnie pani przedstawić panu Dickens.»

—«Panie Hethrington! panie Hethrington! Francis! zawołała dumna Corinna Bromleyn; wyświadczyć panu Dickens zaszczyt przedstawienia go doktorowi T...»

Takie było moje zapoznanie się z pierwszym z dziś żyjących humorystycznych autorów Anglii. Ojczyzna jego, której dziś jest chlubą, nie znała go jeszcze przed niewielką laty; ale oko sympatyczne człowieka chylącego się jedynie przed talentem, drgało w bystrym wzroku, w otwartym czole Dickensa wyraźne piętno geniuszu.

I nie zawiodło mnie to oko. Dickens należy bez żadnego wątpienia do rzędu ludzi udarowanych zastanawiającami a na pozór sprzecznymi darami. Śmiały jak lew, gdzie szło o walkę, a tój doświadczył niemało w swém awanturycznym życiu; skromnym był jak panienka wychowana w klasztorze gdy szło o wiarę w swój własny talent. I dlatego te anonimy w *Morning Chronicle*, ten pseudonym. *Boz*, pod którym krył młody, a już popularny autor swe nazwisko. Pięć lat pisał i bawił publiczność artykułami w gazetach; *Pickwick-Club* taką wziętość zyskał, że go tysiącami dziennie sprzedawano, na ulicach śpiewano, w teatrach grano, a jeszcze autor takich utworów chciał pozostać za kulisami, pasował się nieraz z biedą i niedowierzał swemu talentowi wtenczas, kiedy roje innych tysiączną część tój popularności doświadczywszy, umieli piąć się po niej do szczytów i bogactw. Poznałem Dickensa właśnie w chwili, gdy największego używał poklasku pod pseudonimem *Boz*, a jeszcze nie był zdecydowanym, czy nareszcie wystąpić na jaw, czy zedrzyć maskującą go kurtynę. Kochał, ubóstwiał szlachetnie urodzoną bogatą pannę, która później została jego żoną a jój nawet nie powiedział, że

chwalony wszędzie Boż jest Karolem Dickens. Tak mało znamy szczegółów biograficznych znamienitszych autorów Albionu w naszym kraju, do którego na nieszczęście tylko francuzkie ramoty z zagranicy dochodzą, że warto bliżej obeznać się z osobistością Dickensa, godnego ze wszech miar większego szacunku, jak autorowie owych utworów, któremi młodzież nasza ducha swego bałamuci i sił swych wiedzę zatracca.

Dickens urodził się w r. 1814. w Portsmouth. Ojciec jego ubogi urzędnik marynarki królewskiej, nie mógł dać wychowania odpowiedniego weześnie objawiającym się zdolnościom syna. Rząd angielski dopiero od lat niewielu, i to bardzo słabemi zasitkami, ułatwia pobieranie nauk. Szkół bezpłatnych nie ma jeszcze. Jednak nauczył się młody Dickens czytać, pisać, rachować i katechizmu, i już weześnie zasmakował w literaturze, a szczególniej w utworach naówczas nadzwyczajnie poszukiwanych Teodora Hook. Pisma Hooka wywarły na wykwitający rozum Dickensa wpływ stanowczy. Jemuto, a nie innemu Anglia zawdzięcza tę nową ozdobę literatury swojej. Mając lat zaledwie trzynaście, młody Dickens wysłanym został do Londynu i otrzymał po długich staraniach miejsce kopisty u sędziego spraw policyjnych. Tu w widoku ludzi najrozmaitszych klass towarzystwa, w widoku najtajniejszych sprężyn życia publicznego, Dickens czerpał koloryt do swych szkiców. Wiedziony jakimś niezwalczonym instynktem, młody kopista przypatrywał się ludziom, ich obyczajom i ruchom; tak jak naturalista przypatruje się zwierzętom, astronom gwiazdom, a kupiec towarowi. W chwilach wolnych od zatrudnień, kopista sądowy spisywał swe spostrzeżenia, i z nieporównaną prawdziwością, z bystrością wszelkie pojęcie przechodzącą, umiał oddać najsubtelniejsze charaktery, znamionujące różne klasy ludu, różne temperamenta i wszystkie osobliwości wynikające z rodzaju zatrudnienia. W owém wszechstronném, różnobarwném życiu angielskiém, tylko człowiek wielką obdarzony przenikliwością mógł znaleźć wątek prawdy; ale co więcej jeszcze zastanawia w Dickensie, to owa naiwność, siebie sama nieznająca, z jaką wystawia rzeczy, na które inni tysiąc razy patrzyli, a które przez nikogo w swjej wartości nie były poznane. Szkice te ulotne, odczytywane ko-

legom biurowym, zajmowały ich bardzo. Ich oklaski ośmiewały młodego człowieka do prac podobnych. Kilka lat w ten sposób strawił Dickens; potem ojciec mu umarł i zostawił synowi całego majątku 50 funt. szt. puścizny. Dickens pojął nareszcie właściwe powołanie, ale i w niedostateczności swego wychowania uznał swą niezdolność władania sumiennie myślami i uczuciami ludu, dla którego chciał pisać. Oddał się tedy, nie mając prawie żadnych początków, nauce klasyków. Codziennie uczęszczał do biblioteki *muzeum brytańskiego*, zwalczył wszystkie niezmiernie trudności bez profesora i porady, i we dwa lata dokazał tego, co tysiące innych przy najwięcej sprzyjających okolicznościach, przy pomocy szkół i kursów, nigdy dokazać nie mogą: posiadał język łaciński i grecki, przeczytał wszystkich klasyków, obznajmił się ze wszystkimi naukami, mianowicie z historią i filozofią. Teraz dopiero mając lat 21 i wydawszy ostatni grosz swego majątku na swe wykształcenie, biedą dokuczającą nękaną, starał się Dickens o płatną pracę i otrzymał miejsce reportera w *Zwierciadle Parlamentarskiem* (*Parliamentary Mirror*); później zaś został współredaktorem dziennika *Morning Chronicle*, i tam pracując przez lat pięć, wystąpił po raz pierwszy pod zasłoną bezimienności ze swemi szkicami, malującemi w jaskrawych kolorach, z dowcipem nigdy niezrównanym, życie wszystkich, a mianowicie niższych klas stolicy. Poznano się wreszcie na wartości tego pisarza, choć go jeszcze z prawdziwego nazwiska nigdzie nie znano, bo Dickens jeszcze w dwudziestym szóstym roku życia swego, świadek niezmierniej popularności, jakiej dostąpiły jego utwory, a znając niebezpieczeństwo zawodu literackiego i skutki jego przykrych zawodów z dziejów życia swego świętnego przewodźcy, Teodora Hook, nie śmiał się jeszcze puścić na skrzydłach własnego nazwiska w tak dla niego pojętne, a dla innych zdradliwe obzary autorstwa. Wielbic należy tę jego skromność, mianowicie, gdy zważymy, jak płochy w innych krajach ludzie bez żadnej sankcyi naukowej, nie pędzeni żadnym istotnym powołaniem, nie ośmiewani żadnym poklaskiem, puszczają się, dręczeni li tylko biedą lub chciwością zysku, w tak święty zawód literacki. Do pewnego stopnia stać się można głośnym, zalewając papier najnędniejszymi utworami myśli; do pewnego nawet sto-

pnia przy pomocy przyjaciół, względami osobistemi ujętych, można stać się popularnym w jakimś szczupłym kółku; ale to niedosyć dla człowieka serca, poświęcającego się trudnemu zawodowi przewodzcy umysłowego: on pragnąć powinien swym móżdżem, swą ciężką pracą zdobyć sobie pewne grono szczerych wielbicieli. Karol Dickens i siedm lat najświetniejszego powodzenia przeczekał, nim światu i swym najbliższym przyjaciołom wyjawiał, że on jest autorem sławnych *szkiców londyńskich* i rozrywanych wszędzie dziejów *Kłubu Pickwicku*. On na tém skończył, od czego inni zaczynają: staraniem się o godność swego nazwiska; ale też, gdy raz na scenę publiczną wystąpił zbrojny w swe imię i w sławę dawniej zyskaną, wówczas, podobny do Minerwy zrodzonej z głowy Jowisza, doświadczył u wszystkich klas narodu angielskiego entuzjastycznego spółczucia, i nie potrzebował się lękać o przyszłość swego zawodu. Pole, na którym się potykał geniusz Dickensa, oddawna istniało, ale niem literaci, piszący li tylko dla pieniędzy, pogardzili. »Gdzież w narodzie, w którym tylko bogaci książki kupują, pożądaną być może książka, wystawiająca typy najuboższej klasy ludu?« mówił tuzinkowy literat, a Dickens wiedziony już w młodzieńczym wieku instynktem swego geniuszu, badał w biednym surowym ludzie charakterystykę wrodzonych i nabytych uczuć człowieka; swemi utworami wykazał, ile rodzaj zatrudnienia może wpłynąć na uszlachetnienie lub poniżenie swego bliźniego; jednym pociągiem pióra umiał wystawić to, co inni wielkimi tomami wydać nie są w stanie; i pomiędzy swemi wielkimi zasługami liczy i tę największą, że najwyższe klasy dumnego narodu angielskiego przeświadczył o istności nieprzebranego źródła poezji w najniższych warstwach społeczeństwa.

W stanie umysłowym i materyalnym, poprzedzającym jutrzenkę jego sławy, poznałem Karola Dickensa, na wieczorze literackim pani Hethrington, i od tej chwili, nie przeczuwając nawet jego późniejszej sławy, umiałem ocenić spotkania tego wartość.

ROZDZIAŁ XXXIII.

ZAWÓD LITERACKI I ZAWODY LITERACKIE.— WIERZYCIELE.— PSEUDO-LITERACI.— POWOŁANIE LITERACKIE.— PROTEKTOROWIE LITERATURY.— ARYSTOKRACJA ANGIELSKA NIE UWAŻA LITERATÓW ZA NIEPRZYJACIOŁ SWOICH.— TEODOR HOOK.— ŚWIĘTNEGO AUTORA WYCHOWANIE, WYKSZTAŁCENIE, POWODZENIE, ZAWODY, CIERPIENIA I ŚMIERĆ.

Dickens mówi w jednym z najnowszych utworów: *«I have never had the good luck to be acquainted with a money lender, either in his own hospitable mansion, or in society;»* co znaczy po polsku: *«nigdy nie miałem szczęścia znać ludzi pożyczających pieniądze, ani w ich gościnnym domu, ani też w świecie.»* Nie wielu literatów udzielić sobie może to świadectwo, nie tylko u nas, lecz i w Anglii. Pospolicie literaci i artyści w zapale poetyckim zapominają o względach winnych temu, co oni nazywają podłym kruszczem, a co istotnie nawet w ucywilizowanych krajach uchodzi za reprezentanta pracy, zdolności, talentu i czynności; często tedy wpadają żydom i lichwiarzom w ręce, i czasem nawet przy najlepszej chęci przez całe życie z nich się wydobyć nie mogą. Nie mówię tu o biednych pseudo-literatach, o nieborakach piszących dla tego tylko, że im się nie chce świata służyć skromniejszą, zdolnościom swoim więcej odpowiadającą pracą.

Nie mówię o ludziach niewykształconych nauką, nie-dojrzałych długiém doświadczeniem, niezdolnych ocenić własnymi oczami żadnego odcienia świata, życia lub towarzysztwa, a porywających się do narzucania bliźnim swych myśli i mniemań. Tacy improwizowani literaci, nawet gdy im się uda zwabić czytelnika i zdurzyć go zawikłano-napuszonym stylem, maskującym ubóstwo i nieład myśli: tacy literaci srodze igrają z rozumem ludzkim, a srodziej je-

szcze z własnym losem. Tacy biedacy lat kilka najpiękniejszego wieku przepartaczą w usługę jakiegoś spekulanta literackiego, ciesząc się nazwiskiem swoim wydrukowanym na okładzinie, durząc się jakąś tam sławą, która spaść może z tych okładzin; a odwykły od praktyczniejszej pracy, nie uzdolniony do żadnego, świata pożytecznego zawodu, rachują się ze swemi siłami, ze swym talentem dopiero wtenczas, gdy czas kształcenia się przejdzie; przeklinają chwilę, w której po pierwszy raz do pisania siedli, i częstokroć (słyszałem to nie raz na własne uszy) zazdroszą szewcowi buty szyjącemu, bo szewca *proszą* o pracę, bo szewc rękami swemi tworzy coś świata niezbędnie *potrzebnego, użytecznego*. Nie mówię o tych dzieciach próżności i próżniactwa, podrzucających się Apollinowi, igrających ze sławą jak komar ze świecą, zaczynających pisać, nim dobroć swych myśli długim szeregiem działań sprawdzili: o nich w inném miejscu nie zapomnę. O geniuszach także nie tutaj nie powiem. Tu mowa o literatach, umiejących nauczać bez znudzenia, zabawić z pożytkiem dla rozumu, poprawić bez rozgniewania.

O takich literatach mówię, bo ci tylko są powołani i wybrani na oświecanie ludzkości swemi myślami, i ci tylko dobrą, społeczności potrzebną, użyteczną robotę wydać są w stanie.

A i tacy na nieszczęście nie zawsze odbierają plony swych prac i swego talentu; i pomiędzy takimi znajdziesz, we wszystkich krajach świata ucywilizowanego, ludzi pasujących się z biedą, znajdziesz ich nie raz pracujących jak bydło w usługę spekulującego wydawcy, którego krwią swą szlachetną karmić, bogacić muszą, a który im wymierza skąpo, niechętnie, częstokroć nawet z pogardą, cenę ich nauki, pracy i natchnienia!

Tu, w Londynie na przykład, musisz szukać nieraz w najnudniejszym zaułku, na najwyższém piętrze od tyłu, literata, którego nazwisko chlubnie jest znaném w całym kraju, którego pierwsi magnaci Anglii do swych salonów zapraszają.

A nawiasem powiedziawszy, niepłonną jest w tym kraju sympatya, okazywana przez arystokrację autorom. Szlachta angielska umie nosić godnie swe historyczne nazwiska: wie ona doskonale, że czasy bohaterstwa ustąpiły wiekom

intelligencji. Sama się też doskonalili w naukach, i świetność swego nazwiska nadal chce zapewnić nie tylko własnym kształceniem, lecz także skuteczną protekcyą, udzielaną literatom i artystom.

Magnat angielski znajduje chlubę i przyjemność w wyszukiwaniu talentów, nie mogących się wyjawić dla ubóstwa na nich ciężącego, i nigdy się nie wyrzeczcie powinności wspierania sztuk i nauk w swym kraju, nigdy się nie ucieka (dla uchylenia się z pod zarzutu skąpstwa) do owego obłudnego pozoru: że artyści i literaci są najczęściej utopistami, pragnącymi zbudować nowe światy na zgliszczach starego, targający się na to, co dotychczas światem było i t. d.

Ale wróćmy do literatów angielskich, pędzących mozolne, kłopotliwe życie w owych ciemnych, brudnych zaułkach, których nie braknie w Londynie.

Nasz nowy znajomy Karol Dickens, idąc za torem zakreślonym przez talent Teodora Hook, dostępuje majątku i znaczenia; a pierwowzór Dickensa, Teodor Hook, człowiek z gminu wyrwany siłą swego nieporównanego talentu, Teodor Hook, obdarzony najmiłym dowcipem, jaki może kiedykolwiek istniał w człowieku równym jemu bystrością rozumu, światłem nauki, żywością temperamentu, Teodor Hook umiera w nędzy, i winien tylko litości publicznej swój pogrzeb.

Teodor Hook! Znałem go. Nie wówczas, kiedy mu się szczęście śmiało, kiedy opływał w dostatki i w poklaskach najdumniejszej arystokracji ziemi czerpał zasoby życia tak świetnie błyszczącego; ale znałem go wtenczas, gdy ciężką złożony chorobą, z niecierpliwością wyglądał śmierci, gdy mu zabrakło pieniędzy na zakupienie ulgi, gdy na swą żonę, na swe dzieci spoglądał rozpaczającym okiem, i siłą bujnej wyobraźni obrachowywał nieszczęścia spóć mogące na jego potomstwo.

Kto był Teodor Hook?— My tego nie wiemy. My najdoskonalej znamy wszystkie ramoty Pigault le Bruna, Balzaka, Dumasów i Kocków; my nawet nie źle obznajmieni z oryginalnościami systemów Fourriera, Rollina, (o tyle, o ile nam potrzeba do prawienia o nich w salonach: tu w pochwalnym, tam w żartobliwym, owdzie szyderskim, w innych jeszcze miejscach zgrozą przejętym tonie); ale z literatury angielskiej, tak poważnej i zarazem miłej, znamy

tylko to, co Voltaire wyśmiał z Shakspeara, i Orgelbrand kazał przetłumaczyć z Maryata. Przepraszam: polska płeć piękna, wprawdzie na nasze, a może jeszcze więcej na swe własne nieszczęście daleko więcej wykształcona, jak płeć męzka naszego kraju; płeć piękna, mówię, umiała ocenić zasługi położone przez Lady Morgan, Lady Blessington, Miss Burney, a mianowicie przez panią Edgeworth.

Ja chcę dać poznać publiczności naszej żywot mego pa-cyenta, autora pism, które niezmiernie wywarły wrażenie, i które pozostaną na zawsze w literaturze angielskiej; literata niegdyś zdumiewającego, bawiącego swemi utworami naj-więcej wymagającą publiczność, a zmarłego w nędzy. Mo-że tą biografią nie jednego zachęcę do czytania dobrych, a nie jednego zniechęcę do pisania złych książek; cenilibym się szczęśliwym, żebym tego dopiął celu.

Teodor Hook urodził się w ostatniem dziesięcioleciu ubie-głego wieku w Londynie. Synem był namiętnego muzykanta i matki wysoko wykształconej. Wychował się w sławnej szkole w Harrow, razem z Byronem i Robertem Peelem. Do ostatniego dnia swego życia wspominał z roskoszą o tém koleżeństwie, ale też wyznawał, że nie był pilnym uczniem. Matka Hooka umiera; on sam wraca do domu rodzicielskie-go. Urodzony w świątyni muz, wczesnie się przejął powie-wem otaczającym jego kolebkę, tworzył pieśni i sam je pod muzykę podkładał. Mając zaledwie lat 15, pisał teksta do muzycznych utworów swego ojca, i brał udział serdeczny w życiu artystycznem. W wieku, w którym młody człowiek powinien najpilniej być strzeżonym i pieczołowicie kierow-anym, Hook żył i bujał w kole śpiewaków i aktorów bałamu-cących go, przypuszczających do wszystkich zakulisowych tajemnic. Drogo przypłacił Teodor ten powabny początek swego rozwoju.

Starszy brat Teodora, Jakób Hook, już wówczas dziekan w Worcester, obawiał się, aby młody artysta tak ognistej duszy, nie zginął w gorączkowych namiętnościach podobne-go towarzystwa. Zawiózł tedy pana Teodora do Oxfordu, aby się tutaj sposobił na adwokata. Kiedy miał zapisać swe nazwisko na matrykule uniwersyteckiej, wice-kanclerz rzekł, zdziwiony młodocianym wyrazem twarzy kompetytora: »Czy pan zgadzasz się na podpisanie 39 praw uniwersyteckich?«— »Choć 40stu, jeśli się panu spodoba«, z lekceważeniem odpo-

wiedział Hook. Za ten zuchwały wyskok, wymierzony na znane zasady anglikańskiego kościoła, o mało co nie odrzuciono suplikanta. Nie na wiele mu się przydało wybaczenie: ławka szkolna nie była stosowna dla młodzieńca, który już był zachwycił w sobie tyle pierwiastków światowego życia. Hook ucieka z Oxfordu do Londynu dla tego jedynie, żeby zakomunikować dawnym towarzyszom artystycznym plan do nowo przez niego wymyślonej farsy teatralnej, i odtąd wzgardziwszy mądrością w książkach nabywaną, oddał się namiętnie sztuce dramatycznej. W przedziwnym romansie pod tytułem: *Gilbert Gurney*, Hook bardzo zabawnie opowiada pierwsze swe wystąpienie na deskach teatralnych w roli głównej opery, pod tytułem: *»Powrót żołnierza«*, która była jego utworem co do słów i muzyki. Doskonale przyjętą była ta sztuka w widowni Drury-Lane. Zachęcony tém powodzeniem Teodor Hook, w przeciągu kilku lat utworzył ośm sztuk stosowanych do talentu i charakteru swych towarzyszków. Hook zaczął żyć bujnie, wesoło; przyjaciele jego do dziś dnia z zachwyceniem wspominają o radosnych chwilach spędzonych z żywym, utalentowanym, i przedsiębiorczym Teodorem. Hook był wówczas może najdoskonalszym komikiem swego czasu, przewyższającym Keana w wielu względach. Improwizował na scenie bez najmniejszego wysilenia satyryczne ballady, zastosowane ze zdumiewającą zręcznością do nieprzewidzianych okoliczności. Wkrótce sława jego dowcipu i talentów przeszła po za wszystkie zwyczajne obręby. Sheridan poznaje go, otwiera mu swe podwoje i wprowadza do świetnego salonu margrabiny Herford. W tym czasie król Jerzy IV. szukać zwykł wytchnienia po pracy i kłopotach w salonach szlachejnych lordów; Hook tego dostępuje zaszczytu, że mu był przedstawiony. Po wieczery, podczas której młody artysta zabawiał towarzystwo swym głębokim, porywającym a miłym dowcipem, król powiedział: *»Mister Hook, pragnę pana częściej widzieć i słyszeć.«* To życzenie stało się dla wszystkich magnatów Anglii rozkazem; Hook stał się najmodniejszym w Londynie człowiekiem, duszą najświetniejszych towarzystw. Było to zwycięztwo zaiste bardzo chlubne talentu i osobistej wartości, nad dumą najpyszniejszej arystokracji świata; ale to zwycięztwo nie zachwiało ani na chwilę mocnej głowy młodego i biednego jeszcze artysty. Zręcznie umiał się znaleźć w najdosjowniej-

szém towarzystwie; usłużnym był bez nadskakiwania, skromnym bez przesady, a nigdy, nigdy nie przyjmował podarunków. Umiął cenić swój talent.

Król Jerzy IV. dobrym był i wspaniałym panem. Dowiedziawszy się, że położenie finansowe Hooka nie było świetnym, wstawił się za nim u ministrów i otrzymał dla młodego protegowanego urząd kassjera na wyspie ś. Maurycego, z pensją 2,000 f. szt. rocznie. Nie dla niego była ta posada: on nigdy dobrym dla siebie samego nie był kassjerem.

Hook jednak pojechał do kolonii, tam został za tygodni kilka duszą towarzystwa i rzucił się na oślep we wszystkie rokosze, jakie mieć można w osadach. Lady gubernatorowa była młodą, prześliczną kobietą, lord gubernator starym grzybem, Teodor Hook artystą umiejącym cenić wszystko co piękne. Odwołują gubernatora do Londynu, a on zmuszony zdać rachunek ze swych rządów, naznacza komisję do przejrzenia ksiąg swego kassjera. W kassie Hooka znaleziono 20,000 f. szt. deficytu. Druga komisya wyznaczona; oskarżyciel nowy wezwany. Ten powtarza dawne oskarżenie, ale przy śledztwie wikła się zupełnie i gubi, bo go przekonano o fałszywe przypisanie czynu. Ale nie baczono na to, że oskarżenie okazało się fałszywem; śledzono jeszcze dalej, i znaleziono niedokładności i brak w kassie. Hooka aresztowano i odwieziono pod sąd do Anglii. Prokurator generalny zawyrokował, że jakkolwiek Hook niedbale prowadził rachunki, nie zrobił jednakże nic takiego, za coby go kryminalnie ścigać można było. Brakło jednak w kassie 12,000 f. szt.

Hook aż do ostatniej chwili życia swego utrzymywał, że wyrok ten był niesprawiedliwym; że brakło w kassie tylko 9,000 f. szt., ale nigdy wyjawić nie chciał, gdzie się uroniła ta wielka summa. Sąd zawyrokował, że Hook winien, nie za utajenie lub zabranie pieniędzy, lecz za nieprzebaczone niedbalstwo. Gdzie się podziały brakujące pieniądze? Hook wprawdzie tracił wiele na wyspie ś. Maurycego, trzymał wyścigowe konie, liczną służbę, dawał obiady; ale znowu podczas śledztwa dowiódł, że na wyścigach wygrywał bardzo znaczne summy, mogące pokryć wszystkie jego wydatki.

Kiedy z owęj niby świetnej posady powrócił Hook do Londynu, miał całego majątku dwa luidory. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak wziąć się po dawnemu do pióra i zarabiać głową na swe utrzymanie. Najął sobie skromne mieszkanie i tam, nie wiele się troszcząc o wielkich ludzi, którzy go dawniej do siebie wabili, żył otoczony nie wielu towarzyszami młodości. Około tego czasu (r. 1824.) Walter-Scott przybył do Londynu, był zachwycony niewyczerpanym dowcipem i miłą wesołością Teodora Hook, i ułatwił mu osiągnięcie głównego redaktorstwa ważnego organu Torysów, pod tytułem: *«John Bull.»*

Zjawienie się John-Bulla narobiło hałasu, jakiego dotąd żadne inne w Anglii pismo peryodyczne nie sprawiło. W niem, Whigi dotąd napadający, ujrzeni straszego przeciwnika: i w samej rzeczy, trzeba było mieć wiele humoru, śmiałości, aby zwyciężyć stronnictwo, które walczyło wszelkiego rodzaju bronią, a które wspierała wymowa Broughama i Denmana. To też Hookowi należy się zupełna sława porażki Whigów. A co najdziwniejsza, że długo ani się domyślano, z kąd lecą te pociski zjadliwe. W końcu jednak wpadnięto na ślad. Tymczasem ciągnęła się przeciw Hookowi sprawa, wytoczona przez rząd W. Brytanii za niedbalstwo w pełnieniu obowiązków kassjera. Wyrok nareszcie zapadł: Hook skazany na dwa lata do więzienia. Ten arest nie był srogim, a bardzo był korzystnym dla literatury angielskiej; bez niego kto wie, czyby Hook, wirem światowości zagłuszony, nie był zakopał swego świetnego talentu. Tu w więzieniu Hook wydał sztukę dramatyczną pod tytułem: *Jastrzębie i gołębie*, i kilka romansów. Sława tych utworów przeszła wszelkie oczekiwania autora. Od roku 1825., w którym wydrukował pierwszy oddział swoich opowiadań: *«Sayings and doings»*, aż do śmierci, to jest w przeciągu 15 lat, Hook wydał 38 tomów powieści, zawierających prócz wymienionych utworów: Pamiętniki komeanty, Życiorys oficera sir Dawida Bird, Makewell, Córkę pastora, Gilberta Gurney, Urodzenie, ślub i śmierć lig Brega, i przesłiczną powieść pod tytułem: *«Love and pride»* (Miłość i duma). Za temi utworami idzie zbiór powieści pod tytułem: *«Precepts and practice»* (teorya i praktyka). Ostatni jego romans nosi tytuł: *«Ojcowie i synowie»*, nad którego korektą sam pracował jeszcze na godzinę przed śmier-

cią. Oprócz tego napisał Hook niezmierne mnóstwo artykułów, ballad, pieśni rozrzuconych w kilku dziennikach, a o zebranie których Angliey teraz głośno się dopominają.

Wypuszczono nareszcie Hooka z więzienia *by the benefit of the act of insolvency*, jak się Anglik wyraża, co znaczy: dobrodziejstwem prawa niewypłacalności. Odtąd zaczyna się nowa epoka jego życia. Pisma jego przynosiły mu znaczny dochód: jeden John-Bull czynił mu więcej jak 2,000 f. szt. (do 90,000 złp.) rocznie. Tyleż prawie przyniosło mu pierwsze wydanie jego opowiadań i powieści. Gdyby był miał choć trochę oględności na przyszłość, to przy takich ogromnych dochodach mógłby być i spłacić owe 12,000 f. szt. winnych rządowi, inne długi i jeszcze zebrać kolosalny majątek. Miał wtenczas zaledwie 34 lat, zdrowie silne, humor ciągle najlepszy. Ale gdzie tam! Hookowi i na myśl to nie przyszło. Po wielu latach pracy i nieszczęść myślał tylko o tém, jakby zapomnieć owych ciężkich dni i korzystać z tak ponętnej terażniejszości. Przyszłość nie a nie go nie obchodziła. Znowu zaczął wchodzić w towarzystwa, z pośrodku których tak długo był wyłączonym. Sława jego, miły i zabawny sposób opowiadania, a do tego doskonałe pańskie maniery, otwierały mu wszystkie znakomite salony. Hook wylewa się całkiem na rozkosze i zbytki, żyje wystawnie, trzyma konie wyścigowe, ekwipaże, zapisuje się na członka wszystkich arystokratycznych klubów, trawi z lordami, ministrami i książętami całe noce za zielonym stolikiem, a przytém i o romansach nie zapomina. Hook żył sposobem, który literatowi, potrzebującemu przedewszystkiém obcowania z samym sobą, nigdy nie może przynieść ani spokoju, ani niezależnego bytu. Ale na nieszczęście! częściej znajdziesz w literacie płochą próżność, jak szlachetną dumę.

Wkrótce rozchody Hooka przewyższyły jego dochody, chociaż te ostatnie zależały prawdziwie od jego własnej woli. Już znowu piętrzą się długi około widnokregu genialnego, wesołego, a przecież tak próżnego literata. W świetnym towarzystwie, które czarował Hook swoją wesołością, nie domyślano się nawet, co się tam działo w głębi jego duszy, albo też może udawali, że się niczego nie domyślają; nie jeden może z bogatych panów, widząc Hooka tak wziętym w modnym towarzystwie i zazdroszcząc mu tej

wziętości, cieszył się już naprzód z przyszłego zajścia talentu po za obłoki kłopotów pieniężnych. Hook żył w ciągłej walce z nieubłaganymi wierzycielami; do tego naciskany przez księgarzy wydawców, którym dawał zobowiązania przechodzące jego siły, pracował pospiesznie, wyczerpywał gorączkowym natężeniem swą wyobraźnię, nareszcie szukał w kieliszku sił, odetchnienia i natchnienia, ale naprzóżno: każdy dzień odnawiał jego męki, wierzyciele znów grożą więzieniem.

Gdyby kto wydał dziennik Hooka, dowiedzielibyśmy się wielu smutnych tajemnic. Czerpiemy z niego następujący ustęp, charakteryzujący niespokojny i dolegliwy żywot autora. Jednej zimy, na kilka lat przed swą śmiercią, Hook był jedynym między nimi plebejuszem. Co czwartek musiał się on porozumiewać osobiście ze swoim drukarzem o numer gazety, mający wyjść w sobotę. Przez czas pobytu swych świętynych przyjaciół na polowaniu, Hook ukradkiem napisał artykuł. W środę wieczorem, kiedy wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, on znowu pocichutku oddalał się, wsiadał na rozstawne konie, i nocą pięćdziesiąt mil angielskich pędził do Londynu, porozumiał się z drukarzem, téj samej nocy wraca na wieś, ubiera się i schodzi wraz z innemi gośćmi na śniadanie, przy którym, po takiem znękaniu, zwykle jeszcze więcej bywał zajmującym. Podczas polowania, Hook korzysta ze zgiełku, zsiada w lesie z konia, i znów pisze artykuł. Obiad następuje. Literat opowiada tysiąc awantur, które mu się niby miały wydarzyć podczas polowania. Wieczorem gra. Hook zgrywa się co do grosza, i gdy inni używają spoczynku, on znów pędzi pocztą do Londynu, pożycza na najokropniejszą lichwę kilkaset funtów szterlingów, wraca na wieś, i wieczorem znów ani grosza nie posiada. Takie było życie syna muzykanta.

Po powrocie z wyspy Śgo Maurycego, Hook zawiązał bardzo bliskie stosunki z osobą młodą, która dotąd bardzo enotliwie i pracowite prowadziła życie. Jój miłości, sam to wyznaje, Hook był jedynie winien spokojne a szczęśliwe chwile swego życia. Ale Hook i tu nie jest bez winy: nie ośmielił się on dać swego nazwiska téj dobrej istocie, która została matką jego dzieci. Wszędzie i zawsze ścigały go o to srogie wyrzuty sumienia, lecz i te rozbijały się o pró-

żność. W wielu miejscach jego dzieł znajdziesz odbicie zgrzyzot, których musiał doświadczać autor z przyczyny własnych błędów. W czułych słowach wystawia on nieraz niedolę kobiety, która ślepo wierzy przyrzeczeniom niesumiennego mężczyzny; a wydartą z towarzystwa, potem z niego wyrzucona, pędzi dni swoje w samotności, w kłopotaniu się o dzieci, gdy tymczasem uwodziciel nie śmie jawnie wyznać, że jest mężem *de facto* kobiety, która zawierzyła jego honorowi. Hook maluje prześlicznie skromną i niewinną miłość swoich bohaterów i bohaterek, i z jakąś rozrzewniającą lubością rozwija myśl, że mężczyzna wtedy tylko może być szczęśliwym, kiedy się ożeni, bo pracuje dla téj, którą najwięcej kocha, której powierzył honor swego nazwiska, której miłość przynosi mu pociechę w nieszczęściu, a szczęście podwaja. »Ale—pisze dalej, Hook, tak jak gdyby był echem swego własnego sumienia—ale taka to nasza natura; śmiejemy się z błędów i z wad drugich, które w porównaniu z naszymi są pięknościami; ganimy i potępiamy w naszych znajomomych to, co sami robimy codziennie. Myślmy, że nasz czyn jest wyjątkiem od prawidła ogólnego, jest czémś najzupełniej wyjątkowém; uważamy się za nieszczęśliwą ofiarę okoliczności, jeśli wpađamy w tę samą niedolę, za którą dopiero co innym kazanie prawiliśmy.«

Tylko próżność pociągnęła Hooka w błyszczące bogactwem towarzystwa. Zapomniał on o tém, że to samo towarzystwo, tak niestosowne do jego stanu i położenia w świecie, koniecznie musiało pozbawić go cichego, domowego szczęścia i zatruć spokojuność duszy. Drogo zapłacił za tę próżność, tak niezgodną z polemtem jego geniuszu i, poprostu powiedziawszy, tak nie zgodną jego powołania i wyższości umysłowej. Nie chcemy przez to ganić tego, że Hook wchodził pomiędzy znakomitości angielskie: boć on sam był bardzo głośną znakomitością; ale mu przebaczyć nie możemy tego, że tak wielkie ponosił ofiary, żeby żyć na równi z ludźmi, którzy tylko majątkiem imponować są w stanie. I to go też nareszcie najzupełniej zgubiło: sechł rozum, schło serce Hooka w towarzystwie tak drogo okupioném magnatów. Długi się piętrzyły, wierzyciele niecierpliwili, kłopoty i zgrzyzoty czepiły się aż pierwiastków życia. Przyszła niemoc i okrutna choroba

wątroby i serca; trzeba było pożegnać się po raz ostatni z zabawami, ze zgiełkiem życia światowego, i w miłości srodze skrzywdzonego anioła domu szukać pociechy.

I niedostatek wkroczył do domu, którego już nasz literat opuścić nie mógł.

Przy końcu swego życia Hook oddał się błogiej nadziei, że stronnictwo, które on tak wiernie i z takim wysileniem bronił, raz przyszedłszy do steru rządu, wydzwignie go hojną nagrodą z odmetu. Ale zapomniał on, że i w tym względzie położenie jego było wyjątkowem; skarbowy dług wiązał jego protektorom ręce. W czasie rządów sir Roberta Peela, lord kanclerz hrabia Jersey chciał mianować Hooka Inspektorem teatrów: była to jedyna posada, zgodna z wyjątkowem położeniem jego; ale i tu znalazła się przeszkoda. Miejsce to było zajętém przez starego przyjaciela Hooka, przez Coalmana. Minister liczył na to, że starzec sam weźmie uwolnienie od tych obowiązków; ale Hook nie chciał przyjąć pod tym warunkiem żadnej posady. Szlachetna to i zaszczytna dla serca jego bezstronność. Zresztą przewidywał swój bliski koniec, i ostatnie chwile życia chciał strawić w honorze godnym swego talentu.

Wówczas to, gdy magnaci zapomnieli wesołego uczestnika zabaw, od dwóch już lat złożonego niemocą; wówczas, gdy bieda zajrzała swą szkieletową twarzą do domu niegdyś tak gościnnego, a w którym nie już nie pozostało, coby można uważać po śmierci właściciela za relikwię, mogącą być drogo sprzedaną miłośnikom ciekawości, jak będzie po wszystkiém; wówczas, gdy i lekarze, dawni przyjaciele Hooka, sprzykrzyli sobie chodzić do pacyenta, którego choroby żadna siła ludzka już zwalczyć nie mogła; wówczas ja, cudzoziemiec, sam z nędzą walczący, poznałem mego druha Teodora Hook. Dickens mnie do niego przyprowadził. Hook mnie polubił odrazu. Umysł jego jeszcze był rzeźwym i potrzebował sympatyj; znalazł też w mém sercu, w méj duszy, szczery, serdeczny odgłos. Godzinami całemi rozmawiałem z mym pacyentem skoro bóle przestały, i dawniej bystrości rozumu, dawniej nadobności charakteru wrócić na chwilę pozwoliły. Dane mi było mieć tę zasługę, że dzieci jego mogą poszczycić się jego nazwiskiem, że jedna z córek Hooka wyszła jeszcze przed śmiercią ojca za człowieka, umiejącego pełnić chlu-

bnie obowiązki pokrewieństwa względem rodzeństwa swęj żony.

Tęj agonii tak bolesnej, w pamięci męj na wieki pozostałęj, towarzyszyłęm tygodni kilka, aż do jęj końca. Wszystkie troski Teodora Hook, ja wespół z jęgo rodziną dzieliłęm, w me łono przyjąłęm, i jęgo zmartwicnia, jęgo bóle uśmierzałęm.

Umarł nareszcie meteor świecący tak długo nad wielkim światęm angielskim, i zaledwie zamknął oczy, skarb zabrał całe jęgo mienie. Ze sprzedaży książek, pism i małęj ilości niezbędnych mebli, zebrano 2,500 f. szt.; ogromną summę, przewyższającą 10 razy wartość istotną przedmiotów.

Po śmierci bliźniego ożywia się i uczucie litości wniejednym sereu, które na agonię jęgo obojętnie spoglądało. Otworzono składkę na dobro familii i hojnie jęj dopomozono. Z wielu jednakże panów i dygnitarzy, którzy najwięccęj z życia i pracy Hooka korzystali, bardzo mała liczba wspomniála o nim, gdy go już na świecie nie było. Jeden tylko król hanowerski dał do składki 600 f. szt.; reszta szlachty angielskiej s czupłym tylko datkiem pamięć Hooka uczciła.

Tak skończył życie człowiek, z wielu względów znamienity, który, gdyby był wyżęj się cenił, byłby zarazęm i znamienitszym jeszcze i szczęśliwszym. Łagodny, uczciwy, szlachetny, nigdy z swęj własnej winy nie stracił przyjaciela. Żarty jęgo były tak delikatne, powiedziałbym miłe nawet, że nigdy nikogo nie obrażały i nigdy go z nikim nie poróżniły. La-Bruyére powiada, że zwykle tego, kto bawi, ludzie nie lubią; ale widzięć Hooka i nie lubięć go, było niepodobieństwęm. Łagodność swoję przeniósł on i do polityki. Chociaż wyrok, który Hook przez całe życie uważał za niesprawiedliwy, był wynikięm najbezpieczniejszęj intrygi, kilka razy zapewniał on jednak w swoim dzienniku, że przebacza wszystkim, których uważał za swych prześladowców. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że w napadach swoich na Whigów, nigdy nie szedł za jakąś osobistością lub nienawiścią osób, ale wszędzie i zawsze występował jako człowiek wierzący silnie w zasady swęgo stronnictwa. Jak wielu innych, umiał on jeszcze lepiej mówić niż pisać. Jęgo improwizowana humorystyka, jęgo

szczerą, niepowściąganą wesołość były tego rodzaju, że wydawało się, jak gdyby zabawiając drugich, sam sobie tém przyjemność sprawiał. Nikt w całej Anglii nie umiał tak opowiadać jak on: jednym wyrazem szkicował charakter, jednym ruchem dotykalnie pokazywał położenie rzeczy lub osoby. Gdyby był chciał tylko, byłby największym w świecie aktorem, artystą. Jako pisarz, Hook posiadał żywą wyobraźnię, najłatwiejszą humorystykę, styl energiczny, bystrą przenikliwość i smak wykształcony. Niektóre jednak jego utwory zdradzają pośpiech, z jakim były napisane, a w komiczności często przesadzał i wpadał w karykaturyczność. Mimo to wszystko, nikt tyle nie zrobił co Hook pod względem opisu obyczajów swego czasu, a jako dziennikarz, jest niezaprzeczenie pierwszym. John Bull miał wprawdzie przesady starego Thoryzmu, ale zawsze zostanie wzorem parlamentarnych dyskusyj. Wpływ jego był nadzwyczajny na powodzenie i los swęj sprawy.

Oh biedny Teodorze Hook! ciało twe, w którym tyle wdało duszy, nie spoczywa pod sklepieniem Westminsteru. W ziemiś pograżon i może już żaden atom twego ciała nie pozostał w skupieniu z drugim. Ludzie, dla których systemu pisałeś,—ci ludzie opuścili cię w chwili, gdy twe usta umilkły, i twe pióro spocząć musiało.

Z twego gieniuszu wykrojonoby sto przemysłowców milionowemi majątkami władać mogących, aleś na przemysłowca nie był zrodzony, zanadtoś miał hojne serce, tysiąc go razy więcej jak potrzeba synowi Merkurego.

Wszystkieś miał przymioty,—tylko jednego nie posiadałeś: talentu własnego czcić nie umiałeś nigdy. Talentu człowiek, żywioły szczęścia czerpać powiniën w ubóstwieniu natury,—a nie pośród ludzi.

R O Z D Z I A Ł X X X I V .

JESIEŃ I ZIMA ANGIELSKA.—MGŁY.—NIEDZIELA LONDYŃSKA.—NIESPODZIEWANA RADOŚĆ I NOWY KŁOPOT.—UCZEŃ TEOLOGII.—POETA.—MANIA EMIGROWANIA.—STYPENDYŚCI LITEWSCY.—PODRÓŻ TULACZA.—ROZCZAROWANIE.—TEOLOG PEDAGOGIEM NIEDŹWIEDZIA.—WSPÓLPRACOWNICTWO LITERACKIE Z UCZONYM ANGLIKIEM.—TEOLOG DO SWEGO STYPENDYUM PRZESŁANY A MARCIN SPRZEDANY.—NOWY KŁOPOT.—PRZYBYCIE KUZyna.—DUMNY NIEUK.—POTRZEBA KSZTAŁCENIA SIĘ ZAGRANICZNYM POWIETRZEM.—FILOZOFIA PRÓŻNIAKÓW.—PRÓŻNOŚĆ ŚRODKIEM DO POPRAWY.—MALARZ AMATOR.—APOLLO BELWEDERSKI.—POSTANOWIENIA MOCNE.

W pierwszej części tego dzieła oddałem sprawiedliwość latu londyńskiemu, w sposób dla klimatu angielskiego bardzo pochlebny. To mi daje prawo mówić bez ogródki i sądzić z bezstronnością o reszcie pór roku. Coś szkaradniejszego jak druga połowa jesieni londyńskiej i cała zima, nigdy w mém życiu nie widziałem. Zimno wprawdzie rzadko dochodzi do niezwykłego stopnia, np. do 7 lub 8 stopni; ale ciągłe ulewy, błoto, a przedewszystkiém mgły gęste i ciężkie, robią z zimy coś prawdziwie nieznośnego, w żadnym inném mieście niedoświadczanego. Słońca nie ujrysz nigdy ani odrobiny, żebyś patrzył przez teleskop długi na milę i przez szkła wielkie jak szalone koło maszyny. Mgły tak zaciemniają powietrze, że nieraz w południe do mieszkania trafić nie zdołasz; ciemność cię otula jak gdyby płaszczem siwym i wilgotnym: żadna lampa, żadne światło najmocniejsze téj ciemności rozpędzić nie zdoła. Ludzie przewracają się na trotoarach jeden o drugiego; złodzieje wówczas szczęśliwi, bo żadne środki ostrożności, żadne *police-meny* nie pomogą.

A jak okropne to powietrze, które naraz z mgłą w płuca wciągasz i które się przez najszczelniej zamknięte okna, przez kominy bezustannie dymiące do wnętrza domu wkra-

da! Jest jakiś smak metalowy, surowy, niewygodnie łechcący w tém powietrzu.

Tyle już rozbierano rzeczy, a jeszcze żaden chemik nie wpadł na myśl zrobić analizę mgły londyńskiej. Jestem pewien, że na 100 części powietrza, znajdzie się na wagę przynajmniej 30% pary wodnej, kwasu węglanego 15%, gazu wodorodno-węglowego 6%, węgla kamiennego w pyłku do 15%, i jakiejś jeszcze innej, dotychczas może nieznanej a bardzo szkodliwej substancyi, także bardzo wiele. Przy tém stosunek kwasorodu i azotu w skład powietrza wchodzący, także musi być zmienionym.

Zastraszające były skutki tego powietrza na organizm. Wszyscy ludzie kaszleli, ale przedewszystkiém cudzoziemcy.

Raz, byłoto właśnie jednej niedzieli około południa, wracam, pokończywszy me wizyty, otulony nieprzejrzaną mgłą do domu. Ciągłe znoje, bezustanne umęczenie już mi się zaczynały dawać we znaki. Dzień cały będę mógł pracować w domu, rzekłem do siebie uszczęśliwiony, że nie nader naglącego nie zatruwało mi spokoju. Nawet na obiad nie pójdę; wolę się głodzić, bylebym mógł swobodnie pracować.

A głodzić się musiałem, bo w niedzielę angielską wszystkie sklepy zamknięte i żadna służąca nie śmie przynieść obiadu z traktyerni. Mój gospodarz wiele dbał o *decorum* niedzieli.

Siedzę tedy przy pracy i patrzę czasem w tlejący się *fire-sicle*, aby w widoku rozgrzewającego ognia zapomnieć o dokuczającym głodzie.

Wtém puka ktoś do pokoju.—*Come in*—wołam. Pakuje mi się do stancyi majtek jakiś już podeszły i prowadzi za rękę.....oczom mym nie wierzę, ale prawdziwie to on! Majtek prowadzi za rękę pana C.....skiego, kolegę mego z uniwersytetu królewieckiego, ubranego w surdut studencki niemieckiej mody z białego piaskowego koloru, wyszywany pętlcami i okręcony sznurami nakształt czamarki, nakrytego ową studenką czerwoną czapczką, wielką jak spodek od filiżanki, przyklapniętą, dającą głowie podobieństwo do łepka zapałki chemicznej.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Co ty tu robisz C.....ski?—krzyknąłem zadziwiony, strwożony.

Ale musimy zapoznać czytelnika z kolegą C...skim. W wszechniej królewskiej istniały trzy stypendya, ufundowane przez jednego z Radziwiłłów dla trzech Litwinów, poświęcających się teologii protestanckiej. Co cztery lata wysyłano tedy z Litwy do Królewca trzech uczniów, którzy uzyskali stopień w gimnazyum słuickim: a gdy ci stopień kandydatów teologii otrzymali, wówczas wracali do ojczyzny i dostawali posadę pastora, inni zaś na ich miejsce przybywali.

Tak coś z pół roku przed mym wyjazdem z Królewca, panowie Kuncew...i Paszkiew...wrócili do Litwy, pan Kurnat...pozostał złożony chorobą, na którą później umarł, a panowie Nat....i Cer.....przybyli na uniwersytet.

Pamiętam ich jak dzisiaj. Nat., dobry bardzo człowiek, nie był już młodym na poczynającego studia akademika, miał bowiem lat ze 30. Nosił wielką szpilkę szylkretową wyobrażającą motyla w naturalnej wielkości, i bardzo był przywiązany do téj ozdoby.

Pan C....zaś młodziuchny, ledwo co z dzieciństwa wyrosł, rumiany był na twarzy, i spoglądał na wszystkie rzeczy z dziecinnym, zadziwionym wzrokiem.

Wielka była bieda z zapisaniem nowoprzybyłych kolegów do uniwersytetu i do fakultetu. Żaden z królewskich professorów po polsku nie umiał, a nowo przybyli teolodzy ani rusz po niemiecku i ani słowa po łacinie. »Jakżeż ich mogę zapisać w poczet uczniów, kiedy przed zapisaniem do rzeczypospolitej literackiej, winienem od rekwirujących odebrać deklaracyę, że ich obznajmiłem z prawami uniwersytetu, i że się chcą do nich pod karą relegacyi zastosować. A tu nie można się porozumieć z temi panami,» rzecze do nas zakłopotany prorektor. Ale Bóg przyszedł w pomoc. Pomiędzy professorami był jeden superintendent i radca konsystorza *Rheza*, który umiał po łotyszsku i litewsku, i języków tych znajomość religijnie pielęgnował. Litwini dalejże tedy *kalbajatys dziamaytys* i *Litvos gieros*, i tak mogli się porozumieć; podpisali deklaracyę i zostali obywatelami rzeczypospolitej literackiej.

Pan N. wziął się do nauki języka niemieckiego, bo bez niego zrozumieć nie sposób wykładów w uniwersytecie niemieckim. Pan C....zaś młody, niedoświadczony poeta, czas przepędzał na klecieniu wierszyków polskich i litew-

skich o skowroneczku, o myślach jeżdżących na obłokach, o miłej Willii i o księciu Kiejstucie, bo się w nim dosyć niespodzianie poetycki talent odkrył.

Wyjeżdżam z Królewca i zostawiam mych Litwinów zatrudnionych zacięć: jednego literaturą niemiecką, drugiego kształceniem na wzorach ojezystych.

Półtora roku mija. Nat.....już rozumieć zaczyna odczyty uniwersyteckie: Cer.....zapisał ryzę papieru piosnkami. Ó teologii myślał tyle, ile doś Quichotte o maszynach parowych. Szlachetną zagrzany żądzą obdarzenia ludzkości płodami swej poetyckiej rzewności, wiedząc przytém, że drukarnia polska od dawnego czasu w Królewcu nie istnieje, porzuca teologię i swe stypendyum (tojest 300 talarów rocznego wsparcia na 5 lat wyznaczonego), pożyczka, zastawiając co tylko posiada, 10 talarów, i wzięwszy ryzę zapisanego wierszami papieru, dwie koszule i cygenhajmer, puszcza się piechotą z Królewca do Hamburga, to jest na mały spacer długości 160 mil geogr.

Podróżuje od pastora do pastora: pastorowie nakarmią, przenocują i pobłogosławią, ale dalej nie odsyłają, bo koni nie mają, a pieniędzy nie pożyczą, bo mają żony i dzieci.

Staje kolega C. w Hamburgu, coś we dwadzieścia dni po wyjściu z Królewca, bo nogi miał godne apostołów, ale w kieszeni próżnia. Deszcz okropny i zimno; ale to nie zraża naszego podróżnika. Widzi w Cuxhaven parostatek angielski dążący do Londynu i gotowy do wyjazdu. Korzystając ze zgłębku i mgły, pakuje się z bulwaru na statek, chowa się w nim pomiędzy paki i mantelzaki pasażerów na pomoście rozstawione, i tam w najlepsze zasypia, podłożywszy pod głowę *ryzę* swemi poezjami zapisaną. Statek kotwicę wyciąga, koła go unoszą na falach Elby, i ślą na wody oceanu. Majtkowie zaczynają porządkować pokład, znoszą paki do wnętrza statku, i znajdują naszego poetę w wyszywanym surducie, w czerwonej czapeczce, z cygenhajmrem przy boku i ryzą papieru pod głową. Budzą go surowe i brutalskie Albionu syny, budzą go w języku angielskim, i nie wiem w jakim kolorze. Kolega Cer.... angielszczyzny nie nie rozumiał; zaczyna wysłowiwać się jak może po niemiecku. Sprowadzają go do kapitana. Ten burczy i domaga się, grożąc i klnąc, zapłaty za drogę.—«Pieniądzy nie mam, ale oto adres przyjaciela mego rodaka i kolegi mieszkającego w Londynie,

— odpowiada jak może łamaną niemczyzną *studiosus theologiae* i podaje mój *adres*. Uspokaja się za pomocą tłumacza kapitan. Cóż miał robić? przecież nie mógł wyrzucić biedaka w morze; owszem, widząc go schudłego, zgłodniałego, z pieniędzy ogołoconego, żywił go nawet, prawda że moim kosztem, a za przybyciem do Londynu, kapitan parostatku oddał poetę w ręce najstarszego majtka, sławnego psa morskiego, i takim sposobem przyszedłem do szczęścia oglądania u siebie mego dawnego kolegę uniwersyteckiego.

— Winienes pan kapitanowi 3 funty i 10 szylingów za pasaż i żywienie tego człowieka, a mnie pół funta za przyrowadzenie go tutaj—rzecz surowy żeglarz, i siada, nie zdejmując kapelusza, przy kominku.

Mój Boże! w mieście gdzie tak trudno cudzoziemcowi grosz jeden zarobić, wydać 168 złp. za przyjemność oglądania jednego nieszczęśliwego więćej, za zdobycie nowych kłopotów! Ale cóż robić? Szczęście, że to po pierwszym. Cały mój majątek zaledwie wystarczył na wydobycie kolegi z niewoli angielskiej.

— Kiedyż znów odjeżdżacie do Hamburga?—pytam majtka.—Jutro.—Chcesz mi zrobić grzeczność i wrzucić w Hamburgu list na pocztę? Błogo mi będzie ocalić kilka szylingów.—Dobrze, ale daj pan kroplę *gin and water*, i bierz się natychmiast do pisania listu.—Piszę tedy:

„Kolego Nat.....! Stał tu u mnie Cer..., zdrow jak rydz, ubrany jak karykatura, głodny jak ogar przed polowaniem, przemokły jak sieć i goły jak turecki święty. Odeśle go wam, skoro tylko zarobię pieniądze na kosztą podróży. Zastaniajcie go od straty stypendyum, jak ja go zastaniać będę od powietrza Babilonu.“

Majtka wyszedł. Biedny C.,siedzący dotychczas jak trusia, spojierający na wszystko zdziwionemi oczyma, zrywa się z krzesła i woła:—Jeść! jeść! zlituj się! jeść! każ stół zastawić.

— Drogi bracie, to niedziela; służąca za nic w świecie po obiad nie pójdzie.

— Jakto? w niedzielę nie jadają Anglicy?

— Jedzą i tego jedzą, ale tylko tacy, co własną mają kuchnię, lub też iść mogą do traktyerni.

— Dobrze! to chodźmy do traktyerni—rzecz kolega porywając za czapkę i cygenhajmer.

— Nie bracie, pieniędzy nie posiadamy dosyć; potem, ubrany jesteś jakoś po hecarsku; wytykać cię będą palcami Anglicy, a może ci do stołu się nie dadzą.

— Aha! to dlatego tyłu za mną uliczników chodziło i krzyczało *jump! jump!* Co to znaczy *jump?*

— To znaczy: skakaj! skakaj! Wzięli cię za pajaca.

Zesmutniał biedny poeta; rzeczywistość życia zaczęła na niego wyzierać brzydkimi ślepiami ze wszystkich kątów pokoju mego; ale się pokrzepił jakąś nagłą myślą, uderzył ręką w swą ryzę papieru i krzyknął:

— Oho! nie bój się! lepsze przyjdą czasy. Oto skarb, o który dobijać się będą Anglicy. Co tam za myśli! jakie porównania! jakie uczucia życiodawcze! zobaczysz.

— Moje serce, nie łudź się próżnemi nadziejami. Żebyś miał sto ryz takiego papieru, a żołądek drobny jak u komara, tobyś z głodu umarł w Anglii. Tu o piękne myśli przybrane w jak najrozmaitsze wiersze nietrudno, ale chleb tak drogi, że geniusze nawet często z nędzy umierają.

Nie uwierzył mym słowom biedny zbłąkany młodzieniec ale wkrótce już nie wątpił o prawdzie mych słów.

— Będziemy wespół pracowali, abyś mógł wrócić do domu, nietknięty powietrzem tego kraju; a teraz chodź na porter i na ros bit zemną, wieczorem nikt twego pajacowskiego ubioru nie dostrzeże. Włóż jednak kapelusz i płaszczem się okryj, a na ludzi nie spoglądaj z zbyt niemię zdziwieniem.

Biedny kandydat teologii pił angielski porter razem ze swemi własnymi łzami, ale się spoił jednakże, bo na frasnęk dobry każdy trunek.

Przenocowałem go we własnym łóżku i noc strawiłem obok niego, prosząc Boga, żeby mi dał siłę ocalić zbłąkanego, pracując, by tej łaski być narzędziem.

Mozoliłem się bardzo. Przyjąłem uciążliwe a słabo płatne obowiązki współpracownika literackiego u p. Graham, profesora chemii przy uniwersytecie londyńskim. Od godziny 5. po południu aż do 11. w wieczór pisałem dzień w dzień za dyktandum tego uczonego, który żadnego nie umiał języka zagranicznego, któremu musiałem tłumaczyć wszystko, co Orfila, Raspail, Dumas i Thilorcé wydali w francuzkim, a Liebig, a Wöhler, Mitscherlich, Dulk w niemieckim języku; i za tę pracę, za wszystkie okropne chwile

strawione w oczekiwaniu mozolnego porodu myśli z głowy pana Graham, zarabiałem biedne dwa funty na tydzień.

Nudził się także niesłychanie kolega C. w mej stancyi, z której całemi nie wychodził dniami. Pojmował, dlaczego trzymam go zdaleka od zaraźliwego wpływu próżniaków, wyrabiających zasady, ale sam zatrudnić się nie umiał; nawet jakoś raptem odbiegła go, razem z nadzieją pożytku, ochota rymowania. Chodził tedy z kąta w kąt, tytuniu nawet nie mógł kurzyć wiele, bo tytuń niezmiernie drogi w Anglii i gospodyni dbała nadzwyczaj o czystość firanek. Ale się znalazł jak gdyby cudem towarzysz dla poety, przebudzonego jeśli nie do rzeeczywis'ego życia, to przynajmniej do jego przedświtu. Odwiózł mi kapitan duński pana Marcina; nie chciał go trzymać dłużej, bo córki swe wydał za mąż, nikt się już nie mógł opiekować niedźwiedziem: on sam ciągle zatrudniony *agenturą* kupiecką, nie był w stanie zajmować się wychowaniem dzikich zwierząt. Obok stancyi mej była komórka, w której przechowywałem suknie i węgle ziemne do opału; tam urządziliśmy Marcinowi legowisko. Teolog serdecznie pokochał to towarzystwo.

Kilka tygodni w ten sposób upłynęło, wichry przestały na chwilę panować, zima się ustaliła, morze uspokoiło. Pięniądze nawet zbierane z takim wysileniem grosz po groszu, już leżały w pogotowiu. Dalej tedy kolego królewiecki! Innym razem, jak będziesz starszym i mędrszym, zwiedzisz Londyn, którego nie poznałeś, siedząc w nim miesiąc cały; a teraz jedź napowrót, zmień tryb życia, pracuj, Boga nie wyzywaj i niepotrzebnie jednym krokiem nie oddalaj się od ojczyzny.

Ah! ale zimno okropnie; biędny młodzieniec płaszczu nie ma, a pieniędzy nie wystarczy na kupienie.

Marcinie! drogi niedźwiedziu norweskimi! towarzyszu tyłu przygód i kolci! wychowańcze studenta teologii uniwersytetu królewieckiego! Marcinie! daj twą skórę profesorowi!

Nie! żal mi go. Wołam jakiegoś Niemca, sprzedaję Marcina za 5 funtów, i przez to zabezpieczam niedźwiedziowi los, a Niemcowi sposób do życia: kupuję koledze za 3 i pół funta wyborny płaszcz flanelą podbity.

Tak wyposażony poeta wrócił ze swemi pismami do Królewca. Stypendyum swego nie stracił, dzięki pomocy przyjaciół; wziął się sumiennie do pracy i wiem, że na go-

dnego, zdatego wyszedł męża. Tego człowieka ochroniłem, sam sobie przyznać mogę, nietylko od śmierci, ale od długoletniej nędzy, od zwątpienia, niewiary i zepsucia.

Niestety! rzadko kiedy dobre i złe rzeczy chodzą inaczej, jak w parze. Ledwom kilka dni odetchnął z uciążliwej pracy i sam na siebie tylko pracować zacząłem, otwierają się raz jeszcze drzwi mego pokoju, wpada młodzieniec jakiś exotycznie ubrany, ale piękny, swobodnymi, szlachetnymi obdarzony rysami.

— Czy mam szczęście mówić z doktorem T...?—spyta piękny młodzieniec.

— Ja nim jestem—odpowiadam z bijącym sercem.

— Ah! mój drogi, kochany kuzynie!—krzyknie młodzieniec i skoczy mi do twarzy, całuje mnie, połyka mnie—Ah! mój drogi kuzynie! jak się cieszę, że cię nareszcie widzę; ale mnie nie znasz jeszcze, prawda? nigdyś mnie nie widział. Nazywam się Ksawery K.....

— Ah! jak mi miło! istotnie, nadzwyczajnie miło. Nie wiedziałem wprawdzie wcale, że na świecie istniejesz, ale skoro żyjesz, to mi niezmiernie przyjemnie liczyć cię do mych powinowatych. Ale cóż cię tu do Londynu sprowadza na całą zimę? Dziwny wybierasz czas do podróży!

— Wszystko ci opowiem, cały bieg życia mego ci opowiem, ale daj cygara, zaciągnę się; możebym się nawet napił portera, angielskiego portera na angielskiej ziemi! Oh! jaka rokosz, mogąc sobie powiedzieć, że angielski porter piję w Albionie!

— Naściże cygaro, zaraz przyniosę portera.

— Teraz do Odyssei—rzecze napiwszy się piękny mój kuzynek, mogący mieć wówczas ledwie 22 lat, ale wygadany, ale wyrobiony, wygięty w manierach, jak bywalec wysokiego świata.

— Tak, drogi bracie!—rzecze tedy pan Ksawery;—samo me nazwisko objawia ci, że należę do rodziny, która w swém gronie posiadała generałów, biskupów, podkomorzych i dalszobóg jednego wojewodę. Ale mój ojciec, skromny człowiek, nie piął się wysoko, nie wyszedł na nie bardzo świetnego, nawet jakoś majątek przesunął mu się pomiędzy palcami; dosyć, że prócz świetnego imienia i wyborniej edukacyi, niewiele nam się zostało. *A propos*, bo nas dwoje. Starszego mego brata przecież znasz doskonale?

— Nie przypominam sobie kocha nie!

— Ale go znaśz najdoskonalej.

— Przypominam sobie teraz, przypominam doskonale.

— Do rzeczy. Tedy brat mój obraca się gdzieś, ja zaś, o 10 lat młodsz, pobierałem nauki w Suwałkach: wiele czytałem i niepospolicie wykształciłem sobie ducha, gust i serce. Dorosłem, i jak widzisz, i nieźle i niebrzydko. Wchodzę w towarzystwa, puszczam się między damy. Świetne powodzenie! pocziwa matka łzy radości roni, ubiera mnie, pieniędzy daje. Ojca już nie był; nie doczekał się tego szczęścia biédak: umarł, nie zostawiwszy prawie nic majątku. Chcę się żenić, bo widziałem, że przez to dla losu mego węgielny postawię kamień. Panien nie braknie, partyj także nie; ale rodzice tych panien utrzymują żem za młody, żem trzpiot, żem kawał seduktora, że nie posiadam majątku i urzędu nie pielęgnuję żadnego. Przymuszony uledez, chcę zdobyć majątek: wydostaję od matki kilka tysięcy złotych, jadę do Warszawy, gram w karty i zgrywam się jak Kolbuszowskie skrzypce. Oh! źle: takim sposobem nie dopnę celu, rzeczę do siebie. Rzucam się do urzędu. Za wielkiem staraniem przypuszczają mnie na aplikanta. Wystaw sobie drogi kuzynie, na tym urzędzie domagają się pracy. Tęskno mi było za bratem, który niezawodnie odpowiednie swemu szlachetnemu nazwisku zajmuje miejsce. Rzucam dobrą matkę, rozstaję się na czas niejaki i biegnę do Królewca, gdzie, jak wiesz, brat stryjeczny mego ojca jest pułkownikiem w wojsku pruskim.

— Tak, tak, był majorem landwery i dostał dymisyę w randze podpułkownika.

— To na jedno wychodzi. Przybywam, ofiarując mu me hołdy, ale się porozumieć nie mogliśmy: ja po niemiecku ani dudu, on po polsku ani słowa. Ośm miał lat, kiedy go do korpusu kadetów do Berlina wzięto a od tego czasu nigdy nie wrócił do Polski. Chciałem uczęszczać na uniwersytet, ale te Niemcy mają manię wykładania kursów we własnym swym języku. Nudno było w Królewcu okropnie: wszyscy zajęci, pracują, a ja jak na niemieckim kazaniu. Wtém ktoś mi podał myśl szukania w odleglejszych stronach wyższych żywiołów rozwoju. Mówiono mi, że jesteś w Londynie, że ci się świetnie wiedzie. Wiem dawno, jak czule kochasz ludzi umięjących cię pojąć. Żegnaj stryja, stryjenkę i pół

tuzina kuzynek, z którymi ani słowa przemówić nie mogłem, i oto mnie masz oddanego ci duszą i ciałem.

I dalejże znów do mej twarzy, całować mnie i połykać. Ja zaś, jako przezorny człowiek, obeznany doskonale z głownymi warunkami życia, nie tracę chwili czasu i pytam:

— Kiedyś przybył na skończenie twych świetnie rozpozczętych nauk, toś zapewne nie przyjechał z próżnemi rękoma i z próżną kieszenią?

— Czyto o pieniądzach mówisz? Nie! tych nie przywiozłem z sobą; ja kraju mego z pieniędzy ogałacać nie chcę, a zresztą nie miałem ich. Co do tego, to sobie pozwolę założyć u ciebie kuzynku ciągły kredyt, i potem spłacę jak na wierzech wypłynę. Oho kuzynie! ja mam szalone szczęście do kobiet: nie wiesz, co można zrobić z taką fizycznością jak moja!

Otóż tedy masz! rzekłem sobie w duszy, i serce me rzewnie zapłakało. Otóż tedy masz! Jakieś przekleństwo mnie ściga; zaledwie z jednej wybrnąłem biedy i jeszcze czuję w sobie skutki wysilenia, aż tu wpadam z deszczu pod rynnę.

Przenoszę kuzyna do siebie i śledzę we wszystkich jego giestach, ruchach i mowach, do czego pan Ksawery może zdać się światu lub przynajmniej sobie.

Już w kilka dni tej smutej dociekleń prawdy, że pan Ksawery o wiele się różni od kolegi Cer..., że jest jednym z najniepoprawniejszych próżniaków jakich świat widział, przytęm upartym, dumnym i zarozumiałym do wysokiego, wszelkie pojęcie przechodzącego stopnia. Zdolności mu nie brakło, to rzecz pewna, ale na co wywierał te zdolności? Całkiem na nadanie wykwińtości swym wysłowieniom i na wymyślanie sobie najrozliczniejszych argumentów, któremi dowodził, że praca jest rzeczą niemoralną, wymyśloną na zbydłeczenie rodzaju ludzkiego; że człowiek całą swą usilność powinien wywierać na zdobycie potęgi ducha, na wyrobienie w sobie duszy i t. d.; ale nękać się monotonna i mechaniczną pracą, to zgroza, podłość. Całą encyklopedyę podobnych dowodów posiadał w swęj głowie; nikt i nie go przekonać nie zdołało o potrzebie pracy. Ślepą zaś i niezwalczoną posiadał wiarę w swą świetną przyszłość, i z dumą spoglądał na biednych ludzi do pracy wnarowionych, wzgardliwie się litował nawet nad tymi, którzy go żywili. Zdolności mu wcale niebrakło: co dzień posiadał, bawiąc się igra-

jąc z dziećmi gospodarza, kilkadziesiąt wyrazów angielskich, ale zdatnym był prawdziwie do niczego.

Cotu będzie robić z kuzynem Ksawerym? pytałem sam siebie kilka razy na dzień. Apetyt ma godny najlepszego Anglika, a gnuśnym jest jak lazaron neapolitański. Muszę mu jednak koniecznie wymyślić jakieś zatrudnienie, bo inaczej legnę pod ciężarem biedy.

Niebo czuwało i tym razem nademną.

Miałem Anglika przyjaciela na téj samej ulicy mieszkającego. Człowiek około 50 lat liczący, dosyć majątny i passionowany do sztuk pięknych, sam nawet malował, ale tylko z natury, nie zatrudniał się portretami, ale raczej malowaniem postaci dla przyszłych historycznych obrazów. Żonę miał niemłodą, chorowitą. Czasem mnie odwiedzał. Raz do mnie przyszedł właśnie w chwili, gdy pan Ksawery ubrawszy się jak mógł najwykwintniej, przyglądał się w lustrze własnej postawie.

— To śliczny człowiek, ten gentleman—rzecze do mnie pocichu Anglik.—Postać prawdziwie Apollina. Kto jest ten gentleman?

Opowiedziałem Anglikowi całą historję mego kuzyna; nie było bowiem nigdy żadnej przyczyny tajemnia prawdy w żadnym z mych położeń.

— A toś pan biedny, doprawdy!—powie dalej Anglik—leczyć zadarmo po dniach całych i jeszcze mieć zawsze kogoś do żywienia, to zanadto na pańskie siły; stargasz je zawczasie. Zrobię panu propozycję, ale się pan nie gniewaj. Chciałbym wykonać w naturalnej wielkości i to kolorami postać Apollina Belwederskiego, w postawie i ubraniu właściwem. Niech kuzyn pański zezwoli służyć mi za model; 4 godziny codziennie, a będę mu płacić 2 funty na tydzień. Nie ma w tém wstydu. Hrabia jeden włoski służył mi za model; aktorki francuzkie służą mi za model. Jak się skończy Apollo, to się zacznie Laocoon, potem Antynus, potem Merkury. Najmuję kuzyna pańskiego na całe pół roku. Pięćdziesiąt funtów szterlingów, to nie frazski; ale się pan gniewasz na moją propozycję, odgaduję to z twych spojrzeń.

— Mylisz się przyjacielu. Jest wprawdzie coś upokarzającego w tém zatrudnieniu, służyć za model, ale dali-bóg być próżniakiem i tak dumnym jak mój gentleman,

to jeszcze gorsza. Jednakże nigdy nie przywiedziemy kuzynka do tego obowiązku, chyba fortem. Mam sposób na niego, złapiemy go własną próżnością, jak mysz słoniną. Zaproponuję ci coś panie Mac-Allan, tylko się nie gniewaj: propozycya za propozycyę.

— Dalej tylko, dalej, nie będę się gniewał — odpowie Anglik, strzelając chciwie oczyma na kuzynka.

— Otóż tak: powiem kuzynowi, że prześliczną i młodziuchną masz żonę; wmówię w niego, że go zna, że się w nim pokochała, że służyć ci (naturalnie bezpłatnie) za model, będzie najlepszym sposobem zawiązania stosunków. Jak raz rozpocznie swój zawód, to w nim zapewne zasmakuje, i tak pójdzie wszystko jak najlepiej. Ale widzę, że się gniewasz, marszczysz czoło.

— Słuchaj doktorze, rzecz jest istotnie cokolwiek drażliwa, nawet łechciwa; ale dla oryginalności podpisuję i na to. Dalibóg, będziemy się śmiali jak opętani; żona moja zawsze chora, nie o tém wiedzieć nie potrzebuje. Starajże się przyprowadzić twój model o 10tej z rana; od 10. do 3ciej po południu, to czas najlepszy.

Anglik się żegna, chciwemi spojrzeniami obwodzi po całym pięknem ciele pana Ksawerego i odchodzi.

— Co ten brzydki Anglik tak mnie przeszywa spojrzeniem? — spyta pan Ksawery.

— To malarz, zajadły amator; podobasz mu się, radby zrobić twój portret.

— A! to się przecież poznał na mnie; jakiś nie zły człowiek. Możebym mu pozwolił zdjąć mój portret, co to szkodzi?

— A jaką ładną ma żonę! ładna i młoda, a w oko jęj wpadłeś; kto wie nawet, czy to nie ona wysłała swego męża. Nie zauważałaś jęj wczoraj w Regents-parku? Ta młoda dama, z którą się witałem, której ciębie przedstawiałem.

— Ah! dalibóg! ta szatynka, z cieżno-niebieskiemi oczyma? Oh! teraz wiem. Prawda, że mnie nie źle głaskała spojrzeniami. Wiesz co, zezwalam na portret, bylebym go nie potrzebował płacić. Cha! cha! cha! a to będzie figiel! nie źle, weale nie źle! Oh! miała ona racyę ta pani Breduli, kiedy mnie nazwała Don-Juanem. Cha! cha!

— Cóż to za pani Breduli?

— To żona cukiernika w Suwałkach, kobieta z gustem, znana z tego. Słuchaj drogi bracie! zamów się do tego Anglika, dziś jeszcze jeśli możesz, i tak, w ciągu mowy, ale zrecznie, bój się Boga, zrecznie daj poznać, że nie będąc jeszcze zatrudnionym, zapewniłbym zezwolił. Czemu nie? nie widzę w tém nic złego.

Zamawiam się niby do pana Mac-Allan i przynoszę odpowiedź, że Anglik uszczęśliwiony, ale że chciwiec, egoista *wielki*, spożytkować chce razem z twarzą, całą postać kuzynka dla dobra sztuki i dla swój sławy, i wystawić kochanego Ksawercia w postawie Apollina Belwederskiego od stóp do głów, w ubiorze natury, zrobionym w ogrodzie botanicznym.

— I cóżes mu na to odpowiedział?—zagadnie kuzynek.

— Że w tém nie widzę nic złego, że przecież pani de St. Edme córka i żona hrabi, przyjaciółka księżniczki Karoliny siostry Napoleona kazała się wyobrazić w marmurze w postaci Wenery Medycejskiej. Cóż w tém złego—nie każdy tak dobrze zbudowany jak ty Ksawereczku.

— Pal go diabli! będzie mnie miał od stóp do głowy, będzie mnie miał całkiem; ale byle mu to nie zaszło za skórę! śmiał się do rozpuku próżny, wróblemi myślami karmiony szlachcic. Usnąć nie mógł z radości; figłami rozbujana wyobraźnia przedstawiała mu we śnie tysiączne romansowe przygody.

Nazajutrz rozpoczęło się pierwsze posiedzenie. Stoi nadobny Ksawerek *in naturalibus*; w lewej ręce opartej o pień drzewa trzyma lutnię, w prawej zaś szlachetnie opuszczonój, strzałę. Oczy swe zwraca ukośnie romansowo na drzwi, i myśli, że ciemno-niebieskie oko patrzy się nań, topi się w nim przez dziurkę od klucza. Pan Ksawery cieszy się lubą nadzieją, że Anglikowi wypłata figła; mniejby się cieszył, gdyby wiedział, że sam sobie na chleb zarabia.

Angielka tymczasem ani wie, jakie wznieca uczucia. Ona na łóżku kwęka, służące łaje i narzeka na męża, że zamiast płacić lepiej doktorom i wzywać coraz sławniejszych na radę, trwoni pieniądze na najmowanie coraz nowych łapserdaków na modele. Taka komedia trwała miesiąc cały. Pan Ksawery widząc, że żadnego nie dopina skutku, zżyma się ze złości i ledwo mu starczy cierpliwości. Mac-Allan

składał na me ręce najregularniej co sobota wieczór 2 funty szterlingów, które ja religijnie chowałem do skarbonki. Wtém nadeszły listy.

Na tę chwilę uroczystą, którą oddawna przysposabiałem, na to wzburzenie uczuć, zachowywałem najsilniejsze me środki. Kuj żelazo kiedy gorące, ratuj chorego wtenczas, gdy na chwilę zawre w nim życie we wszystkich systemach; poprawiaj człowieka, gdy się w nim burzą wszystkie uczucia.

— A ty! a ty panie Ksawery, czémże byłeś przez całe życie, jeśli życiem nazwać można twą istność, której pożycałeś żywioły od czegoś, co za to cierpiało? Kwiat młodzieńczy, tak hojną kolébkę szlachetności, sponiewierałeś w niedbalstwie i w uganianiu się za płochością. Wzniecając miłość w sercu niedoświadczonych panienek, liczyłeś na ich pieniądze. Matki twój ostatni grosz zryzykowałeś dla zdobycia majątku. Do wszystkiego się ndawałeś, prócz do tego szlachetnego źródła życia i szczęścia:—do pracy. Cały twój rozum wywarłeś na to, aby zniweczyć, zagłuszyć w sobie głos honoru. Twych przodków sławę z grobu odkopywałeś, by nią żyć jak robak żyje ich ciałem. Matkę twą i ojczyznę rzuciłeś wtenczas, gdy ci ani jedna, ani druga już nie dać nie mogły, gdyś wszystko z nich wyssał. A dziś co robisz? żyjesz z mozołu, potu i krwi twego powinowatego, do którego ani byś się przyznał, gdybyś go nie potrzebował. W nadziei że figla wypłatasz człowiekowi, który ci chleb daje, szukasz uroku życia. Tak! w nadziei że zadrwisz z twego dobrodzieja! Wiedz bowiem, że pracujesz, myśląc że szalibierzysz, a pracujesz jak automat nieżywy. Patrzą, oto w tój skarbonce 10 funtów szterlingów, któreś sobie zarobił u malarza, służąc pōprostu za *model*, za automat, boś się do niczego innego nie uzdolnił. Ale wejdź w siebie Ksawery: jesteś bardzo młodym, odkupić możesz łatwo wszystko coś nabroił. Teraz wiedząc za co służyłeś malarzowi, służyć mu dalej nie możesz: toby się nie zgadzało ani z szlachetnością szlachcica, a mniej jeszcze z szlachetnością człowieczeństwa. Razem z tēm co ci brat przysłał posiadasz kapitalik dochodzący do 600 złotych. Piszesz dobrze, co oznacza że masz gust kaligraficzny i zdatność oddawania go. Radzę ci wziąć się do litografii, bo jestto sztuka w Anglii bardzo popłaćana. Mam przyjaciela litografa, on niewiele będzie żądał za twą naukę, a reszta przecież się jakoś za pomocą Boską uda.

Wszedł w siebie Ksawerek, napłakał się rzewnie, nawstydział, ale po jednej nocy strawionej bezsennie, widziałem w jego odważnych a jednak pogodnych spojrzeniach, mocne postanowienie odrodzenia się do lepszego życia. I tak też było, Bogu niech będą dzięki. Pan Ksawery zasmakował w pracy, i wszedł na porządnego człowieka.

ROZDZIAŁ XXXV.

POTRZEBA PRACY ZMUSZA DO ZANIEDBYWANIA STOSUNKÓW PRZYJAŹNI.— MISS EMILY GAŚNIE.— PAN LEE UMIERA NAGLE.— CALAIS.— POWRÓT DO LONDYNU.— BOULOGNE.— POWRÓT DO ANGLII.— GUILLARD WYROBNIK FRANCUSKI.— TRZECIE PIĘTRO.

Gdybym był mógł przewidzieć czekające mnie cierpienia, tobym był nie pozostał w Londynie, aby pracować na tę okropną zimę. Widok umierających prawie nigdy nie schodził z oczu moich. Przy najlepszych chęciach nie mogłem zadość uczynić mym obowiązkom u pana Graham.

Dla chorych zaniedbywałem nie tylko pracę, chleb mi dającą, ale także względy dla domów angielskich, do których uczęszczać przywykłem. Nie zawsze było można wykładać powody mych zaniedbywań i dłuższej nieobecności. Byłoby to tchnęło żebraniną, gdybym w domach, do których mnie jako uczestnika przypuszczano, rozpowiadał cierpienia ludzi umierających w skutku niewygód, lub poprostu z braku. Zawsze kochałem ludzi, alem ich nigdy na wydatki nie narażał, i może po tylu przykrych doświadczeniach dla tego ich kocham, że im nieskończenie mniej dowierzam, nieskończenie mniej ufam, jak sobie samemu. Mało też żądałem dla siebie samego od ludzi, byle mi tajemnie nie szkodzili, oto dalibóg wszystko, co pragnę, bo do jawnych nieprzyjaciół nie mam nienawiści:— oni mi pomimowoli częściej pomagać musieli, niż szkodzić zdołali.

Lilia Indyów wiedła, schła, ah! już nawet i krzepła. Boże drogi! jabym był wszystkie krople krwi méj oddał dla odwrócenia ciosu nad jęj głową zawieszonogo. Ja ją kochałem, nie ową miłością, dla której w młodym, przedsiębierczym, śmiałym jak ogień człowieku, zawsze pozostaje nadzieja zadowolenia, ale ową miłością, dla której na tym świecie nie masz żadnej nadziei. Okropne to położenie nie da się poró-

wnać z niczém w świecie, z żadną z tych licznych boleści, przez które przechodzić musi człowiek na tym padole płaczu i nędzy. Kochać tę, która wkrótce będzie nieboszczką, kochać ją z całym młodzieńczym zapałem pełnego, zdrowego, wszechstronnego jak promienie słońca życia,— to niewypowiedziana klęska.

Emilia już umierając musiała wiedzieć, że ją bardzo kocham. Tyle sobie zadawała siły, żeby choć pozór życia zwabić na swe lica:—ubierała się wtenczas w kolory żywe, obstawiała kwiatami czerwonymi, mówiła mi o rajach niebieskim, tak jak gdyby mówiła o kwitnącej łące, którą zwiędzimy jak znów wiosna przyjdzie. Ona się litowała nademną—nademną żyjącym, tyle zbytniego życia posiadającym. Może wiedziała, że to zbytnie życie szkodzić musi szczęściu méj istności, i szkodzić będzie niezawodnie?—Nie! tego nie myślała! Ona mnie tak ceniła, tak poważała. Instynktem jakimś poznała we mnie człowieka kochającego swych bliźnich i zapewne myślała, że ja nie przeniosę ciosu jej śmierci, i że będzie o jednego mniej dobrego człowieka, na tej biednej, prądem egoizmu porwanej ziemi. A ręce swe chowała w zarękawku futrzanym, ona, co tak chętnie rękę mi uściśnęła, i w wierne dla niej oczy patrzyła—ona się już lękała zetknięcia, jak gdyby wzdragała się udzielić mi cząstkę tej śmierci, tak nieubłaganie wdzierającej się w jej serce.

Stan Miss Emilii dotychczas ciągle jednostajnie, ale przynajmniej wolno się pogorszający w ostatnich czasach, skutkiem przesilenia się dnia z nocą i zmiany nagłej, zaszłej w temperaturze, raptownie się pogorszył. Już wstać nie mogła z łoża, musiano ją przenosić wieczorem z kwaciarni do pokoju sypialnego. Mgły śmierci grube, nieprzejrzane zaszły na tę twarz przed kilkoma miesiącami jeszcze tak świetnie piękną.

I inne wcale nieprzewidziane spotkało mnie zmartwienie. Pan Lee, handlarz drzewa i bankier, nagle tknięty apopleksją, skonał, doszedłszy zaledwie do 50. roku swego życia. Wydał on w ostatnich dwóch miesiącach wszystkie swe córki za mąż. Jedną za Lorda *by gentleman of the Queen*, drugą za baroneta, trzecią najstarszą piękną, idealną Augustę za jej kuzyna, młodego, przystojnego, ale ubogiego i, na domiar nieszczęścia, poetę. Mówią, że ten ostatni mariaż, *cette*

espèce de mesaliance, nadwerżył zdrowie dotychczas tak silne pana Lee, że nigdy mu z głowy wyjść nie mogło, jak jego córka najpiękniejsza, największemi obdarzona urokami i doskonałościami, pójść mogła za biedaka, nie mającego ani stanu, ani urodzenia, ani tytułów, ani majątku. Wezwano mnie zaraz po niespodziewanej śmierci pana Lee do jego familii, nie odstępowałem jęj przez całe dni cztery. Jeszczem nie ochłonął z trudów i umartwień, a już mnie pan Woodmill przywołuje do siebie.—»Spiesz do mnie przyjacielu! zbliża się koniec naszej tragedyi«—pisał biedny ojciec.—Spieszę. Dorożkę zatrzymałem z pięćdziesiąt kroków przed domem, by ziemi nie wstrząsać: smutne przecucia ogarnęły mą duszę.

Pan W. czekał na mnie przed progiem.—»Cicho! cicho! ona śpi;«—kazała mi wyjść przed godziną i wrócić dopiero jak ty przybędziesz, bo czeka na ciebie, oh! jak ona cię kocha!«—Tak mówił ojciec Emilii i temi wyrazami przeszył mi serce. Nie raz mi zaręczała Emilia, że swemu ojcu śmierci swęj nie pozwoli być obecną. »Zaczekaj tutaj, ja wejđę i zobaczę co się dzieje,« rzekłem do pana W. Promień słońca od dawna nie widziany błysnął przez szklany dach kwiaciarni. Wpóśród kwiatów chylących kielichy i bluszczu zwieszającego liście, leży Emilia na łożu białém jak śnieg, sama biała jak liście kamelii. Obok nięj siedzi Abigail, żadna łza w jęj oczach, a w twarzy śmiertelna pogoda. Emilia już nie żyła! Usiadłem przy jęj łożu i długo siedziałem pogrążony w osłupieniu, a gdym z niego wyszedł, ujrzałem obok siebie ojca Emilii. Nie szlochał, nie płakał, rąk nie załamywał, a na twarzy brązowa, wieczna rozpacz.

Pochowaliśmy Emilię. Ten sam grabarz, co prosił o jęj rękawiczkę, przysypał ją ziemią. Ja pożegnałem ojca Emilii; we cztery dni późnięj zobaczyłem go po raz ostatni przy pogrzebie Abigail.

Nędza doszła do najwyższego stopnia w tęj zimie. Angliacy sami umierali z głodu po ulicach!

Ja sam, oddawna trapiiony niezwalczonym kaszlem, pomimo całej czynności nie mogłem więćej ujść ani kroku. Zmartwienie, prace, ciągły ruch i niewygody nie mogły dobroczynnie wpłynąć na me zdrowie. Ustać nareszcie musiałem. Lekarze Angielscy, którym byłem znany, odwie-

dzali mnie kolejno. Wszyscy radzili mi wyjechać na kilka miesięcy z Anglii, gdzie tak trudne na siebie przyjął obowiązek, do Francji, gdzie klimat lepszy i sposób do utrzymania się łatwiejszy. Przeczekałem Nowy Rok i miesiąc styczeń, ale nareszcie widząc, że stan mój ciągle się pogorsza, posłałem pasport mój w Królewcu wydany do ambasadora Pruskiego, później do Francuzkiego, z prośbą o awizację. Angielscy moi przyjaciele sami za tem chodzili; dzięki im, uzyskałem com żądał.

Żegnając się na miesiąc kilka listownie z memi przyjaciółmi i jadąc do Calais. Wielom cierpieć podczas przeprawy do Calais;—przybyłem znękany do najwyższego stopnia. Nim mnie na ląd wpuszczono, odebrano mi paszport.—»Pan w Kaliszu urodzony jesteś, nie masz zatem prawa świadczania się ambasadorem pruskim. Marszałek Soult nie chce, żeby się Polacy gromadzili we Francji. Bardzo nam nie miło, ale wypełniać musimy rozkazy Ministra spraw zewnętrznych.« Tak mi odpowiedzieli urzędnicy policyjni w Calais, a ja nie miałem żadnego sposobu zmiękczenia ich wyroku. Z bólem w sercu wracam na niegościnną Angielską ziemię. Jeszcze mój stancyj nie wynajęto; sprowadzam się więc do niej, pracuję jak mogę i nie wychodząc z domu, stosunki odnawiam z tymi, którzy mi dotychczas pracę dawali. Ale zdrowie me coraz gorsze, siły codziennie ustają. Chodziło do mnie wielu ludzi, gdyż dotychczas protegowałem nie jednego, nie jednego z biedy i choroby wy dobyłem. Anglik jeden młody, któremu udzielałem lekcyje języka niemieckiego, wyjeżdżając na wieś przyszedł do mnie z pożegnaniem. Dowiedziawszy się, czemu mnie nie chciano przyjąć we Francji, i spostrzegłszy żeśmy do siebie przynajmniej rysopisowo podobni, wiele nie mówiąc wyrabia sobie paszport do Paryża na Boulogne i przysłała mi go wyjeżdżając na wieś. Wszystko było w regule, tylko brakło w pasporcie *visum* ambasadora francuzkiego. Sam do niego pojechałem, pomimo mego osłabienia, pomimo zimna. Wyczekałem się z godzinę, nareszcie przypuszczono mnie przed oblicze sekretarza ambasady. Szczęściem, że nie tego umiał po angielsku, byłby się spostrzegł że nie Anglik. O wiek jakież zachodziły trudności. »Choroba przysparza wieku« rzekłem po angielsku. »To prawda, prawda, rzecze Francuz; dam panu adres doskonałego lekarza w Paryżu. Powiedz

mu pan że ja pana rekomenduję, nawet panu napiszę słówko. I dalejże rekomendować mnie panu Ricord, lekarzowi tylko *pewnych chorób*, do których się nigdy poczuwać nie miałem prawa.

Nareszcie wszystko ułatwione; wychodzę z biura ambassady.

Biegnę na Regents Quadraat, dowiaduję się, że za trzy godziny z odpływem morza płynie parostatek do Boulogne. Wpadam do domu, zabieram rzeczy, pakuję, żegnam się, ładuję; już jestem przy London Bridge, zapisują mnie, wielu ludzi przybywa, wielu odchodzi. Ruszamy z miejsca; jakiś grzeczny towarzysz ciągle się mną interesuje, wypytuje mnie o to i o owo, radzi mi to i owo. Dalibóg nie wiem, jak do tego szczęścia przychodzę. Przeprawa dość szczęśliwa; jesteśmy w przystani Boulogne, w tej bramie Albionu, jak ją Anglicy nazywają.

Oddaję paszport. Wizują go urzędnicy, wysiąść pozwalają. Biegnę do hotelu. Słyszę, że ktoś woła za mną po francuzku: »Monsieur le Docteur! Mr. le Docteur!« Odwracam się. Urzędnik policyjny za mną goni, prosi mnie w najgrzeczniejszych słowach do biura kommissarza paszportowego. Prosi najuprzejmiej, błagając bym go nie zmuszał do użycia środków popierających jego prośbę. Idę do biura. Pan kommissarz paszportowy kłania się najuniżeniej: »Charmé de faire votre connaissance, veuillez bien avoir l'extrême obligeance de lire ce petit billet.« Biorę bilet, na nim napisane: Jegomość udający się za pana Artura Stell z Widing (Worcester-shir) jest doktorem T. T., urodzonym w Kaliszu (Pologne russe).

»Faché extremement faché, brisé de donleur, ma parole d'honneur, mais il faut retourner, ou le diable m'emporte, nous serions forcés de recourir aus grands moyens!«

Darmo! darmo! trzeba złożyć te moje kości w angielskiej ziemi, może się zdadzą rezurekcyonistom na rafineryę cukru,—rzekłem do siebie i uczułem, jak gdyby kształł trumny w mém sercu. Róbcie ze mną co chcecie, o! Francuzi, rodacy mych przodków, a już po drugi raz odpychający mnie od siebie! powiedziałem głośno i omdlałem na krześle, które mi podano.

Chciano się złożyć na mą przeprawę w biurze kommissarza. Nie przyjąłem. Ofiarą prawie całej reszty méj goto-

wizny okupiłem sobie podróż do kraju niegościnnego Anglii.

Tymczasem mieszkanie moje już było wynajęte. Przeprowadzam się o dwa piętra wyżej do skromnego, z mebli prawie ogołoczonego pokoiku. Rozpacz wkrada się w me serce. Tylko jednemu przyjacielowi, biednemu wyrobnikowi francuzkiemu Guillard, śmiem oznajmić, że się ma druga wyprawa do Francyi nie udała. Wzburzone uczucia miotają krwią moją, zapalają się płuca, jawią się wszystkie oznaki ciężkiej choroby. Gospodarz zaalarmowany biegnie do lekarzy. »Umrze! niezawodnie umrze!« mówią lekarze,—krew puszczają jednakże; leczą sprężyscie.

Guillard, wyrobnik francuzki, którego wprzód wyleczył z niebezpiecznej choroby, nie odstępował mnie prawie ani na chwilę; zresztą nikt do mnie nie zajrzał, bo nikt nie wiedział żem wrócił.—»Czemuż nie dasz znać twym przyjaciołom, że tu jesteś i że potrzebujesz pomocy?« spytał Guillard.

—»Mam dwa rodzaje przyjaciół: albo bardzo bogatych, albo bardzo biednych, a tym nie chcę przysparzać zmartwień,« odpowiedziałem; on zaś na to: »Vous faites bien, cré nom de Dieu.

Wielka też do mnie wkradła się nędza, ostatni grosz wydany, nie ma za co kupić ani lekarstw, ani węgla, ani tyzany. Wyrobnik Guillard łoży na me utrzymanie.

Pocziwych kolegów lekarzy sympatya jednakże nie była płonna. Dali znać w *Poor foreigners burging office*, że jakiś cudzoziemski gentleman wybiera się na tamten świat, i że nie ma za co sprawić sobie pogrzebu.

Odwiedza mnie tedy duchowna osoba i mówi wiele o niebie, o życiu przyszłym, o grzechach i o żałowaniu za nie. Swoją drogą codziennie rano przychodzi agent towarzystwa filantropów, mającego na celu sprawić *gratis* pogrzeby cudzoziemcom, i pyta się gospodarza, czy jeszcze żyje doktor polski. »*All right till now*« wszystko jeszcze w porządku aż dotychczas, odpowiada pan Lobstertown i dalej czyta w swęj biblij, bo był nabożnym anabaptystą, nigdy o Bogu myśleć nie przestawał.

Jednakże pomimo méj rozpaczy, biedy, pomimo opuszczenia, niewygód, młodości siły brzemieniem nieszczęść przyduszone, ale nie zniszczone, zaczęły odnosić zwycięstwo.

Już, daleko swobodniej oddycham, już nie kaszlę tyle, już mnie nie trawi gorączka. Jakaś nawet nowa, silna wiara w łaskę Boga wstępuje w me zbołałe serce. Ale jeszcze słaby, okropnie słaby, z łóżka wstać nie mogę.

A tak czuwała nademną Opatrzność w chwilach najkrytyczniejszych miotanego burzą życia.

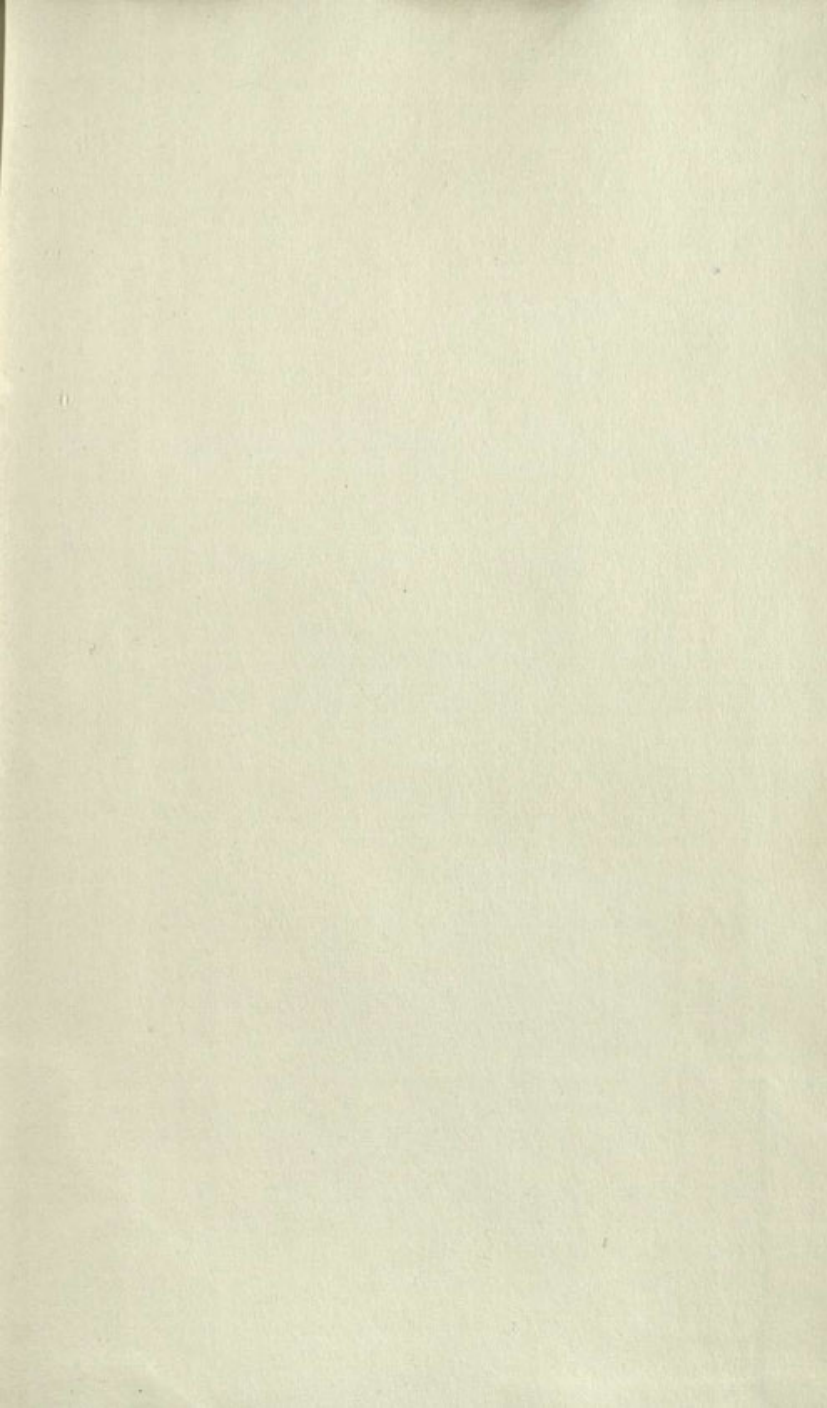
KONIEC TOMU DRUGIEGO.



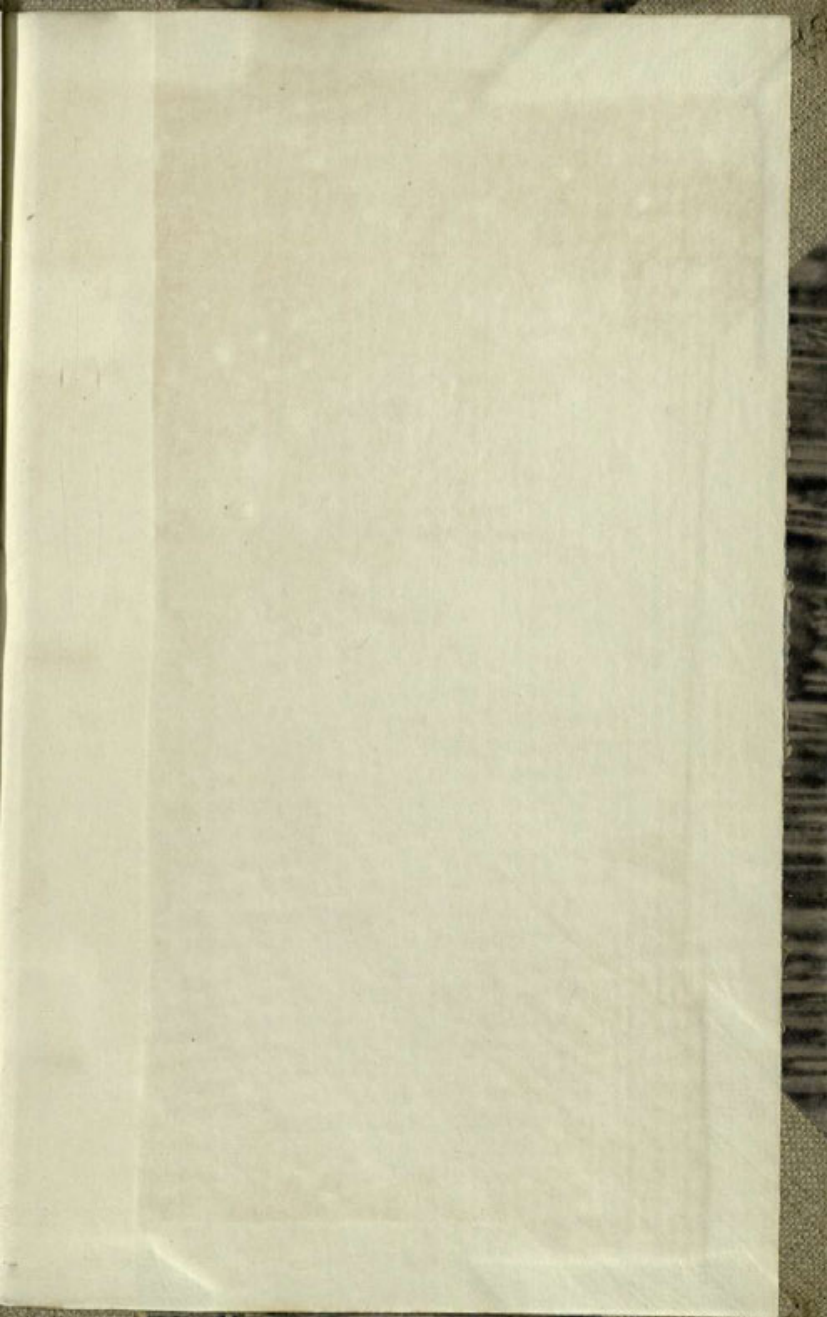
The church is a building of wood, and is a fine specimen of the
 style of the early part of the century. It is a simple structure,
 with a steeple, and is a fine specimen of the style of the
 early part of the century. It is a simple structure, with a
 steeple, and is a fine specimen of the style of the early part
 of the century. It is a simple structure, with a steeple, and
 is a fine specimen of the style of the early part of the century.

W O R S H I P T E X T





80, -



20212